

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1872.

---

Tom czwarty.

---

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

---

1872.





№. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава. 14 Сентября 1872 года.

K. 35/46.

# Opowiadania o Warszawie, jój przeszłości i pamiątkach miasta.

Przez

F. Mak. Sobieszczańskiego.

---

## II.

Przeszłość miejsca historycznymi dowodami objaśniona. — Wykopaliska z tejże epoki. — Podania i wywody o założeniu Warszawy. — Zkąd pochodzi jój nazwisko? — Czy była kiedy wsią? — Ślady osady przy zaprowadzeniu chrześcijaństwa. — Piérwsze piémienne wzmianki do urządzenia na samoistne miasto.

W przeszłym rozdziale mówiliśmy o znajdujących się tutaj śladach osiadłości ludzkich, w epokach zwanych przedhistorycznymi. Śladach opartych nie na przypuszczeniu i domysłach, lecz na niezaprzeczonych dowodach, bo na pozostałych dotąd za-  
bytkach.

W dalszym ciągu samo z siebie nasuwa się pytanie nie ma-  
łój trudności, aby należycie odpowiedzieć: do kogo należały i czy-  
ją były własnością, zważając na powtarzające się wszędzie podobieństwa.

Z tém wszystkiém chcielibyśmy objaśnić je o tyle, o ile wy-  
starczą wiadomości przez nas zebrane.

Najnowsze poszukiwania antropologów starały się przeko-  
nać jakoby cała Europa przed przybyciem Aryów czyli rolników,  
była zaludniona przez nieliczne pokolenia turańskie, to jest ludów  
koczujących. Bliżsi zaś historycy rozpowiadają o wędrówkach  
różnych ludów, różnych plemion i różnorodnych pokoleń, które  
kolejno tę ziemię nachodziły i osiedlały. Łatwy więc wypadł ztąd  
wniosek, że każde z nich, nim nowo nachodzące z posady wyparło,  
i do dalszej wędrówki zniewoliło, mieszkając czas jakiś, musiało  
zostawić po sobie ślady swoich obyczajów, swych obrzędów



i sprzętów, różniących się między sobą tak drobnymi odcieniami w kształtach i pojęciach, że ich dzisiaj z łatwością odróżnić i odcechować niepodobna.

Trzymając się tej zasady, nie możnaby stanowczo wyrzec, ani o zabytkach do kogo właściwie należały, ani które z tych pokoleń są tutaj pierwobytnymi. Zwłaszcza gdy na polu obszernych i uczonych badań, dotąd w tym celu dokonanych, rozmaite panowały wyobrażenia i różny był sposób widzenia rzeczy.

To co dawniej zdawało się niewątpliwe, później zostało zwalone, i z nowego stanowiska rozpatrywane.

Dziś naprzykład nie popłacają już wnioski utworzone ze starożytnych dzieł pisanych lub drukowanych. Upadły zręcznie osnute i wiekami uświęcone teorye, uznane niegdyś za dostateczne, bo mówiły kroniki i poszukiwania archiwalne potwierdzały.

Natomiast powstała metoda porównawcza, zaprowadzona nie tylko w językoznawstwie ale i w różnorodnych objawach cywilizacji, tudzież tradycji ludzkich i znaleziono nader silną pomoc w naukach przyrodniczych.

Długo bujając na skrzydłach wyobraźni, zstąpiono w końcu praktycznie na ziemię. Przekonano się albowiem że aby zrozumieć przeszłość, potrzeba koniecznie znać teraźniejszość, gdyż tylko za jej pośrednictwem pierwszą należycie się pojmuje.

Tą bezwzględnie drogą może dojdziemy kiedy do wyjaśnienia pierwotnej historii kraju, a zatem i najdawniejsze zabytki będą wtedy dokładniej wytłumaczone. Lecz dotąd jesteśmy zaledwie w dobre zbierania materiałów, wymagających krytycznego opracowania.

Do tego nowego zwrotu przyczyniła się metoda porównawcza w językach europejskich, w której wielkie zrobiono postępy, gdy odkryto wspólne wszystkim źródło i udowodniono, że są najwydatniejszym dotychczas światłem prowadzącym badaczy do rozwidnienia najodleglejszej przeszłości.

Idąc za tą wskazówką, nie tak gruntownie nie przekonywa o pierwobytności mieszkańców, nad utrzymujące się nazwiska rzek, gór, lasów, uroczysk i osad. Gdy jedno dla każdego dotąd są rozumiało, inne mają pierwiastek miejscowy. Wszystkie zaś albo powiększej części tłumaczą wyraźnie powód dlaczego takie a nie inne im nadawano i świadczą zarazem, że od początku swego żadnym przemianom uleż nie mogły. Nazwiska miejsc są także najsilniejszą krytyką przeciwko przeszłym badaczom, którzy w razy niepojęte lub właściwie przystosowane, brali za spuściznę po owej dziejowej wichurze napływów i odpływów rozmaitych ludów.

Już znakomity W. Humboldt utrzymywał, że są to najstarsze i najtrwalsze pomniki historyczne, któremi narody nawet oddawna wygasłe, same opowiadają swoje własne losy. Idzie tylko aby te głosy były jeszcze dla następców rozumiało.

Z metodą porównawczą i na dzieje wędrówek narodów inaczej teraz zaczęto zapatrywać się, twierdząc jakoby różnice prze-

szłości od terażniejszości i pod tym względem nie były tak znaczne, jak przedtém mniemano. W prawdzie wypadki dosłownie nie powtarzają się, mają różne formy i sposoby, ale przyczyny i skutki są zawsze te same.

Całe narody, mówią nowsi uczeni, na jakimkolwiek byłoby stopniu ukształcenia, nigdy się z miejsca na miejsce nie przenosiły i innych téż z małemi wyjątkami nie wytepiały; lecz były tak jak są dotąd, częściowe z rozmaitych przyczyn wychodźstwa, wyprawy drużyn ciągnące za łupem i wielorakie podboje.

Jedne zwracały się w stosowne po temu strony, przechodziły bez dalszego wpływu, lub w ogół wsiąkały; drugie przemieniały tylko zwierzchni zarząd kraju i niekiedy, z czasem, wsparte jednoplemienną kolonizacją, tudzież przewagą umysłową, zacierały przeszłość, zmieniały język, ale nie naturę zwyczajów i obyczajów, które zawsze ocalały.

Według téj teorii, upadają poprzednie wywody i wzmacnia się wiara w pierwobytność niektórych narodów.

Mogły istnieć od drugich nie znane, nosić rozmaite nazwiska, ulegać kolejom losu; w każdym przecież razie, nigdy wszyscy bezwarunkowo siedlisk swoich nie opuszczali.

I za tém właśnie przemawiają badania nad językiem krajowym, aczkolwiek w szczytym jeszcze zakresie dokonane.

Jeżeli bowiem dotąd zrozumiałe nazwiska osad gęsto rozsianych, jak np. w bliskości Warszawy, wyraźnie wskazują poprzedni stan miejscowości, na pamiątkę którego otrzymały, t. j., od gór, rzek, lasów, zwierząt i t. p. nie ulegających łatwéj zmianie; już tém samém dowodzą niepodobieństwa aby kiedykolwiek były tutaj siedziby innego pochodzenia. To tém bardziej zabytki wewnątrz ziemi około nich odkrywane, nie mogą być śladami obcego plemienia. Owszem są one nietylko objawem pierwobytności ludzi w epokach do których historia nie sięga, ale i odpowiedniego ukształcenia w społeczeństwie; czy to należało do pokolenia turańskiego, lub aryjskiego, które jakeśmy wyżej wspomnieli, mogły po sobie nastąpić niekoniecznie sposobem wyparcia lub zupełnego zgładzenia.

Jakoż widocznymi są w rozmaitych zabytkach z téj epoki, obejmującej przestrzeń kilkunastu wieków, postęp i stopniowe udoskonalenie, bez wyraźnego śladu obczyzny.

W chwili nawet gdy już pierwsze historyczne dowody stósunków z postronnemi plemionami pojawiać się zaczynają, wyroby przemysłu miejscowego tenże sam starodawny zasadniczy charakter przechowują, jaki miały w owych prastarych czasach, o których mówiliśmy w poprzedzającym rozdziale.

Przekonywają o tém wykopaliska, między innemi w Grochowie pod Warszawą 1870 i 1871 r., tudzież w najbliższych okoli-

cach: w Lisowie pod Czerniejowem 1856 r., w Książenicach i pod Grodziskiem 1856 r., w Skierniewicach 1860 i t. p. (1).

W wielu wszakże miejscowościach, szczególnie na lewym brzegu Wisły, nie rzadko dobywane bywają z łona ziemi wyroby widocznie obcego pochodzenia: to monety cesarów rzymskich, to znowu srebrne filigrany, wraz z monetami kufickiej roboty z imionami Kalifów panujących od VII do X wieku, że nie wspomnimy monet anglosaskich, skandynawskich i staroniemieckich.

Zabytki tego rodzaju znalezione zostały w ostatnich czasach nieopodal Warszawy, między innymi w dobrach Dziekanów 1871 r., w Grójcu, w Kaskach, w Paprotni, ze śladami pochodzenia z X wieku. W Ciechanowie wykopano w r. 1868 liczne monety rzymskie, kufickie i bizantyjskie XI stulecia. Toż w Sobaniach 1857 r., w Węgrowie i Grotkowie 1868 i t. d. (2).

Czyż to nie są aczkolwiek nieme dotąd, świadectwa międzynarodowych stosunków istniejących w tych stronach?

Nie inaczej też tłumaczą nowsze odkrycia archeologiczne i numizmatyczne, chociaż w części przywracające im mowę. Mianowicie ważne pod tym względem okazały się źródła geograficzne wschodnie, które zbadane teraz krytycznie wiele ciemnych szczegółów objaśniły i sprostowały.

Ztamtąd dowiedziano się o istniejącym od niepamiętnych czasów przemyśle i handlu zamiennym między narodami wschodniami, północnymi i zachodnimi; drogi zaś i przeprawy tychże oznaczają właśnie owe wykopaliska dokładnie we właściwych dziełach teraz opisane. Potwierdzają one zatem dotykalnie, to co tamci opowiadają, obszernie szczegółowo o kupcach wschodnich i sąsiadujących słowiańskich. Jak od wieków czynili dalekie wyprawy w celu wymiany przedmiotów potrzeby lub zbytku, zasilając jedni drugich płodami swych krajów. Prowadziły je karawany ładem lub dostarczano drogami wodnymi ułatwiającymi stosunki z krajami najwięcej oddalonymi i nieznanymi.

Poszukiwane płody przemysłu północy; były przede wszystkim oddawna cenione rozmaite futra zwierząt, skóry, łój, miód, wosk, drzewo, bursztyn i t. p.; otrzymywano zaś w zamian wyroby wschodnie z kamieni, złota, srebra, brązu, kości słoniowej; różne tkaniny, korzenie, owoce. Najczęściej wszakże zamiana odbywała się na monety złote i srebrne, pożądane od płci pięknej, do ozdoby strojów, lub służące za narzędzia wymiany. Ztąd tyle ich dotąd odkrywają w ziemi gdzie były chowane w wypadkach wojennych lub innem niebezpieczeństwie.

(1) Bibl. Warsz. 1871 T. IV s. 47, Kur. Warsz. 1856 r. nr. 100, 192 r., 1846 nr. 90, 94, 116.

(2) Gazeta Polska 1869 r. nr. 48, Kur. Cod. 1871.

O tém wszystkiém piszą geografowie i podróżnicy arabscy z IX, X i XI stuleci, podając rozmaite szczegóły nie tylko o sąsiednich ale i o tutejszych stronach, mianowicie świeżo wydany i odkryty w Muzeum Brytańskim Abu Ali Achmed ben Omar Jbu Dasta piszący na początku X stulecia (1).

Tym sposobem mamy wytłumaczone znajdowane w kraju zabytki i monety wschodnie, zamieniane bez wątpienia za przedmioty pochodzące z wielkich niegdyś puszczy mazowieckich.

W każdym razie są już historycznym śladem siedzib ludzkich w tych wiekach z których pochodzą.

Czy jednak teraźniejsze osady są owocne, lub równie starożytne, tego stanowczo ani potwierdzić ani zaprzeczyć niepodobna.

Wprawdzie powiedziano było kiedyś o niektórych że są dawniejsze od swój historyi; tém śmieliej zdaje się powtórzyć można podobne zdanie i o Warszawie.

Zobaczmy teraz dowody tej starożytności w historycznym porównaniu z innymi.

Według przyznanego rozwoju w dziejach powszechnych, natura urządzeń ludzkich wszędzie i zawsze okazuje się w ogóle nie zmienną. Nie znaczy to bynajmniej konieczności przejmowania jednych od drugich. Badając pilnie teraźniejszość i pozostałe dotąd zabytki, przekonano się: przeszłość nie zaciera się zupełnie i nie znika bez śladu z ziemi, jak mniemali ci którzy szukali w dali tego, co mieli jeszcze przed oczyma, kreśląc niebywałe mrzonki.

Też same dzieje uczą, jak na całej kuli ziemskiej powstały osady ludzkie. Zakładali zawsze z podwójnych przyczyn, albo obcy przybysze, albo nadmiar ludności wyłonił z jednej, podobnie pszczołom wydającym z ula nowy rój, aby sobie szukał innego gniazda. W obu tych wypadkach, szczególnie w ostatnim, przechowywały się stosunki rodzinne, zwyczaje i obyczaje; a nowa osada na pamiątkę swój zależności mianowała i nazywała poprzednią swoją matką.

Jak tylko pewna liczba rodzin połączyła się z postanowieniem założenia nowej osady, pierwszym ich staraniem był wybór miejsca. Najdawniejsze sadowiły się zwykle w bliskości wody, nad brzegami rzeki, jezior, źródeł i t. p. Późniejsze powstawały tam gdzie były lasy, które umyślnie w tym celu wypalano; jak to dotąd ma jeszcze miejsce w niektórych krajach: najnowsze budowały się na równinach. Założonym osadom nadawano rozmaite nazwiska, zależne od wielu okoliczności; od imienia jednego lub więcej założycieli, położenia miejsca lub jego przeszłości, natury gruntu i sąsiedztwa; od stanu zajęć i pochodzenia zamieszku-

(1) Tłumaczony na rosyjski język i pierwszy raz wydrukowany z objaśnieniami przez prof. Chwolsona w Petersburgu 1869 r.



jących, wreszcie na pamiątkę czczonych lub przybywających zwierząt.

Osady połączone razem, składały wszędzie pod rozmaitemi tylko nazwiskami, gminę; te znowu miały swoje działy i poddziały, z początku bez żadnego miana, zanim je otrzymały, najczęściej dopiero od obcych.

Ukształcone już w społeczeństwa stanowiły ziemie a te razem zjednoczone narody i państwa.

Najdawniejszą najprzód ustanowioną osadą w każdym kraju jest wieś, i téj forma, tudzież urządzenia są podstawą, obrazem charakteru i właściwości narodowych.

Odpowiednio temu utworzył się i w Słowiańszczyźnie wyraz w wielu narzeczach znaczący wszystko, raczej wspólnie; gdyż *wies, wes, wsia*, pierwotnie miała wspólną używalność gruntów, pól, łąk i t. p. Ztąd gdziekolwiek od samego początku ją założono, tam ślad rozkładu gruntów, pól, łąk, pozostał niezmiennym i przetrwał prawie do naszych czasów.

Powstałe wsie i gminy wybierały sobie wszędzie pewne oznaczone miejsca, gdzie zgromadzano się albo dla spełniania obrządków religijnych, albo dla narady w sprawach powszechnego dobra, lub odbywania sądów, handlu i t. p.

Taki był początek miast na całym świecie, wyraz i w języku polskim pochodzący od miejsca.

Miały one tylko inne od nowożytnych znaczenie, nie odznaczały się ani ludnością, ani zamożnością i w niczem nie różniły od wsi. Na miasta wybierano niekiedy pierwotne osady, z kąd pochodziły następne i te przewodniczyły z początku w małym zakresie, następnie gdy się rozszerzył, stawały jego stolicami.

O początku miast w Słowiańszczyźnie niezgodne są mniemania uczonych. Niektórzy utrzymują jakoby pierwotni Słowianie przestając na urządzeniu gminowém, czyli na stowarzyszeniach, które odpowiadało naturze społecznego ich życia, nie znali ani potrzebowali stanów i osad, różniących się od ustroju ogólnej wspólności.

Tak było rzeczywiście w rzeczypospolitéj Polickiej u Chorwatów, której odwieczny statut, drogocenny pomnik najdawniejszego prawodawstwa, wyraźnie zabraniał zakładania miast; téj nowości, są jego słowa, szkodliwéj i przeciwnéj zwyczajom i obyczajom narodowym (1).

Co jeżeli zachowywano w jedném plemienu, w którym najdłużej dotrwały prastare urządzenia rodzime, to mogło być niegdys wspólne wszystkim pokrewnym.

(1) Starożytne prawodawstwo Chorwacko-dalmackie, przez Leontowicza. Odeasa 1868 (po rosyjsku).

Jakoż grody i tyńce z których powstały u innych Słowian nowożytnie miasta, znaczyły (sam wyraz tłumaczy) miejsca ogrodzone czyli umocnione. Służyły też w onych odległych wiekach dla ochrony w niebezpieczeństwie i były warowniami przeciwko zewnętrznym nieprzyjaciołom. Przystęp przeznaczano je na miejsca ogólnych zgromadzeń we wszelakię potrzebie. Wśród gór i lasów sama przyroda nadawała się potem i wybór ułatwiała. Natomiast plemiona osiadłe na równinach, musiały budować sobie oddzielne warownie, gdy tamtym mogły być nieznane przynajmniej z nazwiska.

Zważając na wskazany wyżej porządek, prawdopodobny początek Warszawy może być następnym:

Położona na wzgórzu, nad brzegami rzeki, tém samym należy do najdawniejszych osad w okolicy; bo inne sąsiednie już nazwiskami swemi wskazują późniejsze czasy. Otoczona niegdyś lasami, dotąd jeszcze opodal będącemi, ma też najbliższe siedziby których nazwiska są przypomnieniem przeszłego stanu takiejże miejscowości.

Przy ich zakładaniu lasy wytrzebiano ogniem, i pamiątka tego sposobu została w nazwisku Pragi, które podobnie czeskiej stolicy, otrzymała od starostwoiańskiego słowa *pražit*, wypalać (1). Chociaż może także oznaczać *práh*, próg rzeki, albo przeprawę. Śladami wypalonych lasów zdają się być nazwiska najbliższych wsi. Takimi są: Opaleń, Ożarów dawniej Pożarów, Chłownia przedtém Głownia i t. d.

Pewnym także znamieniem stopniowego zaludnienia okolicy, są liczne wsie z nazwiskami Woli lub Wólki. Znaczą one jak wiadomo nowe roje z dawniejszych uli, gdy nadmiar ludności obierał sobie oddzielną siedzibę. Wychodziły na wolę czyli oznaczoną do umówionego czasu swobodę. Idlatego niektóre dotąd noszą przydatek ich pochodzenie wskazujący. Są naprzykład najbliższe: Zaborów i Wólka Zaborowska, Grodzisk i Wólka Grodziska, Mrokówi Wola Mrokowska, Żyżyn i Wólka Żyżyńska i t. p.

Niepodobna zapewne przypuszczać aby wszystkie pochodziły od jednej. Jest jednak stare przysłowie drukowane w XVII i XVIII wieku, odnoszące się do główniejszych miast krajowych, téj osnowy, Kraków pan, Lwów ojciec, Warszawa matka, Lublin siostra (2). Mianowanie przeto Warszawy matką, może nie będzie bez znaczenia, jeżeli przypomnimy sobie wykład podobnego wyrażenia o obcych miastach starożytnych, które zwano *Metropolis*, *Mutterstadt* i t. p.

Wytworny wybór miejsca na wzgórzu, nad samym brzegiem wspaniałej rzeki, pięknością swoją stolicę Wschodu przypominającego, znamionują wykształcony gust założycieli. Położenie geo-

(1) Tomek Geschichte d. St. Prag I p 4.

(2) Daniel Bratkowski w dziele *Świat po części przejrany*, Kraków 1697, Duńczewski w Kalendarzu na r. 1730 powtarzając wyrażenie usułuje go wytłumaczyć.

graficzne przy zbiegu lub pobliżu wielkich rzek: Wisły, Narwi, Bugu, wybornie do utworzenia handlowej osady posługiwały.

Słowem wszystko składa się należyście aby udowodnić jej przedniejsze nad sąsiednimi stanowisko.

Tymczasem posłuchajmy co dotąd mówiono i pisano o początkach Warszawy.

Podanie dotąd między ludem utrzymujące się prawi: jakoby w tém miejscu były przedtém rozległe puszcze w zwierzyne obfite, w których król często polował. Pewnego razu miał zabłąkać się i przymuszony szukać schronienia w lepiance, zastał matkę z nowonarodzonymi bliźniętami. Dobry monarcha trzymał dzieci do chrztu i jedno nazwał *War*, drugie *Sawa*. Nie szczędził potem łask dla ubogiej rodziny, która ze szczodroblowości jego wkrótce wygodniejsze dla siebie miejsce wybrała. Względy doznawane i spływające dostatki sprawiły, że wnet inni koło nich osiadać poczęli i ztąd powstało miasto na pamiątkę owych bliźniąt *War-Sawa* przezwane (1).

W podaniu tém jak w każdym inném jest część prawdy: wskazana miejscowość leśna, pochodzenie nazwiska z tematu osobowego i powstanie odrazu miasta.

Druga gadka ludu głosiła jakoby flisy płynąc z galarami na dół Wisły, tu miewali swoją przystań i do ubogiej kobiety nad brzegiem rzeki mieszkającej, która świeży pokarm dla nich gotować zwykła odzywali się *Warz Ewa*. Ztąd miało powstać nazwisko późniejszej osady *Warszawa* (2).

Ostatni wywód chociaż tkwi w nim temat nieosobowy, jest raczej igraszką słów i na uwagę nie zasługuje.

Podobnie są różne mniemania uczonych. Już w XVI stuleciu piszący Stanisław Sarnicki, założenie Warszawy przyznawał Awarom, dowodów na to szukając w samym brzmieniu wyrazu, i w tém że posady tego plemienia miały według niego znajdować się w tych stronach (3). Hordy Awarów rzeczywiście przebywały w bliskości krajów dawniej Panonii, Morawii i Pieczyngów; lecz czy były kiedy tutaj i w ogóle nad Wisłą niema dotąd żadnego dowodu.

Równie niefortunne jest zdanie znakomitego historyka Lelwela, który w nazwisku Warszawy odgadywał siedzibę Dako Getów (4).

Albertrandy upatrując podobieństwa do miasta Wrocławia, zrobił domysł, że przez sprowadzonych ztamtąd ludzi zbudowana otrzymała nazwisko, jak Wrocław od Wracisława, ta tak od Warsza, który był w r. 1279 kasztelanem krakowskim (5).

(1) Gołębiowskiego opisanie Warszawy 1827 str. 4.

(2) Chmielowski Nowe Ateny 1754, T. II, p. 38.

(3) Descriptio veteris et novae Poloniae 1585 p. 275—335.

(4) Narody na ziemiach słowiańskich p. 484 i 574.

(5) Pamiętnik Warszawski 1809 r. N. 2, p. 249 i N. 10.

Rzeczywiście w najstarszych archiwalnych aktach aż do końca XVI wieku, bardzo często są wymieniane rozmaite osoby, możne i ubogie imienia Warsz. Imię to było starostawiańskie, odpowiadające podobno chrześcijańskiemu Wawrzyńcowi. Miały go także i niewiasty, nosząc pochodzące od niego imiona Warszki i Warszny, tak jak były Zbigniew i Zbichna, Zdzisław i Zdzichna i t. p.

Nakoniec ks. Fr. Kurowski w notatach przygotowywanych do pamiętek Warszawy, które nam przed zgonem szlachetnie darował i użył do niniejszej pracy piśmiennie upoważnił, skrytykowałszy bardzo poważnie i słusznie poprzednie wywody, podał nowy w sposób przekonywający, bo oparty na następnych prawdopodobnych danych.

Historja czeska i polska w XI i XII stuleciu zawiera obszernie szczegóły o głośnej rodzinie czeskiej Werszowców, właściwie Wrszowiców. Byli oni wtedy dla wielu przyczyn stronnikiem Polski i prześladowani w kraju, zmuszeni zostali przeniesić się ostatecznie do Polski za panowania Władysława Hermana. Piszą, o tém Kosmas Pragski i Naruszewicz, zaś Dubrawski (Dubravius) historyk czeski XVI wieku dodaje że z nimi przybyło kilka tysięcy Czechów i osiadłszy nad Wisłą założyli osadę, która im dawną przypominała ojczyznę (1).

Znalazłszy powyższe wiadomości, przytém nazwiska niektórych miejscowości, tudzież imiona osób w dawniejszych wiekach w Warszawie, lub w jej bliskości, jedno brzmiące z czeskiemi, zdało mu się niewątpliwem aby miasto swój początek i miano winne było rzeczonj rodzinie.

Wywód szanownego i zasłużonego męża, mieliśmy i my, przynajemy się otwarcie, ze wszystkich najprawdopodobniejszy. Tém bardziej gdy robiąc dalsze poszukiwania znajdowałem w dawnych aktach częste wzmianki o rodzinach Warszów, później Warszewickich i Warszyckich, którzy posiadali w samém mieście lub w okolicy grunta i włości. I nadto jeszcze, skoro w najnowszj historyi miasta Pragi czeskiej profesora Tomka, trafiłem na osady mające też same nazwiska. Są naprzykład wspólne: Wrszowice (Warszawa), Praha (Praga), Solnic (Solec), Ujezdec (Ujazdów), Skryszow (Skaryszew), Raszyn (Raszyn), Sedlec (Sielce), Rakowic (Rakowiec), Wawrzik (Wawrzyszew), Kamienic Kamienica, (Kamień i Kamionna), Kalenic (Kałęczyn) i t. p. (1) Najdawniejsze kościoły w Pradze Ś-go Jerzego i Ś-go Jana są albo założone albo uposażone przez Werszowców. Pod tymże samym tytułem były i są także najstarsze kościoły warszawskie, któremi niegdyś opiekowali się Warszycy.

(1) Kosmas p. 68, 89, Dubravii Histor Boiemia p. 50, 63, 83, Narusz. Hist. t. II ks. I i 2. t. III. ks. I.

(2) Geschichte d. Stadt Prag. v. Wenzel Wladiwoj Tomek 1 Bd. ob. Register der Orts und Personennamen str. 663.

Tyle łądzących podobieństw, nie dziwnego, czyniły domysł niezmiernie trafny.

Cóż kiedy potem wzięte pod ścisły probierz krytyki historycznej, wszystkie jęj nie wytrzymały, bo nazwisk rodowych w Czechach i Polsce do XVI wieku nieznano, i Werszowce czyli Wrszowice według badań Palackiego nie byli oddzielną rodziną, tylko stronnictwem przodującym w swym kraju (1). Wreszcie co do tożsamości imion własnych, nazwisk miejscowości z tematu osobowego lub rzeczowego, nie mogą one być tutaj żadną podstawą, gdyż nowsze poszukiwania odkryły powszechne ich powtarzanie się jakby echa jakie po całej Słowiańszczyźnie. Służą one co najwięcej, chyba do przekonania, im dawniejsze będą ślady, tém bliższe są swego pokrewieństwa.

Zaczęćm, ponieważ Praga i Warszawa pojawiają się wielokrotnie w różnych oddalonych krajach, uchyla to raz na zawsze myśl, aby początek swój były winne pewnej jakiej osobistości.

Pozostaje tedy jeszcze możliwe dociekanie tej sprawy na śliskiej drodze etymologicznej: czy osada otrzymała nazwisko z tematu osobowego czy rzeczowego?

Biorąc pod rozwagę pierwsze, widzimy wszystkie nazwy miejsc w dawnej Polsce, które pochodzą od imion osób, lub od istot żywoćnych, mają zawsze zakończenie na *ów*, np. Adamów, Bolesławów, Janów, Kraków, Lwów, Mikołajów, Piotrków, Romanów, Stanisławów, Trojanów, Władysławów, Zdziechów i t. p.

Mające przyrostek *owa* wyrażają miejsca do kogoś należące, czyjąś własność stanowiące, np. Częstochowa, Beszowa, Rachowaznaczyło osadę założoną i należącą do jakiegoś Częstocha, Besza, Racha. Zakończone na *we*, np. Balice, Czaplice, Sędzimirowice, zamiast Balicowie, Czaplicowie, Sędzimirowie; wskazują tam jednego założyciela, tu miejsce osiedlin licznych potomków rodziny jednego imienia, to jest: Balice były osadą Baliców, Czaplice, Czapliców, Sędzimirowice, Sędzimirów i t. p.

Gdyby więc nazwisko było pamiątką imienia założycieli Warszów, miałyby miano Warszowa nie Warszawa. Ale dajmy nato, mogła mieć podobne brzmienie, i istotnie tak ją niekiedy pisano. To znowu czy można przypuszczać aby liczne osady miano Warszawy noszące, wszędzie od jednych i tychże samych imion własnych pochodziły? Jeszczeż siedziby ludzkie, ale uroczyska, góry, rzeki i jeziora, które nigdy albo bardzo rzadko mają nazwiska wzięte z tematu osobowego. Znajdujemy bowiem na obszernej przestrzeni, gdzie tylko kiedykolwiek sięgały słowiańskie osady, kilkadziesiąt miast, wsi, przysiołków, uroczysk, gór, rzek, jezior, noszących nazwę Warszaw, Warszawy, Warszawki, Warszawic, Warszowie, Warszochy, Warsowic, Wrszawy, Wrszowic, Warszowek, Warszuli, Warszycy, Warszewy, Warsiny, Warsny, Warsowy i wiele innych tym podobnych nomenklatur.

(1) Geschichte von Boehmen T. I, p. 330, 363 i Monatschrift d. d. vaterland. Museums in Boehmen 1829 p. 25—51.

Są one nietylko w granicach dawnéj Polski i Rusi, jest kilka na Szląsku, w Prusach zachodnich w Czechach i Morawie, na Pomorzu i nad Bałtykiem. Są w Turynii, Meklenburgii, nad brzegami Dunaju, a nawet trzy Warszawy w tych stronach Grecyi, które przed wiekami były przez Słowian osiadłe. Teraźniejsze jezioro Tuchomsee pod Oliwą, wedle świadectwa miejscowych kronikarzy zwało się przed tém Warszną i Botsmanlaken pod Gdańskiem, nosiło miano Warsiwody (1). Rzekę Warszną płynącą w państwie Chazarów wymienia Jbn Fozslian geograf arabski X wieku (2) i t. d.

Co do osad, czy wszędzie są wspomnieniami założycieli siedzib ludzkich, lub oznaczają sposób ich zatrudnienia, wskazują położenie miejscowości, albo wreszcie są przypomnieniem poprze dnięgopochodzenia osiadłych wychodźców, jak to dotąd ma miejsce w Ameryce?

Szukając objaśnienia téj wątpliwości, wypada udać się po wytłumaczenie do filologów wywodzących znaczenie nazwiska od starosłowiańskiego pierwiastku *wrch*, z kąd pochodzą czeskie *Wršice*, polskie *Warszyce*, ruskie *Werchowce*, polskie *Warszew* i imie *Warsz*; z tąd cz. *Wršowice*, pol. *Warszowice*, cz. *Wrchotice*, pol. *Wierzchocin*, cz. i morawskie *Wršawa*, pol. *Warszawa* i *Warszawice*, cz. *wrchostlaw* i *Wrchostlawice* morawskie, *Wierzchosławice* polskie (3).

Z tego samego pierwiastku powstały i ukształciły się wyrazy we wszystkich prawie narzeczach słowiańskich i z niemi spokrewnionych, oznaczające rozmaite moralne i fizyczne przodowanie i wzniesienie. Tu mają źródło serbskie *Vrah*, książę, przodujący, *vrchny*, i ruskie *werchowni* zwierzchnik. Także szczyt, góra, wzgórze; ruskie *werch*, serbskie *verchovit*, góra z wielu szczytami *versanie*, wzniesienie, *werszyna* wierzchołek, *Varh* władza, *versin* naczelny. Z tąd bołgarskie i ruskie *werszit* wyrokować, *werszitel* wykonawca, *wersznik* dachówka. Łowić ryby *warszą* albo *warsę* znaczyło w dawnym języku rybaków warszawskich, węcierzem, którego do dziś dnia Dalmaci, Słoweńcy i Rusiny zowią *warszą* *warsę* i *werszą*. W ogóle wszelkie wzniesienia, wierzchołki gór, oraz miejsca obwarowane, u Serbów, Bośniaków i Słowian południowych zwano *Varsi*, *Wershy*, *Warosze*; u ostatnich *Varosz* znaczy otwarte miasto. W Bośni *Warosz-haza* ratusz, *Var* po węgiersku zamek, *Varoch* miasto, *Werschung* wojować i t. p.

Moglibyśmy jeszcze przytoczyć wiele wyrazów tego samego brzmienia i formy, lecz nie chcemy nudzić czytelnika suchém wylizaniem. Przepraszamy i za tę etymologiczną wycieczkę, którą zrobiliśmy dlatego, gdyż zestawione z sobą zdały się naprowadzać na pewniejszą wskazówkę do wyvodu nazwiska Warszawy, aniżeli imiona własne.

Nakoniec wypada nam jeszcze wymienić udowodnione już spostrzeżenie, że wszystkie starożytne miasta nie nazywają się

(1) Scriptorum rer. Prussic. I 671. 693, IV 731.

(2) Ibn Fozslian's und anderer Araber Berichte v. Fräbn 1823.

(3) Miklosich Die Bildung d. Ortsnamen aus Personennamen im Slavischen. 1864.

imieniem założyciela czy władcy, lecz czerpią swoje nazwiska w ogólniejszych sferach.

Wnioskowacby zatem można posadę wznoszącą się na wzgórzu *wrechu, werchu, warszu*; przodującą sąsiednim, może od pierwotnego swego przeznaczenia obwarowaną stosownie do czasu *waroszą*, która zład nazwisko otrzymała w onój odległej epoce, kiedy język plemienia więcej się zbliżał do wspólnego źródła.

Taki bowiem początek ośmielamy się przyznawać Warszawie, wbrew podaniu i niektórych stronników wiejskiego jój pochodzenia.

Czy była kiedy wsią? Twierdzenie nieraz już wnoszono bez pewnych dowodów.

Pierwszy Albertrandy wywodząc jój początek, utrzymywał jakoby była zrazu wioską Warsewa zwaną, która uiszczają dziesięciny kościołowi w Górze. I na poparcie swego mniemania przeistoczył wyrażenia dyplomatu Bogufała mówiąc: wyraźnie w nim jest nakazano ażeby dziesięcina zbożowa z wioski Warsewy do kościoła Gorskiego oddawaną była. Tymczasem pokazało się że nadanie biskupa brzmi zupełnie inaczej i tyczy się nie Warszawy lecz wsi Warszawice leżącej dotąd o 1/2 mili od Góry (1).

Co wyrzekł Albertrandy powtórzyli w dobrej wierze Łukasz Gołębiowski opisując Warszawę 1827r. i za nim wszyscy. W ostatnich nawet czasach zasłużony wydawca Starożytności Warszawy i szacownych materiałów do historii miasta, znalazłszy nadto dowody archiwalne w oryginalnym dokumencie układów Kazimierza W-go z Krzyżakami, sporządzonego w r. 1339 w Warszawie, w którym delegowani papiescy do téj sprawy, wszędzie ją wsią pisali, i w całym obszernym akcie przytaczając często, w żadnym miejscu nie nazwali miastem (*civitas*) ale tylko zaludnioną osadą (*locum*) albo wsią (*villam*).

Tak poważne świadectwo zdało mu się nieomylném i skłoniło do śmiałego zawyrokowania jakoby jeszcze wsią, do roku 1339 zostawała (2).

I nie byłoby nic do powiedzenia przeciwko wiarogodności rzeczzonego dowodu, gdyby dokument archiwalny nie był w całości z tego samego źródła dokładniej aniżeli w Dogielu wydrukowany w dziele wydaném w r. 1856 przez Tytusa hr. Działyńskiego wraz z innemi tyczącemi się téjże sprawy. Tam przy aktach spisanych przez delegatów papieskich, znajdują się takie same wygotowane ze strony przeciwnój, to jest przez Krzyżaków. I wszędzie znowu równie często wymieniana Warszawa, zawsze jako miasto (*civitas*) (3).

(1) Starożytna Polska I 397.

(2) Wyjaśnienie p. Aleks. Wainerta w Gazecie Polskiej 1871 N 12.

(3) *Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum*, Poznań 1855—1856. 3 tomy. T II p. 16, 24, 27.

Sprzecznosc jednak wyjasnia sie odrazu, skoro tylko dowiemy sie o przyjetym zwyczaju w dyplomacyce papieskiej, ktora tylko stolice dyecezyi biskupich uznawala miastami. Wszystkie za to inne chociazby najznaczniejsze, mianowala osadami, nalezacy do tychze (*in loco dioecesis*), albo prosto znajdujacymi sie w dyecezyi (*in dioecesis*), wreszcie wsiami (*villae*); o czem przekonac sie mozna z licznych bullariuszow wzgledem podobnych miast obcych i z Monumentow Theinera o polskich. W ostatnich Warszawe jeszcze w XVIII wieku nie inaczej tytulowano i rownie Wislice, Zawichost, Wyszogrod, Wschowe, pisano wsiami (1).

Gdyby przeciez powyzsze zrodla nie wystarczaly do ostatecznego rozsazdenia, azali Warszawa w roku 1339 byla wsią, czyli tez miastem znacznm, ludnm i murami juz wtedy opasanm, to usuwa wszelka watpliwosc dalszy ciag teje samej sprawy z Krzyzakami we wspomnianem dziele wydrukowany. W lat 73 albowiem, po pierwszej delegacyi, dwor rzymski wyslal w roku 1422 na zadanie stron inną. Ta przedewszystkiem poczytala sobie za obowiazek wejsc we wszystkie szczegoly tyczące sie poprzedniej. W tym celu wezwala najpowniejszych wiekiem i stanowiskiem swiadkow obeznanych z tokiem pomienionej sprawy, ktorych w ogole bylo 126. I miedzy innymi zadala im nastepne pytania.

Dlaczego w r. 1339 Warszawe a nie inne miasto obrano na miejsce processu? Czy rzeczywiście byla wtedy i przedtem miastem znacznm, ludnm, i ku temu stosownm? (*Item ponit, quod tempore prefate sentencie et processus et ante, Warsachovia fuit et est opidum notabile et populosum et locus insignis etc*).

Do kogo nalezala i od jak dawna obwarowana murami, dawala rekojnie bezpieczenstwa zgromadzenym osobom?

*Item ponit, quod predicto tempore predictae sentencie et processus iudicium predictorum et ante dictus locus fuit et est muro circumdatus tutus et securus etc* (2).

Na tak podane pytania odpowiadalo kilkunastu znakomitych dostojnikow, miedzy innymi biskupi krakowski, poznancki, kujawski i plocki, wojewodowie krakowski, sandomierski i t. p. Zoznali oni jednozgodnie jako Warszawa dobrze im znana byla i jest miastem starozytnm, zdawna murami obwiedzionm i najzupekniej dorzeczonego processu stosownm *Quod Varsovia* (mowi biskup plocki) *fuit et hodie est locus insignis notabilis muro circumdatus et populosus, habens copiam victualium et securus veniendi civilibet libere et sine aliquo impedimento in eundem locum predictum etc*. (p. 203).

Lecz najwiarogodniejsze swiadcstwo pochodzi od biskupa poznanckiego miejscowego pasterza, do ktorego dyecezyi Warszawa nalezala. Byl nim wtedy slawny Andrzej Laskary Gosla-

(1) Monumenta vetera Poloniae. Rzym 1860—1865. 4 t. T I p. 14, 587, 676. T. II p. 42 etc.

(2) Litem T. II p. 99, art. 63, 64 i 66.



wicki, znany dyplomata, często tutaj przebywający. Powtórzył on to samo jeszcze dokładniej. „Warszawa, pisze, będąca w mojej dycezyi dobrze mi znana jest miastem przedniejszém i znaczniejszém od innych w swych stronach. Sądzę także była takim oddawna, tém bardziej gdy to okazuje się ze starożytnych jéj budynków i murów. Jest téż głoś powszechny i wieść słyńie nietylko między tamecznymi mieszkańcami, ale i w całym Królestwie Polskiem, jakoby była miastem znaczném, znakomitém i w tych oddalonych czasach, o których pamięć zagięła (1).

Jeżeli więc podobne zdanie dawali ludzie spótcześni i bliżej 1339 roku, czy można teraz utrzymywać inaczej?

Wsią przeto nie była wtedy a nawet nigdy i na to znowu są dotąd jeszcze dowody na miejscu, przystępne do sprawdzenia.

Wspomnieliśmy już jak wieś w samym rozkładzie swoich gruntów pozostawia po sobie niezatarte ślady. Otóż pracowite i mozolne poszukiwania mapograficzne p. Wilhelma Kolberga nad naturą powierzchni Warszawy i okolic, któremu wiadomość tę winniśmy, wykryły ślady wiejskiego podziału gruntów wszędzie gdzie tylko one istniały. Grunta na Powązkach, Woli, w Ujazdowie, Mokotowie, rozłożone podług dawniejszych inwentarzy i mapp, noszą dotąd na sobie formy pochodzenia gromadzkiego, wspólnego czyli gminowego i trzechpolowego gospodarstwa. Przeciwnie wszystkie znajdujące się na terytoryum Warszawy, są wyraźnie od początku wydzielone w rozmiarach gospodarstw oddzielnych na podobieństwo kolonialnych, wspólności gospodarczej niemających. Odkrycie to najzupełniej odpowiada wiadomości znajdującej się we wszystkich lustracyach i rewizyach od 1564 r. i umieszczonej w projekcie do nowego urządzenia miasta przez komisją dobrego porządku w r. 1782, gdzie podano że Warszawa od swego założenia miała nadlane grunta zawierające rozległości 24<sup>3</sup>/<sub>4</sub> łanów. Te potem lubo na różne części różnemi sposobami porozrywane, zamykały ją zawsze we wspomnianej granicy (2). Rzeczne łany czyli włóki aczkolwiek teraz na ulice zajęte i zabudowane, dotąd odznaczyć się dadzą. Ciągnęły się one wszystkie równolegle ku Woli i tam kończyły, położeniem swém, ilością, i urządzeniem i stanem przekonywając, że nigdy w skład wsi nie wchodziły.

(1) Quod locus ille nominatus in articulo est in dioecesi sua. Et scit ipse quod locus ille notabilis est et insignis et notabilis opidum quolibet alio in illis partibus, habens collegium canonicorum et credit sic fuisse ab antiquo locum insignem. Et hoc maxime quia sic apparet ex edificolis et muris antiquis. Et quia publica vox et fama est et communis reputatio inter Incolas illarum parcium et eciam in Regno Polonie, quod dictus locus fuit insignis et notabilis per tantum tempus cuius memoria non existit (Lites p. 125).

(2) Rewizye Województwa Mazow. z r. 1564 N. 118. Arch. b. Kom. Skarbu. Lustracye drukowane w Starożytn. Warszawy, Wajnerta T. VI p. 121. Ustanowienie ordynacyi miasta Staréj i Nowéj Warsz. Akta Kom. Bon. ord. drukowane w Zabytkach sądowych Wejnerta T. III p 24.

Zresztą sądzymy przytoczone powody dostatecznymi, aby raz na zawsze rozstać się z myślą wiejskiego początku Warszawy.

Co innego jeżeli zechcemy się dowiedzieć o pierwotnym jej znaczeniu. Bezwątpienia długo musiała zajmować podrzędne stanowisko, gdyż istniała od niepamiętnych wieków ziemia Czerska, właściwie Czynska, (od pierwiastku *czrn*), będąca niegdyś udzielnym i potężnym państwem, pod którym i Warszawa zostawała. Ztąd zwierzchnictwo i władza aż do XIV stulecia były przy Czersku.

Gdzie zaś starszeństwo, tam stolica, lubo koleje bywają niekiedy zmienne.

Według miejscowego podania, miasto Czersk było już wspaniałe, ludne i zamożne, kiedy Warszawa miała być jeszcze małym miasteczkiem. Jeszcze dotąd pierwsza zamieniona teraz na wiejską osadę przechowuje pamięć tej świetnej przeszłości i podupadli mieszkańcy z dumą opowiadają jak niegdyś pogorzali mieszczanie warszawscy przysłali prosić zamożnych obywateli Czerska o wspomóżenie w nieszczęściu obiecując kiedy się odwzajemnić (1).

Ponieważ w organizacyi przedhistorycznego Mazowsza ziemie dzieliły się na większe i mniejsze, trwały nie stale i nosiły nazwiska czasem ziemi, to znowu obwodów lub powiatów; Warszawa snadź z początku przodowała małej przestrzeni stanowiącej powiat, starożytny Ujazd, tak zwany zwykle w okolicach leśnych, którego ślad mamy dotąd w nazwisku Ujazdowa (2). Granice jego rozciągały się i obejmowały odwieczne wsie Jazdowo, Wawrzyszewo, Mostki, później Powązki i Młociny. Są one bowiem zawsze razem wyliczane w przywilejach z XIV i XV wieku, kiedy panujący wypuszczał je w dzierżawę mieszczanom 1379 r. lub w tymże obrębie ustanawiał granice Wójtostwa Warszawskiego, 1408 r. Weszły te wsie później w skład tutejszego starostwa i ztąd zapewne pochodziła oznaczona rozciągłość władzy starościńskiej i marszałkowskiej na około miasta.

W tém położeniu rzeczy nadeszła nowa cywilizacya, religia chrześcijańska jak wiadomo dla gruntowniejszego ustalenia zastosowała się wszędzie do poprzednich urządzeń krajowych. Narody dzielono na biskupstwa, ziemie na archidyaconaty, resztę na dekanaty i parafie. Historycy téż utrzymują jakoby pierwotna Polska stanowiła najprzód jedno tylko biskupstwo, jego zaś archidyaconatami były głównejsze podziaty kraju które następnie rozdzielano. Tém pierwszém biskupstwem miało być od roku 958 poznańskie, obejmujące wszystkie uorganizowane wtedy ziemie. Gdy

(1) Gawarecki w Kalend. polit. na r. 1835. Opis Czerska.

(2) In silva ultra provinciam Sedlec ambitum quod slavonicae Ujezd dicitur, mówi. dyplomata z r. 1165 w kodex. dypl. Morawskim Boczka N 801 i 829.

potém wykrojono z niego inne dyecezye, samoistna ziemia czyli księstwo Czerskie po obu stronach Wisły szeroko niegdyś rozciągające się, z własnej woli lub z innej przyczyny przy nióm pozostała. Stanowiła osobny archidyakoniat czerski, który po roku 1406 został Warszawskim.

Powód ten objaśnia geograficzną nierówność pomienionego biskupstwa, mającego aż do końca zeszłego wieku jeden oderwany archidyakoniat na Mazowszu, kiedy po drodze z Poznania nad Wisłą leżały biskupstwa kujawskie i płockie a nawet drogę tę przegradzało arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

Jest on téż zarazem jednym z dowodów znajdowania się wtedy Warszawy, która na samym lewym brzegu Wisły położona, wchodziła właśnie w skład dyecezyi poznańskiej, aż do utworzenia oddzielnego biskupstwa w 1798 roku. Tym czasem tuż naprzeciwku, na prawym brzegu, wyraźnie późniejsza Praga, aczkolwiek należąca także do ziemi czerskiej, zaczynała dyecezyę płocką.

Czyżby obejmowano pustą nie zaludnioną stronę i wcielano do pierwszej dyecezyi w kraju?

A że taką nie była, przywiedliśmy dowody bezspornych śladów siedzib ludzkich przed chrześcijaństwem.

Nadto są także podania i niektóre dane odnoszące się do téj właśnie epoki.

Wiadomo z historyi jak wszędzie prawie tak i w dawnéj Polsce pierwsze kościoły przy zaprowadzeniu chrześcijaństwa nosiły tytuł Ś. Jerzego patrona rycerzy. I pierwszy kościół parafialny w Warszawie był pod wezwaniem tego świętego. Stał w tém miejscu gdzie teraz jest posiadłość pod nr. 1766, przy ulicy zjazd Świętojurską zwanéj. Parafią zarządzali księża kanonicy regularni, podobnież pierwsi w kraju zakonnicy przez Mieczysława I wprowadzeni. Byli oni aż do naszych czasów pod zwierzchnictwem opactwa czerwińskiego założonego w r. 1060 i usadowieni tutaj od niepamiętnych wieków. Urzędowa albowiem wizyta odbyta w roku 1548 przez ks. Pawła Lipskiego opata, opisuje że według istniejących wtedy dowodów, kościół stał już w tém miejscu i należał do zakonu w r. 1133 a zatém był jeszcze dawniejszym (1).

Położenie jego za murami Warszawy (*extra muros Varsoviae*) bo tak go zawsze w najdawniejszych aktach czerwińskiego klasztoru tytułowano, a nie wewnątrz tychże, objaśniły można jedynie podaniem o innej pierwotnej posadzie miasta, kiedy był budowany. Inaczéj trudno zrozumieć dla czego najstarsza świątynia chrześcijańska i pierwsza parafia znajdowała się opodal od środka głównej osady i była nieobjęta w jej obwód obronny (2).

W innych znowu aktach klasztornych zapisana jest wiadomość o ks. Augustyanach, pełniących obowiązki w r. 1212 kape-

(1) Akta b. Kom. Spr. W. i Duch.

(2) Dyplomatarjusz Opactwa w Bibl. Ord. Zamoyskich.

lanów Książąt Mazowieckich przy tutejszej kaplicy zamkowej (1). Z téj znowu powstał łączący się z nim zawsze kościół Ś-go Jana, zamieniony następnie na główną parafję, zapewne przy rozszerzeniu miasta lub po przeniesieniu na dogodniejsze miejsce. Że zaś kanoników regularnych mających ustawę Ś-go Augustyna zwano dawniej Augustyanami, ostatnie zatem podanie zgadza się z istniejącym już poprzednio klasztorem Ś-go Jerzego. Potwierdzałoby także zamieszkanie tutaj księcia Konrada I-go panującego udzielnie na Mazowszu, któremu przyznawano wzniesienie zamku i zabudowanie miasta. Nie byłoby przeciwne i historyi opisującej wyprawę jego wojenne prowadzone z pogańską Litwą i Prusakami, kiedy ci w srogich napadach w latach 1217 i 1222, przebiegłszy z ogniem i mieczem całe Mazowsze, w popiół i perzynę wszystko obrócili; samych kościołów i kaplic 250 złupili i spalili (2). Było więc państwo Konrada dobrze osiadłe i zabudowane i Warszawa mogła wtedy uleść zniszczeniu.

Jakoż są podania o kilkakrotnych napadach Litwinów i spaleniu jég w témże stuleciu. Zdarzyło się to jeszcze w r. 1250, kiedy kościół parafialny Ś-go Jana odbudowany, w jedenaście lat potem pogorzał, co przypada za rządów Ziemowita I w r. 1261 (3).

Zresztą milczą podania i dyplomata, tém bardziej kronikarze i historycy.

Snadź ani ludnością swoją, ani znaczeniem w narodzie, ani téż nareszcie ważném w niég samég lub jég okolicach zaszkém zdarzeniem, nie zwracała na siebie uwagi.

Wprawdzie Bartosz Paprocki heraldyk XVI wieku, przywoździ przywileje Konrada I podpisane w Warszawie w latach 1224 i 1241. Cóż kiedy się pokazało że piérwszy wydany został w Czersku, jak przekonywa oryginał w prywatnym ręku i cztery odpisy tegoż znajdujące się w archiwum główném w Warszawie. Drugi dotąd nieodkryty, zapewne będzie tegoż samego pochodzenia.

Natomiast głośnie są w kronikach polskich i ruskich wypadki w Ujazdowie, historycznie udowodnione, kiedy w roku 1262 mieszkającego tam księcia Ziemowita syna tegoż Konrada, w przeddzień Ś-go Jana Chrzciciela napadli Litwini i Rusini i mszcząc się za przychylny jego stosunki z Krzyżakami, głowę ścięli, syna zaś jego Konrada do niewoli zabrali (4).

Podobne napady na Mazowszu niemal co rok się zdarzały. Niszczyli oni w najśrodszy sposób najbliższe okolice, mianowicie w latach 1263, 1264, 1268, 1269 i 1277; według opisu kronikarzy.

(1) Kronika klasztoru OO. Augustyanów ks. Alipiego Niedzielskiego w rękopiśmie.

(2) Duisburg kronika C. II p. 193. Scriptor r. Prussie I p. 34.

(3) Kurowski o kościele Ś-go Jana, 1841 p. 8.

(4) Latopis Ipatiewski str. 200, Długosz I p. 766 i w i.

Powtórnie w czasie nieporozumień między Konradem i Bolesławem, synami tegoż Ziemowita, występuje znowu sam tylko Ujazdów w r. 1283. Który to wypadek najobszerniej opowiada latopisiec Hypacowski. Tą razą jednak zdaje się przez omyłkę wziął Warszawę za Ujazdów, pisze bowiem w następnych słowach:

„Bolesław wsparty posiłkami Leszka i Władysława zgromadziwszy wojowników, poszedł przeciwko swemu bratu Konradowi do miasta Jazdowa. Lecz Konrad tam się nie znajdował, przystąpili więc i zdobyli je. Prawo zaś było takie u Lachów, aby czeladzi i sług nie imać, ani nie zabijać, lecz złupić. Zajawszy tedy miasto zabrali ztamtąd wiele towaru i mieszkańców złupili. Nie darował tego Konrad, i ze swój strony szukał pomocy u kniazia Włodzimierza ruskiego swego krewnego. Otrzymawszy ją zemścił się nad Bolesławem i obległszy ulubione jego miasto Gostynin, zdobył go, złupił, spalił i ludzi wyciął. Późem zadowolony wrócił z ciężą wielką do swego miasta Jazdowa, włożył na skronie wieniec zwycięzki zrzuciwszy z siebie hańbę za przyczyną brata swego Włodzimierza (1).”

Widocznie mowa o Warszawie, nie o wsi Ujazdowie, która wtedy i przedtém nie była miastem, chociaż miała dwór książęcy.

W ślad za tém idą, znane dyplomata tegoż księcia Konrada z których jeden z r. 1288 czyli we trzy lata po opisanym wypadku, datowany jest we dworze w Jazdowie (*in curia nostra Jazdowo*) (2). W drugim zaraz następnego 1289 roku wydanym w Błoniu, oznaczone jego położenie w obwodzie warszawskim (*in districtu Warszaviensi*) (3). Dalej w sześć lat późniejszym dyplomacie roku 1295 jego brata księcia Bolesława wymieniona już ziemia Warszawska (*terra Warsoviensi*) (4).

Skoro tedy jest obwód, potem ziemia, to musiało być jedną i drugą naczelną miejscowość. Gdzie bowiem ziemia, tam koniecznie znajdował się zamek, *castrum*, albo gród, *castellum*, które zawsze dopiero od nich nazwisko swoje przyjmowały (5). Są to pewniki udowodnione już przez historję.

Suche te napozór daty pokazują, także wyraźnie organizowanie się podziałów miejscowej przestrzeni z mniejszją na większe, kiedy z Ujazdu Warszawskiego zwanego po łacinie obwodem (*districtus*) wzrasta ziemia (*terra*) objawiająca już wyższy wyrób społeczny. Nadto ostatni dyplomata posuwa wyżej o lat kilkanaście zjawienie się ziemi Warszawskiej, która miała być oddzieloną od ziemi Czerskiej dopiero w r. 1313, czyli po śmierci tegoż księcia Bolesława, jak dotąd utrzymywano. Tymczasem

(1) Połnoje sobranie Lietop I p. 200, 209 i 210.

(2) Kodeks Rzyszcz. I 129 i kodeks Czerwiński 79 i 80.

(3) Kodeks Mazowiecki Lubomirskiego p. 30 i Czerwiński p. 81, 83.

(4) Kod. Mazow. p. 31.

(5) Lelewel. Polska wieków średnich T. II 458—462.

znajdujemy ją za jego życia i być może przy dalszych poszukiwaniach odkryją się jeszcze wcześniejsze ślady.

O tym księciu i jego następcach historia ma już wiele do powiedzenia. Gdy umarł Bolesław, jeden z najznakomitszych Piastów swego czasu, trzej synowie jego podzielili się spadkiem ojcowskim. Średni Trojden syn Zofii córki Trojdena W. Ks. Litewskiego, otrzymał na swoją część ziemię Czerską i Rawską, po lewej stronie Wisły, zaś Liwską z prawej. Według nowszych badaczy wtedy dopiero miał polubić Warszawę mały gród kasztelański i podnieść na znaczniejsze miasto zabudowaniami, tudzież troskliwą opieką. Książę sam rad zamieszkiwał w Warszawie na ustroniu, gdy się uwolnił od spraw publicznych. Przywileje swoje w niej datował, chociaż stolicę miał po dawnemu w Czersku, o którym też pamiętał, bo i państwo jego zawsze nazywało się Czerskiem.

Warszawa przez to wygrała w łasce księżęcia że leżała obok Ujazdowa, starego historycznego zamku jego przodków. Książę Bolesław wymurował w niej mały kościół parafialny Ś-go Jana. Trojden dwór swój murem opasał dla większego bezpieczeństwa od Litwy. Zresztą całą swoją świetną przyszłość winna Warszawa Trojdenowi. Stroił ją całe swoje życie, podnosił tak dalece, że w lat kilkanaście tego ciągłego wzrostu, miała wiele domów i wszystkie wygody życia, dwór książęcy oraz wszelkie bezpieczeństwo. Długosz mówi już o Trojdenowém mieście *Warschovia tuto loco posita* (1).

Jest w tym obrazie część prawdy, ale niezupełna, gdyż ziemia i miasto pokazały się dawniejszemi. Gród także wskazują nierównie wcześniej wymienieni w dyplomatach grododzierzcy czyli kasztelanowie pod rokiem 1307 i najpewniej w r. 1321 (2). Przytém miasto ma już pewną organizację europejską, zachodnią, gdyż obok tych dostojników znajdujemy podpisanego Bartłomieja Wojta Warszawskiego. Z którym to urzędem wychylają się najstarsze urzędzenia na prawie niemieckim, sięgające pierwszej połowy XIII stulecia; o czém w następnym rozdziale mówić zamierzamy.

Wójt Bartłomiej jest postacią dotąd mało znaną. Był to mąż powagi i nauki niepospolitój, sławny nie tylko w kraju ale i w obczyźnie. Władza jego rozciągała się w mieście i okręgu, gdzie bezpośrednio zastępował panującego. Był też dostojnikiem nie tylko we wspomnianym obrębie, ale i w całym państwie, uważanym na równi z innemi. Ztąd widzimy jego imię podpisywane na dyplomatach różnej treści, w liczbie świadków, doradców i dygnitarzy księcia Trojdena. Wreszcie później obok pierwszego

(1) Jul. Bartoszewicz o Trojdenie w Encykl. Powsz. Orgelbr. T. XXV str. 563.

(2) Kodeks Mazowiecki str. 48, 49, 191.

tytułu dodano godność kasztelana Czerskiego (1). Tak wysokie osobiste jego stanowisko nie może więc być z pierwszym lepszym wójtem wiejskim porównywane.

O nauce i poważaniu Bartłomieja możemy ztąd brać miarę: kiedy w roku 1339 przed papieżem Benedyktem XII wytoczona została wspomniana wyżej sprawa między królem Kazimierzem W. i Krzyżakami o ziemię chełmińską i dobrzyńską, Warszawę zaś wybrano na miejsce do odbywania sądu, czy to z powodu wpływu księcia Trojdena, czy jako będącą najbliższą posiadłości krzyżackich i spornych. Proces trwający jedenaście miesięcy, prowadzony przez rzymskich, polskich i krzyżackich komisarzy, rozpoczął się i po większej części odbywał w domu wójta Bartłomieja.

Krzyżacy podobnież może w skutek poprzednich dobrych stosunków, mieli w nim zaufanie, gdyż jemu obronę sprawy ze swój strony i całkowite pełnomocnictwo powierzyli. Wynikało to zapewne z miejscowego zwierzchnictwa; lecz skoro wszystkie prawie obu stron akta były w jego domu sporządzane, już tém samém okazuje się jaką miał wziętość i udział w tej sprawie.

W owych aktach, mianowicie w zeznaniach i wyroku delegowanych mamy także najdawniejszy opis Warszawy. Legaci apostołscy Gothard de Carceribus i Piotr Gerwazy kanonik d'Anneey zeznają: jako miasto było piękne i dla nich dogodne, z tego zwłaszcza, bo książę Mazowiecki z licznym dworem ciągle tam prze-mieszkiwał. Tu sądy duchowne i świeckie odbywały się i mieszkańcy byli bezpieczni jako w miejscu murami dokoła opasaném, i sprawiedliwością słynném. Posiadało wiele domów do umieszczenia wygodnego przybywających, któremu nie zbywało na dostatkach wszelakich. Dalej są wzmianki o kościele parafialnym Ś-go Jana i o Stefanie jego plebanie, oraz o Janie kaznodzieju wikarym Warszawskim *Johanne predicatore vicario*. Drugiej plebanii Ś-go Jerzego i jój plebanie którym był Jan z Kalisza (*Johanne de Kaliz Plebano S-o Georgii in Warschovia*). Są przytoczeni Hanko magister szkoły (*Hancone magistro scole*), Franko dawniejszy rektor tejże (*Francone antiquo rectore scole*), Mirko podwójci (*Mircone vice advocato*), Hanko kapelan wójta (*Hancone capellano advocati*), i Jan pisarz tegoż (*Johanne scriptore advocati*), Kunad i Mikołajzłotnik mieszczanie (*Cunado, Nicolao aurifabro civibus*) itd.

Sam akt sprawiedliwości zaczął się dnia 4 lutego 1339 roku i gdy wezwani Krzyżacy nie staneli, zaocznie z nimi postępowano.

Wielkie życie odznaczyło wtedy Warszawę, zjechali się tutaj dostojni świadkowie, między innymi, dwaj książęta panujący Kazimierz kujawski i Leszek Inowrocławski. Byli miejscowy biskup poznański Jan z Kępy Łodzia, sławny poeta, biskup krakowski Jan Grot, i arcybiskup gnieźnieński Janisław. Dalej znajdowało się pięciu wojewodów i pięciu kasztelanów, wielu zna-

(1) Kodeks Mazow. 49, 53.

cznych urzędników ziemskich, prałatów i opatów, szlachty bogatęj i celniejszych świadków liczono 45. Dnia 6 września ogłoszony był wyrok, ku czemu umyślnie zjechali się i zeszedli wszyscy obecni i powołani do kościoła Ś-go Jana (1).

Więc stolica Trojdena to już nie byle jaka mała osada, ani wioska.

I w handlowym świecie nie mało także wtedy znaczyła, gdy ją pod tym względem uważano na równi z Krakowem, jak o tém przekonywa dyplomata królowej Jadwigi wdowy po Władysławie Łokietku, wydany w tymże 1339 roku, upoważniający niejakiego Pawła Benedykta Węgra, do założenia nowej osady i pobierania cła, jako położonej na drodze handlowej, prowadzonej do Węgier z miast Warszawy i Krakowa (2).

Taki był stan miasta na początku XIV wieku. Po zgonie Trojdena 1341 roku, syn jego Kazimierz objąwszy rządy podniósł jeszcze powagę i znaczenie ziemi i zarazem jęj głównej stolicy. Gdy inni poprzednio panujący nazwiska jęj nie używali, on pierwszy pisał się odtąd księciem Warszawskim. Mieszkał stale, ustanowił stolicą swych wszystkich posiadłości, urządził dwór i zamek przebudował.

Wtedy Czersk zaczął iść osobno, a ziemia Warszawska oddzielnie od państwa Czerskiego stanowiła już odrębną całość. Cecha tęj nowej formacyi na Mazowszu przebija się nie w samym tytule księcia, nie w jego samodzielności i postanowieniu, ale w życiu okolicy, powiatu i księstwa. Za księcia Kazimierza zjawiają się w dyplomatach tutejsze urzędy ziemskie.

Nie dobra więc wola panującego ale życie, potrzeba, historia, utworzyła ziemię, która przedtęm jako część składowa oddawna istniała. Znajdujemy teraz w ziemi Warszawskiej oprócz dawniejszych kasztelanów, innych urzędników: stolnika, cześnika, podczaszego skarbnika i podskarbiego, łowczego i wojskiego. Jest sędzia, podsedek i prokurator, z którego powstał starosta, wskazujących urządzenie jednocześnie całego osobnego sądownictwa. Jest kanclerz i pisarz dworski oraz wielu innych dostojników księstwa (3).

Państwo posiada trzy ziemie: Warszawską główną, Sochaczewską i Wizką. Dwór książęcy jednak nazywa się warszawskim, chociaż ustanowiony dla trzech ziem, nie dla jednęj. Książę ma w Warszawie zamek i osobny dwór *Castrum et curiam*, jak wyraża nadanie czyli raczję potwierdzenie w Warszawie 1350 r. przywilejów dla dóbr kościoła poznańskiego. Zamek widocznie dawniejszy, bo w tymże samym dyplomie zobowiązano obdarować

(1) Lites etc. T. I str. 16, 23, 27, 66, 332.

(2) Kodeks dypl. pol. Bartoszewicza T. III str. 202.

(3) Kodeks dypl. W. pol. str. 120 i kodeks pol. Rzyszcz. T. I 194 i 209.



wanych do przebudowania i pomagania innym, według dawnego zwyczaju (1).

W lat kilka potem, oddzielność ziemi uznana została i przez zwierzchnią władzę. Nastąpiło to po śmierci Kazimierza 1354 r., kiedy brat jego Ziemowit III ostatni raz połączył w jedną całość wszystkie pojedyncze państwa mazowieckie, i jako lennik Polski składał hołd w Kaliszu. Wtedy król osobnym dyplomatem nadał jemu urzędownie ziemię Warszawską z jej powiatami i grodami, które stanowiły razem ówczesne księstwo (2 grudnia 1353 roku) (2).

Lecz w roku 1379 Ziemowit podzielił znowu Mazowsze pomiędzy trzech synów swoich: Janusza, Ziemowita i Henryka. Pierwszemu oddał ziemię Czerską, Warszawską, Liwską, Zakroczymską, Wyszogrodzką i Ciechanowską. Drugi brał ziemię Płocką, Gostyńską, Sochaczewską, Rawską i Płońską. Nakoniec najmłodszy przeznaczony do stanu duchownego, otrzymał biskupstwo płockie. Z podziału tego który nastąpił w Płocku w stolicy całego Mazowsza, widzimy że nie rozgraniczając się Wisłą Janusz wziął połowę wschodnią, Ziemowit zachodnią kraju. Ziemia Wisła zastawiona była Krzyżakom i o nią później umawiali się bracia (w roku 1382), że w razie wykupu oznaczają w tej stronie granicę (3).

Skutkiem tego podziału nastąpiła dla Warszawy epoka najświetniejsza. Książę Janusz tak upodobał sobie miasto, że kiedy jeszcze ojciec rozdawał synom swoim ziemie na dzierżawy, w tej wschodniej stronie Mazowsza, wybrał sobie Warszawę, Ziemowitowi ustępując Czerską.

Wziąwszy teraz na barki swoje ciężar rządów udzielnych, nie w Czersku ale w Warszawie urządził stolicę i odtąd cała połowa ziem mazowieckich przestała nosić nazwisko Czerskiej i natomiast jest Warszawską. Książę zacięra nawet pomiatki starożytne Czerska, żeby to pierwszeństwo grodu ukochanego utrwalić na zawsze. Powiększa sobie znacznie zamek, przenosi z tamtąd kolegiatę do „ludniejszego już i zamożniejszego miasta, (*locum populosum*) do którego się tłum ludzi schodzi, nie tylko rodaków, ale i cudzoziemców, jako do miejsca dogodniejszego“. Nadaje kościołowi dobra i hojnie swobodami uposaża (4).

Najmędrzy i najznakomitszy z książąt swego wieku, jak powiada o nim Długosz, rządząc przez lat 47, szczególnie zajmował

(1) Item volumus, ut praedicti incolae solummodo ad reaedificationem castrum in Warschovia cum aliis militibus secundum consuetudinem nostrorum militum teneantur, (Kodeks Wpol. Razyński. str. 119, 120).

(2) Kodeks Mazowiecki str. 69.

(3) Kodeks Mazow. str. 91 i 97.

(4) Erekoja kolegiaty ustanowionej w r. 1402, potwierdzonej 1406 w Archiwum Kapituły w oryginale; różniąca się od tłumaczenia w dziełku ks. Kurowskiego *Wiadomość hist. o kościele Ś-go Jana* str. 13.

się dobrem Warszawy. Wszystko też co przez długie wieki tutaj trwało, i w części jeszcze istnieje, jemu zawdzięcza.

Księstwo było wtedy najrozleglejsze na Mazowszu i liczniej niż gdzie indziej znajdowały się tu miasta. Ściągał on do nich ludność pod swoje berło, zacném panowaniem. Opiekę dawał zarówno ludziom i zgromadzeniom. Nadawał miastom prawo niemieckie, przyzwyczajał do samorządu; inne podnosił zamieniając z wiosek.

Nie było ani jednego któremuby nie dał jakichś przywilejów, jakich swobód, więc i stolica podniosła się najbardziej. Położona w samym środku księstwa, szybko wciągnęła do siebie stare przedtém oddzielne osady wiejskie: Kałęczyn, Kałęczynek, Solec, i inne. Płynęła podówczas w północnej stronie Warszawy rzeka Dżansna czyli Drna, o której poprzednio mówiliśmy. Pod nią osiadło na dawniej posadzone nowe miasto, któremu także swobód nie szczędził odróżniając zupełnie od starego miasta.

Książę Janusz był wielkim kolonizatorem swego państwa. Nadał on szlachcie wiele pustej ziemi, osadził dużo nowych włości, założył mnóstwo parafii i pobudował kościołów, miasta zaś w duchu ówczesnego postępu urządził.

Jeżeli nie sam bezpośrednio wpływał na te szczegóły zagospodarowania Mazowsza, zawsze ożywiał i podawał wszystkiemu chętną rękę, dzieląc się ze szlachtą i duchowieństwem ziemią i lasami; z mieszczanami posiadanymi prawami, czém kraj zaludniał i oświatę rozszerzał.

Wprawdzie rozwijając obszerne stanowe swobody, starał się zarazem o utrzymanie poprzedniej równowagi, między stanami, duchowieństwem, szlachtą, mieszczanami i włościanami. Nie mógł jednakże wszystkiemu poradzić, gdyż duchowieństwo, którego powagę chciał umniejszyć, i szlachta tak jak gdzieindziej brały górę i wyzwoleone miasta odosobniały się od reszty kraju.

W postępie tym Warszawa najznaczniejszą za jego panowania odegrała rolę, korzystając z dobrej woli księcia i swego położenia, otrzymywała zwolna coraz większe swobody, które w miarę pomnażającej się zamożności mieszkańców zbliżały ją do samorządu.

Używała oddawna prawa niemieckiego częściowo z władzą wójtowską zaprowadzonego. Lecz to podług pierwotnego zwyczaju pozostawiało miasto jeszcze na umowie czyli kontrakcie i zależności tej nigdzie łatwo się nie pozbywano.

Podobnie książę Janusz praw swoich nie odrazu odstępował i powoli, stopniowo udzielał przywileje już to pojedynczo, już w ogóle do pewnego czasu ograniczane. Zanim przyszło do wydania lokacyjnego, który właściwie zaprowadzał dopiero w zupełności prawo niemieckie, ustalał miasto i samorząd powierzał.

Przywilej lokacyjny był niejako ustawą zasadniczą i służył też za podstawę do wszystkich następnych tutaj urządzeń, na nim zawsze opierających się aż do ostatecznego zniesienia samorządu, w końcu zeszłego stulecia.

# AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGJENTYŃSKIEJ

p. D. José Marmol.

*Przekład z oryginału hiszpańskiego.*

(Dalszy ciąg)

---

(CZĘŚĆ PIĄTA).

VII.

B a l l e n e r a.

Noc była mglista lecz ciepła, rzeka spokojna, powiew świeży lecz łagodny z lekka potrącał wód fale, które przyplywem wezbra-  
ne, okrywały sterczące głazy na brzegu i rozlewały się bez szeles-  
tu po wilgotnym piasku. Za ledwie niekiedy błysnęła gdzieś  
gwiazdka wśród szarych oślon niebieskiego stropu.

O godzinie dziewiątej tego wieczora, wpośród statków bloku-  
jących, od boku jednej korwety odczepiła się łódź, na której wy-  
płynął młody oficer francuzki, sternik i ośmiu majtków.

Z wydętym w kłęb żaglem *ballenera* pomykała lekko i wdzię-  
cznie, rzekłbyś nocne widziadło w powietrzu podmuchem niesione.  
Młody oficer rozciągnięty niedbale na ławie w tyle łodzi, od czasu  
do czasu pochylał się i spoglądał na małą mapkę rozłożoną u jego  
nóg, to rzucał okiem na ustawioną na mapce bussole, a potem nie  
mówiąc ani słowa, ręką wskazywał kierunek jaki łodzi miał nadać  
sternik stojący u rudła. Przy mapce stała latarka, a światło jej  
pozwalało widzieć karabiny majtków poukładane na dnie w poprzek  
*ballenery*.

Płynęli tak z godziny. Oficer spojrzął na zegarek, baczniejsz przypatrzył się igielce, mapce i kierunkowi łodzi, poczem kazał zwinąć żagiel i wiosłami posunąć się dalej, a latarkę schował pod ławę. Górna część wiosel obwinięta była żaglowem płótnem, i zaledwie słychać było lekki plusk wody.

Światła z miasta zniknęły już zupełnie z przed oczu, a na lewo zaledwie dostrzedz można było czarne niepewne brzegów kształty. Pobrzeże wydawało się coraz to wyższe w miarę posuwania się łodzi szybszego od popychania wiosel, niż wprzód pod pędem żagla.

W końcu na skinienie oficera *ballenera* zwróciła się bokiem do brzegu, majtkowie zaledwie końcem wiosel powierzchni fal dotykali, i statek utracił o połowę chyżości swego biegu.

Wtenczas młody oficer usiadłszy podniósł latarkę, z uwagą obejrzał bussolę i wskazówki na mapce, i podniósł rękę nie odwracając oczu od planu i igły.

Majtkowie naraz zatoczyli wiosłami, i łódź stanęła jakby wrosła w wodę, wśród ciszy i ciemności. Oficer wziął latarkę między dwa kapelusze, tak, że światło padało w prostę linię nie rozchodząc się na strony, wstał i podniósł ją do wysokości swojej głowy zwracając światłem ku brzegom.

Stał tak kilka minut, a wszyscy upatrywali na lądzie odpowiedzi na ten tajemniczy telegraf: lecz napróżno. Oficer pokręcił głową, schował latarkę jak wprzód, i kazał płynąć.

W pięć minut odbyła się też sama czynność, z takimi ostrożnościami i z najlepszym skutkiem. Oficer już nieco zniecierpliwiony, znów badał mapkę, i przekonawszy się że był w stronie i na drodze wytkniętej na planie, kazał się posunąć nieco bliżej wzdłuż lądu żeby wyjść za wydmę zasłaniającą dalszy brzeg w tém miejscu.

W rzeczy samej niedługo łódź ominęła mały cypel i o parę staj od poprzedniej stacyi, telegraf w rękę oficera znowu posyłał sygnały.

Nie przeszła minuta odkąd ten tajemniczy promyk dobiegał do lądu, kiedy na najbliższej wydmie błysnęło światełko żywsze niż sygnał które mu odpowiadało: znać od strony lądu nie zdawała się potrzebną taka przeczność jaka towarzyszyła sygnałom na wodzie.

— Otóż jest—szepnęli wszyscy w łodzi tak cicho, że ledwie jeden drugiego słyszał.

Latarka podniosła się w górę i zniżyła po dwakroć w rękę oficera, a światło na lądzie zagasło natychmiast. Była już godzina jedenasta.

## II.

Około siódmej tegoż samego wieczora toczył się powóz przez plac *25 maja*, zjechał na Padół, i szybko posuwał się gościńcem w stronę północną.

Nie długo dwóch jeźdźców zbliżyło się na spotkanie powozu, i za nim o kilka kroków dalszą odbywali drogę.

W powozie siedziały dwie kobiety: jedna z nich z twarzą bladą i zwiędłą, nacechowaną suchotami duszy, które w krótszym czasie większe zrzadzają spustoszenie aniżeli cierpienia organów najdotkliwsze; a obok niej druga śliczna jak zorza poranna, czysta i delikatna jak wiosenny puszek. Obie te kobiety przedstawiały najdoskonalsze typy z lat pomiędzy 1820 a 1830. Bowiern generacya która się w czasach trwania rewolucyi rozwinęła, tak w płci męskiej jak niewieściej, pod względem moralnym równie jak fizycznym, miała swoje właściwe piętno, które się zatraciło z ową epoką. Przyjrzenie się temu zjawisku byłoby ciekawem, lecz zbyt dla nas długim; to tylko dodamy, iż tego typu kobiety pozostały nam tylko na portretach i w tradycyi.

Od czasu do czasu spuszczało się okno w powozie, błysnęła w niem wdzięczna główka, a już jeden z jeźdźców był przy stopniu powozu; zamieniały się krótkie, czułe zapytania i czulsze jeszcze lecz długie spojżenia.

W jednéj z chwil kiedy okno było zamknięte, a jeździec postępował obok towarzysza, przysunął się do niego z koniem i kładąc mu dłoń na ramieniu rzekł:

— Mamże ci zrobić wyznanie, którego rumieniłyby się każdy inny?

— Czy może to żeś zakochany? Cóż u licha, i ja nim jestem, a bynajmniej się nie wstydę tego wyznania.

— Nie, to co innego. Wiesz ty? ja się boję.

— Ty, boisz się? Ty!...

— Tak, boję się, lecz tylko téj chwili, téj drogi samotnej, tego ryzykownego kroku na jaki się odważamy. Ja co bezustannie narażam moje życie, co od dziecka, mogę powiedzieć, szukałem nocnych ciemności, przygód hazardownych, co się nauczyłem poskramiać dzikiego żrebca tylko dla przyjemności narażenia się na niebezpieczeństwo, co na fale naszej rzeki bardziej rozkołysane i rwące niżli oceanu wody puszczałem się w wątek czółenku bez potrzeby, bez żadnej pobudki innéj jak po to by harde stawić czoło potężnemu przyrodzeniu w godzinach jego dzikiego zuchwalstwa; ja z hartowném sercem i ramieniem silném, drżałbym jak małe dziecko, gdyby w téj chwili spotkał nas jakiś wypadek mogący zagrażać niebezpieczeństwem.

— A, to osobliwszy objaw męstwa! Na kiedyż potrzebna odwaga, jeśli nie w niebezpieczeństwie?

— Zgoda na niebezpieczeństwo dla mnie, ale nie dla Florencyi, nie dla jéj matki. Nie lękam się o to że zginę, ale o jéj łzę każdą, o straszne tortury jéj serca gdyby nam coś nagle zagroziło. Boję się tego żeby nie została sama, z dogorywającą prawie matką, w oddaleniu od ojca, bez opieki mojego ramienia, wśród téj burzy zbrodni co się nad naszymi zbiera głowami. Pojmujesz mię teraz.

— Pojmuję, ale co gorsza to żeś we mnie przeszczepił tę bojaźń o której nie myślałem: słowo daje. Prawda, można bać się, umrzeć nie przez bojaźń śmierci, lecz przez obawę o tych co przy życiu zostają.

— Tak mój Edwardzie! kochając prawdziwie, z przekonaniem żeśmy wzajemnie kochani, życie się rozdwaia, wciela w drugie życie, i umierając pozostawiamy na ziemi cząstkę nas samych i w niej cierpimy.

— No, ależ wreszcie już dojeżdżamy: za dziesięć minut staniemy na miejscu... Biédaczka!... Twoja Florencia przynajmniej jest z nami, ale ona tam sama od wczoraj! Ach, jak sobie pomyśle że może jutro, może pojutrze skończy się tak okropne życie jakie prowadzimy, tułacze, parye na własnej ziemi, we własnym nawet domu!... Wiesz Danielu? zdaje mi się że jak poczuję zapach prochu, gdy ujrzę pierwszy szwadron Lavalla i we dwudziestu jak nas jest wyjdziemy z bronią w rękę, zdaje mi się powiadam ci, że zacznę w powietrze strzelać żeby proch wachać, jeżeli ten łotr Rozas nie zechce żebyśmy mu do piersi strzelili. Czy sądzisz że będą tu pojutrze?

— Według tego jak jest w planie pochodu może nastąpić atak pojutrze. I dlatego właśnie tak nastawałem na wyjazd dzisiejszej nocy. Znam siebie. Z Florencją w Buenos-Aires w połowie nie będę tém czém mogę być sam zostawszy na ten raz.

— Ach, a z Amalią nie ma rady, nie chce wybrać się z nami!...—zawołał Edward.

— Amalia ma więcej odwagi aniżeli Florencia, i odrębny to charakter. Żadna ludzka siła nie odłączy ją teraz od twoich losów. Ty tutaj jesteś, tu i ona: to twój cień.

— Nie, to moje światło, gwiazda mojego życia!—odrzekł Edward z wyrazem chluby, w którym przebijała się ta myśl: „taki właśnie charakter pragnę widzieć w kobiecie którą ukochałem.”

Przybyli wreszcie przed bramę *pustki*. Ani światelka, ani głosu żadnego, tylko szum drzew w pobliżu. Lecz skoro tylko powóz i jeźdźcy stanęli przed bramą, natychmiast się roztwarła, i nawiąki do ciemności od dwóch godzin wzrok podróżnych, dojrzał we drzwiach stojące dwie postacie, kobiety i dziecka, a z po za niedomkniętej okiennicy wysuwającą się sędziwą głowę. Stary weteran czuwał tak wiernie nad córką swego pułkownika, jak przed dwudziestu laty przy dawniej narodowej armii pilnował swego stanowiska na czatach w przednim posterunku.

Znużona i omdlewająca prawie pani Dupasquier znalazła wszystko przygotowane z drobiazgową troskliwością co mogło być potrzebném do wypoczynku i posilenia się. Wkrótce uczuła się pokrzepioną. Wszyscy zebrani byli w sypialnym pokoju Amalii, jedynym gdzie się znajdowało światło, gdyż okna jego wychodziły na mały wewnętrzny dziedzińczyk. Wszystkie inne pokoje z oknami od rzeki lub od gościńca, pozostawiono w zupełnej ciemności.

Florencya bledsza była niż zwykle i serce jęj uderzało nieregularnie, jak to bywa w chwilach poprzedzających jakieś stanowcze rozwiązanie, którego pragniemy i obawiamy się zarazem. Puszczala się na krok wielce niebezpieczny: lecz w miękkim sercu kobiety nie mieści się pamięć o sobie, gdy także w niebezpieczeństwie życie jęj matki, życie ukochanego. Do pierwszej się uśmiechała, miłosne spojrzenie obracała na drugiego, a żrenica jęj błyszczała niebiańską serca rosą.

— Dziesiąta wnet uderzy—powiedział Daniel—pójdźmy do okien jadalnego pokoju wyglądać sygnału z *ballenery*, który powinien się ukazać niedługo. Luiza niech tu zostanie i przyniesie mi światło jak na nią zawołam.

Zasiedli po ciemku przy oknach, i rozmawiając z cicha, przez szyby wzrokiem po rzece błądzili.

W miarę jak przemijały minuty na czasie kołowrocie, rozmowa się urywała i nawiązywała z trudnością, gdyż jedna myśl całą pochłaniała uwagę: naznaczona godzina już ubiegała a *ballenery* nie widać. Pani Dupasquier nie może tu pozostać. Zbrojne starcie może nastąpić lada dzień, a trzech dni przynajmniej potrzeba na nowe zniesienie się z francuzką eskadrą!..

— Może wiatr ich opóźnia—mówił Daniel siląc się jakimś pozorem łagodzić ogólną niespokojność, którą sam podzielał w niepomiernej części.

Nagle Amalia wsparta na ramieniu Edwarda wyciągnęła rękę ku rzece.

— Jest, tam!

Wszyscy poruszyli się i zwrócili w jeden punkt oczy.

Daniel otworzył okno, zmiarkował odległość domu od brzegu wody, co można było poznać po szmerze fali, i przekonawszy się że światło było na rzece, zawołał Luizę, która z lichtarzem w rękę wbiegła zanim jeszcze przebrzmiało echo jęj imieniem.

Wszystkich serca były gwałtownie.

Daniel przysunął świecę do szyby, a spostrzegłszy umówiony ruch światła z rzeki, zamknął okiennicę i rzekł: chodźmy.

Florencya drżąca była i blada jak marmur. Matka jęj spokojna i odważna, a jednak arystokratyczna obywatelka Buenos-Aires, nigdy w życiu nie byłaby pomyślała aby jęj kiedy przyszło wyprawiać się obcą łódką na rzekę w takich miejscach i o takięj godzinie.

Gdy wyszli z domu, Daniel spostrzegłszy cień jakiś sunący w górę po wydmie, odłączył się na chwilę od towarzystwa. Był to Fermin, który z polecenia pana obszedł pobrzeże po jednęj i drugięj stronie i zdał raport że nikogo nie widać, że *ballenera* przybiła do brzegu i woda wysoka, można wsiąść bez zamoczenia się. Daniel mu kazał natychmiast wyruszyć konno i zaprowadzić swego wierzchowca w pewne wiadome miejsce o milę dalej, gdzie miał za parę godzin wsiąść na ład. Po tęj rozmowie powrócił do

swoich już mocno potrwożonych tём nagłём jego odejściem. Uspokoił ich w kilku słowach, i zaczęli schodzić na dół.

Chłód wieczorny musiał orzeźwiać chorą, gdyż wsparta na ramieniu przyszęłego syna, stąpała krokiem pewnym i odważnym. Przed nimi szła Florencya z Edwardem, a na czele pochodu postępowała Amalia prowadząc za rękę małą Luizę. Kilka razy Edward ofiarował jęj swoje drugie ramie, lecz ona chcąc innym dodać odwagi odmówiła jęgo prośbie. Powiadała iż jest tych stron feudalną panią i że jęj obowiązkiem zawsze być na przodzie. Głowę przykryła małą jedwabną chusteczką czarną, z końcami pod brodę związanemi; widać było tylko profil jęj zachwycającej twarzy i oczy których blasku nie zagasiły nawet nocy ciemności.

Wkrótce przybyli do miejsca gdzie stała *ballenera* u brzegu. Przypadkiem łódź trafiła w małeńką niby zatokę rzeki. Za zbliżeniem się pań, oficer wyskoczył na łąd z galanterją swęgo narodu, by dopomódz im przy wejściu na statek.

Chwila ta miała w sobie coś religijnie uroczystęgo, wśród nocnych cieniów, na tём pobrzeżu pustém i samotném.

Pozegnanie pani Dupasquier w tych jedynie zawarło się słowach:

— Do zobaczenia się wkrótce, Amalio.

Nikt z unitaryuszów nie śmiał powiedziéć ani nawet pomyśleć że Rozas może się utrzymać dłużej nad ósm dni.

Ale Florencya, u któręj tak rzadko lży przychodziły w ulgę sercu, lecz na ten raz wezbrały potokami, tuliła się długo do łona drogięj przyjaciółki. Amalia płakała wewnątrz, we własną duszę, a smutne i złowieszcze przeczucia snuły się po jęj wyobraźni rozbujałej a znękanęj.

Aż nareszcie Daniel odrywając Florencyę od splekanęj także Luizy, objął ramieniem jęj powiewną kibić, uniósł i jednym skokiem postawił w łodzi, gdzie się już znajdowała jęj matka obok oficera.

Jeszcze jedno:  *bądźcie zdrowi!* zamieniło się pomiędzy łądem a wodą, i na znak oficera łódź odbiegła od brzegu, skręciła ku południowi, i pomknęła wzdłuż pobrzeża z rozpuszczoném na wiatr żaglowém płótnem, i bez owych ostrożności z jakimi się przedtém zbliżała.

Pozostali na brzegu ścigali ją wzrokiem dopóki nie znikła w ciemnościach.

Wtenczas Amalia wzruszeniami znużona, oparła się na ramieniu ukochanęgo, i wzniosłszy piękne oczy ku niebu, goniła po niém chmur płyty podmuchem wiatru pędzone. Edward swęgo nieba w jęj źrenicach szukał.

Tak ubiegło minut kilka, kiedy nagle błysk i huk karabinowych wystrzałów w stronie gdzie łódź płynęła, wstrząsnął ich serca jakby elektryczném uderzeniem.



## VIII.

## Zażęgnanie burzy.

Edward zwrócił głowę w stronę zkąd padły strzały, i instynktownie sięgnął do kieszeni gdzie miał pistolety. Lecz się wnet opamiętał: rozumiał wszystko. Pojął iż dla Amalii mogło być niebezpiecznym pozostać choćby minutę w tém miejscu. Silnie ją wpół uchwycił i pociągnął w górę ku domowi, mówiąc:

— Wejźmy, wejźmy, jak najprędzej!

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, kiedy na powtórny wystrzał machinalnie przystanęli i zwrócili oczy ku stronie zkąd się huk rozległ, i wtedy ujrzeli wyraźnie choć w wielkiej odległości błysnięcie i zaraz odgłos nowego wystrzału odbił się o ich uszy.

— Ach mój Boże!—krzyknęła Amalia.

— Nie, ten ostatni to odpowiedź z *ballenery*—odrzekł Edward ukazując białe jak kość słoniowa zęby w uśmiechu, w którym się dziwnie wyrażały zarazem zadowolenie i wściekłość.

— Ale oni mogli kogo trafić, Edwardzie?

— Nie, nie, za daleko... ale inne może być niebezpieczeństwo... nie pytaj, na Boga! chodźmy!

O kilka kroków przed domem spotkali starego Pedra, który szedł ku nim z pałaszem pod pachą, i przybijając nabój w swojej strzelbie.

— Ach, przecież!—rzekł spostrzegłszy nadchodzących—pani, to nie jest godzina do przechadzki w tych tu stronach.

Może po raz pierwszy w życiu pocziwy staruszek zganił coś w córce swego pułkownika.

— Pedro, słyszeliście?—spytał Edward.

— Tak panie—odrzekł weteran wyraźnie w bardzo złym humorze—wszystko słyszałem i mówię że pani nie powinna...

— Dobrze, dobrze, już więcej tego nie zrobię—przerwała mu łagodnie, rozumiejąc szczerą przywiązania starego sługi swojej rodziny.

Gdy weszła do pokoju i zdjęła z głowy chusteczkę, Edward zdziwił się niestychanej bledzi jej twarzy. Usiadła na krześle, łokciem wspartą na stole, czoło pochyliła na drobną białą rączkę.

Edward przeszedł do jadalnego pokoju i po ciemku otworzył okno, skupił się cały w słuchu, gdyż noc stawała się coraz czarniejszą i nic nie można było już rozróżnić. Lecz nic słychać nie było.

Wchodził niekiedy do sali, gdzie Amalia w téj samej została postawie, siadał przy niej, pocieszał ją i uspokajał zapewnieniem, że kule dosięgnąć *ballenery* nie mogły w takiej odległości; na jej obawy o wylądowanie Daniela zaręczał że tenże wysiądzie na brzeg w godzinie, kiedy patrole już schodzą się do miasta.

A potem wracał znów do okna i nasłuchiwał. Pewna myśl snuła mu się po głowie i to jedynie go niepokoiło. Jakoż zaledwie ze trzy minuty siedział oparty o kratę okna, kiedy zdało mu się że słyszy od strony *Padolu* szum jakiś, który się stawał coraz głośniejszym, i wkrótce nie można było wątpić iż go sprawia stąpanie gromady koni.

Nagle tętent kalwakaty ustał, a rozróżnić się dawał szmer niewyraźny wielu głosów u dołu wydmy. A potem znów stąpanie koni.

— Ani wątpić—mówił do siebie Edward—to ten patrol co dawał ognia. Zatrzymali się pod wydumą i pewno o tym domu uwagi robili, a teraz objadą wkoło, i zajdą nam od górnej drogi. Fatalność! fatalność! i zagryzł sobie wargi aż do krwi.

Skoro wrócił do sali, Amalia umiejąca tak dobrze czytać w jego twarzy, poznała natychmiast silne jego choć tajone wzruszenie i sama pierwsza zaczęła.

— Mów Edwardzie, ja jestem na wszystko gotowa: spodziewam się nieszczęścia.

— Ale dlaczegoż koniecznie nieszczęście przypuszczasz, — odparł zawstydzony że może cień obawy w twarzy jego dojrzała. To może być moje tylko przywidzenie.

— Nie, jest coś i chcę wiedzieć co.

— A więc to jest że dołem wydmy przeszedł dopiero co patrol, zapewne ten sam co strzelał do łodzi: to wszystko.

— Wszystko? dobrze, przekonasz się czym nie rozumiała tego co przemilczasz. Pedro!

Weteran zjawił się w tej chwili.

— Pedro,—rzekła—trzeba pozamykać dobrze bramy, i broń przygotować, może się przytrafić tej nocy najście na dom, lub coś podobnego.

— Już wszystko zrobione, pani — odrzekł stary—mam dwadzieścia strzałów i moją szablę.

— Edward zdumiał się temu mężtwu swojej ukochanej, i w głębi duszy czciał był dlań przejęty, znając że to nie była wrodzona odwaga jój organizmu, lecz mężtwo miłości podniesione do wysokości ofiary. Bowiem w tych chwilach opór zbrojny, a nawet jakkolwiek opór stawiony agentom Rozasa, stawał się niechybnym wyrokiem śmierci lub wszelkiego rodzaju nieszczęść, i Amalia narażała się dobrowolnie na to wszystko, kusząc się o uratowanie kochanka.

— Nie, — zawołał zrywając się—tu nie będzie krwi rozlewu. Moje życie nie warte choćby tego tylko żebyś obecną była scenie któraby ztąd wynikła, a która w rezultacie wszystkich razem zgubi.

— Pedro, — odrzekła—proszę wypełnić moje polecenie. Edwardzie moje życie jest całe w życiu tego kogo kocham, i co się z nim stanie, to się stanie i zemną w każdym razie.

Zaledwie słowa te kończyła, kiedy na górnym gościńcu za-tętniał galop koni.

Edward pobiegł do swego pokoju, wyjąwszy z kieszeni dwururkę pistolety, opatrzył panewki, zabrał swoją szpadę, i wyszedł w dziedziniec po którym przechadzał się Pedro.

Przez ten czas mała Luiza w trwodze uczeplona u sukni swojej pani mówiła do niej :

— Seniora, ja się będę modlić; dobrze?

— Dobrze, idź moje dziecko: módl się.

— I niewinne dziewczątko uklękło przed krucyfiksem i złożyło rączki do modlitwy.

I jednocześnie rozpoczęła się pierwsza scena tego dramatu zwiastująca straszne jego rozwiązanie. Słyszec się dał hałas blisko bramy, i brzęk pałaszy i ostróg przy zsiadaniu z koni.

Edward i Pedro przybiegli do sali której drzwi wychodziły na mały krużganek.

Zakołatano silnie w bramę.

— Już ułożyliśmy się obydwaj,—mówił Edward do Amalii—nie otwierać, i nie odzywać się. Jeżeli się znużą i pójdą sobie, tém lepiej. Jeżeli zechcą wysadzić bramę będą mieli wielką pracę, bo mocna i zamczysta, a jeśli im się uda, to będą utrudzeni jak się z nami spotkają.

Stukanie do bramy powtarzało się, a potem rozpoczęło się także do okien sali i jadalnego pokoju.

— Wywalić bramę, — rzekł głos silny i chrapliwy, który już wiele razy górował nad innymi miotającymi sprośne wykrzyki przy nadaremum wybijaniu w bramę i okna.

Pedro uśmiechnął się spokojnie oparty o drzwi od sali.

— Strzelaj w zamek, — zawołał tenże sam głos.

Cztery wystrzały uderzyły zewnątrz, a zamek upadł przy nogach Pedra, który z największym spokojem odwrócił się i przystępując do Amalii, rzekł :

— Te łotry mogą strzelać do okien, niebezpiecznie tu dla pani.

— To prawda,—dodał Edward—idźcie z Luizą do sypialnego pokoju.

— Nie, ja będę tam gdzie wy jesteście.

— Dziecko, jeżeli nie pójdziesz, wezmę na ręce, zaniosę i zamknę — odparł Pedro tonem łagodnym lecz tak stanowczym, że Amalia aczkolwiek nieco zdziwiona, nie śmiała nic odpowiedzieć i poszła z Luizą do sypialni.

Pedro i Edward stanęli pomiędzy oknami pod ochroną muru. Niebezpiecznie okazały się te ostrożności, gdy zaledwo miejsce te zajęli, gdy szyby rozprysły się w tysiączne kawałki i kilka kul przeleciało przez salę.

Lecz tamci zewnątrz także obmyślali środki. Przekonani byli że dom zamieszkały, gdyż brama zaryglowana z wewnątrz a przez otwory przewiercone kulami widać było światło. I do ostateczności doprowadzał ich ten opór stawiany im, co nosząc muszkiety i szable byli narzędziami wszechpotężnej Restauratora władzy.

Naraz straszliwe uderzenie, pchnięcie szalone zatrzęsło bramę; zawiasy skrzypnęły, zatrzeszczały odrzwi, zdawało się że brama cała wyskoczy, bo nawet mury się zachwiały jakby od trzęsienia ziemi.

— A! znam to! i niema na to rady, — rzekł Pedro wychodząc z miejsca gdzie stał, i odwodząc kurek u strzelby wszedł w krążganek, a Edward za nim z zaiskrzonym okiem, z nawpół otwartymi usty, ściskając konwulsyjnie broń w ręku.

Amalia słyszała i widziała to wszystko, co się zaledwie w jed-  
 dnój sekundzie stało, rzuciła się ku drzwiom, ale Luiza przysko-  
 czywszy do jej nóg objęła ją za kolana.

Powtórne uderzenie głucho, lecz silne i ciężkie zatrzęsło znów  
 całym domem, i mnóstwo gruzu posypało się z odrzwi bramy.

— Nie wytrzymaj trzeciego, — rzekł Pedro.

— Czémże te czarty tak wałą? — pytał Edward drżący  
 z wściekłości i pragnąc żeby już brama odrazu upadła.

— Tylami dwóch lub trzech koni jednocześnie, — odpowie-  
 dział Pedro — tak wysadziliśmy bramę u jednych koszar w Peru.

W teje samėj chwili, gdyż cała ta scena była szybka jak po-  
 lot myśli, Luiza ściskając ciągle kolana Amalii aby ją powstrzymać,  
 wyrzekła z płaczem :

— Pani, modliłam się do Najświętszėj Panny i Ona mi coś  
 przypomniała: ten list . . . ja wiem gdzie on jest, on nas wyratuje.

— Co za list ?

— Ten co to wtenczas . . .

— Ach tak! Opatrzność boska! to jedyny środek zbawienia:  
 przynieś go, przynieś!

Luiza poleciała, wyjęła papier ze szkatułeczki i podała pani.

Amalia pobiegła do drzwi sali i rzekła do obu mężczyzn ocze-  
 kujących w krążkanku upadku bramy lada chwila.

— Nie ruszajcie się na Boga! słuchajcie, ale się nie odzywaj-  
 cie i nie wchodźcie do pokoju.

I nie czekając odpowiedzi drzwi przymknęła, przypadła do  
 okna, odsunęła rygiel i otworzyła. Na ten łoskot dziesięciu czy  
 dwunastu zbójców, wielu ich tam było, odstąpili bramę a rzucili się  
 do okna i instynktowie, instynktem federalnym, łufy do krat  
 przyłożyli.

Amalia nie cofnęła się, ani się bynajmniej nie zmięszała, i gło-  
 sem śmiałym a pełnym godności odezwała się do nich :

— Zkądże ten napad na mój dom? tu mieszkają same kobiety,  
 i niema bogactw.

— Eh, przecież my nie złodzieje! — odparł jeden który roz-  
 trącając innych podszedł pod samo okno.

— Jeżeli więc to jest patrol wojskowy, nie powinieby wybijać  
 bram *tego domu*.

A czyżje to *ten dom*? — pytał ten sam, podrzeźniając przy-  
 cisk, z jakim Amalia ostatnie dwa wyrazy wymówiła.

— Przeczytaj pan, to się dowiesz: Luiza podnieś w górę świecę.

Ton Amalii, jęj młodość, piękność i zagadka tego bezpieczeństwa i pewnego rodzaju groźby jaką zawierały w sobie ostatnie jęj słowa, a w dodatku ten papier który im podawała, wszystko to w czasach kiedy każdy bał się bądź przez omyłkę, bądź innym sposobem ściągnąć na siebie gniew Rozasa, łatwo rzuciło pomieszanie wśród napastników, którym w głowie pomieścić się nie mogło, ażeby w tym domu od lat tylu opustoszałym, znajdowała się podobna kobięta jak ta na którą patrzyli.

— Ależ pani, proszę otworzyć, — rzekł ucinaną mową ten który list odebrał, a był to ciałem i duszą sam pan Santa-Coloma na czele swego oddziału.

— Pięrwęj proszę czytać, a potęm otworzę jeżeli pan będziesz jeszcze tego żądał, — odpowiedziała Amalia przybierając w mowie nieco surowości i jakby ton wyrzutu, a jednocześnie Luiza udając odważną jak jęj pani, przybliżała do kraty świecę pod szklaną kulą.

Santa-Coloma rozkładał list nie spuszczaćc oczu z młodej kobiety, która przy świetle latarni uderzyła jego wyobraźnię jakby coś zaczarowanego w tęg ponuręm i samotnęg ustroniu. Potęm spojrział na podpis listu i mocne zdziwienie odmalowało się na jego twarzy, mimo wszystko męzkieję i przystojnęg !

— Bądź pan łaskaw głośno czytać, żeby wszyscy słyszeli.

— Seniora, jestem dowódczą tego oddziału i dosyć na tęg jak sam go przeczytam.

Co list ten w sobie zawierał, nie będzie również i dla ciekawości czytelnika obojętnęm.

*„Do pani Amalii Saenz de Olabarrieta.*

„Szanowna współrodaczko! Z niewymowną przykrością dowiaduję się, iż śmiano zakłócać pobyt pani na ustroniu, bez słusznych przyczyn i bez rozkazu mego ojca, który zgromiłby podobne nadużycie gdyby o nięm wiedział. Sposób życia pani nie może w nikim obudzać podejrzeń, w tych tylko którzy poważają się posługiwać imieniem gubernatora dla swoich osobistych celów. Pani należysz do liczby osób które najbardziej poważam i proszę, jako przyjaciółka o doniesienie mi natychmiast, gdyby jeszcze kiedy panią niepokojono; ponieważ, jeśli to bez rozkazu mego ojca o częm nie wątpię, ostrzegę go o tęg natychmiast, aby nienadużywano jego imienia na drugi raz.

„Bądź pani przekonaną, iż chwila w której mogłabym Jęj być użyteczną, będzie chwilą bardzo miłą dla tęg, która pozostanie na zawsze dla pani ze szczeręm uczuciem szacunku i życzliwości.”

„Manuela Rozas”

*dnia 23 sierpnia 1840 r.*

— Seniora, — rzekł Santa-Coloma zdejmując kapelusz po odczytaniu żelaznego listu—nie miałem zamiaru wyrządzić pani przykrości, ani wiedziałęm kto tu mieszka. Przepłynęła dopięro

co tędy *ballenera* nieprzyjacielska, przypuszczałem że ztąd jacy się na nią zabrali, a że na brzegu niéma innego domu jak ten . . .

— Więc pan przyszedłeś wybić mi bramę, wszak tak? — przerwała mu Amalia — aby do reszty zgniebić ducha w mężnym Santa-Coloma.

— Ponieważ mi nie otwierali a widziałem światło . . . lecz proszę mi wybaczyć, nie wiedziałem że tu mieszka przyjaciółka Doni Manuelity.

— Mniejsza z tém, może pan chcesz wejść teraz i dom przetrząść? — i ruszyła się jakby szła otworzyć.

— Ach nie, seniora, broń Boże! proszę tylko o łaskawe pozwolenie, żebym jutro mógł tu przysłać ludzi dla naprawy koło bramy, jeżeli się co nadweryżyło.

— Bardzo panu dziękuję; nie potrzeba: to fraszka, a zresztą jutro mam zamiar przenieść się do mego mieszkania w mieście.

— Ja sam pójdę przeprosić panią Manuelę. Chciéj pani wierzyć, że nie miałem zamiaru . . .

— Wierzę, wierzę, i nie potrzeba przeprosin, bo z ust moich nikt się nie dowie co zaszło: omyliłeś się pan i koniec, — odrzekła Amalia łagodząc ton mowy o ile mogła w takim razie.

— Panowie, na koń! to dom federalny, — krzyknął Santa-Coloma do swoich. Jeszcze raz przepraszam panią i życzę dobrej nocy.

I odchodząc jeszcze nie włożył na głowę kapelusza.

Amalia zamknęła okno, doszła do sofy i upadła zemdlna.

## IX.

### K r w a w a w i o s n a.

Już o dnia świcie ptaszęta nuciły tajemniczy hymn przyrodzenia na cześć swego Stwórcy. Jaskółka w powrocie z gorących klimatów, krążyła szybko bez celu, jak gorączkowych marzeń obrazy. Brzoskwińowe drzewo przystroiło się za to w różowe i fioletowe gwiazdki, a w złocistej kulce w pośrodku kwiatka utkwionéj, krył się zawiązek pysznego owocu. Nard podnosił się dumnie jak palma pustyni, a u stóp jego skromny fijołek krył się wśród szmaragdowych jego wachlarzy, zazdroszcząc mu silnych kadzidel. Hyacynt wytknął wdzięczną główkę, ażeby wiosenném odetchnąć powietrzem, a pyszna kwiatów królowa roztwierając purpurowe zwoje, piła świeże łyż jutrzeńki, i łono wychylała ku porannemu słońcu promieniom, które swém ciepłem budziły zamknięte w niém zapachy: jak młoda piękność pozwała w swoją zrenicę ognystemu utonąć spojrzeniu co aż do serca jéj sięga, i ukradkiem pije najpiérwsze miłości czucie, które w dziewicze jéj łono, Boskie złożyło tchnienie. I na róży szkarłatne lica i na blade czoło lilii, motyl szrzepywał

złoty ze skrzydeł pyłek, i znów ku niebu ulatał napawać się światłem i tęczy barwami.

Fale zaczynały się uciszać po zimowym wzburzeniu i usypiały na swoich łopielach, jak namiętności zdrzemnięte na tym samym sercu, które szła ich podnieciło. Dzikię wichry *Pampy* znużyły się i opadły, a od zwrotników ciepłe powiewy bujały po strefach La Platy, obejmując panowanie w opuszczonych przez zimę królestwach.

Natura cała odradzała się na nowo, świąteczne przywdziewała stroje, oddychała nadziejami, barwiła się poezją; jak opuszczonéj kochance wraca blask piękności, zakwitają nadzieje i radość ożyje, kiedy po długiej nieobecności kochanka, znów tchnienie jego ciepła, owiewa jéj czoło zwiędłe od lodowego rozłąki zimna.

Po ziemie zabójczej, martwéj i smutnéj, następowała twórcza, pełna wesela, wiosna. I dla przyrodzenia całego znalazła się pieszczotka, uśmiech, obietnice . . . tylko nie człowieka.

Kwiat, pole, woda, obłoki i gwiazdy rozsiane na błękitnym Bóstwa płaszczu, wszystko udarzone życiodawczém spojrzeniem przy zajęciu berła szczodrá ręką wiosny, tak bogatéj w krainach La Platy . . . tylko nie człowiek.

Przeznaczenie jego zimne jak znak liczbowy, przykute do jego życia jak marmur do grobu, i nieuchronne jak czasu pochód, popychało go z jednego nieszczęścia w drugie, i już dlań nigdzie nadziei, tylko w jednym Bogu, a spojrzenie boskie przysłonięte znać chmurą, bo nie dochodzi do duszy i nie przyświeca jéj w téj strasznej nieszczęść nocy.

Wiosna wschodziła dla przyrodzenia. Ale niestety! Zapachy kwiatów, woń krwi przygłuszy. Błonia utracą piękność szmaragdowego kobierca pod plamami z krwi, której wywabić nie zdołają lata. Strumień krwią wodę zamąci, światło dnia przyćmi się od krwi wyziewów, i gwiazdy rozsiane na błękitnym Bóstwa płaszczu, srebrne promienie odbijać będą w krwi kałużach.

Zapadł już wyrok La Platy. Żywot ich przykrępowany do dzikiego żrebca tyranii, jak nowy Mazepa, wysączy z siebie krew na długie lata, poszarpie członki wolności o ostre ciernie w puszczech zbrodni i nieszczęść. Rewulucyjne tradycje, gwiazda roku 1810, uśmiechające się wróżby 1825, postępy umysłowe wśród społeczeństwa, moralność wychowania i plemiennéj natury, charakter ludów, duch a nawet wyobraźnia, wszystko upadnie do reszty pod rozkładającą siłą takiego rządu i w takiéj szkole publicznej, pod rządem jednéj głowy tyrana, i pod wpływem przykładu używanych przez niego środków.

Tém smutniejszy stan rzeczy, iż pozostawi zaszczerpione w krwi pokoleń budzących się do życia wady właściwe ludom, co rodziły się i wzrosły pod systemem despotyzmu urągającą się człowieczeństwu godności: posłuszeństwo bezmyślne i ślepe, jako warunek indywidualnego bytu, a idee i potrzeby społeczne jako egzotyczne rośliny na gruncie takiego rządu.

Brak wszelkiej spójności i zmysłu kojarzenia się doprowadził do anarchii, na której podniósł się Rozas, i tenże sam brak podtrzymywał tak długo ohydne jego rządy. A przedłużenie się tych rządów jeszcze głębiej wkorzeni tu źródło złego w dziewiczą ziemię, w społeczeństwie jeszcze bez obyczaju, bez ustalonych przekonań. Tym sposobem przygotowały się na przyszłość smutne i straszne symptomata oporu, jeżeli zwrot nowy powstanie przeciw temu porządkowi rzeczy, bo tu już nie będzie walka z jednym tyranem, ale ze wszystkimi posmakami tyranii.

Rozas wygrał bez zwycięstwa. I odtąd wszystkie dalsze zawady otaczające horyzont jego rządów, stoczyły się zwolna i same z siebie w prąd jego szczęścia, a raczej w nieodzowną kolędziejową, bowiem historyczne obrazy narodów pod rozbiór wzięte, nigdy nie zostają ani się nie przedstawiają niedokończone.

Rzeczpospolita argentyńska jako lud nowy, dopełniła już w piętnastu latach swojej epopei walk i chwały, włączyła swoją stwierdziła moc swego oręcza w Ameryce i swoje istnienie w świecie jako naród. Ostatnim dział wystrzałem wypowiedziała swoje najpierwsze pragnienia z 1810 roku, i ogniem swego prochu rzuciła ostatni błysk światła na wielki obraz młodzieńczych dni swego bytu.

Brakowało jej drugiego rewolucyjnego peryodu. I tu starły się z sobą gwałtownie dwa wielkie krańce idei: innowacya która tworzyła, i reakcyja która obalała.

Gdy ostatnia górę wzięła w pierwszych zapasach, loika dziejowa nie mogła ustąpić z pola, i musiały się wypełnić wielkie ramy w tym drugim zwrocie nowego narodu. I otoż zbrodnia, zepsucie, rozprzężenie wszystkich chrześcijańskich zasad, wyrwót wszystkich zachowawczych podstaw społeczeństwa, wsteczność, stagnacya i odętwienie, bezwładność i gnuśność myśli, zapomnienie tradycyi i wykrzywienie ducha narodowego do nowego porządku rzeczy, wszystko to musiało ukazać się w obrazie tyranii Rozasa. Gdyż obraz ten nie mógł pozostać w niedokończeniu, tak samo jak wszelki dziejowy ustęp, wynik naturalny z położenia istotnego i wyraźnego w narodowym życiu.

I kiedyś tam w potomnych czasach, gdy argentyński myśliciel rozchyli bluszcz osnuwający mogiłę pierwszych lat ojczyzny, aby odnaleźć krwawe napisy wypadków i pokoleń, które kołowały wśród burz jej młodości, a z zimnym spokojem śledzić będzie prostej filozofii naszych dziejów, nie zdumieje się z pewnością nad naszym długim i ciężkim uciskiem, bowiem on jest prawdziwym i jasnym wyrazem stanu w jakim nas zastała rewolucya. Lecz i to niemniej pewne, iż czoło pochyli ze wstydu, że wielką postacią na obrazie tego żałoźnego ustępu naszego życia, jest to postać Manuela Rozasa! Bo zaprawdę, dla dziejów argentyńskich najsmutniejszym do opowiadania będzie nie to, że istniał w nich tyran, lecz to że nim był Rozas.



Rozas był tyranem ciemnym i pospolitym. Kroki jego nie dążyły do żadnego politycznego celu. Żadna myśl ważna nie była główną pobudką jego czynów. I polityczny jego żywot pozostawił po sobie tylko wstrętliwe wspomnienia.

W człowieku tym systematyczną była tylko zbrodnia. Albowiem ów tak sławiony systemat jego amerykanizmu w celu odpięrania wszelkich europejskich wdzierañ się pomiędzy nas, w niezmordowanej obronie biało-błękitnej chorągwi, to było tylko długim kłamstwem dyktatora, wymyślonym dla rozbudzenia na swoją korzyść narodowych drażliwości: a przynajmniej tak dowodzą dzieje własnych jego postępów.

W czasie o wiele poprzedzającym jego samochwalczy patryotyzm amerykański, a w wieku gdzie człowiek najpochopniejszy jest do porywów uczucia patryotycznego, przesadzonego częstokroć przez krwi gorącość i przez burzliwe popędy osobistego charakteru, Rozas stanął po stronie cudzoziemców w obec czynu korsarstwa, spełnionego przeciw narodowej fładze. Po rewolucyi 1-go grudnia 1828 r. pan Venancourt dowódca sił francuzkich na tutejszych wodach napadł wśród nocy na naszą małą eskadrę. Don Juan Manuel Rozas, już wówczas występujący zbrojnie przeciw rewolucyi, napisał list do komendanta francuzkiego z podziękowaniem w imieniu wszystkich obywateli argentyńskiego narodu, którego mienił się władcą i przedstawicielem, zachęcając tudzież do zatrzymania w niewoli eskadry buntowników, i do opanowania innych statków pływających po Parana.

List ten którego dalsze szczegóły są niezbitemi dowodami jego chytryści i zamiarów pokonania rewolucyi przez obce siły na korzyść własnej swojej władzy, ów list wyszedł na widok publiczny dopiero 29 grudnia 1849 roku, kiedy w Izbie deputowanych przedstawił go pan Larrochejaequelin.

Bez żadnej wyższości ani godności osobistej powierzał własnym podwładnym swoją poziomość i nicłość, rozkazując dowódczom wojskowym ażeby z urzędu kłamali w doniesieniach, zdwajając liczbę swoich rzeczywistych sił.

Co więcej nadto i cynizm dyktatora do takiego dochodził stopnia, iż sam własnoręcznie i nieudanem pismem kreślił instrukcye dla kuryerów wyprawianych z Buenos-Aires w prowincyje i do Boliwii, nakazując im, aby po wszystkich drogach rozpowiadali iż: „Jego Ekscellencya pracuje dzień i noc nad utrzymaniem sprawy amerykańskiej, że już nawet i zagraniczne mocarstwa składają hołd szacunku i podziwu dla jego mężstwa i talentów, że świat cały gotów poświęcić się dla niego, że każda poczta przywoziła mu listy i podarunki od królów, i że za dni niewiele pokaże się co on wart“ i t. d. i t. d.

Stał on na czele epoki życia społecznego, która z nim czy bez niego z konieczności musiała się rozwinąć w narodzie nowonarodzonym, i nie tém się wsławił że epoce tej dał nastrój, lecz że ją wstecznem pchnięciem w krańcowe wpędził koleje; a osobiście

wyniósł się tylko przez srogość swojej duszy i przez mnóstwo okoliczności, które wiążąc łańcuch wypadków na około niego, nie były bynajmniej utworem głowy Rozasa, ani pod jego wpływem działały. Jak oto i teraz odwrót wojsk wybawczych mógł mu otworzyć wolną drogę, po której tyrania kroczyć będzie aż do ostatniego swego wyrazu w rzeczypospolitej.

Na tablicach czasu, miesiąc wrzesień 1840 roku rozstrzygał o losach ludów La Platy, i z przegraną wolności, wiosna przyrodzenia przemieniała się dla Argentyńców w *krwawą wiosnę*.

Nabiegające szybko wypadki w związku z poprzednimi, które już poznaliśmy, wykażą nam jak ohydną i przerażającą jest ta prawda.

## X.

### Z czterdziestu tylko dziesięciu.

Po owej nocy w której federalna policja po swojemu odwiedziła *Pustkę*, i w której Luiza w nagrodę za swoje modły otrzymała zbawiennie dla wszystkich natchnienie, następnego wieczora od ósmej godziny zaczęli się schodzić jacys ludzie do obszernego magazynu hurtownych składów, który się stykał z pięknym kilkopiętrowym domem górującym prawie na całą *Uniwersytecką* ulicę.

Przybywający pukali w odrębny sposób, drzwi magazynu otwierały się i zamykały za nimi natychmiast.

Tam w głębi zaledwo dostrzedz się dawało słabe światło świecy, postawionej za stosem beczek wina, i wkoło której gromadzili się przybysze. Pomimo znacznej przestrzeni między tym punktem magazynu gdzie się znajdowali o ścianę od ulicy, jednakże rozmowa ich choć ożywiona odbywała się pocichu. Ostrożność takową tłumaczyła ta okoliczność, iż dom piętrowy do którego należał magazyn i z którym kumunikacja była przez drzwi w dziedzińcu, zamieszkanym zostawał wówczas przez pewną federalną rodzinę. Lecz to mogło wydać się dziwném, iż z wewnętrżnej strony owych drzwi usunięto nagromadzone przy nich stopy pak, i odrubowano wielką sztabę w poprzek drzwi założoną; a co jeszcze więcej nad to wszystko uwagę zwracało, były to rzędy karabinów ustawione blisko wchodu na dziedzińiec pomiędzy barykami wina i murem.

Wszystkie te przyrządy w takiem miejscu, w takiej tajemnicy, w takiej godzinie i w takich czasach, to więcej niż potrzeba dla wyobraźni, by widziała jak śmierć igra z włosami wszystkich głów, które się tam znajdowały.

— Dziesiąta, — rzekł jeden zbliżając swój zegarek do świecy na ziemi.

— To i lepiej, — odrzekł drugi wstając i przechodząc się.

— Zapewne, — dodał trzeci, — gdyby nie miało nic być, tobyśmy już do téj pory wiedzieli.

— Ja myślę, że wkroczenie nastąpi dopiero o świcie, — zauważył czwarty powstając także; bo wszyscy siedzieli na beczkach na okół świecy.

— Czemuż reszta nie przychodzi?

— A wiecież ilu nas jest.

— Mnie Bello nie powiedziało.

— Ani mnie Belgrano nie wspominał o liczbie w jakiej się zbierzemy.

— Cóż zależy na liczbie!

— Tak, co zależy! Toż sądzisz pan, że tylu co nas tu jest mogą wielkie rzeczy zdziałać? — zagadnął najstarszy wiekiem ze zgromadzenia, chociaż nie wiele więcej nad trzydzieści lat mieć musiał: w twarzy jego i postawie było coś wojskowego.

— Ja wiem jak będzie, — odezwał się inny; — pewno Bello i Belgrano wyznaczili kilka punktów w tej stronie miasta, i musi być umówione hasło na chwilę, kiedy opanujemy ten dom i wejdziemy na taras jak do siebie, choćby się na to okrzyknęli jego panowie, przypuściwszy że federaliści będą jeszcze mieli siłę krzyczeć za kilka godzin.

— To nieco podobne do objaśnienia, — odrzekł ów jegomość z wojskową miną. Boć wprawdzie że w dziesięciu, z tego miejsca które mamy zając, dalibyśmy radę ugaszeniu ognia na wszystkich tarasach tej ulicy, w razie gdyby im się zachciało strzelać do Lavalla, lecz gdyby nam wypadło z okoliczności zejść ztąd i coś działać gdzieindziej, w takim razie zamało nas jak tu jesteśmy.

— Co do mnie, czy będzie walka czy nie, umówiłem się już z czterema, zejdziemy skoro tylko pokaże się hufiec z ulicy.

— To nas jeszcze mniej zostanie. A gdzie to pan odchodzisz?

— Do domu Rozasa.

— Czy aresztować Manuelę?

— Oh, bynajmniej, owszem bronilibym ją od wszelkiej zniewagi.

— I ja, i ja, — przywórzili inni z młodzieży.

— A cóż więc pan chcesz zrobić z domem Rozasa? — odrzekł ów najsędziwszy ze wszystkich. Sądziszże pan, iż Roziści pójdą się tam schronić?

— Nie jestem naiwnym do tego stopnia. Chcę zabrać papiery.

— Al papiery? winszuję panu takiej zdobyczy; zdaje mi się że to tyle warte co bez lufy karabin.

— Może być niewiele warte dla wojskowych, ale dla piszących bardzo wiele, — odrzekł amator papierów nieco urażony.

— A, zapewne! ponieważ panom pisarzom zawdzięczać będziemy obalenie Rozasa; słuszną jest rzeczą, aby i oni dzieło doprowadzili do końca, — odparł ironicznie przedstawiciel rycerskiego stanu.

— Bardzo być może, iż się pan nie mylisz.

— Rozumie się! Działa strzelające gazetami wielkie uczy-  
niłyby spustoszenia w obozie Rozasa!

— To już osobistość *caballero*.

— Ależ panowie, na miłość Boską! — odczuwał się jeden który  
dotąd cicho siedział, — czyż to podobna że nas czterech Argien-  
tyuów nie może się zejść razem, żeby zaraz nie było swarów? Jeszcze  
nie zwyciężyliśmy Rozasa, a już będziemy spory toczyć o to czy  
żywiół wojskowy mocniejszy był do zachwiania go, czy piśmienna  
propaganda?

— Ale bo . . . . .

Pukanie do drzwi przerwało odpowiedź, i zwróciło uwagę  
wszystkich. Poszli zaraz otworzyć, gdyż zapukano jak należało,  
i wszyscy dziesięciu otoczyli wnet wchodzących Edwarda i Daniela.  
Lecz na twarzach tych ostatnich, a zwłaszcza na obliczu Daniela  
tak dobitnie odmalowaném było rozjątrzenie i taki wyraz bólu, że  
młodzi towarzysze wyczytali na nich co się działo w ich duszy.

Domniemany zdobywca papierów nie mógł wytrzymać i rzekł  
do nich:

— Każda z waszych twarzy jest bulletynem Rozasa, zwia-  
stującym nam porażkę Lavalla.

— Nie, — odrzekł Daniel, — Lavalle nie został pobitym, to  
coś gorszego.

— Tam do licha! dotąd nie miałem wyobrażenia o niczém  
gorszém, — rzekł inny.

— A jednakże tak jest. Pół godziny temu jak odebrałem  
wiadomość, że dziś 6 września, Lavalle doszedłszy do kaplicy  
Merlo, rozpoczął rejeradę o szóstej po południu. Dla mnie jest to  
porażka naszej sprawy na długie lata, a to ważniejsze zaprawdę niż  
rozbitcie jednego oddziału.

Długie milczenie nastąpiło po tém objawieniu. Mróz ściął  
lodem krew we wszystkich sercach: takiej wiadomości najmniej  
się spodziewano.

Edward przerwał milczenie.

— Jednakże Bello nie dopowiedział wszystkiego. To prawda  
że Lavalle się cofnął, lecz wiadomo że idzie uderzyć na Lopeza,  
który go niepokoi od tyłu; a potem uwolniwszy się od tój przeszkody  
powróci znów żeby działać przeciw Rozasowi.

— A to rzecz jasna, — odezwał się inny. Teraz pojmuję.  
Ten cały strach którego nam napędził Bello, tyle tylko ma podstawy,  
jle odwłoka zwycięstwa na dni kilka.

— Niewatpliwie, — rzekli inni. Niezawodnie.

— Myślcie moi panowie jak wam się podoba, — odrzekł  
Daniel, a dla mnie to rzecz skończona. Dla powodzenia Lavalla  
potrzeba było koniecznie więcej mieć na względzie stronę moralną  
niż materyalną siłę Rozasa. Chwila stracona. Duch odżyje  
w liczném stronnictwie federacyi i skoro ochłonie z pierwszego  
wrażenia, dziesięć razy będzie silniejszém niż my. Za dwie godziny  
w tój chwili, Lavalle mógł opanować Buenos-Aires. Jutro już tego

nie dokaże. Lopez go wyciągnie z naszej prowincyi a tymczasem Rozas wystawi nowy oddział z tyłu za nim.

Milczeli znów wszyscy zgnębieni smutkiem.

— Ale trzeba udzielić innym tę wiadomość, — odezwał się nareszcie któryś.

— Jakim innym? — spytał Edward.

— Jakże! alboż w tej stronie miasta niema innego zebrania naszych?

Daniel uśmiechnął się że tak powiem okropnie, gdyż na wyrazistej jego twarzy odmalowała się zarazem ironia i pogarda.

— Nie panowie, żadnego zebrania oprócz tutejszego niema. Dwa tygodnie temu otrzymałem przyrzeczenia czterdziestu, później zmniejszyła się liczba do trzydziestu, wczoraj już tylko dwudziestu znalazłem, a dziś rachuję was i widzę niewięcej jak dziesięciu. A wiecież wy co to znaczy? to filozofia dyktatury Rozasa. Nasz nałóg niezgody w najoświecieńszej części społeczeństwa, brak stowarzyszenia się do czegokolwiek, nasze życie jednostkowe, nasze odretwienie, nasze niedbalstwo, nasz egoizm, nasza nieświadomość tego co może zbiorowa siła ludzi: to wszystko trzyma nas pod jarzmem Rozasa, i to sprawi, iż jutro nam po jednemu głowę polecina wszystkim, a nie znajdzie się czterech ludzi, którzyby sobie podali ręce dla wzajemnej obrony. Zawsze będzie zmyśleniem wolność, zmyśleniem sprawiedliwość, zmyśleniem godność ludzka i postęp i cywilizacja także zmyśleniem, tam gdzie ludzie nie zjednoczą myśli swojej i woli, po to żeby wszystkim być solidarnymi za krzywdę każdego, żeby się wszyscy cieszyli dobrem każdego, słowem żeby wszyscy żyli w wolności i w prawach każdego pojedynczo. Ale tam gdzie się nie znajduje nawet dwudziestu ludzi chcących połączyć los swój i życie, w dniu, który stanowi o wolności i szczęściu ich kraju i ich samych, tam z konieczności musi być rząd taki jak Rozasa, i tam on jest właściwy i na swoim miejscu. Dzięki wam moi przyjaciele, chlubne wyjątki naszego skarłałego pokolenia, które odziedziczyło po przodkach tylko ich przywary ale żadnej z ich cnót. Dziękuję wam raz jeszcze. Teraz już niema na jutro ojczyzny jak mieliśmy nadzieję; lecz musi być za rok, za dwa, za dziesięć, kto wie! Musi być jeżeli nie dla nas, to dla naszych synów. I w tym celu od dzisiaj rozpocząć nam trzeba z innym programem pracę nieustającą, mozolną, wolno postępującą lecz owocną z czasem. Pracę wychodztwa, pracę propagandy na wszystkie strony, każdej godziny, bez wytchnienia. Pracę oręża w poruszeniach wojennych, pracę słowa i pióra gdzie choć czterech słuchaczy użyć nam ucha zagranicą, bo choć niektóre ze słów tych wkradną się do ojczyzny z powietrzem, ze światłem, z falą. Moja obecność jeszcze na jakiś czas potrzebna w Buenos-Aires; ale wam już tu niema co robić. Dotąd usiłowałem być tamą wychodztwa; dziś zmiana sceny, i będę jej pomostem. Dalej więc na tułactwo. Ale zawsze krążąc pod wrotami swojej ziemi, zawsze w nie kołacząc. Zawsze dając uczuć barbarzyńcy, że wolności echo

nie zaniemiało; zawsze go trzymając w walce aby wyczerpywał swoją siłę, swoje środki, nawet swój terroryzm. Otóż taki nasz program na lat wiele. Wstępujemy w walkę krwi, ducha, życia. Ten z nas co drugich przeżyje, kiedy wolność odzyskaną zostanie, niech naucza swoich synów że wolność ta nie potrwa długo, jeżeli społeczność nie będzie jednym mężem do jej obrony, że mieć nie będą ojczyzny, swobody, ani praw, ani religii, ni cnót publicznych dopoki duch zjednoczenia nie wytepi raka indywidualizmu, który był i jest sprawcą nieszczęść naszego pokolenia. Uściskajmy się, do widzenia na obczyźnie!

Zży płynęły po twarzach wszystkich, tak niedawno jeszcze rozjaśnionych nadziejami, marzeniem o wolności i zwycięztwie... i po chwili w tém miejscu bolesnego rozczarowania, pozostał już tylko jeden dla pochowania broni i pozamykania drzwi.

I my zamknijemy ten smutny rozdział, w którym *powieść* była najrzeczywistszą *historią*; gdyż zebranie takowe i w takichże okolicznościach miało w istocie miejsce dnia 6 września 1840 roku.

## XI.

### P r a w o  g ł o d o w e .

Niepodobieństwem jest dać poznać w pobieżnych powieści szkicach stan ogólny Buenos-Aires, po cofnięciu się wojska oswobodzicieli.

Umysł nie mógł przyjąć do siebie z odurzenia w jakie wprawiła je ta wiadomość: dręczyła je straszliwie walka gorączkowa nadziei z rozczarowaniem. Jeszcze się spodziewano z każdym tygodniem, z każdym dniem co mijał, powrotu Lavalla ku Buenos-Aires po pobiciu Lopeza. A tę nadzieję podtrzymywały gazety i listy z Montewideo, przybywające kontrabandą dwa lub trzy razy w tygodniu.

Pisma te kręślone z namiętnością i zapałem, wytrwałością i fantazją, jakie tylko w rzadkich chwilach życia narodowego daje się spotykać, jak rozpalone żelazospadały na stygnący umysł. I namocy faktów fałszywych, wymyślonych szczegółów, przypuszczeń bezzasadnych, wyrabiata się w wielu stanowcza wiara, nadzieja niezachwiana.

Terroryzm wszystko pokonał.

Rozas posiadając klucz do zagadki swego rzeczywistego tryumfu, myślał już tylko jak zemścić się nad przeciwnikami, i jak do reszty znękać i pobić ducha ogółu ciosami terroryzmu. Ręka jego zerwała groblę, a mashorka rozlała jak krwawy potok.

Ludność osłupiała, a w panicznym strachu szukała ocalenia i ratunku w najbłachszych pozorach.

Mniej niż w przeciągu tygodnia miasto całe umalowało się na czerwono. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy z pędzlem w ręku,

malowali bramy, drzwi, okna, kraty, zewnętrzne gzymsy, całemi dniami a często aż późno w noc. I kiedy jedna część rodziny tém się zajmowała, druga obwijała, ukrywała, wymazywała lub niszczyła co tylko wewnątrz domu mogło mieć prążkę błękitną albo zieloną. Była to praca duszy i ciała od świtu do świtu, a jednakże nikomu nie zapewniła bezpieczeństwa jakiego w niej szukano.

Większa część domów pozostały bez służących. Miast o zamieniło się jakby w cmentarz. Tylko z tarasu na taras, albo przemykając się chyłkiem z domu do domu, sąsiedzi udzielali sobie wzajem wiadomości o czynach *mashorki*.

Przesławny ten klub morderców przebiegał ulice dniem i nocą, strasząc, zabijając, rabując, a jednocześnie w *Santos-Lugares*, w więzieniu i po koszarach komendantów Marinio i Cuitinio wtórowały jęć do chóru jęki konających ofiar.

Wejście *mashorki* do jakiego domu przedstawiało szatańskie widowisko zgiełku, brutalstwa i zbrodni, jakiego nie znajdzie się przykładu w dziejach najsrozszych barbarzyńskich tyranów.

Wpadali gromadami po ósmiu, dziesięciu, dwunastu. Jedni zaczynali wybijając szyby wśród krzyków; drudzy zajęli się ciskaniem w dziedziniec porcelany i szkła, także krzycząc: inni rozbijali szafy i komody. Ci z pokoju do pokoju, z dziedzińca w dziedziniec gonili bezbronne kobiety, smagając je wielkimi batogami, rzucali je na ziemię i włosy nożami ucinali; a tymczasem tamci jak psy wściekłe szukali pod łózkami i po wszystkich kątach mężczyzn, panów domu, i jeżeli znaleźli mordowali ich lub wywlekali na ulicę aby tam morderstwa dokonać. I wszystko to wśród hałasu, zgiełku i wrzawy piekielnej, do której łączył się płacz dzieci, niewiast jęki, i ostatnie chrapanie ofiary.

Po sąsiedztwie rozbiegał się popłoch: i Bóg tylko jeden zna te modły, które przed tron Jego niosły matki tulące w objęciach drobną dziatwę, dziewice wzywające opieki dla swojej niewieściej części, miłosierdzia dla ojców, litości nad mordowanemi!

Postrach już nie miał granic. Duch był zgnębiony, upadły, zabity. Przyrodzenie uczyniło rozbrat z sobą samém. Ludzkość, społeczeństwo, rodzina, wszystko się rozlutowało, rozerwało.

Przytulku nie było nigdzie dla nikogo.

Drzwi zamykały się przed bliźnim, przed przyjacielem, przed krewnym, i ofiara biegła przez ulicę, kołatała do domów, do klasztorów, do zagranicznych ambasad, a dłoń konwulsyjna i blada dotykała jęć piersi i drżący głos mówił:

— Nie, nie, na Boga, przyjdą tu i zginiemy wszyscy. Nie, precz! precz! i nieszczęsny oddalał się, biegł, błagał, a nawet ziemia się nie rozłapała by go we wnętrzościach ukryć. . .

Najdawniejsi szczerzy federaliści, jedni ministrowie, drudzy deputowani, generałowie, urzędnicy, drżeli także. Nikt nie wiedział czy głowy rzucone na traf losu, czy też sporządzona została lista męczeńska i oddana w ręce *mashorki*.

Nie był to cios nagły, doraźny, jak Sycylijskie *nieszpory*, jak *jutrznia* Ś-go Bartłomieja. Ten był długo trwały i odtwarzał się z coraz to straszliwszą i dzikszą srogością, a duch coraz głębiej w otchłań grobową zapadał, bo życie zagrożone każdym słońca wschodem, każdym uderzeniem godziny.

Lecz nóż nie mógł całej dosięgnąć rodziny: matka, niemowlę, dziewica, nie umierały. Setki ludzi uchodzili śmierci. Zemsta Rozasa nie była zupełną a tak być nie powinno. Potrzeba ciosu któryby spadł na życie wszystkich, na wszystkich los, któryby dosięgając wszystkich, nateraz i w przyszłości ich zabił.

I wśród szlochania, przestachu i śmierci, przy błysku sztyletów *mashorki*, lud Buenos Aires czytał barbarzyński dekret z 16 września 1840 roku, który oddawał na pastwę nędzy i głodu wszystkich którzy byli albo których Rozas chciał aby byli unitaryuszami.

W jednej chwili tysiące rodzin spadało z dostatków w ostateczną nędzę, zmuszone w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu zbierać przytułku i kęska chleba, wyrzucone z własnych domów, obdarłe nawet ze sprzętów i z najkonieczniejszych do życia przedmiotów. Bowiem wszystkie „dobra ruchome i nieruchome, prawa i akcye jakiegobądź rodzaju, należące do unitaryuszów podpadają konfiskacie“ — opiewał ów dekret, który był jawnym rozbojem na wielkim gościńcu.

Pod miano unitaryuszów podciągnięto nietylko wychodźców, nie tylko działających jawnie lub skrycie przeciw dyktaturze; lecz mnóstwo ludzi najspokojniejszych, najzupełniej niewinnych, nawet cudzoziemców którzy się do niczego nie mieszcali: wszystkich co nie pracowali dla Rozasa.

Nie stanowiło wyjątku mienie żon, dzieci, i t. p., nie znalazły uwzględnienia nawet prawa wierzycieli, spółników, lub kogokolwiek trzeciego. Był to prawdziwy rabunek majątków dopełniony w sposób jak najbardziej samowolny i brutalny. Jakież sądy lub władze wyrzekały o winie podciągającej pod kategorię dekretem objętą? Tylko sam Rozas. Jakież śledztwa i przekonanie o zbrodni poprzedzało wykonanie wyroku? Żadne.

W taki to sposób prawo własności pogwałconém zostało przez tych którzy mieli bezczelność mianować się sami restauratorami i obrońcami praw Montesquieu, Constant, Guizot i tylu innych szanownych publicystów mogli się nie trudzić wykładaniem swoich zasad. Restauratorów La Platy przeznaczaniem jest oświecić ludzkość w prawdziwej socyalnej doktrynie.

Dekret ów sam jeden zawierał w sobie więcej nieszczęść i łez więcej aniżeli cały długi szereg przestępstw Rozasa. Ludność oko w oko ze śmiercią nie mogła sobie na razie zdać rachunku z całej doniosłości tego wyrafinowanego aktu zemsty.

I przez ten czas gdy ona w dreszczach i konwulsyjnych targaniach, pomiędzy sztyletem, głodem, rozpaczą i strachem, wojsko wybawcze za Lopezem w pogoni, oddalało się, i oddalało nazawsze:



a ludność tułacza na drugim brzegu La Platy rzuciła się w objęcia nowej nadziei z przybyciem do Montewideo vice-admirała Mackau: i ta nadzieja miała się aż nazbyt prędko rozprószyć.

Przybywszy do Montewideo pan Mackau objawił chęć poznamienia się gruntownie z kwestyą i jej położeniem; otrzymał obszernie objaśnienia stwierdzone autentycznymi dokumentami od pana Buchet Martigny; mnóstwo osób prywatnych wysłuchał pozornie z zajęciem i uwagą; odebrał akt opatrzony bardzo wielką liczbą podpisów, a wyrażający myśl i pragnienia ludności francuzkiej w tych krajach.

Lecz pod pozorem roztropnej ostrożności jakiej położenie jego wymagało, nigdy otwarcie nie objawił żadnej swojej myśli, nawet przed ministrem stanu orientalnego rządu. Odezwanie się admirała zawsze się kończyło na takich lub podobnych słowach: „Stanowisko moje wielce jest drażliwe; moje sympatye nader są żywe dla spraw orientalnej i argentyńskiej; trzebaby serca nie mieć żeby ich nie czuć: uczynię dla nich co tylko da się pogodzić z moimi obowiązkami“ — Do takich frazesów dołączył się niekiedy objaw niezbyt pospolity w dyplomacyi, wzruszenie i łzy admirałskie!

Jednakże pomimo tych czułości, pełnomocnik francuzki dawał do zrozumienia, iż ani rzeczypospolitą orientalną, ani wojsk zostających pod rozkazami generała Lavalle, Francya nie uznawała za sprzymierzeńców, przyjmując w nich tylko pomoc trafunkiem sobie nadarzoną.

Ale wychodztwo odzywało się głośno, że Orientale i Argentyni mają prawo do pomocy ze strony Francyi aż do zakończenia sporu z Rozasem, odwołując się do sprawiedliwości, do honoru, względów przyzwoitości.

Admirał miał się udać do Buenos-Aires w pierwszych dniach października; i tam się znów rozbija ostatnia nadzieja téj chwili o nowy dla Rozasa tryumf. Lecz chociażby nawet ostatnie słowo tych negocyacyj niekorzystnym było dla Rozasa, nie w mocy jego zatamować krew w otwartych żyłach nieszczęsnego ludu.

Rokowania francuzkie już tylko nadzieją były dla wychodźców; dla mieszkańców Buenos-Aires nie było innej nadziei jak w Bogu.

Więzienia się przepelniały, ulice krwią broczyły, ognisko domowe pogwałcone.

Matki chciałyby synów wrócić do łona, które je na świat wydało.

Każde spojrzenia na nich ojca było pożegnaniem duszy, przedśmiertnym błogosławieństwem, bo każdej chwili mógł być w pośród nich zamordowanym.

Powietrze i światło niosły do Boga niewystowioną modlitwę całego narodu, nad którego głową śmierć rozpostarła szerokie, czarne skrzydła...

## XII.

## Przytułek angielski.

W niewiele dni po owój nocy nadziei i rozczarowań dla dziecięciu młodzieży zebranych w magazynie przy *Uniwersyteckiej* ulicy, powóz ciągniony przez dwa ogniste rumaki zatrzymał się przed willą pana ministra Jéj Kr. Mości W. Brytanii.

W przejeździe ekwipaż ten zwracał na siebie niepomału uwagę widzów i słuchaczy, bowiem w dniach tych federalnego republikanizmu, powozy bywały pochowane, a większa część koni ofiarowane Restauratorowi, lub federalnie postrojone.

Woźnica otworzył drzwiczki i wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich wszakże pozostał chwilę z nogą na stopniu, i z połową postaci pochyloną wewnątrz powozu gdzie się rozmówił półgłosem z kimś, co się nie ruszył z siedzenia na którym przyjechał.

— Pamiętaj-że pan dokładnie wszystko, — mówił wysiadający, — a za powrotem zastaniesz nas tutaj.

— Dobrze, — odparł siedzący, — lecz jeśli mię ojciec Gwardyan zapyta. . . ?

— Już powiedziałem panu sto razy. Nie odpowiadać wprost na żadne pytania. Chodzi tylko o to czy zechcą lub nie przychylić się do prośby, za jaką bądź cenę; pieniędzy nie żałować: oto i wszystko.

— I koniecznie ma być on moim siostrzeńcem ?

— Albo synem.

— Co też ty mówisz! moim synem! ja, co . .

— No to kuzynem, chrzestniakiem, czém sobie pan chcesz.

— Niech-że Bóg będzie natchnieniem moich kroków!

— A zwłaszcza słów pańskich. Za małą godzinkę powrócisz pan. Do widzenia, kochany professorze.

— Bądź zdrów, Danielu, bądź zdrów.

Młodzieniec zamknął drzwiczki, dał znak woźnicy którym nie był kto inny jak wierny Fermin, i powóz odjechał.

Pan Mandeuille był u siebie, i Daniel wraz z towarzyszem zostali wprowadzeni do salonu gdzie właśnie zapalano światło.

Minister wszedł ze zwykłym sobie obliczem pełnym dystynkcyi i świeżym pomimo lat, w zapiętym surducie, w batystowych mankietach spadających na białe i wypieszczone ręce, i z ową trudną łatwością obejścia, jakię się tylko w ciągłym obcowaniu z wyższym towarzystwem nabywa, podał rękę Danielowi mówiąc:

— O, co za szczęście! Nigdy sobie nie wyobrazisz panie Bello, jakim zaszczytem, jaką przyjemnością dla mnie jest bytność pańska w moim domu.

— Panie Mandeville, — odpowiedział młodzieniec ściskając podaną sobie dłoń dyplomaty, — nigdy nie udzielam zaszczytu

i przyjemności tylko w zamian za wielki zysk w téjże saméj monecie. Mam przyjemność przedstawić panu mojego dobrego przyjaciela, pana Belgrano.

— A! pan Belgrano; już dawno pragnąłem go poznać. A to prześliczny wieczór wyprawiasz dla mnie prawdziwie, panie Bello.

— Za szczęście sobie poczytuję, — rzekł Edward, — iż nazwisko moje znaném jest panu Mandeville.

— Cóż pan chcesz? jam już stary, a lubię nadzwyczajnie towarzystwo pięknych pań Buenos-Aires, i od nich się ucę na pamięć wszystkich nazwisk czoła tutejszój młodzieży.

— Każdy wyraz pański jest wielce pochlebną grzecznością, panie Mandeville, — odpowiedział Edward, nie wiedząc sam jak się wdroić w tę wyszukaną grę jedwabnych słówek, która stanowi jeden z głównych przywilejów towarzystwa wytwornych salonów i dyplomacyi europejskiej, a która niewłaściwą była ani charakterowi ani nawykniom młodego Argentyna.

— Nie, nie, nie tylko sprawiedliwość, panie Belgrano. Nam starym nie długo już przyjdzie zdać Bogu rachunek z naszych postępów, każdemu z nas zatem szczególniej trzeba się starać być zawsze sprawiedliwym i rzetelnym. Panie Bello, widziałeś pan dzisiaj Manuelitę?

— Dzisiaj nie, panie Mandeville.

— A, coż to za czarujące dziecię! Nigdy nie mogę się z nią dosyć nagadać i napodziwiać. Nie jednym się zdawać może iż moje wizyty mają polityczne cele przy Jego Ekscellencyi; a to wcale co innego: ja w towarzystwie téj niepospolitój panienki szukam jakiegoś rozjaśnienia dla umysłu interesaini przygniecionego. W Londynie panna Manuela robiłaby furorę.

— A jój ojciec? — spytał Edward, na którego jakby policzek spadło spojrzenie Daniela.

— Jój ojciec... pan generał Rozas... widzisz pan w Londynie...

— W Londynie zdrowie nie służyłoby panu Gubernatorowi, — podchwycił Daniel dla wyprowadzenia ministra z kąta w którym go przyparł jego przyjaciel.

— O, klimat londyński szkaradny! Byłeś pan w Europie, panie Belgrano?

— Nie, panie; lecz mam zamiar podróżować w nięj przez lat kilka.

— A prędko?

— Nie tak prędko jak nam tu przybył pan Mackau, — rzekł Daniel chcąc dać nowy zwrot rozmowie dotąd tak nietreściwój.

— Jakto! to przybył vice- admirał Mackau?

— To pan o tém nie wiedziałeś?

— Słowo daję. Tutaj?

— Nie, do Montewideo, przedwczoraj o pierwszój.

— I wię o tém już Jego Ekscellencya?

— Skoro ja wiem, jakże można przypuszczać żeby nie wiedział pan gubernator.

— A prawda, prawda. Lecz dziwna to rzecz że Komodor nie mi nie doniósł... Takim sposobem wchodzimy w kryzys — mówił Mandeville bawiąc się paznogcami, jak miał zwyczaj kiedy go jakaś myśl zajmowała.

— Jest i coś lepszego.

— Czy jeszcze jaka wiadomość ważna?

— Bagatelka, panie Mandeville. Wszak wiadomo panu że dotąd wszyscy mniemaliśmy iż wyprawa francuzka przybędzie w nieprzyjaznej postawie?

— No tak, a więc cóż?

— To tylko że zjawia się z zamiarami całkiem pokojowemi.

— A! to bardzo szczęśliwie!

— Dla nas tu.

— Dla wszystkich, panie Bello.

— Tylko nie dla kwestyi wschodniej. Jeden kłopot z głowy Francyi, to jest jedna zawada więcej dla europejskiego pokoju w tój chwili.

— To być może po części.

— Właśnie mówiliśmy o tém z panem Belgrano, iż gdyby Anglia miała jaki w tém interes aby zatrudnić Francję tą sprawą La Platy, dziś miałyby do tego pyszną sposobność.

— Jednakże... jeżeli baron de Mackau ma instrukcyje do uprzątnienia tych zajęć na wszelki przypadek, przyznam się panu iż nie widzę jakby Anglia mogła zapobiedz tym układom, w przypuszczeniu czysto fantazyjnym, iżby w tém miała jakowy interes.

— Tutaj nie, lecz we Francyi mogłaby przeszkodzić potwierdzeniu traktatu, wytknięciem nieformalności, której nie dostrzegą we Francyi, a która popsułaby wszystko, gdyby gabinet angielski oświecił o niej opozycję i nad tém popracował. To jest obawa o której właśnie rozmawialiśmy z panem Bello, — rzekł Edward.

Mandeville przenikliwém okiem wodził z jednego na drugiego, chcąc pochwycić myśl tych młodych ludzi, która mu się ciągle wymykała.

— W czémże-by to mogła być nieformalność? — zapytał dobrodusznie.

— Ni mniej, ni więcej, jak w podpisie pana gubernatora.

— Jakto?

— Oto unitaryusze w Montewideo mają zrobić panu Mackau przedstawienie, które do pewnego stopnia silnym może być argumentem, że podpis gubernatora jest nieprawdziwy. Wyobraź sobie pan jak oni rozumieją: że admirał Mackau choćby miał polecenie do układów, to niema z kim traktować, gdyż Rozas nie jest rządem, ani żadnego nie posiada pełnomocnictwa do układania się w imieniu argentyńskiego narodu.

— Jednakże jest to rząd *de facto*, — odrzekł Mandeville, — anbasadora nie jest rzeczą sprawdzenie jego legalności.

— Na ten argument odpowiadają unitaryusze, iż admirał mógłby z generałem Rozas jako z prostym gubernatorem prowincyi Buenos-Aires robić układy dotyczące się li tylko prowincyi Buenos-Aires; lecz jeżeli przybywa w celu traktowania z rządem przedstawiającym na zewnątrz władzę całego państwa, to taki rząd w tej chwili nie istnieje.

— W tém jest może nieco słuszności, w istocie, — rzekł Mandeville z roztertaniem.

— Unitaryusze utrzymują, — mówił dalej Daniel, — iż prowincye argentyńskie nigdy nie udzielały pełnomocnictwa do spraw zagranicznych rządowi Buenos-Aires raz na zawsze; lecz tylko wyjątkownie gubernatorowi obieranemu w legalnych peryodach. Ze generał Rozas mianowanym będąc na lat pięć, te już się spełniły w marcu roku bieżącego, a zarazem skończył się termin jego upoważnienia od prowincyi. Potrzeboby odnowienia mandatu a tymczasem tenże został mu odjętym przez tych właśnie, którzy mu go nadali.

— Coś nie coś o tém czytałem w dziennikach z Montewideo, — odparł Mandeville coraz bardziej się zamysłając.

— To jest czytałeś pan dokumenta urzędowe w gazetach.

— Nie tak właściwie dokumenta . . zresztą nie przypominam sobie dobrze.

— I ja także nie zupełnie, ale zdaje mi się że tam były pod datami kwietnia i maja wszystkie proklamacye Izb każdej prowincyi, któremi one odbierały generałowi Rozas pełnomocnictwo do spraw zagranicznych. I ztąd wykazują unitaryusze, że z czternastu prowincyj rzeczypospolitej, siedm odjęło mu upoważnienie do traktowania w swoim imieniu.

— Czyż admirał Mackau może mieć w ręku owe dokumenta?

— Czyż można o tém wątpić? I łatwo przewidzieć, iż gdyby on na mocy swoich instrukcyi posunął się do zawarcia układów z generałem Rozas pomimo jego prawnej niezdolności, traktat z tak radykalną nieformalnością odrzuciłaby opozycya francuzka, albo ministeryum znalazłoby się w bardzo kłopotliwym położeniu. I jestem pewnym iż gdyby szczerza polityka rządu angielskiego zdolną była do poświęcenia na swoje korzyść przyjaznej sobie rzeczypospolitej argentyńskiej, w celu tamowania dróg rządowi francuzkiemu, w takim razie panie Mandeville, nie wielebyśmy zyskali na przybyciu pana Mackau. Lecz o tém nie wątpię także, iż rząd angielski nie zrobi ofiary z sympatyj argentyńskich, ani dla sprzeciwienia się Francyi, ani nawet dla spożytkowania reakcyi jaka w Bandzie Oryentalnej obudzi się na rzecz Anglii.

— Jakto, jakto, panie Bello?

— To chcę powiedzieć, że po zawodzie doznanym ze strony Francyi, w rzeczypospolitej zarzecznej i w liczném tam wychodztwie argentyńskiem, wpływ francuzki ulegnie wcale nie korzystnej przemianie w opinii publicznej. A ztąd loicznie nastąpi zwrot sympatyi ku Anglii, która niegdyś dopomogła wdaniem się swoim do niepod-

ległości Bandy Orientalnej. Tak więc co straci Francya, o tyle zyskałaby mogła Anglia na wpływie w krajach tak bogatych w przyszość jak są ziemie La Platy.

— Wiesz panie Bello, że z pana byłby ambasador niebezpieczny dla generała Rozas, — odezwał się Mandeville, który nie urobił ani jednego słówka z całej mowy gościa.

— Mniemam iż przyjaciel mój nie wynurzał własnych swoich myśli, ani podobnego nie miał zamiaru, — zauważył Edward spoglądając z uśmiechem na pana Mandeville.

— Tak istotnie nie w swoim imieniu mówiłem, iż wyobrazam sobie iż musiałem powiedzieć mnóstwo niedorzeczności powtarzając z pamięci gadaniny z Montewideo, a które w tamtejszych gazetach zwykle wyczytuję.

— Panie Bello, — rzekł chytry Anglik, — już teraz nie tyle wdzięczny panu jestem za jego odwiedzin, bo mię one téj nocy pozbawią snu parę godzin, które użyję na zanotowanie sobie niektórych uwag, dla siebie tylko osobiście.

— W dzisiejszych czasach, — odrzekł Bello, — tylko zagraniczni ministrowie mogą sobie robić notatki; ja bym się na to nie odważył. Nikt nie jest wolnym od jakiegoś nieprzyjaciela, od jakiegoś potwarzy: kto może wiedzieć? Jak pan szczęśliwym jesteś, panie Mandeville! Mieszkać w tym domu, to jakby znajdować się w Anglii.

— To są obustronne rękojmie: w Londynie argentyńska ambasada jest rządzoną argentyńską.

— A wiesz pan że nie jedna rzecz mię mocno zadziwia?

— Cóż takiego, panie Bello?

— Oto, skoro w Buenos-Aires jest grunt angielski, i kiedy tyłu się znajduje takich którzyby tysiąc mil drogi odbyli aby w obecnej chwili nie być w tym kraju, dziwi mię to że oni nie poszli o tysiąc kroków żeby dojść do tego domu.

— A tak, lecz...

— Przepraszam pana, nie chcę nic wiedzieć. Jeżeli jacy nieszczęśliwi znajdują przytułek w tym domu pod opieką bandery angielskiej, to ze strony pańskiej jest obowiązkiem ludzkości, a ja nie będę tyle niedyskretnym żebym chciał przeniknąć tę tajemnicę.

— Ależ nie ma nikogo; uroczyste słowo honoru panu daję, że nikt się nie schronił do mojego domu. Moje położenie jest wyjątkowe. Instrukcyje moje stanowczo nakazują mi jak największą zachować oględność. Z najlepszą wolą nie mógłbym przekroczyć moich instrukcyj.

— A więc w takim razie ten dom jest niczém więcej jak każdy pierwszy lepszy?— spytał Edward tonem prawie impertynentkim, który Daniel musiał w przelocie zatrząć.

— Wszyscy pojmujemy pańskie położenie, panie Mandeville. W tych dniach wzburzenia pomiędzy ludem, sam nasz rząd nie mógłby dać rękojmi za niepogwałcalność tego domu, a pan pragniesz uniknąć dyplomatycznych nieporozumień, któreby koniecz-

nie nastąpiły gdyby lud w zapomnieniu się, nie poszanował ambasady.

— Tak właśnie—odrzekł Mandeville szczerze uradowany znalezieniem niespodziewanego rzecznika w trudnej sprawie—i widziałem się w konieczności, w nader przykrą konieczności odmówienia przytułku w moim domu różnym osobom które o to prosiły, ponieważ nie mógłbym ręczyć za ich bezpieczeństwo, a nadto nie wolno mi mojem postępowaniem przyczyniać się do rozjątrzenia umysłów w kraju, dla którego mieszkańców czuję jak najgłębszą sympatyę.

— Słyszałem, Danielu, zajeżdżający powóz, a pan Mandeville także zechce zapewne zwykłe swoje odbyć wizyty—odezwał się Edward ponsowy cały aż po końce uszów.

— O, panie Belgrano, nic dla mnie nie wyrówna przyjemności rozmowy z panami.

— Z tém wszystkiém, mój przyjaciel ma słuszość, i powinnością naszą jest pożegnać pana Mandeville — odrzekł Daniel z uśmiechem i równie grzecznym ukłonem.

Pełnomocnik angielski pozostał w niewiadomości po co przyjechali ci dwaj młodzi ludzie, czém byli rzeczywiście, i co o nim myśleli odchodząc.

(Dokończenie nastąpi.)

## SERBIA.

### Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P . . . . .

### III.

#### Pod tureckim panowaniem.

Kiedy naród serbski stracił swój byt polityczny i obcego pana jarzmo dźwigać zaczął, droga do szerszego i głośniejszego życia zamknęła się przed nim. Kronika, która na swych kartach podawała do potomości sławne imiona wielkich jego bohaterów i zapisywała zdobycze na polu cywilizacyi przezeń osiągnane, już innemi głoskami zaznaczała śla-

dy dziejów, jakie się nad narodem przesuwały: pisała je łzami serc jęczących w niewoli, westchnieniem piersi wdychających do swobody, rozpaczą nad sponiewieraną wiarą przodków, krwią sącząca się wśród mozołu i trudu pańszczyźnianego. Czas głosi te zacierą, któż je odzyska, odczyta? Takich dziejów trzysta z górą lat nad serbską przeszło krainą. Historia nie jest dziś w stanie odtworzyć w szczegółach obrazu niedoli, w jakiej przez trzy wieki pogażeni byli Serbowie. Zresztą wszędzie jednaki los znosić musieli pod Muzułmanów panowaniem wyznawcy chrześcijaństwa.

Ziemia serbska przechodziła w ciągu tego czasu po utracie bytu niezależnego różne polityczne koleje, które się ściśle wiążą z dziejami walki mocarstw europejskich przeciwko Porcie Otomańskiej. Trzeba by wkraczać w dziedzinę różnych dyplomatycznych zawikłań, z jakich się rozdziły wyprawy cesarstwa niemieckiego, Polski i Rosyi celem poskromienia tureckiej potęgi; trzeba by dotykać szczegółów porozrzucanych na szerokiem polu europejskiej polityki, wspomnieć bliżej o tém, jak Belgrad, Serbia i Bośnia chwilowo Turkom wyrwane, przeszły pod władzę Habsburgów i znowu pod dawne wróciły panowanie: są to zaś właściwie dzieje kwestyi wschodniej. Pozostając w granicach przedmiotu, poświęćmy raczej nieco uwagi dziejom Serbów w niewoli tureckiej i trzy z górą wieki ogólniejszym ogarnijmy rzutem oka.

Leży to, jak słusznie powiada Ranke, w zasadzie islamu, że innowierców nie uważając za równych, swojemi sługami być ich mieni. Ktokołwiek nie jest wyznawcą koranu, a więc każdy raja musi być poddanym i niewolnikiem wiernych; takim przekonaniem religijnem rządził się sultan i jego cała rzesza. Nie inne więc losy miały spotkać Serbów: z ludzi swobodnych przeszli na sługi muzułmanów. Wielu z nich przeniosło wygnanie nad nędzny żywot w rodzinnej ziemi. Tysiące Serbów przechodziło po za Sawę, szukając na Węgrzech schronienia. Z początku jeszcze trzymała się, lubo w szczerpłym zakresie swoboda religijna—jeszcze Serbia miała swego patriarchę jako paladium wolności sumienia, ale z czasem i tój tarczy pozbawioną została, kiedy patriarchat serbski od konstantynopolskiego zależnym uczyniono, a patriarcha grecki w Carogrodzie w wielkiej był przez sultana trzymany uległości. Całe duchowienstwo wyższe składało się z cudzoziemców, biskupów Greków, którzy ordynowali wiejskich plebanów z miejscowej ludności, za znaczną zapłatą, prócz tego ciężkie jeszcze wybierali podatki (dymnicę tj. podymne) z każdej parafii. Lud prosty wiejski chował pilnie swój obrządek wschodni, wiarę przodków swoich, ale szlachta prędko się turczyła i powiększała sobą liczbę tureckiej wojskowej szlachty, znanej pod nazwą spahiów. W serbskiej ziemi takich spahiów było tysiące. Względem swego sultana mieli jeden obowiązek: stanąć na każde jego zawołanie pod broń. Stanowili rodzaj ruchomej załogi, rozrzuconej po kraju i utrzymywanej kosztem trudu rolnika, pasterza. Nie mieli oni wydzielonej sobie posiadłości ziemskiej, nie mieli nawet we swym stałym mieszkaniu, nie posiadali władzy sądowej ani prawa zwierzch-



niczego nad ludnością wiejską, ale żyli z owoców pracy rolnika, spahia wybierał dziesięcinę z pola, z winnic i z barci, prócz pogłównego (głównica), które każda rodzina płacić musiała. Niekiedy zamieniano dziesięcinę z plodów naturalnych na opłatę pieniężną i takową wraz z pogłównem wybierano stale w oznaczonej wysokości np. 10 piastrow od każdej rodziny. Tacy spahio wie byli najbliższymi poborcami, ale nie jedynymi, na których lud pracował. Basza lub rzęzca prowincyi miał także prawo korzystać ze swych poddanych w całym obrębie swojej dzielnicy, więc i na rzecz jego wieśniak odrabiał pańszczyznę i płacił w gotowiznie podatek. Gdy basza wymagał od całego kraju zwykłej rocznej sumy, rozdzielano ją na powiaty, wsie zaś między sobą rozkładały ogólny ciężar pieniężny. Zwano ten podatek porząz tj. podatkiem karbowym. Część tego dochodu przesyłano do Konstantynopolu, reszta zaś służyła głównie na pokrycie wydatków miejscowych, także i na utrzymanie janczarów (serb. jeniczarów), którym następnie wydzielano dochody celne.

Wymiar sprawiedliwości był w rękach sułtańskich urzędników. Wyższy mufta albo sędzia przebywał stale w głównym mieście w Belgradzie, w mniejszych miasteczkach na prowincyi w sprawach między rają a mużulmaninem rozstrzygał kadya. I kadya także utrzymywał się z ofiar sądowo-prawnych uiszczanych wyłącznie przez rajów przy różnych aktach sprzedaży, umowy, zamiany i innych. Do egzekucyi wyroków kadya miał dodanego do boku muselima, który nieraz większą od sędziego cieszył się powagą. Łatwo jest dostrzedz, z tego, co się już rzekło, że cały system zarządu opierał się na wszechstronnem wyszukiwaniu ludności. W każdej dziedzinie stosunków społecznych, religijnej, sądowej, administracyjnej cały ciężar spadał na rajów. Obowiązki wszędzie, prawa dla nich żadne. Kraj i ludność uważano za kapitał ogromny, z którego dochód stanowił źródło utrzymania gnuśnych urzędników, chciwego zółdactwa i zbytkownego dworu w Carogrodzie. Nie zawsze jednak — powiada Ranke, nawet i ta drobna miara porządku trzymała się w swych granicach. Od czasu do czasu sami ciemiężcy wszczynają między sobą zatargi. Spahio wie, którzy stale w serbskiej ziemi przebywają, innemi się rządzą widokami jak basza, który tylko czasowo gości w wydzielonej mu prowincyi; janczarzy, którzy silną stanowią korporacją po całym państwie rozlaną, różnią się w swych widokach i ze spahiami i z baszami. Szczęście dla kraju, jeśli żyją z sobą w zgodzie. W czasie rozterek, każdy bez względu na innych dobija się z całym okrucieństwem swego prawa. Wtedy porządek ustaje i nieład jeszcze cięższem na ludność spada brzemieniem.

Ale i między rajami objawia się duch nieuległości a raczej poczucie krzywdy im wyrządzonej, zgwałconego na ich osobach prawa. Kogo ma dosięgnąć niesłusznie miecz karzącej sprawiedliwości, ten rzuca swoją zagrodę, swoją rodzinę, chroni się na szczyty gór, do lasów, zostaje rozbójnikiem, hajdukiem. Tu już prawdziwa panuje swoboda. Towarzysze wspólnej niedoli łączą się w większe koło, wybierają naczelnego dowódcę Harambaszę i czatują na swoje zdobycz, na Turczyzna

przewożącego podatki do Carogrodu. Ale z tém wszystkiem hajduk w przekonaniu własném jest uczciwym człowiekiem, towarzyszewi swemu dochowuje wierność niezłomną. Na zimę szukają schronienia w pobliskich siolach u wieśniaków, którzy ich przechowują (jataki). Z wiosną znowu w góry i lasy, znowu w większe gromadzą się grono, a gdy spostrzegą że brak im jednego towarzysza, wszyscy za obowiązek uważają zemścić się za śmierć jego.

Nie ulega wątpliwości, że ten żywioł hajducki wprowadzał do spokojnego życia narodu pewien pierwiastek ruchliwy, budził wspomnienia i podtrzymywał zamiłowanie do oręża wśród ludności, której używanie wszelkiej broni było surowo zakazane. W razie ruchawki ogólnej z góry przepisanej, wieśniak serbski występował z kijem lub pałką. Ludność całą uważano jako bezbronną trzodę, której obowiązkiem jest bez szemrania ulegać.

Największego upokorzenia doznawał raju przy spotkaniu się z Turczyнем. Nigdy niewolno było Serbowi wjeżdżać konno do miasta, tylko pieszo mógł wchodzić w bramy miast. Na każde zawołanie Turczyна musiał spełniać posługi. Przy spotkaniu się w drodze za miastem z Turczyнем musiał się zatrzymać, wyminąć a jeśli przypadkiem miał drobną broń przy sobie przeciwko napastnikowi, trzeba ją było zasłonić. Znosić obelgi było jego obowiązkiem, wywzajemnić się—karygodném przestępstwem. Na szczęście ustroj polityczny ułatwiał zupełny między wiejską a miejską ludnością rozdział. Jeżeli podróżnik w końcu przeszłego wieku przez serbską przejeżdżał ziemię, najwięcej go uderzała gwałtowna między wsią a miastem różnica. W miastach, twierdzach mniejszych lub większych mieszkali Turcy, po wsiach Serbowie.

Jak basza we własnych widokach niechętnie widział, jeśli się Turcy po kraju wólczyli, tak Serbowie znowu radzi miasta unikać. Niejeden Serb się zestarzał i nigdy miasta nie widział. W tych formach życia społecznego właśnie najpomyślniejsze znalazły się warunki, które nie pozwoliły przytłumić, ujarzmić narodowego ducha. W ustroniu wiejskiem, dokąd tylko zaglądał chwilowo poborca lub czasowo zatrzymywał się janczar przejeżdżający, przechowywał się niezmiennie obyczaj narodowy; lud sielski trzymał się wiary swoich przodków i w sercu chował pamięć dawniej swobody, dawniej świetności swego kraju. Nie przestawał śpiewać swoich pieśni, w których swoje żale wywodził i którym najdroższe swoje powierzał nadzieje.

Już na schyłku trzeciego wieku niedoli i niewoli serbskiej zaczęła świtać gwiazda lepszych dni, lubo jeszcze nie jedna czarna godzina nawiedziła serbską krainę. Lud nie przeczuwał, że się znajduje na progu nowego życia. Nie na horyzoncie europejskiej polityki, ani w nowój konstelacyi mocarstw, lub w interwencyi zagranicznej szukać należy pierwszych promieni pogodniejszej doli, ale w zmianach wewnętrznych, jakie się w końcu XVIII wieku dokonywały w samój Turcyi.

Sułtan Selim III przedsięwziął myśl przekształcenia swojego państwa, chciał pod pewnym względem znieść wieki średnie i nową w niem rozpocząć erę. Ten ruch powszechny preradzających się w sobie państw na Zachodzie udzielił się także i Turcyi. Węgielnym kamieniem, na którym się opierała cała monarchia sułtana, była kasta wojskowa—janczarów, rodzaj feudalnego rycerstwa. Selim III rozpoczął szereg przekształceń dla postawienia swój siły wojskowej na odpowiedniej stopie. Wzmocnił marynarkę, budował twierdze, urządzał artylerję, sprowadzał inżynierów francuzkich, odnawiał, co-kolwiek było starém, nadgnidém. Nowe urzãdzenia wydały się prawowiernym wynawcom koranu prawdziwém odszczepieństwem. Mię-dzy zwolennikami starego porzãdku, a takimi niemal wszyscy byli, objawiało się niezadowolenie. Najgłośniej szemrali janczarowie, widząc, jak nowe przekształcenia znaczenie ich podkupują. Ze wszystkich janczarów, najjadliwszemi wrogami nowych porzãdków byli ci, co w Belgradzie leżeli załogã. Wyuzdani, niesforni, bez karności wojskowej byli plagã egipskã dla prowincyi. Naczelnicy ich tak urosli w dumę, iż się dahiami nazywali. Przed niemi ustąpić musiało wszelkie prawo baszy, spahiów, w końcu i samego sułtana. Podnieśli rokosz, dowódzca ich Bego Nowlianin zajął twierdzę Szabac na Dunaju i ztąd opierał się wszelkim reformom Hadzi Mustafy, baszy wielce względem ludności serbskiej łagodnego. Rokosz przybrał groźniejsze rozmiary, kiedy z janczarami połączył się również wszelkim zmianom nieprzyjazny Paswan-Ogłu wielko-rzãdca z Widynu. Paswan-Ogłu stanął na czele najemnego żoldactwa, które z różnych stron posprowadzał. Byli to tak zwani Kardzałje. „Dla was będą łupy, mówił przyjmując ich, ja tylko sławy żãdam“. Miał obok siebie 10 tysięcy kardzałjów, dowodzonych przez bimbaszów i buljakbaszów. Hadzi Mustafa, którego Serbowie dla jego przyjaznego sposobu myślenia, jego troskliwości o ich dobro, serbskã majkã (tj. matkã) nazywali, gdy widział od wschodniej granicy nadciągające niebezpieczeństwo—kardzałjów pod sprawã Paswan-Ogłu, odezwał się do Serbów, przedstawił im że lepiej częśc dobytku sprzedać i broń zakupić, jak wszystko stracić. Słowa nie były daremne. Hajduków zbiegła się moc ogromna, wieśniacy takżę chętnie porzucili swe zajęcia i stanęli pod broniã. Na Turczynã biegli wszyscy z zapãtem. Rokoszanie nieraz doświadczyli na sobie siły serbskich wojowników. Ale burza uciszyła się niebawem. Sułtan pogodził się z janczarami. Dawny porzãdek wrócił. Hadzi Mustafa został znienacka zabity, ten, który ośmielił się rajów podburzyć przeciwko wiernym. Lud zaś serbski dostał się pod jarzmo dahjów i janczarów. Zemsta nowych zwierzchników krwawe swe szpony rozpuściła po całym kraju. Spahiowie, posiadacze dziesięcin i pogłównego zostali wypędzeni, ale najcięższa kara dotknęła Serbów. Wszędzie zapanował niesłychany ucisk nowych ciemiężców. Urzãdnicy janczarów dopuszczali się gwałtów, rabunku, nawet domów bożych nieszczędzili. Zbrali się odważniejsi kniaziewie wiejscy i napisali do sułtana: „Zrabowani i złupieni przez djahów doszliśmy do tego, że się już tylko łykciem opasujemy;

lecz na t6m ciemniejszy nie poprzestaj6, gwa6c6 nasze sumienie, nasz6 cze66; m6ż nie jest pewny żony, ojciec c6rki, brat siostry; zniowazaj6 wszystkie, klasztor i cerkiew, mnicha i popa: je6li jeste6 jeszcze naszym carem, przybywaj i zbaw nas od ciemniejszych; je6li za6 nie chcesz nas ocali6, daj nam zna6, aby6my si6 schroni6 mogli w g6ry i lasy, lub życie nasze w wodach rzek zako6czy6.“ Skarga odniosła niepoż6dany dla Serb6w skutek. Groźne s6wa sultana, iź przy6le obcych narodowo6ci wojska na ich poskromienie, zrozumieli dahowie w ten spos6b, iź przezto miejscowych Serb6w miano na my6li. Wi6c t6pi6 ich, mordowa6 pocz6li janczarowie, ktokolwiek z kniazio6w niebezpiecznym si6 wydawa6, tego pozbawiali życia, po drogach chwyтали ludzi, wpadali do wsi i mordowali. Przestrach ogarn6ł kraj ca6y, kr6żyła pog6oska, że wszystkich wygubi6 zamierzaj6. Tylko starcy i niemowl6ta we wsiach pozostali, m6dziej, ojcowie pobiegli w g6ry, lasy zaludnia6 si6 zacz6ly. Kryj6wki hajduk6w nie by6y w stanie pomie6ci6 licznych przybysz6w.

Ale s6 granice, powiada Ranke, nawet w ucisku narodu. Rozpacz wtr6ci6a Serbom bro6 do r6ki. Juź nic pr6cz życia nie mieli do stracenia, a życia tego panami byli janczarowie. Wi6c zagrzeni szlachetnym zapa6em ku odzyskaniu minion6j swobody a przyuczeni do bronii w ostatnich przeciwko janczarom wyprawach, mieszk6ncy g6rzyst6j Szumadii, przytykaj6c6j do Dunaju, stan6li śmia6o do walki. Jak z ow6j podaniow6j doliny R6tli, tak z Szumadii rozleg6 si6 odg6os zemsty i swobody, a has6o to jednozgodnym odezwa6o si6 dźwiękiem w sercach wszystkiego ludu. Trzej m6żowie podali sobie r6ce i poprzysięgli śmier6 wrogom: Janko Katicz, Wasso Czarapicz i Jerzy Pietrowicz, inaczej Kara Dźjordzje czyli Jerzy Czarny. Za nimi poszli inni, najch6tniej zaci6ga6y si6 oddzia6y hajduk6w pod dzielnymi harambaszami jako G6lawaszem i Weliko. Zacz6ta si6 partyzantka. Szabac na Sawie, siedlisko powstania dahio6w i ich chwilowego panowania, by6a pi6wsza twierdza, kt6ra si6 w r6ce powsta6c6w dosta6a. Jakub Menadowicz oblega6 j6 w 1804 r. z oddzia6em swoich ludzi i dzi6ki szlachetnemu po6wi6czeniu kilkuset Serb6w, kt6rzy powstrzymali na odsiecz spiesz6cych z Bo6nii Turk6w, doby6 warowni. Doda6o to otuchy niem6o. Narodu wiara we w6asne si6y si6 wzmag6a na widok powodzenia. Trzeba by6o naczelnego wodza. Czarny Jerzy przyj6ł ofiarowan6 sobie w6adz6, zt6d wi6ksza jedn66 w dzia6aniach objawia6 si6 zacz6ta. Na zdobycie i wydarcie z r6k powsta6com Szabacu silili si6 odt6d daremnie Turcy. Po kilkakr6d przechodzili Drin6 i wynios6 Guczewskie i Sokole wzg6rza. Najpr6d w 1806 r. Nareszcie wpadli Turcy do Szabacu, pozostawionego bez za6ogi i w niewielki6j od twierdzy odleg6o6ci oko6o Miszar czekali na nadci6gaj6cych w 7 tysiecy Serb6w pod wodz6 Jerzego Czarnego. Na ż6danie Turk6w domagaj6cych si6 kapitulacyi i oddania bronii, odpowiedzieli Serbowie: „sami sobie po ni6 przyjdźcie.“ Jakoź stawili si6 Turcy. Dwa dni daremnie uderzali na wa6 ochronny, kt6rym si6 osza6cowali powsta6cy, trzeciego za6 dnia, ale niech Ranke sw6m żywym pi6rem nas zast6pi:

„Było to na początku sierpnia 1806 r., kiedy się dwa wojska mierzyły. W nocy przed bitwą wysłał Jerzy Czarny swoją konnicę do pobliskiego lasku, aby przy pierwszym wystrzale ale nie wcześniej uderzyła na tył nieprzyjaciela. Z szaniców nie kazał strzelać, dopóki Turcy nie podstąpią tak blisko, iżby każdego na cel wziąć można. O świcie ruszył seraskier z obozu z przed Szabacu z całą swą siłą, najwaleczniejsi szli naprzód ze sztandarami: spokojnie z nabitą bronią czekali na nich Serbowie. Dopiero gdy się pod wystrzały Serbów zbliżyli Turcy, na znak Jerzego dano ognia. Pierwszy szereg nieprzyjaciela legł trupem, powstał popłoch. Odezwały się trzy armaty Serbów. Z tyłu uderzyła jazda, z za szaniców rzucił się Jerzy Czarny ze swoją piechotą. Zwycięstwo było zupełne. Co jeszcze żyło, ratowało się ucieczką, chroniąc się do sąsiednich lasów, ale i tu dosięgła ich niszcząca ręka powstańców.“

W następnym 1807 r. powodzenie było już tak znaczne, że Turcy zmuszeni byli opuścić wszystkie twierdze. i z kraju ustąpić przed zwyciężką rają. Dawny stosunek poddańczy w którym kilka wieków przetrwali Serbowie, ustał zupełnie.

Pomijamy szczegóły, jak Serbia wybiwszy się na wolność, zaczęła się urządzać, nowe bowiem instytucje tylko czasowym zadość czyniły potrzebom i trwałości nie miały; zwrócimy zaś uwagę na to, że Jerzy Czarny, który był głównym bohaterem wśród tej walki narodowej, pozostał nadal na czele dalszej, również jak poprzednia ciężkiej pracy około utrzymania zdobytego stanowiska. Jerzy Czarny niewątpliwie wielkie swemu krajowi wyświadczył usługi. Kto i jakim był ten Jerzy? oto jego obraz mistrzowską ręką Rankego skreślony.

Jerzy Pietrowicz, Kara albo Czarny zwany, urodził się między 1760 a 1770 r. w okolicy Kragujewca we wsi Wyszewcy, z ojca wieśniaka, i za młodych jeszcze lat wespół z rodzicami przeniósł się w górzyste strony Topoli. Już w pierwszej ruchawce, co się rozpoczęła w 1787 r., nim jeszcze oczekiwane wkroczyły austriackie pułki, przyjmował czynny udział, który wywarł stanowczy wpływ na całe jego życie. Widział się zmuszonym uciekać, a ponieważ nie chciał pozostawić ojca na pastwę Turkom, zabrał cały swój dobytek i swoje bydło i ruszył ku Sawie, ku austriackiej granicy. W miarę tego, jak się ku rzece zbliżali, coraz większa ogarniała tęsknota ojca (który pierwiastkowo wolałby się był poddać Turkom, jak inni uczynili), nieraz nawet namawiał syna, aby się wrócił. Raz jeszcze ale niemal błagalnie, kiedy już Sawę ujrzeni, przemówił ojciec do syna, uderzmy w pokorę, rzece doń, a przebaczonóm nam będzie; nie chodź, synu mój, do Niemiec, zaklinam cię na wszystko: pozostań. Ale Jerzy był niewzruszony, i ojciec także stanowczo się oparł.—Więc idź-że sam, —powiada mu, —ja tu w kraju pozostanę.—Jako, —zawołał Jerzy Czarny, —miałżebym się doczekać, że cię powoli Turczyn na śmierć zamęczy? lepiej że tu odrazu dokonasz żywota. Chwycił za pistolet, strzela do ojca a kiedy ten jeszcze znaki życia dawał, kazał towarzyszowi swemu zadać mu ostatni cios śmiertelny. W najbliższej wsi rzekł do ludzi: „pochowajcie mi tam ojca za wsią i wyprawcie sobie

stypę pogrzebową. Oto bierzcie mój dobytek, moje bydło.“ I ruszył sam przez Sawę.

Czyn ten, od którego rozpoczął swoje męskie lata, wyrzucił go z kolei zwykłego życia. Wrócił niebawem z Austrii, został hajdukiem i znów rodzinne opuścił góry, powtórnie przechodząc granicę. Był czas jakiś leśniczym. Kiedy w Serbii rozpoczął swe rządy łagodny Hadzi Mustafa, Jerzy mógł bez obawy wrócić do swoich. Nowe zajęcie, do jakiego się rzucił, handel trzodą chlewną, zapewniało mu znaczne dochody. Wśród takiego zajęcia zastało go powstanie w 1804 r.

Był to człowiek bardzo niezwykły. Siedział dniami całemi, słowa nie mówiąc, ogryzał sobie tylko paznokcie. Nieraz, gdy kto do niego przemówił, odwracał głowę w inną stronę i milczał.

Kiedy się winem raczył, język mu się rozwiązywał. Gdy sobie podochocił, to i do tańca stanął. Nie dbał o blask i przepych: na szczycie swojego szczęścia, w dniach swojej wielkości zawsze nosił stare modre szarawary, wytarty krótki kożuszek, na głowie zawsze też sama czarna kszapeczka. I córka jego, nawet wtedy gdy ojciec został naczelnym księciem wyzwolonego ludu, jako inne wiejskie dziewczoje chodziła sama z wiadrem po wodę. A jednakże dziwna rzecz, połysk złota nie był dlań bez pewnego uroku.

W Topoli każdyby go wziął za chłopą. Ze służbą swą karczował las, albo wodę sprowadzał na młyn; potem z wieśniakami wspólnie ryby łowili w rzeczce Jasienicy. Szedł za pługiem i orał. Oręż swój, jaki był od rządu rosyjskiego dostał, zepsuł sobie, wbijając obręcz na beczkę. Dopiero w bitwie się przeinaczał. Wtedy był wojownikiem prawdziwym. Kiedy go Serbowie widzieli zdaleka na czele swoich momków (t. j. drużyny), a łatwo go było poznać, wzrost wysoki, chudy a piersi szerokie, szrama na twarzy, małe błyszczące oczy, wtedy odwaga w nich wstępowała. Zsiadał z konia, najchętniej walczył pieszo. Lubo miał skrzywioną prawą rękę od rany, którą dostał będąc hajdukiem, dzielnie jednak władał bronią. Kiedy się ukazał, Turcy pierzchali: byli przekonani że z Jerzym zrosło się zwycięstwo.

W sprawach zarządu cywilnego objawiał pewną skłonność do regularnego prowadzenia interesów i do pisaniny, jakkolwiek sam pisać nie umiał; chętnie widział, jak sprawy szły swą naturalną koleją, ale skoro mu tylko dokuczaly, wtedy sprawiedliwość jego była straszna i okrutna. Brat jego, korzystając z nazwiska i położenia, pozwalał sobie nieraz przekroczyć właściwe granice. Jerzy patrzył spokojnie, ale kiedy ten uwiódł wiejską dziewczynę, kazał go na drzwiach domu powiesić, mimo że bardzo kochał swego jedyne go brata. Matce zabronił płakać po nim. Zresztą była to poczciwa natura. Któż wątpi o wysokim jego znaczeniu? On reprezentował zasadę wyzwolenia z pod jarzma tureckiego wszystkich chrześcijańskich narodowości: oczy wszystkich były nań zwrócone.“

Wiele niewątpliwie zrobił Jerzy Czarny dla Serbii, Serbowie także dokonali niemało, ale i zewnętrzne przyjazne okoliczności przyczyniły się znacznie do ich wyswobodzenia. Początek naszego stulecia wywołał to ogromne wojny, w skutek których w całym syste-

macie państw europejskich odbywały się gwałtowne przewroty. I Turcyja także porwaną została w ten wir wojennych zapasów. Zrazu sprzymierzona z Napoleonem, to znów przezeń opuszczona, powikłała się w wojnę z Rossyą. Ku Rossyi współplemiennej, związanej jednością wiary, już od dawna Serbia się zwracała. Na początku swego powstania w r. 1804 wysłali Serbowie deputacyą do Petersburga, która przyniosła z sobą gorące słowa zachęty, następnie w ciągu lat kilku czynem stwierdzone. Kiedy się nad Dunajem zgromadziły wojska rossyjskie, pojedyncze oddziały pospieszyły Serbom na pomoc. Turcyja pobita przez Kutuzowa, zgodzić się musiała na zawarcie pokoju w Bukareszcie w 1812 r. Rossya nie zapomniała o Serbii, silnie popierając sprawę jej niepodległości. I jakkolwiek w akcie pokoju jest jeszcze mowa o serbskim kraju jako poddanym sułtanowi, jakkolwiek o gwarancyi jeszcze niema wzmianki, to jednak sam fakt, że Serbom przyznano pewne prawa, stał się wypadkiem wielkiej doniosłości. Nadto nie małej wagi była i ta okoliczność: nad wykonaniem tych zobowiązań względem Serbii miało prawo czuwać mocarstwo, które po r. 1812 tak stanowczy głos zabierało w sprawach całej Europy. Wprawdzie ustępstwa zapewnione przez pokój w Bukareszcie nie zaspokajały wszystkich życzeń Serbów, ale w każdym razie dawały bynajmniej nie blahe prawa. Lubo załogi tureckie pozostały w twierdzach serbskich, bo tego prawa nie można było odebrać Turcyi, popieranej znowu przez Napoleona, ale w sprawach wewnętrznych zostawiono Serbii zupełną swobodę; oznaczono ilość podatków mających się płacić porcie, ilość, niedowolnie przez Sultana ale wspólnie z zgodą narodu określoną. Było to w istocie wiele, lubo tylko na papierze. Turcyja nie myślała bynajmniej dotrzymać warunków, co do wypełnienia których wszczyły się nieporozumienia. Z jednej i drugiej strony różnie sobie tłumaczono artykuły pokoju, rzeczywiście zredagowanego nie zupełnie jasno. Rokowania podjęte celem zaprowadzenia w tym względzie zgody rozchwały się niebawem; Serbowie w poczuciu swego prawa, ufni w siedm warunków i 150 dział chwycili za broń.

W tych jednak krajach nie rozstrzyga losu wojny liczba armat. Rozumne dowództwo i jedność dawały kiedyś zwycięstwo nawet źle uzbrojonym Serbom. Teraz brakło zgody, brakowało owych dzielnych dowódców, którzyby dobro kraju wyżej nad osobiste widoki stawiali. Łatwo było przewidzieć nieszczęsny tej wojny wypadek. Po kilku przegranych pod Negotynem nad Dunajem, pod Deligradem i nad Driną poddać się musiały twierdze Semendryja i Belgrad prawie bez oporu. W końcu i ostatnia warownia Szabac dostała się w ręce Turków. A Jerzy Czarny? Jerzego Czarnego nie widać na polu bitwy, bo byłby się przeciw odznaczył czynem zropanzonego mężstwa. Jerzy Czarny, kiedy inni ginęli w boju, nie chcąc przeżyć klęski swego narodu, zwątpił o kraju i o sobie. Wśród ogólnego popłochu zbierał swoje pieniądze i zakopywał je w ziemię! Zaiste, są ludzie co łatwiej zdobyć, zgromadzić, niż utrzymać potrafią.

„Jego było obowiązkiem, powiada Ranke w szlachetnym zapale, a któżby go nie podzielał, poświęcić życie dla swego narodu, który swoje szczęście powierzył. Jeszcze nie wszystko było stracone. A gdyby się już nawet nic nie udało, byłby przynajmniej Jerzy legł na polu chwały, jak przystoi na bohatera. Ale tu brakło gruntu odpowiedniego dla tej moralnej siły, której potrzeba, aby nawet śród klęsk i nieszczęść wytrwać do końca i życie swoje poświęcić ze świadomością—choćby tylko dla honoru: tych wzniosłych chwil nie posiada serbska historia, i Jerzy Czarny nie był do tego zdolny.“

On przeszedł granice i schronił się do Austrii; z nim wielu innych dostojników: tureckie panowanie rozciągnęło się znowu w dawnej sile na kraj cały.

### W y z w o l o n a S e r b i a .

Jeden tylko mąż ze znaczniejszych czuł, iż haniebniej jest porzucić rodzinę, kraj i lud swój, niż zginąć choćby najmarniej z rąk Turczyzna. Usunął się więc do górzystego zacisza w leśnej Szumadyi i w ustroniu Czernucz goił bóle złamanego serca. A lubo swój sielski żywot górami rudnickimi od świata oddzielił, nie oderwał się wszakże uczuciem od serbskiego ludu, owszem chwycił chciwie odgłosy jęku, jakie się z uciśnionych piersi o góry odbijały; porzucił ustronie i stanął na czele swego narodu, kiedy ten zwalczyć postanowił ociemięzców. I wyprowadził kraj swój po chwilowych cierpieniach z toni niewoli i trwałą dłoń zgotował niepodległość. Był to Miłosz Obrenowicz.

Słówko o jego przeszłości. Matka jego Wisznia piérwiastkowo wyszła za mąż w Bruśnicy za wieśniaka Obrena. Miała jednego syna Milana, kiedy ją mąż odumarał. Wstąpiła powtórnie w związki małżeńskie podobnie z wieśniakiem Teszo albo Todore, którego obdarzyła kilkorgiem dzieciak. Około 1780 r. urodził im się Miłosz. Majątku nie było, obaj synowie poszli w świat. Starszy Milan dorobił się skromnego gospodarstwa, Miłosz zaś z początku pędzał woły handlarzy na dalmackie targi, później przyjął służbę u brata. Taka ścisła wiązała ich miłość, że Miłosz właściwie po ojcu mający nazwisko Todorowicz albo Teszycz, przyjął nazwę brata swego przyrodniego Obrenowicz. Kiedy piérwsze przeciwko Dahiom wybuchło powstanie, obaj byli ludźmi dość zamożnemi. W ruchawce przyjmowali udział, starszy Milan umarł, pozostał Miłosz, który jako dowódca oddziału walczył także w 1813 r., ale nie przeszedł granicy, owszem pozostał w kraju. Kiedy ucisk i gwałty Turków jątrzyły Serbów, w umysłach powoli dojrzewiała myśl o nowém powstaniu. Miłosz dzielił z innemi rodakami uczucie zemsty.

W Palmową niedzielę 1815 r. ukazał się Miłosz między ludem, który się tłumnie zebrał z okolicznych wsi do kościoła w Takowie: nawet starcy, zwykle powolniejszego usposobienia domagali się teraz pow-



stania. Wszyscy, co byli obecni przysięgli, iż zapomną sąsiedzkich waśni i słuchać będą Miłosza. Do Czernuczy zbiegła się orężna drużyna. Miłosz w lśniącym od blasku uzbrojeniu stanął wśród niej: „otóż jestem, rzekł, między wami a teraz macie wojnę z Turczyńcem.“ W niedzielę Wielkanocy przemówił raz jeszcze do ludu, który się z okolic Belgradu był zebrał około klasztoru w Morawcy. Lepszego usposobienia nie można było żądać. Każdy był przekonany, że wojna korzystniejszą będzie, niżeli upokarzający pokój. Rozbiegli się gońcy po kraju, zwiastując początek powstania. „Niech każdy zabija zieloną suknię, taka bowiem była barwa stroju Turków, gdziekolwiek ją spotka“, głosili posłańcy. Wydobyto broń z wydrzeń drzew, w których była schowana. Kto własnej nie miał, dostawał od sąsiada.

Było to śmiałe przedsięwzięcie, śmielsze niżli powstanie przeciwko Dahiom. Ale oddziały partyzanckie miały teraz na czele Miłosza, który dorównał Jerzemu Czarnemu w nieustraszonej odwadze a przewyższał go poświęceniem bez granic dla sprawy narodowej. Miłosz prowadził wojnę, która się mogła mierzyć we wszystkim, co się kiedykolwiek w Serbii stało; rzutki w pomysłach, lekki w obrotach, z odwagą ślepą na wszystkie niebezpieczeństwa bił Turków w polu a wstępnym bojem zdobywał ich szanse. Ale wyparowani zewsząd nieprzyjaciele zamykali się w twierdzach, których przy najśmielszym męstwie zdobyć nie było łatwą rzeczą. Wielkiego powodzenia skutek mógłby się być w istocie błahym zdawać, lecz Turcy zrażeni tylu klęskami stracili wiarę w swe siły. Sultán rozpoczął układy, ile że Rossya po kongresie wiedeńskim, mając rozwiązane ręce, groźną przybrała postawę. Miłosz przyjął ofiarowaną mu przez duchowieństwo i naczelników ludu władzę zwierzchniego księcia (1817) Serbii. Zrodził się ztąd stan i położenie niejasne, nieokreślone. Miłosz zręcznie jako dyplomata i z wielkim taktem trzymał się między powagą rządu tureckiego, który z zazdrością patrzył na ustąpione prawa a miejscowymi naczelnikami ludu, którzy znowu dążyli do coraz większej władzy. Uroszczenia jednej i drugiej strony umiał ująć we właściwe karby. Podczas gdy w Konstantynopolu toczyły się spory o uznanie niepodległości Serbii, a Rossya silnie ją popierała, co w końcu skutkiem zwieńczone zostały, Miłosz wtedy staranie swoje obrócił na urządzenie wewnętrznych stosunków swego kraju, zaprowadzał administracyą, urządzał sądownictwo, zakładał szkoły, budował drogi: jednem słowem niez mordowanym się okazał w pracy około przygotowania kraju swego do prawidłowego rozwoju.

Hattiszeryf z r. 1831 nakoniec przyznał Miłoszowi godność dziedzicznego księcia w Serbii. Kilka jednak lat jeszcze była potrzeba, nim Porta zgodziła się na ustąpienie dawno już przyrzeczonej południowej części Serbii. Dopiero drugi Hattiszeryf z r. 1833, który Miłosz odczytał zgromadzonemu (w r. 1844) sejmowi wraz z wolnościami zagwarantowanymi ludowi serbskiemu przez traktaty w Bukareszcie, Akermanie, Adryanopolu, wyświecił dokładnie stosunek polityczny, w jakim odtąd niemal do ostatnich czasów Serbia względem Turcyi pozostawała.

Na tój samej skupstynie (sejm) złożył książę Miłosz uroczyste zapewnienie, że odtąd nigdy już w Serbii nie będzie zaprowadzony dawny feodalny porządek, który przez co rok Porcie składać się mający haracz zniesiony został; nadto przysięgał, że starać się będzie zachować powierzony mu skarb narodowości serbskiej, dochowując ściśle praw, przestrzegając publicznego pokoju i porządku oraz wprowadzając co-rainne ulepszenia we wszystkich gałęziach życia społecznego, w końcu zapewniał że godnie odpowie położonemu w nim zaufaniu.

Jakże się Miłosz wywiązał ze swoich pięknych obietnic? Dziś już historia nie zaślepiona stronniczością sprawiedliwszy wyrok wydać może aniżeli współcześni. Dziś nikt temu przeczyć nie będzie, że Miłosz nieraz w sposób gwałtowny, obrażający uczucie słuszności przekraczał właściwe granice swój władzy, że nieraz autokratyczne objawiał dążności. Nie powstrzymywał go wzgląd na prawo osób prywatnych, gdy działał w interesie kraju, ale co gorzej gdy własne przeprowadzał widoki. Wyrok wszakże łagodniejszą przybierze postać, jeśli rzucimy okiem na okoliczności, wśród których działał Miłosz, na przeszkody, z którymi mu walczyć wypadało.

Otóż owych drobnych wojewodów widzimy, którym się zdawało, że Miłosz postawi ich na miejscu dawnych spahiów tureckich, że z nich utworzy rodzaj szlachty feodalnej i wyda im lud prosty, wiejski na dowolne wyzyskiwanie. Jeżeli dziś z dumą Serb zawołać może: „każdy Serb jest szlachcicem“ komuż to zawdzięcza, jeśli nie Miłoszowi, który z właściwą sobie autokratyczną energią przytłumił w zarodku zawiązki szlachty dążącej do pańszczyznianych praw.

Ożywiony jak najlepszymi dążnościami spotykał Miłosz na drodze swojej pracy właśnie ów nieprzyjazny sobie żywioł spanoszonych naczelników, wojewodów. Ztąd też panowanie jego nie było wolne od owych tajemnych knozań, które nieraz, maskęskrytości zdejmując, na jaw występowały. Lud prosty dawał chętne ucho podżeganiom wichrzycieli. Wieśniak w prostocie ducha mniemał, iż po zrzuceniu jarzma tureckiego powinien być wolnym od wszelkich podatków, tymczasem Miłosz gotujący tyle ważnych reform dla swego kraju, bez środków pieniężnych obejść się nie mógł. Łamiał z powodzeniem opór i niechęć pojedynczych osób, pracował nieustannie nad zbawieniem przeksztalceniem swojego kraju.

Do dziś dnia istniejący podział administracyjny kraju, pierwsze drogi przez nieprzebyte dawniej lasy, ludowe szkółki, gimnazjum, liceum, założenie gazety i drukarni, wystawienie licznych kościołów, urządzenie stosunków i praw duchowieństwa, założenie skarbu publicznego, system kwarantanny, szpitale, apteki: oto dzieło pierwszego Obrenowicza. Kiedy Miłosz zniewolonym się widział, w skutek tajemnych intryg, złożyć władzę i opuścić kraj, będąc oskarżony o naruszenie ustawy w r. 1839 ogłoszonej, zostawił nawet w spadku po so-

bie zawiązki niezłe wyćwiczonego regularnego wojska ze sztabem oficerów wykształconych w europejskich szkołach wojskowych (1).

Po opuszczeniu kraju przez Miłosza powstał zamęt. Porta Otomańska nie chciała uznać prawa dziedziczości w rodzie Obrenowiczów. Wreszcie zgodziła się na przywrócenie księżęcej godności synowi Miłosza Michałowi, ale wzięła ztąd pochoop do mieszanania się w domowe sprawy Serbii. Michał był człowiekiem słabym, istne przeciwieństwo ojca. Wzmagąta się liczba niechętnych: sarkat lud wiejski na powiększenie podatku porezy, zżymała się klasa zamożniejszych na widok austryackich Serbów, których ksiązę Michał powoływał do swęj przybocznej rady; Porta zaś zręcznie rozniecała zarzewie nieukontentowania. Wuczyc, jeden z głośniejszych przywódców opozycyi, przeszedł wreszcie do oporu zbrojnego. Ksiązę miał za mało moralnego poparcia w wojsku, które go raz i drugi w stanowczej chwili starcia opuściło. Syn doznał podobnego co ojciec losu. Michał Obrenowicz także przeszedł granicę i kraj opuścił (w 1842 roku). Walna skupsztyna obwołała księciem Aleksandra. Był to syn owego dowódczy w pierwszym powstaniu Serbów, owego bohatera Jerzego Czarnego, ztąd po ojcu nazywał się Aleksander Karadzordzewicz. Szesnaście lat (1842-1858) trwało jego panowanie dla Serbii, zwłaszcza pod względem wewnętrznym nie zbyt świetne. Dopiero pod koniec jego rządów kraj się nieco więcej zaczął rozwijać i wzrastać zaczęło jego bogactwo narodowe. Podczas wojny krymskiej umiał Aleksander na korzyść Rosyji utrzymać się na neutralnem stanowisku. Pokój paryzki w 1856 roku zapewnił Serbii jej polityczną względem Turcyi niezależność, którą mocarstwa europejskie wzięły pod swoję opiekę.

Pod rządami Aleksandra stał się dla Serbii pamiętnym rok 1848-my, był on wszakżeż nie mniej stanowczym w przyszłych losach samego księcia. Na polach bitew przeciwko Węgom, gdzie się słowiańskie spotykały plemiona, zmęźniało uczucie narodowości, ogólną ruchawką w całej zachodniej Europie żywo rozbudzone. Myśl o zbrataniu się wszelkich Słowian pod tarczą Rosyji ogarnęła umysły wielu, między innymi i księcia Aleksandra. Otdąd stanowczo ku Rosyji chylić się zaczął, ale z obawą patrząc na Austryę, i ku niej słodkio zwracał oczy. Wśród tej dwuznacznej polityki stracił równowagę. Choiał także i z Turcyą utrzymywać serdeczniejsze stosunki. Ta chwiejność zrodziła niezadowolenie, które wybuchło nareszcie w 1858 r. na burzliwym sejmie. Złożono go z tronu i powołano napowrót Obrenowiczów, jako „chorążych tradycy i narodowych zasad.“

Sędziwy Miłosz objął rządy na początku stycznia 1859 roku. Zwolennicy Aleksandra Karadzordzewicza musieli ustąpić przed nowemi sługami wracającego z wygnania księcia. Miłosz sądził, że w nich znajdzie najsilniejsze dla swęj władzy podwaliny. Niejedna

(1) Zob. broszurę: Miloch Obrenovitch, ou coup d'oeil sur l'histoire de la Serbie de 1813-1839 etc. Paris 1860, w której syn Michał wymownie broni swojego ojca.

zdolność poprzedniego rządu zastąpioną została przez słuźalczą mierzoność. Książę żył wspomnieniami czasów ubiegłych, nie umiał zrozumieć potrzeb nowego ducha i sądził, że Serbia pozostała tém, czém była w latach jego kwitującego wieku i najgłośniejszej sławy. Pomysłniej kierował sterem kraju w stosunkach na zewnątrz książę Miłosz i syn jego Michał. Załogi tureckie trzymane przez Portę Otomańską w twierdzeniach serskich, zawsze jeszcze stanowiły dla uczucia narodowego kamień obrazy. To prawo zwierzchnictwa i opieki Turcyja tłumaczyła nieraz dowolnie, ono otwierało jej zawsze drogę do wywierania pewnej nad Serbią supremacji. Pobyt Turków w Belgradzie krępował nawet swobodniejszy rozwój handlu w tém ważnym pograniczném mieście. W poczuciu siły i w patryotyczném, uniesieniu zaczęli się Obrenowicze domagać wycofania z Serbii wszystkich garnizonów tureckich. Owo bombardowanie w 1862 roku Belgradu, które z blahych powstało pobudek, było odpowiedzią sułtana na żądania serbskie. Mocarstwa europejskie, tém zgwałceniem traktatu obrzzone, ujęły się za Serbią. Na konferencji pełnomocników Rossyi, Francyi, Austryi, Prus, Anglii i Włoch przyszło do skutku po długich rokowaniach uroczyste pojednanie, które właściwie było tylko półśrodkiem.

Wprawdzie na mocy protokularnego pojednania Turcyja zniósła kilka twierdz wewnątrz Serbii, wprawdzie ograniczyła swoje prawa w Belgradzie: Turcy mogli mieszkać tylko w cyrkule najbliższym cytadeli, z innych miast wszyscy się wynieśli zupełnie; ale nie zrzekła się prawa trzymać załogi w Belgradzie, jakoby w fortecy, która powinna bronić granic państwa tureckiego. Obecność Turków w Belgradzie była solą w oku. Któż mógł być pewnym, iż w danej chwili znou w tych samych działach nie posypie się na miejscową ludność grad bomb i kartaczy?

Niezadowolone chwilowo się tylko uśmierzyło, a przybrało większe rozmiary, kiedy Serbia a zatém i Belgrad obchodziły w 1865 r. narodową pamiątkę, rocznicę 50 letniego wybicia się pod Miłoszem na wolność. Książę Michał chciał wystosować list do Wielkiego Wezyra w październiku 1866 r., domagając się wycofania ostatniej załogi tureckiej z Belgradu.

Powstanie w Kandyi, wojownicza postawa Grecyi, ruch ogólny między ludnością chrześcijańską na całym półwyspie bałkańskim, silne nalegania zwłaszcza mocarstw zachodnich, skłoniły Portę do ustępstw z razu nieznacznych, w końcu przy zręcznym działaniu serbskiego ministra rezydenta w Konstantynopolu Risticza prawie zupełnych.

Tyle lat poruszana kwestya fortecy i załogi tureckiej w serbskiem księstwie została nareszcie zgodnie z życzeniami narodu rozwiązana. W 1867 roku 23 marca wydał książę Michał proklamacyą, w której zawiadamia kraj i całą ludność, że sułtan zgodził się wycofać wszystkie swoje załogi, że jemu jako księciu Serbii, powierza wszystkie warownie, które on—książę utrzymywać będzie winien dla bezpieczeństwa granic i porządku wewnętrznego, w znak jednak zwierzchnictwa

domaga się sułtan, aby na fortecznych wałach obok serbskiej powie-  
wała także turecka chorągiew.

Radość była bez granic. Michał, który bez krwi rozlewu tak  
ważną dla niezależności Serbii uczynił zdobyczą, zjednał sobie trwałe  
w sercach Serbów prawo do wdzięczności. Zgodę wszakże z Portą  
niebawem zamąciły nieporozumienia. Tych nowych spraw, znanych  
wszystkim, co się wypadkami politycznymi współczesnej nam doby  
zajmują, nie dotykamy. Na półwyspie między chrześcijańską ludno-  
ścią zawrzała wtedy gorąca chęć do boju. Już się zbroili Serbowie. Pre-  
dzéj czy późniéj walka jest nieuniknioną, to tylko pewna, że nie Serbo-  
wie dadzą hasło do boju.

## Historya Literatury Angielskiej.

(z H. Taine.)

Streścił Ed. Lub . . . . .

(Dokończenie).

Wiek XIX.

Romans nowoczesny.

I.

Carlyle.

„Pytać się Anglików, jakich mają ludzi myślących, wymienią zaraz  
nazwisko Carlyle, ale natychmiast poradzą, iżby go nie czytać, gdyż się go nie  
zrozumie. Skutkiem téj rady bierze się ze 20 tomów jego dzieła, kryty-  
kę, historyę, pamflety, filozofią, fantazye, czyta się je z rozmaitem wzru-  
szeniem, zmieniając przytém i poprawiając codzielné swoje zdanie—a na-  
reszcie przyjsć trzeba do przekonania, że się ma do czynienia z nad-  
zwyczajnym zwierzęciem, z mastodortem zbłąkanym w świecie nie dla  
niego stworzonym. Po nabraniu tego przekonania, dyssekuje się je  
z niezmierną ciekawością i wiedzą, że się drugiego podobnego nie znaj-  
dzie.“ Taki daje nagłówek Taine, przystępując do określenia stylu i du-  
cha Carlyla.

\* \* \*

Wszystko tu jest nowe: idee\*, styl, ton, skład frazesów. Autor ten gwałci wszystko: wyrażenia i rzeczy; paradoxy stawia jako zasady,—sens zdrowy przybiera formę absurdu, tak, iż wydaje się nam jakbyśmy byli przeniesieni w świat, którego mieszkańcy chodzą na głowie, w sukni arlekina magnata i manjaka, wykrzykując, podrygując i kurcząc się. Czujemy się niemile dotknięci temi nieharmonijnemi oddźwiękami, i radzibyśmy zatkać sobie uszy, obwiązać głowę. Jakiś nowy język trzeba odsylabizować. Spójrzjmy. Leży przed nami: *Historja rewulucyi francuzkiej*, książka, która powinaby być jasną, a tymczasem czytamy takie tytuły rozdziałów: „Urzczywistnione idee, Wiatyk, Astraea redux, Broglie bóg wojny.” Co to za szarady, co za zagadki? Analistow XVIII w. nazywa „rąbiącemi logikę“ (loigick choppers) „Nauki bobrów“ oto oznaczenie na klasyfikacye najpierwszych uczonych (pozytywistów). Nie trzyma się wyrażen prostych, musi każdą swą ideę przyoblec w ciało. Widzenia świetne i pogrzebne obsiadły jego umysł i dlatego każda myśl jest wstrząśnieniem. Nie zdoła rozumować—lecz maluje. Kiedy chce opisać zakłopotanie młodzieńca niewiedzącego jaki obrać zawód w wieku wątpliwości, w jakim żyjemy, wtedy ukazuje: „świat zanurzający się i tonący jak ów stary świat rzymski, którego miara występku się przełamała; przepaście, potopy górne i podziemne rozkwierają się ze wszystkich stron, a w tym wściekłym chaosie wszystkie gwiazdy na niebie pogasły. Zaledwie oko ludzkie może teraz jedną gwiazdkę dostrzedz; mgły, wzywyw zatrute osłoniły firmament. Błędne ogniki polyskujące tu i owdzie, zastąpiły gwiazdy... i t. d. i t. d.

Dwadzieścia tomów pisanych w tym tonie, w tych obrazach, apostrofach i wykrzyknikach, i rzeczona *Historja rewulucyi francuzkiej* tak samo—podobna ona do delirium. Carlyle jest jasnowidzem purytańskim; rusztowania, orgie, rzezie, batalie, widma krwawe i wściekłe przesuwają się przed jego oczyma, a on prorokuje, dodaje odwagi lub przeklina. Ktoby nie rzucił książki z gniewu lub ze znużenia, straciłby zmysły... Gdy go czytamy, ogarnia jakiś sen straszliwy i chorobliwy, podczas którego widzenia okropne i dzikie krążą po mózgu..

Od wzniosłości do popolitości, od patetyczności do dziwactwa, jeden tylko krok u Carlyla. Za jednym zamachem ogarnia dwie ostateczności. Uwielbienia jego kończą się sarkazmem. „Świat jest dlań tak samo świątynią i wyrocznią, jak kuchnią i stajnią”. Posługuje się z równą łatwością mistycyzmem i brutalnością.

„Milczenie śmierci—(1) mówi, opisując zachód słońca na przykładku północnym—nic prócz skał granitowych oblaných purpurą i łagodnego szmeru oceanu Północnego wznoszonego powolną falą, ponad którym zwieszono ogromne słońce, a tak leniwe, jak gdyby zasnąć chciało. Atoli okrąg jego oblany purpurą i złotem; a światło jego rozpryskuje się o zwierciadło wód, jak ów słup ognisty chwiejący się i drgający nad przepaścią, roztoconą u mych stóp. W takich chwilach, samotność jest wszystkiem! Któżby chciał mówić wtedy lub być widzianym, gdy po za nim Afryka i Europa głęboko zdrzémnięte, i gdy przed nim rozkwiera

się nieskończoność milcząca i pałac Przedwiecznego, w którym nasze słońce jest lampą, lampą z przedsionka”.

Autor tak zawsze przemawia wspaniale, gdy się znajduje w obliczu natury. Nikt nie przepatrywał się głębiej wzruszony niemy gwiazdom, krążącym po firmamencie bladym, świat nasz okalającym; nikt nie badał z większym przerażeniem nieskończonej ciemności, w pośród której myśl nasza tylko na chwilę błyska światłem. Opisuje też z drżeniem czci i nadziei usiłowania religii, chcące ciemności te przedrzeć. „W samym sercu odległych gór, wznosi się mały kościółek. Umarli śpią naokoło pod białymi nagrobkami w oczekiwaniu wspólnego wskrzeszenia. Dusza twoja byłaby umarła... gdyby kościół nie był ci podszepnął rzeczy niedających się opowiedzieć, a które wniknęły w duszę twojej duszy. Ten był mocny, który miał kościół taki, jaki nazwać się godzi kościołem. Przezeń stał on prosto, jakkolwiek w środku niezmiernych przestrzeni na krańcu wieczności; trzymał się prosto, jako człowiek w obec Boga i w obec człowieka. Szeroki świat bezbrzeżny stał się dlań siedliskiem, które znał”. (Hist. rew. fran.). Tylko Rembrandt umiał odnaleźć podobnie ponure wizje zagrzeźnięte w cieniach, przeniknione mistycznymi promieniami.

Wyobrażenia jego ma pewną bolesną wielkość, ale przechodzi łatwo w szorstkość i trywialność. Nie ma wrzodu, nie ma błota wstrętnych dla Carlyla. Przy sposobności, porównywa on politykę popularną z „psem utopionym oddawna i płynącym za prądem po Tamizie, psem którego zna się z widzenia, z nosa, a którego odór staje się coraz nieznośniejszym.” Dziwactw wspaniałe obrazy śmiesznie ulicznikowstwem; poezją wiąże z kalamburem. „Geniusz Anglii—powiada w książce o Kromwellu—nie krąży już jak orzeł po przez burze!.. Podobniejszy raczej do żarłocznego strusia zajętego swym żerem, nadstawia on słońcu swą drugą kończynę... ale kiedyś obudzą go w sposób straszny, *a posteriori* lub inaczej”.

Takiem błazeństwem zakończy swoje najlepsze dzieło, nieporzucając bynajmniej tonu poważnego, bolesnego, przekleństw i prorocत्व. Nie może się utrzymać na miejscu, ale przeskakuje z jednej idei w drugą, mięsza wszelkiego rodzaju formy i styl, nagromadza porównania pogańskie, wspomnienia biblijne, abstrakcje niemieckie, terminologią techniczną, poezją fizyologią, matematykę, stare wyrazy i neologizmy. Nie ma nic, czegoby nie pogniół i nie podeptał. Sztuka i myśl ludzka kupią się pod jego ręką w ogromny stos gruzów niekształtnych, na szczycie których on sam, niby barbarzyński zdobywca, gestykuluje i walczy.

\* \* \*

Takie usposobienie umysłu, wytwarza *humor*, wyraz niedający się przetłumaczyć ani w języku Taina, ani może w naszym. „Humor jest to—powiada Taine—rodzaj talentu mogący się podobać Germanom jako ludziom północy, przypada do ich umysłu, jak wódka do ich ciała. Lecz ludziom innej rasy nie smakuje, bo dla nerwów naszych jest on za

ostrym i za gorzkim. Swift żartuje z miną urzędową, Hamlet w chwilach najrozpaczliwszych rzuca całym snopem conceptów, Heine drwi ze swych uczuć w chwili, gdy im się poddaje. Wszyscy ci odziewają idee komiczne w szatę uroczystą, idee poważne w czapkę błazeńską." Drugim rysem humoru jest zapomnienie o publiczności. Autor oświadcza wyraźnie, że nie dba o to, czy się nudzimy lub bawimy, byle się tylko on bawił. Chce on być oryginalnym i wyrafinowanym, jest u siebie, w pantoflach, w szlafroku, z nogami do góry, czasem bez koszuli. Carlyle ma styl sobie właściwy, i objaśnia swą ideę dowolnie, do nas należy zrozumieć lub nie. Robi aluzję do jakiejś anegdoty, tém gorzej dla nas, że jej nie znamy, krzyczy kiedy go napadnie ochota; pisze według kaprysu wyobraźni i podskoków swęj inwencji, tém gorzej, jeżeli nasz umysł inaczej chodzić przywykł. Ostatnim rysem humoru, jest rozlanie się nagle jowialności, schowaniej pod skałami smutku. Nieprzyzwoitość zjawia się nagle. Natura fizyczna, przytłumiona dotąd refleksją melancholijną, odśłania się do naga na chwilę. Nadto, ponieważ humorysta obejmuje w sobie poetę, więc niespodziewanie wśród monotonnej płaszczyzny prozaicznej, ujrzyś nagle krajobraz, mniejsza o to czy piękny czy brzydki, byle zastanowił i uderzył.

Te nierówności już charakteryzują trafnie Germanina samotnego, energicznego, lubownika gwałtownych kontrastów i niespodzianych zwrotów za instynktem fizycznym, tak odmiennego od ras latyńskich i klasycznych raz mówców i artystów piszących zawsze z uwagą na publiczność, miłujących formy harmonijne, rozkosz przedstawiającą się naturalnie. Carlyle jest nawskróś Germaninem dziwnym i niezwykłym w swych fantazjach i w swych żartach, sam się zwie: „dzikim bykiem, zabłąkanym w lasach Germanii.“ Tak na przykład prawne jego dzieło będące filozofią ubrania, p. t. Sartor raparius, zawiera z powodu pantalonów i fartuchów traktaty metafizyczne, polityczne i psychologiczne. „Człowiek według niego jest zwierzęciem ubranem, społeczeństwo zaś ma za podstawę i sukno.“ „A potem czemże jest człowiek wobec czystego rozumu? Duchem, zjawiskiem Boskiem, *ja* tajemniczym, które pod swem wełnianem ubraniem nosi ubiór z ciała utkanego w warsztatach niebieskich, przez które tworzy dla siebie świat z przestrzeniami niebieskimi, pełnemi gwiazd i tysiący wieków.“

Paradox taki dziwny i mityczny, ciągnie się dalej, ukrywając teorie pod szaleństwem, mięszając dziką ironią z czułą idyllą, z opowieścią miłosną, z wybuchem wściekłości i z karnawałowym obrazkiem. Dowodzi doskonale, że „najważniejszem wydarzeniem dziejów nowoczesnych nie jest sejm Wormski, ani batalja pod Austerlic sub Wagram, albo jakabądź inna, ale pomysł Foxa kwakiera iżby sobie zrobić ubiór skórzany, bo „ubrany w ten sposób na całe życie, mieszkając w drzewie, mógł swobodnie wynaleźć purytanizm czyli cześć sumienia.“ W ten sposób obchodzi się Carlyle z ideami, dla których poświęcił życie i serce.

Weźmy znowu ustęp godny Swifta:

„Przypuścemy — powiada — że świnię (rozumiem tu świnię czworonożną), obdarzone wrażliwością i zdolnością wyższą logiczną, nabrawszy pewnego ukształcenia, są w stanie po pewnym namyśle wylać na papier



idee swe o wszechświecie, o jego interesach i obowiązkach; przypuścmy, że te idee mogłyby zająć publiczność tyle rozsądną co nasza, i że propozycje byłyby następujące:

1) Świat o ile da się zdrowo przypuścić, jest niezmiernym chlewem dla wieprzków, złożonym z rzeczy stałych i płynnych, z kontrastów, przedewszystkiem zaś z obmyć, które się osiągnęło i z obmyć których się osiągnąć nie da, a tych ostatnich jest ogromna liczba odnośnie do większości świń.

2) Ziem moralném jest niemożność osiągnięcia obmycia; dobrem zaś moralném możność osiągnięcia tychże.

3) Poezja świń polega na powszechném uznaniu doskonałości obmycia i doskonałości mielonych krup, i na szczęściu świń mających kałdun pełny i koryto w porządku.

4) Świnia zna się na wietrze; powinna przeto wystawić nos na powietrze dla wywróżenia, jaka będzie pora.

5) Kto stworzył swinię? Niewiadomo. Być może, że rzeźnik.

6) Oznaczyłoby trzeba obowiązki świń.

Posłannictwo powszechne świń i obowiązków tychże po wszystkie czasy polega na zmniejszeniu liczby obmyć, których osiągnąć trudno, a zwiększeniu tych, które osiągnąć łatwo. Wszelki przemysł, nauka, wszelkie usiłowania, powinny być jedynie ku temu skierowane. Mądrość świń, entuzjazm, pomięszanie, nie mają innego celu.

W takiém to błocie zatapia życie społeczne, a mianowicie życie angielskie, zatapiając w jednej kałuży pozytywizm, nauki, przemysł, kościół, państwo, filozofią i prawo. Ten wymieniony katechizm umieszczony wśród deklamacji wściekłej i pieniającej się, charakteryzuje dziwny Carlyla umysł; nie co innego tylko to naprężenie stanowi jego talent, ono tłumaczy jego obrazy i jego dziwactwa, jego śmiech i jego wybuchy. Temperament angielski, flegmatyczny i zimny na pozór, przemienia się—gdy krew zawrze w żyłach, w rozszalałe zwierzę, potrzebujące dla zasyceenia się, zniszczyć wszystko na około. Rodzaj talentu Carlyla żywo właściwość tę przypomina.

\* \* \*

Zdawałoby się, że dusza tak gwałtowna, tak entuzjastyczna, a zarazem dzika, tak oddana na pastwę wyobraźni, tak obdarta z poczucia smaku, porządku i umiarkowania, strawi się w widziadłach bolesnych i niebezpiecznych. Tak przynajmniej sądziłoby się dało z temperamentu przodków autora, owych piratów, purytanów XVII w. i poetów XVI wieku, którzy niszcząc spokój ogólny, zniszczyli zarazem własne serce.

Przeciwnie, dwie przeszkody powstrzymały tego autora: poczucie realistyczne i poczucie wzniosłości, skutkiem czego zamiast chorzeć i stać się marzycielem, stał się filozofem i historykiem.

Potrzeba czytać jego historią Kromwella, ażeby zrozumieć do jakiego stopnia przenikniony jest poczuciem rzeczywistości i jakim światłem obdarza go to poczucie. Sprawdza on tradycje i genealogię, zwiedza miejsca, studjuje drzewa, ogląda strumyki, zna wszelkie szcze-

góły polityczne i literackie; z niesłychaną drobiazgowością, a zarazem gwałtownością, odtwarza w naszych oczach stronę zewnętrzną przedmiotów i spraw i stronę wewnętrzną idei i uczuć. Czyni to z potrzeby i z zamiłowania. W ogromnej, a pustej przestrzeni przeszłości, oczy jego zatrzymują się chciwie na kilku jaśniejszych punktach. Ciemne bagnisko zapomnienia pochłonęło resztę; miliony uczynków i myśli miliona istot przepadły, żadna już potęga nie powoła ich napowrót do światła, tylko tych kilka punktów sterczy do góry, niby szczyty najwyższych skał zatopionych w oceanie. Z jakimże zapałem i głębokiem poczuciem światów zniszczonych, których szczyty te są świadectwem, dotyka się ich historyk, ażeby z ich natury i budowy zachwycić jakąś wiadomością o zaginionych gatunkach, których już ludzkie oko nie ujrzy! Dla tego cyfra pojedyncza, szczegół wydatku jakiego, nędzny frazes barbarzyńskiej łaciny, stają się dla Carlyla wartością niemającą ceny...

Pojmuje on tak, jak każdy historyk z poczuciem rzeczywistości, że pergaminy, mury, suknie, nawet ciała nie są niczem innem tylko dokumentami, że zaś faktem prawdziwym jest uczucie wewnętrzne ludzi którzy niegdyś żyli, że faktem jedynie ważnym jest stan ich duszy, bo od niego zawisło wszystko. Potrzeba bowiem raz jeszcze powtórzyć, że historia nie jest czem innem tylko historią serca, i że winniśmy odnaleźć i zrozumieć uczucia przeszłych pokoleń — nic innego.

To właśnie widzi Carlyle. Przed nim stoi człowiek wskrzeszony; patrzy on w jego wnętrze, widzi jak tenże cierpi, pragnie i czuje, a widzi i patrzy nie chłodno, ale z całą mocą serca i swego współczucia, jako widz przekonany, dla którego dzieje przeszłe raz stwierdzone dowodami, stają się równie dotykalnemi i widzialnemi jak przedmioty cielesne, dające się dotknąć ręką. Według niego wielcy ludzie, królowie, pisarze, prorocy i poeci tylko z tego stanowiska oglądani, są wielkimi.

„Charakter jakiegobądź bohatera, w jakiegobądź epoce i w jakim-bądź miejscu, polega na oparciu o rzecz samą, a nie o pozór rzeczy.“ Wielki człowiek odkrywa jakiś fakt nieznan lub pominięty, ogłasza go, wszyscy go słuchają, idą za nim i oto cała historia. A nie tylko, iż on odkrywa i ogłasza, ale sam wierzy weń i widzi go. Wierzy zaś nie przez przypuszczenie, ale nieugięcie i absolutnie. Mniemanie ustąpiło przed przekonaniem, tradycja przed intuicją. Carlyle tak ufa w ten proceder, że go przypisuje wszystkim wielkim ludziom. I ma słusność. Wszędzie gdzie wchodzi z takim kagańcem, światło przenika, wszędzie przy tej pomocy zagłębia się w sercu człowieka, wszędzie prześciga historią polityczną i oficyalną. W ten sposób odgaduje charaktery, pojmuje ducha wieków zamierzchłych, czuje lepiej od każdego Anglika, nawet od Macauleya, przewroty duszy. Tą siłą wyobraźni, tą przenikliwością antykwerską, tym szerokim poglądem dorównał prawie Niemcom, a przecież nie jest twórcą przypuszczeń i marzydeł; nie cierpi historii awanturniczkiej i niepewnej; odrzuca legendy i podania, a zgadza się zaledwie w połowie na etymologią i hipotezy germańskie.

Pragnie on z historii wyciągnąć prawo pozytywne i czynne dla siebie samego i dla czytelników. Odrzuca przeto wszystko, co nagromadzać zwykła wyobraźnia romantyczna i ciekawostka naukowa. Bierze

w ręce jedynie drzewo zdrowe i mocne, przyciąga go przed nasze oczy, wywija niém tak gwałtownie, oświeca światłem tak ostrém, opromienia kontrastami obrazów tak szorstkimi i nadzwyczajnymi, że czujemy się porwani, i wbrew naszej woli dochodzimy stopnia jego widzeń i wiary. Fakta pochwycone przez taką wyobraźnię gwałtowną, stapiają się jakby w płomieniu. Wszystko drga pod tą furją pomysłów. Idee przemienione w halucynacje wstrząsają się, istoty wydają się marzydłami, świat cały wydaje się tylko senną marą, a wobec wizji wewnętrznych, zmysłowość i cielesność zatracają się zupełnie. Człowiek nie znajduje już różnicy między pomysłem a marą, mistycyzm wdziera się między rozgrzane ściany czaszki . . .

W ten sposób wdarł się niegdyś w ekstazę ascetów indyjskich i w filozofią naszych dwóch wieków. Wszędzie bowiem ten sam stan wyobraźni wprowadza te same doktryny. Purytanie prawdziwi przodkowie Carlyla byli na téj saméj drodze, on zaś nie przestaje powtarzać, „że jesteśmy stworzeni z téj saméj materji co nasze sny.“ Świat ten tak realny, wydarzenia tak niezapomniane i wyraziste, są dla niego tylko zjawiskami a raczej widmami, a świat ten Boskim. Chléb twój i suknie cndem są, a natura nadaturalną.“

„Nauka ateuszowska plecie nędznie o świecie, z całym swém doświadczeniem i Bóg wie z czém, jak gdyby świat był rzeczą nieżywozną, dającą się zapakować w butelki Leydeyskie i sprzedawać w kantorach. Świat jest rzeczą żywozną, niewypowiedzianą i Boską, w obec którego cała nasza nauka jest tylko uwielbieniem, pokorą, osłupieniem . . . .“ W istocie Carlyle dochodzi do osłupienia. Często drżąc cały przerywa sobie opowiadanie i marzy. (W histor. rewol. francuzkiéj). Obsiadają umysł jego obrazy ponure i złowieszcze. Drży na samą myśl, że ludzie mają żywot jeszcze *gdzieindziej*, i że odpowiadać będą wiecznie za swój żywot krótki doczesny; drży na samą myśl tego świata przedwiecznego, którego nasz jest tylko ruchliwym i zmiennym odblyskiem. Widzi w nim coś wspaniałego i straszego, a to dla tego że odzwierciedla jeden i drugi według własnego ducha, że je określa według własnych wrażeń.

Chaos świetnych widziadeł, nie kończących się w przestrzeni burzy się w nim za najmniejszym poruszeniem; idee gwałtowne, poprzerywane, napływają ze wszystkich kątów horyzontu ciemno-blyskawicznego; myśl jego jest burzą, i te to właśnie wspaniałe blaski, te ciemności i przerażenia burzy przypisuje wszechświatu samemu. Tego rodzaju pomysłowość staje się prawdziwém źródłem uczucia religijnego i moralnego. Człowiek nią przenikniony, pędzi życie na wzór purytański w bogobojności. Carlyle nieinaczéj przepędza życie, a wszystkie jego książki są prorocत्वami.

\* \* \*

Tak więc niezaprzeczenie jestto umysł dziwny, pobudzający do zastanowienia. Takie istoty ekscentryczne najwłaściwiej objawiają prawdę.

W tém miejscu podaje Taine dwojaki proceder myślenia i tworzenia, oraz pojęcie *grupy*. Powiada: w chwili gdy chcecie myśleć, macie przed sobą przedmiot cały i wyraźny, czyli zbiór szczegółów powiązanych ze sobą i odłączonych od swych przypadłości. Jakiembądź byłoby drzewo, zwierzę, uczucie, wydarzenie, zawsze ma ono części, a części te stanowią zawsze całość; grupa ta mniej lub więcej rozległa ma w sobie inne i sama tkwi w innych, tak że najmniejsza część świata czy téż świat cały jest *grupą*. Otóż cała praca myśli ludzkiej polega na odtworzeniu tych grup. Stosownie do tego czy umysł się ku temu nadaje lub nie, jest on zdolnym lub niezdolnym; stosownie do tego czy może wytworzyć grupy całkowite czy tylko niektóre z jęj cząstek, jest on całkowitym lub cząstkowym.

A cóż to znaczy odtworzyć grupę? Znaczy to nasamprzód odzielić od nięj wszystkie części, potem uporządkować je w szeregi wedle podobieństw, potem sformować te szeregi w rodziny, nareszcie połączyć wszystko pod jakąś cechę ogólną i panującą; krótko mówiąc, naśladować klasyfikacyą hierarchiczną nauk. Ale zadanie jeszcze nie skończone. Hierarchia ta nie jest bowiem urządzeniem sztuczném i zewnętrzném, ale koniecznością naturalną i wewnętrzną; przedmioty są żywotne i siła jest jakaś, która wytwarza i organizuje tę grupę, która wiąże szczegóły i całość, która powtarza typ we wszystkich cząstkach. Otóż tę to siłę winien umysł wytworzyć w samym sobie ze wszystkimi następstwami; potrzeba iżby ją odczuł przez odbicie i przez sympatyę, iżby odrodził w sobie grupę całą, iżby się w nim tak rozwinęła, jak się rozwinęła po za nim; iżby szereg idei wewnętrzných był naśladownictwem szeregu przedmiotów zewnętrznych, iżby wzruszenie dołączyło się do koncepcyi a wizya dokończyła analizy, iżby wreszcie umysł stał się tak twórczym jak natura: wtedy dopiero możemy powiedzieć, że coś znamy, coś wiemy.

Wszystkie umysły wchodzą na jedną z tych dróg. Drogi te dzielą umysły na dwie wielkie klasy i odpowiadają temperamentom. Na piérwszj znajdują się zwyczajni uczeni, mówcy, pisarze i w ogóle wieki klasyczne i rasy latyńskie; na drugiej poeci, prorocy, zazwyczaj wynalazcy, w ogóle wieki romantyczne i rasy germańskie. Piérwsi idą krok za krokiem, z jednéj idei w drugą, są metodyczni i ostróżni, mówią dla wszystkich i dowodzą tego, co mówią; dzielą pole, po którém przebieść mają, na przegródki dla wyczerpania przedmiotu; chodzą po gościńcach wygodnych, ażeby nie upaść; z wniosków ogólných przechodzą w coraz ogólniejsze: całkowicie klasyfikują grupę. Kiedy się zagalopują po za prostą analizę, cały talent ich polega na obronie wymownej swych tez; pomiędzy społeczesnymi Carlyla Macauley jest wzorem najdoskonalszym umysłu tego rodzaju. Drugi zagłębiwszy się bez porządku w szczegółach grupy, zaczepiają jednym nagłym skokiem o ideę rodzicielkę. I wtedy widzą ją całą; czują potęgę jęj składowe, i odtwarzają ją przez odgadnienie, malują ją w skróceniu słowem najwyrzistszém i najdziwaczniejszém; nie są w stanie rozłożyć jęj na szeregi regularne, ale zawsze spostrzegają ją ryczałtem w masie (*en bloc*). Myśl u nich wytwarza się jedynie przez nagłe skupienie idei gwałtowných, mają widzenie dalekich skutków lub czynów żywych, są objawicielami lub poetami.

„Michelet—powiada Taine, kończąc tę klasyfikację pociągającą, lubo dowolną i świadczącą o szkole do której należy, — jest u nas najlepszym wzorem *tęj formy intelligencyi*, Carlyle zaś jest Micheletem angielskim.“

Wię Carlyle o tém, i dlatego słusznie utrzymuje, że geniusz jest intuicyą, *widzeniem wewnątrz*, (insight). „Metoda Teufelsdrecka — powiada, mówiąc o osobie, w której się sam maluje,—nie jest pospolitą logiką szkolną,... ale praktycznego rozumu, postępującego naprzód za pomocą szerokiej intuicyi, obejmującej grupy i całe królestwa systematyczne;... jest ona duchowém malarstwem natury, szperaniem wspa- niałém —ale jak wiara szepcze cicho, nie pozbawioném planu.“

Prawda, lecz za nią idzie ciemność—mówi dalej Taine—izawilość. Potrzeba dla zrozumienia jęj prawdziwie ją studyować, a mało jest ludzi z powołania krytyków. Pisze się zaś na to, ażeby być zrozumianym, a nie dla stawiania zagadek.

„Proceder wizyonerski Carlyla jest cokolwiek ryzykowny, lepszy jest metodyczny który sprawdza każdy krok“ dodaje Taine.

Co prawda to te natchnienia gwałtowne Carlyla są bardzo często pozbawione wszelkich dowodów, Carlyle każe je szukać czytelnikowi, a czytelnik nie zawsze chce się fatygować. Nareszcie affektacya nieuniknioną jest przy takim stylu. Proroctwo jest stanem nadzwyczajnym, niemogącym trwać długo, zastępują je więc wkrótce wszelkie giesta. Carlyle rozgniewa się umyślnie, ażeby być ciągle ognistym, wpada w ciągłą epilepsyą, w żargon, w deklamacyą, w wykrzykniki, starając się podrażnić nasze nerwy, co w ostatku nie jest zbyt miłym. Wielu téż sądząc z teoryi i sposobu wyrażania się Carlyla, posądzi go o pozowanie na nieuznaną wielkość, na nieuznanego bohatera, według którego rodzaj ludzki, ażeby się odrodzić, powinienby w jego powierzyć się ręce.

Niezawodnie, że daje nam lekcye, że pogardza epoką, że przemawia tonem zryźliwym, że nienawidzi opozycyji, która w jego oczach nie dorosła mu do kolan. Grubiańsko się téż wyraża o swych poprzednikach; gdy mówi o biografach Kromwella, przybiera minę geniusza który wlaźł między idiotów. Na ustach jego krąży pyszny uśmiech, zdający się oznaczać bohatera uważającego się za męczennika; jeżeli zaś wychodzi z téj roli, to na to ażeby wrzeszczéć z całego gardła, jak źle wychowywany plebejusz.

Atoli wszystkie te usterki odkupuje on rzadkimi przymioty. Mówi prawdę, a umysły takie jak on, posiadają wiele głębokości i zdolności do czynienia odkryć. Suchy klasyfikator bowiem nie nie wynajdzie. „Ażeby poznać przedmiot jaki, potrzeba mieć doń zamiłowanie.“ (Bohater: Carlyle) „Wyobraźnia jest organem, za pomocą którego rozumiemy rzeczy Boskie,“ co znaczy, że każdy przedmiot żywotny czy nieżywotny, obdarzony jest siłami wpływającemi na jego rozwój, i że ażeby go poznać, potrzeba go odtworzyć w nas samych. W istocie sposób ten będący naśladownictwem natury, jest jedynym, z pomocą którego radziemy przeniknąć naturę; Szekspir uważał go za instynkt a Goethe za metodę. Najwłaściwszym jest on do odnowienia naszych idei, do wydobywania nas z formułek i przesądów, w których przez wychowanie wzrastamy, do pogruchoiania przeszkod, jakie nam stawia otoczenie nasze. Z tego to po-

mocą Carlyle wydobyl się z idei oficjalnych angielskich, przejął się filozofią i naukami niemieckimi, ażeby, spożytkowawszy je dla swych celów, przerobić je znowu na teorią oryginalną o człowieku i o świecie.

\* \* \*

Z Niemiec przeto pochodzą najwspanialsze idee Carlyla. Zna on doskonale język niemiecki i literaturę, którą stawia w pierwszym rzędzie. Przełożył „Wilhelm Meisters Lehrjahre,“ napisał o pisarzach niemieckich szereg artykułów krytycznych. W r. 1869 zaczął pisać historią Fryderyka W. Był on jednym z najoryginalniejszych i najwiarogodniejszych installmentów literatury niemieckiej w Anglii. Nie łatwa to i niemała sprawa.

\* \* \*

„Niemcy od r. 1780—1830 wypuścili w świat wszystkie idee naszego wieku, powiada Taine w r. 1869, które może przez wiek cały jeszcze będziemy powtarzali. Objasnia myśl tę bliżej w ten sposób: w niektórych epokach zjawia się pewna *forma* duchowa oryginalna, stwarzająca filozofią, literaturę, sztukę, naukę, a która odnowiwszy czy odświeżywszy myśl człowieka, odnawia z wolna ale nieomylnie wszystkie jego myśli. Wszystkie umysły badające i wynalazcze znajdują się w tym prądzie: jeżeli postępują, to przezeń; jeśli mu się sprzeciwiają, stanąć muszą, a jeżeli prąd ten wspierają, to posuwają się dalej od innych. Ruch ten trwa tak długo, dopóki coś jeszcze wynaleźć można, i dopiero gdy sztuka wydała swe dzieła, filozofia wszystkie swe teorie, nauka wszystkie swe odkrycia, ustaje on; a na jego miejsce wstępuje inna forma ducha, lub też człowiek przestaje myśleć. W taki sposób ukazał się za czasów odrodzenia geniusz artystyczny i poetyczny, który zrodzony we Włoszech, przeniesiony do Hiszpanii, zgasnął tam w przeciągu półtora wieku, i który przeniesiony do Francji i Anglii, zniknął po stu latach pośród szaleństw sekciarzy, po dokonanej Reformie, ustaliwszy zarazem myśl wolną i ugruntowawszy naukę. W taki sposób powstał z Drydenem i Malherbem duch wymowy i klassycyzmu, który wytworzywszy filozofią XVIII wieku, wziął za następców Woltera i Popego i zniknął zupełnie, zaprowadziwszy w Europie ogładę i przygotowawszy rewolucję francuzką.

Nareszcie w taki sposób powstał z końcem ostatniego wieku geniusz filozoficzny niemiecki, który zrodziwszy metafizykę, teologią, poezją, literaturę, lingwistykę, egzegezę, nową erudycją, przechodzi obecnie w inne nauki (przyrodnicze), rozwijając się dalej. Objaw ten jest od 300 lat najoryginalniejszym, najplodniejszym w następstwa wszelakie, najspсобniejszym do przerobienia wszystkiego. Pociąga on za sobą wszystkie wielkie dzieła inteligencji społecznych, ukazuje się we wszystkich krajach cywilizowanych, rozwija się i rozszerza pod rozmaitemi postaciami. Staje się on jedną z epok historii świata; natrafić nań można w jednej i tej samej cywilizacyi i w tychże samych rasach... Możemy

wnioskować, że trwanie jego będzie długie... i możemy rozróżnić formę tego ducha i zbadać, do jakich idei nas prowadzi.

\* \* \*

Na czem polega ta forma? Na zdolności wytworzenia idei generalnych. Żaden naród i żaden wiek, nie posiadał jęj w tym stopniu co niemiecki. Taką to siłą działałi wszystko, ta siła jest darem zrozumienia, objęcia (*begreifen*). Ona stwarza pojęcia (*begriffe*); pod przewodem jednéj idei wspólnej, gromadzą się rozrzucone części przedmiotu, w podziałach grupy rozeznaje się węzeł wspólnie łączący, a pozorne kontrasty doprowadzi łatwo do jedności. To jest właśnie szczególna zdolność filozoficzna, ona téż na wszystkich dziełach wycisnęła swoje piętno. Z jęj pomocą ożywili Niemcy nauki suche, dotychczas zajmujące tylko akademików i seminarzystów; za jęj pośrednictwem odgadli logikę pierwotną, która stworzyła i uorganizowała języki, wielkie idee skryte na dnie każdego dzieła sztuki, jakotéż intuicyą metafizyczną, która zrodziła religią i mity. Przez nią dostrzegli ducha wieku, cywilizacye i rasy, i przeistoczyli w system praw historycznych nagi zbiór faktów; przez nią odnaleźli znaczenie dogmatów, złączyli Boga ze światem, człowieka z naturą, ducha z materyą; dostrzegli następstwo łańcuchowe i konieczność oryginalną form, których całością jest wszechświat. Przez nią wyrobili lingwistykę, mitologią, krytykę, estetykę, egzegezę, historią, teologią i metafizykę, wszystko nauki tak dalece nowe, że długi czas były niezrozumiałe, zmuszone wyrażać się swoim odrębnym językiem.

Skłonność ta do idei ogólnych, była tak wszechpotężną, że nawet poeci tworząc dramaty, epopeje i ody, odnosili je do tychże. Bohaterów przemieniali w symbole, idee filozoficzne zaś rozsadały formę poetyczną, w której je chcieli zamknąć; byli oni wszyscy krytykami (Goethe) zajętymi budowaniem i odbudowaniem, erudydami i tworcami metod, połączonymi ku wyobraźni przez sztukę i studia, niezdolnymi do stworzenia istot żyjących, chyba sztucznie.

\* \* \*

Z téj zdolności obejmowania całych grup zrodzić się mogła jedna idea: idea *rozwoju* (*Entwickelungs-idee*). Wszystkie te idee krążące w Niemczech od lat 50, do téj jednéj dadzą się zredukować. Polega ona na przedstawieniu wszystkich części grupy jako solidarnie ze sobą związanych, jako uzupełniających się nawzajem, i to w ten sposób, że jedna wymaga drugiey, jedna zależy od drugiey, i że wszystkie razem złączone, objawiają już swém następstwem i kontrastem, przymiot wewnętrzny, który je wytworzył. Tę ideę zasadniczą stwierdzało lub przekreślało dwadzieścia systematów, sto marzeń, 100,000 metafor.

Zastósowawszy tę ideę do natury, dochodzi się do uważania świata jako (stopniowania) *drabiny* form, i jako ciągu stanów, mających same w sobie racją bytu, zamykających w swęj naturze konieczność swego upadku i swego ograniczenia, składających przez swój związek całość

niepodzielną, która, wystarczając sama sobie i łącząc wszystko, czas i przestrzeń aż do życia i myśli, staje się przez tę harmonię i tę wspaniałość podobizną jakiegoś Boga wszechpotężnego i nieśmiertelnego. Odnosząc tę ideę zasadniczą do człowieka, dochodzi się do uważania uczuć i myśli jako produktów naturalnych i koniecznych, splecionych ze sobą na wzór przemian dokonywanych w zwierzęciu i roślinie, co znowu prowadzi do pojmowania religij, filozofij, literatur, wszelkich pomysłów i wzruszeń ludzkich jako następstw koniecznych stanu umysłu, który unosząc się porywa je z sobą; wracając, sprowadza je napowrót... Oto dwie doktryny, któremi przeniknione pisma dwóch pierwszych myślicieli wieku: Hegla i Goethego. Obaj posługiwali się niemi wszędzie jako metodą; Hegel dla znalezienia formuły na wszystko, Goethe dla stworzenia sobie wyobrażenia o wszystkim; obaj tak dalece niemi przesiąkli, że na nich oparli swoje uczucia wewnętrzne i zwykłe, swoją moralność i postępowanie.

Dwie te doktryny uważać można jako dwa legaty filozoficzne, któremi nowoczesne Niemcy obdarzyły rodzaj ludzki.

\* \* \*

Ale te legaty nie były czyste, ani ta namiętność do idei ogólnych. Rzadko się bowiem zdarza, iżby umysł nasz pochwycić mógł przedmiot we wszystkich szczegółach i odnośnie do całości; ograniczeni jesteśmy małością przestrzeni i czasu, organa nasze nie daleko sięgać mogą, doświadczenia robimy dopiero od 300 lat, pamięć nasza krótką jest, a dokumenta, przy pomocy których zagrzebujemy się w przeszłości wątpliwymi są ognikami, rozrzuconymi na ogromnych obszarach na to zaledwie, iżby je odsłonić, a nie oświecić. Ażeby powiązać drobne te wskazówki, trzeba najczęściej stworzyć przypuszczenie przyczyn, albo też posługiwać się ideami ogólnymi tak szerokiemi, iżby się pod nie wszystkie fakta podciągnąć dały; potrzeba się ratować hipotezą albo abstrakcją, potrzeba wymyślić objaśnienie dowolne a stosowne, albo zgubić się w objaśnieniach niepewnych. Dwa te błędy zepsuły myśl niemiecką. Przypuszczenie i formuła rozsiadły się bujnie. Poczęły się roić systemata jedne za drugimi, jeden przytłumiając drugi, jeden trwający krócej od drugiego. Publiczność europejska zadziwiła się nad tak bogatą wyobraźnią a tak wątpliwym zdrowym sensem, nad tyłoma ambitnemi pretensjami i tyłoma teoryami pustemi, nad taką masą abstrakcyj niepożytecznych i zupełnym brakiem rozróżnienia, a wreszcie nad tak chimerycznym rozumowaniem. Atoli szła, głupstwa i geniusz, płynęły z jednego źródła; jedna i ta sama zdolność wszechpotężna spowodowała odkrycia i błędy.

Każdy naród ma swój geniusz oryginalny, przez który urabia idee, wzięte z obcego źródła. Tak Hiszpania w XVI i XVII wieku odnowiła w innym duchu poezję i malarstwo włoskie; tak purytanie i janseniści odtworzyli w nowych ramach protestantyzm pierwotny; tak francuzi XVIII w. rozszerzyli i obwieścili liberalne idee anglików w religii i polityce. Francuzi nie mogą ogarnąć za jednym zamachem tak jak niemcy wielkich pomysłów. Posuwają się tylko krok za krokiem, wychodząc z idei wyraźnych i dopiero nieznacznie wnosząc się do abstrakcyjnych,



według metody progresywniej i analizy stopniowej Condillaca i Kartezjusza. Ale ta powolna droga, prowadzi prawie tak daleko jak tamta, a w dodatku nie uchroni się od fałszywego kroku. Przez nią to zdolni jesteśmy zrozumieć i poprawić poglądy Hegla i Goethego. Z jednej strony pozytywistyczna metoda, z drugiej historia, romans i krytyka, dotknęły praw, na których oparte są wydarzenia ludzkie, natura uwidoczniła się, powiada z naciskiem Taine, jako porządek faktów, człowiek jako kontynuacja natury, a jeden z najwznieślijszych umysłów naszego czasu p. Renan, miarkując natchnienia niemieckie, ułożył w stylu francuskim wszystko co nauka mytów, religii i języków nagromadziła po za Renem od lat sześćdziesiąciu.

\* \* \*

Trudniej odbył się ten proceder w Anglii, bo tutaj zdolność do idei ogólnych jest mniejszą a nieufność przeciw tymże jest większą. Tu odrzucają odrazu wszystko, co mogłoby zaszkodzić moralności praktycznej albo ustalonemu dogmatowi, a przecież droga obrona przez Carlyla jest jedyną, przez którą idee niemieckie stać się mogą angielskimi. Przez tę drogę, poezya i religia dwóch tych krajów styka się z sobą, przez nią dwa te narody zbratać się mogą. Poczucie rzeczy wewnętrznych (móight) tkwi w rasie, a poczucie to jest pewnego rodzaju darem, natchnieniem filozoficznem. W razie potrzeby, serce zastępuje mózg. (Przypominamy, że Taine bardzo często i mimowoli, wychodzi ze swęj pozytywnej natury). Człowiek „natchniony“ wnika w głębię rzeczy, dostrzega przyczyny przez doznane wstrząśnienie, obejmuje całość jasnością i szybkością swęj twórczęj wyobraźni. Albowiem skoro tylko kto tworzy, czuje zaraz w sobie samym, siłę działającą w przedmiotach objętych jego myślą; przez sympatyę dorozumiewa się ich znaczenia i związku; intuicya jest analizą skończoną i żywą. Poeci i prorocy, Szekspir i Dante, święty Paweł i Luter, byli samochcąc systematycznymi teoretykami, a wizye ich zawierają poglądy ogólne na świat i człowieka.

Mistyryzm Carlyla jest potęgą takiego rodzaju. Wykłada on w stylu poetycznym i religijnym, filozofię niemiecką. Mówi jak Fichte „o idei boskiej świata, w rzeczywistości, spoczywającęj na dnie każdego zjawiska.“ Mówi jak Goethe „o duchu wiecznie przedzącym żywą suknię bóstwa.“ Pożycza metafory, tylko że je bierze dosłownie. Uważa bowiem jako istotę tajemniczą i wzniosłą Boga, którego oni uważają jako formę lub jako prawo. Jedność natury, którą oni pojąć chcą przez rozumowanie i przez abstrakcyę, on pojmuje przez egzaltacyę, przez marzenie boleśne.

Analiza metodyczna wraz z klasyfikacyą nauk pozytywnych, krytyka francuzka zaostrzona smakiem literackim i obserwacyą świata, krytyka angielska oparta na zdrowym sensie praktycznym i na *intuicyi pozytywnej* (sic); nakoniec gdzieś tam w zakątku, wyobraźnia poetyczna, oto są cztery gościńce, po których dąży dzisiaj umysł ludzki, dla dostania się na wzniosłe szczyty, do których zdawało mu się, że zmierzał, i które utracił.

Wszystkie te drogi prowadzą na jeden i ten sam szczyt, tylko widoki i poglądy z tej wysokości, z tego szczytu, są odienne. Szczyt po którym stąpił Carlile, był jednym z najodleglejszych, i leżał w perspektywie najdziwniejszej. Posłuchaj czytelniku własnych słów jego.

\* \* \*

„Nie jestto metafizyka ani żadna inna umiejętność abstrakcyjna, mająca siedlisko w głowie samej, ale filozofia życia, mająca siedlisko w sercu i mówiąca do serca.“ Carlile wypowiada tu pod imieniem Teufelsdracka, cały szereg wzruszeń, które go do tego doprowadziły. Są to wszystkie wzruszenia purytaniną nowoczesnego, jako zwątpienia, rozpacze, walki wewnętrzne, egzaltacje i rozdarcia, przez które dawni purytanie dochodzili do wiary, czyli—jestto ich wiara tylko pod inną formą. Według Carlyla jak i według purytanów, człowiek duchowy i wewnętrzny oddziela się od człowieka zewnętrznego i cielesnego, rozróżnia obowiązek od nagabywań przyjemnych, odkrywa Boga pod pozorami natury, i po za światem i instynktem wrażliwym spostrzega świat i instynkt naturalny.

\* \* \*

Właściwością Carlyla tak jak i każdego mistyka jest, dopatrywanie w każdej rzeczy podwójnego znaczenia; według niego, tekst i przedmioty, można dwojako objaśniać. Jedno objaśnienie jest proste, dostępne dla wszystkich, przeznaczone dla życia zwykłego, drugie wzniosłe, dostępne tylko dla niektórych, zdolne do życia wyższego. „Wobec pospolitej logiki — powiada Carlyle — czemuż jest człowiek? Dwunożnym wszystkożernym zwierzęciem, noszącym spodnie. W obec czystego rozumu, czemuż jest? Duszą, duchem, boskiem zjawiskiem.“ Tajemnica tkwi pod suknią cielesną. Głęboko jest ono schowane pod tym dawnym okryciem, pośród tonów, kolorów i form, które są jego powijakami. A przeciw sukni ta utkana jest w niebie i godną Boga.“ „Materia bowiem jest duchem, objawieniem ducha. Rzecz widzialna, czemuż jest jeżeli nie suknią, szatą czegoś wyższego i niewidzialnego, czegoś niepojętego i niepożądanego kształtu, zaciemnionego właśnie przez swój blask.“

„Wszelkie rzeczy widzialne są godłami: to co dostrzegasz, nie istnieje z własnej woli. Właściwie mówiąc, nic tam niema, materia istnieje duchowo tylko dla wyrażenia jakiejś idei i dla ucieleśnienia jej zewnętrznego. Czyż wyobraźnia nie jest zmuszoną utkać suknie, ciała widzialne, przez które objawiają się natchnienia i kreacje niewidzialne naszego rozumu? Język, poezya, sztuki, kościół, państwo nie są niczem innym tylko symbolami. Symbole to kierują człowiekiem szczęśliwym czy nieszczęśliwym; zewsząd widzi się on otoczony symbolami uznanymi za takowe lub nieuznanymi. Wszystko, co działał nie jestże symboliczne? a życie jego nie jestże objawieniem widzialnym daru boskiego, siły mistycznej w nim będącej?“

Wstąpmy wyżej i przypatrzmy się czasowi i przestrzeni, tym dwom przepaściom, których zdaje się, że nic nie zapełni ani nie zniszczy

a po nad któremi unosi się życie nasze i świat. „Są one tylko formami naszej myśli . . . „Niema ani czasu ani przestrzeni, są to tylko wielkie pozory” obleczone myślą naszą. Nasze źródło leży w wieczności, pozornie wydaje się, jakbyśmy się rodzili i umierali . . . Wiedz dobrze, że tylko cienie wieku zginęły i zginąć mogą, że substancja rzeczywista wszystkiego, co było i co jest, istnieje w tejże chwili i na zawsze.” Tak jak jesteśmy ze zmysłami naszymi i z ciałem naszym sądzimy się być rzeczywistymi, gdy tymczasem cała ta zewnętrzna strona jest tylko widmem, pojawem. „Te członki, ta krew żywa ze wszystkimi namiętnościami jest tylko prochem i cieniem, systemem cieni zgromadzonych wokoło naszego ja!” . . . Cóż więc znajduje się pod temi czezemi i próżnemi pozorami? Cóżto jest za istota niewzruszona, której natura jest „szatą zmienną i żywą?” Nikt tego nie wie, jeżeli się serce domyśla, duch tego nie spostrzega. „Stworzenie rozpościera się przed nami, jak wspaniała tęcza, ale słońce które ją stwarza, zostaje po za nami, po za obrebram naszego wzroku.” Mamy tylko poczucie, ale nie wiemy o tém pojęciu. Czujemy, że świat ten jest piękny i straszny „ale jego treść pozostanie zawsze bez nazwiska i określenia.” Możemy tylko paść na kolana przed tém zastąpieniem obliczem, bo ostupienie i uwielbienie to nasza prawdziwa postawa. „Nauka bez czci jest bezpłodną a może zatruta. Człowiek który czcić nie jest zdolny, który nie umie czcić i uwielbiać choćby był prezydentem stu towarzystw królewskich, i choćby nosił w głowie całą mechanikę niebieską i całą filozofię Hegla . . . nie byłby niczem innem jak parą okularów, po za któremi niema wcale oczu.” „Zdejm łuskę z twych oczu a patrz. Ujrzysz, że świat ten wspaniały w najmniejszej ze swych dziedzin, jest miastem gwiazdzistym Boga; że z po za każdej gwiazdy, każdego źdźbła trawki, z po za każdej duszy żyjącej przeblyskuje chwała jednego Boga obecnego. Pokolenie po pokoleniu, ludzkość przybiera formę ciała, ukazując się z posłannictwem niebios. Poczém posła niebios odwołują, ubranie jego ziemskie spada, stając się nawet dla zmysłów znikającym cieniem . . . Tak więc niby armia duchów stworzonych przez Boga, wychodzimy z próżni, spieszymy burzliwie przez ten padół ziemski, a potem znów zatapiamy się w próżni. Ale z kąd przychodzimy o Boże i gdzie dążymy? Zmysły nie dają na to odpowiedzi ani wiara; wiemy tylko że to tajemnica.”

\*

\*

\*

Tak gwałtowna poezja religijna przepełniona nawskróś wspomnieniami Milтона i Szekspira, nie jest niczem innem jeno *transkrypcją* angielską idei niemieckich. Istnieje reguła stała na dokonanie tej *transkrypcyi* czyli przemiany jednych idei w drugie; można zaznaczyć każdy krok prowadzący z prostej koncepcyi filozoficznej w stan ostateczny i gwałtowny. I tak biorąc świat tak jak go wskazują nauki, jest on grupą regularną, układającą się według praw pewnych, które to prawa nazwać można siłą. Jeżeli jesteś artystą pochwyisz odrazu siłę, szereg skutków i cały tryb regularny, przez który siła wytwarza ten szereg. Jestto przedstawienie najdokładniejsze, do którego świadomość nasza

dojść powinna. Lecz po za tą granicą zaczepiają się widma, które umysł tworzy, a któremi sam się ludzi. Jeżeli masz cokolwiek wyobraźni, zrobisz z tej siły istotę odrębną, stojącą po za doświadczeniem, duchową, będącą źródłem i treścią rzeczy widocznych: będzie to istota metafizyczna. Podnieś o jeden stopień twoje wyobraźnię i twój entuzjazm, a powiesz, że ten duch stojący po za obrębem czasu i przestrzeni, objawia się właśnie przez czas i przestrzeń, że tkwi w każdej rzeczy, że ożywia wszystko, że w nim mamy ruch i życie. Dójdź aż do ostateczności w tej ekstazie, a powiesz, że ta zasada jest jedyną, rzeczywistą, reszta zaś pozornym zjawiskiem; i odtąd pozbawiłeś się środków dla określenia jęj, odtąd nie możesz nic już odrzec twierdząco, dowodząco; uważać ją będziesz za przepaść wspaniałą i niedającą się przeniknąć, porzucisz drogę idei jasnych, ubóstwisz uczucie i egzaltacyą. Jeżeli jesteś smutnego usposobienia, będziesz jęj szukał w boleści, w rozdarciu serca, w ukorzeniu. Przez takie stopniowanie przemian idea ogólna staje się istotą poetyczną, potem zaś istotą filozoficzną, potem mistyczną, aż wreszcie metafizyka niemiecka skupiwszy się i rozpalwszy, zostaje zamienioną na purytanizm angielski.

\* \* \*

Mystycyzm ten odróżnia się tém od innych, że jest praktyczny. Purytanin niepokoi się nie tylko o to, w co ma wierzyć, ale i o to, jak ma postępować, pragnie odpowiedzi dla swych zwątpień; zmartwiony jest nie tylko swą niewiadomością ale i występkami, szuka Boga ale zarazem i obowiązku. W jego przeświadczeniu dwa czynią jedno, sens moralny jest zarazem przewodnikiem filozofii . . . Alboż wyraz *obowiązek* niema znaczenia? Potrzebaż dowodów, że to, co zwiemy obowiązkiem, nie jest bynajmniej posłańcem boskim, ale widmém ziemskim i ludzaczem, sfabrykowanym równocześnie z pragnieniem i obawą? . . . Szczęście zadowolnionego sumienia? . . . Alboż Neron, umysł wesoły nie uchodził w swoim czasie za najlepszego artystę. Nieszczęsny fabrykancie motywów, który posiadasz w twym młynie logicznym osobny mechanizm i chciałbyś odedrzeć cnotę z łupiny przyjemności; ja ci powiadam: nie! Tkwi w nas instynkt, który woła: nie! Odnajdujemy w sobie: „coś wyższego nad miłość szczęścia” to jest poświęcenie. Otóż i część boska naszej duszy, w onęj i przez nią dostrzegamy Boga, który inaczej pozostałby dla nas zawsze w ukryciu. Przez nią wnikamy w świat nieznaną i wzniosłą. Istnieje stan nadzwyczajnej duszy, przez który wydobywa się ona z samolubstwa, uwielbia boleść, pojmuje świętość. To tajemnicze *coś*, którego domysły osiągnąć nie są w stanie, ani rozum określić, które wyobraźnia przedstawia sobie jako króla, jako osobę, jest świętością, jest wzniosłością . . . Cnota jest objawieniem, heroizm światłem, sumienie filozofią; czyli—ten mistycyzm moralny da się wyrazić w skrótach tém, że Bóg dla Carlyla jest tajemnicą, której jedynym nazwiskiem jest ideał.

\* \* \*

Taka zdolność dostrzegania w przedmiotach wewnętrznej racy i takie usposobienie wyszukiwania w przedmiotach sensu moralnego, wytworzyły wszystkie Carlyle doktryny a najsamprzód jego chrystyanizm. Chrystyanizm ten jest wcale swobodny. Carlyle pojmuje religią symbolicznie. Dlatego zwią go panteistą, co mówiąc pospolitym językiem znaczy: szaleniec. W Anglii exorcyzmują go jak szatana, ciągle bowiem obraża on teologów, zwłaszcza gdy się zapuszcza w dogmat. Uważa on chrystyanizm jako szczyt, a tego treścią jest: „uwielbienie boleści.“ Kościół protestancki XIX w. (mówi dalej), tak jak niegdyś katolicki w XVI w. potrzebuje reformy, potrzeba nam nowego Lutra. Chrystyanizm raz doprowadzony do abnegacyi wpłynie na podniesienie znaczenia i godności innych religij, gdyż są one podobnie jak chrystyanizm, formami religii uniwersalnej. „Wszystkie one zawierają prawdę, inaczej nie byłoby ludzie w nie wierzyli.“ Nie są one szarlatanizmem ani igraszką poetycznej wyobraźni, ale są one życiem mniej lub więcej zmaconem i zmieszanem z tajemnicą wielką, ukrytą w głębi wszechświata. „Najgrubszy poganin czczący kamień czarny Caaby uznaje w nim piękność, technienie boskie“ . . . Cześć wielkiego Lamy a nawet papizm tłumaczy na swój sposób poczucie boskości, dlatego to i papizm jest poszanowania godny. „Niechaj trwa jak najdłużej (wyrażenie w Anglii śmiałe), jeżeli tylko zdoła kierować ludźmi pobożnie.“ „Wszystkie religie są symbolami. Wszystkie wiary, liturgie, formy religijne, któremi się przyodziewa uczucie religijne, są w tém znaczeniu *bożyszczami*“ . . . Jedyńy rodzaj bałwochwalstwa jest niegodny ten, w którym niema uczucia, który polega na wymownych ceremoniach, na powtarzaniu machinalnem pacierzy. Cześć głęboka mnicha z XII w. kłęczącego przed relikwiami świętego Edmunda ważyła więcej aniżeli chłodna religia filozoficzna dzisiejszego protestanta. Niech będzie cześć religijna jakabądż, byle było w niej uczucie, bo ono nadaje jęj całą wartość. A tém uczuciem jest uczucie moralne. „Jedynym celem każdej religii przeszłej, terażniejszej i przyszłej, powinno być zachowanie żywo i gorąco naszej świadomości moralnej (sumienia), która jest naszym światłem wewnętrznem. Każda religia przypomina nam tu mniej lub więcej różnicę *nieskończoną* między człowiekiem dobrym a złym, ażeby wpoić w nas iżbyśmy jednego kochali a drugiego strzegli się nieskończenie, ażebyśmy starali się niezmiernie być jednym a nie być drugim.“

„Wszelka religia która nie zmierza do czynu, do pracy, może sobie zamieszkać między braminami, derwiszami, wszędzie gdzie jęj się podoba; lecz ja znać jęj nie chcę.“ Być może że jęj ty znać nie chcesz, odpowiada Taine, ale ja i inni znają. Tu właśnie przypada rys charakterystyczny angielski, tak pojmujący ciasno szeroką ideę. Wszakże znajduje się wiele religij niemoralnych a więcej jeszcze niepraktycznych, Carlyle zaś chce doprowadzić serce człowieka do angielskiego poczucia obowiązku, a wyobraźnię człowieka do angielskiego poczucia uszanowania. Przeszło wymyka mu się połowa ludzkiej poezyi, gdyż jeżeli jedna cząstka nasza podnosi nas aż do poświęcenia i cnoty, druga wie dzie nas w krainę radości i użycia. Człowiek jest poganinem i chrześcianinem zarówno, natura ma dwa oblicza; niektóre rasy jak indyjska, grecka,

włoska, pojęły tylko drugą i miały jako religią uwielbienie bujnej siły i extazę wyobraźni, albo też kształły harmonizujące z czcią rozkoszy, piękności i szczęścia.

\* \* \*

Carlyla krytyka dzieł literackich tchnie tym samym ogniem i tą gwałtownością, ma też samą doniosłość i także granice, tę samą zasadę i te same konkluzje co jego krytyka dzieł religijnych. Uważa on poetę, pisarza, artystę „jako tłumacza idei boskiej tkwiącej na dnie każdego zjawiska“ jako przedstawiciela swego wieku i narodu. I tu formuły niemieckie, które znaczą, że artysta lepiej od kogobądź scharakteryzować jest zdolny świat otaczający, tak iż z jego dzieła da się wyprowadzić teorya o człowieku i naturze, jako też da się odmalować wiek jego i rasa. Odkrycie to odświeżyło krytykę. Carlyle zawdzięcza temu najpiękniejsze swe poglądy na Szekspira i Danta, swoje studia o Getem, Johnsonie, Burnsie, i Rousseau. Stał on się heroldem literatury niemieckiej, apostołem Getego, zowie go bohaterem, życie jego podaje za wzór ludziom naszego wieku, nie chce nawet widzieć jego poganizmu tak przeciwnego purytanizmowi. Z tej samej przyczyny zrobił Jana Pawła Rychtera przesadnym humorystą, obsypał pochwałami Nowalisa i marzycieli mistycznych, Burnsa postawił wyżej nad Bajrona, a śmiesznego pedanta Johnsohna podniósł do potęgi.

Do zasad jego należy, że w dziele ducha forma jest rzeczą podrzędną, a tylko treść jest główną. Skoro ktoś obdarzon jest głębokiem uczuciem, silnem przekonaniem, już i książka jest piękna. Pismo jakiegokolwiek ono jest uwidocznia duszę; jeżeli dusza ta poruszana jest poważnemi myślami, jeżeli kocha dobro, już osiągnęła cel. Talent nic nas obchodzić nie powinien, nie potrzebujemy pochlebstwa pięknej formy; jedynem naszym staraniem powinno być zetknięcie z wzniosłością, jedynem przeznaczeniem człowieka poczucie heroizmu, dlatego poezya i sztuki to tylko mają powołanie i tę zasługę. Ztąd poznać, dlaczego Carlyle lubi mistyków, proroków, pisarzy nieutalentowanych i ludzi czynu, poetów niezgrabnych i wszystkich tych, którzy gwałcą regularną formę piękna przez nietęctwo, brutalność, szaf lub postanowienie z góry obmyślane. Dlatego przebacza Johnsonowi retorykę, deklamacyą napuszystą, bo widzi w nim jedynie człowieka religijnego i z przekonaniem; dlatego też zamyka sobie oczy na wiele przedmiotów. Z pogardą mówi o dyletantyzmie społecznym, o malarzach nieznając piękna widocznego. Nie dba o artystów, a przecież źródłem sztuki jest poczucie formy i najwięksi artyści włoscy i greccy znali tylko piękność rozkoszy i siły; dlatego też nie lubił literatury francuzkiej.

Jego sposób pjmowania życia całkiem jest odmienny od naszego. Chciałby zrozumieć Woltera a zaledwie udaje mu się spotwarzać go i lżyć. „Niema ani jednej wielkiej myśli w jego 36 tomach in quarto. . . Wzrok jego zatrzymuje się tylko na powierzchni natury. . . Jego teorya o świecie, malowanie człowieka i życia ludzkiego jest nędzne nawet jak na poetę i filozofa. Czyta on historią nie oczyma krytyka, ale prostą

parą okularów antykatolickich. Nie jest ona dla niego dramatem wspa-  
niałym granym na teatrze nieskończoności, ze słońcami zamiast lamp  
a z wiecznością jako tłem . . . ale nędzną dysputą klubową . . . Głośna  
pochwała za przeprowadzenie celów szlachetnych, może mu być oddana  
z wielką tylko ostrożnością a nawet może mu być odmówiona. Siła ja-  
kiej mu było potrzeba, nie była ani wielką ani szlachetną, ale drobną  
i z pewnych względów nikczemną, tylko że umiał użyć jej zrecznie  
i stósownie. Ażebym zbudować świątynię Efezką potrzeba było pracy  
wielu głów mądrych i wielu ramion silnych przez długie peryody życia,  
a tę samą świątynię mógł także zburzyć jeden szaleniec i w jednej go-  
dzinie.” Słowa dosyć grubiańskie i mogą tylko powiedzieć, powiada  
Taine, że gdyby ktoś sądził Carlyla jako francuz, tak jak on sądzi Wol-  
tera jako anglik, to portret Carlyla wypadłby niezawodnie całkiem inaczej  
aniżeli ja go kreślę.

\* \* \*

Pięćdziesiąt lat temu spotwarzanie było na porządku dziennym,  
za 50 lat może się znów skończy.

Potrzeba, iżby krytyka do swęj duszy narodowej dołączyła pięć  
innych dusz sztucznych, iżby na mocy spółczucia mogła się nagiąć i we-  
drzeć w uczucia obce lub dawno zagasłe. Najlepszym owocem krytyki  
jest: strzedz się samego siebie, zmusić się do uczestnictwa w świecie,  
w którym się zatapiamy, odróżnić przedmioty od pozorów chwilowych,  
jakimi je charakter nasz i stólecie przystrajać zwykło. Każdy patrzy  
na nie przez okulary rozmaitego koloru i różnej mocy, jednakże nikt nie  
osiągnie prawdy, jeżeli nie będzie uważał na formę szkła jego i budowę,  
przez którą właśnie narzucają się przedmiotom. Dotychczas kłóciłiśmy  
się o to, że jeden mówił iż przedmioty są zielone, drugi że żółte, trzeci że  
czerwone i przeto każdy posądzał swego sasiada o złą wiarę i wzrok  
niedobry. Teraz dopiéro uczymy się optyki moralnej, przekonujemy  
się, że barwa nie leży bynajmniej w przedmiotach ale w nas samych;  
przebaczamy sąsiadom naszym pogląd odmienny, uznajemy że powinni  
wiedzieć na czerwono to, co się nam wydaje niebieskiem, na zielono to,  
co się nam wydaje żółtém; jesteśmy nawet w stanie oznaczyć rodzaj oku-  
larów dających kolor żółty i tych, które dają zielony, jesteśmy w stanie  
przepowiedzieć kolor, w jakim ukażą im przedmiot, zbudować najprzód  
systemat każdego umysłu, a może z czasem zwolnić się zupełnie  
z wszelkiego systemu. „Jako poeta, mawiał Gete, jestem politeista; jako  
naturalista panteista, jako istota moralna deista, a dla wyrażenia mego  
uczucia potrzebuję wszystkich tych form.“ Rzeczywiście wszystkie te  
okulary są dobre, ponieważ wszystkie ukazują nam przedmioty z jakiegoś  
nowego punktu widzenia. Rzecz zaś główna w tём zależy, iżby tych  
okularów mieć kilka, umieć użyć każde z nich w stosownych wili, wiedzieć,  
że po za tysiącem tych barw ruchliwych i poetycznych optyka uznaje  
tylko te zmiany, któremi rządzi prawo.

\* \* \*

„Historja powszechna, powiada Carlyle, historia tego, co człowiek spełnił na tym świecie, jest w gruncie rzeczy historją wielkich ludzi, którzy tu pracowali. Oni byli kierownikami ludów, wzorami na szeroką skalę, twórcami wszystkiego, co masa ludzi wzięta razem zdołała zdziałać. Wszystko co się utrzymało w świecie, jest właściwie inkarnacją myśli wielkich ludzi przysłanych na ten świat. Dusza całej historii byłaby ich historją.“ Carlyle nadaje poetom, reformatorom, pisarzom, ludziom czynu, charakter mistyczny. „Bohater jest posłannikiem wysłanym z głębi tajemniczej nieskończoności z nowościami dla nas . . . Przychodzi on ze serca świata, z pierwotnej rzeczywistości wszechrzeczy ; natchnienie Wszchemocnego daje mu inteligencyą i pewien rodzaj objawienia.“ (On heroes) Nadaremnie nieświadomość wieku stoi mu w drodze, dochodzi on zawsze do jakiejś niewzruszonej i ożywczej prawdy i przez tę prawdę staje się potężnym. Co odkrył to jest skutecznem i nieśmiertelnem. „Dzieła człowieka, choćbyście je schowali pod najobrzydliwzemi śmieciškami . . . nie zginą . . . Co było ze światła wieczystego w człowieku i w jego życiu, to dołączyło się do wieczności i istnieje na zawsze . . . Dlatego takie czczenie bohaterów jest i było zawsze potęgą ożywczą życia ludzkiego; religia i całe społeczeństwo na tém się opiera. Bo czemże jest właściwie lojalność (loyalty) będąca ożywczem technieniem każdego społeczeństwa, jeżeli nie wypływem z czci bohaterów, uwielbieniem korném dla tych, którzy są istotnie wielkimi?“ To uczucie stanowi podstawę człowieka. Zachowało się do dziś dnia, do dzisiejszej epoki, będącej epoką burzenia i niwellacyi.

\* \* \*

W tém orzeczeniu zawartą jest idea niemiecka, ale przemieniona na sposób angielski. Niemcy utrzymują, że każdy naród, każdy peryod, każda cywilizacya ma swoją *ideę*, czyli rys zasadniczy, od którego płyną wszystkie inne, tak że filozofia, religia, sztuki i obyczaje, wszystkie udziały myśli i czynu dadzą się wywieść z pewnej właściwości oryginalnej i podstawowej, od której wszystko bierze początek. Otóż tam gdzie Hegel ideę, Carlyle stawia uczucie bohaterstwa. Przedstawia się to dobitniej i moralniej. Potrzebuje on oblec abstrakcyą w ciało i duszę, bo mu źle z czystemi pojęciami bez istoty realnej.

A ta istota, tak jak on ją pojmuje, przedstawia w skróceniu resztę, gdyż według niego bohater reprezentuje cywilizacyą społeczną, bohater odkrył lub obwieścił pomysł oryginalny a stólecie poszło za nim. Znajomość téż uczucia bohaterського zaznajamia zarazem z całym stóleciem. Tym sposobem odczuł Carlyle na wzór swych bohaterów, że cywilizacya niechby była najrozleglejszą i najbardziej rozpierzchniętą, stanowi przecieź całość niepodzielną. Zgromadził pod znaczeniem heroizmu fragmenty rozrzucone, które Hegel łączył prawem, wyprowadził z ogólnego uczucia, wypadki, które niemcy wywodzili z definicyi ogólnej. Zrozumiał głęboki i daleki związek rzeczy, tych które wiążą wielkiego człowieka ze swą epoką i tych które łączą dzieła myśli skończonej z myślą rodzącą się, myśli, które spleatają uczone pomysły konstytucyj nowoczesnych z niepo-



rządkami pierwotnego barbarzyństwa. „Gdyby nie było dzikich świętych Dominików, nie byłoby harmonijnego Dantego. Surowe wysiłki w Skandynawii i gdzieindziej począwszy od Odina do Waltera Rabigha (z czasów Elżbiety) od Ulfilu do Cranmera przysposobiły Szekspira . . . Poeta doskonały jest dowodem że epoka jego doszła do doskonałości i że znowu potrzeba będzie nowej epoki i nowych reformatorów, ponieważ każdy wiek ma swoją teorię i swoje pojęcie duchowe o świecie.“ Wszelkie dzieła poetyczne czy praktyczne, są tylko zastosowaniem tej idei panującej; historyk posługuje się nią dla odnalezienia uczucia pierwotnego i dla wytworzenia sobie poglądu na całość.

\*

\*

\*

Ztąd wypływa nowy sposób pisania historii. Ponieważ uczucie bohaterskie jest przyczyną wszystkiego, a zatem na nie zważać powinien głównie historyk; ponieważ jest ono źródłem cywilizacji, motorem przeobrażeń, wskrzesicielem rodu ludzkiego, a zatem w nim potrzeba śledzić cywilizacji, przeobrażeń i życia ludzkiego; ponieważ jest ono sprężyną wszelkiego ruchu, a zatem przez nie zrozumieć będzie można ruch każdy. Wolno metafizykom wywodzić dedukcye, formuły, a politykom sytuacje i konstytucje; człowiek nie jest bynajmniej istotą martwą urobioną dla jakiegoś układu państwowego, ani istotą umarłą dającą się określić formułą: jest on duszą czynną i żywą, zdolną do tworzenia i działania, prawdziwa historia jestto epepeja heroizmu. Idea taka—to żywe światło, gdyż ludzie nic nie zdziałali wielkiego bez wielkich uczuć. W chwili przeobrażeń i przewrotów uczucie przepotężne zerwało dawne tamy i popchnęło sprawy w nowe łożysko. Odrzucił precz względy polityczne a patrzył w głąb umysłu, zauważył podniesiony stan duszy. Rewolucja nie jest niczem innem jeno poczęciem wielkiego uczucia, Jakiem jest ono, jak się łączy z innemi, jaki jest jego stopień, źródło, skutek, jak przeobraża wyobraźnię, pojmowania, skłonności; jakie namiętności podsycają je, jakie przybiera granice szału lub rozumu: oto główne pytania. Ażeby nakreślić historią buddyzmu wystarczy ukazać rozpacz spokojną ascetów, którzy przez myśl o nieskończonej próżni i oczekiwaniu ostatecznego zniestwienia, dochodzili do poczucia powszechnego braterstwa. Ażeby nauczyć historii chrystyanizmu, wystarczy ukazać duszę świętego Jana lub Pawła, odrodzenie nagłe ich sumienia, wiarę w rzeczy niewidzialne, przemianę duszy przeniknionej obecnością Boga, nawał uczuć takich jak szlachetność, abnegacja, ufność i nadzieja, uczucie, które wyzwoliły nieszczęśliwych z pod tyranii upadającego Rzymu!

Objasniać, opowiadać dzieje rewolucji, jestto wykładać ustęp jakiś z psychologii; dokonać tego jedynie może analiza, krytyka i natchnienie artysty. Chcąc mieć taką psychologią doskonałą, trzeba jej zażądać od tych, którzy z powołania czy przez geniusz są znawcami duszy, takiego Szekspira, Balzaka, Stendhala.

Z tój téż przyczyny można jój czasem zażądać od Carlyla. A jest taka część historyi, którój od niego słuszniej domagać się można niż od kogobądź; jest nią ta rewulucya, która miała za podstawę — sumienie, która wywołała surowy i poważny heroizm. Najlepszym bowiem historykiem purytanizmu jest purytanin.

\* \* \*

Ta historia Kromwella, jego arcydzieło, składa się ze zbioru listów i mów komentowanych, połączonych zarazem ciągłą opowieścią. Wrażenie wywiera nadzwyczajne. Wiele innych poważnych dzieł historycznych niknie w obec tój kompilacyi. Carlyle chciał dać poznać duszę, duszę Kromwella, największego z purytanów i opowiadanie jego podobne do opowiadania naoznego świadka. Znajdujemy się sam na sam, oko w oko z Kromwellem słyszymy jego słowa, akcent jego mowy; dowiadujemy się przy każdym czynie o okolicznościach przyczynowych, widzimy go w obozie, w radzie, w podróży, patrzymy na jego fizyognomią, jego kostium: nieopuszczony tu najmniejszy szczegół ani drobiazg. A szczerosc jest tak wielką jak i sympatya, która otacza bohatera; biograf nie tai swój niepewności i braku dowodów; jest prawdziwym, jakkolwiek jest poetą sekcjarzem. Zapuszczając się wraz z nim w hipotezy, czujemy przecież co krok, że stawiamy nogę na gruncie trwałym prawdy. Życzyłoby należało, iżby każda historia była takim wyborem tekstów, opatrzonym takim komentarzem; za taką historiją można oddać bez żalu wszystkie opowieści historyczne (piękne lecz bezbarwne) Robertsona i Hume'go. Czytając Kromwella mogę sprawdzić zdanie autora, nie kieruje się jego myślą ale moją; mam przed oczyma fakt sam a nie opowieszenie faktu, niema tu oratorskich i osobistych obsłon.

Kromwell wylania się z tój próby odnowiony. Pojmowaliśmy, że nie był ambitnym obłudnikiem, ale braliśmy go za wstrętnego fanatyka a purytanów za szaleńców smutnych, z ciasnym pojęciem pełnym skrupułów.

Otrząsnijmy się jednak z idei nowoczesnych i wniknijmy w te dusze; znajdziemy tam coś innego jeszcze prócz choroby: znajdziemy tam wielkie uczucie. „Jestemże człowiekiem sprawiedliwym? i gdyby Bóg będący doskonałą sprawiedliwością, sądził mnie w tój chwili, jakizby wydał wyrok? Taką jest idea oryginalna, która stworzyła purytanów, a przez nich rewulucyą angielską. Poczucie różnicy, jaka istnieje pomiędzy dobrem a złem . . . ucieleśnili oni niebem i piekłem.“ Silnie zastanowiła ich idea obowiązku, przy jego świetle poczęli się wzajem badać bez litości i bez odpoczynku; wyrobili sobie pojęcie doskonałego wzoru cnoty nieomylnój i skończonój, przejęli się nim, w tój ich absorbującej myśli utopili wszelkie zajęcia światowe i wszelkie skłonności, powzięli wstręt do najdrobniejszych błędów, których uczciwy człowiek niema za złe, nakazali sami sobie doskonałość absolutną i rzucili się w wir życia ze stałym postanowieniem zniesienia raczej najśroźszych cierpień, aniżeli odstąpienia na krok jeden od wytkniętój drogi.

Może kto wyszydzać myśli z rewolucyi, którą wywołały, dysputy o ubiór, a przecież tych dysput podstawą było głębokie uczucie. Ci sklepikarze i dzierżawcy wierzyli z całej duszy w Boga straszniego i wspaniałego, więc nie był dla nich obojętną rzeczą sposób, w jaki Go czcić należało. „Przypuście że jesteście mocno wzruszeni, tak że za ledwo milczeniem wzruszenie to okazać jesteście zdolni; cóżbyście powiedzieli, gdyby ktoś na waszém miejscu okazać je chciał w kształcie maskarady... stracił ktoś z was jedyne go syna, jest przeto zgnębiony, oniemiały i bez łoż, a w tém jakiś natręt ofiaruje się obchodzić pogrobową jego pamięć na sposób dawnych greków!” . . . To właśnie spowodowało rewolucyą a nie taksa okrętowa albo inny jaki ucisk polityczny. „Możesz mi odebrać pieniądze, ale nie możesz zniszczyć mojej duszy. Dusza moja należy do Boga i do mnie.“ I to samouczucie, które ich zrobiło buntownikami, zrobiło ich też zwycięzcami. (On heroes) Nie rozumiano w jaki sposób mogła istnieć karność w armii, w której żołnierz burczał pułkownika gdy chłódł w zapale. Dziwiono się, że generałowie, którzy płacząc wzywali Boga, nauczyli się z biblii administracyi i strategii, dziwiono się, że szaleńcy mogli być ludźmi prowadzącymi ważne sprawy.

Lecz oni nie byli szaleńcami, różnili się tylko o tyle od ludzi praktycznych, że mieli sumienie; sumienie to było ich płomieniem, a mistycyzm i marzenia dymem.

Szukali prawdy, a ich długie modły, kazania przez nos wygłaszane, cytacje biblijne; ich łyzy i niepokoje, oznaczają tylko moc ich szczerości. Czytali obowiązek w sobie samych, Biblia tylko dopomagała w razie potrzeby, gdy chcieli stwierdzić tekstem jej porywy swego serca, przekształcali biblią.

To właśnie poczucie obowiązku łączyło ich, dawało natchnienia, było ich odwagą i zuchwałością; ono podniosło aż do starożytnego heroizmu Hutchinsona, Milтона i Kromwella, ono wywołało wszystkie wspaniałe przedsięwzięcia: wypowiedzenie wojny, sąd króla, oczyszczenie Parlamentu, upokorzenie Europy, protekcyja protestantyzmu i panowanie na morzu. Ludzie ci byli istotnymi bohaterami Anglii, przedstawiają oni charaktery oryginalne i najszlachetniejsze Anglii, jako: pobożność praktyczną, przewagę sumienia, wolę mężką, energią niezłomną. Oni dali podstawę Anglii mimo zepsucia Stuartów i zwiększenia obyczajów nowoczesnych, a to spełnieniem obowiązku, sprawiedliwości, upartą pracą, oporem przeciw uciskowi, zdobyciem wolności, pogębieniem występku. Oni stworzyli Szkocyą i Stany Zjednoczone, oni dziś stwarzają Australią i kolonizują świat cały. Carlyle jest tak dalece ich bratem, że podziwiał i uwielbiał egzekucyą króla, zmniejszenie Parlamentu, nietolerancyą purytanów, inkwizycyą, despotyzm Kromwella, teokracją Knoxa.... Stawia on nam ich jako wzory i sądzi przeszłość i teraźniejszość według nich.

\* \* \*

Dlatego to może widział samo tylko złe w rewolucyi francuzkiej. Sądzi ją tak niesprawiedliwie jak i Woltera, i dla tych samych przyczyn. W myśli i czynie francuzów szuka uczucia purytańskiego, a gdy go nie

znajduje wydatek potępienia. Według niego jedynie idea obowiązku, duch religijny, podstawa sumienia, samorząd, mogą zreformować społeczeństwo zepsute, a z tego wszystkiego nic nie znalazł w społeczeństwie francuzkiem. Filozofia która wywołała (Rew. fran. T. I) i prowadziła rewolucyą francuzką, była czysto destruktywną, obwieszczającą jako jedyną Ewangelią: „że kłamstwa społeczne runąć powinny i że w przedmiotach duchowych, nadzmysłowych, niema nic czemu by wierzyć można.“ Teorya praw człowieka zapożyczona u Rousseau była tylko: „grą logiczną, pedanteryą,“ obyczaje zaś epikureizmem Faublasa. Moralnością modną była zapowiedź szczęścia powszechnego.

Niewiara, gadulstwo, zmysłowość, oto sprężyny tej reformy. Rozjuszono instynkta a obalono przeszkody, zastąpiono zepsutą władzę rozpasaną anarchią. Ateuszowskie rozumowania podbudzające zbydlęconych prostaków, co mogły wywołać? . . . „Destrukcją . . . naturę demoniczną człowieka, a z nią: „kanibalizm.“

Lecz, zwraca uwagę Taine, połączcie cnoty z występkami! Ci sceptycy budowali społeczeństwo na sprawiedliwości, ci epikurejczycy obejmowali swém społeczeństwem ludzkość całą, ci wściekli, ci prostacy bezbutowi, walczyli na granicach za sprawy ludzkości i zasady abstrakcyjne. Szlachetność i zapał był taki sam tutaj jak i u was; uznajcie go chociaż pod odmienną formą od waszój. Byli oni wierni prawdzie abstrakcyjnej, tak jak wy prawdzie Boskiej; szli oni śladem filozofii, tak jak wy religii, mieli oni zbawienie ogółu tak jak i wy zbawienie indywidualne; zwalczali oni złe społeczne, tak jak wasi purytanie złe leżące w duszy.

\* \* \*

Tenże sam przesadzony purytanizm oburzający Carlyla na rewolucyą francuzką, oburza go także na Anglią nowoczesną. „Zapomnieliśmy o Bogu (Past and Present)—powiada—zamknęliśmy oczy na treść wieczną rzeczy, mając je otwarte jedynie dla fikcyi . . . . Za ledwie zysk i strata, pudding i jego pochwała, widocznymi są dla człowieka praktycznego. Dla nas nie istnieje już Bóg! Prawa Boskie przemieniono na zasady *największej ile można pomysłowości*; niebo nie wznosi się nad nami, chyba na to, żeby stanowiło dla nas zegar astronomiczny, cel dla teleskopów Herschla . . . . Takim jest centrum ogólnej gangreny społecznej, która zagraża wszystkim straszliwą śmiercią . . . . Człowiek utracił swą duszę i szuka nadarmo soli zbawczej mogącej ochronić ciało od zgulizny. Nadaremnie posługuje się egzekucyami królów, bilami reformy, rewolucyami francuzkiemi . . . . Przekonywa się, że to nie są lekarstwa.“

Od czasu powrotu Stuartów (mówi Carlyle) jesteśmy utylitarystami i sceptykami. Ufamy jedynie obserwacyi, statystyce, prawdom grubym i dotykalnym; albo też wątpimy, lub wierzymy potrosze. Niemamy przekonania moralnych, a mamy tylko przekonania chwilowe. Straciliśmy podobkę czynów, nie stracimy już obowiązku jako podstawy naszego życia; przyczepiamy się do wszelkiego rodzaju recept eksperymentalnych i po-

zytywnych. Jesteśmy egoistami i dyletantami. Nie uważamy już życia jako wzniosłej świątyni, ale jako maszynę dającą zyski, albo jako salę wykwintnych zabaw. Mamy bogaczy, przemysłowców, bankierów głoszących ewangelią złota, mamy także gentlemanów, dandysów, paniczków głoszących ewangelią umiejętności życia. Piekłem naszym nie jest, jak za Kromwella; „obawa błędu w obec sprawiedliwego sędziego,“ ale obawa upadnięcia w zły interes lub uchybienia konwenansom. Arystokracja nasza składa się z chciwych kupców i z amatorów pilnujących dziczyny na swych gruntach. Nie jesteśmy też już rządem. Rząd nasz nie posiada innej ambicji tylko utrzymać pokój i akuratnie zebrać podatek. Parlament nasz, to młyn wielki, pełen słów, w którym intrygantci starają się o narobienie wielkiej wrzawy. Lecz pod tym murem frazesów i konwenansów huczy niepowściągnięty żywioł demokratyczny. Anglia zginie w dniu, w którym sprzeda jeden funt bawełny taniej od innych. W chwili ustania rękodzieł i fabryk, choćby najkrócej, 500,000 robotników przechodzi na łaskę litości publicznej. Straszliwa masa, zajęta przemysłem, popchnięta chciwością i głodem, tłoczy się pośród słabych i już trzeszczących ścian; zbliżamy się do ostatecznego rozprężenia, które się stanie jawną anarchią. Demokracja błąkać się będzie wśród tych ruin, dopóki uczucie obowiązku nie zgromadzi jej w około czci heroizmu, dopóki nie ustanowi swego rządu i kościoła, dopóki nieznajdzie środka na prowadzenie do steru rządu najenotliwszych i najzdolniejszych, dopóki nie uzna swego Lutra i swego Kromwella, czyli swego kapłana i swego króla.

\* \* \*

Dziwna propozycja dla demokracji, dojście do panowania przez fanatyzm i tyraniją purytańską. Spółceństwo i duch, jaki Carlyle proponuje jako wzory dla ludzkiej natury, istniały bardzo krótko i niemogły istnieć dłużej. Ascetyzm republiki wywołał rozpustę restauracji; Harrissony mieli porobić Rochesterów, Bunyan'y Hobbesów, a sekciarze ze swym entuzjazmem wywołali przewagę ducha pozytywnego i część grubych rozkoszy. Egzaltacja nie może być trwałą, nie można też jej bez niebezpieczeństwa wymagać od ludzkiej natury. Wspaniałomyślność Rzeczypospolitej francuskiej skończyła się cynizmem dyrektorjatu i wojnami krwawymi Cesarstwa. Pobożność rycerska i poetyczna wielkiej monarchii hiszpańskiej wyludniła Hiszpanią z myśli i z ludzi. Pierwszeństwo w geniuszu, smaku i inteligencji, jakimi celowały Włochy, skończyło się z upływem wieku na martwocie lubieżnej i na niewoli politycznej. „Kto stwarza anioła, stwarza zwierzę,“ tak samo doskonały heroizm, jak hańba ostateczności, doprowadza do przytępienia. Natura ludzka podlega wybuchom ale nie ciągłym; mistycyzm dobrym jest, ale gdy trwa krótko. Nadzwyczajne tylko okoliczności sprowadzają stan ostateczny, i potrzeba wielkich cierpień, ażeby utworzyć wielkich ludzi. Entuzjazm jest wprawdzie piękną rzeczą, ale jego źródła i następstwa smutne są; zawsze jest on tylko przesileniem, a stale zdrowie warto wycęć. Pod tym względem sam Carlyle może posłużyć za przykład.

Mniej jest może genialności w Macaulay'u niż w Carlyl'u, lecz kto się karmił przez czas jakiś jego stylem przesadnym i demonicznym, jego filozofią chorobliwą, jego historią proroczą i polityką złowieszczą, ten powróci chętnie do kwitnącej wymowy, dzielnego rozumu, teorii dowodzonych zdrowo, do Macaulay'a, którego straciła Europa, a którego w Anglii nikt zastąpić nie zdoła.

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pomnik wzniesiony w mieście Vendome, na cześć Ronsarda naczelnika plejady poetów XVI wieku. — Porównanie Ronsarda z Kochanowskim. — Dwaj zapasnicy odrodzenia. — Mowa Augusta Barbier delegowanego od Akademii Francuskiej. — Poemata popularne Eugeniusza Manuela, uwieńczone przez akademię. — Nowy zwrot poezyi. — Obrazki rodzajowe z życia miejskiego ludu: Narzeczona robotnika, Matka i dziecko, Kwiat pomarańczy, Śpiewaczka uliczna, Przechadzka. — Mąż-niewiasta, broszura Aleksandra Dumasa. — Aspazya z Miletu, studjum historyczne p. Becq de Fouquières: Mężożyna i niewiasta, list Emila Girardin do Dumasa w odpowiedź na jego broszurę.

Najsilniejszym objawem żywotności ducha w narodzie jest niewątpliwie cześć oddawana ludziom talentu i zasługi. Uznanie pracy tych co przyłożyli własny kłosek do ogólnego snopa, więkzsy zaprawdę czyni zaszczyt ludziom dobrej woli, którzy umieli ocenić bratni mózół, niż tym nawet, którzy byli przedmiotem owego chlubnego uznania. Słusznie też wyrzekł jeden z poetów:

Zasługi moje, to drobna kropelka,  
W tém morzu ofiar co wzbiera wiek długi;  
Ale zasługa tych bratnich serc wielka,  
Co chcą acz słabe ocenić zasługi.

Minęły dzięki Bogu czasy tak jeszcze niedawne, kiedy na porządku dziennym było smutne hasło: *Nihil admirari*, świadczące o sceptycyzmie i oschłości serca. Codzienne przykłady okazują wymownie, że u nas przynajmniej hasło to słaby znalazło oddźwięk.

Żaden zapewne naród czynniej nad Francją nie protestuje przeciwko znanemu przysłowiu: „nikt nie jest prorokiem w swęj ojczyźnie.“ Niema tam miasta, niema prawie wsi, któraby nie poszczycała się imieniem zasłużonego syna. Wspominaliśmy już pomiędzy innemi inauguracją pomnika Ponsarda w mieście Vienne, grobowca Dumasa w Villers-Cauterets; dziś wspomniemy święcą uroczystość odbytą w mieście Vendome, przy stawianiu pomnika Ronsardowi zmarłemu lat temu trzysta!

Imię Ronsarda wielkiego poety XVI wieku, naczelnika sławnej plejady francuzkiej, nie może być dla nas obojętnem. Któż nie wie o stosunkach, jakie łączyły z nim naszego Jana z Czarnolasu. Dla Ronsarda to, jak mówi Michał Wiśniewski w literaturze swojej, Kochanowski udał się z Włoch do Francji, gdzie właśnie natrafił na wielki przewrót poetyczny, który odbywał się pod jego okiem; tam zawiązał on przyjacielskie stosunki z księciem poetów, jak Francuzi przewali Ronsarda. Z jego tam ust posłyszał sławną radę, którą naczelnik plejady dawał swym następcom: „Szanujcie mowę francuzką, nie znieważajcie matki własnej (ne battez pas votre mère)! Polecam wam testamentem, stare wyrazy francuzkie, które niebaczni chcą dziś zastąpić słowami łacińskimi!“ Zdanie to, jak utrzymuje Wiśniewski, musiało wpłynąć na polskiego poetę „który jął pilnie badać wszystkiej właściwości mowy ojczystej, i w pismach swoich nie lękał się arhaizmów. Natchniony może przykładem Ronsarda począł on pisać wiersze polskie, które przysłane do kraju i w gronie dawnych przyjaciół czytane z zapałem i uwielbieniem, tak wielką wkrótce zjednały mu wziętość, że sława poprzedziła powrót jego w domowe progi. Przewaga literatury klasycznej, dodaje w końcu nasz wielki krytyk, przewaga do której najwięcej przyczynił się Ronsard, wpłynęła zapewne nie mało na ducha poezyi Kochanowskiego.“

Tak jest, Ronsard i Kochanowski, to dwa bratnie duchy, to dwa orły, co w chwili danęj, jednakim lotem wzbily się pod obłoki, na dwóch krańcach ucywilizowanego świata, i wytknęły nowe szlaki literaturze odrodzonej na modłę starożytną. Francya uczciła Ronsarda nazwą księżęcia poetów francuzkich; Polska zaś mieniła Kochanowskiego księciem polskich poetów. Ronsard i Kochanowski, z równą pracowali gorliwością nad wydoskonaleniem własnego języka, nad podniesieniem go do wysokości poetycznej. Kochanowski przeszedł jeszcze w tym względzie mistrza swego, bliższy on niewątpliwie Trembeckiego i Mickiewicza, niż Ronsard, Lamartina i Wiktora Hugo. Co więcj, poeta nasz potężniejszy natchnieniem i uczuciem. Ronsard nie utworzył nic, co by można postawił obok *Trenów nad skonem Urszulki*.

Któż nie wie, czém był dla nas ten, którego promieniste czoło współczesni ozdobili mitrą, a którego my potomni wolimy raczej niż księciem, zwać ojcem i piastunem naszęj literatury. Zobaczmy teraz czém był Ronsard dla kraju swego.

Występuje on na widownią w chwili, kiedy ze śmiercią Franciszka I-go, francuza do szpiku kości, poczyna oddziaływać na Francję żywioł włoski, urobiony w Katarzynie z Medyceuszów. Wychowanka Machiawela, rządziła ona wszechwładnie Francją, w ciągu panowania czterech Walezjuszów: męża swego Henryka II i trzech synów: Franciszka II, Karola IX i zbiegłego z Polski Henryka. Za czasów Katarzyny, pod jej tarożą, zakwitła we Francji nowa szkoła poetyczna, szkoła odrodzonej literatury, którą wykołysały Włochy.

Iskra zaledwie roztlona, w mgnieniu oka potężnym wybuchu płomieniem. Francuzi rzucają się na nowe drogi, ruch budzi się nagle w umysłach. W połowie XVI wieku młodzian wielkich zdolności i większego jeszcze zapału, Joachim du Bellay, rzuca w świat gorącą odezwę na rzecz mowy ojczystej. Żali się na straszne jej upośledzenie. „Wszyscy dziś—woła—piszą po grecku, po łacinie; lecz nikt nie pisze po francuzku. Język ojczysty w zupełną poszedł poniewierkę. Wina w tém pisarzów, którzy sądzą że poezya francuzka nie zdoła się podnieść nad ciasne koło zakresłone jej przez Marota i dawniejszych poetów. To bajka! to przesąd! przyszłość otwarta przed nią! Ale jak stworzyć wielki styl? Oto zwracając się do Greków i Rzymian, a nawet do Włoch i Hiszpanów, i szukając w tych wzorach szczytniejszej formy poetycznej. Czas nam porzucić barbarzyńskie pieśni i ballady, a zastąpić je elegią, odą i satyrą, czas porzucić zużyte rycerskie romanse, a dać światu nowe Iliady i Enejdy! czas puścić w niepamięć dawne farsy, mysterya i moralne dyalogi, a tworzyć komedye i tragedye.” Kończy Bellay powołując do broni w imię odrodzenia, z werwą przypominającą Marsylianę.

„Francuzi naprzód!—woła—kroczcie śmiało na ten pyszny gród rzymski i wydartym mu łupem, jak czyniliście nieraz, ozdabiajcie wasze ołtarze i świątynie! Nie trwóście się owych krzykliwych gęsi, ani dumnego Manliusza, ani chytrego Kamilla, który korzystając z waszjej dobrej wiary zszedł was nagich przed kapitołem, w chwili gdy mierzono wasze złote okrycia! Uderzoie na tę kłótniwą grupę, odżyjcie jak niegdyś ze skarbów jej starożytne Delfy! nie lękajcie się ich niemego Apolina i kłamliwych wyroczni: pomnijcie na starożytną waszą Marsylią, drugie Ateny, i na greckiego waszego Herkulesa, który pociągał ludy za uszy, przytwierdzonym do języka łańcuszkiem.“

Kończy Bellay odezwę strzelistą modlitwą do nieba. „Błagam, rzecze, Febusa, Apolina, aby Francja po długiej bezpłodności, wydała nakoniec poetę, któryby dźwiękiem brzmiącej liry zgłuszył ochrzypłą kobzę.“

Zyczenia te spełniły się niebawem: Ronsard błysnął na widnokręgu Francji.

Urodzony w mieście Vendome w szlacheckim domu, wywodzącym, jak mówiono ród z Węgier, służył od młodu wojskowo; jako paź księcia Orleanu zwiedził z nim Anglię, Szkocję i Wło-



chy. W ośmnastym roku życia dotknięty głuchotą, oddał się wyłącznie poezji.

Opuścił dwór, zerwał ze światem, i pod kierunkiem uczonego mistrza Jana Daurat, rzucił się na autorów greckich i łacińskich. Przez lat siedm czytał księgi zapamiętałe, wypisywał z nich szczególne zwroty, metafory i wyrażenia, badał tajemnice dźwięcznego rytmu, słowem łupił starożytność i gromadził w pamięci nieprzeliczone skarby. Z równym mozołem badał ducha francuzkiego języka, śledził jego formy, dostrajał je do harmonijnej miary starożytnych języków. Do Ronsarda zastosować można w zupełności przysłowie: *genîusz to praca*.

Wzbogacony nauką jął uprawiać niwę poezji. Pierwsze utwory obudziły powszechny poklask, sława jego urosła w mgnieniu oka do olbrzymich rozmiarów. Obwołano go mistrzem, ktokolwiek pochwycił za pióro, wychwalał go rymem i prozą. Pierwsi uczeni współcześni pisali komentarze do dzieł jego, jak to czyniono do klasyków greckich i łacińskich. Cudzoziemcy nawet korzyli przed nim głowę. Sperone Speroni na jego cześć napisał wielki poemat. Tasso przybył umyślnie z Włoch, aby zasięgnąć jego rady. Trzej królowie: Franciszek II, Karol IX i Henryk, sypali nań dary i wysokie godności. Królowa Elżbieta przysłała mu z Londynu dyament wielkiej ceny; Marya Stuart z więzienia obdarzyła go niemniej upominkiem. Akademia Igrzysk Kwiatowych w Tuluzie, kazała ulać dla niego srebrny posąg Minerwy. Słowem współczesni podnieśli go pod niebiosa; żaden może poeta nie otrzymał za życia takich hołdów. Ronsard przyszedł na świat w samą porę, znalazł przygotowane umysły zionków, potrzeba reformy leżała w duchu wszystkich, ogół przyklasnął śmiało nowatorowi.

Z pomiędzy licznych uczniów i naśladowców, Ronsard wybrał sześciu najzdolniejszych i nazwał ich gwiazdami, on sam był słońcem w tej plejadzie!

Takim to blaskiem świecił mistrz z nad Loary, kiedy młody Jan Kochanowski pospieszył z Padwy do Paryża, aby przyjrzeć się temu nadzwyczajnemu zjawisku. Łatwo pojąć jak wielką zachętą dla naszego młodego wieszacza, stała się ta promienista aureola otaczająca czoło francuzkiego poety; łatwo pojąć o ile przykład Ronsarda oddziałał na Jana z Czarnolasu. Patrząc na tę cześć narodu całego, zrozumiał Kochanowski potrzeby wieku i postanowił uczynić to samo dla Polski, co Ronsard uczynił dla Francyi. Wówczas to przestał pisać po łacinie, zrzekł się owych wieńców kapitolinских, o które ubiegali się inni poeci nasi i powrócił do kraju, gdzie na własnym gruncie jął karczować odwieczne ugory, i jak mówił *służyć poczciwěj sławie* pracując dla powszechnego pożytku.

Kochanowski śmiało też mógł powiedzieć to co wyrzekł o sobie Ronsard:

By podnieść z poniewierki macierzystą mowę,  
Pracowałem ja dla niej robotnik wytrwały;  
Brałem stare wyrazy, to znów kułem nowe,  
Aż w końcu pod niebiosa pchnąłem blask jej chwały,  
I tylem ja okazał, że w czas niedaleki,  
Francuz zdola doścignąć Rzymian i Greci!

Krytycy dzisiejsi widzą pychę w tych słowach Ronsarda, my przeciwnie widzimy w nich prostotę i szczerłość. Tę samą prostotę i szczerłość cenimy w Kochanowskim, gdy mówi że popiół kości jego nie zostanie wzgardzony, że nie zwykłym obdarzon piórem nie umrze, a czarny Styx nie pochłonie go wody swemi, gdy nakoniec woła w poetycznym zachwycie:

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział pióry?  
I tak wysoko postawił że, zgóry  
Cały świat widzę!

Takie zbliżenie spotykamy co krok między dwoma krzewicielami odrodzenia na dwóch krańcach świata cywilizowanego. Obaj, jednaką szli drogą, to jest jednaki wycisnęli tór na pustych odłogach,

„Kędy nie było śladu ludzkiej stopy.“  
według pięknego wyrażenia Jana z Ozarnolasu.

Obaj poeci pisali pieśni liryczne i elegie, obaj wysławiali wielkie sprawy i zwycięstwa królów swoich, z tą różnicą że Zygmunt August aktem Lubelskim, a Batory szeregiem świętnych czynów rycerskich, więcej dostarczyli wątku Kochanowskiemu, niż trzej ostatni Walezyusze Ronsardowi. Obaj chłostali satyrą niezgodę i samolubstwo panów, opieszalność rycerskiej młodzi, którą tak surowo gromi nasz poeta:

Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,  
A z drugiego już dawno w kuchni rozen długą;  
W przyłbicach kwoczki siedzą, albo owies mierzą.

Obaj probowali sił w teatrze, który pragnęli dostroić do miary starożytną. Ronsard tłumaczył Arystofana, Kochanowski pisał *Odprawę posłów greckich*. Obaj nakoniec rozpoczęli narodowe epopeje, Ronsard *Francyadę*, Kochanowski *Bitwę pod Waruą*.

Ronsard o lat pięć starszy, przeżył naszego Jana o rok jeden. Śmierć każdego z nich okryła żałobą serca ziomeków: nad ich grobami brzmiały lutnie pierwszych poetów wieku.

Leż o ile w ciągu życia Ronsard i Kochanowski szli jednakiem torem, o tyle znów pamięć ich odmiennym uległa wpływom: Kochanowski sławiony za życia, sławiony był niezmiennie i po śmierci. Cześć jego przechodziła z pokolenia w pokolenie. Imię poety było zawsze największą chlubą narodową. Psalmi jego przekładu śpiewane chórem w kościele, brzmiały zarówno po zam-

kach możnych panów, jak po skromnych dworkach szlacheckich, a nawet pod strzechą rolniczą. Sława Ronsarda przeciwnie przebrzmiała niebawem we Francyi. W czterdzieści lat po skonie poety, nikt nie czytał już jego dzieł, nikt nie powtarzał jego pieśni. Powodem takiego zobojetnienia Francuzów dla pamięci Ronsarda był najprzód poeta Malherbes, który przepomniawszy ile zawdzięczał poprzednikowi swemu, twórcy poetycznego języka we Francyi, poniżał zawistnie jego pamięć. Drugim powodem był krytyk Boileau autor sztuki rymotwórczej, zaślepiony czciciel Malherba, złą nienawistny Ronsardowi.

I przez lat dwieście pięćdziesiąt, dzieła wielkiego pisarza, leżały zagrzebane w pyłe niepamięci. Od r. 1623, nikt nie pomyślał nawet o nowém ich wydaniu. Wybiła przecież godzina sprawiedliwej rehabilitacji: szkoła romantyczna, która przed czterdziestą laty, odrodziła we Francyi upadłą poezję, zrozumiała całą zasługę Ronsarda, oceniła mozolną pracę pierwszego trzebiciela, który otworzył drogę przyszłym pokoleniom poetów. Wówczas to Sainte-Beuve, w znakomitem dziele krytycznym, o poezyi francuzkiej XVI wieku, wy dobył z pomroku wspaniałą postać naczelnika plejady i należnym otoczył ją blaskiem. Wkrótce potem pojawiło się nowe wydanie jego dzieł, dokonane starannie i z miłością.

Przy niedawno rozbudzonym, a tak silnym popędzie do uczczenia wszelkiej wyższej zasługi, miasto Vendome przypomniało sobie znakomitego syna, i postanowiło uczcić pamięć jego ozdobnym pomnikiem. Wojna opóźniła spełnienie tej szlachetnej myśli. Monument był już gotów, kiedy krew zrumieniła kolebkę Ronsarda i zmaciła wody Loary.

Inauguracja owego pomnika, nastąpiła dopiero 27 czerwca r. b. Połączono tę uroczystość z inną niemniej rzewną: wzniesiono drugi pomnik na cześć Francuzów poległych w bitwach pod Vendome. Znane powszechnie wielkie wysilenia armii Loarskiej, jakkolwiek nie zdołały ocalić Francyi, zasługują one przecież na uczczenie i pamięć narodu.

Wszystkie ciała naukowe paryzkie, wyprawiły delegacye na uroczystość Ronsardową. Z ramienia akademii Francuzkiej, udał się do Vendome August Barbier znany i ceniony poeta. Mowa akademika poety o Ronsardzie, wypowiedziana z wielką siłą, sprawiła głębokie na słuchaczach wrażenie. Rozprawa ta naukowa, wybornie określa znaczenie wielkiego poety XVI wieku, związanego tak silnymi węzłami z naszym nieśmiertelnym Janem. Przytaczamy ją w treści.

„W przeznaczeniu literackim Ronsarda—rzekł Barbier,—uderza nas szczególnie dziwna niestałość opinii względem niego. Za życia uczczony imieniem książęcia poetów, znany nie tylko we Francyi, lecz w całym ucywilizowanym świecie, stawiany na równi z Tassem, w kilkadziesiąt lat po skonie, spada z zenitu chwały, znika z pamięci ludzkiej, a potem znów, po wiekach zapomnienia,

po burzach rewolucyi, po wojnach cesarstwa, pod wpływem nagłego ocknienia się umysłów, wychodzi na widownię, i obwołany jednym z mistrzów nowej szkoły poetycznej, wstępuje dziś na ów tron granitowy, zbudowany mu gorliwością ziomków, w jego rodzinnym grodzie.

„Szczególny ten zbieg okoliczności, tak niezwykły w życiu sławnych pracowników pióra, daje się przecież wytłumaczyć. Czas, on wielki niszczyiciel rzeczy ludzkich, aczkolwiek sieje po ziemi zgliszcząca i gruzy, nie zdoła zburzyć do gruntu dzieła, w którym pożytku rzeczywiście iskierka ognia Bożego. Niweczy on to tylko co stanowi przesadną i ujemną stronę, ale dzieło trwa w tém co istną nadaje mu wartość i budzi w potomnych tém większe poszanowanie ku natchnionemu twórcy.

„Czas — dodaje Barbier, — obalając piedestały na których współcześni pomieścili ulubieńców swoich, znajduje zwykle ludzi złej woli, gotowych do współdziałania z nim razem. Te zawistne i uprzedzone umysły, dopatrują strony wadliwej w dziele, wytykają skazy i częstokroć na długie lata, bądź i na całe wieki nawet, pociągają za sobą głos opinii powszechnej.

„Ronsard znalazł takich zaciętych wrogów w Malherbie i Boileau, dla tego może aby chwala jego wyszła tam czystsza, i tém żywszym blaskiem zajaśniała w przyszłości.

„Malherbes i Boileau zburzyli chwałę Ronsarda, ale przyszedł czas zadosyćuczynienia. Sędziowie zostali osądzeni. Czterdzieści lat temu wytoczono na nowo proces, wygrał go wielki poeta, świadczy o tém on wspinał się pomnik co patrzy na nas z góry.“

W dalszym ciągu mowy Barbier kreśli obraz literatury XVI wieku, wskazuje stanowisko jakie zajmuje w niej Ronsard, wylicza prace poprzedników, którzy przygotowali mu pole. Posłuchajmy co mówi, a przekonawszy się że toż samo powiedzieliby można o Janie z Czarnolasu, któremu Rey z Nagłowic pierwszy wytrzebił stojące na drodze zawady.

„Ronsard nie był zjawiskiem nagle zrodzonym na niwie literatury, jak one rośliny, które burza rozwija w mgnieniu oka. Miał on ojców i piastunów między poprzednikami, miał współzawodników w gronie współczesnych, ale przerósł ich wszystkich siłą, wdziękiem i wyobraźnią. Niewyczerpany w pomysłach, pisał do ostatniego tchnienia, bynajmniej nie okazując śladów znużenia i upadku. Styl jego zawsze pełny, szeroki, malowniczy, krzepki i niesłychanie trafny. Pod jego piórem wiersz francuzki przybiera powagę, a częstokroć majestat metru łacińskiego. Zastosował on mnóstwo rytmów nieznanych dotąd w poezyi naszej, a tém samém przygotował bogatą formę dla przyszłych geniuszów. Wiktor Hugo i Lamartine użyli wielokrotnie jego miary, i utworzyli arcydzieła.

„Nie sądźmy jednak aby Ronsard był wyłącznie artystą przywiązanym tylko do formy. Umysłem ogarniał on najwznioślejsze idee, duszę jego napełniały najwyższe uczucia. Świadomy

siły własnej, czując się panem słowa, a szlachetną podnieconumą, zapragnął unieśmiertliwić wielkim poematem kolebkę monarchii francuzkiej, i jak nowy Wirgili wyśpiewać czyny ludu Franków, w Europie.

„Nieszczęściem brakło mu nauki historycznej, było to winą czasow, co więcej przesiąkły na wskrós łaciną, przypomniał że prawdziwa epos snuje się tylko z wnętrza ludu jak Illiada Homera albo pieśń o Rolandzie.

„Niedokończona Francjada stanowi drobny zaledwie urywek wśród licznych dzieł poety. Urywek to przecież bardzo piękny, pełen uczuć patryotycznych. Taż sama dźwięczna struna podzwania w jego hymnach i rozprawach nad niedolą kraju. Hymny te, lubo naśladowane z greckiego, i przesycone mitologicznemi ozdobami, tezną atoli krzepką wonią prawd chrześciańskich. Wyżej jeszcze cenimy jego rozprawy nad niedolą kraju, gdyż te wydatniejsze noszą piętno geniuszu narodowego, i burz wicherzących krajem.

„Ozujemy tu gorące tętno francuzkiego serca, oburzonego widokiem spraw publicznych. Tu Ronsard występuje jako znakomity satyryk. Chłószcze on bez litości wszystkie stany narodu, tak hugonotów jak papistów, tak dostojników państwa jak prostą szlachtę, jak i lud wieśniaczy. Powołuje wszystkich do zgody i porządku; nie pomija nawet samego króla: doradza Karolowi IX roztropność i umiarkowanie.“

Wysoko podnosi Barbier uczucia Ronsarda, jego wielką miłość dla kraju. Przytacza słowo tak wymownie świadczące o niej:

Słonko, cudzie! ty ognia krynico bogata,  
Słonko, duszo, ozdobo, piękne oko świata;  
Odkąd wstawszy porankiem zbieżysz przestrzeń całą,  
Nim zapadniesz w głąb morza, zalisz ty widziąło  
Kraj cudniejszy, wspanialszy, nad tę Francję naszą?

Inny ustęp podnosi mówca, jako żywiój przypominający dzisiejsze niedole kraju:

Lasy! kto waszą boleść, kto gorycz obliczy,  
Kiedy młodzi germański hufiec najezdniczy  
W szalonej za zdobyczą i mordem pogoni,  
Wydzierał nieustraszon berło z Franków dłoni,  
I nadzieją zwycięztwa nadęty bez miary,  
Miasto wód swego Renu, pił wody Loary!

Nakoniec akademik zwracając mowę do mieszkańców miasta Vendome, wyrzekł te piękne słowa:

„Spełniliście zacny czyn, podnosząc na tarczy księcia poetów XVI-tego wieku, zrodzonego w tym grodzie waszym. Od dawna

już XVII-ty wiek zagarnął dla siebie wszystkie hołdy! XVI-ty zbyt długo czekał na uznanie; a przecież te obie epoki, równe mają prawo do czei narodu, obie bowiem zarówno pracowały nad wyrobieniem języka. Jeżeli pisarze wieku XVI-tego nie doszli sami doskonałości, oni to przygotowali ją z mozołem, a Ronsard wielki udział przyjął w tej pracy. Jego poezye cudnetreścią i formą, natchnione prawdziwem uczuciem, pełne siły i barwy, żyć będą, dopóki trwać będzie mowa nasza!

„Nie mała to chwala zaprawdę, przyczynić się do rozkoszy umysłowej narodu, powiększając zasób jego bogactw intelektualnych, wyrabiając język, cudowne narzędzie poezyi; nie mała to zasługa szukać wytrwale piękna i urwać kwiat jego uroczy!

„Tak za dni żywota jak po skonie, w pamięci narodu, zdolny pisarz prędzej czy później, otrzyma zawsze słodką nagrodę za owoce prac swoich. Ktokolwiek on jest, ojczyzna słusznie się nim zaszczyca, spleta mu wieńce, buduje mu posąg!

„Bodajby przykład tego wielkiego poety unieśmiertelnionego spizem, zbudził współzawodnictwo w duszach waszych! Bodajby myśl narodu z nową siłą zwróciła się do poważnych nauk i wielkich prac literackich! Obyśmy ujrzeli falujące na błoniach nowe kwiaty; świetne barwą, uroczę wonią, któreby zdołały ukoić umysły, oczyścić serca i pokryć złotą błękitną zasłoną nasze smutne ruiny! Oby świat patrząc na szybkie odrodzenia nasze, miał prawo wyrzec: Nie należy nigdy rozpaczać o narodzie, który miłuje piękno!

„Niema wnijsć do umysłu twego jedno to co nadludzkie a nie-biańskie! pomysły twoje nie będą się czołgać po ziemi!“ Taką to radę dawał Ronsard plejadzie swojej. Coby powiedział książę poetów, na radykalny zwrot w dzisiejszych pojęciach, na to zdemokratyzowanie poezyi, jakie się dziś w całym świecie objawia. Nowy ten prąd posunięty w Ameryce północnej do krańców nihilizmu, jak to widzieliśmy w Whitmanie, owym niby to Kolumbie poezyi, nowy ten prąd zatrzymał się w Europie w granicach zdrowego rozsądku; we Francyi przedstawiają go głównie dwaj nowi poeci: Eugeniusz Manuel i Franciszek Copée. Oni to, bądź w dramatach, bądź w małych poetycznych obrazkach, wyprowadzają na widowie lud rzemieślniczy, taki jakim jest, z wadami i cnotami swemi; oni to patrząc z boleścią na złe nurtujące w łonie społeczeństwa, przykładają żelazo rozpalone do rany, aby uratować organizm. Manuel i Copée wprowadzili do poezyi owe rodzajowe obrazki, które w malarstwie tak znakomite dziś zajęły miejsce:

Zdemokratyzowanie sztuki we wszystkich jej objawach, daje się czuć nadzwyczaj silnie we Francyi. Opinia powszechna przykładkuje szczerze takiemu kierunkowi. Charakterystycznym jest fakt, że Juliusz Breton za dwa obrazy z życia ludu, otrzymał właśnie medal honorowy, którym dotychczas nagradzano zwykle malarstwo historyczne. Podobny zaszczyt spotkał w ostatnich

czasach poetę Manuela. Za zbiór obrazków poetycznych pod tytułem: *Poemata popularne*, akademія francuzka przyznała mu wielką nagrodę *Gaubert*, wynoszącą jak nam mówiono 20,000 franków.

We wstępie poeta wypowiada jasno swój programat. Ożywiony pragnieniem powszechnego dobra, whrew tym którzy wypisali na chorągwi swojej absolutne godło *sztuka dla sztuki*, Manuel widzi w poezyi jedną z potężnych dźwigni do wydobywania społeczeństwa z grożącego mu dżdż odmętu. Przytaczamy tu jego słowa:

„Wielbimy i podziwiamy—mówi poeta—ową bezstronną a wielką poezyę, która odrywając czytelnika od trosk współczesnych, przenosi umysł jego w świat wiekuiście piękny, w świat czystego marzenia i daje mu zakosztować rozkoszy niemal od życia oderwanych; w ów świat wyższy nad codzienną a tak smutną i poziomą rzeczywistość, gdzie wytworna sztuka żywi się własną istotą swoją i staje się sama dla siebie celem. Poeci bez wątpienia mają prawo nie kłsać daty na pracach własnych, oni bowiem szybując jak orły po wyżynach, panują częstokroć nad czasem i przestrzenią, i są echem ludzkości całej, echem powtarzającym się przez wieki.

„Dziś jednak poeta spotyka nową powinność, a nie przyznając sobie zbyt wielkiej przewagi, ma również jak pisarz dramatyczny nowe zadanie do spełnienia. Poezya musi coraz bardziej w obrazach swoich, należeć do czasu który ją wydał. Powinnością jej współdziałać gorąco, w rozwiązaniu zagadki obecnego życia powinnością jej ustąpić z wyżyn, a zetknąć się bliżej z ziemską rzeczywistością, i z mowy zwykłych śmiertelników, podjąć wyrażenia któreby określiły myśli, namiętności i boleści wstrząsające dzisiejszym demokratycznym społeczeństwem.

„Tak jest, ubóstwo, ciemnota, praca nad siły, poniżający występki, ukryte bohaterstwo, wszelkie nierówności, wszelkie niedole i wszelkie ofiary, mają być tematem tej nowej poezyi. Nie brakuje w niej zaprawdę, dla biegłej ręki mistrza, ani pełnych życia obrazów, ani głębokich wstrząśnięć, ani potężnej gry światła i cienia, ani uroczych niespodzianek, ani surowych przestróg.

„Nowa droga!—dodaje poeta—za wielesny może powiedzieli! Oddawna już poeci różnych krajów czerpią przedmioty prosto z życia, z prawdy rzeczywistej, powszedniej; oddawna już zanurzyli oko w tę otchłań, do której dna zajrzeć można tylko przy potysku rewolucyjnych gromów. Lecz to co u wielu było przelotnym natchnieniem a u kilku przecuciem geniuszu, może stać się ostatecznie jednym z wielkich szlaków poezyi współczesnej.

„Na taką to drogę i my pragniemy wstąpić. Głównym zadaniem naszym pochwylić złotą nić poezyi, wsnutą w życie pokornych i maluczkieli prostaczków. Szukaliśmy jej po gościńcach, w zaułkach miast, przy warsztacie robotnika, w szpitalu u łóża chorego, a nadto w ciemnej otchłani sumieeli ludzkieli nieświadomyeli jeszcze siebie. Szukaliśmy uderzeń serca własnego, kiedy która z tyeli przepomnianych nędz stanęła nam przed oczy; szliśmy

w ślad za owym tajemniczym głosem co szeptał nam upoczywie:  
*ta drogą iść potrzeba.*"

Po takim wstępie poeta rzuca nam przed oczy dziwnie piękne rodzajowe obrazki, zawarte w szczupłych ramach, lecz nakreślone ręką mistrza. Jakaż w nich prawda! jakie życie! jakiż to blask promienisty wytryska z pod smutnej i wstrętnej nieraz rzeczywistości.

Manuel nie szuka sztucznych efektów, nie pragnie on działać na nerwy czytelnika; dość mu na tem gdy poruszy do gruntu jego serce, gdy na niejedne lica wywoła rumieniec wstydu, gdy zbudzi niejedną myśl uśpioną, gdy z niejednych ust wydobędzie słowo zamazujące tyle win, błogosławione słowo: *mea culpa!*

Oddawna już poeci,—jak słusznie zauważył autor—biorą życie prostego ludu za przedmiot artystycznych utworów; ale dotąd wszyscy niemal ukazywali ten lud z dodatniej, sielankowej tylko strony. Życie rolnika na łonie przyrody, przeplatane pracą i pieśnią, najwięcej dostarczyło wątku w tym nowym zwrocie poezyi.

Literatury wszystkich ludów chlubią się prawdziwemi arcydziełami tego rodzaju. Francuzi mają *Perinne* Laprada, my mamy *Wiesława* Brodzińskiego. Dotąd jednak robotnik przy warsztacie, nędzarz na śmietniku, chory łazarz na łóżu szpitalnym, szwaczka nad igłą, pijak w szynku, słowem ta cała czereda uliczna walcząca upoczywie z nędzą, wystawiona na tyle piekielnych pokus, tak ciemna, tak zaniedbana, tak moralnie upośledzona, jeżeli zwróciła na siebie uwagę pierwszorzędných powieściopisarzy, jeżeli dostarczyła malarzom mnóstwo genialnych pomysłów, dla mistrzów słowa była przecież światem nieznanym i niekniętym.

W taki to świat wprowadza nas Eugeniusz Manuel.

Dajemy w przekładzie kilka z tych obrazków, tak smutnych a niestety tak wiernie oddających rzeczywistość!

### Naręczona robotnika.

-- Gdzie-to pędzisz? kto cię goni  
Robotniku z młotem w dłoni?

Jakaż twoja naręczona?

— Młode dziewczę, istne ptaszko,  
Jój gniazdeczkiem to poddasze,

Izba ciemna, zadymiona!

Ma szesnaście tylko latek,

W jój umyśle dziwny statek;

Ale słaba, kaszle dawno!

Taka smukła jak lilija,

Wyżew miasta ją zabija;

Ciągle szyje rączką wprawną!



Nad igiełką tak się biedzi,  
 Nie widują jój sąsiedzi;  
     Ja ją kocham jak brat szczerze.  
 Śpiew czyżyków u niój słyszę,  
 To jój wierni towarzysze;  
     Wciąż im sypie ziarnka świeże!  
 Bez drzew ciężka zbiegła zima,  
 Sukieneczki ciepłej nie ma;  
     Brak pokarmu, brak wygody!  
 Pierś jój ledwie ze odrycha,  
 Muje ta straszy mowa cicha,  
     I rumiane te jagody!  
 Długa praca zbyt ją męczy,  
 Z po za siniej tój obręczy,  
     Jakie oczy jój płonął  
 Wszystko, panie, dałbym za to.  
 Gdyby mogła w skwarne lato  
     , Po zielonej pisać łące.  
 Radbym pojął ją za żonę,  
 Ale dziewczę to szalone  
     Ani słyszeć chce, mój Boże!  
 Niema rady . . . ach! od wczora,  
 Ona bardzo, bardzo chora:  
     Pan doktorem jesteś może?  
 — Gdzie-to pędzisz? kto cię goni  
 Robotniku z młotem w dłoni?  
     Jak dziewczyna twoja droga?  
 — Jutro w ziemi ją pogrzebię,  
 Jój ojczyzna teraz w niebie!  
     Za jój duszę prosimy Bogal

### Matka i dziecię.

Nieraz wieczorem przechodząc po mieście  
 Dałem jałmużnę ubogiej niewieście.  
 Pomnę półmartwa, z obliczem ponurem;  
 Jak duch ementarny snuje się pod murem,  
 Wzrok jój obłądny i kroki nieśmiałe,  
 Do wyschłej piersi tuli dziecię małe.  
 Drżąca od mrozu, od głodu półżywa,  
 Brudną, je szmatą troskliwie odzięwa,  
 Choć wicher szumi, dmy śnieżne zamiecie,  
 Przy sercu matki śpi cichutko dziecię.  
 Gdy je nieboga tuli dłonią skrzepłą.  
 Znać mu tam dobrze, bezpiecznie i ciepło!  
 Wyciąga rękę, a gdy jój na głowę  
 Z nienacka światło upadnie gazowe,

Jakby spłoszona odblaskiem latarni  
 Odbieży na bok gdzie puściój i czarniej;  
 Na skrócie ulic niknie gdzieś w pomroczu,  
 Obraz to dziwnie bolesny dla oczu.  
 Więc jęć rzucano jałmużnę co prędzej,  
 A ja dumalem na widok tój nędzy,  
 Co się tak kryje przed ludźmi nieśmiało !  
 Ciągnącże dalej? raczej-by przystało  
 Zmilknąć mym ustom! u nieufnych ludzi,  
 Czyż podejrzenia ta powieść nie zbudzi?  
 Oh! gdybym odgadł że to moje słowo  
 Pierś zamknie jedną w skorupę lodową,  
 Że w chłodném sercu ku nieoli bratniej,  
 Zgasi współczucia promyczek ostatni,  
 Że jedną rękę wstrzyma od jałmużny,  
 Milczęcbym wolał ! . . nie ! . . jam świata dłużny.  
 Gdy smutnej prawdzie przypatrzył się z blizka,  
 Niechże ta prawda i drugim połyka !  
 By zleczyć rany, sięgnijmyż do głębi:  
 Prawda acz straszna, niech serc nie wyziębi,  
 Ona tam nawet w oteklaniach bez końca,  
 Jasna i czysta, istny promień słońca!  
 W obec tych dłoni co błagalnie sterczą,  
 Nasza nieufność grzeszną i bluźnierczą.  
 Choćby nam przyszło wpaść w sidła niekiedy.  
 Godziż się ludzkiej nie szanować biędy?  
 Cobądź nas spotka, ach! smutniej i gorzej,  
 Nieczuć litości, tój iskiarki Bożej !  
 Idę wieczorem, patrzę otóż ona  
 Co tchu przedemną pędzi przerażona,  
 Któs dąży za nią, przecina jęć drogę,  
 Za wyschłe barki pochwyca niebogę.  
 Zdziera z niej łachman rzuca go na śmiecie,  
 Pod tym łachmanem śpi maleńkie dziecię !  
 Z objęć mateczynych wydziera je wściekły:  
 Stała jak kamień łzy jęć niepociekły.  
 Z piersi struchlałej nie wybiegła skargal  
 Okrutnik dziecko szamocze i targa,  
 Ach! to nie dziecko ! . . kloc w płótno oszyty,  
 Stoczył się w rynsztok !

Ja stałem jak wryty.

Do kości szpiku przejęły mnie dreszcze,  
 Wlepiłem oko, chciałbym wątpić jeszcze,  
 Z odrazą patrzę na sztukę zdradziecką,  
 Ten cichy anioł, owo senne dziecko  
 W objęciu matki, to bałwan, to chusta,  
 Kłamstwem te modły co biegły przez usta;  
 Kłamstwem ta boleść, kłamstwem łzy kobiety!  
 Do czegoż nędza przywodzi niestety!

Oczyby uwierzyć przyszło naostatek,  
 Nawet w sen dzieci, nawet w rozpacz matek.  
 Odskoczę na bok, krew we mnie się burzy,  
 Na smutny obraz nie chcę patrzeć dłużej,  
 Nagle posłyszę ciche w piersi łkanie.

Ona mnie błaga :

— Ach! litości panie !  
 Obcięż mi zawierzyć, chcięż na rany Boga,  
 Tam na poddaszu śpi dziecinka droga,  
 Żyje biedactwo przysięgam ua duszę!  
 Miałam je wczora, lecz w tój zawierusze,  
 Jam go nie chciała narażać daremno,  
 Bardzo mi kaszle... O panie, chodź ze mną,  
 Sam się przekonasz . . . to robaczek mały,  
 Taki słabiuchny . . . stać z nim wieczór cały  
 Na takim wicherze zmaruiałoby pewnie!  
 Więc okrećilam ten łachman na drewnie,  
 Obroń mnie panie, jam sama na świecie,  
 Tam śpi w kolébce prawdziwe me dziecię.  
 Łzy strugą płyną po jēj zwiędłej twarzy,  
 Wierzę . . . ach! wątpić . . . któż z was się poważy?

### K w i a t p o m a r a ń c z y .

Płomień gazu na nią pada,  
 Twarz jēj zwiędła, żółto-biała,  
 Oko zgasłe, pierś bez tchu.  
 Po za oknem tam szerokiém,  
 Co tak chciwie goni wzrokiem?  
 Co tę nędzną trzyma tu?  
 Przepomniała snuć o świecie,  
 Oóż się stało tój kobięcie ?  
 Na jēj lieu ciemny mrok.  
 Tłum przechodniów ją potrąca,  
 Jak słup martwa i milcząca,  
 W szybę łzawy wlepia wzrok.  
 Ani spojrzy na tę różę,  
 Na fijołków pęki duże,  
 Na te bratki, na te bzy.  
 Kwiat to inny śnieżno biały,  
 Tak pociąga wzrok zbolały,  
 Tak wyciska z ocz jēj łzy!  
 Tehnienia brakło w piersi chorój  
 Na poduszkę z białej mory,  
 Tam uroczy rzuca cień.  
 Pomarańczy kwiat bieluchny,  
 Który przypną hoże druchny,  
 Narzeczonój w ślubny dzień.

Gniów i zazdrość pierś jój targa,  
 Z ust się wyrwie z kłatwą skarga,  
     Spojrzy w piekło zbiegłych lat.  
 W łzach palących oko tonie,  
 Ach! nie na jój zwiędłe skronie  
     Pomarańczy biały kwiat!

### Śpiewaczka uliczna.

Biędne dziewczę, ulicą Bulońskiego lasu  
     Szło prosząc o jałmużnę, łzą oko jój spływa,  
 Głosem woła piskliwym od czasu do czasu :  
     „Wesprzyj przez miłość Bożą duszo litościwa !”  
 Nad czołem ogorzałem włos bujny się jeży,  
     Gruby, dziurawy trzewik chroni stopkę małą,  
 Z poszarpanej w łachmany plugawej odzieży  
     Na ramionach i łokciach świeci nagie ciało.  
 Idzie wprost ku przechodniom, wlece się w ich ślady,  
     Niestworzone powieści powtarza w około.  
 Nie wierzą jój . . . oh! ktoby wierzył w te szkarady,  
     Gorzki wyrzut rumieńcem padłby mu na czoło!  
 Błaga o drobny pieniądz, o kęs chleba marny,  
     Rodzice bez roboty, w kolébce bliźnięta;  
 Gniezdzą się na poddaszu, w izdebce gdzieś czarnej:  
     Żadna poczciwa dusza o nich nie pamięta.  
 Tłum przeszedł, wlot żebraczka ociera z łez oczy,  
     Na zieloną murawę bieży rozpląsana,  
 Strąci z lipy gałązkę, za motylem skoczy,  
     To oskubie stokrotkę co rozkwitła zrana;  
 Zaśpiewa po przestrzeni, wiatr piosenkę niesie,  
     Z błdych ustek za zwrotką płynie nowa zwrotka,  
 Rzuca dźwięki ku niebu jak w cienistym lesie  
     Na gałązce kaliny ptaszyna szczebiotka.  
 Wpływ tajemny bezwiednie porywa jój ducha,  
     Woń kwiatów ją odurza, pieści słonko złote;  
 Upojona radością czuje, patrzy, słucha,  
     Dziwny czar wskróś przeniknął jój całą istotę.  
 W piersi dziecka jak łatwo kona jęk żalony,  
     Bawi ją listek trawki, nęci błękit nieba,  
 Ach! łez ileż osuszy słodkie technienie wiosny,  
     Jak mało ubogiemu do uśmiechu trzeba.  
 Ja zdaleka badawczym ściagałem ją wzrokiem:  
     Biegła po miękkiej darni jak wicher w rozpędzie,  
 Życie bucha z jój łona wezbrany potokiem,  
     Szalój biedna dziewczyno! nie długo tak będzie!

Staje nagle przed chwilą leciuchna jak pióro,  
 Wlecze się ku przechodniom, chwiejąca, półżywa;  
 Pogodny wyraz twarzy nastraja ponuro,  
 „Wesprzyj, woła piskliwie, duszo litościwa.”  
 I przybliża się się do mnie, wyciąga dłoń huda,  
 Oko jej łzą zabiegło, twarz potwornie zbrzydła.  
 — Precz mi zład, wołam z gniewem, przekłeta obłudol  
 Naucz się lepiej kłamać nim złowisz mnie w sidła.  
 Nie daleko znać pada jabłko od jabłoni,  
 Śpiewałaś, teraz płaczesz ty dziecko zebracze;  
 Ona spojrziała na mnie, lekko się zapłoni:  
 — „Dla siebie ja śpiewałam, a dla nich ja płacę !”

### Przechadzka.

— „Tędy, tędy kochanku, nie bój się małeńki!“  
 Ozwie się głos ochrzypły starzej babulenki;  
 Ja nie widzę nikogo: rząd bujnych topoli,  
 Słoni ich przed mem okiem. „Powoli, powoli!  
 Nie spiesz tak, mnie za tobą nie zdążyć niebodze:  
 Czy widzisz ową kupę kamieni na drodze?  
 Gdy będziesz dokazywał, upadniesz jak długi.  
 Na prawo, patrz, tu pieniek, ostrożnie, tam drugi!  
 Mignęło coś, za chwilę spotkamy się przecie,  
 Ujrzę troskliwą babkę i wesołe dziecie;  
 Widzę w myśli jej postać schyloną ku ziemi,  
 I dziecko rozpląsane, jak stopki drobnemi  
 Z płomienistą żrenicą, naprzód się wymyka.  
 Że babce niepodążyć w ślady swawolnika;  
 Stajemy oko w oko: oh! istne to dziwy!  
 Spostrzegam dwoje starców: on jak gołąb siwy;  
 Idą razem, splecione mocno ich ramiona,  
 Drżącego jak liść męża, drżąca wiedzie żona;  
 Blade widma przeszłości, w pamiątki bogatej,  
 Oboje istne grzybki, pokurczeni laty;  
 Ostatnim blaskiem życia słabo wzrok ich płonie,  
 Co ujdą dziesięć kroków, tchu braknie im w łonie;  
 Stanęli: ja ich wzrokiem śledzę pilnie z boku,  
 Jednemu bez drugiego nie postąpić kroku.  
 Biedneż to co zostanie, kiedy Bóg rozkaże  
 Na ziemi kochającej rozdzielić się parzel  
 Na ich zoraném licu dopatrzeć już trudno,  
 Tego co było wdziękiem i krasą ułudną;  
 Od zmarszczek co im szpecą jagody i usta,  
 Przestraszona w popłochu zbiega miłość pusta!

Słodki przecież ich uśmiech, wiek uczuó nie ziębi,  
 Słowo jak strumyk czysty płynie z serc ich głębi;  
 Ona zwraca ku niemu wzrok rzewniej i czulej,  
 Niż dziewczę gdy jej rękę oblubieniec tuli,  
 A on co dni z nią przeżył szczęśliwie i z cicha,  
 Przy jej boku rozkoszą dziecięcą oddycha.

Podążam za ich śladem i serce mi rośnie,  
 A gdy oni na słońcu gwarzą tak radośnie,  
 Kiedy patrzą na płomień co z tych zgliszcz wybuchą,  
 Na tlejącą w nich iskrę nieśmiertelną ducha;  
 Przed słodką ich nadzieją ze czcią głowę korzę,  
 O! miłości! jam odgadł Twe tajniki Boże!

Dawno już książka nie znalazła tak wielkiego rozgłosu, jak nowa broszura Aleksandra Dumasa syna p. t. *L'Homme-Femme* Mąż-zona. Większość czytelników oburza się na nią, rzuca ją z gniewem i otwiera znowu; a ktokolwiek wziął ją raz w rękę, musiał doczytać do ostatniej karty. Czytało ją też wielu, świadcząc o tém mnóstwo wydań dokonanych w ciągu miesiąca.

Zkąd takie oburzenie? bo Dumas przyłożył gorące żelazo do gangrenowej rany co toczy społeczeństwo dzisiejsze, bo sięgnął głęboko do dna serc ludzkich, określając wzajemny stosunek małżonków; bo tak mężczyźni jak kobiety rzuca w oczy gorzką prawdę, nie powiemy z cynizmem, ale wyraźnie, nago, bez najmniejszej ogródki.

Broszura ta w formie listu do redaktora dziennika *Soir*, skreślona była dorywczó, w skutek smutnej sprawy Dabourga, który niedawno zamordował w Paryżu własną żonę, przekonany o jej niewierności. Dumas wziął sobie za cel udowodnić konieczność rozwodu w nadzwyczajnych wypadkach, aby uchronić społeczeństwo od zbrodni.

Nie chcemy bynajmniej rozbierać dziełka, zostawiamy to śmielszym piórom. Przyznajemy też otwarcie że nie zgadzamy się w wielu rzeczach z autorem, widzimy nawet brak ścisłej loiki w jego rozumowaniu. Bo i jakże naprzykład pojąć w pisarzu który nie zrywa wcale z kościołem, owo natarczywe domaganie się od praw cywilnych rozwodu, na który jak mówi sam Dumas: „kościół nie może i niepowinien przystać, uznając w małżeństwie związek nieśmiertelnej duszy z duszą.“

W tej przecież okrzyczanej, potępionej i wyszydzonej przez prasę niemiecką książeczce, widzimy wiele pięknych i prawdziwych połysków. Autor pojmuje doskonale ideał małżeństwa, wie jakim być powinno. Posłuchajmy go chwilę:

„Mąż znajdując w niewieście odpowiednie sobie warunki, mówi do niej: „Bądź tylko moją.“ „Dobrze, ale działaj tylko dla mnie,“ odpowiada niewiasta mężowi. I kiedy mąż jest sumien-

nym, niewiasta słodką, harmonia niedługo następuje. Mąż nie stara się opanować żony, ale czyni z nią towarzyszkę; żona nie myśli odwracać męża z jego drogi, ale idzie z nim razem. I następuje ścisły związek, dwa jestestwa łączą się w jedną całość, obmyśloną wyrokiem Opatrzności. Gody to nieśmiertelne, związane na wieczność całą; stan cudowny, nازلزمski, który śmierć uświęci ostatecznie, stan dostępny tylko małej liczbie wybranych. Jestto miłość w najczystszej, najwznioślejszej, najpełniejszej znaczeniu słowa.“

„Nie o tych wybranych mówić tu zamierzamy—dodaje autor—bo i na cóż im rady i nauki nasze? Alboż oni stokroć od nas nie mędrsi! Pochylmy przed nimi ze czcią głowy i idźmy dalej!..

I autor przechodzi z kolei do tej ludzkości powszedniej, ani złej ani dobrej jaką codzień spotykamy po drodze i kreśli smutny ale wierny jej obraz.

„Dwoje młodych ludzi—mówi on—czyniące zadosyć prawom społecznym przysięgają sobie wiarę i miłość aż do śmierci. I mniej więcej dotrzymują przysięgi. Zaprzęgają się w jarzmo i ciągną życie we dwoje, jak dwa woły co ciągną pług po błocie i kamieniach, pod skwarem i pod deszczem i orzą brudzie ciężko, w milczeniu, cierpliwie, nie pytając nawet co kto posieje za nimi i jaki plon zrodzi się na tym polu. Konieczność pogania ich biczem ilekroć zatrzymują się w twardej pracy. Czasami zaczerpią tehu kiedy zaorzą skibę, a dzień jeden spoczynku ludzi ich szczęścia pozorem. Instynkt, nawyknienie, ciemnota, trochę rezygnacyi, uczucia i naiwności, oto grunt ich pożywania. Wkoło nich snuje się nieodrodna dziatwa. Umierają nakoniec, tak samo jak przyszl na świat, jak żyli, jak pracowali, sami nie wiedząc dlaczego.

Taka sama zwykła kolój i ubogich prostaczków i wielkich świata, z tą różnicą że ci ostatni stoją na wyższym szczeblu drabiny, że jedzą lepiej, trawią gorzej, że zamiast ciągnąć mozolnie pług, aby zapracować na niezbędny kęs chleba, ciągną mozolnie jeszcze własne namiętności, własne występki, własne zgryzoty, częstokroć dobrowolnie. Tym trybem idzie powszednia część społeczeństwa, trzoda ludzi, kwicząca, rycząca, potracająca się wzajem, tłum który znika i odnawia się bezustanku, nie zostawiając najmniejszego śladu przejścia swego po ziemi.“

Autor idzie dalej, to jest zstępuje niżej jeszcze. Ukazuje nam młodą kobietę, znudzoną, przesyconą holdami świata, chciwą gwałtownych wrażeń, kobietę która nie znalazłszy na drodze małżeńskiej wymarzonego ideału, szuka go po manowcach życia, za obrębem domowych progów. Krótko mówiąc nazwijmy rzecz po imieniu: młoda kobieta ma kochanka. „Sto lat temu—mówi Dumas—byłby nim świetny pan dworski ze szpadą u boku, przyjaciel króla, dowcipny, waleczny, z upudrowaną fryzurą; przed laty sześćdziesięciu, byłby to zawodany wojak, wąsaty, osmalony prochem, ogorzały od słońca, gotów przebyć wplaw Elbę i Berezynę, by ujrzeć panię myśli swojej; przed trzydziestu laty byłby

nim błady czarnowłosey bajronista, poeta, jakiś potomek Lary, piersiowy, spragniony śmierci byle umrzeć razem z ukochaną.

„Dziś to zupełnie *coś* innego. *To coś* niema już ani dowcipu, ani odwagi, ani złudzeń. *To coś* jeździ konno po lasku Bulońskim, należy do klubu sportsmanów, *to coś* przesiąkło wonią cygara, wina i stajni, mieszaniny zaprawnej patschulą. Bał cóż robić? czasy ciężkie!

I takie to *coś* kłóci pokój domowego stadła? Jakim sposobem? Dlaczego?“ Dla tego odpowiada Dumas, że mąż nie umiał postawić się godnie w obec żony, że nie umiał zwyciężyć jej prawdziwą wyższością umysłu i ducha.

I jakiż środek podaje autor przeciw złemu? Jakąż tu siłą kobieta zdoła zwalczyć pokusę, a raczej pokonać w sobie próżność i chciwość hołdów, bo przecież *takie coś* nie może być niebezpieczną pokusą? Ażaliż poważnie wychowanie da jej potrzebną tarczę przeciw poszeptom chorobliwej wyobraźni? Autor małą wagę przywiązuje do wychowania, wszystkiem u niego jakaś fatalność rasowa, prawo krwi odziedziczone spadkiem. „Przewroty polityczne—mówi Dumas—szczególniej wojny, spowodowały pomieszanie i zlew najrozmaitszych plemion w społeczeństwie naszym. Powie mi kto, że wychowanie modyfikuje, poprawia, niweczy fatalność plemienną? Wychowanie poprawia dobrych, wzmacnia słabych, lecz nie zmienia żywiołów psychologicznych, stanowiących główny charakter jednostek. Próżno obwijalbyś niedźwiedzia w watę, wiązał mu błękitną wstążeczkę na szyi, nie zamienisz go w pieska. Natura ciągnąc go będzie do lasu; prędkiej, później niedźwiedź pochwyty cię za gardło. To co zwiemy rozmarzeniem i wybrykiem wyobraźni kobiecej, bywa najczęściej przypomnieniem pierwotnego rodu; spotykamy codzień praprawnuczki dzikich ludożerców, u których instynkt plemienny z całą przeważa siłą.“

Żybyteczną byłaby tu protestacya nasza. Wpływ wychowania zapewne nie zatrze do szczętu instynktów plemiennych, ale może je podnieść i uszlachetnić, rozwijając je na właściwych im prawach; wychowanie wyrobi wolę, a wola wyższa od fatalizmu.

Autor szydzi niemilosiernie z dzisiejszych obrońców praw kobiety, zowie ich *feministami*. „W ich mniemaniu—mówi Dumas—wszystko złe pochodzi ztąd, że świat nie chce uznać równości kobiety z mężczyzną, potrzeby jednakiego wychowania i t. p. My odpowiemy na to *feministom*, że słowa ich nie mają sensu. Wartość kobiety nie jest ani równa, ani wyższa, ani też niższa od wartości mężczyzny. To wartość innego rodzaju. Że kobieta niema równej siły, dowodem na to jej bezustanne skargi na przewagę mężczyzn. *Silni* którzy kładli podwaliny porządku społecznego, poddali kobietę pod osobne prawo, z powodu osobnego, a powiedzmy *niższego posłannictwa*, które nałożyła na nią przyroda. Ci prawodawcy dobrze uczynili, dodaje autor, widzimy bowiem że najzaciejsze, najszanowniejsze, a przytém najszczęśliwsze kobiety, poddają chętnie głowę pod taki społeczny porządek,



odpowiedni prawom natury. Nie dlatego więc że dajemy jej wychowanie jakiego odbiera, kobieta jest tem czem jest, ale dlatego właśnie że jest tem czem jest, dajemy jej wychowanie jakiego obecnie odbiera!“

Dziwnyż tu chaos w pojęciach! Wartość kobiety na czem innem polega niżli wartość mężczyzny, zgoda zupełna na to. Ale posłannictwo jej ma być niższe? ale wychowanie jej w warunkach dziś przyjętych, ma być typem doskonałości? przeciw temu protestujemy najsiłniej!

Posłuchajmy dalej autora: „Bóg wszechpotężny, mężczyzna pośrednik, kobieta istota posiłkowa: oto doskonały trojkał. Mąż nie dokona nic bez Boga, kobieta nie bez męża: oto prawda wieczna, bezwzględna, niewzruszona. Nie idzie tu więc o zmianę w wychowaniu kobiety, ale przeistoczyć trzeba z gruntu wychowanie mężczyzny. Skoro będzie wiedział dlaczego jest na ziemi, kobieta zrozumie dlaczego winna mu uległość! Wszelkie prawa i swobody nadane kobiecie, wzmocniłyby tylko walkę, z której mężczyzna jako silniejszy, wyszedłby zawsze zwycięzko.

Należy raczej oświecić mężczyznę jakiego są powinności jego względem kobiety. Ozego żona ma przedewszystkiem prawo żądać? oto iżby mąż jako pośrednik, jako inicjator, wtajemniczył ją w myśl Bożą, aby wyrobił jej godne stanowisko na ziemi, i dał jej udział w wiekuistym swém przeznaczeniu. Dopóki mężczyzna nie spełni tej powinności, nie zapanuje nad kobietą, nie będzie jej przewodnikiem ale wrogiem.

„W chwili rozpoczynającej się walki — mówi autor — kobieta głosi zazwyczaj że pragnie widzieć w mężczyźnie, powolnego jej niewolnika, w duszy jednak pragnie aby został jej panem, silnym, słodkim a sprawiedliwym. Gdy uzna w nim pana, ukocha go i uczi. Nie chce być prostym łupem, ale wymaga aby ją pokonał. W każdej kobiecie jest cząstka Xymeny, każda pragnie aby jej Cyd wyszedł zwycięzko z boju który toczy przeciw niej samej. Odda się w nagrodę, skoro uzna w nim tryumfatora!“

A jeżeli zapytamy, przyjdzie kobiecie urodzić się w czasach, kiedy zabraknie Cydów? maż ona być zawsze tą wiotką jemiolą, szamotaną wiehrem, choć wytrzebiono w lesie stare dęby, o których pień oplatała się niegdys tak bezpiecznie i tak uroczo?

Nie chcemy bynajmniej rozwiązywać pytania, rzućmy je mimochodem oddając rzecz pod rozwagę myślicieli. Powiemy tylko że w mniemaniu naszym, pomiędzy mrzonkami nowatorów, marzących o emancypacji kobiet, a teorią pana Dumas tak krańcowo im przeciwną, jest dla kobiety jakaś droga pośrednia, droga nieomylna, zgodna z jej wielkiem powołaniem, droga, którą musi iść samodzielnie, jako istota odpowiedzialna za swe czyny przed Bogiem i przed ludźmi!

„Na sto błędzących kobiet — mówi autor — dwadzieścia błędzi z winy własnej, a osmdziesiąt z winy mężów, którzy zwicznąli w zasadzie tę cudowną instytucję małżeństwa, i nie dali poznać

towarzyszkom swoim, ani jej wielkości, ani szczęścia jakie w niej można znaleźć.“ Nie dzielimy w tém zdania autora, kobieta błądzi zawsze z własnej winy, bo ma wolną wolę, bo w mocy jej podnieść się wysoko albo upaść. Jeżeli na kogo ma spaść w oszustwie jej winy, to na tych, którzy wychowując ją od dziecka, nie umieli wyrobić jej samodzielnej woli.

Na poparcie zasady swojej że kobieta jest istotą bierną, że ślepa uległość koniecznym jej prawem, Dumas cytuje Pismo Święte, sięga do początków genezy, mówi o wszystkim:

O Adamie i o Ewie,  
I o wężu i o drzewie.

Przytacza wreszcie z Ewangelii ustęp, w którym Chrystus przemienia w Kanie Galilejskiej wodę w wino, na prośbę Najświętszej Matki swojej. Słowa Maryi: czyście cokolwiek On wam rozkaże, mają być według niego modłą uległości niewieściej.

Tu Dumas czyni publiczne wyznanie wiary; przytaczamy ten ustęp jako charakteryzujący osobistość pisarza.

„A teraz kto ma uszy niechaj słucha, kto ma oczy niechaj patrzy. Nie czas już zasłaniać się niewiedomością, ani zwać winy jedni na drugich, po Bożkiem Narodzeniu Chrystusa. Prawda już objawiona, prawo powszechnie znane, i świat ma Boga, i ludzkość ma duszę. Dzięki tej cudownej tradycji biblijnej otrzymałem życie w Adamie, ziemię w Noem, rodzinę w Abrahamie, prawo w Mojżeszu, odkupienie w Chrystusie, pod niejakimi warunkami, które bynajmniej nie przechodzą sił moich. Stary Testament tłumaczy mi i daje ziemię, Nowy Testament gdy ziemia wystarczyć mi nie może, otwiera mi drogę do nieba.

Pierwszy uczy mnie od jakiego Boga pochodzę, drugi do jakiego Boga powracam. Bóg to jeden, niewyczerpany w miłości, wiekuisty i niewzruszony w woli swojej.

Mądrość Mojżesza, największa jaka świat zaznał, dusza Jezusa, najczystsza jaka zapromieniowała kiedykolwiek nad ludźmi, mogłyby mnie zwodzić? i pocóżby mnie zwodziły? Coby im z tego przyszło? Jakiż był ich cel, jeżeli nie dobro tej ciemnej i biednej ludzkości, za którą walczył Mojżesz, za którą umarł Chrystus? A owi tysiące męczenników, co konali z uśmiechem na ustach, i opiewali chwałę nowego Boga, wśród najochoydniejszych katuszy, co ich wiodło do śmierci takiej, jeżeli nie chęć poświadczenia prawdy tego Boga, który napełniał pokojem ich serce w chwili mąk najsrozszych? a ja człowiek nowy, ja co dzięki im nie mam z kim walczyć chyba sam z sobą, mógłbym nie wierzyć w Boga, wygószonemu w taki sposób? Te wielkie rzeczy miały się spełnić nadaremnie? Tyle geniuszu, tyle czystości, tyle cnoty, tyle odwagi, tyle nadziei, tyle dowodów, miałyby to być niczem? Precz z tą myślą niegodną! o tak... Bóg tych apostołów, tych męczenników, jest Bogiem moim. Jego ja szukałem, jego pragnę.

Wy wszyscy, którzyście walczyli, miłowali, cierpieli dla mnie, przyjmijcie mnie pomiędzy was, pragnę walczyć, pragnę miłować, pragnę jak wy cierpieć za tę prawdę, którą poświadczyliście skoniem waszym. Ja widzę, ja wiem, ja rozumiem i wierzę! Mam Pana: tym jest Bóg, mam państwo: tém jest ziemia, mam środek działania: tym jest praca, mam cel: tym jest dobro, mam obietnicę: tą niebo! mam brata: jest nim człowiek, mam pomoc: jest nią kobieta. . . Idźmy!

„Oto wykrzyk z piersi człowieka, który został chrześcjaninem!“

Słuchajmy dalszego wyznania:

„Od siedmiu tysięcylat nic się nie zmieniło, przyszła kolej na nas że stajemy w obec tych pytań, które prędzej czy później zatrzymają uwagę każdego myślącego człowieka.

„Religia, filozofia, nauki, literatura, historia, doświadczenie, praca, boleść, poznanie ludzi i rzeczy, słowem wszelkie prądy wyobraźni, duszy i serca, złożyły w nas złoto i błoto, wielką moc sprzeczných pojęć, w których współdziałaniem, jeśli jesteśmy prawdziwie ludźmi, musim bądź co bądź przed śmiercią utworzyć w sobie własne przekonanie. Co do mnie, nic mnie już nie mięsza, nic nie dręczy. Intelligencya moja przyszła do równowagi, serce moje do harmonii, dusza do zaufania; czuję w sobie trzy działające, odmienne co do właściwości, ale jednakie co do celu, trzy badacze nadzmysłowe, które stanowią moją cząstkę Bożą na ziemi. Ani dumy, ani pychy, ani pieniędzy, nie wydobędą z ust moich tego, co nie leży w mej duszy, nie skłonią mnie do przemilczenia tego, co uważam za prawdę. Nie należę do żadnej doktryny, do żadnej sekty ani koteryi. Słowem jestem wolny w wielkiem znaczeniu słowa: mam własne przekonanie. W samotności skupiam się duchowo, wdzieram się z mozołem do góry, spoglądam wkoło siebie, niżej i wyżej i w nieścignioną okiem przestrzeń.

„Podemną miasta, zgiełk, ziemia, ludzie w pogoni za szczęściem, dążący doń wszelkiemi drogami i ścieżkami.

Wkoło przyroda jednostajna, płodna, nieprzeblagana, milcząca, dobroczynna, zakryta a przecież zrozumiała.

Powyżej niebios błyszczące tajemnicą, niezmierzone i nieskończone.

„W dalekiej przestrzeni, świat niewiadomy, gdzie każda religia złożyła obietnice, gdzie każda filozofia przyjęła tajemne słowo, świat, o którym człowiek myśli dopiero, kiedy ma przekroczyć jego wrota. Otrząśnięty z wpływów ziemskich, jestem tam, w samem centrum życia powszechnego i stworzenie całe przemawia do mnie, do mnie drobnego pyłku, jak przemawiało do Noego na górze Ararat, do Mojżesza na górze Sinai, do Chrystusa na górze Oliwnej, jak przemawia do najprostszego ze śmiertelników, jeżeli tylko chce słuchać i uwierzyć!

„Otóż gdybym miał syna w dniu, w którymby ten syn skończył rok dwudziesty pierwszy, poprowadziłbym go na ową górę moję i wyrzekłbym do niego:

„Znasz nauki ścisłe i rzeczywiste, których wielka część nie zna, umiesz mnóstwo rzeczy których ja nie umiem i nie nauczę się nigdy, gdyż młodość moja ubiegła w rozprószeniu, a początek wieku dojrzałego zbiegł mi na zbieraniu owych okruszyn prawdy, jakie zgromadziłem mozolnie w jedną całość, aby oprzeć się na nich, skupić się w sobie, i zrozumieć życie powszechne. Ten skarb wiedzy zdobyty przez ciebie pomnażaj z wytrwaniem i stałą metodą.

„Masz lat dwadzieścia i jeden, prawo uznało cię pełnoletnim a więc panem czynów twoich, współdziałaczem w losach kraju twego. Wiesz, że istota twoja nie składa się z samej krwi, z samych nerwów, mięśni i kości. Z tego ciała które tworzy widomą formę i stanowi twoje dotykalne *ja*, nie zostanie kiedyś nic, a gdy to ciało miało być całą puścizną twoją na ziemi, w takim razie lew przeszedłby cię siłą, dąb wzrostem, a karp trwałością organów. Żyjesz więc inaczej, i tu okazuje się wyższość twoja nad resztą stworzeń. Ty myślisz, rozumiesz, czujesz, ty pamiętasz, załujesz, spodziewasz się, cierpisz, kochasz, słowem tysiące wrażeń splata się, łączy, dzwoni i żyje w innym twoim *ja* niewidzialnym, które twoja forma obejmuje, lecz ograniczyć nie zdoła!

„Jesteś więc nie tylko w tym co jest tobą, ale niemniej w tym co jest po za obrębem twoim, stanowisz więc cząstkę nie tylko świata materialnego z którym zostajesz w bezpośrednim związku ale i tego innego świata, nieujętego w formę, który jest światem myśli i uczucia, świata zwanego duszą. Pierwszy warunek bytu czyni cię podobnym do wszelkich istot co się rodzą, żyją i umierają wokoło ciebie, drugi warunek sprawia że czujesz się wyższym od owych twórców powołanym bezwiednie ku temu, co jest nieśmiertelne i nieskończone, ku twórcy samemu który obdarzając cię duszą, byłby cię niebezpiecznie uposażył, gdyby ta dusza nie pragnęła poznać go i zespolić się z nim razem.

„A zatem skoro nie możesz wyobrazić sobie ani określić formy tego stwórcy, masz-li wnosić że on nie istnieje? Możesz-li niemniej wyobrazić sobie formę i siedlisko i mechanizm myśli twojej, boleści, pamięci i życia, poszłoby zatem że myśl twoja, boleść, pamięć i życie, nie istnieje zarówno, że ci którzy mówią że myślą, cierpią i pamiętają i żyją, są pro prostu szaleńcami, kiedy przeciwnie stają się nimi odkąd przestają myśleć, cierpieć, pamiętać i żyć owem życiem nieokreślonym. Skoro więc może istnieć tysiące rzeczy widomych w skutkach lubo niewidomych w formie, a zatem stwórca niewidzialny staje się widocznym w swych dziełach, jak widoczną myśl moja, boleść, pamięć i życie w widocznych objawach jakie im daje. Wszędzie gdziekolwiek idea Boga jeszcze nie istnieje lub istnieć już przestała, panuje tylko ciemność, zamęt, barbarzyństwo. Jestem bo on jest, on jest ponieważ ja jestem!”

Pomijamy dalsze uwagi o stosunku człowieka do Boga, w których autor rozwija obszernie myśl powyższą, a przechodzimy do przedmiotu głównie nas obchodzącego, to jest do małżeństwa.

„Żeń się powiedziałbym synowi memu—ciągnie Dumas—wybierz sobie żonę na jakim chcesz szczeblu społecznym, niech tylko narzeczona twoja ma wiarę, niech będzie skromna, pracowita, zdrowa i wesoła bez ironii. Nie żeń się nigdy z dziewczyną skorą do wyśmiewania drugich. Szyderstwo u kobiety to piekielny systemat. Znaj dobrze jej rodziców; jacy rodzice takie dzieci (nie daleko pada jabłko od jabłoni). Jeżeli są wyjątki od powszechnej reguły, to wyjątki pozorne: mało zastanawiano się nad tēm. Wystawiaj tylko w żonie zasługi małżonki i matki, ale niechaj będzie matką w wielkiem znaczeniu słowa. Liczna dziatwa zrodzona z zacnych rodziców, to błogosławieństwo Boże dla domu, a co więcej to wielki przykład dla drugich, a przykład więcej znaczy niż teoria, bo trudniej nauczać czynem niżeli słowem. Ktokolwiek nie scharmonizuje życia swego z głoszonymi zasadami, jest obłudnikiem lub maniakiem godnym pogardy. Gdyby Chrystus sformułował tylko cudowną naukę swoją, a sam jej nie praktykował, nie byłby ustanowił religii; utworzyłby tylko doktryny, która umarłaby z nim razem. Boskość jego odbija w połączeniu życia z zasadami.

„Bądź sam bez zarzutu jeżeli chcesz widzieć nieskazaną małżonkę. Nie dręcz jej, nie dawaj powodu do winy. Wtajemnicz ją w widoki twoje ludzkie i Boże, aby na wypadek przedwczesnej śmierci twojej, nie potrzebowała obcej pomocy do kierowania dziećmi, aby była dla nich ojcem i matką, a tēm samem stanęła na najwyższym szczyście udoskonalenia jakie dano osiągnąć kobiecie, nie wychodząc za obręb powołania swego.

„Daj jej poznać życie które jest rzeczą prostą, wytłumacz jej śmierć która bardzo łatwą temu, kto żyć umiał; niech wie, że tak życie jak śmierć nie są czēm innēm tylko środkiem osiągnięcia wieczności, w której spotkacie się oboje, gdzie was nie rozłączy, jeżeli w ciągu życia byliście razem *meżem-niewiastą*, połączeni w miłości jedynę nieskończonę.

„A teraz gdybyś pomimo rozumu, doświadczenia, cierpliwości, dobroci i wszelkich cnót, gdybyś miał doznać smutnego zawodu, gdybyś pojął istotę niegodną siebie, gdybyś nie mógł uczynić z niej małżonki jaką być powinna; gdyby nie ocaliło jej nawet macierzyństwo, to ziemskie odkupienie kobiety; gdyby nie chciała słuchać cię jako męża, jako ojca i przyjaciela; gdyby poważyła się sponiewierać imię i cześć twoją, gdyby miała zwrócić cię z dróg ludzkich i Bożych; gdyby prawo które przyznało sobie moc związania, nie mogło rozwiązać nieszczęsnych węzłów: w ówczas w imię twego Pana wystąp sam jako sędzia i wykonawca wyroku nad nikczemną! To nie kobieta ale potwór... szkodliwy społeczeństwu! W takim razie zabij ją! . .

Tēm ostatniem słowem Dumas zabił swoją książkę! Sądzę może zapewne uwzględnić czyn zbrodniczy przez wzgląd na okoliczności towarzyszące przestępstwu, ale godził się stawiać teorię, że jednostka ma prawo sama sobie wymierzać sprawiedliwość?

Kto buduje na fałszywej podstawie, musi w końcu tak się wplątać, że mieczem tylko zdoła przeciąć gordyjski węzeł. Dumas odma-  
wiając kobiecie samodzielności, czyniąc z niej istotę wyłącznie po-  
siłkową (auxiliaire), doszedł do ostatecznych wyników założenia  
swego, gdy dał mężowi nad nią prawo życia i śmierci.

Książka ma przeciw tę wielką zaletę, że porusza mnóstwo  
najżywotniejszych zagadnień, że dotyka najboleśniej rany to-  
czących dzisiejsze społeczeństwo, że wykazuje chorobę i pobudza  
myślicieli do szukania skutecznego na nią ratunku.

Jak silnie broszura ta poruszyła umysły, znać to z dwudzie-  
stu sześciu wydań rozchwytych w ciągu miesiąca.

Dowiadujemy się od autora że pracuje obecnie nad nowym  
dramatem p. t. „*Zona Klaudyusza*.” Będzie to jak widać ohydny  
typ dawniej lub nowoczesnej Messaliny, tym z którym Dumas  
walczył tak zawzięcie, a tak rozmaity bronią.

Ważne pytanie co do stanowiska kobiety w społeczeństwie,  
nie jest bynajmniej nowym wymysłem. Zajmowali się niem dwa-  
tysiące trzysta lat temu filozofowie starożytni, tak samo jak się  
niem zajmują moralści czasów dzisiejszych. Posłuchajmy oto  
rozmowy Sokratesa z Krystobalem pod sławnymi platanami  
Pauzylipu.

— Ja sędzę—mówi Sokrates—że jest dla ludzi i dla koni pe-  
wny wiek, w którym nabywają z każdym dniem nowych zalet.  
Mogę też przytoczyć mężów którzy w taki sposób postępują z zo-  
nami, że znajdują w nich dzielną pomoc w utrzymaniu ładu do-  
mowego, gdy tymczasem inni widzą w nich główną przyczynę  
upadku.

— I czyjaż w tém winą Sokratesie, mężczyzny czy kobiety?

— Kiedy trzoda jest w opłakanym stanie—odrzuca Sokrates—  
obwiniamy o to pasterza; kiedy koń niesforny, czynimy ztąd zar-  
rzut jeźdźcowi. Co zaś do niewiasty, jeżeli mimo dobrego kierunku  
męża postępuje źle, słusznie czynią zapewne ci, którzy na nią skła-  
dają całą winę. Ale jeżeli mąż zostawia ją w niewiadomości dobra  
i piękna, azali mąż nie jest odpowiedzialnym za nią? Owóż mój  
Krystobalu powiedz mi szczerą prawdę: czy jest kto na świecie,  
kogoby obchodziły bliżej twoje sprawy niż własną swoją żonę?

— Niema nikogo.

— A jednak czy są wśród przyjaciół twoich ludzie, z którymi  
mniej niż z nią rozmawiasz o tém co ciebie dotyczy?

— Niema takich.

— Kiedy ją pojąłeś za żonę, azaliż nie była dzieckiem, co nie  
nie widziało i nie słyszało?

— Prawda.

— A więc byłoby dziwniej gdyby wiedziała jak się ma za-  
chować, niż gdyby popełniła jakąś zdradę.

— A ci mężowie—rzecze Krystobal—co mają dobre żony, czy oni je sami wychowali?

— Ważne to pytanie—odrzecze Sokrates—poczekaj przedstawię cię Aspazyi, a ona lepiej niż ja potrafi cię oświecić. Co do mnie, sądzę, że dobra żona i pani domu, działa po połowie z mężem dla dobra wspólnego.

Mąż zazwyczaj własną pracą wprowadza dostatek do domu, żona zaś rozporządza dochodem na domowe potrzeby. Jeżeli pilnie czuwa jej oko, dom rośnie, w przeciwnym razie upadek nieochybny.”

Niewiadomo jak Aspazya rozstrzygnęła rzecz, ale łatwo odgadnąć, że nie przyznała niewieście roli zupełnie biernej. W pojęciu jej, małżonkowie powinni byli wzajemnym oddziaływaniem wyrabiać się i dążyć do coraz wyższej doskonałości. Eschines uczeń Sokratesa przytacza charakterystyczną rozmowę jej z Xenofontem i żoną jego Thilezyą.

— Powiedz mi małżonko Xenofonta—zagadnęła Aspazya—jeżeli sąsiadka twoja ma złoto wyższej próby niżeli twoje, które z nich wolisz?

— Wolę jej złoto, odrzecze zagadniona.

— Jeżeli ma strój kosztowniejszy od twego, który przekładasz?

— Jej strój.

— A jeżeli jej mąż więcej wart od twojego, któregożbyś wolała?

Thilezya zarumieniała się i spuściła głowę w milczeniu.

Wówczas Aspazya zwróciła mowę do Xenofonta.

— Powiedz mi—rzecze—jeśli twój sąsiad ma lepszego konia niż twój, któregożbyś mieć wolał?

— Jego konia.

— Jeżeli ma żyzniejszą ziemię od twojej, którążbyś wybrał sobie?

— Jego ziemię, rzecz prosta.

— A jeżeli ma żonę lepszą od twojej, któraż byłaby dla ciebie miłszą?

Xenofont milczał.

— Skoro żadne z was—rzecze Aspazya—nie odpowiedziało wprost na zagadnienie moje, ja więc sama wytłumaczę myśl waszą. Ty niewiasto chciałybyś mieć mężem najdoskonalszego z ludzi, a ty Xenofontcie chciałybyś nazwać małżonkę najdoskonalszą z niewiast. Dlatego to dopóki ty mężu nie staniesz się najlepszym, ty żono najzaczniejszą na ziemi, dopóty żałować będziecie nawzajem że wam nie dało osiągnąć najwyższego szczęścia.

Tak to małżonka Peryklesa pojmowała małżeństwo! widziała w niem najsilniejszą dźwignię do wspólnego doskonalenia się dwóch jednostek wolnych, samodzielnych i odpowiedzialnych za własne czyny.

Znalazła Aspazya to upragnione szczęście, bo przez ówierć wieku dzieliła losy najznakomitszego męża w Atenach. Drogo jednak przyszło jej okupić to szczęście domowe. Przetrwiała ona ogniowe próby, jakie przetrwać muszą wszyscy trzebiciela nowych dróg, wszyscy dobroczyńcy ludzkości. Mamy właśnie przed sobą ciekawą monografię tej nadzwyczajnej kobiety, świeżo wydaną przez p. Becq de Fouquières. Autor wziął sobie za cel ukazać tę piękną postać w pełnej aureoli geniuszu, a bardziej jeszcze w blasku cnoty niewieściej, której współcześni przeczyli jej przez zawiść, potomni zaś przez niewiadomość i mylnie ugruntowaną tradycję.

Aspazya rodem z Miletu przybyła w młodości do Aten, gdzie zwróciła na siebie oczy i pozyskała serce sławnego Peryklesa. Naczelnik Rzeczypospolitej Ateńskiej, rozłączony z pierwszą żoną, ojciec dwóch niedorosłych synów, poślubił piękną *cudzoziemkę*. Tak to dawni Ateńczycy mienili Greków zrodzonych po za obrębem uprzywilejowanego miasta, które panowało nad większą częścią Hellady, a któremu sama tylko Sparta uporczywie stawiała czoło.

Chwila połączenia Peryklesa z Aspazją, była chwilą najświetniejszą w dziejach Rzeczypospolitej: Perykles uczynił Ateny pierwszą polityczną potęgą w Grecyi. On sam jako najznakomitszy obywatel, i najwytworniejszy mówca swego czasu, rozbudził geniusz literacki i artystyczny w sławnym mieście swoim, i za złoto Grecyi jął budować w niem dwa pomniki nieśmiertelnej piękności: Parthenon i Propilee.

Ale powaga praw tak była wielką w Atenach, że nawet on sławny Perykles, dla wymowy przezwany Olimpijskim, nie mógł zdobyć najmniejszego przywileju. Małżeństwo jego uważane było w Atenach za nieprawę, jako zawarte z cudzoziemką. Aspazya z Miletu nie mogła otrzymać zaszczytnego tytułu obywatelki Aten.

Miłość małżonka nagradzała jej to upokorzenie. Dom Peryklesa i Aspazji świecił w Atenach najwyższym blaskiem. Nie był to ów blask wschodniego przepychu, jakim słyneły dwory królów perskich. Przeciwnie, panowała tu skromna prostota, harmonizująca z zasadami przewodnika demokracji ateńskiej, godnego następcy Arystydesa. Całą świetność domu tego stanowiło towarzystwo złożone z pierwszych geniuszów, których imiona błyszczą dotąd nieśmiertelnym promieniem chwały. Do domowników należeli tu Anaxagoras i Zenon, Fidiasz, Eurypides i Sokrates, ze pominiemy wielu innych. Sokrates młody podówczas, w rozmowach z mędrkami wysysał tu jak pszczoła on słodki miód, który miał kiedyś przelać w duszę Platona. Tu garnęli się przybysze z Sycylii i z Jonii, przyciągnięci potężnym urokiem grodu, który jako słońce ożywiał całą Grecyą. Tu czerpali oni smak wytworny, tu kształcili się w sztuce krasomówczej, ztąd roznosili światło cywilizacyi na dalekie wybrzeża, zanurzone jeszcze w ciemnościach.



W takimto codzienném otoczeniu, rozwinął się i dojrzał umysł Aspazyi. Była ona duszą tych zebrań, które ożywiała świetną wymową i poezją. Wymowa jej tak była porywająca, że Sokrates w rozmowach z uczniami, wielokrotnie nazywał ją pierwszą mistrzynią swoją.

Niechętném okiem Ateńczycy poglądali na ten nowy obyczaj. Dotąd bowiem niewiasta ateńska nie przekraczała nigdy progów *gineceum*. W demokratycznych rzeczachpospolitych, sprawy publiczne pochłaniały życie obywatela. Krótkie chwile poświęcał on rodzinie; prąd zewnętrzny porywał go od rana, to do gimnazjum i łaźni, gdzie hartował siły fizyczne, to pod cień portyków, i na publiczne place, gdzie zajmował się własnymi i kraju 'sprawami. Niewiasta tymczasem żyła w zupełném odosobnieniu. Nie wtajemniczona w obowiązki powołania swego, zaniedbana, poniżona moralnie, w dojrzałych nawet latach, miała wady właściwe dzieciom. Otwórzmy tylko Arystofana i innych komików, a zobaczymy, że kobiety ateńskie były łakome, gadatliwe, zamiłowane w plotkach i grze hazardowej. Niektóre haftowały w krosnach, przędły i tkaly wełnę, większa atoli część, przez cały dzień trefliła włosy, krasiała lica sztuczną barwą, przymierzała coraz to nowych strojów, lub znudzona rzucała się na łożo.

Z uczuciem głębokiej litości patrzyła Aspazyja na takie poniżenie kobiet; postanowiła zatem, gromadzić je wkoło siebie i podnosić ich umysł porywającą wymową. Podczas gdy matrony i dziewice ateńskie przędły wełnę w jej *gineceum*, przemawiała do nich mądrze, zachęcała do cnoty, budziła w nich uczucie godności osobistej, miłość obowiązku, wskazywała wielkie zadanie żon, matek i gospodyń. I niewiasty ateńskie z sercem bijącym, piły słodką naukę z ust Aspazyi i odchodziły od niej z silną wolą odrodzenia się w duchu.

Na wzór domu Peryklesa, poczęły niebawem tworzyć się w Atenach koła towarzyskie, z których kobieta nie była jak niegdyś wykluczoną: oddziaływało to w dziwny sposób na złagodzenie obyczajów.

Zasady głoszone przez Aspazyą, prowadziły do społecznego wyzwolenia kobiety. Wiek ówczesny nie dorósł do tych pojęć. Ateny tak pełne światła i twórczej siły, patrzyły ze zgrozą na nowy prąd, tak przeciwny odwiecznym tradycjom i przesądom, podkopujący jak sądzono prawa polityczne Rzeczypospolitej i samą nawet religią.

Doktryna Aspazyi polegała głównie na tém, aby w wyborze małżonka, zostawiono kobiecie wolną wolę. Mąż, jako starszy wiekiem i bogatszy doświadczeniem, obowiązany był wtajemniczyć żonę w poznanie dobra, piękna i prawdy, ale kobieta przyszedłszy raz do samopoznania, obowiązana była poddawać swoje czyny pod sąd sumienia własnego. Ostatniém słowem tej teorii była zupełna równość w prawach i obowiązkach, równość przeciwna tradycyjnym obyczajom Ateńczyków.

Wyrazem uprzedzeń powszechnych, stali się nasamprzód poeci komiczni. W scenicznych przedstawieniach, chłostano bez litości nietylko Aspazję, lecz wielkiego jój małżonka. Tłum przyklaskiwał z zapalem, na widok Herkulesa przędającego kądziel u stóp Omfalij, na widok Heleny zapalającej pochodnię wojenną, która miała obrócić w perzynę tyle przesławnych grodów.

Przyszło wreszcie do formalnego zaskarżenia. Hermip zapozwał przed sąd Aspazję, „że nie hołduje bogom opiekuńczym Aten, że prowadzi bezbożne rozmowy o zjawiskach niebieskich, że rozszerza zepsucie pomiędzy młodemi dziewczętami, wygłaszając w obec nich niebezpieczną doktrynę. Aspazya zasługuje na karę śmierci.“

Nadszedł dzień sądu. Aspazya stawiała się przed trybunałem złożonym z pięciuset sędziów, pod przewodnictwem najwyższego Archonta. Obok niej stanął Perykles, nie jako małżonek, prawa ateńskie nie uznawały ślubów z cudzoziemką, ale jako obrońca niewinnie oskarżonej. Od lat dwudziestu trzech żyli oni w niezmaconej zgodzie miłości, sam ich widok poruszył sędziów. Perykles, którego słowo porównywano do gromów Jowisza Olimpijskiego, przeszedł w tym dniu sam siebie. Zazwyczaj zimny w obec tłumów, broniąc Aspazji z zapalem, podniósł się do szczytu wymowy. W chwili najwyższego uniesienia, pierś jego wybuchnęła głośnym łkaniem, strumień łez wytrysnął mu z oczów.

Sąd uniewinnił Aspazję.

Mimo to, imię tej słynnej kobiety, przeszło do dni naszych, obrzucone potwarzą, postawione w jednym rzędzie z imionami Fryne-ów i Lais-ów, sławnych czarodziejek ateńskich. Potrzeba było dwudziestu z górą wieków, aby słuszny sąd potomności wyłączył z ich liczby tę, którą Sokrates nazwał mistrzynią swoją, która przez ówieré wieku była godną małżonką, najszlachetniejszego obywatela Aten. Drogo Aspazya przypłaciła szlachetną myśl wyzwolenia kobiety z jarzma wiekowych uprzedzeń. Dziwić się iż pogańskie Ateny potępiły jój doktrynę, skoro dziś jeszcze po tylu wiekach, pisarze chrześcijańscy jak Aleksander Dumas, odmawiają kobiecie odpowiedzialność za własne czyny, i widzą w niej wyłącznie istotę *posilkową*.

---

Sprawdziło się przewidywanie nasze. Podczas gdy piszemy tę kronikę, broszura Dumasa wywołała mnóstwo odpowiedzi, które znamy tylko z tytułów. Przytaczamy owe tytuły jako dość charakterystyczne same z siebie. *Femme-homme*, przez Anonyma, *Femme-roi* także niewiadomego autora, *Le mariage libre*, Pawła Lacombe, *Eve contre* Aleksandra Dumasa przez panią Deraisme, znaną w Paryżu zapaśniczka emancypacji, *L'homme et la femme*, list Emila Girardin do Dumasa, a nakoniec: *Lettre aux Alsatiens: Dumanisme et Girardinisme*. Oprócz tego sypnęło się mnóstwo

artykułów i złośliwych wierszy po dziennikach. Kobiety niezadowolnione, że im autor narzuca kuratelę i naznacza porządne stanowisko, mężczyźni oburzeni że ich Dumas ma za nic, a raczej za *to coś*, bez barwy i bez oddźwięku, przesiąkniętą wonią cygara i stajni. Claireville tak zaczyna żałosną skargę:

Dumasową książkę całą  
Przeczytałem, lecz niestety!  
Nic-że we mnie nie zostało  
Ani z męża ni z kobiety!  
Mierzę siebie wszereż i wzdłuż!  
Jam dziś niczem!.. niczem już!

Z pomiędzy licznych odpowiedzi wpadł nam tylko w rękę list Emila Girardina *L'homme et la Femme*. Jest to zupełna autoteza teorii jakie wygłosił Dumas. P. Girardin nie przeczy samodzielności kobiecie, co więcej na barki jej składa całą odpowiedzialność za wychowanie i pokierowanie synów do chwili kiedy stają się ludźmi. Wolność bezwarunkowa w małżeństwie, prawo macierzyństwa, czyniącą kobietę wyłączną głową rodziny: oto nowa zasada słynnego publicyście francuzkiego, zasada która na gruzach dotychczasowego porządku, ma nibyto ocalić i z gruntu odrodzić zachwiane społeczeństwo.

Zbyt długo powtarzano, mówi autor: „Mężczyzna tworzy prawo, kobieta tworzy obyczaje.

„Biedna sprawiedliwość! i jakieżto potworzono prawa. A ja powiadam: twórzmy obyczaje, a dajmy pokój prawom.“

Przepomniał tylko autor że jednym pociągiem pióra choćby najgenialniejszego, nie tworzą się obyczaje, że łatwiej powalić w gruzy istniejący gmach, niżli zbudować nowy z tych gruzów.

„Kto szuka prawdy, musi być absolutnym,“ utrzymuje Emil Girardin, zgodnie z tą zasadą; gardzi on wszelkimi półśrodkami i stawia zuchwale hipotezy przyszłego porządku świata.

Z pomiędzy tych hipotez przytaczamy tu jedną, która lepiej wykaże myśl autora niż wszelkie teoretyczne określenia.

Młoda Walentyna, bogata, rozumna, wychowana wzorowo, z pomiędzy licznych zalotników wybiera Edwarda, i oddaje mu rękę. Spisano akt przed rejentem; małżonek zabezpieczył sumę oprawną (donaire), ślub odbył się w kościele, bez aktu cywilnego, gdyż ten wcale niepotrzebny, jak twierdzi autor. Walentyna zachowuje imię swjej matki własnej i to imię przekazała ma dzieciom.

Jest ich troje tych dzieci, rosną pod macierzyńską opieką. Wiedząc od najmłodszych lat że mają dziedziczyć tylko po matce, ojciec bowiem nie jest obowiązany przekazywać im spadku, chyba uczyni to z własnej woli; wiedząc o tém dzieci nie oglądają się na nic a jedynie liczą na własne siły. Myśl ta jest dla nich bodźcem, popycha ich na drogę postępu.

„Przypuśómy — ciągnie autor — że Walentyna była ofiarą złudzenia. Edward zawiódł jój ufnóó. Porwany złym przykładem, rzuca się w odmet zepsucia i szału. Cóż czyni żona? głęboko religijna, poddaje się pod niemylné przepisy wiary. Aczkolwiek nie kocha i nie szanuje męza, pozostaje mu wiarna, bo wiarna jest prawom kościoła. Czerpiąc siłę w czystym i niezmaconym zdroju macierzyństwa, poświęca się wychowaniu dzieci, które noszą jój imię, i za których przyszłość odpowiedzieć ma przed społeczeństwem. W nich całe jój szczęście i chwała.“

Jako dowód twierdzenia swego, autor przypomina że trzej najznakomitsi królowie Francyi, wychowywani byli przez matki. Ludwik święty przez Blankę z Kastylii, Ludwik XII przez Maryę z Kliwii, Henryk IV przez Joannę z Albreu. I któżby śmiał przeczyć błogosławionego wpływu kobiety, matki? pewnik to tak niezbity, że wszelkie dowody byłyby tu zbyteczne. Nie rozumiemy tylko czemu p. Girardin przytacza owe trzy królowe, bo żadna przecież z nich nie przekazała synowi nazwiska swego, żadna za wychowanie dziecka nie dźwigała na sobie wyłącznej odpowiedzialności, w obec świata i przyszłych wieków.

„A więc przez macierzyństwo, ciągnie autor, kobiéta dźwiga się i podnosi. Uczucie obowiązku pobudza ją do działania. Przyszłość spoczywa w jój ręku, ona odpowie za nią. Wątek który snuje, jest wątkiem ludzkości. Zadanie jakie spełnia, to najwznioślejsze, najszlachetniejsze, najtrudniejsze ze wszystkich zadań na ziemi. Wykarmić dziecię własném mlékim, podnieść, wykształcić, oświecić jego umysł, rozwinąć zdolności, przytępić wady, słowem utworzyć charakter, serce i umysł człowieka, nie jest-że to najszczytniejszém powołaniem kobiety? Aby zmienić losy narodu wystarczy niekiedy jeden człowiek. Każda więc matka w szlachetnej dumie, powinna spodziewać się że syn jój będzie tym wybranym człowiekiem, każda matka ma prawo szukać własnej chwały w synu swoim. Ażaliz matka chrześcijańska, niéma najszczytniejszego wzoru przed oczyma, wzoru Maryi, matki Chrystusowej?“

Wszystko to prawda niezbita, jasna jak słońce; pan Girardin ma słuszną przypominając ją kobietom, ale czyż ten wielki przykład nie istniał dla dotychczasowego społeczeństwa? W czémże on usprawiedliwia nową zasadę?

„Pod *prawem macierzyństwa*, dodaje autor; im kobiéta bogatsza, tén więcej ma zajęcia, musi bowiem nie tylko karmić, wychowywać, uczyć i pielęgnować własną działwę, ale co więcej musi zarządzać swoim majątkiem który będzie kiedyś ich puścizną. Praca nad utrzymaniem i pomnożeniem tego majątku zapełni jój wolne chwile, uspokoi wyobraźnię, będzie dla niej wędzidłem. Mylnym jest sąd, że kobiéta nie zdoła prowadzić interesów pieniężnych: prowadzi je wybornie skoro chce i skoro ją do tego przygotowano.“

Pozwólmy że tak jest, ale gdzie będzie równowaga w podziale pracy? Jakież pole działania zostawione mężowi? Godziż się tak na barki jednej połowy społeczeństwa składać wszystkie ciężary, drugą zaś uwalniać z wszelkich obowiązków i wszelkiej odpowiedzialności? I cóż pozostaje dla mężczyzny? chyba oręż, pióro lub warsztat, że już pominiemy karty, stajnie i t. p. Oręż, upada sam przez się, autor bowiem utrzymuje że nowy porządek doprowadzi ludzkosć do wiekuiętego pokoju! do wszechwładnego panowania demokracji, którą przyszłość zbuduje na gruzach wojennych zdobyczy i arystokratycznych przywilejów."

Autor opiera się jak mówi na prawach natury. Jakoż w rzeczy samej nowy ustrój wymarzonego przezeń społeczeństwa przypomina w wielu względach porządek zachowany w pszczołowym ulu, gdzie matka panuje tak wszechwładnie i powszechne odbiera hołdy.

Ale zobaczymy dalsze korzyści, jakie ludzkosć osiągnie z nowego stanu.

„Skoro ojcowizna, mówi autor, usunięta zostanie prawem, małżeństwa tracą właściwy swój charakter. Dotąd żeniono z sobą dwa stopy talarów lub dwa obszary ziemi, dziś przeciwnie mężczyzna żenić się będzie z kobietą. Pieniądz utraci wielką część wartości, *piękność* za to wyższej nabierze ceny."

Gdyby autor powiedział rozum, zacność duszy, byłby najmniej loiczniejszy sam z sobą. Rozum pomógłby kobietcie do rządzenia domem, majątkiem i rodziną. Zacność duszy utrzymałaby ją na drodze powinności, tak trudnej, skoro odpowiedzialność za najmniejsze zбочzenie wyłącznie na nią spada. Ale pytamy autora w czemuże *piękność* daje mu rękojmię pomysłności i bytu rodziny? Ażaliż dar tak niebezpieczny wystawiający kobietę na tyle zewnętrznych pokus, przykuje ją tém silniej do progów domowych, których ona jedynym być ma filarem?

Silnie autor powstaje na zasady Dumasa, potępia sam nawet tytuł broszury *L'homme-femme*, tytuł oznaczający nierozzerwalną jedność pomiędzy małżonkami. Dziełku swemu daje tytuł *L'homme et la femme*, a tém samym rozdziela dwie jednostki, przyznając każdej z nich *najzupełniejszą* wolność, nieskrępowaną żadnem prawem.

„Wolność—mówi on—niweczy małżeński feudalizm; ludzkosć odzyskuje swoje prawa. Kobięta przestaje być wasalką, mąż przestaje być lennym jej zwierzchnikiem. Niema tytułu przebaczać jej, ani prawa pastwić się nad jej życiem. Kobięta należy sama do siebie, dzieci są jej wyłączną własnością."

Opuszczamy tu szeroki wywód korzyści jakie osiągnie kobięta, rozprzężona z jarzma, ciężącego na niej od wieków, przywrócona do praw człowieczeństwa, to jest do praw natury, dla którychto praw według autora, wszelkie kodeksa począwszy od rzymskich aż do napoleońskich najstroższym były gwałtem, najcięższą znie-

wagę! Opuszczamy to wszystko; dotykając podobnych przedmiotów, samo pióro wypada z ręki.

Nie bez słuszności jednak protestuje p. Girardin przeciw twierdzeniu Dumasa, jakoby wychowanie dzisiejsze kobiety, odpowiadać miało potrzebie. Przytacza tu zdanie Daniela Sterna: „Scytowie wydzierali oczy niewolnikom, aby tłukąc masło nie mieli próżnego roztargnienia; są także ludzie którzy wydzierają oczy słowikowi aby tém piękniej śpiewał: nie przychodziż nam mimowoli na myśl, że podobny cel przewodniczy wychowaniu dzisiejszych kobiet?”

W ogólności cytacye wielkich filozofów i moralistów, które p. Girardin nakreśla do swoich uwidzeń, więcej warte niż cała jego broszura. Powtarzamy tu słowa Condorceta, Monteskiusza, i J. J. Rousseau, nadzwyczaj ważne i ciekawe wobec podniesionego dziś pytania, co do stanowiska kobiety w społeczeństwie.

Zobaczymy co mówi Condorset:

„W postępie rozumu ludzkiego powinniśmy uważać za objaw najsilniej przyczyniający się do ogólnego szczęścia, zupełne obalenie przesądów, które utrzymywały między mężczyzną a kobietą różnicę praw, zgubną nawet dla strony uprzywilejowanej.

„Naprawdę szukalibyśmy powodów usprawiedliwiających te przesady, w odmiennym organizmie fizycznym, w nierównej sile inteligencji, w przewadze uczucia.

Pierwotną przyczyną tej nierówności było tylko nadużycie siły. Daremnie chciano później zasłaniać się sofizmatami.

„Trudno przyszłoby dowieść, że kobiety nie zdolne spełniać obowiązków obywatelskich. Bo i czemużby istoty narażone na przemijające fizyczne cierpienia, miały być pozbawione praw, których nie przyszło nikomu na myśl, odmawiać ludziom dręczonym co zima podagrą lub skłonny do kataru!”

Monteskiusz tak się wyraża:

„Między mężczyznami a kobietami siły byłyby równe, gdyby równem było wychowanie. Wypróbujmy ich zdolności w tém, w czém ich edukacya nie osłabiła, a zobaczymy, czy jesteśmy tak bardzo silni.“

Wstrzymujemy się od własnych uwag. Nie naszą rzeczą prowadzić polemikę z takimi myślicielami jak Condorcet i Monteskiusz. Mężowie ci, wbrew panującym uprzedzeniom, wzięli sobie za cel dowieść, że umysł kobiety właściwością swoją nie różni się wcale od męskiego, że cała różnica polega na odmiennem wychowaniu. Żaden z nich nie mówi o koniecznym podziale pracy, między dwie połowy ludzkiego rodu; zostawili to innym moralistom: sami zaś poprzestali na sformułowaniu teorii z filozoficznego tylko stanowiska. J. J. Rousseau podejmuje rzecz praktycznie; zrozumiał on wielkie posłannictwo kobiety.

„Mężczyźni—mówi on—będą zawsze tém, czém ich kobiety mieć chcą. Jeżeli pragniecie ujrzyć ich wielkimi i cnotliwymi, uczcie kobiety czém jest wielkość i cnota. Pierwsze wychowanie

wraża się najsilniej, a to zależy wyłącznie od kobiet. Gdyby Twórca przyrody powierzył je mężczyznom, dałby im mleko do wykarmienia własnych dzieci. Przemawiajcie więc przedewszystkiem do kobiet w waszych rozprawach nad wychowaniem, one bliżej czuwają nad niem niżli mężczyźni, silniej na nie wpływają, a co więcej, skutki wychowania ważniejsze dla nich, wdowa bowiem zostaje najczęściej na łasce dzieci, i tak w dobrém jak w złém, zbiera owoce z własnego posiewu. Prawa zajmujące się wyłącznie mieniem a nigdy osobami, gdyż celem ich pokój nie zaś enota, prawa nie dają dosyć powagi matkom.“

Wszystkie te zdania filozofów i moralistów, naciąga Girardin jakby wodę na swój młyn, udowadniając niemi błędne rozumowanie. A przecież tu i owdzie, w tym steku najprzewrotniejszych zdań, połyska przypadkowo płomyk prawdy. Ma słuszość autor kiedy mówi że próżnowanie i bezmyślność prowadzą kobietę do złego.

„Kobieta—mówi on—nie zajęta wychowaniem dziatwy własnej, ani obowiązkami pani domu; kobieta nie świadoma wielkiej odpowiedzialności jaką zaciąga względem społeczeństwa, jest jakoby okręt bez balastu puszczający się na daleką wyprawę. Wyjątkowo tylko taki okręt uniknąć może rozbicia. Jeśli tyle upada kobiet, powodem tego brak balastu, to jest brak pojęcia własnej odpowiedzialności.“

Słusznie też zarzuca Girardin Dumasowi, że w klasyfikacji różnego rodzaju kobiet, przepomniał o wieśniaczkach (*femmes des Mamps*), których liczba tak przeważna, życie tak pracowite i pozytywne. „Weźmy ją—mówi—dzieckiem, nie odrosła jeszcze od ziemi, a patrzmy jak się krząta, jak pomaga ojcu i matce, i babce i dziadkowi, jak wyręcza starszą siostrę, piastuje młodszego bratciszkę; jak później pracuje w polu z mężem, jak zagarnia siano grabiami, jak sierpem żnie zboże na zagonie, jak obrywa jesienią winne grona, jak na nogach od rana do nocy, to doi krowę w oborze, to karmi wieprza w chlewkcu, to sadii drób, to posypuje mu ziarno, to znów rozczynia mąkę na chleb, to kołysze niemowlę i karmi je mlekiem i usypia je pieśnią!

„Nieraz—mówi autor—gdy byłem deputowanym, zaglądałem ja do chaty wieśniaczek. I trudno zaprawdę byłoby mi osądzić kto z dwojga, mąż czy żona pierwsze zajmuje w niej stanowisko.

„Równość doskonala, prostą koleją rzeczy, ustanawia się sama w takim stadle, gdzie cztery ramiona łączą się razem, by udźwignąć twardy mozól codziennej pracy. Tylko w bezczynności kobieta staje się niewolnicą.“

Czemż niestety na dwustu blisko stronnicach dziełka, kilka zaledwie napotykamy takich jak ten ustępów, gdzie prawda przedziera się jasno przez ciemne tumany, które autor rzuca w oczy swym czytelnikom!

Smutna ta książka, napisana z niesłychaną przewrotnością, jest obrazą dla całego społeczeństwa, szczególnie zaś dla kobiety,

którą autor podnosi niby to z wiekowego upokorzenia, i stawia na świeczniku, jako istotę wolną i odpowiedzialną!

Zdaniem pana Girardin, mężczyzna może zrzec się wszystkiego na korzyść żony, powierzyć jej los dzieci, ich majątek; nie może tylko oddać własnego imienia pod straż jej załości, gdyż niewiasta uszanować go nie zdoła! Taka nieufność jestże dowodem najwyższej pogardy?

Z dwojga złego wolimy więzy, któremi Dumas krępuje kobietę przyznając mężowi pośrednictwo pomiędzy nią a Bogiem, niż te upakarzające prawa jakie chce jej nadać p. Girardin. Dumas pozwala w chwili uniesienia zabić przestępną żonę, Girardin na zimno zabija cześć kobiety!

## PIŚMIENNICTWO

### KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Kurs historii wieków średnich napisany przez Tadeusza Korzonę, z dołączeniem 4-ch mapp histor. i 25 tablic genealogicznych. Nakładem J. Brzozowskiego, Warszawa 1872. XVII 554 str.*

Zgódźmy się na to, co autor w przedmowie do swojej pracy mówi o zadaniach nauki dziejowej. Oto jego słowa: „Historja ma wyjaśnić pochodzenie i rozwój cywilizacji, starałem się przeto wciąż mieć na oku wszystkie jej czynniki, główne jej części składowe, przedstawiając wytwarzanie się narodowości i organizmów politycznych, stanu prawnego i ekonomicznego, literatur i sztuki, obyczajów i życia domowego.“ Lubo wymagaćby można nieco dokładniejszego określenia zadań historii, poprzestańmy jednak tymczasem na definicji podanej przez autora. Ma ona za sobą powagę Guizota, który, jak wiadomo, przed laty z górą 40-tu zajął w swoich odczytach podobne względem nauki dziejowej stanowisko. Guizot miewał lekcye i o cywilizacji europejskiej równie i o cywilizacji francuzkiej. Wiemy nadto w jakie granice przezeń ujęte zostało pojęcie cywilizacji. Według jego myśli takie dzieje zawierają w sobie rozwój stanu społecznego i umysłowego, rozwój warunków zewnętrznych i ogólnych oraz rozwój natury wewnętrznej i osobistej człowieka, jednem słowem postęp w udoskonaleniu się społeczeństwa i ludzkości. Przypomnieć tu jeszcze wypada,



ze według pojęcia Guizota potrzeba, aby te dwie składowe części cywilizacji rozwijały się wspólnie i równocześnie, wzajemnie na siebie oddziaływając. (*Cours d'hist. mod. Brux. 1835 8—9*). To zdanie Guizota nie wiele się różni od poglądu, z którym nas poznaje autor w swojej przedmowie.

Jeśli dotychczas po największej części układający podręczniki historyczne nie wznosili się na tak wysokie stanowisko, to ze strony p. Korzona jestto postęp znaczny, ważny krok naprzód. Pisano dawniej i tak nas téż uczono, że historia jest nauką o wypadkach zaszłych w przeszłości, albo że historia opowiada zdarzenia zaszłe w ludzkości i t. p. Zdarzenia takie grupowano około cesarzów, królów i w tym porządku snuł się wątek dziejów. Obowiązkiem ucznia było uczyć się na pamięć tych licznych nazwisk w nieprzerwanym po sobie ciągu idących, w tych ćwiczeniach umysłowych tylko pamięć brała udział, wszystkie inne władze pozostały nietknięte. Z biegiem czasu nazwiska się zatarły a z niemi i jedyny owoc długiej i mozolnej pracy. Stanowisko więc z jakiego p. Korzon zamierzył według słów w przedmowie umieszczonych wyłożyć dzieje średniowieczne jest nierówniej trafniejsze, właściwsze. Z tego punktu widzenia rozpatrywane zdarzenia historyczne wściślejszym między sobą łączą się związku i występują na jaw w pełniejszej postaci. Już czas jest porzucić metodę martwą, która serca nie kształci i ducha nie rozwija, w ostatecznym rezultacie prowadząc do bolesnej straty czasu. Czyja pamięć jest w stanie objąć te nieprzeliczone tłumy nazwisk królów, bitew i miejscowości, które się zmieniają ciągle jak w kalejdoskopie? Cóż zresztą z tych nazwisk pozostanie? Jakież oderwane wiadomości o przekształceniach politycznych, o zdobyciach terytoryalnych, poprzyczepiane do nici chronologicznej. Po tém rozległym państwie dziejowém snują się w głowie jakieś cienie bez ciała i duszy.

Inaczej jest, kiedy się zbiór wiadomości historycznych zmienia w dzieje rozwoju cywilizacji. Tak szerokie jest znaczenie cywilizacji, jak ją Guizot określa, tyle stron życia publicznego ona obejmuje, że dzieje cywilizacji nie mogą się zamknąć w ciasnym obrębie wypadków politycznych ugrupowanych około osób panujących i wypadków z ich życia osobistego. Dzieje cywilizacji nie mogą poprzestać jedynie na obrazie zmieniających się stosunków politycznych zewnętrznych, i wojen prowadzonych celem rozszerzenia granic lub utrzymania pierwotnego obszaru; dzieje cywilizacji nie mogą bawić się wyłącznie opisem nieustannie wznawiających się walk i staczanych bitew, bo one życie całe objąć powinny, życie społeczeństwa w jego najważniejszych objawach, więc życie religijno-kościelne, życie umysłowe, stan społeczny, stosunki wewnętrzne, więc dotknąć muszą warunków, w jakich się rozwijał człowiek w społeczeństwie, do jakich celów dążył, jak je urzeczywistniał, wśród jakich warunków pracował i t. d. Na takim tle rozwijany obraz dziejów przestanie być suchym zbiorem nazwisk i przedmio-

tem, który li dla ćwiczenia pamięci przydatnym być może. Zaniedbane zupełnie strony życia dziejowego wystąpią wtedy w żywotniejszej pełni, obudzą żywsze zajęcie i w kształcie łatwiejszym, przystępniejszym wejdą do umysłu i trwalsze w pamięci zjedną sobie miejsce. Jeżeli z biegiem czasu z pamięci wypadną nazwiska, pozostanie zawsze pewien szereg ogólniejszych pojęć, osnutych na zrozumianym biegu wypadków między sobą w związku zostających, przyswojonych rozumem ale nie pamięcią, ztąd łatwo mogących się odnawiać, odświeżać w naszej wyobraźni. Objaśniamy myśl naszą opartą na pewnym doświadczeniu przykładem.

Wychowańcy tych szkół, w których nieco staranniej bywa wykładana historia rzymska, zapominają po większej części w bardzo prędkim czasie, bo w kilka miesięcy po ukończeniu gimnazjalnego kursu nazwiska konsulów, dyktatorów, osób działających; ale zawsze zachowują w pamięci pojęcia ogólniejsze o rozwoju życia publicznego o stosunkach wewnętrznych, jeśli często nawet chronologiczne ramy wypadków chwyceniemi w ich umyśle się stają, składają jednak dowody, że nie obcy im jest mechanizm polityczny republikańskiego Rzymu, znają urządzenia publiczne i o walce toczącej się między patrycjuszami i plebejuszami dość dokładne mają pojęcia.

Inni znowu, co z pod innego wyszli kierunku, prócz oderwanych wiadomości nic z sobą nie wynieśli na drogę życia z wykładu dziejów. Opowiadają szczegółowo dzieje wygnania Tarkwiniusza z Rzymu, ale nieraz nie wiedzą, jaki rząd nastąpił po zniesieniu w Rzymie władzy królewskiej. Pamiętają drobiazgowe wiadomości z dziejów wojen punickich, na pierwsze zapytanie o nich przytaczają szczegóły o Hannibalu, Katonie, Fabrycyuszu, ale wznieść się nie mogą do zrozumienia znaczenia tych wypadków. Całe szeregi zdarzeń historycznych grupują się w ich pamięci około téj lub innéj osobistości. Widać z ich odpowiedzi, że pamięci swojéj przychodzili w pomoc, dając jéj podporę około nadzwyczajnego rysu charakteru pewnéj osobistości lub niezwykłego wypadku głębiej się w umysł wrażającego.

Wykład prowadzony ze stanowiska dziejów cywilizacji, jak to w przedmowie p. Korzon uczynić obiecuje, zapewnia nierównież większe korzyści.

Godząc się na stanowisko, z jakiego autor „Kursu historii wieków średnich“ zamierzył wyłożyć dzieje średniowieczne, i nie wymagając w tym względzie nic więcej prócz tego, co sam dać obiecał, z obowiązku krytyka sprawdzić zamierzamy, o ile założeniu swemu w ciągu całej swéj pracy wiernym pozostał.

Otóż dwie części w kursie p. Korzona odróżnić należy. W jednéj z nich autor utrzymał się na wysokości swojego stanowiska, w drugiéj, może nawet mniejszéj, nie wypełnił swoich obietnic.

W pierwszej połowie wieków średnich spostrzegać się daje program niemal wykończony. Nietylko wypadki polityczne ale i życie wewnętrzne i te nieznaczne składowe części, które w owych wiekach ciemnoty i barbarzyństwa do pojęcia cywilizacji wchodzi, są ugrupowane starannie i czerpane z dobrych źródeł. Świat germański, którego ludy występują na widownię dziejową, przedstawia się w zarysach dość pewnych. Nie zapomniano tu o instytucjach politycznych, prawnych, są tu także wiadomości i o życiu społecznym, domowym i z takim zapasem już nam się zrozumiałej i pełniej przedstawiają dzieje Gotów, Wandalów, Longobardów, Franków, aż do owej ważnej epoki, kiedy chrześcijaństwo i obrządek rzymski zapanowały nad temi różnemi ludami, i kiedy zachodnia i środkowa Europa połączyła się na chwilę pod rządami Karola W. Pierwsza to rozległa monarchia, która stanowi pamiętny okres w dziejach Europy. Tu się wyrabiać zaczęły trzy główne narodowości i państwa na stałym łądzie, tu Francya Niemcy i Włochy przesiąkły wspólnemi zasadami życia politycznego, które później mniej lub więcej odrębnie w nich się rozwijać zaczęły. W ogólnym rzucie oka objął tu autor tę całą monarchię, przedstawił jej instytucje wspólne, kościelne i polityczne i starał się, o ile to jest możliwe, urozmaicić obraz szczegółami z życia prawnego, ekonomicznego i domowego. Zasady feudalizmu wyniosły z tej monarchii w następstwie nietylko trzy państwa na stałym łądzie, ale porządek ten feudalny przeniesiony także został przez Normandów i do Anglii. Mamy także i obraz tego ustroju feudalnego w chwili jego pełniejszego rozwoju, i nowego zwrotu, jaki się rozpoczynał od wojen krzyżowych w dziejach ludów średnio-wiecznych.

Wojny krzyżowe stanowią pamiętny wypadek: Europa która się rozbiegła od czasów Karola W. w różne strony, na polu religijnym, pierwszy raz się spotyka na drodze około wspólnego i podniosłego celu. Wykład tych wojen dwieście lat się ciągnących odznacza się obrazowością właściwą bardzo, w książce przeznaczonej dla młodych umysłów. Uznania godną jest rzeczą, że autor nie zapomniał w oddzielnym paragrafie uwypatnić w głównych rysach znaczenie tego wielkiego ruchu, jaki ożywił w ciągu dwustu lat zachód Europy i który tak zbawiennym dla niej się okazał. Żałować bardzo, wypada, że autor nie zastosował takiego postępowania i do innych mniej wydatnych zdarzeń jak wojny krzyżowe, do wypadków głośniejszych w każdym z państw oddzielnie, np. do wojny stuletniej między Francją i Anglią, i wielu innych.

W drugiej części swojego dzieła autor nie utrzymał się na stanowisku, z którego miały być rozpatrywane dzieje.

Weźmy pod bliższą uwagę dzieje półwyspu pirenejskiego (str. 519—534) w ciągu ostatnich pięciu wieków historii średnio-wiecznej. Lubo państwa na półwyspie pirenejskim nie odegrały pierwszorzędnej roli, bo pomijamy w tej chwili odkrycia i podróże

morskie, lubo Hiszpania i Portugalia w ciągu kilkuset lat prowadziła życie niemal zamknięte, nie biorąc udziału w szerokim ruchu dziejowym, jaki ożywił państwa i narody środkowej Europy; twierdzić jednak nie można, by stanowisko państw hiszpańskich i Portugalii w obec cywilizacji europejskiej było zupełnie podrzędne. Jakikolwiek był wpływ, który te państwa wywarły na postęp ogólny objawiający się w wiekach średnich, większy lub mniej znaczny, zawsze jednak całe życie Hiszpanii i Portugalii dalekiem jest od martwego nieruchomego stanu, jaki cechuje dzieje chińskie w ciągu kilkuset lat.

W Aragonii, w Kastylii, w Portugalii spotykamy znaczne objawy życia, rozwijającego się w różnorodnych kierunkach.

Jakżeż się autor obszedł z temi dziejami? Dzieje Aragonii przedstawił w ciągu niemal 500 lat na jedną niespełna kartecę albo dokładniej w 75-ciu wierszach. Przeciwno objętości nic w téj chwili nie mamy. I w tak szczupłym nawet zakresie treściwie o wielu rzeczach powiedzieć można. Zależy od wyboru. Można, porzuciwszy mniejszej wagi szczegóły, nakreślić obraz, który żywością swoją przemówi do umysłu młodego, pobudzi uwagę i zapewni sobie trwalsze miejsce w pamięci. Tymczasem w treściwym rysie podanym przez podreęcznik p. Korzona, spotykamy około 18-tu nazwisk królów aragońskich: Ramirów, Alfonsów, Rajmundów, Marcinów, Pedrów; przy każdym z nich umieszczono wiadomości o podbojach, jakie uczynił, o wojnach jakie prowadził. Są to tablice genealogiczne, do których dodano właściwe objaśnienia. Zresztą tablice genealogiczne nie są także bez wartości, bo nieraz jako pomoc służyć mogą, jako wskazówka, informacja. Tymczasem i te nawet nie odznaczają się niezbędną w tym razie ścisłością, brak jest chronologicznych danych, kiedy np. panował Alfons I, Ramiro II, Rajmund Berengaryusz IV, Alfons II. Jeżeli autorowi szło o taką drobiazgowość w wyliczaniu nazwisk, trzebaż było i tę drobiazgowość w chronologii zachować. Kto się tylu nazwisk nauczyć może na pamięć, dlaczegożby jeszcze i kilka dat chronologicznych nie miał spamiętać. Historia Kastylii i Portugalii, jednem słowem dzieje całego półwyspu są w tym sposobie wyłożone. Pytamy się teraz, jaką uczeń może wynieść korzyść z wykładu dziejów prowadzonego w rodzaju genealogiczno-chronologicznym? Na kilku kartach mamy przed sobą Kastylią i Leon do XIII wieku, Aragonią do tegoż wieku, Kastylią do końca wieku XV, znowu Aragonią aż do połączenia z Kastylią i wreszcie dzieje Portugalii, a w każdym z tych państw w różnych epokach dzieje Alfonsów, Piotrów, Janów, Henryków. Przypuśćmy, że młoda pamięć nieustannie ćwiczona w tym kierunku zdoła zapamiętać Alfonsów i odróżniać będzie Alfonsów kastylijskich od aragońskich i portugalskich; ale cóż się stanie z tym materiałem po upływie niezbyt nawet długiego czasu. Owóż wszystkie te imiona zleją się w jakieś nazwy pustobrzmiące, z któremi się żadne wspomnienie wią-

zac nie będzie. Pozostaną w pamięci tylko pewne szczegóły, które się następnie jak wiatr błąkają po pustym stepie, takie szczegóły jak o owęj nieszczęsnej Inezie de Castro zamordowanej z rozkazu Alfonsa IV, o zdobyciu Granady, o wyjściu zamąż Izabelli za Ferdynanda i t. d.

A gdzież się podział ów stan prawny i ekonomiczny, stan literatury i sztuki, obyczaje i życie domowe, które autor obiecał nam w przedmowie wciąż mieć na oku w swoim wykładzie? O ile czas nam pozwolił sprawdzać, z kąd autor czerpał wiadomości swoje o dziejach Hiszpanii i Portugalii, przekonaliśmy się, że za przewodnika na tej drodze wybrał sobie: Dzieje powszechnie Schlossera (*Weltgeschichte für das deutsche Volk*) i wyłącznie z tego źródła zrobił treściwe skrócenie. Owoż Schlosser w tym razie nie wystarcza. Dawne to już lata, kiedy Schlosser pisał, zresztą polegać tylko na nim, gdy się układa dzieje Hiszpanii i Portugalii nie można. Sądzę, iż słuszną jest rzeczą, wymagać, aby autorowie kursów i podręczników, nie sięgając bynajmniej do źródeł, wszechstronniejszej biegłości w literaturze dawali dowody. Jeżeli nie wystarcza Schlosser, można się uciec do obszerniejszego Webera. Dłaczegóżby w dziejach Aragonii nie można kosztem wielu niepotrzebnych szczegółów dać obraz treściwy wewnętrznych urządzeń, w których pod wielu względami słuszenie dopatrywano się podobieństwa do instytucyj politycznych dawniej Polski. Arystokracja aragońska, *ricohombria* niepospolitemi zająśniała zaletami. Kortezy aragońskie były jakoby sejmy polskie. Szlachta aragońska średnich wieków doszła drogą walki legalnej do swobod, jakimi się kiedyś rządzili szlachta polska. Jednakże duch ożywił stan rycerski w Polsce i szlachtę aragońską. Miłość wolności i swobod politycznych stawiała *ricohombria* aragońska wyżej nad przywiązanie do kraju. Już dawnobyśmy, powiadają, kortezy w r. 1451, porzucili naszą ziemię nieurodzajną i nasze biędne państwo, *si non fues por las libertudes...* gdyby nie nasze swobody. Ztąd też istotnie zakwitła w Aragonii ta złota swoboda, z której korzystał nietylko wyższy stan rycerski ale i infanzones; ztąd też na gruncie tych swobod wyrosła gorąca miłość ojczyzny, przywiązanie do kraju, uczucia, pod względem których tylko polska szlachta w lepszych czasach obywatelskiej cnoty współzawodniczyć mogła z aragońską arystokracją. W tej walce długiej *ricohombrii* z władzą królewską, ileż rysów podobnych, spotykanych wśród politycznych zapasów rzymskiego patrycyatu z plebsem. Duma Aragończyka weszła w przysłowie. Praw swojego stanu broń zacięciem, zamykał się szczelnie przed niższymi warstwami społeczeństwa, w wojnie z Maurami nie było bitniejszych waleczników, ale Aragończyk nie pragnął zdobyć po za granicami swojego kraju. Jeżeli Aragonia na wyspach i wodach morza Śródziemnego zapanowała, to zdobycze te przypisać należy Katalonii i przedsiębiorczemu usposobieniu jej mieszkańców, z którymi Aragonia polityczną stanowiła całość. Katalońska szlachta odmienne od ara-

gońskiej rozwinęła w sobie zalety. Miasta w Katalonii, jako prowincyi nadmorskiej, ważniejszą odegrały rolę. One właściwie stanowiły siłę morską królestwa aragońskiego. W tych miastach nadbrzeżnych, które wyrobiły sobie miejsce jako stan oddzielny w kortezach aragońskich, handel rozwinął się w wysokim stopniu. Miasta Katalonii prowadziły ze sławuemi miastami Włoch zacięte boje morskie, katalońskie statki krążyły po wodach morza Śródziemnego, sięgały stosunki ich do Flandryi, Bosforu i Syrii. Głośną przedewszystkiém była Barcelona, do której w ciągu r. 1448 zawinęło 1290 statków kupieckich. Może to być miarą stosunków handlowych. Pan Korzon, mówiąc w swym kursie o Jakóbie Zdobywcy, wspomina o jego zdobyczach, jak gdyby również pamiętném z jego panowania nie było ułożenie kodeksu handlowego i morskigo. W dziejach kodyfikacyi jestto zdarzenie wysokości wagi. Ten zbiór praw morskich i handlowych znany pod nazwą:

*Libre del consolat del mar* zjednał sobie w prędkim czasie powszechne uznanie. Już w 1266 r. cieszył się powagą na Wschodzie; powoli został przyjęty przez państwa morskie, handlowe, tłumaczono go na wszystkie języki i odtąd służył jako podstawa, jako norma stosunków handlowo-prawnych i prawa konsularnego.

O wszystkich tych stosunkach i wypadkach, w których nie trudno dopatrzeć się ich strony wielce ważnej, i której z lekka tylko dotknęliśmy, nie znajdujemy w kursie p. Korzona żadnej wzmianki. Zdaniem naszém, na tle wyżej przez nas rozwiniętem właściwszy i pełniejszy da się rozwinąć obraz życia pewnego narodu, niż na podstawie wyliczonych w długim szeregu nazwisk królów aragońskich, kastyjskich i portugalskich.

Ponieważ dłużej nam jeszcze wypadnie się potykać z autorem na innych polach jego pracy, nie poruszamy więc szczegółów z dziejów Kastylii i Portugalii. Dość powiedzieć ogólnie, że w wykładzie dziejów pirenejskiego półwyspu, autor pozostał na stanowisku, jakie nie odpowiada pierwotnemu założeniu.

Przejdźmy do drugiego z rzędu półwyspu, do Włoch, i sprawdźmy o ile tu autor spełnił swoje zadanie.

Apeniński półwysep, jak wiadomo, przechodził różne koleje. Nie stworzywszy jedności politycznej, rozpadł się na kilka samodzielnych części, które w ciągu wieków średnich odegrały różne role. Południowe Włochy, państwo kościelne pod względem znaczenia w obec cywilizacyi nie mogą współzawodniczyć z Lombardją i Toskanią. W północnych i środkowych Włoszech właściwie skupiło się całe życie, cały ruch cywilizacyjny Italii średniowiecznej. W połowie X wieku Lombardia, Toskania, utraciwszy byt swój polityczny, wcielone zostały do cesarstwa Niemieckiego. Przestały więc mieć swoich królów narodowych, a skoro gdzie królów nie masz, tam trudniej jakoś jest autorowi dać sobie radę.

Bądźmy jednak sprawiedliwi w naszym sądzie. Owszem są wzmianki o Lombardyi i Toskanii, ile razy cesarz niemiecki przedsiębrał wyprawę do północnych lub środkowych Włoch (na str. 130

131). Autor zbywadzieje tych prowincyj temi np. słowy (str. 214): „Włochy za panowania Henryków IV i V, tudzież Lotaryusza III, coraz bardziej wyzwały się z pod władzy niemieckich cesarzów. Pod osłoną niepodległości (z kąd się wzięła?), dzięki ruchowi przez krucyaty wywołanemu, szybko wzrastają w potęgę Wenecya, Genua, Piza, miasta lombardzkie, szczególnie Medyolan. Każde z tych miast tworzy osobne państwo, a wszystkie prowadzą prawie nieustanną walkę pomiędzy sobą. „I na str. następnj, z powodu wypraw Fryderyka I-go. „Miasta włoskie, zagrożone napadami Węgrów i Saracenów, otoczyły się potężnymi murami i wyprowadzały znaczne wojska w pole.“ W końcu spotykamy opis wojen prowadzonych z miastami Lombardyi, Toskanii przez Fryderyka I i II-go.

Co za pojęcie można wynieść z dziejów Lombardyi i Toskanii w ciągu trzech z górą po sobie następujących wieków od X do XIII, po takiem ich przedstawieniu? Wiadomo, jaką potęgę dziejową, polityczną, cywilizacyjną stanowiły miasta włoskie w XII i XIII wieku w dobie swojego rozkwitu. Wiele potrzebaby na to poświęcić miejsca, gdybyśmy tu o ich wysokiem znaczeniu rozprawić chcieli. Ruch komunalny (gmin zdobywających sobie samorząd i samodzielność polityczną), jaki ożywał północne i środkowe Włochy, należy niewątpliwie do najznakomitszych objawów życia średniowiecznego. Tylko wiekom średnim właściwą jest ta silna potęga polityczna w kształcie związków miast się przedstawiająca. Włochy pierwsze wystąpiły na tę drogę, na którą później dopiero weszły miasta Flandryi i Niemiec. One dały przykład, za którym poszła środkowa Europa. Kiedy feudalizm miał w swych żelaznych rękach skruszyć lepsze pierwiastki w publicznym i społecznym rozwoju Europy, wtedy miasta włoskie jako widne zaranie lepszych dni wschodzą na widnokręgu dziejowym i podejmują walkę zaciętą ze straszłą potęgą wieków średnich: z feudalizmem. Jakoż zwycięzko wyszły z tych zapasów i sprowadziły istotnie zwrot ważny w dziejach średniowiecznych. Jak widok wiosennego kwiatu po bezbarwnj zimie wabi nasze oko, tak nas pociąga ku sobie ta młoda cywilizacja europejska, która po raz pierwszy ukazuje się Europie po długich wiekach surowej zimy, przemocy i ciemnoty, jako zawiązek kwiatu na polach Lombardyi, śród dolin górzystej Toskanii. Czyż to nie jest ważny okres w dziejach powszechnych, który nikomu obcym zostać nie powinien, kiedy się rozchodzić zaczęły na wszystkie strony pierwsze promienie nowj cywilizacji, i kiedy się budził z uspienia między nowemi ludami duch, co niegdyś ożywiał rzeczypospolite greckie i Rzym dawny? Więc należałoby rozwinąć obraz stosunków feudalnych we Włoszech w X i XI wieku, zupełnie odmiennych od tych, co się ustaliły w Niemczech i we Francyi, trzebaby wyłożyć, jak się z pod jarzma feudalizmu wydobywać zaczęły gminy miejskie, jak się urządzały u siebie, kto mieszkał w tych murach, kto nadawał swobody i do jakich doszły granic w swoich wolnościach?

Trzeba było powiedzieć o przewrocie społecznym, jaki się dokonywał w XII wieku, nauczyć że nie z samych tylko mieszczan (par excellence) składała się ludność Medyolanu, Pawii, Werony, Lukki i t. d., że zamieszkała tam cała szlachta sąsiednich powiatów (capitanei, valvassores) albo przynajmniej, mieszkając na wsi, do politycznego składu miasta należała. A ileżto tu zdobyczy uczyniła cywilizacja w każdym niemal kierunku. W tych gminach miejskich wywalczyła sobie uznanie ta zasada, przeciwko której powstawał feudalizm, że praca przy pługu, warsztacie nie hańbi, nie poniża człowieka. Gdzież jeśli nie we Włoszech ustalo wcześniej niż gdzieindziej gospodarstwo naturalne, zamienione na pieniężne; tu się uszlachetniły obyczaje, życie domowe przybrało kształty łagodniejsze, otoczyło się powabami wyższego rzędu. I któżby to wszystko był w stanie tu wyliczyć? Tymczasem autor kursu historyi wieków średnich, te wszystkie piękne zajmujące strony a tyle ważne pokrył głębokiem milczeniem. Gdzież to my znajdziemy tę cywilizację, jeśli jój autor nie odszukał we Włoszech aż do XIII wieku. W odpowiedzi na wszystkie poruszone przez nas strony dziejów miast włoskich otrzymujemy od p. Korzona małą rubrykę p. n. Stan Włoch w XII wieku w tych słowach: „Miasta włoskie zagrożane napadami Węgrów i Saracenów, otoczyły się potężnymi murami i wyprowadzały znaczne wojska w pole. Żeby dać wyobrażenie o potędze naprzykład Medyolanu, dosyć powiedzieć, że w końcu XIII wieku liczono w nim domów i t. d.“ Wypada nawet ten ustęp sprostować, bo najprzód napady Węgrów i Saracenów miały miejsce aż do połowy X tylko wieku, a wtedy nie było ani *potężnych* murów ani miasta nie wyprowadzały znacznych wojsk w pole. Jedno z drugiem niema związku, bo potężne mury i znaczne wojska powstały wtedy, kiedy już Węgrzy i Saraceni żadnymi nie grozili napadami. Powtóre, autor podaje rubrykę p. n. Stan Włoch w XII wieku, jakoż w całym ustępie jest mowa o tym okresie, tymczasem dla dania pojęcia o Medyolanie w XII stuleciu przytacza statystyczne dane z końca XIII wieku. Literatura włoska jest pod tym względem tak bogata, że nawet o XI wieku możemy mieć statystyczne dane i na nich wyrobić sobie dość dokładne pojęcie, nie potrzebujemy zmuszać czytelnika do robienia wątpliwych wniosków. Zdaje nam się, że autor kursu H. W. Ś. w wykładzie dziejów Włoch w XIV i XV wieku żadnej nawet wzmianki nie uczynił o Piemencie i Sabaudyi, której dzieje pod względem polityczno-prawnym, pod względem systemu finansowego stanowią ustęp wielce ciekawy i nader ważny.

Zwróćmy się teraz ku dziejom półwyspów na Północy, skandynawskiego i jutlandzkiego, ku historii państw skandynawskich. O cywilizacji skandynawskiej w ciągu wieków średnich nie wiele by się powiedzieć dało, zawiązki były słabe, postęp nie zbyt znaczny, który na pochod cywilizacji europejskiej oddziałał mało, ale z tém wszystkiem był pewien stopień cywilizacji. O nim nie otrzymujemy prawie żadnego wyobrażenia z kursu H. W. Ś. Obja-



śniamy to sobie: p. Korzon wziął i tu podobnież za przewodnika Schlossera Weltgeschichte i przedstawił z niej treściwe skrócenie. (z Tomu V-go str. 210, VII-go 392, VIII-go 49), a skrócenie to, przeciążone nazwiskami królów, których wymawianie nie małe zawsze przedstawia trudności dla ucznia, odznacza się naturalnie suchością. W szerokiej opowieści, jaką mógł Schlosser w swém XVIII-o tomowém dziele swobodnierozwijać, jakoś więcej urozmaicenia i ożywienia czuć się daje. Ale wiadomo, że Schlosser w ogóle nie jest ideałem historyka. Stoi on na stanowisku dość ograniczonym, biograficzny charakter w jego wykładzie przeważa, poświęca wiele uwagi rozwojowi umysłowemu, literaturze, co kiedyś stanowiło jego zaletę, lecz bez zarzutów nie jest. Zwłaszcza, kto rozpatruje dzieje wszechstronnie, kto wszystkie znaczniejsze objawy życia łączy w jakąś całość, ten ma najwięcej powodu uskarżać się na Schlossera i nie powierzać się jego przewodnictwu. Każdy do swego celu najważniejszego wybierać powinien środki. Jeśli nie znajduję pewnych stron uwydatnionych u Schlossera, to wtedy, bynajmniej nie sięgając do źródeł, uciec się może do Dalhmann'a. W kursie H. W. Średnich pominięte zostały zupełnie dzieje wewnętrzne, prawodawstwo, stan ekonomiczny państw skandynawskich. Po wyuczeniu się na pamięć wszystkich królów państw skandynawskich, może uczeń słusznie zadać sobie pytanie, a był też kiedy i jakie przybrał formy w Danii, Szwecyi i Norwegyi, systemat feudalny, który zapanował w całej zachodniej i środkowej Europie? Na to pytanie książka, p. Korzona nie da mu odpowiedzi. A jednak jest to strona wielce ważna, nierównie ważniejsza niż wiele niepotrzebnych szczegółów, które w kursie H. W. Ś. pomieszczenie znalazły. Nie mamy zamiaru autora czynić odpowiedzialnym za rzeczy, które czerpał z dzieła Schlossera, bo bardzo słusznie może się zastąpić powagą wielkiego historyka, ale wolno nam zganić to, co nie jest własnością Schlossera. I tak np. autor powiada, str. 517, że Waldemar II król duński zobowiązał się wyrzec ziemi Wendów i *przywrócić dawne przywileje Hanzy*, (a było to po bitwie pod Bornhövde w 1227 roku). Otóż Schlosser powiada tylko Handelsstädte (VII 396) i bardzo słusznie, bo o Hanzie, która powstała dopiero w jakie 15 lat później, jeszcze mowy być nie może, jak się sam autor łatwo przekona, porównawszy wiadomość, którą o Hanzie umieścił na str. 272. Sąd nasz łagodniejszym będzie z powodu rozdziałów poświęconych dziejom Anglii w wiekach średnich. Autor powierzył się przewodnictwu Aug. Thierry, Lappenberga i Rankego. Są to powagi i historycy *majorum gentium*. Szkoda tylko, że nie zawsze się trzymał ściśle drogi przez nich wytkniętej i że sam nie wznosił się na stanowisko, z którego, jak głosi przedmowa, miały być rozpatrywane dzieje powszechne. Czujemy dotkliwie brak wiadomości o rozwoju stosunków wewnętrznych prawnych, ekonomicznych, społecznych. Wiadomo, jakie ma znaczenie w dziejach Anglii samorząd, reprezentacya, życie parlamentarne, zwłaszcza w okresie powstających swobód parlamen-

tarnych. O mechanizmie politycznym Anglii średniowiecznej czytelnik z książki p. Korzona żadnego nie wyniesie pojęcia. Wielka karta 1215 r. nie została uwydatnioną w zupełności z ważniejszych jej stron. Autor mówi (250 str.), że ludzie wyższego stanu mogli być skazani tylko na mocy wyroku przez 12-tu uczciwych sąsiadów (jury), wydanego. Takiego paragrafu po kilkokrotném przejrzeniu całej Wielkiej karty nigdzie dostrzedz nie mogliśmy. Początek izby, niższej odnosi autor do r. 1264, tymczasem posiedzenia téj izby zaczęły się dopiero 20 stycznia 1265 r. (zob. Lappenberg. Gesch. v. Engl. III 780) i rok ten, a nie poprzedni znany jest Gneistowi, Hallamowi, Lappenbergowi, i innym. Ale zato téż autor nie szczędzi szczegółów w opisach wypadków wojennych, przytaczając zwroty w biegu wojny, nieznaczące, liczne miejscowości bitew, jedném słowem obarcza swój wykład zewnętrznych wypadków drobiazgami, które najprzód zasłaniają sobą główne rysy obrazu a nadto stanowią bezużyteczny kapitał, którego żadna pamięć dłużej nie zatrzyma u siebie nad jedną dobę. Autor trzy kartki czyli sześć stronnie poświęcił wykładowi wojny 30letniej, znanéj pod nazwą wojny Dwóch Róż. Najbardziej wyteżona uwaga rozprószy się wśród tych ciągłych bitew, zmiany stanowiska partyj i nie wyniesie z opisu wybitnego obrazu i pojęcia o znaczeniu, doniosłości tych krwawych zapasów dwóch linii królewskiego domu. Jakiż odmet powstanie w młodym umyśle ucznia, najlepiej czytelnik osądzi, skoro się dowiédź, że sam autor się poplątał w téj drobno splecionéj a rozlegléj sieci wypadków, nazywa bowiem raz Jorków *rózją czerwoną* (?), Lankastrów *rózją białą* (?) (str. 379), na następnéj znowu (str. 381). Lankastrów *rózją czerwoną* a w tablicach genealogicznych (nr. 15) odwrotnie, Lankastrów *białą* a Jorków *czerwoną różą*.

Czynie właściwszém byłoby w tak obszernéj książce dać kilka wskazówek, co téż to za zmiany w ustroju parlamentarnym zaszły w skutek wstąpienia na tron Lankastrów, jaką postawę przyjęło Magnum Consilium, jak się to wytworzyła dziedziczność w izbie panów, jak ta izba wywalczyła sobie szeroki zakres władzy sądowej, co za skutki wydała dla Anglii i jej życia wewnętrznego dłu-goletnia wojna z Francją? A o tém ani słowa, co się stało z parlamentem po wojnie dwóch Róż, jak się zaczęła reakcja ze strony władzy królewskiej? Może dla wielu ostateczną księgą historyczną pozostanie na całe życie Kurs h. p. Korzona, i nieraz wypadnie im szukać w niej treściwego objaśnienia w tak ważnéj kwestyi, jak publiczny rozwój Anglii a Gneisty, Hallamy, Lappenbergi pozostaną na zawsze dla nich nieznanymi lub niedostępnymi? A jeszcze tyle innych stron, które jako części składawé wchodzą do cywilizacji? gdzie miasta angielskie, handel, przemysł, gdzie stan ekonomiczny kraju np. w XIV i XV wieku?

Jeżeli autor Kursu H. W. Ś. zapomniał się nieco w wykładzie wewnętrznego życia Anglii, jeśli politycznego rozwoju narodu angielskiego, którego instytucje były kiedyś wzorem dla całej

Europy, na którym się całe szkoły publicystów i mężów stanu kształciły, jeśli powiadamy, tego rodzaju przedmiot jedyny niemal w dziejach, tak mało głębszej uwagi autor godnym być mienić: to nie dziw, że nie wejrzał w życie polityczne tych państw, które nie zdołały w tym stopniu co Anglia urzeczywistnić ideałów swoich o państwie, porządku i prawie publiczném. Niemieckie cesarstwo wieków średnich sprowadziło w ostatnim rezultacie zupełną anarchią. Ostatnie dwa stulecia odstawiają nam widok gmachu w zwaliskach. Taki rozkład, jaki się dokonywał w formach bytu politycznego, nie obudza zajęcia dziejowego. Na rozwój więc życia publicznego w rozpadającym się cesarstwie niemieckim XIV i XV w., zbyt wielkiego nacisku kłaść nie wypada, ale z tém wszystkiém te odpadające od ciała części miały swe życie, miały swe dzieje. Te więc dzieje, czy one mniej lub więcej są jasne, należą do obrazu, choćby cały ten obraz ponurą był pociągnięty barwą. Osłabienie władzy naczelnéj cesarza czy króla, przemoc feodálnéj arystokracji, gwałt zamiast prawa, wytworzyły już na początku XIV wieku stan rozprzężenia powszechnego. Zdawałoby się mogło, kiedy się patrzy na te stosunki niemieckie z czasów pierwszych Habsburgów i Luksemburgów, że całe życie narodu dąży w przepaść bezładu; aliści zdrowsze pierwiastki występują na jaw. Oto miasta, ich potężne związki. One chciały stanąć u steru rządu ze swą polityczną siłą, one dźwignąć zamierzały cały świat stosunków politycznych z téj toni bezprawia. Dwa blisko wieki trwały te usiłowania wśród ciężkiéj walki, feodalizm nie ustępował ze swego stanowiska, na które wdzierało się mieszczaństwo. Miasta nie dopięły swego celu, bo podjęły walkę nierówną; brakło zmysłu politycznego, nie było organizacji. Miasta szwajcarskie wprawdzie podawały rękę Hanzie, ale związek nadreński i południowych Niemiec nie umiał przełamać zaściankowego swego charakteru i feodalizm znowu górą. Autor kursu nie wznosił się do téj wysokości, by objąć z jéj szczytów drogi, po jakich dążyły wypadki w XIV i XV wieku, kierunki, w jakich płynęły dzieje. Tłumne wypadki życia zewnętrznego wzrok mu zasłoniły. Nie wymagamy rozumowań historyozoficznych, one w kursie były wadą organiczną. Ale oto dowody na wyjaśnienie znaczenia naszych zarzutów: Autor poświęcił kilka słów na str. 272 dziejom zawiązującej się Hanzy, i wymieniwszy kilka miast, które do jéj składu weszły, tak dalej rzecz swą prowadzi:

„W krótkim czasie Hanza opanowała cały handel północny, rozrządzała znaczną flotą i stała się groźném mocarstwem.“

Istotnie tak było. Związek miast hanzeatyckich przedstawiał siłę polityczną niezwyktą. „Groźne mocarstwo“ to prawda, ale wszelkie groźne mocarstwo, już *eo ipso* ma prawo w danym czasie zająć jakieś miejsce w Kursie Historji. Tymczasem po téj wzmiance, która sama przez się zapowiadała jakieś przyszłe starcia, walki, bo mocarstwo musiało być ostatecznie „groźném“

dla kogoś, ta Hanza już ginie w *Kursie* bez wieści i śladu. Ale w *Historji* XIV i XV wieku Hanza zostawiła po sobie ślady znaczne, jak Lombardskie miasta pod Legnano. Proszę przypomnieć sobie ową wiekopomną walkę, którą podjęły miasta hanzeatyckie z Waldemarem III królem duńskim. Co to za zapal, jakie wysiłki po klęsce zadanej przez Duńczyków, cóż wreszcie za tryumf, co za zwycięstwo, kiedy w Stralsundzie 1370 r., upokorzony Waldemar III zmuszony był miastom hanzeatyckim przyznać takie prawo: bez przyzwolenia Hanzy nadal żaden król duński na tron wstępować nie będzie.

O tój walce, jój przebiegu i znaczeniu p. Korzon ani słowa,

A terytorye w Niemczech, Landesstände czyli owe stany ziemskie, ów parlamentaryzm prowincjonalny i owa zacięta walka, jaką do XIV wieku wszędzie w terytoryach duchownych i świeckich zaczęły prowadzić stany z miejscowym księciem Landesherrem? I tyle innych.

Ale dość już. Dalsza analiza zdaje się być zbytęzną. Według podanych przez nas wskazówek można ją przeprowadzić przez inne części rozbitieranego dzieła.

Wróćmy do tego, od czego wyszliśmy. Metoda, według której p. Korzon zamierzył wyłożyć dzieje wieków średnich, zasługuje na uznanie. Przemawiają za nią ważne pedagogiczne względy. Żałować wielce wypada, że autor Kursu nie dołożył usiłowań, by wszędzie przeprowadzić swój punkt widzenia, przez wszystkie części swojej pracy. Ogólne wrażenie byłoby nierównie korzystniejsze.

Nie wytykamy drobniejszych błędów, jakie się tu i owdzie znalazły; bo od nich każda obszerniejsza praca wolną być nie może. Nie byłoby zawadziko, gdyby autor był nieco staranniej korzystał zamiast ze Schlossera z Webera obszerniejszego z jego 4-ch ostatnich tomów, w których się znajdują rezultaty najnowszych badań, wtedyby nie był powtarzał owych podaniowych opowieści, które już dziś krytyczna historia odrzuciła.

Forma samego wykładu nie jest naganną, owszem wszędzie niemal objawia się opowiadanie żywe, obrazowe. Nie widać żadnego wymuszenia, przeciwnie swoboda wystowienia, potoczność świadczą, że autor włada piórem wyrobioném. Lubo rażą niekiedy zwroty mowie naszej niewłaściwe, może nawet nie zrozumiałe dla tych czytelników, co tylko własny swój znają język, ale z tém wszystkiém są to tylko wyjątkowe usterki.

Pod koniec książki są umieszczone tablice genealogiczne i mappy, wreszcie i chronologia papieżów.

W tablicach genealogicznych są także błędy, podobnież i w mappach, ale przyłączenie ich do podręcznej książki jest bardzo właściwe. Cokolwiekby widać, że autor ożywiony jak najlepszą chęcią, pragnął według sił jak największą wyświadczyć przysługę uczącej się młodzieży. Takie szlachetne dążności, taka praca podjęta w imię dobra ogólnego spotka w literaturze serdeczne przy-

jęcie. Na tej drodze naukowej bez widoków i korzyści mało w ogóle spotykamy bezinteresownego zapału; niechże więc autor nieustaje na mozolnej niwie i przyjmie od nas ku dalszym trudom zachętę słowy Wergilego:

Tu ne cede..... sed contra audentior ito.

A. P.

*O Mazurach napisał Dr. Wojciech Kętrzyński. Poznań. Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego, czcionkami L. Merzbacha, 1872 (w 16-ce str. 94).*

Do nieocenionych *materyałów etnograficznych* Oskara Kolberga przybywa nowy zasilek w pracy Dr. Kętrzyńskiego wielce pożądany. Zbiór pieśni bez melodyj które w charakterystyce ludowej tak ważną grają rolę, obejmuje liczbę pięćdziesięciu czterech: nie widzimy w nich żadnego podziału ani wskazówek, czy łączą się z jakim obrzędem lub tylko luźnie bywają śpiewane. Oprócz pieśni *dożynkowej* znanej we wszystkich okolicach naszego kraju a mającej zawsze jeden początek: „*Płon niesiemy, płon*“ poprzedzająca ją (Nr. 36) jest widocznie śpiewaną w święta wielkanocne, jak jej treść przekonywa i całe strofki znane u nas przy obchodzeniu z *Gaikiem*. Wydawca przy żadnej nie podał choćby małego objaśnienia, jakie zaś z podanej liczby należą do obrzędu weselnego? nie wiemy, lubo to nie jest rzeczą nie obojętną w każdym zbiorze ludowych pieśni. Poniżej obszerniej powiemy o nich, teraz zwracamy się do wstępu który zasługuje na głębszą uwagę i stanowi nie małą wartość ogłoszonej pracy.

Położywszy następne godło z Pola :

„A czy znasz ty bracie młody,  
Te pokrewne twoje rody?“

Na czele pisze :

„Gdybym żądał łaskawy czytelniku żebyś szczerze i otwarcie się przyznał co ci wiadomo o Polakach, daleko ztąd w *Prusach Wschodnich* mieszkających, co ci wiadomo o *Mazurach* z tobą teraz w jednym państwie pod jednym berłem żyjących, pewniebyś ruszył ramionami, dodając że prócz nazwiska nic więcej nie wiesz; lub gdy przypadkiem kiedy byłeś w Królewcu w interesach lub na Uniwersytecie, odpowiedziałbyś mi zapewne żeś ich widział, ale że to Niemcy. Taka to nieświadomość naszych domowych niemal stosunków panuje między nami. Kilka lat dopiero minęło jakżeśmy porzucili zasadę zgubną, podług której każda ziemia polska tylko dla siebie żyła, sobą się tylko zajmowała, nie troszcząc się wcale o losy ziem sąsiednich. Kilka lat dopiero minęło jak wyszliśmy po za mury naszego domku, jak zadumieni poznaliśmy że prócz nas

jeszcze wielu jest polaków w kraju pruskim, że nie tylko na ziemiach *chełmińskiej i michałowskiej* ludność polska żyje i rozwija się, ale że nawet na *Pomorzu* ona dotąd silnie się utrzymuje, a nasi *Kaszubi* poczciwi, to nie Niemcy jak przedtem sądzono, lecz dzielny lud polski. Dziś Bogu dzięki wyrosł już błogi owoc dla obydwóch prowincyj, powstało ztąd przekonanie o wzajemnych i zobopólnych interesach. Ale im większy nasz widnokrąg, im dalej spoziera oko po za granice zwyczajne, tém bardziej spostrzegamy że *Księstwo* (poznańskie) i *Prusy królewskie*, nie same tylko w państwie pruskim są ziemiami polskimi, że po za nimi jeszcze mieszka wielka moc ludu polskiego, niby na ustroju. A ponieważ dziś każdy wie, że i liczba ważną odgrywa rolę w życiu politycznym, że tém bezpieczniejsze i pewniejsze będzie nasze stanowisko w obec pochłaniającego nas żywiołu niemieckiego, im więcej nas tutaj będzie; dlatego też zwracano już często w ostatnich czasach uwagę na bracie zapomnianą na Szlązku, w księstwie *Warmińskim* i na *Mazurach* i myślano o sposobie zbudzenia ich z kilkowiekowego letargu do życia aby ich dźwignąć z demoralizacyi w której ugrzęźli w skutek ciemnoty, aby ich połączyć z nami węzłem wspólnym nam wszystkim narodowości i wspólnych interesów. Są to kwestye które nie mało dziś zajmują inteligentną część naszego społeczeństwa, a spodziewać się mogą że miłe będą wszystkim te wiadomości które tu o *Mazurach* podaje, bo przyczyniają się do lepszego poznania tego ludu i jego stosunków.“

Wyrzuty autora są sprawiedliwe i tém dotkliwsze dla księstwa *Poznańskiego*, że przedzielone tylko miedzą sąsiedzką, nie starało się zbadać tego ludu tak blizkiego jednej krwi, pochodzenia i języka.

Niemcy swoim zwyczajem, jak kukulki w cudzych gniazdach wychowują swoje pisklęta, opanowawszy siłą pięści lub podstępem ziemie cudzą, mają jeszcze tę zuchwałość, że zgnębionych narodowców a właścicieli ich od wieków nazywają przybyszami, sami się mianując posiadaczami takowych. Tego samego losu doświadczyli i *Mazury* w Prusach *Wschodnich*. Tak *Toeppen* (*Gesch. Masurens*) w monografii tych *Mazurów* wydanęj w *Gdańsku* przed dwoma laty (1870 r.) pisze: że Polacy na ziemi *inazurskiej* są osadnikami, lubo przyznaje, że ludność polska już w *XIV* i *XV* wieku w tych stronach przeważała, a w *XV* stuleciu już składano *homagium* Wielkim mistrzom krzyżackim w języku polskim.

Obszary ziemi które zamieszkują mają grunta przeważnie lekkie, piaszczyste i pagórkowate, wielkie niwy nietknięte pługiem: wszędzie lasy i bory ogromne, z których najwięcej słyną bory *Janowskie*; niebrak i wielkich jezior, przy których *Gopło* wydaje się małym stawem. Do takich jezior należy *Sniardwy* czyli *Sniardły*, jeziora *Niewotyniskie* i *Niebolińskie*, po których statki parowe chodzą, a kiedy burza nastanie, fale na nich się pietrzą, podobne morskim bałwanom.

Zachwycający i uroczy widok na jezioro *Łękaćkie* pod *Orłowem*, z czystą jak kryształ wodą. Otoczone z jednej strony pagórkami których wierzchołki obrosłe jodłami, świerkami i brzożami, w przezroczu wód się odzwierciedlają; z drugiej strony dwór *Łękućki* z galkami i za

zielonemi łąkami kościół *Orłowski* z wysmukłą wieżyczką tę okolicę przystrajają. Niedaleko stąd leży *Łażno* przezwane przez Niemców Haschneen w pośrodku umajonych borów i szumiących jezior: wieś ta uważana za najpiękniejszy pejzaż całej okolicy, godny ołówka artysty. I miasto *Elk* jakoby stolica mazurska, w pięknej leży okolicy ze starą zamczyskiem w pośrodku jeziora. Dowcip miejscowego ludu dzieli całe Mazury na trzy części: na *Mazury piaszczyste* (pod *Szczytnem*), na *Mazury kamieniste* i na *Mazury garbate* czyli pagórkowate (pod Gołtopiem). Natura ziemi dobrze odpowiada temu podziałowi, bo jakkolwiek miejscami nawet na dobrej glebie nie zbywa, jest jednak wiele okolic które wszystkie te przymioty w sobie łączą.

Autor opierając się na urzędowych podaniach statystycznych z końca roku 1867, w dziewięciu powiatach Prus Wschodnich liczy mieszkańców 260,000 Polaków i 140,000 Niemców.

Charakterystyka Mazura tutejszego jest też sama co i w całym Mazowszu. Wesoły, towarzyski, gościnnie, chętnie obcego do swęj chaty przyjmuje, rad się dowiedzieć od niego co tam słychać na Bożym świecie i wypytywać o wszelkie gościa swego przygody. Gromadę lubi, a skoro się z obcym spotyka wita słowami „*Dobry dzień!*“ na co gdy otrzyma zwyczajną odpowiedź: „*Bóg zapłać!*“ pierwsze jego pytanie: „*A skąd (z kąd) waśc?*“ Z poczciwym sercem gotów zawsze ostatnim kawałkiem chleba lub ostatnim kieliszkiem wódki z drugim się podzielić.

Wszyscy Mazurzy są ewangelikami ale wielce pobożnymi: kiedy podczas nabożeństwa niemieckiego kościoły są puste, bywają one gdy jest polskie, przepelnione. Na nieszczęście wódka, ta trucizna szeroko rozlana, sprawia i tu spustoszenia tak w życiu moralnym jak i życie materialnym, przynosi liczne choroby, ubóstwo i nędzę. Ubiór zachowali ten sam jaki noszą i w naszym Mazowszu; żupan granatowy i kapeluszek tego kształtu jak u Kurpi; niewiasty noszą się jak Mazurki, wszystkie z małą różnicą zawijzowania chustek na głowie. Niemasz tu dostatku i dobrego mienia jak u innych włościan na urodzajnej glebie, ale mimo to są gorąco przywiązani do swoich gniazd rodzinnych. O pszenicę trudno pytać: żyto, owies, jęczmień, len, tataraka i *perki* (kartofle) oto główne produkty rolnicze.

Dawne zwyczaje i obrzędy zachowały swój czysto polsko-sławiański charakter. Obchód weselny tém się tylko odznacza, że drnżba konno (a konie ich są małe, chude, długimi włosami obrosłe, ale zato wytrwale) objeżdża zapraszając na wesele kmiotów i sąsiadów w całej okolicy; z konia nigdy nie zsiada, a kiedy domek nie za niski, a drzwi dosyć wysokie, to konno wjeżdża do izby, aby tam poselstwo swoje odprawić. Na ten objazd przywdziewa szaty odświętne, przybrany we wstążki czerwone, białe i niebieskie, a często i w szarfy.

Autor dalej poświęca obszerniejszy ustęp, o wymowie braci Mazurów, która nieco jest odmienniejszą od wymowy Wielkopolan. Zajmując szczegóły podaje nam następnie o *literaturze* miejscowej.

„Literatury, Mazury właściwie nie mają, bo wszystko co się u nich pojawiło, jest treści religijnej, a pisownią polską pisane. Cały zapas

więc książek, które zwykle w rękę Mazura się znajdują, składa się z *Biblii*, która jest tylko przedrukiem edycji Gdańskiej z roku 1632, z *Kancyonalu i Kalendarzyka*, który p. Giersz Radca miejski w miasteczku *Lecu*, od lat kilkunastu drukiem wydaje. Kalendarzyk ten rozchodzi się w 8000 egzemplarzy. *Kancyonał* jestto liczny i bogaty zbiór pieśni, tak własnych utworów jak i tłumaczeń. O autorach tych pieśni szacowną zdał nam sprawę professor *Kuchnasl*, dziś w *Kwidzynie*, wroprawach po polsku pisanych, i w programach gimnazjum Raściborskiego drukiem ogłoszonych. „Mazury Prus Wschodnich jak Zachodnich, lubią z natury śpiew jak cały lud polski; zbioru poezyi ludu tego nie posiadamy w druku, pisze autor: omylił się co do tego Dr. Kętrzyński, gdyż przed osmnastu laty wyszedł zbiór pieśni ludowych z *Prus Zachodnich* p. n. *Pieśni Gminne i przysłowia ludu polskiego w Prusach Zachodnich, zebrane przez Ignacego Łyskowskiego. Nakładem wydawcy. Brodnica, drukowane i jest do nabycia u C. A. Köhlera 1854 r.* (w 8-ce str. VII, 66). W przedmowie p. Łyskowskiego czytamy:

„Rozpatrując się w ludzie polskim *Prus Zachodnich*, z boleścią dostrzegłem, że tu pieśni gminne konają.

„U starców znajdziesz tu jeszcze zabytki dawniej śpiewności, młode pokolenie jest ubogie w pieśni, a im bliżej pogranicza niemieckiego, tém większa głuchość. Żywioł niemiecki wpływa na wytepienie pieśni gminnych, i zimnem technieniem studzi śpiewne serca polskie. Lud nasz, ubożając w pieśniach, ubożeje w epotach.“

Przerażony tém autor, że pieśń ludowa odzywa się to „*już tylko zrywaniem konania głosem*.“ nie podaje dotąd przechowanych w żywem słowie, jak je słyssał: ale zebrawszy rozerwane i po różnych okolicach rozrzucone części jednej piosnki, zlewa je w jedną całość, czasem nieharmonijne wyrzucił słówko, nieobyczajną wyrzucił zwrótkę i nowe powasuwał, aby związać wątek rozerwanych i rozrzuconych części należących do jednej pieśni.

„To zbrodnia! krzyknie krytyka, — mówi autor — biorąc moje pieśni pod zwyczajne prawidła. Ja na moje usprawiedliwienie odpowiadam: nie pisałem dla ukształconych, czyniąc im zabawkę, zbiorem pieśni gminnych, ale pisałem dla ludu, zwracając ludowi zgubioną własność. Lud pozna swoją piosnkę po jednej albo kilku zwrotkach, które się tu utrzymały, i przyswoi sobie urywki tój samej pieśni, które się gdzieindziej utrzymały, a poznawszy swoją piosnkę, uzna ją wcałości za swoją, pokocha i powtórzy: wślad zaś za pieśniami wracać będzie dawna uczciwość i cześć bogów ojczystych.“

Jak się ten szlachetny zamiar autorowi udał nie wiemy: lubo pokup tego zbioru musiał być niemały, gdy sami zaledwie po długich staraniach, potrafiliśmy w samych Prusach Zachodnich ją dostać. Na końcu umieszczony zbiór *przysłów* w liczbie 281, pokazuje że prawdy zdobyte długiem doświadczeniem, i ujęte formą właściwą ludowi, tak się rzyją w pamięci, że trwalsze są nad pieśń samą i giną jedynie, wraz z rodowitym językiem. Wracamy do dziełka Dr. Kętrzyńskiego.

Pierwszym ze zbieraczy pieśni ludowych u Mazurów pruskich był ś. p. H. G. *Gizewiusz* pastor ewangelicki w Ostrodzie, on też wedle



wrażenia autora „zatknął sztandar narodowy wydając *Przyjaciela Łeckiego* 1843 roku.“ Łączyły nas ze zmarłym czcigodnym pastorem bliższe stosunki przyjaźni, i ztąd nadesłał nam swój zbiór szacowny pieśni wraz z nutami w rękopiśmie. Owoc ten długoletniej pracy użyczyliśmy *Oskarowi Kolbergowi*, który wziął na siebie obowiązek wydania ich drukiem. Mniemamy, że gdy teraz zamierza ogłosić zbiór pieśni wielkopolskich, najodpowiedniejsze umieszczenie obok nich byłoby rękopisem ś. p. Gizewiusza.

Obecnie zajmuje się zbieraniem pieśni ludowych mazurskich pastor przy kościele polsko-ewangelickim w Królewcu, *Pelka* „człowiek zaeny i mowie polskiej przychylny, (dodaje Dr. Kętrzyński), którego staranie i założenie biblioteki polskiej treści religijnej, dla teologów Mazurów w Królewcu pomyślnym uwieńczone zostało skutkiem. Gdym kilka lat temu go odwiedził posiadał już przeszło 300 pieśni zebranych“

Zbiór ich liczny posiada także pan Giersz w *Levu*, wykształcony mazur, który pracuje nad słownikiem i gramatyką mowy mazurskiej. Ułożył także spis wszystkich miejscowości mazurskich podając w nim podług pojedynczych parafii, jak każda miejscowość po polsku i po niemiecku się nazywa.

Od śmierci ś. p. Gizewiusza, a z nią i upadku *przyjaciela Łeckiego* „powstały *Kurek mazurski* nie długo istniał. Niemasz teraz dziennika ludowi temu odpowiedniego, bo *Przyjaciel ludu* Chelmiński rzadko się zabłąka, a inne gazety jeszcze rzadziej.

Nie możemy pominąć tego co autor mówi, o usiłowaniach zniemczenia mazurskiego plemienia. „Pozornie Mazury we *Wschodnich Prusach*, używają więcej względów, więcej łaski u rządu i władz administracyjnych, aniżeli Prusy Zachodnie. Jednoś wiary może się cokolwiek do tego przyczynia, ale nie jest jedynym tych łask powodem, których Polacy z *Prus Zachodnich* dotąd napróżno się domagali. *Tygodniki Powiatowe* bywają już od wielu lat wydawane zarazem z dokładnym polskiem tłumaczeniem: na wszystkich słupach z tablicami, czy to przy mostach, czy to przy miastach, czy to gdzie indziej, wszędzie masz polskie i niemieckie napisy. Nie jeden poczciwy Niemiec z mazur zadziwił się, że posłowie z Prus Zachodnich, od rządu wymagają dla siebie takich rzeczy, które na Mazurach każdemu służą. Ale mazur, to istota niby umierająca, trzeba go trochę pogłaskać, ażeby cicho skonał, żeby się ze snu letargowego nie obudził, ztąd te łaski niby i te względy. Stan oświaty całego ludu mazurskiego, jak każdy się już domyśli stoi na najniższym stopniu. „Przyczyniają się do tego niemało dążności germanizacyjne rządu, który tutaj cicho, powoli, ale z żelazną konsekwencją, cele swoje przeprowadza. Najgłówniejszym środkiem do osiągnięcia tych zamiarów są szkoły i służba wojskowa, a co pierwsze zaniechały, to droga z pewnością dokona.“

Przymus szkolny, w wykładzie niemieckim, jest jwybornym środkiem germanizacyjnym: ślady polskości w Prusach Wschodnich, coraz bardziej nikną. Ziemiańskie, dawne polskie obywatelstwo, samo zniemczało. Autor pisze: „Na mazurach nigdy nie było ani ducha ani poczucia

narodowego: dziś liczą się do gorliwych niemców familie niegdyś mazurskie *Łęskich, Przyborowskich, Dębowskich, Leszczyńskich, Dąbrowskich, Olerskich, Sakowskich, Parczewskich, Radziwiłłów, Brzosków, Tyszków, Kostków, Rogala-Biberstejnów, Morsztynów, Rutkowskich, Wiśniewskich, Gizewiuszów, Gierszów*, i wielu innych.“

Tak więc lud mazurski, ciśniony z góry, niemający pomocy od zniemzonego szlacheckiego dworu, przy braku oświaty, żyje jak w śnie letargicznym.

Przy braku oświaty przesady i zabobony szeroko się rozpostarły; szereg ich długi mamy tu podany: nie będziemy ich powtarzać. Autor, za główny podaje środek, wydawnictwo czasopisma w rodzaju chełmińskiego „*Przyjaciela ludu*“, które redagowane w duchu ich wyznania ewangelickiego, mogłoby wpływać zbawiennie na podniesienie ducha rodowego i oświaty, na podniesienie moralnej strocy i bytu materialnego.

Pięćdziesiąt cztery piosnek ludowych stanowi cały zbiorek w tém dziełku. Wiele tu znajdujemy takich, które są znane i do dziś śpiewane we wszystkich okolicach naszego kraju, bez żadnych lub z małemi zmianami i niektóre co u nas zaginęły, przechowały się u mazurów, jak ta starożytna łowiecka:

„*Pojedziemy na łowy towarzyszu mój!*“ i druga także myśliwska: „*Leży zajęć pod miedzą*.“ (pod nr. 35).

Dochowała się tu pieśń i owa o *Lipce zielonej*, o której Łukasz Górnicki w swoim *Dworzaninie* wspomina, jako téż rzewna „o *Kalinie*.“ W całym tym zbiorze, co uderza najwięcej, to rozlane w nich gorące uczucie miłości, i czego nie znajdujemy w innych pieśniach ludowych, z jéj powodu samobójstwa. Kochanek wzięty do wojska na grobie swéj narzeczonej zastrzela się (nr. 20). Dziewczyna widząc wyrzuconego trupa z morza z szablą w ręku swego ulubionego, wrywa szabelkę i przebija się.

„A to za to mój najmilszy  
Zem ci *seera* była.“ (nr. 51).

W jednéj pieśni (nr. 3), mamy cały dramat miłości dwojga zakochanych: podamy ją w wiernéj treści.

Sokół, ów ptak uważany jako godło miłości we wszystkich pieśniach ludu naszego, lata wysoko. Młody mazur pyta go o nowiny?

— Powiem ja ci nowinę, smętną, niewesołą, ptak mu odpowiada, jużci twoją *najmilejszą* po niewoli do ślubu wiodą.

Chce wysłać służkę swego, aby ją ratował, pisze i list, wreszcie sam siodłać każe konia i jedzie: będzie się jéj przypatrywał jak zostanie panią, bo za bogacza ją wydają.

Ona idzie do kościoła  
Drobno stąpający,  
A on za nią pilnie patrzy  
Rzewnie płakający.

Ona siedzi w ławulecce,  
 Między swachnickami,  
 A on myślał ze to miesiąc,  
 Między gwiazdeckami.  
 Ona siedzi w ławulecce  
 Między *bialickami* (białogłowami),  
 A on myślał ze to słońce  
 Między obłockami.  
 Ona siedzi w ławulecce  
 Między druchnickami,  
 A on myślał ze to róża  
 Między listeckami.

Wzięła ślub z *niechębym* przymuszona, i odchodzi od ołtarza, a on woła za nią: „Obejrzyj się ma najmilsa poki jesteś panno.“

— Czegoż ja się mam oglądać, jużci ja nie twoja! odpowiada blada jak lilija.

Wychodzą z kościoła i temi słowy kończy się ta pieśń smutna:

Ona siada na kolaskie,  
 On jój rąckie daje:  
 Najmilsemu łzy padajo  
 Jój się serce kraje!

Pełną rzewnego uczucia jest pieśń sieroty, która opisuje swoją niedolę, i ciężkie utrapienia, nad którą się litują tylko żórawie co leciały *bez pole krzygęco!* (W. 2)

W pieśniach tych znajdujemy boleśne skargi, na służbę wojskową powołującą wszystkich do broni:

Zielenią się lasy, zielenią się pola,  
 Komuzcie zostawie, najmilejsa moja?  
 Zostawiam cie Bogu, Bogu jedynemu,  
 A sam pójde służyć królowi pruskiemu;  
 W polu iść, w polu stać, w polu i nocować,  
 Choćby było gdzie spać, niemas cem psykrywać.

Dali nam tornistry i mantelsak na to,  
 A ja biedny żołnierz, tracę życie zato.

Z tak treściwego przeglądu, możemy się łatwo przekonać, jak wysokiej wartości dla nas jest rozprawa Dr. Kętrzyńskiego o *Mazurach*: podała nam bowiem wiele nieznanymi wiadomości o znacznej części starożytnego Mazowsza, zachowującego jeszcze wydatny charakter rodowy, po-

mimo całego nacisku germanizmu. Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie oddałoby rzetelną usługę obywatelską, gdyby wiadome już prace i wskazane, tak zbiorów pieśni i przysłów, jak zwyczajów i obyczajów, o języku, a zarazem opisy miejscowości ogłosiło drukiem czy to w swych *Rocznikach*, czy oddzielnie, aby pamięć o nich od zatury uchronić. Byłoby to niemałą zasługą powtarzamy, a dodamy z głębokim przekonaniem, że to jest nawet obowiązkiem.

K. Wł. Wójcicki.

*Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens. Zur Literaturgeschichte des dreizehnten Jahrhunderts, von Heinrich Zeissberg.*

Pod tym napisem wyszło jeszcze w roku 1869 w Wiedniu dziełko uczonego pisarza (obecnie profesora historii w uniwersytecie Wiedeńskim), dotąd jednak naszym księgarniom nieznanie, najprędzej jak się zdaje dla tego, iż będąc po większej części wyciągiem i zestawieniem tego co o Kadłubku pisali krajowi pisarze, przeznaczone jest raczej dla literatury zachodniej jak naszej. Praca ta nie jest jednak prózną wcale zajęcia i wagi i dla polskiego czytelnika, już to dla tego, iż autor jój w ocenianiu kroniki Kadłubka opiera się na najkrytyczniejszem wydaniu jój tekstu (t. j. porównawczém Mułkowskiego), już dłu tego, iż oprócz zdań i sądów pisarzy naszych którzy o Kadłubku pisali (jak Lelewel, Ossoliński, Bielowski, Szajnocha i inni) zbliża sądy i zdania w tychże przedmiotach i pisarzy niemieckich (jak *Szlecera*, *Röppel'a*, *Gutschmidta*, *Wattenbacha*, *San Marte* i innych) z wyrażeniem w każdej gałęzi rozprawy i wniosków własnych.

Książka opowiada w pierwszej części żywot Kadłubka (str. 1—69), w drugiej zawarcie Kroniki, a mianowicie: 1) jój formy (str. 88—144) i 2) jój treści historycznej (144—205); pracę kończy wiadomość o rękopismach i wydaniach Kroniki. Wykład w dziełku od początku do końca krytyczny, z możliwą erudycją przedmiotu, a pomimo zadanie tak wyczerpane, natrafia się w nim nieraz na źródło nowe i spostrzeżenie nowe. Lecz co najwięcej jest miłym a najmniej spodziewanym dla czytelnika polskiego w tej pracy, to oglądanie w ogólnym jój kolorze bezstronności w sądzie i przywracanie językiem *Szlecera* dobrej sławy pisarzowi, którego jak to już sam napis wskazuje, autor uważa za osobistość mającą znaczenie nie tylko w krajowej, ale i w ogólnej XIII wieku literaturze. Autor uprzedza wprawdzie we wstępie iż niema i nie może

mieć zamiaru uniewinniania Kadłubka ze wszystkich jego ujemnych stron, a idzie mu tylko o dojście do dokładniejszego zdania o tym autorze z rozbioru jego dzieła, niż te do jakich dochodziły badania dotychczasowe; wniosek jednak do którego dochodzi i który przy końcu pracy wyraża, jest mianowicie ten: iż „sądząc ze stanowiska wieku w którym pisał, Kadłubek był literacko-historycznym zjawiskiem pierwszym rzędu (. . . *was allerdings den Vincentius zu einer litterarisch-historische Erscheinung erstes Ranges erhebt*) str. 194. Recenzya tego dzieła pióra Wattenbacha znajduje się w *Heidelberger Jahrbücher* z r. 1870 posz. 10. Dodajmy z okoliczności, iż inne pisma tegoż autora (Henr. Zeissberga) odnoszące się do historii polskiej, o ile nam jest wiadomem, są: 1) *Misescoo der erste christliche Beherscher der Polen* (w *Archiv für Oestereichische Geschichte* T. 38) 2) *Ueber die Zusammenkunft Kaiser Otto's III mit Herzog Boleslaw I von Polen in Gnesen* (w czasopiśmie dla gimnazyów austryackich 1867 zes. 5) 3) *Die Kriege Kaiser Heinrich's II mit Herzog Boleslaw I von Polen* (w *Sitzungsberichte der Kaiserlichen Akademie der Wissenschaften* T. 57 zes. 2) 4) *Die Oeffentliche Meinung im XI Jahrhundert ueber Deutschlands politik gegen Polen* (Czas. dla austr. gimn. 1868). (Co do pomienionój na początku pracy o Kronice Kadłubka dodać tu można: iż autor jój tak co do ogólnego poglądu na literackie znaczenie tego kronikarza, jakoteż do uważania jego Kroniki, jedną ręką, nie zaś i Mateusza pisanój, podzielił uwagi artykułu umieszczonego w Bibliotece Warszawskiej z r. 1867 za maj p. n. *Kronika Wincentego Kadłubka* przez Aleksandra Tyszyńskiego, na który też pod tym ostatnim względem po dwakroć się powołuje).

A. T.

*Radziwiłł w gościnie. Anegdota dramatyczna w 3-ach aktach przez J. I. Kraszewskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1872 (w 8-ce str. 55).*

W pierwszych latach naszego stulecia, kiedy złota nić tradycyi narodowej, w nieprzerwanym ciągu snuła się tak w starszém jak i młodszém pokoleniu, najwydatniejsze w niej miejsce zajmowała postać księcia Karola Radziwiłła, znanego pod przydomkiem *pana kochanku*. Powtarzano sobie jego dowcipy i anegdoty, rozprawiano o wspaniałości niesłychanej i bogactwach nieprzebranych: one to stanowiły wątek towarzyskich pogawędek pomiędzy kontuszowcami, które chciwie chwytają młodzież i przechowywała w żywej pamięci. Z rozwojem literatury krajowej, powoli postać

ta zachodziła coraz w mglistszą przeszłość, aż w ostatku zniknęła w cieniu. Po 1830 roku Soplica na nowo do życia ją powołała i znowu zyskiwać zaczęła coraz więcej wydatniejszych rysów: w naszych czasach J. I. Kraszewski, wywołał *pana kochanku*, na deskach teatralne i w Krakowie artysta dramatyczny Rapacki, odtworzeniem tej postaci na scenie, pozyskał sobie wielki rozgłos.

O pierwszej komedii J. I. Kraszewskiego p. n. „*Panie kochanku*“ podaliśmy w naszym piśmie sprawozdanie; tę anegdotę dramatyczną autor przypisał wspomnianemu wyżej Wincentemu Rapackiemu, jako dowód swęj wdzięczności, za wierne odtworzenie typu księcia Radziwiłła.

„Życie księcia Karola (mówi autor w tém przypisaniu) tak obfitem jest w bogate szczegóły, iż trudno się oprzeć pokusie zużytkowania ich w książce i na scenie, zwłaszcza gdy się od młodości nasłuchiłem opowiadań, w których żywe jeszcze drgały wspomnienia przeszłości. Wiele anegdot podobnych powtarzać lubił mój ojciec, słyszanych od pana *de Laszac* niegdyś komendanta w Nieswieżu, wiele ich błądziło po rozwalonym *Bielskim* zamku, gdy m go studentem z dzieciinną ciekawością przebiegał. Inne wybornie, z humorem właściwym, opowiedane słyzałem przez Henryka Rzewuskiego, wiele już nie wiem gdzie pochwytałem. Mają one urok przywiązany do fantastycznej a niepowrotnęj onęj Polski szlacheckięj a magnackięj, która jest niewyczerpaną skarbnicą dla powieścio-pisarzy i dramatyków.“

Treść tej anegdoty dramatycznęj stanowi zajście *Pana kochanku*, ze szlachcicem sąsiadującym z granicami dóbr jego.

Książę z nieodstępny m Wołodowiczem wraca z wygnania i właśnie jest spodziewany w karczmie w *Obibokach*, która do niego należy. Szmul Słoniwiec arendarz w nięj, czyni przygotowania na przyjęcie tak znakomitego gościa, kiedy się niespodzianie zjawia chorąży *Kurcewicz* wraz z córką, swoją Basią. Arendarz nie był mu rad, i chciałby go zmusić do opuszczenia karczmy, ale szlachcic butny, jako ze krwi książąt Koryatowiczów ród swój wywodzący ani myśli o tém, i rozkazuje sobie podać obiad. Tymczasem nadjeżdża Józef Szczuka dworzanin i koniuszki księcia, a zakochany w pięknej Basi Kurcewicz, zapowiadając rychtę jego przybycie. Daremnie ta zaklina ojca ażeby ustąpił i nie szukał zwady, z tak możnym panem; ani słyzyć o tém nie chce i na wejście jego nie powstaje nawet z ławy. *Panie kochanku* zdziwiony tém zuchwalstwem, powściąga się jak może, aż w coraz rosnącej kłótni, przyjmuje wyzwanie i gdy się ścinają na szable, wpada *Basia*, i perswazyą swoją wstrzymuje dalszy pojedynk i wyjednywa swojęm zjawiskiem, że książę opuszcza pierwszą karczmę w *Obibokach*, pozostawiając pole zwycięztwa Chorążemu. Książę za powrotem do Nieswieża, nie mogąc strawić spotkania w *Obibokach*, rozmyśla nad odwetem. W tej chwili znajduje

się na zamku Nieswieżskim *Heliodor Dypłowicz* właściciel drugiej połowy wioski, którą posiadał Kurcewicz, część większą. Dypłowicz w chęci wydziedziczenia go i schwywania całej posiadłości, podburza gniew księcia, który Szczuka stara się ułagodzić. *Panie kochanku* opowiadając swoją awanturniczą wędrówkę do księżniczki *Brambilli*, oczekuje na powrót swego dworzanina *Żary*, co wystanym został do chorążego Kurcewicza aby go zaprosił w imieniu księcia na barszczyk do Nieświeża. Ale ten postowi odrzekł:

— Kłaniaj się księciu Jegomości i powiedz że jeżeli w barszczu smakuje, niech tu do *Siennój Wulki* przyjedzie, dam mu takiego, aż mu się gęba wykrzywi!

Łatwo sobie wyobrazić jak to przyjął dumny magnat; zwołuje swoich senatorów i dworzan, którzy bynajmniej nie starają się go uspokoić, ale raczej rozjątrają; sam komendant Nieświeża *Larzac* który ojcu naszego autora opowiadał nie mało o *Paniu kochanku*, występuje na scenę, w pogotowiu wykonać wyrok wydany.

— Niech panowie radzą, mówi, a *brachium militare* wykona. Kазecie ściąć, zetnę, spalić, spalę, na pał wbiję jeśli trzeba.

Koniuszy *Szczuka* hamuje zapędy księcia, który po namyśle zapowiada że jedzie na barszcz lub zrazy do *Wulki* kniazia Kurcewicza i zaprasza z sobą panów swojej Rady, wszystkich Albeńczyków, dwór i dwieście koni zbrojnej jazdy, wysyłając zarazem tegoż *Szczukę* ażeby właścicielowi *Wulki* uroczystie zapowiedział. Zroszczony kochanej *Basi*, musi wykonać dany rozkaz, i obwieścić jęj ojcu, tak liczny orszak gości.

Akt trzeci odbywa się w ubogim szlacheckim dworku chorążego, którego córka zroszczona błaga, ażeby uchodzili z niego, bo lada chwila przemoc wielkiego pana uderzy ich gromem. Ale zacięty Kurcewicz, ufny w powagę prawa ani myśli wyrzeć za progi swoje; gdy ujrzano z podziwieniem nadjeżdżającego *Szczukę*, który oświadcza że książę pan ukłon swój składając, przybywa zaraz nie na barszcz ale na zrazy do *Wulki*. *Basia* niemając czém przyjąć, tembardziej gdy się dowiaduje że orszak wojewody najmniej składa trzysta koni, oprócz przyjacioł i dworu, znowu zaklina ojca aby uciekali, ale ten oświadcza gotowość przyjęcia księcia i jego dworu gościnnie. Dla zebrania potrzebnego jadła i obroków dla takiej chmary, sprzedaje całe gniazdo rodzinne *Dypłowiczowi*, który oddawna czychał na nią, z obowiązkiem aby wszystko było za godzinę gotowe. Jakoż ten zgromadza jadło i napitek, owies i siano.

*Panie kochanku* tymczasem zdjęty ciekawością jak go przyjmie sierdzisty szlachcic, jednokonną kałamaszką *in cognito*, w szaręj długiej oponczy z biczem w rękę zjawia się we dworku i znajduje *Dypłowicza*, od którego dowiedziawszy się o układzie nabycia *Wulki* i warunkach, rozkazuje ażeby natychmiast zgromadzone zapasy sprzątnął, bo inaczej srogą jego zemstę poczuje.

Ten spełnia dany rozkaz, gdy Chorąży spotyka księcia, który wracając do wrodzonej dobroci, łagodni zawziętość gospodarza. a tymczasem Szczuka bierze ślub z Basią. Chorąży dowiedziawszy się że Szczuce, jakoby pożyczone od niego pięć tysięcy dukatów książę wypłacił i puścił mu trzy wsie w Słuczczyźnie, błogosławi nowożeńców, pozostaje w gnieździe rodzinném, a przerażony Dypłowicz dowiaduje się z ust księcia, jak ukaranym za swoją chciwość zostaje, bo książę ten mówi, gdy uciekły okrzyki radosne i wystrzały młodzieży na cześć państwa młodych: „A teraz panie kochanku, chodźmy zjeść Dypłowicza, bo trzeba ażeby ktoś za nasze grzechy odpokutował!“

Anegdota ta dramatyczna, czyta się z niezwykłym zajęciem, dodaje jój powabu nie tylko prawda charakterów, ale i koloryt właściwego czasu. Znać pisarza który napojony żywym słowem tradycyi oddaje ją wiernie i umiejętnie stosuje do potrzeby sceny. Rozkład szczęśliwie pomyślany, nadaje jój niezwykły ruch dramatyczny. Nie powątpiewamy że przedstawiona na scenie, zyskałaby świetne powodzenie.

Wl.

*Obrazki z mojego sąsiedztwa. Znotat pana Antoniego spisał Leon Kumicki. Warszawa, nakładem G. Sennewalda 1872 r. (Drukiem Józefu Ungra, w 18-ce, stronnice 149).*

W zeszytce sierpniowym r. b. naszego pisma, daliśmy sprawozdanie o dziełku tegoż autora: „*Wyjętek z kroniczki mojej okolicy*“ wydanej niedawno; teraz jakby dopełnienie poprzedniej, mamy *obrazki*, w tym samym rodzaju: ta różnica jednak zachodzi, że gdy w pierwszej znajdujemy całość artystyczną i umiejętnie zaostrzoną, tu zebrane są pojedyncze, liczne szkice, w niczym nie powiązane z sobą.

Pięć obrazków: *Pan sędzia i pani sędzina, Pan Fortunat, Preferans nalogowy u pani prezesowej, Gawędka poobiednia i Pantofel*, malują nam postacie oryginalne, sąsiedztwa pana Antoniego. Nie możemy zaprzeczyć dokładności schwytności ich charakterystyki; znać że wzięte zostały z życia, ale smutne czynią wrażenie, że jest u nas w kraju w XIX stuleciu taka okolica, w której tak gęsto przewijają się podobne jednostki, pasożyty, nieożywione żadną wyższą myślą, ani uczuciem szlachećnym.

Czytając te obrazki, w których taki moralny upadek widzimy, zapytujemy z kolei, gdzież się podzieli ludzie, co zamieszkiwali te stare dwory wiejskie, przy których jasnym ognisku, przechowywał się zwyczaj i obyczaj domowy, a duch obywatelstwa ogrzewał młode pokolenia? Widzimy, że już przygasł nie tylko w wielkich miastach, ale nawet i w zapadłych i ustronnych okolicach. *Kroniczka* poprzednio wydana, nie obudza tych smutnych



myśli, chociaż wierném jest również malowidłem swój okolicy, i daje pociechę, że nie jest tak źle jakby sądzić należało z tych *obrazków*: bo jak dobrze mówi Wicenty Pol „że chociaż życie idzie jak po grudzie, przecież nie są tak źli ludzie“. Wszędzie ujemna strona z dodatnią łączą się spótem: tu autor w satyrycznym usposobieniu, pierwszą dosadnie przedstawił, gdy w *Kronice*, dodatnia góruje. Zawsze to pożądane zarysy, do poznania i zbadania społeczności naszój.

R.

*Dziwy świata pierwotnego czyli Kolebka Wszechświata przez W. F. A. Zimmermana, przekład T. Dziekońskiego 1872 r., wydanie drugie z 268 drzeworytami.*

Nakładem księgarni S. H. Merzbacha pierwsza edycja dzieła Zimmermana w przekładzie T. Dziekońskiego wyszła w r. 1857. W roku bieżącym wychodzi druga znacznie powiększona według poprawionego oryginału z ostatniego roku i z dodaniem nowych 31 drzeworytów. *Dziwy świata pierwotnego* (*Die Wunder der Urwelt*) Zimmermana za jawieniem się swojém, w ciągu dwóch lat rozbiegły się po Niemczech w 30,000 egzemplarzach, a następnie doczekały się 23 wydań i przekładu na wszystkie prawie języki europejskie. Jest to przedstawienie dziejów stworzenia i urodzin ziemi. Niema tam ścisłego, systematycznego wykładu nauki; jest to tylko najpopularniejsze opowiadanie cudownych zjawisk, jakie ziemia w głębi swój ludziom odkrywa i daje im do odczytania kronikę własnego żywota, a przytem zapoznaje z prawami odwiecznymi, którym najdrobniejszy proch ziemi ulegać musi. Ludzkość z gorączkową ciekawością odkopuje zwaliska dawnego życia ziemi, jój twórców, jój mieszkańców. Najpotężniejsza fantazyja poety błędnie i gaśnie obok twórczój fantazyji przyrody. Człowiek znajduje w pierwotnych warstwach ziemi szkielety potworów olbrzymich słoni nadzwyczajnej wielkości, zwierząt z pyskiem delfina, z zębami i głową krokodyla, z pletwami wieloryba, z oczami większemi od głowy ludzkój, węzłów latających, ptaków ze szponami 17 cali długimi, potwory morskie z rękoma ludzkimi, i t. d. Człowiek nie tyle dumieje na widok tych potwornych stworzeń, ile nad wykrywanemi szczęblami, przez które przyroda żyjątku swego przeprowadza i coraz wyżej do doskonałości podnosi. Żadna księga utworu człowieka, żadna filozofia, żadna metafizyka, nieda nigdy tak potężnego wyobrażenia o wielkości najwyższój istności, ile daje sama przyroda, odsłaniając człowiekowi swoje twory i swoje tajemnice. Książka Zimmermana składa się z trzech części. W pierwszój wstępnej Archiwa świata pierwotnego, w drugiej, Okres pierwszy stworzenia, początek systemu planetarnego, początek ziemi. W trzeciej części: Okres drugi stworzenia. Zaludnienie powierz-

choi ziemi, rośliny świata pierwotnego, zwierzęta świata pierwotnego, zwierzęta członkowate, Formacja druga, Formacja trzecia, Formacje, działanie plutoniczne i wulkaniczne, trzęsienie ziemi, O kruszcach i ich łożysku. Samo wyszczególnienie przedmiotu daje wyobrażenie o stanowisku i wartości książki w porównaniu z dalszym stanem nauki. Popularny ten wykład objaśniony ilustracją z 268 drzeworytów, wciąga każdego z czytelników do przedmiotu ważnego i zachęca do dalszego studyowania nadzwyczajnych zagadnień świata i człowieka.

A. J. S.

*Historja literatury rossyjskiej w zarysach i życiorysach, przez P. Polewoja (syna). Wyjątek z dziennika Dzieło m. styczeń r. b.*

Jest to wielki tom wydany wspaniale, z 70 ilustracyami, stanowiącemi po większej części portrety znakomitszych literatów. Ale treść dzieła nie odpowiada zewnętrznej stronie. W dziele Polewoja napotyka się wiele luk i opuszczeń. Pomija mianowicie przedstawienie tych warunków, które kępowały rozwój piśmiennictwa. W skutek téj jednostronności, niektóre części pracy jego przybrały charakter panegiryczny, niektóre zaś postacie literackie ukazały się w świetniejszych barwach niż były w rzeczywistości. Autor nadto bardzo niedokładnie ocenia znaczenie bizantyńskiej scholastyki w historii cywilizacji rossyjskiej. Pierwiastek ten, jakkolwiek ważną w niej odegrał rolę, i ważne przyniósł usługi we względzie ukonstytuowania się państwowego, wyrodził jednak pojęcie, podług którego cywilizacja Zachodu uważała się za dzieło szatana.

Takie główne zarzuty czyni dziełu wspomnianemu recenzent dziennika *Dzieło* w zeszyte styczniowym r. b., dodając, że utwór tego uczonego męża wydany z takim przepychem formy a ubóstwem treści, pozbawiony wszelkiej idei zasadniczej obok niedokładnego przedstawienia, a nawet skażenia dziejowej rzeczywistości, w niczem nie jest wyższym od innych na tém polu publikacji np. Karaułowa, Gałachowa. Podług rzeczzonego recenzenta, p. Polewoja należy do falangi tych pisarzy, którzy aby nie być zaliczonymi do rzędu kompilatorów, wypełniają swe utwory tanim liberalizmem, kładząc jednocześnie koryfeuszom przeciwnego obozu.

Mimo takich usterek, recenzent przepowiada świetny los pracy p. Polewoja, dzięki ilustracyom i brakowi właśnie wszelkiego wydatniejszego kierunku.

Przy rozbiorze dzieła o którym mówimy, p. Szaszkw daje nam zajmującą charakterystykę piśmiennictwa w artykule p. t. *Literatura i społeczeństwo rossyjskie.*

Literatura w ogólności, mówi on między innymi, w krajach ucywilizowanych uważa się za taką samą sprawę publiczną, jak religia i polityka; i twórcy społeczeństwa i rozwój literatury to konieczne warunki społecznego postępu. Wiele prób ciężkich przechodzić musi literatura, która się tworzy nie jako owoc dziejowy samodzielny własnego gruntu, ale jako roślina przeniesiona z obczyzny i zaszczipiona na korzeniu jakiejś narodowości. — W położeniu takim właśnie długi czas zostawała literatura rosyjska. W epoce poprzedzającej czas Piotra W. nie było prawie literatury. Społeczność jeżeli się zajmowała jaką literaturą świecką, to więcej jako rozrywką umysłową. Takie zapatrywanie się ogółu przetrwało prawie do ostatnich czasów; ale i większa część autorów patrzyła z tego samego punktu widzenia: wszyscy służyli sztuce dla sztuki.

Przy takim kierunku, społeczeństwo nie mogło dawać skutecznej opieki literaturze, a przecież w nią leżał zakład własnego jego rozwoju i pomyślności. Obojętność podobna pozbawiała piszących podstawy społecznej samodzielności.

Grybojedow gorzko się żalił na tę obojętność, szukał śmierci i znalazł ją w wyprawie na Czecznję. Tak samo Marliński chciał zginąć i zginął w wyprawie przeciw czerkiesom. Puszkin i Lermontow również pragnęli umrzeć i poginęli w pojedynku; Radiszczew sam odebrał sobie życie. Łomonosowowi przyspieszyła zgon niewstrzeżliwość w używaniu darów Bachusa; Batuszkow dostał obłądu, — po powrocie z wojny 1813 powtarzał: myśmy wszyscy podobni teraz do bohaterów homerowskich; każdego ściga jakiś bóg mściciel. Ozierow, Żukowski, Gogol umarli w zupełnym rozstroju umysłowym. Pisarzew także cierpiał umysłowo.

Wpóśród takich warunków, literatura nie znajdując podstawy w społeczeństwie, szukać musiała mecenasów. To nadało jej charakter zuchowawczy, a prądowi temu ulegali najznakomitsi pisarze. Polewoj (ojciec autora rozbieranego dzieła) głowa postępowej prasy, wydawca najpopularniejszego w owym czasie dziennika, jeden z najpierwszych krytyków, kończy na drodze, jaką szli Grecz i Bułharyn. Ani Dierżawin, ani Karamzin, ani Puszkin, ani Polewoj nigdy nie dosięgli owego olimpijskiego spokoju, w jakim żył np. Gete, zostający w podobnym jak oni otoczeniu.

Większość tych autorów, mówi recenzent, posiadała nader ubogi zapas wiadomości ścisłych i umysł nie dosyć uprawiony przez naukę. Owocem tego była niejasność przekonań i kruchość moralnych podstaw. Ci tylko z pośród pisarzy, którzy poważnie pracowali nad kwestyami naukowymi, wytwarzali sobie i pogląd jaśniejszy na życie rosyjskie, stałe przekonania i niezachwiane zasady moralne. Do rzędu ich zaliczyć trzeba Grybojedowa, Bieltińskiego, Granowskiego, Waleryana Majkowa. Każdy z nich nie rzucał się jak Batuszkow, Puszkin i Gogol, ale szedł stale do celu.

Z ukazaniem się tych ludzi, literatura rosyjska przybrała kierunek utylitarny, znalazła pewną oporę w społeczeństwie i kończy okres orędownictwa. Zmieniły się dla niej warunki zewnętrzne, charakter jej więc stał się samoistnym. Ale i dziś potrzebuje podpory publiczności i nie znajduje jej po dawnemu. Ta zaś zali się na czczość dzienników, ubóstwo książek i upadek sumienia literackiego. Recenzent kończy swój przegląd bardzo pięknym i prawdziwym aforyzmem: że sumienna i żywotna literatura kwitnąć może tylko w moralnym i rozwiniętym społeczeństwie, które interes nauki uważa za interes żywotny własnego istnienia.

M.

---

*Dzieje Polski w głównych zarysach krótko streszczone dla użytku młodocianego wieku, przez E. Leja 1872.*

Mała ta książeczka przeznaczona dla drobnych dzieci, przedstawia ciąg wspomnień o królach polskich, aż do Stanisława Poniatowskiego. Samo prawie scharakteryzowanie każdego z panujących monarchów, a w skróceniu takim pominięte wypadki życia publicznego i prywatnego, pominięte czyny i charaktery pojedynczych osób które stanowią piękność historii a przedstawione w obrazkach zajmujących i scenach dramatycznych, oprócz nauki historii, podają przykłady podnoszące moralność pokolenia. Najtrudniejszym zadaniem jest pisanie książek dla dzieci. Autor musi sam zostać prawie dzieckiem, jeśli pragnie dla dzieci pisać to co dla nich jest zrozumiałem i co je zająć może. P. Leja starała się odpowiedzieć obranemu przedmiotowi stosownie do swego widzenia izdolności. Zawsze książeczka jej dla samych wspomnień nie jest bez użytku, bo nawet usiłowanie w tym kierunku stanowi zasługę.

A. J. S.

---

*Pamiętnik Wydziału prawa i administracji w C. K. Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Rok szkolny 1871/2. Kraków 1872 XVI i 425.*

Zamiast upadłego czasopisma, wydawanego przy współudziale członków wydziału prawnego w Uniwersytecie, ukazuje się oto nowy pamiętnik; ten ważny objaw działalności naukowej w Krakowie witamy z prawdziwą radością. Sama forma zewnętrzna dzieła wydanego z wielką starannością i znaczna jego objętość sprawiają na czytelniku miłe wrażenie. Treść książki składa się z następujących rozdziałów: na czele pomieszczony jest imienny spis profesorów na wydziale prawa, lista słuchaczy, promocyje, egzamina rządowe, rozporządzenia. Następnie

20

idą rozprawy naukowe 1) prof. Bojarskiego: Zasady nauki o poczytaniu; 2) dr. Kasparka: Zasady Hugona Grocyusza o prawie interwencji ze stanowiska dzisiejszej nauki filozoficznego i politycznego prawa narodów. 3) prof. Girtlera: Wspomnienia o prawie magdeburskiem w Polsce. 4) prof. Zolla: O krytycznych badaniach tekstu instytucji Justyniańskich. Do składu wydziału wchodzi następujący profesorowie. Fr. Zoll czyta prawo rzymskie, U. Heizmann prawo kościelne, E. Fierich procedurę cywilną, J. Dunajewski umiejętności polityczne, statystykę, P. Buszyński dawne prawo polskie, A. Sas Bojarski prawo i procedurę kryminalną, M. Zatorski prawo cywilne austr. I. Girtler historią państwa i prawa niem. L. Blumenstok medycynę sądową i policję lekarską, J. B. Oczapowski administracją i encyklopedią umiejętności politycznych. W charakterze docentów wykładają M. Bochenek ekonomią polityczną, H. Hankiewicz rachunkowość rządową, G. Roszkowski filozofią prawa, F. Kasperek filozofią prawa.

Sluchaczy zwyczajnych w letnim półroczu było na wydziale prawa 238, w 1854 roku liczono zaś tylko 59. Stopień doktora praw otrzymało 38.

X.

*W tomie III, zeszyte 9, Biblioteki Warszawskiej, znajduje się rozbiór pracy pana Siennickiego, noszącej tytuł: „Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła świętej Katarzyny w S-t Petersburgu.“*

W opisanym miejscu znajdujemy rysunek kamienia z napisem już w wielu miejscach nieczytelnym, położonym na grobie króla Stanisława Augusta, który obecnie w skutek tego że w podłodze kościelnej jest umieszczony, został zupełnie zatarty. W 1833 r. w czasie pobytu mego w Petersburgu napis ten był jeszcze dobrze zachowany i spisany został przezemnie. W owym czasie żyło tam jeszcze kilkanaście osób, które pamiętały zgon króla, ostatnie jego chwile i pogrzeb z wystawą prawdziwie monarszą; ci łaskawie udzielili mi pierwiastkowy napis jaki był położony na jego grobie i również z czasem zatarty nogami przechodzących. Dopełniając więc szacowną kronikę kościoła S-tej Katarzyny, pozwalam sobie przesłać Redakcyi Biblioteki Warszawskiej tę krótką notatkę, ażeby tym sposobem ocalały napisy monumentalne, dwukrotnie na grobie królewskim stawiane.

D. 8 marca nowego stylu 1798 r., po ukończonem nabożeństwie żałobnem, ciało króla zniesiono do sklepu kościelnego, do którego wejście jest przed drzwiami prowadzącemi do zakrystyi, a wkrótce potem z Najwyższego rozkazu położono kamień zamykający to wejście z następującym napisem:

Stanislaus Augustus  
 Rex Poloniae Magnus Dux Lithuaniae  
 insigne documentum utriusq. Fortunae  
 prosperam sapienter, diversam fortiter  
 tulit  
 Obiit Petropoli VII kal. Febr. MDCCXCVIII  
 Natus Annos LXVI  
 Paulus I, Autocrator  
 et Imperator totius Russiae  
 Amico et hospiti  
 posuit.

W lat przeszło dwadzieścia potem, napis zupełnie zatarty został, przez tych właśnie, dla których wiadomości był położony. Wówczas metrop. rz. kat. kościołów w Rossyi, arcybiskup mohylewski Stanisław Bohusz Sistrzencewicz następujący napis na tymże kamieniu wyręć rozkazał:

D. O. M.

Hic Jacet  
 In Ecclesia Parochiali Romano-Catholica Petropolitana  
 inter Altare Beatissimae et Sacristiam in angulo  
 Serenissimus M. Dominus Stanislaus Augustus Rex Poloniae  
 Princeps Poniatowski  
 Natus anno 1733-10 in Wołhynia  
 Electus Rex anno 1764 Varsaviae  
 Mortuus anno 1798 Februar: 1, Petropoli  
 et praesente Serenissimo Imperatore ante faciem  
 Ecclesiae suis ex cubiis stipato, sepultus 22 Februarii  
 per Reverendissimos Archi-Episcopos Thebanum  
 Nuntium et Legatum Apostolicum ad Serenissimum  
 totius Russiae M. D. Imperatorem  
 Paulum I. Laurentium Comitem Litta  
 et Mohileviensem Metropolitanum Ecclesiarum  
 Romano-Catholicarum per Imperium Rossiacum  
 Stanislaum Sistrzencewicz a Bohusz. Idem  
 gratus oravit, et Lapidem hunc posuit.

Niepojęte są omyłki historyczne w tym napisie, bo król urodził się w Wołczyńnie nie zaś na Wołyniu, a tytuł *Princeps* Poniatowski naj-niewłaściwiej tu pomieszczono, bo Stan. August ze stolnika został królem i nigdy w życiu księciem nie był, a tylko przy wprowadzeniu go na tron tytuł ten braciom jego został nadany. Pod względem zgonu i pogrzebu to na kamieniu wyręte są daty starego, a w gazetach polskich i zagranicznych oznaczona jest data według nowego stylu. Ale i te są myłne, bo 12 lutego mógł wówczas odpowiadać pierwszemu, a pochowanie ciała odbyło się podług urzędowych wiadomości dnia 8 marca; data więc nie

sprawiedliwa, 22 zaś lutego odpowiadałby chyba dniu 5 marca, to jest przeniesieniu zwłok królewskich z marmurowego zamku do kościoła, ale nie dniu ostatecznego pogrzebu. Nawet w języku łacińskim poprawniejszy jest napis pierwiastkowy, gdzie słowo *Russia* czytamy, nie zaś *Rossia* po dwakroć użyte w napisie Siostrzencowicza.

Znane są dwa sztychy przedstawiające wnętrze kościoła Ś-tój Katarzyny podczas obchodu żałobnego i wnętrze sali, gdzie zwłoki króla były eksponowane. Pod pierwszym jest taki napis:

„Catafalque faite à l'Eglise Catholique de S-t Petersbourg  
 „à l'occasion de l'Enterrement de Stanislas Auguste  
 „Roi de Pologne.  
 „V. Brenna Architecte de Leurs Majestés Imperiales  
 invenit.  
 „Joseph Lapeine delineavit.  
 „7 Calpacow Sculp.

Drugi sztych tegoż Kałpakowa w mniejszym rozmiarze przedstawia *Castrum Doloris* w wielkiej sali zamku marmurowego i ciała królewskie w odkrytej trumnie, na widok publiczny wspaniale wystawione.

Co się tyczy ostatnich chwil życia Stanisława Augusta, to znana artystka pani *Le Brun*, która wówczas w Petersburgu portret króla malowała, wspomina w swoich pamiętnikach, że dniem przed zgonem tego monarchy widziała wielką zmianę na jego twarzy i złą najgorszą wróżbę powzięła. Nadworny lekarz króla *Boecler*, w liście swoim ogłoszonym drukiem wymienia przyczyny zmartwień i niespokojności jego z powodu familijnych i pieniężnych w Warszawie interesów, i temu wzruszeniu uderzenie krwi przypisuje. Podejrzenia więc Sagatyńskiego w jego pamiętnikach umieszczone, mogą nie być prawdopodobne. Jednakże król ciągle cieszył się wybornem zdrowiem, w ostatnich dniach życia bardzo był zajęty przedstawieniem dramatu *Kamilla*, który miał być odegrany przez amatorów w zamku marmurowym w obecności Ich Cesarskich Mości. W dniu fatalnym z rana wyszedł do sali jadalnej ażeby obejrzeć nakrycie stołu, gdyż miał mieć ambasadorów zagranicznych u siebie na obiedzie, a do drobiazgów zawsze wielkie przywiązywał znaczenie. Gdy wrócił do sypialni poczuł że mu nie dobrze, posłał więc zaraz odprosić swoich gości, a gdy mocniej zasłabł podano mu według ówczesnej mody lekarskiej łyżeczkę musztardy. Król biorąc ją powiedział jeszcze: „*C'est la moutarde après le dîner*” ale zaraz zrobiło mu się gorzej i król mowę utracił, puszczenie krwi nic nie pomogło i nazajutrz nad raniem oddał ducha Bogu, otoczony swoimi dworzanami, którzy mu z Grodna do stolicy towarzyszyli. Oto jest ich lista: (tłumaczenie z Rossyjskiego oryginału).

Hrabia Mniszek.  
 Hrabina Mniszek.  
 Córka hr. Mniszka.

Książę Józef Poniatowski i przy nim dwóch z jego świty. (Książę Józef nie przyjechał do Grodna i z tego powodu nie towarzyszył królowi).

## A D J U T A N C I.

Cichocki.  
Gordon.  
Kirkor.  
Byszewski.  
Wicki pólkownik.

## S Z A M B E L A N I.

Trembecki (Stanisław) został potem mianowany rzeczywistym radcą stanu i młodszym bibliotekarzem Cesarzkiej publicznej Biblioteki ze znaczną pensją. Ze spiszków urzędowych dowiadujemy się że był synem Jakóba (Станиславъ Яковлевичъ).  
Wolski.

Doktor Boecler.  
Kapelan X. Jurewicz.  
Pólkownik Michał Grabowski.  
Kawaler maltański Stanisław Gabowski (syn króla, późniejszy minister oświecenia i prezes Izby obrachunkowej w Królestwie Polskim).

## S E K R E T A R Z E.

Puzyna.  
Antoni Poniatowski.  
Fabian Poniatowski.  
Karaś.  
Baciarelli.  
Kochański.  
Starosta Rych.

## K A M E R D Y N E R Y.

Brunet.  
Russo.  
Koniar dentysta.  
Trzech dworskich lokai.

## L E K A R Z E .

Henzelman.  
Auspenger.  
Wójcicki. (Ojciec zasłużonego w piśmiennictwie krajowém K. Wł. Wójcickiego).



### PODKONIUSZOWIE.

Kawecki.  
Aksamitowski.

### P A Z I O W I E .

Jabłoński.  
Skorulski.  
Buchowiecki.

### METR DOTELE.

Tremo.  
Szye.

Przy nich dwadzieścia osób należących do kuchni, pomywaczek sześć. Cukiernik i przy nim czterech pomocników. Kiellermeister i przy nim czterech pomocników. Dwóch froterów w obowiązku podskarbiego Szwendrowski i Wagenhalter.

(podpisano). Takowy spisek podany mnie został przez sekretarza Fryze. General Lejtenant Graf Ilija *Bezborodko*.

W ciągu całorocznego pobytu króla w Petersburgu, skład osób jego dworu odmienił się znacznie.

Wilno, 1 września 1872 r.

*E. Hr. T.*

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

*Wrzesień 1872 r.*— Otrzymane a nieznanne utwory dwóch zgasłych poetów: *Zygmunta Krasńskiego i Juliusza Słowackiego*, podajemy.

#### I.

Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści  
Rozsnuć do światła wiążące mnie nicię;  
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,  
Jak łąza w potoku, jak mgła na błękanie.

Lecz zanim chwila wyroczna przeminie,  
Nim zkądem przyszedł, powrócę do Boga,  
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie,  
I cicho konać na twém ręku droga!  
A gdy już rzucę wszelkiej troski brzemię,  
I ty na ciało będziesz kładła ziemię,  
Proszę cię nie chciej dusznego sklepienia  
Klasztornych murów, kłaść nad mojem czołem!  
Dość mi już było na ziemi więzienia,  
Śmierć niech łąk polnych otoczy mnie kołem.  
Gdzieś nad zieloném i otwartém polu,  
Pod niebios wiecznie błękitném sklepieniem,  
Złóż moją głowę senną, pełną bólu,  
I marmurowym przykryj mnie kamieniem.  
A marmur ochłódź wonnym krzewów cieniem.  
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,  
Stulistne róże, podwójne gwoździki,  
Niezapominajki i nieśmiertelniki;  
Italskie mirty, podalpejskie dalie,  
I borów naszych pamiątkę konwalię.  
Wszystkie co kochasz i com ci przynosił  
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu;  
Wspomnij, że o nie zasypiając prosił,  
I rzuć je wieńcem pod głowę śpiącemu,  
Niech przytłoczony tym ostatnim darem  
Pchan coraz niżéj tym kwieciami ciężarem,  
W wieczność zapadam, aż w niej się przetworzę  
Na drobne listki, gałązki, kielichy,  
I z głębi grobu wyrosnę kwiat cichy,  
I serce wonne przed tobą otworzę.  
Tak każdej wiosny, ócz wonnych tysiącem  
Będę wyzierał za śmierci okręgi,  
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,  
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi,  
Rwiej mnie, bierz, rwiej mnie, przyczepiaj do skroni,  
Co ciało zdoła, to ciało da tobie,  
Nic się już z niego, nie zostanie w grobie;  
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni,  
I dnie mój czeka, aż woń ta powróci,  
Przez smugi niebios niesiona wichrami;  
I znów go ciałem dokoła obrzuci.  
Lecz inném światłem, wspólném z aniołami,  
Przenoś więc dalej na téj dziwnej drodze,  
Z głębin grobowych do jasnego nieba,  
Wszystkie te kwiaty które w grobie rodzą,  
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba  
Na piersi twojej: bo ztamtąd dopiero,

Uniewidnione, w niebo się wybiorą  
Do ducha mego, i ciało me w niebie  
Będzie z tych kwiatów, co zwiędły u ciebie!

*Zygmunt Krasiński.*

## II

*Do poety Z. K. (z pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego).*

Żegnaj! o żegnaj, archaniele wiary,  
Coś przyszedł robić z moją sercem czary,  
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,  
Wyrwał je z piersi, wziął na swoje łono;  
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę,  
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.  
Więc gdzieś, wysoko, u Boskiego celu,  
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!  
A dla mnie pokój, dla ducha i kości,  
Bo tym obajgu trzeba spokojności.  
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,  
Lecz jeśli walka jest — daleś mi serce!

— Z drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, wyszedł: *Pamiętnik warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, z roku szkolnego 1871/2. Rok trzeci.* (1872 r. w 8-ce str. 199). Dzieło to obejmuje: 1) Historję warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, 2) Szkoła głuchoniemych i ociemniałych w Petersburgu, 3) Życiorys ks. L'Epée, 4) Dr. Jan Bącewicz, 5) Znaczenie rysunku i metoda nauczania go u głuchoniemych, 6) Metoda początkowego nauczania języka w szczególnym zastosowaniu do ociemniałych klasy 1-jej, 7) Warszawska metoda pisania nut muzycznych dla ociemniałych, 8) Założenie ogródka botanicznego dla głuchoniemych, 9) Stan zdrowia głuchoniemych i ociemniałych w Instytucie warszawskim, 10) Sprawozdanie z obrotu fundusów Instytutu za rok 1871, 11) Kronika Zakładu w r. 1871/2, 12) Fundusze Instytutu, 13) Egzamina i programy.

— *Encyklopedyi rolnictwa* pod redakcją I. T. Lubomirskiego-E. Stawiskiego i S. Przysańskiego, wyszły dwa zeszyty. Zeszyt III obejmuje wyrazy: *Bloch Albert, Błota i bagna, Bóbi bobik, Bóbr, Bocian, Borsuk, Boussingault, Botanika, Brona, Bruk, Brukiew, Brzostowski Paweł Ksawery* (ksiądz), *Brzostowski hrabia Karol, Budownictwo wiejskie*. Zeszyt ten zdobi około stu drzeworytów. W zeszytcie IV mamy dokończenie obszernej rozprawy *Karola Martin, Budownictwo wiejskie* ze 145 drzeworytami; dalej: *Budynki gospo-*

*darские*, wybór miejsca pod nie, położenie względem siebie, stosunek ich do obszaru pól. Wzory zagraniczne z 15 drzeworytami przez Kazimierza Langie. Budowa roślin z 56-ma drzeworytami przez F. Berdau'a i Bulwa.

— W nr. 75 czasopisma illustrowanego *Wieniec*, znajdujemy w rycinie projekt na pomnik dla ś. p. *Stanisława Moniuszki*, w jednym z kościołów Warszawy. Projekt ten wykonał *Cyprian Godebski*, znakomity rzeźbiarz, znany z wielu prac artystycznych wysoko cenionych w Paryżu, w Belgii i w Wejmarze. Na wzniosłym piedestale stoi w postaci niewieściej *anioł melodyi* osmutniały, z milczącą lutnią w ręku, poniżej krzyż z wieńcem, popiersie zmarłego, a pod nim tablica z napisem. Pomysł godny pamięci wielkiego muzyka.

— *Encyklopedyi powszechnój S. Orgelbranda* (mniejszych) wyszło już zeszytów dziewięć. Z szóstym zeszytem skończył się tom I: następne należą do II-go tomu i dochodzą do wyrazu „*Bogumiłowie*.“ Przy zakończeniu tomu I-go, spisu alfabetycznego niedano; zapewne redakcyja ogólny spis wyrazów przy ostatnim zeszytcie tej Encyklopedyi pomieści. Równocześnie *Encyklopedyi wiedzy ludzkiej* nakładem J. Ungra, wyszło także 9 zeszytów.

— Z drukarni Czerwińskiego i Sp. wyszedł prospekt na dzieło: „*Droga do spokoju sumienia i doskonałości moralnej*.“ W trzecim wydaniu przez X. A. Marcińskiego kanonika kolegiaty łowickiej, wice-rektora b. akademii duchownej rzymsko-katolickiej. Dzieło to jak czytamy w prospekcie, w szczuplejszych rozmiarach wyszło w r. 1857, a następnie w 1860, teraz przerobione i dopełnione, uważane być powinno jako zupełnie oryginalne.

— W Berlinie z litografii *Korna* wyszedł portret *Mikołaja Kopernika*, prawie wielkości naturalnej, rysowany przez znanego z talentu artystę *Tytusa Maleszewskiego*, podług obrazu olejnego *It. Ghirlandajo* malarza włoskiego, który go malował z natury gdy w młodych latach Kopernik przebywał w Italii. Oblicze piękne, więcej dziewicze niż męskie, z oczu bije promień geniuszu. Obraz ten przeszedł do Anglii, gdzie go *hrabia Mielżyński* sam artysta zakupił i ofiarował Towarzystwu Przyjaciół Nauk poznańskiemu, wraz z galerją obrazów i biblioteką nabytą od *Edwarda Rastawieckiego*. Tytus Maleszewski pospieszył z wykończeniem tego portretu, ażeby był gotowym na jubileusz 400 setny urodzin Kopernika, który w roku przyszłym wypada. Dodamy tu kilka słów o naszym artyście.

Po ukończeniu szkoły Sztuk pięknych w Warszawie, T. Maleszewski był w roku 1852 nauczycielem rysunków przy gimnazjum w Kaliszu, ale krótko to miejsce zajmował: czując potrzebę szerszego pola dla swego talentu wyjechał za granicę. Jego prace artystyczne na wystawach we Lwowie i Paryżu nader gruntownie i pochlebnie ocenione zostały.

Na wystawę sztuk pięknych w Paryżu 1870 r. przed wybuchem nieszczęśliwej wojny z Prusami, wystąpił z dwoma portretami. Postuchajmy co mówi p. *Laurent Jouvenet* jeden z najznakomitszych krytyków malarstwa w *Dzienniku l'Art* w nr. 17 i 32 z tegoż roku.

„Portret *Bohdana Zaleskiego* przez p. Maleszewskiego nacechowany jest wyborym kolorytem i siłą tonów świetną. Nie znając nawet modelu odgaduje się w nim wielkie podobieństwo: przedstawia się w nim bowiem nie tylko strona fizyczna ale i moralna, poza nie mogła być lepiej wybraną i więcej naturalną. Poeta jest siedzący w fotelu, oparty na stole z założonymi nogami w ubraniu narodowym. Umiarkowanie w kolorze z poświęceniem nawet akcesoryi, ściągają spojrzenia i uwagę jako przedmiotu głównego na głowę wymodelowaną z nauką, która jednakowoż nie odbiera jej wdzięku. Jakaż tam delikatność w przejściach tonów, umiejętność w planowaniu i loiczność w traktowaniu, w połączeniu których to warunków artysta potrafił przedstawić żywą postać na płótnie. Trudnoby żądać było więcej wdzięku obok poważnego traktowania sztuki i więcej uszlachetnienia w prostocie.“

O portrecie *pani de V.* tenże sam recenzent pisze, z nie małym uwielbieniem dla naszego artysty. W Poznaniu na *Sali bazarowej* przedstawił T. Maleszewski obraz religijny: „*Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny.*“ Obraz ten prowadzony w stylu XVI wieku, znawcy zaliczyli do bardzo udatnych prac T. Maleszewskiego.

Portrety Kazimierza Wielkiego i Zygmunta Augusta, które w litografii wydał, rozpowszechniły się wielce w całym Księstwie Poznańskim: znajdziesz je zarówno w każdym pałacu jak dworku.

— Współpracownik *Encyklopedyi powszechnej* S. Orgelbranda, i znany pisarz Józef Błaziński zajął się mozolną pracą, bo *słownikiem geograficznym starożytnej Polski.* Obecnie przygotował już część: „*Rzeki Królestwa Polskiego.*“ Materiał to ważny do hydrografii krajowej.

— *Julian Horain* współpracownik wielu pism czasowych Warszawskich, w roku bieżącym przeniósł się na stałe zamieszkanie do Ameryki i zamieszkałszy w New-Yorku jest obecnie stałym korespondentem *Gazety Polskiej.* Z niej wyczytujemy że publicysta ten zamierzył wydać: *Kalendarz gospodarski polski* na rok 1873, dla polaków zamieszkających w Ameryce.

Kalendarz ten (*Almanac*) składać się będzie ze zwykłych kalendarzowych działów: kościelnego Rzymsko-katolickiego, oraz dla protestantów, jako téż Mojżeszowego wyznania, astronomicznego, w którym zaćmienia słońca, księżycy i zmiany księżycowe obliczone będą na horyzont Nowo-Jorski. Dział polityczny zawrze wiadomości o ile możliwości szczegółowe o rzeczachpospolitych, obecnie na kuli ziemskiej istniejących. Dział gospodarski poda przepisy i rady gospodarskie doświadczeniem

stwierdzone, a mogące być łatwo zastosowane przez rolników polskich w Ameryce; również przepisy dla gospodyń polskich i kuchenne. Dział literacki obejmie poezje znakomitych naszych wieszczów, powieści oryginalne lub tłumaczone. W tym oddziale będą pomieszczone niektóre bajki Krasickiego, Goreckiego i innych znakomitych bajkopisarzy, oraz powiastki krótkie dla dzieci. Dział 6-ty różnaitości, zawierać ma ciekawe wypadki z ubiegłego roku, anegdoty, fraszki i t. p. Dział 7-my ogłoszenia o pismach peryodycznych polskich w Ameryce, o stowarzyszeniach polskich istniejących obecnie w New-Yorku lub innych miastach Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ogłoszenia prywatne, handlowe, przemysłowe, lekarskie, literackie, o książkach i gazetach polskich wychodzących w Europie, finansowe etc., rozumie się jeśli takowe zostaną przesłane do redakcyi kalendarza i opłacone. Zakończy lista prenumeratorów kalendarza z wymienieniem ich adresów, a którzy życzyć będą, to i sposób zarobkowania (business).

Ze względu na objętość, na wielkie koszty druku i papieru w Ameryce, a głównie na niewielką ilość spodziewanych abonentów (czego doświadczały i doświadczają pisma peryodyczne polskie w Stanach Zjednoczonych wychodzące—mówi prospekt) ustanawia się za jeden egzemplarz Kalendarza cena dla Ameryki z przesyłką: 75 (siedemdziesiąt pięć) centów. Dla Europy z przesyłką: dwa guldeny (półtora talara, pięć franków). Za przysłane przy jednym liście dwa dollary, wyśle wydawca trzy egzemplarze kalendarza. Cena ogłoszeń: dwa dollary od cała druku. Ogłoszenia zajmujące całą stronicę 5 dollarów, pół stronicy 3 dollary. Wydawca nikogo nie upoważnia do zbierania przedpłaty na „Kalendarz“ a tym tylko wyśle takowy, którzy mu do połowy października nadeszlą pieniądze w listach rekomendowanych.

Redakcyom polskich pism peryodycznych w Europie, które raczą przedrukować wiadomość niniejszą, wydawca po otrzymaniu właściwych numerów przesła po egzemplarzu swego kalendarza, lub jeśli tego będą sobie życzyć, umieści ogłoszenia o ich publikacyach.

— Na przyszłorocznej wystawie w Wiedniu, w oddziale malarstwa osobny i obszerny kompartyment przeznaczony będzie dla obrazów Matejki, które tam w całym komplecie, o ile to jest możliwem zostaną zgromadzone.

Ostatnie aredydzieło Matejki „Stefan Batory“ znajduje się obecnie we Lwowie a następnie z wystawy w Pradze Czeskiej przesłane będzie do Wiednia. Znakomity mistrz pracuje obecnie nad wizerunkiem Kopernika w całej postawie, którego kopia fotograficzna wejdzie w skład albumu wydać się mającego przez Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, na obchód 400-letniej rocznicy Kopernika, (19 lutego 1873 r.), rysunek zaś popiersiowy tego wizerunku Matejko przyrzekł nadesłać redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego.“ Zaraz po ukończeniu portretu astronoma polskiego, Matejko zabiera się do odmalowania „Bitwy pod Grunwaldem,“ ku czemu poczynił już odpowiednie studia historyczne i archeologiczne.

Będzie to obraz kolosalnych, nieznanych dotąd w malarstwie naszym rozmiarów, 20 łokci długości, 13 szerokości. Krytycy francuzcy nazwali Matejkę drugim Van-Dyck'em.

— Henryka Rzewuskiego romans historyczny: „*Listopad*“ przełożony przez F. L. *Vorkliczka* na język czeski, wyszedł w Pradze już w drugim wydaniu. Komedia A. Fredry (syna) *Mentor* przetłumaczoną została na język węgierski i ma być przedstawioną w Peszcie w teatrze narodowym.

— Nakładem i drukiem Pobiedzńskiego w Krakowie wyszedł opis tego miasta. W części historycznej autor nie korzystał z nowszych badań, w części zaś informacyjnej są zajmujące szczegóły. Lucyan Siemiński wydał *studjum* p. n. *Religijność i mistyka w życiu i poezjach Adama Mickiewicza*. (Kraków, nakładem i drukiem wydawnictwa dzieł Władysława Jaworskiego, w 8-ce str. 151).

— Korrespondent z Odessy do *Gazety Polskiej*, p. Antoni Siekierzynski (w nr. 192), podaje nam wyjaśnienie początku znanego przysłowia: „*pisz na Berdyczew*.“

„W Berdyczowie była kiedyś sławna poczta, a właściwiej jej naczelnik, po śmierci którego nowy nabywca domu, znalazł pod strychem masę listów spokojnie leżących, rozumie się już opłaconych (marek wówczas jeszcze nie było); opłata szła do kieszeni naczelnika, a listy na strych były ekspedywane. Wskutek tak szybkiej i pewnej korespondencji powstało przysłowie: „*pisz na Berdyczew*“ a z pewnością pismo odbierzesz.“

— W Lipsku u F. A. Brockhaus'a, wyszła powieść Michała Czajkowskiego: „*Bułgarya*“. Jest to najświeższy utwór tego tak oddawna znanego pisarza, albowiem nosi datę z 20 kwietnia 1871 roku (w 12-ce str. 304. Lipsk, 1872).

— We Lwowie professor *Kuliczkowski*, wydał ostatni zeszyt swych *Dziejów Literatury polskiej*, których pierwsze zeszyty wyszły przed dwoma już laty. Jest to dzieło opracowane treściwie podług wykładów prof. A. Małeckiego, mianych na Uniwersytecie Lwowskim. Każdy okres poprzedza autor zarysem dziejów politycznych i ogólnego rozwoju umysłowego dla uzupełnienia całości obrazu.

W témże miejscu wyszedł tom XXII zbioru *powieści* J. I. Krauszewskiego. Wydawnictwo to już wydrukowało w tej nowej edycji, następnę powieści tego pisarza: *Dwa światy* 4 t. *Chata za wsiz*, 3 t. *Poeta i Świat* 2 t. *Pod Włoskiem niebem* 1 t. *Stary sluga* 2 t. *Dzwadla* 2 t. *Ostrożnie z ogniem* 1 t. *Laternia Czarnoksiężka* 4 t. *Historja o bladej dziewczynie* 1 t. *Eadowa pieczara* 1 t. *Pamiętniki nieznanego*.

— Księgarz Tros w Paryżu nabył rozmaite książki i ryciny pochodzące z *Pomorzan* w Galicyi i takowe w r. b. wystawił na publiczną sprzedaż. Między książkami nie ciekawego nie przedstawia się. Zato główne plany różnych miast polskich z wieku XVI i XVII-go, rozmaite ryciny przedstawiające wjazdy królów, zwycięstwa ich, wjazd Ossolińskiego do Rzymu, zwycięstwo pod Chocimem, genealogia rodziny Radziwiłłów ułożona przez Józefa Łyskiewicza w r. 1699 na czterech wielkich arkuszach. Nakoniec portrety królów i znakomitych panów polskich. Na szczególną zasługują uwagę roboty Falcka, Danckersa, Kiliana, Hondiusa i Nilsona. Ogólna liczba rycin jest około 640 sztuk.

— W Krakowie ogłoszono Prospekt na Bibliotekę Umiejętności Przyrodniczych. W nim czytamy: „Postępy i odkrycia, jakie w XIX stuleciu dokonane zostały w dziedzinie nauk przyrodniczych, stały się przyczyną, iż chcąc wytworzyć sobie jasny pogląd na świat i rzeczy, trzeba koniecznie zbadać te nauki i na ich podstawie wyprowadzić wniośki tak względem ustroju społecznego, jako też i względem filozoficznego zrozumienia całokształtu objawów światowych. Gruntowne jednak ich badanie, zagłębianie się w szczegóły i studyowanie wszystkich najdrobniejszych zjawisk, było niemożliwem w obec olbrzymiego zakresu nauk przyrodniczych i w obec licznych odkryć, coraz bardziej rozszerzających ten zakres. To stało się powodem, iż na Zachodzie poczęto popularyzować wiedzę ścisłą, i w formie przystępnej, pomijając drobnostkowe rzeczy, przedstawiać zarówno metodę badań, jak i najważniejsze prawa przyrodnicze, jakie za pomocą tejże metody odkryć zdołano. Rozumie się samo przez się, że obok dzieł sumiennie odpowiadających powyższemu celowi, pojawiały się i takie, co nadużywając wiary czytelników przedstawiały im domysły za teorie, mrzonki za hipotezy, a hipotezy za pewniki naukowe. Publiczność ujęta z początku uludną formą dzieł takich, czytała jedne i drugie, i zarówno spożywała pokarm świeży i zdrowy, zdobyty pracą licznych stuleci, jak i stęchłe produkty rozbujaléj wyobraźni pojedynczych uczonych. Następstwem tego była dyskredytacja dzieł popularnych: zaczęto im nieufać i przestano je uważać jako owoce sumiennych badań.

„Chcąc zapobiedz temu nadużyciu i zapewnić publiczność polską, iż w skład Biblioteki naszej wejdą tylko dzieła takie, które rzeczywiście *popularyzują* prawdziwą wiedzę, a wcale nie dążą do rozsiewania fałszywych pojęć i nienaukowych hipotez, zaprosiliśmy najznakomitszych przyrodników polskich i profesorów Uniwersytetu Krakowskiego, Warszawskiego i Lwowskiego, aby raczyli wejść do komitetu redakcyjnego. Komitet redakcyjny składa się zatem z Drów. Czarniańskiego, prof. chemii na Uniw. Krakowskim, Frankiego, prof. mechaniki na Technice Lwowskiej, Karlińskiego prof. astronomii na Uniw. Krakowskim: Nowickiego prof. zoologii na Uniw. Krakowskim, Radziszewskiego prof. na Uniw. Lwowskim, Skiby prof. fizyki na Uniw. Krakowskim, Teichmanna prof. anatomii na Uniw. Krakowskim, Wierzbickiego adj. obser. astr. w Krakowie, K. Preciszewskiego, naucz. rolnictwa. Nadto zaproszeni zostali Doktorowie: Kreuz prof. mineralogii, na Uniw. Lwowskim, Majer prof. fizjologii na Uniw. Krakowskim, Natanson prof. chemii, na Uniw. War-



szawskim, Piotrowski prof. fizyologii, na Uniw. Krakowskim, Strasburger prof. botaniki, na Uniw. Jenajskim.

„Członkowie komitetu redakcyjnego będą w miarę możności zasilali Bibliotekę swemi własnymi pracami, przestrzegając przytém pilnie tak wyboru dzieł, jakie się mają tłumaczyć, jakoteż i czystości języka.

„W Bibliotece tej będą kolejno wychodziły najznakomitsze prace przyrodnicze, tłumaczone z języków: angielskiego, francuzkiego, niemieckiego i włoskiego. Ponieważ jednak, ułożyć program najprzód jest rzeczą niemożliwą, podajemy więc same tylko nazwiska uczonych, których prace prawdopodobnie wyjdą w naszej Bibliotece, zastrzegając jednak wszelkie zmiany, jakie komitet redakcyjny uzna za stosowne. Między innemi podamy w tłumaczeniu prace następujących uczonych. Tyndall, Chambers, Odling, Huxley, Johnston, Lewes, Lyell, Cl. Bernard, Naquet, Onimus, Deleschamps, Grimaux, Burmeister, Klein, Wundt, Helmholtz, Secchi, etc. etc.

„Biblioteka będzie wychodziła w zeszytach pięcioarkuszowych co miesiąc. Na okładce zaś (na str. 2, 3 i 4-tój) znajdować się będzie kronika najnowszych odkryć i wynalazków. Cena rocznie: Złr. w. a. 6, rubli 3,60 kop., talarów 4. Pierwszy zeszyt wyjdzie pierwszego października r. b; wydawcy A. Dygasiński i W. Tomaszewicz. Redaktor Ludwik Masłowski.“

— Piękną bibliotekę *Wejgla* zasobną w białe kruki bibliograficzne sprzedano przez licytację czyli z *młotka*, jak wyraża *Wieniec* w n. 57. Za 533 numerów, pomiedzy któremi było wiele unikatów, zebrano 82,000 talarów. Pierwsze wydanie ksylograficzne *Ars moriendi*, nabyto do Muzeum Brytańskiego za 7,150 talarów. Za kompletny egzemplarz pierwszego wydania *Apocalipsis S. Joanni*, toż Muzeum 3,310 talarów. Za pierwsze wydanie ksylograficzne *Biblia pauperum* otrzymano 2,360, za kartkę zaś jedną *Psalmorem kodesz z 1457 r.*, 90 talarów. Natlok lubowników był wielki, a zawziętość przy kupnie jeszcze większa.

— Dwaj uczniowie *Szkóły dróg i mostów* w Paryżu, którzy ją w r. b. ukończyli: pp. *Wład. Kluder i Feliks Kucharzewski* (wychowaniec b. szkoły głównej w Warszawie) wydają w Paryżu dzieło p. n. „Wykład hydrauliki wraz z teorią machin hydraulicznych, poprzedzony wiadomościami wstępniemi z mechaniki analitycznej ciał płynnych.“

— W miesiącu sierpniu i wrześniu r. b. *Kłosy* od nr. 374 do 377 obejmują artykuły z drzeworytami: Do Boga. — Obraz Kaulbacha. — Ugo Foscolo. — Wicześniacy neapolitańscy. — Szkic charakterystyczny. — Szczęśliki starego dworu w Czarnolesiu. — Adam Pajgert. — Jezioro Orle w Kujawach. — Walter Skott i jego siedziba w Abbasford. — Zabicżowskie skały pod Krakowem. — Wystawa paryzka z 1872 r. — Teodor Wosiński. — Biblioteka Jagiellońska w Krakowie. — Praktyczne wychowanie dzieci. — Bóznia w Lucku. — Nauka pocztowych gołębi w Belgii. — Zapisywanie gołębi. — Wzlot gołębi.

Prócz powyższych mieszczą się artykuły: — Dersław z Rytwian powieść T. Joza. — Z motywów ludowych A. Maszewskiego. — Idealizm i realizm, J. Zacharysiowicza. — Początek i charakter arystokracji angielskiej. — Drugie cesarstwo we Francyi, I. Jeza. — Wiadomości z pola

literatury i sztuki. — Filozoficzne i socyalne pojęcia Adama Mickiewicza, I. Hodiego. — Marta Kuźmówna, powieść Szczedryna. — Przegląd muzyczny. — Kronika naukowa. — Z oboego świata I. Hodi. — Przegląd teatralny. — Przegląd prasy peryodycznej i polityczny.

— *Tygodnik ilustrowany* od nr. 243, obejmuje artykuły z drzeworytami: Pytanie bez odpowiedzi W. Gomulickiego. — Monachium — M. I. Brodowicz. — Bóżnica w Szarogrodzie. — Sabina Grzegorzewska. — Grupy prof. Szchilinga. — Rysunki humorystyczne F. Kostrzewskiego. — Miasto Mścislaw i Latyczów. — Walka lisa z orłem. — Skromność (rzeźba) W. Brodzkiego. — Targ niedzielny w Warszawie. — Paweł Algimuntowicz. — A. K. Heylman. — O koniku żołnierskim. — Pińszczyzna. — D. Livingstone. — Katedra w Ratysbonie. — Po polowaniu. — Zabytki Wschodu.

Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego. — Pogadanki higieniczne dra. Szokalskiego. — Nekrologia półroczna. — Pozytywni komedia Z. Narzymskiego. — Morituri powieść J. I. Kraszewskiego. — Wet za wet powieść z angielskiego. — Przeglądy literackie i polityczne. — Korrespondencye.

† Dnia 3 września r. b. zmarł w Warszawie **Oskar Flatt** współpracownik od lat wielu naszego pisma, w samej sile wieku, bo zaczynał rok 42 życia. W ostatnich latach był naczelnikiem bióra budowy drogi żelaznej Libawskiej. Zwłoki zgasłego pisarza pochowano na cmentarzu Ewangelickim. Urodzony w *Siedleach* na Podlasiu dnia 6 listopada 1828 roku, był synem zasłużonego nauczyciela szkół publicznych, pobierał nauki w gimnazjum Piotrkowskiem. Zawód literacki rozpoczął w roku 1849 jako współpracownik, a następnie współredaktor *Gazety Codziennej*. Oprócz wielu rozpraw treści historycznej i nauk społecznych, wydał oddzielnie w Warszawie: *Opis miasta Piotrkowa trybunalskiego 1850 r.* *Opisanie miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym 1853 r.* *Brzegi Wisły od Warszawy do Ciechocinka (z rycinami) 1854.* *Gawędy i notatki z podróży 1855 roku.*

† Dnia 5 września r. b. zakończył życie **Lech Nowakowski** artysta dramatyczny, zarazem i malarz. Portrety jego pędzla znajdowały się na tegorocznej wystawie sztuk pięknych we Lwowie. Był on synem znakomitego aktora, który przez długie lata należał do pierwszych artystów, a znanym był i ze sceny warszawskiej; słynna jego rola „*W chłopie milionowym*“ upamiętnioną została rysunkami litografowanemi Jana Lewickiego, wraz z humorystycznemi śpiewkami.

† Dnia 9 września r. b. zakończył życie w Warszawie ś. p. **Karol August Heylmann**, radca stanu b. członek b. rady stanu Królestwa, członek Warszawskich depart. rządzącego senatu

i konsystorza gener. ewang.-augsb., w wiekulat 76. Urodzony w W. Księstwie Poznańskim w r. 1796 pobierał nauki w liceum Warszawskim, wyższe w uniwersytetach w Berlinie i Getyndze. Wr. 1819 w uniwersytecie Warszawskim otrzymał stopień mag. obojga praw. Rozpocząwszy aplikację sądową w ministerjum Sprawiedliwości, doszedł stopniami do ostatniej godności. Od roku 1828 zaczął zawód literacki w znakomitej wartości czasopiśmie prawném *Themis polska* pod główną redakcją Romualda Hubego. Przez lat dwadzieścia kilka był stałym współpracownikiem naszego pisma. Z licznych prac zgasłego męża wyliczymy znaczniejsze: *O sądownictwie w królestwie polskiem, wykład historyczny* 1834 r., *Wykład historyczno-praktyczny porządku i postępowania wewnętrznego w sądzie apellacyjnym i trybunałach cywilnych królestwa polskiego* 1835 r., *Krys procesu dyscyplinarnego sądowego* 1844 r.,—*Kodeks handlowy, przekład z przypiskami* 1847 r.—*Pogląd na prawnictwo krajowe co do spraw granicznych między dobrami ziemskimi* (przedruk z *Biblioteki Warszawskiej*) 1855 r.—*O dowodach stanu familijnego, wykład teoryczny—Pogląd pobieżny na uwagi bezimiennych odnoszące się do rozpraw o klasyfikacyi hipotek i praw hipotekowanych* (odbitki z *Biblioteki Warszawskiej*) 1859 r.—*Rozbiór wykazu hipotecznego* 1850 r.—*Historya organizacyi sądownictwa w królestwie polskiem* 1861 r. W roku 1871 wydał: „*Zbiór rozpraw jurisprudeneyjnych* tomów dwa, w których pomiejsze zebrał rozprawy swoje, i w końcu podał spis szczegółowy prac własnych, które drukował w Warszawie i swoim nakładem. W roku 1868 wydał także swoim nakładem z rękopismów Jana Wincentego Bandtkiego „*Rozprawy o prawie i sądownictwie karzącém i o urzędach w dawnéj Polsce*”. Piękne wspomnienie zostawił po sobie nie tylko jako pisarz i uczony prawnik, ale jako człowiek zacny myślą i szlachetny charakterem.

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 14 Сентября 1872 г.

# P O G L Ą D

na nowsze prace około wyjaśnienia historii praw

## Słowian południowych.

---

Podobno byliśmy pierwszymi w naszych czasach, cośmy dali przykład i dalszy pochop do prac nad historią praw narodów słowiańskich, czy to zwracając uwagę na nieznanne dotąd źródła, czy to wydając je, bądź ogłaszając wsparte na nich wywody. Właściwą też jest rzeczą, abyśmy od czasu do czasu zwracali uwagę na wszystkie prace, jakie się na tém polu spotykają, jużto dla własnej naszej nauki, już dla wykazania postępów, jakie stopniowo robią przedsięwzięte poszukiwania. Dzisiaj zwracamy uwagę na zajęcia około historii praw Słowian południowych. Zachęca nas do tego kilka ważnych prac, które się w ostatnich piętnastu latach ukazały. Ponieważ liczba ich nie jest tak wielka, sądzimy, że najstosowniej będzie rozpatrzyć je w tej kolei, w jakiej ogłoszone zostały.

Uprzedzam wszakże, że zniewolony jestem poprzestać na tém, co sam własnym mozołem zebrać zdołałem. Przy trudności dostania niektórych wydań południowo-słowiańskich, a szczególnie przy braku słowiańskich literackich czasopisów, łatwo pominąć można jedną lub drugą pracę zasługującą na uwagę.

Zaczynamy od 1858 roku. Napotykamy tu na samym czele zasłużonego naszego Wacława Maciejewskiego, który w roku tym ogłosił dwa przekłady na język polski dwóch ważnych prawodawczych pomników południowo-słowiańskich,

a mianowicie Statutu Winodolskiego i Zakonnika cara serbskiego, Duszana (1). Oba zasługiwały na skrzętne nimi zajęcie się już to ze względu na starożytność ich, jeden bowiem pochodzi z końca wieku XIII (2), drugi z połowy wieku XIV, już to ze względu na treść, w której zachowało się wiele czysto słowiańskich pojęć prawnych; już wreszcie dlatego, że są tworem miejscowych wiecowych postanowień. Prócz tego oba wiele ważne z powodu, że są spisane w narzeczach narodowych, co jednakże sprowadza niemałą trudność w należytem wyrozumieniu znacznej liczby ich rozporządzeń i co czyni wielce pożądaném dobre ich tłumaczenie (3).

Aliści rok ten odznacza się szczególniej pojawieniem dwóch zbiorów aktów historycznych i obszernym zbiorem pomników prawodawczych Horwacyi, Dalmacyi i Sławonii. Zbiory dyplomatów wydane zostały, jeden przez zaszczytnie znanego świata uczonemu Fr. Miklosicza w Wiedniu, drugi przez hrabiego Medo Pucicza w Białogrodzie (serbskim), zbiór zaś pomników prawodawczych przez Kukulewicza Saksińskiego w Zagrzebiu.

Dyplomata serbskie a przy nich bośniackie i bułgarskie zwracały już od niejakiego czasu baczną uwagę badaczów historii i języka. Wydawano je w miarę odkrycia pojedynczo w różnych pismach peryodycznych i oddzielnych rozprawach lub pomniejszych zbiorach (4). Wiadomo jednak, jak przystęp do podobnych dorywczych publikacyj jest trudny, jak one szybko wychodzą z obiegu; niemałą więc przyniosł usługę nauce Miklosicz, zbierając je w jedną całość i starając się zbiór swój wzbogacić nowemi nabytkami (5). Zresztą potrzeba było mieć tekst krytycznie oczyszczony i ustalony,

(1) Ob. *Historja praw słowiańskich*. Warszawa, 1858 T. VI str. 334 — 385.

(2) Kraina Winodolska położona jest między miastami Fiume (Rieka) i Novi.

(3) Niektóre uwagi nad tłumaczeniem Maciejowskiego podaje Leontowicz, w piśmie, które poniżej zacytujemy.

(4) Między dawniejszymi zbieraczami dokumentów jaśnieją imiona: p. Szafarzika, Wuka Karadzicza, Kukulewicza.

(5) Pomimo starań nie mógł otrzymać wydawca wszystkich znanych mu dokumentów, np. aktów naszego Zygmunta Augusta zachowanych w archiwum kościelném karłowackim.

co mógł jedynie dokonać tak głęboki jak on znawca dawnych języków słowiańskich. Zbiór Miklosicza nosi tytuł: *Monumenta serbica spectantia historiam Serbiae, Bosnae et Ragusii* (1) i obejmuje w sobie 497 aktów, poczynając od r. 1114 do r. 1618; z tych tylko około trzydziestu odnosi się do wieku XVI i XVII, reszta pochodzi głównie z wieku XIV i XV. W zbiorze wyłącznie pomieszczone są dokumenta pisane po słowiańsku. Po największej części cały zbiór składają nadania na rzecz kościołów i akta przymierza z Dubrownikiem, oraz nadane mu handlowe swobody. Nadania udzielone kościołom, pod względem historii prawa zasługują mianowicie na bliższe rozpatrzenie z powodu zawartych w nich oznaczeń co do stosunków prawnych ludności osiadłej w dobrach kościelnych, handlowe zaś przywileje ze względu przepisów oznaczających sąd i rozprawę dla poddanych układających się stron we wzajemnych ich roszczeniach. W liczbie zamieszczonych w zbiorze tym dokumentów zwraca mianowicie na siebie oczy nie zrównanej rzadkości pomnik bułgarski z końca wieku XII, zapewniający Dubrowniczanom prawo handlu w krajach podległych władzy Asena II, noszącego tytuł króla Bułgarów i Greków. Drugi niemiędy ciekawy dokument odnoszący się do Bułgarii jest traktat przymierza Michała Asena z Dubrownikiem z r. 1253 przeciw Stefanowi Uroszowi królowi serbskiemu, w którym oznaczone są imiona sędziów i osób składających małe i wielkie wiece w Dubrowniku.

W ogóle w zbiorze Miklosicza reprezentowani są wszyscy z owych czasów panujący w Serbii i Bosnii, oraz władcy rozlicznych krain południowo-słowiańskich; i tak między innymi występują tu banowie i królowie Bosnii: Kulin ban (1189), Matusz Ninosław wielki ban (1234—40), Stefan ban (1332—33), Twertko ban, potem król (1367—1375), Stefan Dabisz król (1392—1395), Stefan Ostoja król (1398—1420), Andrzej wielki książę chlumski (1234), Odola syn Predena z Krainy (1247) (2), Radosław wielki żupan chlumski (1254),

(1) *Serbskie pomniki odnoszące się do historii Serbii, Bośni i Dubrownika*. W Wiedniu, 1858 str. 580. Żałować należy że i to dzieło już wyczerpane i nie znajduje się więcej w handlu księgarskim.

(2) Oryginał tego wielce ciekawego dokumentu znajduje się w Archiwum Stanu w Wiedniu.

Iwanisz ban kniaź Cetiński (1416), Stefan Herzeg od świętego Sawy, gospodar chlumski i przymorski (1453), Jan Czernojewicz pan Zetski (1485).

Współcześnie z poprzednią publikacją wyszedł zbiór pism rzeczypospolitój dubrownickiej do sąsiednich władców serbskich, bośniaczkich i przymorskich (1). Dokumenta wypisane zostały ze starego archiwum rzeczypospolitój zachowanego dotąd w Dubrowniku. Pochodzą z lat 1392 do 1423. Wydawca Medo Pucicz wypisane dokumenta wzbogacił nadto wyciągami o wiecu i rządzie Dubrownika z rękopisu XV-tego wieku Filipa Diversisa. Niebawem toż samo archiwum dostarczyło skrzętnemu wydawcy nowego materiału, z którego powstał tom drugi dodatkowy, obejmujący w sobie dokumenta z r. 1313 do r. 1466, przy czém po raz pierwszy podaną została przez wydawcę wiadomość o Statutach Dubrownika i udzielone obszerne z nich wyjątki. Podług téj wiadomości zbiór praw Dubrownika złożony jest z czterech części: pierwsza mieści w sobie statut dawny z r. 1272, druga księgę reformacyj z r. 1335, trzecia pojedyncze postanowienia od r. 1357 do 1460, czwarta postanowienia od r. 1460 do 1574 roku. Nazwiska łacińskie tych części są: *liber statutorum*, *liber reformationum*, *liber viridis* i *liber croceus*, będące naśladowaniem wyrażen używanych w owe czasy we Włoszech. Między podanemi wyciągami jeden dotyczy tak zwanéj *wrażdy* czyli głośzyczyny opłacanej z dawien dawna za zabójstwo popełnione między Dubrowiczaninem a człowiekiem ze Sławonii (*hominem de Sclavonia*). Do tegoż przedmiotu odnosi się podany w tomie II *Spomienic* układ z r. 1442 o opłatę za zabójstwo (2). Godne także uwagi w tym tomie jako wzory aktów prawnych kilka testamentów, z których jeden nosi napis: *testamentat velikoslawunogo gospodina herzega Stjepana Kosacze* (z r. 1465) (3).

(1) *Spomenici Srbski od 1393 do 1423 to est pisma pisana od republike dubrowaczke kraliewima, despotima, wójwodama i knezowima srbskiem, bosanskim i primorskim. U Beogradu 1858.*

(2) Str. 105.

(3) Obacz str. 121, 124. W tomie drugim znajdujemy tłumaczenia łacińskie i włoskie ze słowiańskiego, sporządzone przez oddzielnie na ten cel utrzymywanego w Dubrowniku tłumacza.

Do rzędu tego rodzaju dokumentów odnosi się niemniej wydany w tymże roku przez Maciejowskiego akt rozgraniczenia z r. 1325, wynaleziony w klasztorze hilendarskim na górze Atos w dawniej Tessalii przez profesora uniwersytetu odeskiego Grigorowicza, który nie małe rzuca światło na cały przebieg podobnego rodzaju spraw (1). Z aktu tego dowiadujemy się, że dla oznaczenia spornej granicy wzywano 12 starych mieszkańców żupy (*župlian*) ludzi wiarogodnych, którzy pod przysięgą wskazywali granicę (2). Przypomina to naszą *osadę* albo *opole*, która i u nas w dawnych czasach to samo spełniała (3).

Obok tych wydań w tymże samym roku, jak wspomnieliśmy, staje ważny zbiór praw trójjedynych królestw Horwacyi, Dalmacyi i Sławonii, sporządzony i wydany przez Kukulewicza słynnego czciciela i wydawcy starych narodowych pamiątek (4). Zbiór ten rozpoczęty w r. 1858 a dokończony w r. 1862, podzielony jest na dwa tomy (5). Pierwszy tom, który zawiera w sobie przywileje i wolności królestw Horwacyi, Dalmacyi i Sławonii, poczyna akt księcia horwackiego Terpimira z r. 837 a kończy akt z r. 1790. Akt z r. 837 jest nadaniem na rzecz kościoła Salonitańskiego. Drugi akt z r. 892 księcia Mutimira jest zatwierdzeniem poprzedniego. Jako ogólniejszy pomnik prawodawczy zasługują na uwagę dekreta wydane na wiecach w Splicie w r. 914 pod przewo-

(1) *Historja prawodawstw słowiańskich* T. VI str. 407.

(2) Ktoby w tych ludziach ohoiał upatrywał sędziów przysięgłych, moonoby się mylił.

(3) Akt polski z r. 1400 konstatujący zejście osady czyli opola na grunt, dla wskazania pod przysięgą granicy, w roku obecnym ogłosił Konstanty Małkowski w dziele: *Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego*, Warszawa, 1872. str. 116, 117.

(4) Jemu należy się chwała wydawnictwa arhiwum dla historii południowych Słowian (*Archiv za povestnicu jugoslavensku*) rozpoczętego w r. 1851, w którym pod naszym względem odznaczają się mianowicie wydania: Statutu wyspy Krka z r. 1388 (T. III str. 141—173), Statutu polickiego (T. V str. 225—320).

(5) Ogólny tytuł: *Iura regni Croatiae, Dalmatiae et Slavoniae edidit Joannes Kukuljević aliter Bassarie de Sacchi Zagrabiae*. Tytuł specjalny tomu pierwszego: *Privilegia et libertates Regni C. D. et S.* str. 1—499; drugiego tomu: *Articuli et Constitutiones diaetarum seu generalium congregationum Regni Cr. D. et S.* str. 1—361.



dnictwem Tomisława, króla Horwatów i Serbów, w rządzie których spotykamy rozporządzenie wzbraniające dowolne porzucenie żon, wyjąwszy tylko przypadek cudzołóstwa. Tom drugi mieści w sobie postanowienia wydane na miejscowych kongregacyach i na sejmach węgierskich: pierwszy akt z r. 1273 a ostatni z r. 1848 (manifest narodu horwacko-slawońskiego (1)).

Niemniej ważną oddał przysługę nauce, a mianowicie badaniom nad historią prawa horwackiego, Kukulewicz ogłaszając w ciągu r. 1863 ważny zbiór dyplomatów horwackich. Trzeba wiedzieć, iż zamiarem było Kukulewicza przy współdziałaniu słynnego biskupa Strossmajera stanąć na czele obszernego wydawnictwa, które miało w sobie obejmować trzy działy: dyplomata, historyków i prawa Słowian południowych. Przystępując do wykonania zamiaru swego rozpoczął wydawnictwo od wspomnianego dopiero co zbioru dyplomatów, pisanych po większej części głogolicą (2). Jestto prawdziwy skarb dla historii prawa horwackiego. Zawiera on w sobie blisko czterysta aktów, z których najdawniejszy sięga r. 1100 a ostatni jest z r. 1599 (3). Rozmaitość zamieszczonych w zbiorze aktów jest tak znaczna, że jak nadejdzie czas do gruntowniejszych poszukiwań nad historią prawa horwackiego, znajdzie się w nim prawie pełny materiał do skreślenia prawnych stosunków kraju w dobie od początku XIV-tego do końca XVI-tego wieku, spotykamy w nim bowiem akta rozmaitych darowizn, akta kupna, zamian, zastawy, różnego gatunku nadania, testamenta, działy majątków, umowy, wyroki, akta rozgraniczeń, protokoły zeznań świadków, a między innymi i ciekawe akta zagodzenia spraw o zabójstwo (4), a także nader rzadki akt przysposobienia syna z r. 1500.

(1) Żałujemy, że nie możemy nie bliższego powiedzieć o publikacjach r. 1861, w których między innymi ukazała się rozprawa Fr. Ruczkiego przedstawiająca odłamki z prawa publicznego horwackiego, gdyż znamy ją tylko z tytułu.

(2) Tytuł dzieła podwójny jest: *Monumenta historica Slavorum meridionalium. Poviestni spomenici južnih slavenah knjiga I. Listine hrvatske (Acta Croatica). U Zagrebu 1863.*

(3) Prócz aktu z r. 1100 niema w zbiorze żadnych innych pamiątek z wieku XII i XIII.

(4) Ob. XII r. 1393, CXVII r. 1487.

Ogłoszenie tak znacznej liczby pomników a szczególnie serbskich podało szczęśliwą myśl znanemu już z różnych prac Grzegorzowi Daniczycowi, ułożenia i wydania oddzielnego słownika do tychże pomników (1). Pod każdym słowem mającym jakowe techniczne znaczenie lub używaném w kilku znaczeniach, wypisane tak jak w słowniku naszego Lindego, miejsca stosowne z pomników, objaśniające jego znaczenie lub tłumaczące sposób, w jakim jest użyty. I tak np. pod wyrazem *wieczce* (wiece), który to wyraz tłumaczy autor przez łacińskie *consilium*, rada, podane zarazem, że w Dubrowniku odróżniano trzy rodzaje takowych rad czyli wieców *wielkie wybrane* (*consilium rogatorum*) i *małe wiece*. Podobnie pod wyrazem *wrażda* powiedziano, że w pomnikach użyty jest albo dla oznaczenia zabójstwa, albo dla oznaczenia opłaty za zabójstwo. Tym sposobem każdy wyraz w słowniku występuje ze swoim znaczeniem specjalnie historycznym, jaki ma w powołanych pomnikach, należących do pewnej ściśle oznaczonej doby i do określonej miejscowości. Jak dalece praca podobna dostarcza ważny i pożyteczny materiał do dalszych badań historycznych, każdy łatwo oceni. Według zdania mojego w tém właśnie szukać należy główną zaletę całej pracy, że autor wyłącznie zajął się tylko pomnikami serbskimi i ustrzegł się tentacyi przywodzenia wyjaśnień z innych słowiańskich źródeł, co byłoby zaraz całą pracę skrzywiło.

Tymczasem dojrzał pomysł założenia w Zagrzebiu południowo-słowiańskiej akademii. Ustanowiona w roku 1866, rozdzieloną została na cztery oddziały, w rzędzie których pomieszczony został osobny oddział nauk filozoficznych i prawnych. Zaraz w pierwszym zdaniu sprawy akademii oświadczyła, że zamiarem jój jest zbadać prawo zwyczajowe narodów południowo-słowiańskich i przystąpić do rozpatrzenia praw pisanych słowiańskiego południa; że pod pierwszym względem przedsięwzięte zostały środki dla zebrania wiadomości o istniejących jeszcze zwyczajach prawnych, a pod drugim względem, że ma być przedewszystkiém przygotowana bibliografia praw pisanych południowo słowiańskich (2).

(1) *Rjecznik iz kniževnich starina srpskih* T. III. U Biogradu 1868—1866.

(2) *Ob. Rad jugoslavenske akademie znanosti i umjetnosti. Knjiga I.* 1867 str. 59—60.

Co w obu tych kierunkach akademia dotąd zrobiła, niebawem zobaczymy. W każdym razie tym co się zajmują historią praw słowiańskich, przychodzi ubolewać, że akademia nie podniosła zarazem więcej praktycznej myśli Kukulewicza, i że nie przystąpiła odrazu do wydawania samych pomników prawodawczych, czy to gromadząc w jedno to wszystko, co dotąd częściowo w różnych pismach dzisiaj mało już komu dostępnych wydane było, czy też ogłaszając częściowo nie drukowane jeszcze pomniki, w miarę jak się wynajdą i obrobione zastaną przez specjalistów, a w rzędzie których bez wahania możnaby zaraz postawić statuta Dubrownika.

Za wzór do zbierania zwyczajów prawnych podała akademia wydaną w tym czasie pracę dzisiejszego profesora Uniwersytetu Odeskiego Baltazara Bogiszica rodowitego Dubrowniczana, noszącą tytuł: *Prawne obyczaje Słowian* (1), skreślającą utrzymujące się dotąd między południowemi Słowianami zwyczajowe prawne stosunki, a mianowicie wyjaśniającą dzisiejszy stan spółek familijnych, tak zwanych zadrug.

Uświetnił nadto otwarcie akademii prezes jój Dr. Raczki przez wydanie kilkunastu aktów historycznych, w liczbie których akt pierwszy z r. 1186 podaje nam wiadomość o wiecowych postanowieniach zapadłych w Kotorze, za sprawą Jury wysłańca Niemani, wielkiego żupana serbskiego (2).

Równocześnie dzisiejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego Makuszew, w dziele poświęconém wyjaśnieniu historycznych pomników Dubrownika, podał ciekawe wiadomości o składzie rękopisów statutów dubrownickich i ogłosił jedną przedstatutową ustawę z r. 1235 o obrzędach małżeństwa (3).

Rok 1868 przyniósł nowe znowu prace, nie tyle poświęcone wydawnictwu dawnych pomników, jak raczej mające na celu obrobienie ich dla historyczno prawnych wywodów.

Jedna z tych prac pojawiła się w Odesie, autorem jój terażniejszy rektor Uniwersytetu Noworossyjskiego Leontowicz. Praca ze wszech miar godna uwagi. Zadanie, które

(1) *Pravni običaji Slovena. Privatno pravo. U Zagrebu 1867.*

(2) *Rad jugoslavianske akademie* T. I str. 127.

(3) *Izsljednania ob istoriczeskich pamiatnikach i bytopisatsiach Dubrownika. St. Petersburg 1867.*

sobie autor postawił, było: dać obraz starego horwato-dalmackiego prawodawstwa, za pośrednictwem systematycznego rozbioru trzech najdawniejszych dotąd znanych pomników tego prawodawstwa a mianowicie: statutu Winodolskiego, statutów miasta Zagrzebia i statutu Polickiego (1). Statut Winodolski, jak było wspomniane, sięga końca wieku XIII i jest wiecowym miejscowym postanowieniem. Statut Zagrzebski złożony z trzech części, z których pierwsza z r. 1242, druga z r. 1400, a trzecia z r. 1425; wreszcie Statut Policki obejmujący także wiecowe postanowienia, jest dziełem wieku XV i następnych. Każdy z tych pomników jest osobno rozebrany i treść onego systematycznie ułożona i wyjaśniona. Do tego dodany obszerny wstęp o pomnikach prawodawczych południowo słowiańskich, ich wydaniach i zestawiony spis dzieł posłużyć mogących do wyjaśnienia historii praw Dalmacyi i Horwacyi. Po dziele Rentza, które przed czterdziestą laty obznajomiło nas z pomnikami dalmackiego prawodawstwa, utworzonych pod wpływem Wenecyi i pod przeważnym naciskiem pojęć włoskich, praca Leontowicza pierwsza wprowadza nas w zakres więcéj czystych, starszych pojęć słowiańskich, choć także już cząstkowo zmienionych pod wpływem obcych wyobrażeń. Nie mogąc się dłużej wdawać w rozbiór téj ważnej pracy, powiemy tyle tylko, iż autor w ogóle szczęśliwie rozwiązał założenie swoje i że całej pracy w niektórych szczegółach brakuje jedynie ścisłe odróżnienie tego, co jest rzeczywiście słowiańskiem od tego, co powstało w skutek nacisku obczyzny. Itak *np.* przy opisanu urzędów w Policy, wyrzeczone jest zdanie, że instytucya prokuratorów, jako publicznych oskarżycieli i delegatów rządu przeznaczonych do utrzymania porządku prawnego, jest niczém inném jak emanacją starosłowiańskiej instytucyi soków (2). Trudno zgodzić się na to twierdzenie. Instytucya soków należy do doby piérwiastkowego ustroju społeczeństwa, do doby, w której poszkodowany przez kradzież sam własnymi środkami poszukiwał rzeczy skradzione; przeciwnie prokuratorowie są tworem silnie uorganizowanej władzy zwierzchniej, która

(1) *Drewnee chorwato-dalmatskoe zakonodatelstwo. Odessa 1868, str. 155.*

(2) Str. 85—86.

utrzymanie porządku publicznego bierze w swoje ręce, usuwając zupełnie na bok wdanie się osób prywatnych. Samo wreszcie nazwanie *prokurator* użyte w pomniku po słowiańsku pisanym świadczy o obcém pochodzeniu instytucyi.

Równie nie sędzę, aby między analizowanymi pomnikami horwackimi a Prawdą ruską tak wiele znajdowało się analogii, jak autor przypuszcza. Między innymi twierdzi, że wygnanie z miasta postanowione w statucie Zagrzebskim, jest niczém innym jak *potokiem* prawdy (1). Widocznie potok i wygnanie zupełnie dwie różne rzeczy! W ogóle, jeśli badania porównawcze mają nas doprowadzić do jasnych pojęć, należy, szukając podobieństwa, nie zaniedbywać zarazem dokładnie wskazywać różnice. Mianowicie téż tam, gdzie stykają się wpływy różnych elementów, bacznie wyosobnić należy, co każdemu z tych elementów przyznać wypada.

Wychodząc z tego stanowiska, zwracamy szczególniejszą uwagę na rozprawę profesora Bogiszica, nad prawem familijném dubrownickim, zamieszczoną w pracach akademii zagrzebskiej z tegoż samego roku (2). Nikt z naszych pisarzy, badając pomniki prawodawcze, w których spotykają się dwa różne elementa, jak tutaj słowiański i rzymsko-włoski, nie oddzielał z większym taktem jak prof. Bogiszic jednego od drugiego elementu. Rezultat pracy zupełnie jest jasny i stanowczy, wyświetlony cały podkład słowiański statutowego prawa familijnego Dubrownika i wskazane z największą ścisłością, jak na pokładzie tym wszczepiły się rzymsko-włoskie pojęcia. Szkoda tylko, że w pracy téj za mało mamy wyciągow z tekstu statutów dotąd nie drukowanych, posłużyłoby to bowiem do usprawiedliwienia twierdzeń autora, a zarazem podałoby możność do uczynienia dalszych wywodów. Może jednak brak ten sam autor wkrótce nam wynagrodzi, ogłaszając cały tekst statutu.

W tym samym czasie ogłoszoném zostało w Warszawie wypracowanie mające na celu oznaczyć w ogólnym zarysie stopień wpływu, jaki wywarło prawo rzymskie i rzymsko-

(1) Str. 57.

(2) *Glavnije crte obiteljskoga pisanega prava u starom Dubrowniku*. Ob. Rad T. V. str. 123—149.

bizantyńskie na prawodawstwa słowiańskie (1). Pod względem praw południowo słowiańskich, a mianowicie w Bułgarii wystawioną była w powołaném piśmie hipoteza, że tak nazwany *Sudny zakon* znany z ruskich kormecznych, jest zbiorem różnych przepisów prawnych wyczerpniętych ze źródeł bizantyńskich dla sądowego użytku Bułgarii, co do Serbii zaś, że tak zwane *Justinianowe zakony* wydane przez autora, są także zbiorem przepisów wziętych z różnych części praw bizantyńskich, dla praktycznego zastosowania w sądach, a mianowicie w zdarzeniach nieokreślonych postanowieniami Zakonnika Cara Duszana. Wreszcie co do Dalmacyi i Horwacyi wyrzeczoném zostało, że na prawa ich późniejsze stanowczy wpływ wywarło prawo rzymskie, za pośrednictwem średniowiecznego prawodawstwa i nauki włoskiej (2). Z powodu tak różnych wpływów autor rozdziela ludy słowiańskie na dwie grupy: w pierwszej stawia te, na których prawne stosunki działało prawo bizantyńskie, w drugiej te, które mniej lub więcej uległy wpływowi praw i pojęć rzymsko-włoskich. Do pierwszej grupy zalicza Bułgarię, Serbię, Czarnogórze, Ruś; do drugiej Dalmacyę, Horwacyę, Czechy, Szląsk, Polskę (3).

W tymże czasie ukazał się znowu Tom I nowego zbioru ważnych dokumentów historycznych, który obecnie liczy już trzy tomy i zawiera w sobie akta odnoszące się do stosunków

(1) *O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyńskiego u narodów słowiańskich. W dodatku excerpta serbskie z praw rzymsko-bizantyńskich, wyłożył, objaśnił i wydał R. Hube. W Warszawie 1868.* Ogłoszone w Wiedniu tłumaczenie pisma tego nosi tytuł: *O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyńskiego kod słowiańskich narodach. U Beču 1869.* Tłumaczenie sporządził J. Miskatowicz. Skrócenie pisma tegoż w języku niemieckim podały: *Heidelberger Jahrbücher der Literatur 1869.*

(2) Str. 10 — 13, 17 — 21, 32 — 37.

(3) Prof. Bogisz w rozbiórce pisma tego (*Rad VI str. 218*), jak mi się zdaje, nie słuszną robi uwagę, że autor niewłaściwie *przeskakuje* z Czarnogórze do Rosyi, a potem dopiero zwraca się do Dalmacyi. Uwaga ta byłaby stosowną, gdyby chodziło o wynalezienie najkrótszej drogi z Czarnogórze do Dalmacyi, ale tu szło o związanie z sobą tego, co na sobie nosi wspólne cechy charakterystyczne we wskazanym kierunku. Dalmacya i Horwacya pod tym względem bezwątpienia należą do grupy zachodniej.

Wenecyi z narodami południowo-słowiańskimi (1). Dokumenta wypisane zostały z archiwów weneckich i wydane przez Szymona Liubicza za pomocą akademii zagrzebskiej. T. I obejmuje w sobie akta od r. 960 do r. 1335, T. II akta od roku 1336 do 1347, T. III akta od r. 1347 do 1358, a w dodatku od r. 1116 do r. 1347. Niema potrzeby zwracać uwagi na ważność zbioru, dosyć wspomnieć, że wydawca wywiązuje się z największą sumiennością z włożonego nań obowiązku. Jak w istocie ważny historyczny materiał dostarcza ta nowa publikacja, pokażą specjalne studia, do jakich daje zachętę i dostarcza środki. Przy biegłym przejrzaniu zbioru zwraca zaraz na siebie badawcze oko akt czwarty tomu pierwszego z r. 1076, którym niektóre miasta dalmackie a między nimi Split, zobowiązuje się doży weneckiemu nie sprowadzać do kraju Normanów i każdego, ktoby to uczynił, karać podług przepisów, jak się akt wyraża *prawa rzymskiego*, w szczególności zaś podług paragrafu czwartego tego prawa, poczem zaraz wypisane jest dosłownie rozporządzenie powołanego paragrafu. W rzeczywistości jednak układający akt nie mieli na względzie prawa rzymskiego, ale postanowienie Rotarisa króla Longobardów (2). W każdym razie powołanie na prawa longobardzkie przedstawia do rozwiązania nader ciekawe zapytanie, zkąd w Dalmacyi przywiązywano taką powagę do praw longobardzkich, kiedy, jak dotąd utrzymywano, prawa te nie znalazły przystępu do Wenecyi? Ten sam akt daje ciekawe wskazówki co do ustroju zarządu miejskiego. Wymienieni tu głowy (priors) miast, sędziowie, wojscy czyli tribuni. Szczegółów takich wielce ważnych dostarcza zbiór bez liku.

Spuszczony z oka od niejakiego czasu Zakonnik Cara Duszana, znalazł w r. 1870 nowego znowu wydawcę w Bia-

(1) Tytuł tego zbioru dwoisty: *Monumenta spectantia ad historiam slavorum meridionalium. Listine o odnošajih između južnoga slovenstva i mletačke republike. Na sviet izdao jugoslavenska akademija. U Zagrebu 1868-1872.*

(2) Słowa aktu są: si quis autem hujus sceleris-prevaricator inventus fuerit et se legitime excusaro non poterit, amittat vitam suam et quidquid possidet in hoc seculo. . . per romanam legem, que in presenti pagina scripta esse videatur in quarto capitulo ejusdem legis: quia si quis inimicos infra provinciam invitaverit aut introduxerit anime sue incurrat periculum et res ejus. . . porów. *Edictum Rotharis regis* c. 4.

Łogrodzie, Stojana Nowakowicza współpracownika przy wydaniu słownika Daniczycza (1). Aby wyjaśnić na czém polega zasługa wydawcy, trzeba sięgnąć trochę dalej. Posiadamy dotąd znanych rękopisów Zakonnika około dziesięciu, pochodzących z różnych czasów i znacznie między sobą różniących się. Wydań z różnych rękopisów mamy cztery: pierwsze wydanie Raicza (r. 1795) podług rękopisu hrabiów Tekelich, drugie Magaraszewicza (r. 1828) podług rękopisu Rakowackiego, przedrukowane następnie w Warszawie (r. 1838) przez Kucharskiego w dziele: *Monumenta juris slovenici*; trzecie Pawła Szafarzika podług rękopisu Chodoszowskiego w jego *Pamatky drevniho pisennictvi lhoslovanov* (r. 1851), przedrukowane w Wiedniu r. 1856 przez Miklosicza (*Lex Stephani Dušani*); czwarte wydanie poprawne z rękopisu Tekelich, podane do druku przez Giorgiewiczza w tak zwanym *Latopisie serbskim* z r. 1829 (2). Z pomiędzy tych wydań edycja podług rękopisu Rakowackiego uważała się za najpełniejszą, edycja zaś Szafarzika za reprodukcją tekst najdawniejszy i najstaranniej krytycznie obrobiony. Tymczasem Nowakowicz zwrócił uwagę na rękopis Prizreński zachowany w Białogrodzie i po rozważném jego zbadaniu, przekonał się, że on przedstawia tekst jeszcze dawniejszy jak rękopis Chodoszowski, a tém samém podług wszelkiego podobieństwa do prawdy więćej zbliżony do pierwtworu. Nie wahając się, postanowił go wydać, opatrzyć wariantami z wydania Szafarzika i w osobnych notach dodać objaśnienia, w części oparte na słowniku Daniczica. Do wydania dołączył wiadomość gruntownie opracowaną o dotychczasowych wydaniach Zakonnika, o jego rękopisach, o sposobie wydania onego, o stariej serbskiej ortografii, o literaturze wyjaśniającej Zakonnik. Cała praca wykonana nadzwyczaj starannie, nie można tylko odżalować, iż wydawca chcąc uwydatnić materje w Zakonniku traktowane, przepisy jego uporządkował systematycznie podług przyjętego przez siebie dowolnego układu. W stanie dzisiejszym krytyki historycznej podobne zboczenie od zasad przyjętych w wydawnictwie rękopisów, nie do darowania.

(1) *Zakonnik Stefana Duszana Cara Srpskog. 1349 i 1354. Izdano i objasnio Stojan Novakowicz. U Biogradu 1870 str. 120.*

(2) *Pismo czasowe wydawane w Peszoie przez Maticę Serbską.*



Szcześliwym trafem dla nauki we dwa lata później zjawiono się wydanie Zakonnika, które dopiero co wytknięte uchybienie sprostowało. Teodor Sigel, były uczeń Uniwersytetu Petersburskiego, korzystając z dozwolenia profesora Łamańskiego, który przed kilku laty odpisał był Prizreński rękopis, wydał takowy w Petersburgu w całości. Zamiarem wydawcy jest opracować kompletnie cały Zakonnik, wyłożyć i wyjaśnić po szczególe w układzie systematycznym cały zasób rozporządzeń prawnych w nim zawartych i to za pomocą zbadania wszystkich pomników serbskich, o ile one do tego celu przyczynić się mogą, przyczem niezanieść także posilkować się porównawczemi wywodami z innych praw słowiańskich. Dotąd wydana część pierwsza całej pracy (1), obejmuje w sobie: 1) zarys położenia Serbii pod panowaniem Stefana Duszana, 2) opisanie Zakonnika pod względem rękopisów, w których doszedł do naszych czasów, pod względem czasu redakcyi, źródeł z których wyczerpnięta została, systematu układu i późniejszych kolei, jakim uległ, 3) wstęp do wykładu prawa cywilnego podług Zakonnika. W oddziale o źródłach Zakonnika autor zwraca uwagę na stosunek jego do praw bizantyńskich, który to wzgląd powtarza się i w innych częściach pracy, wspomina tu i o owych *Justynianowych prawach* powyżej wzmiankowanych, są to wszakże dorywcze tylko uwagi nie wyczerpujące przedmiotu; oceniając jednak gorliwość, z jaką się autor wziął do pracy i zasób znaczny materiałów które zgromadził, spodziewać się należy że przedmiot ten zgłębi w dalszych częściach dzieła swego, do kontynuacyi którego szczerze go zachęcamy. Przy porównawczych objaśnieniach zasad praw serbskich z innemi słowiańskimi, życzylibyśmy w przyszłych badaniach więcej oględności, np. cały wywód o różnicy między rodowym wysłużonym i dorobionym majątkiem, jakkolwiek pokazuje, że autor obznajomiony jest z różnemi źródłami praw słowiańskich, ale podsuwa prawu serbskiemu pojęcia, które w niem albo się wcale nie rozwinęły albo właściwym sposobem ukształtowały, i zamiast przyłożyć się do wytłumaczenia właściwych pojęć serbskich, rzucają na nie obłądne światło. Za główną zasługę poczytujemy autorowi, że ko-

(1) *Zakonnik Stefana Duszana. Soczinenie T. Sigelia. I Wypusk. Sankt Peterburg 1872, str. 220 i 149 (wydane kosztem Uniwersytetu Petersburskiego).*

rzystając z przychylnych okoliczności, z wykładem swoim połączył wydanie tych ważnych pomników, najprzód Zakonnika podług rękopisu Prizrieńskiego, o czém była już mowa (1), potem tak zwanych Justynianowych zakonów także podług tego samego rękopisu (2): nareszcie części systematu Wlastaresa, które otwiera nam nowe poglądy na stan prawny Serbii w epoce późniejszego jej istnienia. Mamy nadzieję, że autor z czasem dopełni wydanie Wlastaresa, co zapewni dalszej jego pracy niewątpliwą wartość.

Ostatnią ważniejszą i obszerniejszą pracą, poświęconą wyjaśnieniu prawodawstw południowo-słowiańskich, o której w naszym przeglądzie wspomnieć należy, jest świeżo wydana praca prof. Bogiszica pod tytułem: *Prawa pisane na południu słowiańskim. Zuryś bibliograficzny* (3), dzieło ogłoszone kosztem akademii południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu. Ogłaszając je, akademia wywiązuje się z części programu, który sobie założyła, a o którym wspomnieliśmy wyżej. Autor bibliografii rozdziela ją na cztery części: w pierwszej—wydanej zdaje sprawę z *praw danych przez najwyższą władzę prawodawczą w krajach niepodległych* (4); w drugiej pomieszczone będą prawa pojedynczych municypiów, wysp, gmin i korporacyj; w trzeciej prawa kościoła; w czwartej prawa nadane przez obce rządy. Część, którą mamy przed sobą, rozdzielona znowu na kraje: Bułgarię, Serbię, Bosnię, Chlum (Hum, Chelmo) późniejszą Hercegowinę, Zetę późniejszą Czarnogórę, Dubrownik, Policę i Horwacyę. Witamy pracę tę z radością, bo lubo nie wiele co nieznanego nam przynosi, zestawia jednak obfity materiał w jedną systematyczną całość i zarysowuje świat południowy słowiański w jego pomnikach prawodawczych. Podajemy niektóre ważniejsze szcze-

(1) Autor, wydając Zakonnik podług rękopisu Prizrieńskiego, byłby oddał wielką przysługę czytającym jego pracę, gdyby był zamiast cytowania wydania Szafarzyka, tak wielce rzadkiego, cytował wszędzie swoje wydanie. Wypadało przynajmniej dać tablicę porównawczą obu wydań.

(2) Zwracamy uwagę, że wydanie to, daje także tekst krótszy *Justynianowych zakonów*, który poprzednio drukowany był w powołanej wyżej pracy: *O znaczeniu prawa rzymskiego*.

(3) *Pisani zakony na slovenskom jugu. Bibliografski nacrt. U Zagrzebu 1872*, str. 201.

(4) *Zakoni izdani najvisom zakonodavnom vlastu u samostalnim drzavam.*

góły tego zarysu. Mówiąc autor o Bulgarii, zwraca przede-wszystkiem uwagę na ważny fakt, że papież Mikołaj I na żądanie Borysa czyli Michała w r. 866 posłał Bulgarom księgę praw rzymskich dla zastąpienia braku miejscowych prawnych instytucyj; dalej, że kiedy Bulgaria stanowczo stanęła po stronie kościoła wschodniego, zjawił się w Bulgarii zbiór wyczerpnięty ze źródeł bizańtyńskich, znany pod nazwiskiem *Sudnego Zakonu* dla użytku miejscowego sądownictwa. Myśl ta poprzednio stanowczo wyrzeczona została w piśmie: *O znaczeniu prawa rzymskiego* i t. d. (1). Przechodząc do Serbii, podaje cały szereg wyciągów z nadań udzielonych kościołom i z układów zawartych z Dubrownikiem na rzecz swobód handlowych. Wyciągi sięgają r. 1198 i idą do 1381. Są to po większej części wyciągi z aktów wydanych przez Mikloszica i później ogłoszonych w różnych pjsmach. Tym sposobem autor zabytki prawa pisanego serbskiego podnosi aż do wieku XII, gdy dotąd zwykle jako pierwszy akt prawa pisanego serbskiego uważał się Zakonnik Cara Duszana. Z naszej strony zrobilibyśmy tutaj tę tylko uwagę, że zapewnione przywilejami ksiąźcemi kościołom pewne swobody, tak samo jak zastrzeżenia na korzyść handlu, nie zawsze mogą być uważane jako pomniki prawa powszechnego pisanego, gdyż zwykle stanowią wyjątek od prawa powszechnego. Pod względem Zakonnika znajdujemy w Bibliografii wyliczone i opisane jego rękopisy, nieroztrzygnięta jednak kwestya co do składowych jego części. Wreszcie pod Serbią autor zwraca się do tak zwanych *Justinianowych zakonów*, które także przyznaje za prawo pomocnicze Serbii, wykazując zresztą, że zbioru tego istnieją dwie redakcyje: krótsza i obszerniejsza (2). Podług

(1) Str. 15. Autor Bibliografii, nie wspominając o tém, natomiast podnosi tylko niemożność przypisania zbioru bezpośredniemu wpływowi Cara Simeona, na co zresztą można się zgodzić. Czy Car Simeon albo inny dali zbiorowi temu formę ustawy, czy go potwierdzili aktem uroczystym prawodawczym, mniejsza o to, głównie chodzi o przyznanie, czy zbiór wszedł za ich zezwoleniem, a przynajmniej za ich wiedzą, w praktyczne użycie sądownictwa.

(2) Wydając w r. 1868 redakcyą krótszą, w istocie nie wiedzieliśmy iż poprzednio już drukowaną była w *Latopisie Serbskim* z r. 1829 redakcyą obszerniejszą; udzielił ją nam po raz pierwszy w roku obecnym Przewielebny ksiądz Rajewski w Wiedniu. Wydawcą téj redakcyi był Giorgiewicz podług rękopisu Tekelich.

wszelkiego podobieństwa do prawdy, pierwsza czyli krótsza jest dawniejszą, obszerniejsza późniejszą, zastosowaną do potrzeb znacznie nowszej doby. Pod rubryką Bosnia, przytoczony wyjątek z umowy zawartej z Dubrownikiem przez bana Kulina w r. 1189, dalej wyjątek z podobnej umowy Mateusza Ninosława z r. 1234 i z kilku innych późniejszych tego rodzaju aktów. Prawodawstwo Chlumskie reprezentuje kilka wyjątków z układów z Dubrownikiem z r. 1234 i 1454 i z nadania udzielonego przez Herzega Stefana na rzecz żony Heleny i syna Władysława. Podobnie dawne prawa pisane Czarnogórze przedstawiają wyciągi z układów z Dubrownikiem, z nadań kościelnych (1), a naostatek słynny Zakonnik (2) Piotra I Niegusza Metropolity z lat 1796, 1798 i 1803 (3), oraz późniejszy Zakonnik księcia Daniła I z r. 1855. Pod napisem Dubrownik, opisane są po szczególe składowe części statutów (4), wyliczone i opisane znane dotąd ich rękopisy i za pomocą porównania ich z sobą, wyrzeczone zdanie co do najdawniejszej redakcyi (5). Przy polickim statucie odróżniona redakcyja z r. 1400, nowelle poczynawszy od r. 1577 i ostatnie postanowienia z r. 1773, następnie wyliczone i opisane rękopisy statutu i wspomniane wydanie onego sporządzone przez Mesicza w archiwum Kukulewicza. Wreszcie pod względem Horwacyi odróżnione cztery doby: najdawniejsza do końca XII wieku czyli panowanie własnych narodowych książąt; druga od końca XII do początku XVI wieku, czyli węgierska; trzecia od 1527 do 1848 habsburgska, czwarta od 1848 nowa. Do doby pierwszej podane z różnych aktów umieszczonych w zbiorze Kukulewicza wyciągi, pokazujące, jakim sposobem miejscowi książęta władzę prawodawczą wykonywali; do drugiej epoki przedrukowanych z Kukulewicza

(1) Obszerniejszy wyjątek dostarczyło wydane przez Miklosicza nadanie słynnego w dziejach Czarnogórze Jana Czernojewicza na rzecz kościoła w Cetyui (r. 1485).

(2) We wstępie postanowienia ogłaszane, nazwane: *zakon i uredba*.

(3) W Bibliografii przepominano powiedzieć, że pierwszy raz drukował Zakonnik Piotra, Aleksander Popow w Petersburgu wr. 1847, w dziele: *Puteszestwie w Czernogorii* str. 281-301.

(4) Wyciągi podane w Bibliografii o trzęsieniach ziemi w Dubrowniku i innych wypadkach, mogły być śmiało opuszczone.

(5) Poprzednio dał także opis szczegółowy statutów Dubrownika prof. Leontowicz w *Żurnalu Ministerium Oświeccenia* z r. 1867.

kilka aktów stwierdzających czynność prawodawczą miejscowych kongregacyj czyli sejmów: do trzeciej epoki prócz cytacyi w chronologicznym porządku różnych postanowień zawartych w zbiorze Kukulewicza, wydrukowano dla przykładu całkowicie z archiwów zagrzebskich dwa akta, z których jeden obejmuje lauda uchwalone na zgromadzeniu w Zagrzebiu, a drugi daną przez stany horwackie instrukcją komissarzom wysyланym na narady do Wiednia. Całe dzieło zamknięte dodatkiem, obejmującym w sobie zaczerpnięty z dziennika praw księstwa Serbskiego spis pojedynczych praw i postanowień wydanych od r. 1830 do końca r. 1867 (1). W dalszej kontynuacyi téj ciekawej pracy jest do życzenia, aby dokładniej były cytowane tytuły dzieł, które są przytaczane, miejsce ich druku i lata wydania, gdyż osoba, która nie jest specjalnie obznajomioną z tą tak mało znaną literaturą, może się słusznie użalać na ten brak precyzyi. Zresztą podobno to jedno z głównych zadań każdej bibliografii.

Zakończyć przeglądu tego nie możemy bez wspomnienia o pojedynczych pracach naukowych Akademii Zagrzebskiej, a mających na celu wyjaśnienie różnych przedmiotów, z dziedziny praw południowo słowiańskich.

Na pierwszym miejscu wypada nam znowu wspomnieć o pracach prof. Bogiszica; a najprzód składa on od czasu do czasu akademii doniesienia, jakie mu nadsyłają z różnych stron południowej Słowiańszczyzny o istniejących w różnych miejscowościach zwyczajach prawnych (2); następnie zakomunikował akademii ciekawą wiadomość o rękopiśmie włoskim XVI wieku skreślającym zwyczaje prawne (*consuetudini*) zachowywane w owym czasie między Zadrem a Noną (3).

(1) Właściwie spis ten należało było pomieścić pod rubryką Serbii, rozdzielając prawodawstwo jęj na epoki, tak jak to uczyniono co do Horwacyi. Dlaczego wreszcie w roku 1872 zatrzymano się na r. 1867: ozy podobnie w Serbii niewydano żadnych nowych postanowień?

(2) Przy téj sposobności wspomnieć możemy, że przed jakimi dwudziestu laty powzięliśmy już byli myśl zbierania wiadomości o zwyczajach prawnych ludności słowiańskich osiadłych w państwie ottomańskim i że w tym celu zawiązaliśmy byli korespondencyą z Raczyńskim byłym konsulem w Warszawie, a podobno i z Pietkiewiczem konsulem w Dubrowniku.

(3) *Rad I. str. 229, V. 233.*

Członek akademii Petranowicz przedstawił rozprawę o zemście, pokorze i głowszczyźnie, podług praw serbsko-horwackich (1). Przedmiot ciekawy, ważny, ale obrobiony zbyt lekko, niewspomniane nawet powyżej przez nas przytoczone akta, wydane przez Pucicza i Kukulewicza, mieszczące w sobie zagodzenie spraw o zabójstwo.

Tenże sam Petranowicz obrobił rzecz o poddaństwie podług pomników serbskich i statutów dalmackich (2). W pracy po szczególe wyjaśnia autor znaczenie wyrazów me-ropsi (włóścianie), wlas i otrocy. Na wytłumaczenie znaczenia prawnego włachów przytacza autor postanowienia statutu Koterskiego z r. 1333, w którym występują w charakterze zagrodników mających dom, obórkę (*ovile*) i ogród. Zdaje się jednak, że pozostaje jeszcze do obrobienia historia transformacji, jakim stan ten ludzi w różnych czasach ulegał.

Liebalđ-Liubojewicz w rozprawie o przysiędze na południu słowiańskim przytacza stary zwyczaj wykonywania przysięgi przez podstawioną osobę, byleby wykonywający przysięgę stał u boku tego, kto ją miał wykonać i dał mu pocałunek. W ogóle cała praca zasługująca na baczną uwagę z powodu staranności z jaką mniej więcej skrzętnie zebrane zostały ważniejsze rozporządzenia statutów o przysiędze (3).

Fr. Raczki wyjaśniał historią przekształcenia księztwa Horwackiego na królestwo (4).

Członek akademii dr. Paweł Muhicz wypracował rzecz o rozwoju prawnych idei w ogóle a w szczególe pod względem prawa karnego (5). Wziąwszy za punkt wyjścia zdanie Cicerona: *repetamus stirpem juris a natura, qua duce aberrari nullo pacto potest*, wywodzi początek pojęć i ustanowień prawa karnego z przyrodzonego uczucia sprawiedliwości i stwier-

(1) *Rad VI*, str. 1-20.

(2) *O robstou po srbskim spemenicama i statutima prim. Jahn. grado-va Rad. XVI* str. 59-75.

(3) *Prisega u našem narodu. Rad XVI*, z r. 1871. Autor powołuje tu statut Raguzy III c. 51 § 5, podany w wyjątku przez Pucicza.

(4) *Kada i kako se preobraze hrvska kneževina na kraljevino. Rad XVII* str. 70-80.

(5) *O rosvoju pravnih idea u obei i napose u podruđu prava kaznenego. Rad V*, str. 1, 29.

dza to przeistoczeniami z różnych praw starożytnych, germańskich i miejscowych słowiańskich, a mianowicie statutu Winodolskiego, statutu wyspy Krka, Zagrzebia i Zakonnika serbskiego. Zadanie piękne, podnoszące myśl do wyższych sfer abstrakcyi, wpływające zarazem na wyrobienie języka filozoficznego; ale jeśli punkt wyjścia jest chybiony, niewiele przyczynić się może do zbadania właściwości miejscowych instytucyj.

Pod tym względem oddaje niezaprzeczoną usługę wybornie opracowana historia piśmiennictwa horwackiego i serbskiego Jagicza, wydana także z pomocą akademii (1). Jagicz jako filolog, rozpatruje pomniki prawne słowiańskie tylko ze stanowiska językowego, właśnie jednak to stanowi znakomitą zaletę jego badań; to nas sprowadza na stanowisko historyczne i im więcej rzucone poglądy językowe są głębokie, tém więcej przyspasabiają użytecznego materiału do przyszłych wywodów prawno-historycznych. Szczególniej godne uwagi z naszego punktu widzenia wszystko to, co Jagicz podaje o dyplomatach głągolicznych i o statutach dalmacko-horwackich, a w szczególności o statucie winodolskim, i następnie o statutach wyspy Krka i Policy. Przy rozbiore statutow wskazuje, jak wzięte z włoszczyzny wyrażenia usadowiły się obok słowiańskiego technicznego języka. Do piszącego historią prawa należy teraz pokazać, czy i w jaki sposób z wyrażeniami obcymi przenosiły się na grunt słowiański pojęcia prawne cudzoziemskie (2), godne wreszcie uwagi zdanie, jakie wyrzeka Jagicz pod względem językowym o zakonniku Duszana. Widzion w nim przeważny wpływ grecki i naznacza mu niższe miejsce w rozwoju narodowych pojęć prawnych jak statutom horwackim (3).

Żałujemy, że nie mamy pod ręką dzieła Liubicza wydanego przed ośmiu laty: *Zwierciadło historii południowo-sło-*

(1) *Historija kniževnosti naroda hrvatskoga i srbskoga. Knige prva. Staro doba. U Zagrzebu 1867.*

(2) Na okoliczność tę zwraca już uwagę, pismo: *O znaczeniu prawa rzymskiego* str. 36, 37.

(3) str. 203.

*wiański* (1), znamy go tylko z tego, co o nim podał Leontowicz. Zdaje się, że Liubicz zebrał w niem najciekawsze wiadomości o zawiązku i stopniowém rozwinięciu prawodawstwa horwacko-dalmackiego, a znając gruntowność z jaką obrabia swoje prace, wnioskować możemy, że to co powiedział, godne zastanowienia. Między innemi przytacza podanie ze starego horwackiego latopisca, że na wiecach hliewańskich postanowionych zostało wiele dobrych praw. Zdaniem jego miało to miejsce ku końcowi IX wieku za czasów Mutimira.

Po tém wszystkim, co powiedzianém zostało, trudno żądać, aby w ciągu lat piętnastu więcéj było zrobioném dla pewnego danego przedmiotu poszukiwań nad to, co w przeciągu tego czasu przygotowano dla objaśnienia historii praw narodów południowo-słowiańskich. Najprzód zebrano i krytycznie wydano dawniejsze cząstkowe publikacye aktów serbskich, bośniackich i bułgarskich i takowe pomnożono nowemi dodatkami (Miklosicz); ogłoszono znaczną liczbę nowych w więszcéj części juridyecznych aktów horwackich (Kukulewicz); wydano obszernie zbiory aktów historyecznych z archiwum dubrownieckiego i weneckiego (Pucicz, Liubicz); przygotowano krytycznie obrobiony słownik do pomników serbskich (Daniczic); następnie opracowano trzytomowy zbiór praw horwackich (Kukulewicz); wydano dwa razy najdawniejszą redakcyą Zakonnika Duszana (Nowakowicz, Sigel), także dwa razy drukowano krótszą redakcyą tak zwanych Justinianowych zakonów (Hube, Sigel); wydano słowiańskie obrobienie części syntagmatu Wlastaresa (Sigel); wytłumaczono na język polski statut Winodolski i Zakonnik Duszana (Maciejowski); daléj rzucono pierwsze główne myśli do określenia znaczenia praw bizantyńskich w Bulgarii, Serbii i Czarnogórze (Hube); nakreślono pierwszy zarys historii prawodawstwa horwackiego (Liubicz) i oceniono ze stanowiska filozoficznego pomniki prawodawcze horwacko-serbskie (Jagicz); opisano zwyczaje prawne dotąd utrzymujące się w zakresie prawa prywatnego u Słowian południowych (Bogicizic); obrobiono po raz pierwszy w wykładzie systematycznym najważniejsze pomniki pra-

(1) *Ogledalo kniževne povicsti jugoslavjanske. Rjeka 1864.*



wodawcze horwacko-dalmackie (Leontowicz); przedsięwzięto obszerną pracę mającą na celu wykład systematycznych praw serbskich podług Zakonnika i innych miejscowych pomków (Sigiel); udzielono bliższe wiadomości o statutach Dubrownika (Puciez, Leontowicz, Makuszew); opracowano naukowo prawo familijne Dubrownika (Bogiszic); wydano kilka rozpraw objaśniających różne przedmioty z praw południowo-słowiańskich (Bogiszic, Petranowicz, Liubojewicz, Muhicz, Raczki): wreszcie przygotowano pierwszą część bibliografii prawodawstw południowo-słowiańskich (Bogiszic).

Im więcéj jednak pobudza się i rozżarza chęć zgłębnienia tych prawodawstw, tém więcéj wzmaga się pragnienie posiadania coraz większej liczby krytycznie obrobionych wydań samych pomników prawodawczych, a przynajmniej uczynienia przystępniejszemi tych, które już są znane. Jagicz i Leontowicz występują z tém zdaniem, do czego i my się przyłączamy. Jak naturalnie w obecnym stanie rzeczy, kiedy Kukulewicz zaniechał spełniania tak zdrowo pomyślanego i tak rączo podjętego zamiaru wydania pełnego zbioru praw południowo-słowiańskich, oczy wszystkich zwrócone są na akademią zagrzebską: nie odrzuca ona tego zamiaru, ale spełnienie onego odkłada do czasu nieoznaczonego.

Samo przez się rozumie się, że obok żądania posiadania jak największej liczby pomników prawodawczych, pragniemy, aby dotychczasowy tak ograniczony zbiór aktów juridyecznych to jest aktów prawnych sądowych i zasądowych pomnożył się (1), w braku bowiem tekstów prawnych, z nich samych dają się odtworzyć i wytłumaczyć stosunki prawne społeczeństwa. Bodajby przykład Kukulewicza znalazł jaknajprędzój naśladowanie! Nie wątpimy zaś, że miejscowe archiwa byłyby w stanie dostarczyć obfity materiał. Pod tym względem jest do życzenia, aby akademia dała inicjatywę do zbadania miejscowych archiwów sądowych i opisanie ich stanu,

(1) Nadmienić tu możemy, że posiadamy zbiór aktów sądowych z wieku XVI i XVII stołu wesprinskiego, który nam przed wielu laty udzielił łaskawie Dr. Miklosicz i który oczekuje na ogłoszenie drukiem. Rękopis przepisywał z glogolickiego oryginału pop Jakób Volczic z Lowrania.

tak jak to niedawnemi czasy zrobił znany historyograf morawski Dudik we względzie archiwów galicyjskich (1).

Gdyby w tém miejscu zapytano się, co dalej i przede-wszystkiem pozostaje zrobić, możnaby dać następującą odpowiedź:

We względzie Bulgarii, Hercegowiny i Bosnii, w stanie, w jakim się krainy te znajdują, nie pozostaje jak kompletować wiadomości o zwyczajach prawnych, jakie w różnych stronach tych rozległych ziem istnieją, a przytém zbierać skrzętnie tak dawne jako i nowe ich akta juridyce i jeśli można pilnie powiększać liczbę starożytnych dyplomatów i wyszukiwać rękopisy stare nomokanonów.

We względzie Serbii, mając już kilkanaście rękopisów Zakonnika, przygotować za pomocą ich wszystkich nowe onego krytyczne wydanie. Aby takowe odpowiadało wymaganiom dzisiejszej nauki, wypada najprzód na zasadzie gruntownych językowych badań, oznaczyć, który ze znanych rękopisów istotnie przedstawia najdawniejszy tekst, a uczyniwszy to, przyjętę tekst ten za podstawę wydania; następnie pod każdym ustępem oznaczyć warianty innych rękopisów, uporządkowawszy je także chronologicznie, a tam gdzie redakcyja innych rękopisów znacznie się różni od przyjętęj głównej redakcyi, drukować całe ustępy, choćby kilka razy; wrzeszcie zamieścić po tekście głównym wszystkie dodatki z późniejszych rękopisów w porządku czasu, jak rękopisy jedne po drugich następują. Do takiego wydania koniecznie dołączyć wypada tablicę porównawczą układu wszystkich rękopisów. Nakoniec należy opatrzyć wydanie kompletnym słownikiem terminów technicznych z ich objaśnieniami podług słownika Danicyca, w którym zresztą do tęg pracy przygotowany już bogaty materyał. Takie dopięro wydanie posłuży za zasadę do dalszych badań i wniosków (2).

Co do Horwacyi, byłoby do życzenia, aby przy obfitości już zebranego a przynajmniej znanego i łatwo dopełnić się

(1) *Archive im Königreiche Galizien und Lodomerien von Dr. B. Dudik* (Archiv für österreichische Geschichte. Wien. 1868 XXXIX).

(2) Przekonany jestem, że przez wydanie krytyczne Zakonnika i nowych Justinianowych zakonów, da się niejako zestytuować ciąg nieprzerwany ustanowień prawnych Serbii od czasu jég upadku do chwili odrodzenia.

mogącego materiału, przystąpiono do skreślenia historii jej prawodawstwa. Nie powiemy, aby to było zadanie łatwe do spełnienia, ale trzeba nareszcie zacząć, zostawiając czasowi późniejszemu dopełnienie i dalsze rozwinięcie raz przygotowanej pracy. Aby odpowiedzieć wyższym założeniom krytyki historycznej, jest do życzenia, aby każde twierdzenie poprzeć wypisanymi dosłownie świadectwami źródeł. Za przykład w tym względzie może służyć historia praw czeskich Iireczka. Ponieważ zaś Horwacya zostaje, od tak dawna pod wpływem Węgier, koniecznie przeto przyszły historyk prawodawstwa horwackiego powinien wpływ ten dokładnie oznaczyć. Naprowadzi to zapewne na potrzebęscharakteryzowania prawodawstwa węgierskiego, przyczem wyjaśnić wypadnie, o ile początkowe prawa Węgier przesiąkłe są starodawnymi słowiańskimi pierwiastkami, jak to utrzymuje nasz Maciejowski.

We względzie Dalmacyi, sądzę, że nateraz głównie zwrócić należy uwagę na pojedyncze ważniejsze statuta miast i gmin, których taką obfitość ta kraina posiada i po szczególe zajęć się zbadaniem każdego oddzielnego statutu, bacząc ciągle na odróżnienie w nim elementu słowiańskiego od elementu rzymsko-włoskiego. Dopiero z tych praw szczegółowych złoży się z czasem ogólny obraz prawodawstwa dalmackiego, którego słabe zarysy mamy w dziele Reutza. Gruntowna znajomość statutów włoskich przy pracy podobnej pokaże się niezbędną.

Prócz prac tych zachęcamy do zajęcia się krytycznym wydaniem owych słowiańsko-bizantyńskich pomników, o których tyle razy wspominaliśmy, oraz słowiańskiego przerobienia *ustawy szlacheckiej*, przyczem powinno być także wydane sytagma Wlastaresa. Życzymy, aby do pracy téj wzięli się gruntownie ukształceni filologowie.

Czyby dla ziszczenia tych wszystkich życzeń niewypadało, aby akademia południowo-słowiańska obmyśliła ogłoszenie zadań konkursowych, wypracowawszy do każdego z nich dobrze obmyślany programat? Przy robieniu zadań pamiętać należy, że zawsze jest lepiej podane do obrobienia przedmioty, ile być może, ograniczać, bo tym sposobem spodziewać się można wywołania prac gruntowniejszych.

Dnia 25 sierpnia 1872 r.

R. H.

# AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ

p. D. José Marmol.

*Przekład z oryginału hiszpańskiego.*

(Dokończenie).

---

(CZĘŚĆ PIĄTA).

## XIII.

### Stany Zjednoczone.

Pomimo złego humoru, który tak nieprzytomnił Edwarda, iż pożegnanie jego z p. Mandeville było raczej niegrzecznością niż ukłonem, słuch go jednak nie zawiódł, kiedy przyjacielowi oznajmiał przybycie powozu. Takowy stał rzeczywiście przed domem, a w nim Don Candido Rodriguez, z którego uciśnionej piersi wybuchnął słup powietrza, gdy biedny professor znalazł się znów wśród swoich uczniów i powóz ruszył w stronę z której poprzednio przybyli.

Daniel spytał natychmiast:

- Do którego z dwóch?
- Jakto, Danielu?
- Do świętego Franciszka czy do świętego Dominika?
- Wprzód muszę cię uwiadomić o wszystkiém, ze szczegółami, że...
- Tak, ale trzeba zacząć od końca, żebym wiedział jaki rozkaz dać woźnicy.
- Koniecznie tak chcesz?

— Ależ tak, do tysiąca bomb!

— No to dobrze... ale się nie będziesz gniewał?

— Kończ pan, bo wyrzucimy z powozu — rzekł Edward ze wzrokiem który przeraził profesora.

— Zapaleńcy! zapaleńcy! Otóż, ognista młodzi, moja dyplomatyczna missya nie została uwiecznioną powodzeniem.

— To się znaczy że go nie przyjmą ani jedni ani drudzy? — spytał Daniel.

— Nikt a nikt.

Daniel pochylił się, spuścił szybę z przodu i dwa słowa wyrzekł do Fermina.

— A więc ci opowiem — mówił dalej Don Candido. — Kazałem stanąć powozowi przed świętym Dominikiem; wysiadam, wchodzę, przeżegnałem się, i idę po samotnym i ponurym klasztorze. Zatrzymuję się, klaszczę w dłonie: braciszek zapalający latarnię zbliża się: zapytuję o zdrowie wszystkich, i pytam o wielbnego Ojca którego mi wskazałeś. Wprowadza mię do jego celi, a po ukłonach i komplementach jak zwyczaj każe, nie mogłem wstrzymać się od powinszowania mu tego żywota spokojnego, błogiego i świątobliwego jaki pędzi w tym przybytku ciszy i spokoju; bo trzeba wam wiedzieć moi drodzy, iż od najmłodszych lat miałem upodobanie, skłonność, powołanie do zakonu, i kiedy dziś sobie pomyślę iż mógłbym być spokojnym pod świętymi sklepieniami klasztoru, wolny od politycznych wzburzeń, z bramą zamkniętą od zmierzchu, nie mogę sobie darować mojej opieszłości, mego lenistwa, mego zaniedbania. W końcu...

— Tak, cóż w końcu? bo koniec zawsze najlepszy, mój kochany profesorze.

— Otóż natychmiast przedstawiam mu pierwszy mój wniosek.

— To bardzo źle pan zrobiłeś.

— A, przecież po to tam przyjechałem?

— Tak, lecz nigdy na wstępie nie zaczyna się od tego co chcemy otrzymać.

— Pozwólże niech mówi — przerwał Edward wtulając się w kąt powozu jakby do snu.

— Więc mówię. Wyluszczyłem mu jasno i dobitnie położenie niejakiego siostrzeńca mego, który będąc najlepszym federalistą, przedsiębiorczym zostaje przez osobiste rywalizacye, przez zazdrość, przez zawiść niektórych złych sług sprawy, nie umiejących należyście uszanować niezrównanej chwały i wielkości patryarchalnego rządu naszego prześwietnego Restauratora praw i jego najszanowniejszej familii. Tu skreśliłem wymownie i z zapalem biografię wszystkich członków prześwietnych familii Jego Ekscellencyi pana gubernatora rzeczywistego, i Jego Ekscellencyi pana gubernatora zastępującego; konkludując, że dla honoru tych świętych konarów pnia federalnego, religia i polityka zarówno są interesowane aby się nie spełnił gwałt na osobie siostrzeńca takiego jak ja wuja, któ-

ry dałem wzorowe dowody mężstwa i wierności federalnej, i że nie chcąc zajmować czasu panom gubernatorom i innym wysokim i dostojnym osobom trudniącym się obecnie niepodległością Ameryki, proszę zakonu świętego Dominika o schronienie, opiekę i przytułek dla mego niewinnego siostrzeńca, ofiarując się dać na jałmużny znakomitą sumę, w złocie lub papierowej monecie, stosownie do woli WW. OO. Taką była w krótkim streszczeniu mowa, którą zagaiłem moją konferencję. Aż tu, wbrew moim przypuszczeniom i przewidywaniom, wielbny Ojciec powiada: „Mój panie, pragnąłbym usłużyć mu, lecz my się nie możemy mieszać w polityczne sprawy, a coś w tym musi być, skoro prześladują pańskiego siostrzeńca.” Protestuję raz, dwa i trzy razy, poręczam mu za wszystko co tylko się da powiedzieć o moim siostrzeńcu. Pomimo to wszystko, odpowiedział mi: nie możemy narażać się Don Manuelowi, nic więcej zrobić dla pana nie jest w naszej mocy, jak tylko prosić Boga aby miał opiekę nad niewinnością pańskiego siostrzeńca, jeśli prawdziwie jest niewinnym.

— Amen — rzekł Edward.

— I ja tak samo odpowiedziałem — mówił dalej Don Candido — i powstałem, przepraszając tysiącokrotnie za czas zabrany Jego Wielbności. A teraz przechodzę do mojej konferencji u świętego Franciszka.

— Nie, nie, nie, dość już mnichów, na miłość Bożką, dosyć wszystkiego, nawet życia, bo to nie życie ale piekło! — zawołał Edward uderzając się silnie dłonią w czoło.

— Wszystko to mój drogi — odrzekł Daniel — to jest tylko jeden akt, jedna scena z dramatu życia: tego życia naszego i naszej epoki, która jest odrębnym dramatem w świecie. Lecz tylko słabe serca dają się owładnąć rozpaczą w trudnych wypadkach losu. Przypomnij sobie że to są ostatnie wyrazy Amalii. Ona jest kobietą, a przebóg! więcej ma niż ty odwagi.

— Odwagi umrzeć, to najmniejsze. Ale wszystko to gorsze od śmierci, bo to jest upokorzenie. Włóczę się jak żebrak. Od wczoraj ciągle mię zewsząd wypychają. Słudzy moi uciekają ode mnie, nieliczni moi krewni nie poznają mnie; cudzoziemiec, nawet dom Boży zamykają drzwi przedemną, a to sto razy, milion razy gorsze niż pchnięcie sztyletu!

— Nic ci nie zostaje, mówisz? Wszakże jeszcze miłość i przyjaźń czuwają nad tobą a nie wszyscy się tym pochwalą w Buenos-Aires. Od trzech dni nie masz domu, nie posiadasz nic, zniszczyli cię, zrabowali, skonfiskowali całe mienie, jak im się zdaje. A przecież udało mi się uratować ci przeszło milion *pesos*. A więc, kto posiada narzeczoną śliczną jak słońce, przyjaciela takiego jak ja, i wcale nie zły mająteczek, ten jeszcze nie ma tak dalece powodów wyrzekania na swój los.

— Gdzież my jedziemy Danielu? patrz, zbliżamy się ku *Retiro*.

— Wiem o tym kochany professorze.

— Cóż ty robisz? tu są koszary i załoga, czy chcesz żebyśmy zostali ujęci?

— Jak się panu podoba.

— Danielu, nie poświęcajmy siebie tak zawczasu! Kto wie jakie błogie dni czekają nas w przyszłości? Zawróćmy, moje dziecko, zawróćmy. Patrz, już blisko! wracajmy!

W trakcie tych przedstawień i błagań powóz zajechał przed piękny dom, w którym przemieszkiwał konsul Stanów Zjednoczonych, pan Slade. Wielka krata żelazna była zamknięta, a za nią o jakie sto kroków w gmachu zaledwie dostrzedz można było światło w pokojach na pierwszym piętrze.

Daniel dwa razy silnie uderzył młotkiem, czekał chwilę, lecz napróżno.

— Jedźmy Danielu—powtarzał raz po raz Don Candido nie wysiadając z powozu za uczniami, i ciągle rzucając niespokojne spojrzenia na koszary, ciche o tej porze, bowiem było już blisko dziesiątej wieczorem.

Daniel mocniej zastukał. Niedługo ukazał się jakiś mężczyzna i wolnym krokiem szedł do kraty. Przybliżywszy się, popatrzył z wielką flegmą, a potem rzekł po angielsku:

— Czego?

— Pana Slade—odpowiedział równie lakonicznie Daniel.

Służący wyjął klucz z kieszeni i otworzył furtę nie mówiąc ani słowa.

Don Candido wysiadł natychmiast, i umieściwszy się pośrodku między Danielem i Edwardem, wraz z nimi szedł w ślad za służącym. Ten wprowadził ich do małego przedpokoju, gestem wskazał żeby zaczekali, i wszedł do drugiego pokoju. W kilka minut wrócił i zawsze na migi poprosił aby weszli.

W salonie paliły się tylko dwie świece. Pan Slade leżał na włosiennicowej sofie, bez zwierzchniej odzieży, bez kamizelki, bez chustki na szyi i bez butów, a na krześle obok sofy stała butelka koniaku, karafka wody i szklanka. Był to człowiek około pięćdziesięciu lat wieku, wysoki, fizygnomii otwartej i prostej, typ więcej pospolity niżli dystyngowany.

Daniel znał tylko z widzenia konsula Stanów Zjednoczonych: lecz znał dobrze jego naród.

Senior Slade usiadł z wielką flegmą, życzył dobrego wieczoru, dał znak służącemu aby podał krzesła, a sam wdziewał surdut i buty, jakby sam jeden znajdował się w swoim sypialnym pokoju.

— Nasza wizyta nie będzie długa, panie Slade—odezwał się Daniel.

— Panowie Argientyni?—spytał konsul.

— Tak jest panie, wszyscy trzej.

— To dobrze. Bardzo lubię Argientynów—i dał znak służącemu aby podał gościom koniaku.

— Jestem tego przekonania, panie Slade, i przybywając tu,

chciałem panu dać sposobność okazania dowodem tój ku nam przychylności.

— Wiem.

— Pan wiesz po co tu przybyłem?

— Tak. Panowie przybywacie po to aby się schronić w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. A cóż, nie tak?

Daniel zmieszał się tą obcesową otwartością; lecz pojął iż mu należało iść tą samą drogą. Popiwszy więc nieco koniaku ze szklanki, odpowiedział najspokojniej:

— Tak jest panie, po to przybywamy.

— To dobrze, więc już tu jesteście.

— Ależ pan Slade nie wie nawet naszych nazwisk?—przemówił Edward.

— Cóż mi tam po waszych nazwiskach? Tu jest bandera Stanów Zjednoczonych a pod nią opieka dla wszystkich, jakbądź się oni zowią.

I to mówiąc konsul znów się poufale położył na sofie, i nie zmienił pozycji, gdy Daniel zerwał się z krzesła, ujął jego rękę i mocno ją ściskając, mówił:

— Jesteś pan skończonym typem narodu najswobodniejszego i najwięcej demokratycznego w XIX wieku.

— I najsilniejszego—dorzucił Slade.

— To prawda—dodał Edward—i jakże nie ma być najsilniejszym, takich mając obywateli!

I musiał głowę odwrócić na stronę, ażeby inni nie dostrzegli uczucia które nagle w oku jego łzą zabłyśło.

— Dobrze, panie Slade—mówił znów Daniel—lecz my nie wszyscy trzej prosimy o przytułek. Jak na tę chwilę szukamy go tylko dla tego tu oto, pana Belgrano, synowca jednego z najpierwszych mężów w wojnie o naszą niepodległość, a który obecnie narażonym jest na prześladowanie.

— A, i owszem. Tu są Stany Zjednoczone.

— I nie ośmieliliby się wejść tutaj?—pytał Don Candido.

— Kto?—zagadnął pan Slade i brwi namarszczył; popatrzał na profesora a potem się roześmiał. Bardzo jestem dobrze z generałem Rozas. Jeżeli mię zapyta jacy tu są, to mu powiem. Lecz gdyby ich kazał przemocą ztąd wyprowadzać, ja mam to,—i palcem wskazał na stół, na którym leżał karabin, dwa pistolety i wielki puginał; potem podniósł rękę wskazując na dach domu—a tam mam banderę Stanów Zjednoczonych.

— I mnie do pomocy pańskiój—rzekł Edward.

— Dobrze, dziękuję. Z panem już będzie dwudziestu.

— Pan masz dwudziestu? tutaj?

— Tak, dwudziestu schronionych w moim domu, w tamtych pokojach i na górném piętrze. A jeszcze mi mówili o jakich ze stu.



Niech sobie wszyscy przyjdą. Nie mam łózek ani wyżywienia na tyle ludzi. Ale tu jest dom i bandera Stanów Zjednoczonych (1).

— Dobrze, na niczém zbywać nam nie będzie, na niczém. Dla nas dostateczna opieka pańska, szlachetny, szczery i prawy potomku Waszyngtona, bo i ja także zostaję tutaj, — rzekł Don Candido podnosząc w górę głowę i uderzając łaską w podłogę z miną tak seryo i tak stanowczą, że Daniel i Edward spoglądając na siebie mimowolnie na głos się roześmieli.

Daniel widział się zmuszonym zwracając mowę po angielsku do pana Slada, dać mu niejaki wyobrażenie o osobie i charakterze swojego mistrza. To krótkie opowiadanie wprawiło w tak dobry humor umysł prostodusznego Amerykanina, iż sam nalał koniaku, podał profesorowi i pił do niego mówiąc:

— Od dzisiejszego dnia znajdujesz się pan pod opieką Stanów Zjednoczonych, i gdyby pana zabili, ja każę spalić Buenos-Aires.

— Nie przyjmuję téj hipotezy, panie konsulu; wolałbym żeby Buenos-Aires piérwój splonęło, nie zaś abym ja był najprzód zabity a ono potem spalone.

— No, no, — rzekł Daniel, — to wszystko żarty, mój kochany panie Candido; pan wracasz ze mną.

— Nic, nie pójdę ztąd, ani ty już nie masz żadnych praw nademną, bo jestem na terytoryum zagraniczném. Tu życie moje przepędzę, pielęgnując zdrowie tego wielce zasłużonego męża, którego już kocham z całych sił.

— Ale cóż znowu, panie Candido, jedź pan z Danielem, — wmięszaj się Edward, — wszak na jutro jest robota.

— To nic uie znaczy, nie pojedę. I od téj chwili zerwane wszelkie nasze stosunki.

Daniel wstał, odciągnął go na stronę i żywą z nim przeprowadził rozmowę aby go nakłonić do powrotu; lecz wszystko byłoby nadaremnmém, gdyby mu Daniel wreszcie nie przyrzekł iż go odwiezie napowrót do Stanów Zjednoczonych, skoro tylko dostanie przez niego jakąś bardzo potrzebną mu wiadomość z bióra wicegubernatora, i że professor nocować będzie tymczasem w domu swojego ucznia, aż dopóki nie przybędzie na zamieszkanie do téj tu gościnnej i bezpiecznej przystani.

— Panie konsulu, — mówił Don Candido skończywszy swoje warunki, i odwracając się do pana Slade, — na dzisiejszą noc nie mogę jeszcze mieć zaszczytu, przyjemności, szczęścia, widzenia nad moją głową, znakomitój flagi północno-amerykańskiej; lecz wszyst-

(1) To jest rzeczywistą prawdą. Pan Slade był ubogim; właśnie odesłał był swoją rodzinę do Stanów Zjednoczonych, nie mogąc wystarozyć na jój utrzymanie w Buenos-Aires. Lecz w miesiącach wrześniu i październiku zebrało się gości w jego domu przeszło stu. Przez dni czterdzieści bawili u niego, a że nie miał zgola czém ich żywić przez tyle czasu, ci zrobili pomiędzy sobą składkę i dawali rządoy domu na utrzymanie dla wszystkich: wielu nie nie przyłożyło się, bo nie nie posiadali.

ko co w mojej mocy, uczynię, ażebym mógł znajdować się tu już od jutra.

— Dobrze, — odrzekł Slade, — żywcem pana nie wydam, chyba trupem.

— To szatan nie człowiek ze swoją otwartością! — bąknął Don Candido spoglądając na Edwarda.

Pan Slade podniósł się ociężale, po angielsku pożegnał Daniela, a professora uściśnął mówiąc:

— Jeżeli się już nie ujrzymy, mam nadzieję że się poznamy na tamtym świecie.

— Tak? to ja już nie jadę panie konsulu, — i Don Candido zabierał się usiąść.

— Ależ to żarty, kochany profesorze, — perswadował mu Edward.

— Tak, żarty, od których szpik w kościach marznie!

— Chodźmy żeby ich nie słuchać.

Dwaj młodzi przyjaciele uściśnęli się jeszcze; a ten sam słuchający który gości wprowadził, towarzyszył im do furty. Gdy ją otwierał, spytał go Don Candido:

— Czy zawsze zamkniętą bywa ta brama?

— Tak.

— A 'nie lepiej byłoby ją zostawiać otworem?

— Nie.

— Co za czartowski lakonizm! Przypatrz mi się przyjacielu, poznasz mię na drugi raz?

— Tak.

— Jedziemy, Don Candido — mówił Daniel już w powozie.

— Idę, idę. Dobranoc ci, zacny sługo najznakomitszego z konsulów.

— Dobranoc, — i brama się zamknęła.

#### XIV.

##### Don Candido Rodriguez spotyka krewniaka.

Jednego z ostatnich dni września o ósmej godzinie z rana, nauczyciel początków zapijał ze smakiem pienistą i wrzącą czekoladę w porcelanowym ogromnym kubku, a tymczasem uczeń jego składał papiery, kopertował je i pieczętował. Twarze ich jawnie pokazywały iż obydwa noc całą na czuwaniu przepędzili.

— Ale to już koniec, Danielu; dziś już stanowczo udaję się do Stanów Zjednoczonych. Wiesz że już pięć dni będzie jak dałem słowo temu zacnemu i wielce zasłużonemu konsulowi, iż przybędę na pobyt do jego terytoryum.

— Bo pan nie wiesz co tam zająć może.

— O nie, mnie ty nie oszukasz. Jeszcze wczoraj wieczorem, kiedyś ty pisał, ja sobie odczytałem pięć traktatów o prawie narodów, i dwa podręczniki dyplomatyczne, te rozdziały które traktują o niepogwałcałości agentów publicznych i domów gdzie ciąż rezydują. I wiesz ty, Danielu? nawet powozy ich są nienaruszalne; a ztąd wywnioskowałem, że będę mógł przejeżdżać się, bezpiecznie, w powozie zacnego konsula, bez obawy, bez trwogi, bez narażenia się, bez . . . . ale ty piszesz: nie przeszkadzam ci.

Daniel popieczętowawszy listy schował je do skrytej szufladki, zasiadł do biurka i pisał list następujący:

„Drogi mój Edwardzie! Byłem wczoraj ku wieczorowi u Amalii. Znalazłem ją cierpiącą. Nasza niespodziewana wizyta onegdajsza i trwoga jakiej ją nabawiła nasza podróż z powrotem, oddziaływały na jej zdrowie. Ja sam jak się zastanowiłem, przyznam ci się żem ostro siebie zganiał za ustępstwo dla twoich zachceń.

„Mashorka ciągle we krwi brodzi. Więzienie, koszary i obóz są teatrami śmiertelnych widowisk, które w pewnych chwilach większe przybierają rozmiary, i mam powody wnioskować że to jest dopiero wstęp do zbrodni na wielką skalę, gotujących się na październik.

„Na wszystkie strony jest mowa o tym domu, i poszepty o napadzie na niego. Nie wierzę w to, ale trzeba przewidywać wszystko. Pogłoska ta doszła do uszu Amalii. Chce koniecznie żeby ślub wasz nastąpił 1-go października, ponieważ ty postanowiłeś nie opuszczać kraju przed osiągnięciem tego celu twoich pragnień. Lecz przekonałem się iż p. Douglas nie może tu przybyć aż na 5-go i musiała zgodzić się na tę odwołkę.

„Wszystko już skończone. Rezultatem rokowań z panem Mackau będzie pokój. Jednakże będę czekał aż do ostatniej chwili a wtenczas przywiozę ci Amalię, jako już ułożone. Ja już wszystkie moje interesa uporządkowałem, i lada chwila spodziewam się mego kochanego ojca.

„Nie będę u ciebie aż pojutrze. List ten posyłam ci przez naszego pocztowego mistrza, który mocne ma postanowienie już się nie ruszyć ztamtąd.

Niech przy tobie pozostanie. Ściska cię twój Daniel.“

— Pan się zdrzemnąłeś, senior Candido,—mówił młodzieniec składając list.

— Nie, drogi Danielu, rozmyślałem.

— Aha, rozmyślałeś pan.

— Myślałem sobie, iż gdyby pani matka naszego pana gubernatora rzeczywistego nie była poślubiła godnego swego małżonka, bardzo prawdopodobnie nie byłaby miała syna, i mybyśmy dzisiaj nie musieli opłacać miłości małżeńskiej, téj zacnej pani.

— A, przysięgam panu że jeszcze mi taki argument przez głowę nie przeszedł,—mówił Daniel pieczętując list,—oto masz pan kartkę do Edwarda: proszę ją dobrze schować.

— A czy zaraz mam ją odnieść?

— Kiedy pan zechcesz. Ale pojedziesz pan moim powozem, a jeszcze nie gotów.

— A, to wyśmienity pomysł, mój kochany, i . . . . .

Zastukano do bramy, i zaraz wszedł służący, oznajmując bardzo zmieszany głosem komendanta Cuitinio.

Don Candido odrzucił się w tył krzesła i zamknął oczy.

— Niech wejdzie,—rzekł Daniel. Odwagi, kochany profesorze, to nic wielkiego.

— Ze mnie już nieboszezyk Danielu, — odparł Don Candido nie otwierając oczu.

— Proszę komeudancie, — mówił Daniel powstając na przyjęcie gościa.

A zaś Don Candido usłyszawszy go w pokoju przez czysto mechaniczną reakcyę, podniósł się, roztworzył usta konwulsyjnym uśmiechem i wyciągnął obie ręce na ujęcie dłoni komendanta.

Straszny gość usiadł w rogu stołu, przy którym mistrz i uczeń tyle przepędzili godzin.

— Dawno otrzymałeś pan moje zaprosiny, komendancie?

— Już ze dwie godzin, ale byłem na czynności.

— A, ja też sobie mówiłem! kiedy idzie o służbę dla sprawy, wtenczas niema jak pan! Właśnie wczoraj mówiłem to samo prezydentowi, bo jeśli mamy łązić zółwim krokiem jak naczelnik policyi, to lepiej jasno powiedzieć a nie okłamywać Restauratora. Co się mnie tyczy komendancie, ja już nawet nie wiem co to noc przespać! Caluteńką dzisiejszą noc składaliśmy *Gazety* żeby go rozesać na wszystkie strony, bo Restauratora woła żeby się rozchodził federalny zapał. I właśnie ten oto pan robił mi pewną uwagę, która panu już także musiała przychodzić na myśl.

Don Candido zaczynał już zwolna powracać do siebie usłyszawszy że Cuitinio przybył tu na zawezwanie Daniela.

— Cóż to takiego, panie Danielu? — pytał komendant.

— Że *Gazeta* ani słówka nie mówi o panu, ani o federalistach, którzy bezustannie narażają swoje życie dla podtrzymania sprawy.

— Nawet raportów nie umieszczają!

— Komuż je pan przesyłasz?

— Teraz przesyłam policyi, od czasu jak Restaurator w obozie. Widzę ja to dobrze i ten pan ma słuszność.

— Oh! panie komendancie, — odezwał się Don Candido, — kogóżby nie zdumiewało to milczenie względem męża tak wielce zastużonego!

— I to nie dopięro od dzisiaj.

— O, zapewne że nie od dzisiaj. Przed przyjściem na świat miałeś już pan prawa do szacunku powszechnego, bowiem senior de Cuitinio ojciec pański należy do jednego z najpierwszych szcze-pów naszych najczcigodniejszych familii. Jeden ze znakomitych stryjów pańskich, mój przezacny komendancie, był ożenionym jak to słyzałem od moich rodziców, z jedną kuzyną mojej pani matki i z tój przyczyny miałem zawsze ku panu przychylnie uczucie kre-

wnego, a w dodatku łączą nas ściśle i federalne węzły naszej wspólnej sprawy.

— Takim więc sposobem jesteś pan moim krewniakiem? — pytał Cuitinio.

— A tak, i to bardzo blizkim. Taż sama krew w naszych żyłach krąży i winniśmy sobie miłość, szacunek i opiekę wzajemną, dla przechowania naszego rodu.

— Kiedy tak, jeżeli mogę w czém usłużyć . . .

— Jakże to komendancie! — przerwał Daniel ażeby Don Candido nie wydał się z czém więcej—nawet raportów nie ogłaszają?

— Ale gdzie tam: w téj chwili posłałem im raport o tym dzikim unitaryuszu Salces, nie ogłaszają go z pewnością.

— Salces?

— A tak, stary Salces, dopiero co go zarżnęliśmy.

Don Candido zamknął oczy.

— Leżał w łóżku, aleśmy go ztamtąd wyweleki i na ulicy odcieśliśmy mu głowę. Tamtego dnia zarżnęliśmy jednego Tukumana, w przeszły czwartek zarżnęliśmy ośmiu: ze wszystkiego posłałem raporta, i nic. Kiedy tak, ma słusność mój krewniak . . . jak się zowie?

— Candido, — odrzekł Daniel widząc iż właściciel tego imienia, nie wyglądał już na właściciela swojego życia.

— A więc powiadałem, ma słusność mój krewniak Candido, i otóż jak się rozpocznie rzecz na wielką skalę, nie będę się spowiadał nikomu.

— Jakto! dopiero się ma rozpocząć? — spytał Don Candido głosem, który jakby nie z piersi ludzkiej lecz z grobu wychodził.

— Właśnie, teraz się zacznie na dobre: już mamy rozkaz.

— Bezpośrednio go otrzymałeś komendancie?

— Tak panie Danielu. Już teraz nie znoszą się z nikim, tylko wprost z Restauratorem: nie pytam już o Donię Maryę Józefę.

— Patrzenie, już mu się naprzykrzyła!

— Teraz z nią tam w konszachtach Gaetan, Badia i Tronkoso; i zawsze o Baraki i zawsze o tego dzikiego co zemknął, jak gdyby on nie był już u Lavalla.

— Ta pani i mnie nawet nienawidzi!

— Nie, o panu mi nic nie mówiła; tylko téj krewnej pana nie cierpi.

— Powiem panu kiedyś dlaczego. Ale cóż więcej słyhać? Jeszcze nie otrzymałeś pan pewnego rozkazu?

— Nie wiem o co idzie?

— O ten wielki dom, na *Retiro*.

— Ach, dom konsula? Nie, rozkazu jeszcze niema. Ale już wiemy.

— Ot tak! — i Daniel dłoń ze ściśniętymi palcami podniósł przed oczy komendanta.

Professorowi zjeżyły się włosy, oczy wyskakiwały mu z oprawy, zdawało mu się że w Danielu widzi samego Judasza.

- Wiem, wiem, — odrzekł Cuitinio.
- Ale rozkazu niema?
- Nie.
- Tém lepiej i właśnie po to pana zawezwałem. Pański kuzyn jest pewny i wtajemniczony w to wszystko. Otóż panu powiem że jeszcze nie czas, jeszcze ich tam nie wielu. Ale teraz kiedy się na dobre zaczyna, to się dom napełni. I tak około 8-go, 9-go . . . rozumiesz mię pan?
- Tak, tak, — odparł Cuitinio promieniejący dziką radością, zrozumiawszy Daniela.
- Całą gromadkę za jednym zamachem!
- Don Candido myślał o sobie że zwaryował, bo nie mógł uwierzyć że to słyzy.
- Brawo! — mówił Cuitinio—to paradnie! Tylko aby rozkaz.
- A tak, bez rozkazu uchowaj Boże! Ale ja już za tém chodzę.
- I Santa-Coloma także; on ma złość na heretyka: miał tam z nim jakąś bójkę.
- Wiem o tém wszystkiém. Otóż jak ja dostanę rozkaz, to panu dam znać, a jeśli go dostanie Santa Coloma, pan mię uwiadomisz natychmiast.
- Czemu nie!
- Bo widzisz pan taka jest rzecz: ja muszę być tam obecny i przypilnować żeby czasem w zapale federalnym nie tknęli papierów konsulatu. Restaurator gniewałby się, bo to ściągnęłoby mu zatargi z obcém mocarstwem. Rozumiesz pan?
- O, teraz rozumiem.
- Ale choć Santa-Coloma dostał rozkaz, ja jestem tego zdania że lepiej zaczekać z ośm, dziesięć dni, aż ich będzie więcej.
- Ani słowa że lepiej.
- Toż to gratka komendancie!
- O! my wszyscy na to się radujemy.
- To więc już wszyscy o tém wiedzą?
- Wszyscy. Ale póki rozkazu niema, żaden się na nic nie poważy. Tylko cośmy umyślili! Już od dzisiejszej nocy będziemy się zaczajając w okolicy domu.
- A to dobra myśl; tylko o jedném trzeba pamiętać: nie zaczepiać żadnego powozu, tych tylko zatrzymywać co pieszo idą.
- A dlaczegoż powozów nie można?
- Bo to mogą być powozy konsula, a wszystko należące do konsulatu jest pod opieką Restauratora. Tknąć powóz jest to samo co napaść na konsula.
- A! to ja nie wiedziałem!
- Widzisz pan jak to dobrze pogawędzić z sobą? Jakby to się Restaurator gniewał, gdybyśmy się tak spisali żeby go w nowe wplątać wojny!
- Zaraz ostrzeżę towarzyszy.

Tak, tak, nie trać pan czasu: z takimi rzeczami bardzo trzeba ostrożnie.

— Rozumie się!

— Więc już rzecz ułożona. Pamiętaj pan że nic bez rozkazu.

— Niechaj Bóg broni, panie Danielu!

— A jak będzie rozkaz, czekamy aż ich tam się zbierze więcej.

— To, to! A teraz idę ostrzedz żeby nie tykali powozów.

— Tak, tak, to najpilniejsze: zobacz się pan ze wszystkimi.

— Otóż, Candido, jeżeli mogę ci w czém usłużyć, wiesz że mam twój krewniak.

— Dziękuję mój najukochańszy i najzacieńszy kuzynie, — odrzekł Don Candido więcej niż nawpół nieżywy, powstając i biorąc w obie dłonie wyciągniętą do siebie prawicę.

— Gdzie mieszkasz?

— Mój drogi. . . ja mieszkam. . . mieszkam tutaj.

— To dobrze, przyjdę cię odwiedzić.

— Dziękuję, dziękuję!

Daniel wyprowadził gościa i przy pożegnaniu w sali, wsunął mu w rękę sporą sakiewkę.

— Komendancie, tu jest pięć tysięcy *pesos*, które mi ojciec mój przysłał dla rozdania pomiędzy biednych federalistów, a ja pana proszę żebyś tém za mnie się chciał zająć.

— Zdadzą się, panie Danielu. A kiedyż przyjedzie Don Antonio?

— Codzień go się spodziewam.

— Każ mi pan dać znać jak przybędzie.

— Nie omieszkam. Idź pan z Bogiem i służ sprawie.

Daniel wrócił do gabinetu, i niezwracając na to uwagi że D. Candido coraz to rzucał nań spojrzeniem, w którym gniew łączył się z pewnym rodzajem osłupienia, usiadł, wziął ćwiartkę papieru i kreślił następujące wyrazy:

„Edwardzie, wiem już z pewnością, że wszystko co słyhać o projektowanym napadzie na dom pana Slade, są to dotąd tylko czcze gadaniny, bo rozkazu jeszcze niema żadnego w tym względzie. Jednak potrzeba aby konsul dał znać wszystkim, którzy go prosili o przytułek, niech pod żadnym pozorem nie idą tam pieszo, bo na około domu są czaty; lecz powozami mogą całkiem bezpiecznie przybyć, a jeszcze lepiej, żeby to był powóz samego pana Slade. Bądź zdrów“

— Teraz mój kochany mistrzu, w miejsce jednego listu masz pan dwa, — mówił Daniel, wyciągając doń rękę ze świeżo napisaną kartką.

Lecz mistrz wzdrygnął się z oburzeniem.

— Nie! albo i mnie chcesz wplątać w twoją czarną zdradę?

— Jest coś nowego! czy zmysły stracił szanowny krewniak pana Cuitinio?

— Z samym Belzebubem musi być spokrewniony ten morderca, ale nie zemną!

— Przecież pan to sam powiedziałeś?

— Wiemże ja co mówię? ja myślę że zwaryowałem, widząc siebie w tym labiryncie, otoczony zbrodnią, zdradą, kłamstwem: kto ty jesteś, powiedz? Określ swoje stanowisko. Jakże ty w mojej obecności mówisz żeby napadano na dom gdzie ja mam znaleźć przytułek, gdzie się znajduje ten młodzieniec którego zwiesz swoim przyjacielem, gdzie. . .

— Na miłość Bożką, panie Candido, toż wszystko panu trzeba tłumaczyć!

— Jakież tłumaczenie może mieć miejsce tam, gdzie ja sam słyszałem?

— To, — rzekł Daniel rozkładając kartkę niezapieczonej i podając professorowi, którego twarz i oczy rzeczywiście przestraszały.

— A-a-a! — wykrzyknął odczytawszy ją dwukrotnie.

— To jest, senior Don Candido, co się nazywa pracować na cudzym warsztacie, wikłać ludzi w ich własne sidła, ich rękami niweczyć własne ich plany, posługiwać się swemi przeciwnikami: jest to słowem, cała mądrość Riszelięgo, zastosowana do bardzo szczupłych ramek, ponieważ niema tu Anglii ani Roszelli, lecz gdyby były, równieżbym je zastosował. A teraz, powóz mój czeka, jedź pan, i w spokoju odpoczywaj na północnoamerykańskim gruncie.

— Pójdź w moje objęcia, nieporównany młodzieńcze, przez którego przebyłem najokropniejszą z chwil mojego życia!

— No, a po uściskach, idź-że pan już do powozu, wielce znakomity krewniak komendanta Cuitinio.

— Nie znieważaj mię Danielu. Bądź zdrow, najdroższy, bądź zdrow!

W pół godziny potem, Don Candido Rodriguez z głową do góry przechadzał się po terytoryum Stanów Zjednoczonych, według jego wyrażenia; a tymczasem Edward odczytywał listy przyjaciela.

## XV.

### Wróżby i przeczucia.

W dniu 5-tym października, miasto na czerwono umalowane, przystrojiło się na wszystkie strony w chorągwie: był to wymysł dyktatora dla większego uświęcenia każdej federalnej uroczystości. A uroczystość dziś niemała, bo to rocznica dnia w którym przed dwudziestu laty ból zębów przeszkodził mu znajdować się na czele swego oddziału zdobywającego twierdzę. Wojsko



biło się bez niego, pod innym dowódcą, lecz uroczystość święci pamiętkę mężstwa bohatera pustyń.

Lecz wyjdźmy z miasta, które mimo godowego stroju smutkiem serce przejmuje, a z wysokości wzgórza *Balcarce* popatrzymy raczej jak wygląda w dniu tym wiosenna przyroda.

W przestrzeni światło niby ocean płynnego złota, firmament jak niewinność przezroczysty, powietrze łagodne i pieszczotliwe jakby macierzyńskie technienie.

Błonia uśmiechnięte błyszczą wszystkimi barwami, kąpiąc się w potokach jasności: to nadziei szata rozpostarta na ziemi z całym swoim bogactwem, ze świetną grą fantazyi, jak złudzeń, przejrzysty rąbek na duszy zakochanej kobiety w zaraniu życia.

Wszystko tu piękne, łagodne, uroczne. To żywa sprzeczność z moralnym przyrodzeniem pobliskiego miasta.

Lecz zejdźmy na dół. Jest coś, co bardziej nadto piękne i uroczne. Jest bardziej uderzające i niepojęta sprzeczność; mistyfikacja szczęścia czy niedoli, albo raczej prześliczne szyderstwo ze wszystkiego co się działo w owych chwilach: Amalia łudząca się szczęściem, sama w nie nie wierząc.

Amalia piękna jak nigdy, rozmarzona jak dusza poety, całą miłością technąca, łąką własne zrasza szczęście i rozkoszuje się swoim smutkiem: to tajemnica Boga i przeznaczeń, łup który sobie wydzierają, szczęście i niedola, życie i śmierć.

Wejdźmy do onej zaczarowanej willi, która znów dawnym jaśnieje wykintem. Blask słońca przez zazdrostki i firanki zmiekczony, oświeca bogate kobierce i sprzęty salonu; napełniają pokój wonne kadzidła z róż i fijołków porostawianych w koszykach filigranowej roboty, z hiacyntów i laków w małych wazonach ze złożonej porcelany; ciszę przerywa zaledwie blizki szmer wichru pomiędzy drzewami: to ustroń przeznaczona zaprawdę na przybytek miłości, poezyi i wytworności.

Bogini téj groty tu niema. Z rozplecionym włosem okalającym w nieładzie śliczną, jój główkę, w rannym szlafrocжку przewiązanym sznurem jedwabnym, była w gotowalnianym pokoju ze swoją Luizą. Piękna zawsze, w każdej przemianie uroczą, fizyognomia jój była więcej niż zazwyczaj ożywiona. Oczy jój zawsze płonące niebieskiem światłem, wymykającym się z ciemnej źrenicy jak pierwszy promień jutrzeńki przedziera się przez cienie co wschód jeszcze zalegają, zarówno jak twarz jój żywszym ogniem jaśniały. Wszystko w niej dziś niewycyzajne.

Stała na środku pokoju, a wkoło niej rozłożone po krzesłach, na zwierciadłach szaf porozwieszane, przepyszne suknie, bogate koronki i stroje. Ona to wszystko przekłada, podnosi, ogląda. Przymierza na siebie i przegląda się w zwierciadłach. To jest nie ta Amalia poważna, smętna i rzewna, lecz młoda zalotnica rozmilowana w przepychu i strojach, w błachych drobno-  
stkach i próżności.

Bo dziś Amalię po raz pierwszy w życiu nawiedziła zalotność; chce być piękną, piękną tylko dla niego, w dniu złączenia wspólnych losów, w dniu szczęścia ich obojga . . . ach! i rozłąki! Ostatnia myśl ta wśród zajęcia ślubnym strojem coraz do jęj marzeń się wtrącała. Kiedy słońce znów zejdzie, oni będą rozłączeni! i wtenczas Amalia dłonią przyciskała oczy. Lecz znów je otwierała, potrząsała głową jakby dla pozbycia się tój smutnej myśli. Ona sama ten odjazd przyspieszyła, przygotowała doń swoje duszę, zahartowała swoją trwożliwość, a co więcej odważyła się na to co uważała za bluźnierstwo: mówienie o szczęściu wpośród żałoby i krwi tylu innych! On musi dziś koniecznie jechać. Pod tym warunkiem go poślubię. A ona później za nim pojedzie, jak tylko będzie można wydobyć się z tego grobowca żywych. . .

— Ach, co to będzie za dzień, kiedy wszyscy razem znajdziemy się w Montewideo, — mówiła Luiza znając myśl swojej pani. — Jak tam prędko, powiadają, matka panny Florencyi ozdrowiała!

— A, one się uradują pojutrze!

— Ale tutaj . . . widzi pani? nawet ptaszki już nie śpiewają!

— To prawda! uważałaś? one dziś wcale nie śpiewały! — zawołała Amalia patrząc na klatki, jakby jakaś nowa myśl ją uderzyła. — Ale. . . nie chcę dziś o niczem myśleć, tylko o tém żem szczęśliwa. . .

I znów wracając do strojów, wybrała wreszcie suknię, która najlepiej przypadała do jęj obecnego usposobienia, z wielkiem smartwieniem Luizy, bo inne były świetniejsze.

— A teraz, pani pewno będzie wybierać klejnoty?

— Nie, moja mała, na taki obrzęd nie bierze się klejnotów na siebie.

— A, pani! już jak ja będę kiedy iść za mąż, i będę miała tyle pięknych rzeczy co pani. . .

— To się w nie ustroisz. Dobrze, ale teraz idź do sali i przynieś mi róże co tam są.

Luiza pobiegła i przyniosła koszyk z różami. Kwiaty były uciechą i skarbem Amalii. Postawiła koszyk na kolanach, brała róże po jednej, wachala, przypatrywała się, a serce jęj snąć wydierały sobie nawzajem przyszłość i przeszłość, szczęśliwość i czarne myśli, bo na twarz jęj przed chwilą rozjaśnioną, wrócił zwykły wyraz słodkiej smętności.

Kwiaty, wieś, morze, pół-światło, godziny zmierzchu, wywierają na tkliwe i poetyczne dusze pewien wpływ niepochwycony organami zmysłów, z którego dusza sama sobie sprawy dać nie może, ale go czuje i ulega mu. Jest tu prawdziwa część religijna Boga, któręj świątynią natura, a kapłanem serce ludzkie.

Wreszcie Amalia zdawała się już zadowolnioną z jednęj róży, którą z pośród innych wybrała, i włożyła ją w kryształowy kubek na swojej gotowalni.

— Oto moje dyamenty, — rzekła do Luizy.

Lecz czy to naczynie było zbyt małe, czy ciężar kwiatu przeżył, róża wypadła na biały marmur gotowalni, i listki posypały się aż na podłogę: Amalia zadrżała.

— To osobiwszel! dwa razy już mi się to samo przytrafiło i zawsze z białą różą: w dniu kiedy mu oddałam serce, i w tym kiedy mu mam oddać moją rękę . . nie . . Luiza, zobaczymy co jeszcze więcej potrzeba.

Widocznie w dniu tym staczała w sobie uporczywą walkę z zabobonną trwogą, która nagabywała jej umysł. Wyjęła sama z szafy pudło z paryżkiem obuwie, i wybrała trzewiczki zrobione jakby na miarę dwunastoletniej dziewczynki; odłożyła na bok kilka innych przedmiotów potrzebnych do ślubnego ubrania, a potem przystąpiła do klatki żeby pieścić ulubieńców zaniedbanych dziś od rana.

Lecz napróżno zaczepiała ich różanym paluszkim wsuniętym między złoczone preciki, machała rękami nad klatką, wstrząsała nią, co je zwykle pobudzało do śpiewu: ptaszki skakały po precikach, jakoś ociężałe, i nie odzywały się.

— Co im jest, seniora? — pytała Luiza zdziwiona tą niezwykłością.

— Smutne są! — odrzekła Amalia widocznie pod przykrém wrażeniem. Eza zwilżyła jej źrenicę. Wyobrażenia dręczyła tę duszę tak kłiwą a tak losem targaną i własném usposobieniem.

Przystąpiła do okna, uchyliła firankę i wpatrywała się w czyste lazury niebios.

— Nie może być piękniejszy dzień. Jaki spokój . . tylko nie w mojej duszy! . . Która godzina?

— Trzecia wybiła przed chwilą.

— Jeszcze pięć godzin brakuje! . . Luizo, posprzątaj to wszystko.

Mówiąc te słowa Amalia zasunęła napowrót firankę, potem przeszła do sypialnego pokoju i drzwi zamknęła za sobą. Tu panował zurok zupełny, zazdrostki u okien były puszczane. Amalia poszła do małego stolika obok swego łóżka i uklękła przed hebanowym krucyfiksem.

Z pochYLENIEM głowy zsunęły się jej włosy, tylko małym grzebykiem przytrzymane, i gęste ich promienie rozpuściły się jakby płaszczem okrywając jej ramiona.

Tak, na kolanach, oparta o stół, krzyż ściskając w dłoniach, podobną była pięknej Magdalenie. Syn Boży słuchał serdecznych stów jej modlitwy, spojrzenie Opatrzności wszech świat ogarniające czytało w tej przeczystej duszy prawdę jej miłości, wiary i nadziei. . .

\*  
\*  
\*

W tymże samym dniu 5 go października, wieczorem, widzimy w mieście powóz zatrzymujący się przed niepozornym domem w jednej z ustronnych ulic. Po chwili wyszedł z tego domu starszy w ubraniu duchownego, i wsiadł do powozu, gdzie witał dwie osoby zapewne oczekujące na niego. Konic ruszyły rączym truchtem, biegły zwracając z ulicy w ulicę, aż na jednym skrócie musiał woźnica raptem powściągnąć lejce: o mało nie uderzył o trzech jeźdźców przybywających od strony pola, na koniach bez podków, widocznie znużonych kilkomiłowym galopem. Jeden z kawalerzystów zdawał się być w podeszłym wieku, i dowódcą, lub panem innych: poznać to było po przepysznym stepowym wierzchowcu, i po odległości, znamionującej uszanowanie, w jakiej za nim w tyle jechali.

Właśnie ósma wybiła. Ulica *Larga* na Barakach była prawdziwą pustynią. Oko nurzało się w nią, nie spotykając ani jednej żyjącej istoty, ani światełka, ani żadnej wskazówki życia; odgłosu żadnego nie słychać, tylko szelest wiatru po liściach drzew. Rzekłbyś że to jedno z owych miejsc jakie sobie obierają innych światów duchy, kiedy schodzą na nasz świat, w tumany płat obwinięte, i tam biegają, przeszliżgują się, potrącają, śmieją się, śpiewają, płaczą, to w szyby zadzwonią, już się rozpraszają, uikną, i bez kształtu ani koloru po czole muskają, rozgarniają włosy, dmuchnięciem rozogniają wyobraźnię i umykają; naokół miejsc takich pusto i tajemniczo: tam dusza pochwycona zdziwieniem, skupia się w sobie, uciska ją coś nieokreślonego, własnej fantazyi zmyślenia ukazują się jej widziadłami na tle ciemności, mary oddalają się i przybliżają, zjawiają się jakby dymu spiralne kręgi, i rozprawiają się jak mgła w przestrzeni; światełka nagle zapalają się i gasną, w powietrzu słychać śmiechy, jęki, których głos jakby znajomy duszy, i ta coraz bardziej odurzona, ogarnia ją jakieś uczucie które nie jest właściwie pospolitym strachem, lecz niby snem na jawie, coś bardziej zbliżonego do śmierci niż do życia, do ciemnej wieczności z jej tajemnicami niżli do obecności z jej rzeczywistością niebezpieczeństw: mamidła duszy ale nie zmysłów, widzenia wyobraźni w pewnych miejscach, w szczególnych godzinach i w danych okolicznościach . . . .

Lecz w pośrodku tej głuchej pustyni znajdowało się ukryte życie, wśród tych ciemności biły potoki światła osłonięte murami pięknej willi.

Tam w salonie pięćdziesiąt świec odbija swój płomień w zwierciadłach, w połyskujących sprzętach, w wielkich urnach z rżniętego kryształu dźwigających ogromne bukiety, a na szlifowanych karbach pomiędzy kwiatami, igrają barwy wszystkich

drogich kamieni: rubinów, szafirów, szmaragdów, i mieniącego się opalu, i dyamentu błękitnawy ogień.

Gabinet obok salonu tak samo rześście oświecony, tylko w sypialni przyćmiona płonie lampa, a za nią w gotowalnianym pokoju postać Amalii wśród światła promieni się jak *gwiazda wieczorna* wpośród miliona gwiazd. Stojąc przed zwierciadłem dokończyła stroju wdzięcznego smakiem, a cała jej osoba, nadobna, w młodzieńczej świeżości, przносиła myśl w biblijne wieki i przypominała uroczę Izraela córy.

Miała na sobie suknię z ciężkiej materyi koloru jasno-lila, z dwoma szerokimi falbanami z białej koronki, podpinanej białymi różami, doskonałą sztuką naśladowującymi świeżość naturalnych. Na szyi miała tylko sznurek pereł, na którym zawieszony medalion z wizerunkiem jej matki, krył się wpośród mgły koronek przysłaniających jej śnieżne łono. Włosy podwójnym warkoczem zwinięte z tyłu głowy, od przodu zbiegały w pierścieniach aż na ramiona, a po nich spadały końce z angielskiej koronki, przepiętej na głowie białą różą, w miejsce osypanej wybraną.

Nie ta lub owa rzecz w szczególności, ale całość, ale ona sama porywała wzrok i olśniewała.

Oczy jej, najśliczniejsze w świecie, niezwykle dziś ożywione, usta jak rubin płonęły, a delikatny odcień jakby wiosennej róży rozpedził zwykłą błądź jej twarzy. Czy to było wszystko naturalnym skutkiem owęj ukrytej gorączki, która krew burzy w stanowczych chwilach ludzkiego życia? czy też tylko ożywienie, jakie w kobiecie zwykle sprawia światło i zwierciadła gotowalni, blask jej własnej piękności i fantazyjne rojenia myśli? któż to wie! Fizyologia niewieścigo serca złożona cała z tajemnic, wśród których śledząc gubi się rozum! . . . . .

Zegar wydzwonił ósmą, a od pierwszego uderzenia, następne można było rachować uderzeniami serca Amalii przez śniegi koronek co piersi jej przesłaniały, i nagle rubiny i róże przybrały barwy perły i jaśminu.

— Jak pani pobladła, — zawołała Luiza, która jej się ciągle przyglądała w zachwyceniu, — i to zaraz jak tylko ósma wybiła!

— Właśnie dlatego, — odrzekła Amalia przesuując dłoń po czole, i usiadła. Nie wiem co to jest? od szóstej wieczorem, każdy raz co słyszę bijącą godzinę, okropnie cierpię.

— A tak, i ja to już trzy razy uważałam. Wię pani co zrobić? zatrzymam zegar, żeby pani znów nie zastała jak uderzy dziewiąta.

— Nie . . . nie potrzeba. O dziewiątej już oni tu będą i wszystko się skończy. To nic, już przeszło, — mówiła powstając i odzyskując dawniejsze kolory. Idź, powiedz niech tu przyjdzie Pedro.

Dziewczynka wybiegła, a tymczasem Amalia przyciskała do ust miniaturę matki.

Wkrótce wszedł Pedro, tak świeżo wygolony i wyczesany, z zapiętym surdudem pod samą szyję, z miną tak marsową, że wy-

glądał jakby mu dwadzieścia lat ubyło na dzień ślubu córki jego pułkownika.

— Mój poczciwy Pedro,—mówiła ona,—w moim domu nic się nie zmieni. Pragnę być zawsze dla ciebie tém, czém dotąd byłam; zyczyłabym sobie abyś i nadal miał pieczę nademną jakby nad córką, a jako pierwszy dowód przywiązania chciałabym abyś mi przyrzekł że się nigdy zemną nie rozłączysz.

— Seniora, ja . . . ja . . . nie mogę mówić,—rzekł wstrząsając głową jakby ze złości, albo jakby na ukaranie łez które mu wzrok mroczyły i dławiki mowę.

— A więc odpowiedz mi tylko jednym wyrazem, *tak*. Chciałabym ażebyś w następnym tygodniu towarzyszył mi do Montevideo, ponieważ mój przysły małżonek musi dzisiejszej nocy kraj opuścić, moim obowiązkiem jest udać się za nim. Zgadzasz się na to, Pedro? Tak?

— Tak, a jakże, tak, seniora, tak,—powtarzał chcąc pokazać stałość, i dowieść że mógł wiele wymówić wyrazów.

Amalia zbliżyła się do stolika, otworzyła hebanową szkatułkę napełnioną drobnymi klejnotami, wyjęła z pomiędzy nich pierścieneczek, i odwracając się do starego towarzysza swojego ojca, rzekła:

— W tym pierścionku są moje włosy z czasu kiedy byłam małym dzieckiem; niema on innej wartości i dlatego chcę żebyś go miał na pamiątkę. Mój ojciec nosił go na wojnie.

— A jakże! ten sam, znam go, jak go niemam znać!—rzekł żołnierz pochylając głowę i całując pierścieneczek który był w ręku jego pułkownika, jak gdyby to była relikwia.

Oczy Amalii a nawet Luizy zabiegły łzami na widok tego uczucia niekłamane, płynącego z serca i z pamięci.

— Drugą jeszcze mam prośbę, Pedro. Chcę żebyś razem z Danielem był za świadka przy moim ślubie. Nie będzie tylko was dwóch.

Za całą odpowiedź wojak przystąpił do Amalii, ujął jęj rękę w swoje dłonie drżące ze wzruszenia i z uszanowaniem ją pocałował.

— Czy wysłałeś obu służących z willi?

— Jeszcze o zmroku, jak pani kazała: jestem sam jeden.

— Jutro rozdasz pomiędzy nich te pieniądze, nie mówiąc dlaczego,—mówiła Amalia podając mu paczkę papierów bankowych które wzięła ze stołu.

— Pani,—rzekła Luiza,—zdaje mi się że coś słyhać od drogi.

— Czy wszędzie pozamykane, Pedro?

— Tak pani. Tylko ta furtka w żelaznej kratce, nie rozumiem co to jest . . . dwa razy już, mówiłem to pani, znalazłem ją otwartą z rana, choć sam ją zamykam i klucz mam schowany pod poduszką.

— Dzisiaj nie mówmy o tém.

— Pani,—odezwała się znów Luiza,—to powóz jedzie . . . o, i stanął.

— Słyszę. To pewno oni. Wyjdź Pedro, ale nie otwieraj póki nie poznasz.

Weteran wyszedł przez pokoik Luizy w dziedziniec, dla przekonania się kto przybywa do domu córki jego pułkownika.

## XVI.

### Ś l u b y w i e c z y s t e.

Amalia nie myliła się. Były to w rzeczy samej osoby na które oczekiwała od tylu godzin i z takim niepokojem. Niedługo poznała kroki Daniela przechodzącego przez jęj sypialny pokój.

— Ach pani — rzekł zatrzymując się we drzwiach i patrząc na nią, — szedłem tu w nadziei iż będę miał przyjemność zastać tu piękną kobietę, a zdumiony jestem szczęściem znalezienia bóstwa!

— Doprawdy? — odrzekła Amalia ze swoim czarownym uśmiechem naciągając na palce małą białą rękawiczkę.

— Z największą pewnością, — mówił dalej zbliżając się zwolna i oglądając ją rzeczywiście z podziwem; — a na dowód wyznam iż po raz pierwszy patrzę na kobietę takim okiem jak na pewną inną, której . . .

— Której ja zaraz dziś doniosę tę nowinę.

— A za to ja . . . ja to zrobię, — i mówiąc przystąpił bliżej, objął ją z nienacka i pocałował w czoło; a potem odskakując o kilka kroków dodał: — a teraz mówmy seryo.

— Już wielki na to czas.

— Otóż Edward tam czeka a z nim ksiądz który tu nie może dłużej nad kwadrans pozostać.

— A to dlaczego?

— Dla tego, że powóz musi na niego przed bramą czekać a może przechodzić patrol, zwrócić uwagę, a ztąd . . .

— Ach, prawda, prawda... rozumiem... chodźmy Danielu.

Postąpiła krok, i stanęła opierając rękę na stole.

— Cóż to takiego? co ci jest?

— Nie wiem . . . chciałabym śmiać się sama z siebie, a nie mogę . . . nie wiem co się dzieje z mojem sercem . . .

Młodzieniec wziął rękę siostry, położył na swoim ramieniu i poprowadził ją do salonu gdzie ich oczekiwano.

Edward ubrany był całkiem czarno, w białych rękawiczkach. Przy bladęj jego twarzy mocniej jeszcze odbijała hebanowa czarność jego włosów i pięknych oczu, ciemną okoloną obwódka, która nadawała mezkiej jego fizygnomii smętny i poetyczny charakter.

Mimo całego hartu jego duszy, nie możebnym jest człowiekowi z sercem, obojętnie przechodzić chwile tak wielkich postanowień w życiu. Małżeństwo, akt który przecina żywot człowieka oddzielając przeszłość od przyszłości, ustala szczęście lub nieszczęście reszty dni jego bytu; rozłączenie się z ukochanym przedmiotem wraz przy skosztowaniu pierwszej kropli pożądanej szczęśliwości, a w ostatku, opuszczenie kraju wśród śmierci zagrożającej na każdym kroku postawionym na ojczystych brzegach przy ich pożegnaniu: wszystko to są okoliczności zdolne ovladnąć i pognębić duszę najbardziej przyzwyczajoną do żelaznych ciosów losu, gdy wszystkie na jeden raz pomieścić się miały w szczupłym zakresie kilku godzin.

Obłubieńcy rozmówili się obszernie pierwszym wzajemnym spojrzeniem.

Kapłan już najprzód uwiadomiony iż ceremonia ma się odbyć pospiesznie, w jednej chwili przygotował się do aktu może najważniejszego w swoim powołaniu: akt który spaja w jedno dwa żywoty i dwie dusze, który wczwaniem imienia Boskiego uświęca to co serce ludzkie ma w sobie najświętszego i najszczytniejszego, co łączy upadłego anioła z jego Stwórcą: miłość.

Kapłan skończył modlitwę, zadał pytanie, na które odpowiedź jest przysięgą daleko aż po za grób sięgającą, i której żadne ludzkie nie wyrzekną usta bez gorętszego serca bicia. I w imię nierozdzielnej i wiecznej Trójcy, Edward z Amalią, zostali połączeni na ziemi i w niebie; gdyż dusze które Bóg łączy na ziemi najczystsze swoim natchnieniem, jeżeli się tu na chwilę rozdziela, tam się znów łączą z sobą na łonie błogięj nieśmiertelności!

Westchnienie wybiegło z uciśnionych piersi, i w ręki ściśnieniu, w spojrzeniu głębokim, w uśmiechu, nowożeńcy przeżyli wieki błogiego wesela; po raz pierwszy w ich oczach łza radości zabłysła, i blade ich twarze nagle zarumienił odblask wewnętrznego uszczęśliwienia.

Skoro tylko zakończył się obrzęd, Edward dziękował kapłanowi, a tymczasem Daniel odprowadził Amalię na stronę.

— Książd jedzie zaraz powozem, a ja wyjeżdżam na koniu Pedra, — powiedział do niej.

— Jakto! ty jedziesz?

— Tak pani Belgrano, ja; gdyż mojem jest przeznaczeniem nie pozostawać spokojnie na jednym miejscu, dlatego ażeby pani małżonek dostał się spokojnie do Montewideo.

— Cóż to mój Boże! cóż się znowu stało? przecież miałaś z nami zostać aż do chwili jego odjazdu?

— To prawda, i będę tu; lecz właśnie dlatego na krótko muszę się oddalić. Umówiłem się z Duglasem że jeszcze się z nim zobaczę w pobliżu portu między dziewiątą a dziesiątą, żeby się dowiedzieć czy jaka nowa okoliczność nie nakaże jakiej zmiany w naszym planie. A że to Anglik bardziej punktualny od Anglika, pewien jestem że



nim kwadrans minie, on już będzie na miejscu schadzki, bo dziewiąta już blisko. Za godzinę będę z powrotem. Fermin odwiózłszy księdza pojedzie do domu i przyprowdzi mi tu wierzchowca, na którym wrócę potem do siebie. Ale muszę się spieszyć: idź pożegnać księdza.

Jednocześnie powóz ruszał z przed domu, Edward zamykał bramę, a Daniel furtką wyjeżdżał, nucąc jedną z naszych piosnek a raczej dumek, których nuta mniej więcej jest ta sama do różnych słów: okryty ponszem, jechał małym truchtem z obojętnością prawdziwego *gaucho*.

Wróciwszy do salonu, Edward przystąpił do swojej oblubienicy i małżonki i ujawszy obie jej ręce, z rozkoszą się w nią wpatrywał. A potem przyciągnął do swojej piersi i nie mówiąc, nie mogąc mówić, tulił ją w długim uścisku, pojąc się jej szczęsnym uśmiechem, jej spojrzeniem miłosnym. Lecz nagle jakby elektryczną iskrą dotknięta młoda kobieta zadrżała, wyrwała się z jego objęć i ze spuszczoną głową przebiegła salę i gabinet, a wszedłszy do swojej sypialni stanęła przed krucyfiksem, wlepila weń wzrok jakby prosiła o radę lub opieki błagała.

Edward poszedł za nią prawie nieprzytomny ze zdziwienia a raczej z przerażenia, na widok tego nagłego wzdrygnięcia się i bladoci swojej małżonki.

— Na Boga! co ci jest Amalio? — spytał w końcu biorąc ją za rękę i sadowiąc na małej sofce obok siebie.

— Nic... nie Edwardzie, już przeszło... cierpiałam bardzo... zabobony... nerwy... nie wiem sama co, ale już minęło.

— Nie, Amalio, to coś było szczególniejszego; chcę wiedzieć co, bo w tej chwili ja więcej cierpię niż ty.

— A więc uspokój się: to od bicia zegaru, więcój nic.

— Ależ? . . .

Nie pytaj, nie rób mi uwag, wiem co byś mi powiedział: ale to nie było w mojej mocy i przez cały wieczór tego samego doznawałam wrażenia.

— Z pewnością to tylko?

— Przysięgam ci.

Edward odetchnął jakby mu ogromny ciężar spadł z duszy.

— Najdroższa, — mówił — gdy uczułem twoje wzdrygnięcie się, gdy uciekając z moich objęć poszłaś szukać opieki Boga, okropna myśl przemknęła mi się przez głowę i wciągu minuty przeżyłem cały wiek udręczeń. Zdawało mi się że to objaw jakiegoś wstępu, oburzenie się twojej duszy przeciw węzłom które nas na wieki złączyły.

— I ty mogłeś to pomyśleć Edwardzie? o mój Boże! tego mi jeszcze brakowało!

— Przebacz mi najdroższa Amalio, przebacz . . . moje życie tak skołatane burzami, moja miłość niewymowna, słodkie nadzieje które we mnie ta szczęsna obudza chwila, wszystko to spiknęło się razem i umysłem moim zachwiało . . . Przebacz mi mój aniele . . .

Obsypywał ją tysiącnymi pieścizotami, a ona mówiła:

— To moja najpiérwsza i jedyna miłość, piérwsze zamęczenie, piérwszy mój szczęścia dzień. Boleści, osamotnienie, sieroctwo mo-

jego życia, wszystko zapominam. Dziś dla mnie rozpoczyna się życie przez ciebie, dla ciebie i w tobie. Jeżeli się czego lękam, to tylko tój okropnej mary która mię zawsze prześladowa, pokazując mi iż w losie moim jest trucizna nieszczęścia, zabija lub nieszczęśliwymi czyni wszystkich którzy mię pokochają i jeżeli zamknęłam oczy na moją gwiazdę, to dlatego, że tylko moją ręką mogłam okupić twój odjazd. Gdyby nie to, byłabym poświęciła i to szczęście które mię teraz upaja, aby oszczędzić sobie nawet przypuszczenia iż mogę choćby jedną chwilę złą na ciebie sprowadzić . . . widzisz jak ciebie Kocham !

— Oh, to zbyt wiele szczęścia, by jedno serce mogło je ogarnąć ! . .

Chwile płynęły . . . godzina przeszła jak jedno mgnienie, albo jak długi wiek rozkoszy . . .

## XVII.

### Gody weselne.

Kiedy zegar wydzwaniał dziesiątą, Pedro otwierał furtkę na wejście Daniela usłyszawszy i poznawszy piosnkę jego w ponurój i głuchój ulicy *Larga*.

W tejże samej chwili Amalia za pierwszém uderzeniem zegara, wstrzęsła się gwałtowniej niż poprzedniemi razy i głowę chroniąc na piersiach swego małżonka, machinalnie objęła go rękami jak gdyby dźwięk kruszcu był złowieszczym głosem ducha boleści, oznajmującym jēj nieszczęście w tém co było połową jēj życia, jēj całym życiem.

— Co to jest mój ukochany ? — rzekła wreszcie podnosząc na niego oczy z których błyskała miłość wśród chmury smutku i niepokoju, — co to takiego ? Pierwszy raz w życiu odbywa się taka tajemnica w mojej duszy i w miarę upływu godzin coraz silniejszego i gwałtowniejszego doznaję wrażenia. Więc nawet i obok ciebie nie mogę być szczęśliwą ?

— Aniele drogi, to twoja wyobraźnia, nic innego. Umysł twój przygnębiony cierpieniem napełnił się przywidzeniami, które się prędko rozproszą, skoro miłość będzie czuwać nad twoim spokojem. Powietrze Buenos-Aires osłabia ducha i ciało; ale niedługo będziesz przy mnie daleko ztąd.

— Ach, jak najprędzej mój Edwardzie. Ja tu żyć nie mogę i nigdzie dla mnie życia niema bez ciebie.

— Zawsze będziemy razem.

— A dlaczegoż nie od dzisiaj. Zostawię wszystko: Pedro z Luizą potem za mną przybędą.

— Nie, to być nie może.

— Zabierz mię z sobą Edwardzie, zabierz mię. Alboż nie jestem twoją żoną? Nie powinnam pójść wszędzie za tobą?

— Ale nie możesz się tak narażać moja duszo, nie pozwól na to.

— Więc ty się narażasz? Po cóż mię oszukują! przecież mi ręczono za zupełne bezpieczeństwo!

— I to prawda, niebezpieczeństwa niema; lecz może nam wypadnie pozostać na rzece dwa, trzy, cztery dni.

— Cóż mi to szkodzi, skoro będę z tobą?

— Nie zmieniamy nic w naszych planach Amalio. Po ślubie szanujemy wszelkie przedślubne zobowiązania. Jeżeli przed dwoma tygodniami nie przywiezie cię Daniel, to bez niego się wybierzesz; bo do téj pory będzie zawarty pokój z Francją, a wtedy wsiadanie na statek stanie się zupełnie łatwem i bezpiecznem. Pamiętaj moja droga, że odjeżdżam na twój rozkaz, a więc ty powinnaś zostać na moją prośbę . . . Lecz zdaje mi się że kogoś slyszyć w salonie.

— To pewno Daniel!

Był to on rzeczywiście i wkrótce powitał młodych małżonków.

— Bóg na nas łaskaw Amalio,—rzekł—wszystko dobrze i zupełnie gotowe. Tylko zamiast czekać do świtania, Douglas wyzna-  
czył godzinę wypłynięcia na dwunastą w nocy, to jest za dwie godziny.

— Po cóż ta zmiana?

— Ja ci tam tego nie umiem wyjaśnić, lecz taką mam ufność w przezorności i oświadczeniu mego sławnego kontrabandzisty, że skoro on tę godzinę obrał, już go nie pytałem o nie, będąc pewnym że ta musi być najwłaściwszą.

Edward wziął rękę Amalii i w uścisku zdawał się chcieć przelać w nią całą swoją duszę.

Daniel popatrzył się na nich z czułością, a w końcu rzekł:

— Los odmówił dogodzenia najgorętszym życzeniom moim, pragnętem widzieć uszczęśliwienie wasze z mojem jednocześnie. Wspólnie ogarnięci niedolą chciałem żebyśmy w jednéj godzinie odkradli przeznaczeni chwilkę na naszą wspólną szczęśliwość; gdyby Florencyja w téj chwili znajdowała się obok mnie, byłbym najszcześliwszém stworzeniem na świecie . . . lecz zresztą dopiąłem piérwszój połowy moich pragnień. Druga . . . w rękę Boga!

W sercach ich trojga mieściło się czucietak głębokie, tak tkliwe, każde z nich tak zgodny brało udział w losie drugich, że ich wzajemne wrażenie szczęścia lub boleści, niepokoju lub smutku, magnetycznie udzielało się natychmiast i w téj chwili łaż kradzioną lecz z głębi serca wytrysniętą zwiłżyła oczy ich wszystkich. Lecz Daniel posiadał w charakterze szczególną moc zapanowania nad sobą, a duszę tak szlachetną, tyle zdolną do zaparcia się, iż z łatwością poświęcał wszystko dla szczęścia drogich sobie osób. Zmiarkował się natychmiast iż okrucieństwem byłoby dolewać kroplę zmartwienia do czary szczęścia zaledwo zbliżającój się do ust tych dwóch istot, tak boleśnie przez los dotkniętych; powstał więc natychmiast i uściskawszy z kolei oboje, powiedział:

— Dajmy temu pokój a cieszymy się chwilami których nam los użyzcza i nie myślny o czém inném jak o dniach które niedlugo będziemy spędzać w Montewideo.

Pedro wniósł tacę z herbatą do gabinetu, który jak wiemy znajdował się pomiędzy sypialnym pokojem a salonem. Amalia z małżonkiem i bratem przeszli tam i zasiedli w okolo stolika.

Nim dziesięć minut ubiegło już Daniel powrócił wesołość do szczupłego przyjaciół grona. Pełen życia, miły, dowcipny, łatwy w rozmowie i zręczny w jej zwrotach, umiał ję nadać charakter i popęd, którym niepodobna było się oprzeć.

W ostatku zapragnął jeszcze młodą parę pogniwać z sobą, żeby ich obdarzyć przyjemnością pogodzenia się; gdyż według niego jedną z najpięrszych potrzeb rozkochanego serca, były owe chwilowe gniewy sprowadzające pojednanie, a z niém powrót serdeczności w silniejszej potędze. A więc drażnił ich, próbował obudzić zazdrość, zartował, śmiał się . . . aż nagle głos Luizy jak piorun padł między nich troje.

Był to krzyk przeraźliwy, okropny, na wskrós przesywający i jednocześnie ujrzeli dziewczynkę wystraszoną, biegnącą z dalszych pokoi i również jednocześnie słycać było strzał w dziedzińcu, jakby nawalnicę krzyków i szybkich stąpań.

I zanim Luiza mogła wyrzec słowo, nim ją kto zapytał, wszyscy odgadli co się stało, a wraz z tém instynktowém odgadnięciem prawda ukazała się im przez szyby gabinetu, od tylnęj strony domu z kąd przybiegła mała: gromada przerażających postaci wtargnęła przez pokoi Luizy do gotowalnianego pokoju Amalii. I wszystko to zacząwszy od wykrzyku dziecka aż do ukazania się tych strasznych ludzi stało się w przeciagu chwili krótkiej jak błyskawica.

Lecz także z równą szybkością Edward małżonkę wciągnął do salonu i porwał z kominka swoje pistolety.

W tęg chwili, gdyż wszystko to było jednocześnie i nagle, Daniel pociągnął stół i wraz z lampą, z tacą, ze wszystkiém co się na nim znajdowało, przewrócił te drzwiach łączących gabinet z sypialnią.

— Ratuń nas Danielu! — wołała Amalia przyskakując do Edwarda gdy brał pistolety.

— Tak moja Amalio, lecz tylko walcząc, już nie czas mówić.

Ostatnie te wyrazy przygluszył grzmot wystrzału pistoletów Edwarda, który dał ognia o cztery kroki do jakieg dziesiątki łotrów już rozsypujących się po sypialni, a przez ten czas Daniel rzucił krzesła przede drzwi, a w podwórzu powtarzały się strzały i nagle ryk podobny do lwiego podniósł się nad wrzaski, zgiełk i huk wystrzałów.

— O Boże, zabili Pedra! — krzyknęła Amalia uczeplona o lewe ramię Edwarda, nie mogącego sklonić ją do usunięcia się na stronę opodał.

— Jeszcze nie, — rzekł weteran wchodząc przez drzwi od salonu prowadzące w krużganek. Twarz i piersi zalane miał krwią, która toczyła się strumieniami z cięcia jakie otrzymał w głowę.

Lewą ręką obcierał sobie krew z oczu, a prawą usiłował zaryglować drzwi któremi wszedł i w niej trzymał swój pałasz.

Pióro, myśl nawet nie zdołał uchwycić wszystkich szczegółów tej sceny w jej całym szybkim i nagłym ruchu.

— Gubisz nas Amalio, puść mię, przejdź do salonu, — powtarzał Edward, a głos jego nikał wśród zgiełku i piekielnej wrzawy rozlegającej się z dziedzińca, z gotowalnianego pokoju i obok krzyku tych co się do sypialni wdarli i z których jeden poległ już od kuli Edwarda. Szklą zwierciadel gotowalni rozlatywały się kawałkami pod rąbaniem pałaszów. Cięli po sprzętach, po szybach okien, po szklach i porcelanach umywalni, po wszystkiem co pod rękę im podpadło, a razem tym towarzyszył wrzask dziki powiększający okropność tej sceny zgrozy i śmierci.

Na odgłos strzałów Edwarda, niektórzy ze zbójców co wtargnęli do sypialni, cofnęli się o kilka kroków, inni zatrzymali się nagle, nie posuwając się ku owęj barykadzie ze stołu i krzeseł którą zaimprovizował Daniel we drzwiach; lecz wtém dwóch nowych wpadło do tegoż pokoju.

— Ach, Troncoso i Badia! wysłańcy Maryi Józefy!—krzyknął Daniel, stojąc z boku przy drzwiach z pistoletem obróconym kolbą do góry, gdyż nie miał więcej nabojów: broń zbyt słaba w tak nierównój walce.

I kiedy ci dwaj ludzie wpadali jak dwa szatany, jeden z pistoletem w rękę, drugi z szablą, Edward porwał wpół Amalię, podniósł ją i złożył na sofie w salonie, a sam pochwycił swoją szpadę i pobiegł przeciw napastnikom. Pedro zainknawszy słabą zasuwkę u drzwi sali, chciał z wysileniem pójść za Edwardem; lecz o dwa kroki zdradziły go siły, kolana się ugięły, i drżący ze wściekłości upadł przed sofą na której siedziała młoda kobieta. Objął jej nogi, brocząc krwią to ukochane dziecko, które jeszcze chciał ratować, przytrzymując aby nie wstała z miejsca.

Piorun nie spada bardziej szybki i zabójczy, jak miecz Edwarda spadł na głowę bandyty najbliższego przy barykadzie ze stołu i krzeseł, z pomiędzy jakich dziesięciu lub dwunastu, którzy na głos dowódców rzucili się na tę słabą zaporę. A Daniel dosięgnął ramienia drugiego i wytrącił mu je uderzeniem kolbą.

Pedro siłił się powstać napróżno, gdyż śmiertelnie był ranny w głowę i w piersi; zdobywał się tylko na tyle siły iż Amalię przytrzymywał za nogi, i powtarzał do Luizy również obejmującej swoją panią:

— Zagasić światła, na Boga: zagasić!

Lecz dziewczyna go nie słyszała, a choćby nawet i usłyszała nie byłaby mu posłuszną, gdyż lękałaby się zostać po ciemku, jeżeli możliwym był większy przestрах nad ten który ją ogarniał.

Dwa trafne ciosy Edwarda i Daniela ściągnęły na nich jeszcze większą liczbę zbójców, gdyż na rozkaz przywódców wbiegli i ci, którzy tłukli i plądrowali po gotowalni. A kiedy rzucili się na słabą barykadę, sam Edward zniecierpliwiony tą zaporą która mu prze-

szkadzła sięgnąć dalej swoją szpadą, próbował nogą odrzucić krzesła i już się zaczynała otwierać droga z jednego pokoju do drugiego, gdy wtém Daniel silnym razem w głowę powalił jednego bandytę, który padł na miejsce już nieco opróżnione.

— Ratuj Amalię, Danielu, ją ocal, mnie zostaw samego!— krzyczał Edward odbijając ciągle swoją szpadą sztylety i szable jeżące się z zapalczywym ruchem ku niemu.

Wszystko to trwało już od dziesięciu minut, kiedy około ósmiu z tych zbrojów wyszło tyłem z sypialni, podczas gdy inni usiłowali ciągle rozrzucić powywrzucane sprzęty. Lecz przysuwali się z bojaźnią i zaledwie parę krzesel uprzątęli, tam gdzie ich nie mogła dosięgnąć szpada Edwarda.

Żaden z dwóch młodych ludzi nie był dotąd rannym, a Edward opuszczając dla wytechnienia na sekundę zmordowane ramię, rzucił okiem przez szyby gabinetu w stronę gdzie siedziała jego Amalia, powstrzymana przez dziecko i przez konającego starca, a potem wracając znów do Daniela rzekł mu po francuzku:

— Wyprowadź Amalię z sali przez krużganek, wyjdź na drogę i dotrzej do parowów tam naprzeciwko: a ja za pięć minut potłukę wszystkie lampy, przedrę się przez tę tłuszcę i dobiegnę do was.

— Tak, to jedyńy środek,—odrzekł Daniel,—wiedziałem o nim, ale nie chciałem ciebie zostawić samego, i teraz nie chcę. Spróbuję wyprowadzić Amalię i wracam za dwie minuty; ale cię zaklinam nie przedzierać się za barykadę.

Daniel lotem błyskawicy przebiegł do salonu, a w chwili gdy obalał jedną lampę i jeden świecznik z dwóch palących się, rozległo się silne uderzenie we drzwi z krużganku, zasuwka odskoczyła, drzwi się na oścież roztwarły, i do salonu hurmem wpadła zgraja szatanów, któremi otaczał się ten rząd z piekła rodem, przeklęty na wieki w dziejach potomności argentyńskiej.

Krzyk straszny, jak gdyby wraz z nim rozszarpywało się serce na sztuki, wydarł się z piersi nieszczęsnój Amalii, i wyzwalaając się ze stygnących rąk Pedra, i z bezsilnych dziewczęcia ramion, pobięła zasłonić sobą swojego Edwarda, a jednocześnie Daniel pochwycił pałasz konającego już weterana, i także wbiegł pędem do gabinetu.

Lecz zaraz za nim i mordercy wbiegli. I kiedy Edward przyciskał do serca Amalię chcąc być ostatnią jej tarczą, wszyscy już byli w jednym tłumie zmieszani. Daniel otrzymał pchnięcie noża w prawe ramię, a sztylet przeszył przez plecy pierś Edwarda, który jeszcze przez kilka sekund zdołał na nogach się utrzymać nadprzyrodzonym wysiłkiem, gdyż rana była śmiertelną.

I w chwili gdy w jednym kącie gabinetu podtrzymywały go zaledwie ramiona Amalii, a prawa ręka ostatniemi żył drgnięciami podniosła się jeszcze w górę wygrażając zbrojcom; i kiedy w drugim kącie Daniel z szablą w lewem ręku bronił się jak lew; kiedy w sali dwóch bandytów odrzynali głowę bezprzytomnemu weteranowi, w tój samej chwili słychać było gwałtowne stukanie do bramy od ulicy.

Luiza która w przelęknieniu wybiegła w krużganek, poznała głos Fermina, odsunęła rygiel i otworzyła się brama.

A wtedy starzec, ciemnym odziany ponszem, wpadł wołając głosem piorunującym, lecz zarazem boleścią straszny, jakim bywa głos ręką natury z serca wydarty:

— Stójcie! stójcie! w imię Restauratora!

Wszyscy głos ten usłyszeli z wyjątkiem Edwarda, bo jego dusza w tej chwili ulatywała do Boga, a głowa opadła na łono Amalii . . . . . Nieszczęsna pochyliła czoło i bez czucia padła wśród rzeki krwi tuż obok ciała swojego małżonka . . . . .

I w tej samej chwili zegar jedenastą wydzwonił.

— Tu, mój ojcze, tutaj! ocal Amalię! — wołał Daniel słysząc i poznając głos.

I razem z temi słowy młodzieniec otrzymawszy nową głęboką ranę w głowę, bez sił i zmysłów padł w objęcia swojego ojca.

Na jedno słowo opadły sztylety, które toż samo słowo podnosiło do tyłu klęsk i zbrodni!

### W miejsce epilogu.

Może kiedyś później, kronika objawi nam coś zajmującego względem losu niektórych z postaci, jakie występowały w tém nazbyt rozwlekłym opowiadaniu.

Nateraz podaje ona tylko tę wiadomość, iż w dniu następnym po owym krwawym dramacie, sąsiedzi z Barak ciekawością zdjęci, wszedłszy do opustoszałej willi, znaleźli w niej tylko cztery trupy: starego Pedra z głową odciętą od tułowu, i trzech członków towarzystwa ludowego. Ciała te pozostały tam aż do zmroku, a wtedy zabrano je na wóz przysłany przez policją, i jednocześnie zrabowano resztę rzeczy pozostałych na stołach, w komodach i szafach.

Jest wieść także, iż Don Candido Rodriguez, po śmierci pana Slade przypadł w kilka tygodni po wyż opisanych wypadkach, zmuszonym był aż przez sędziego pokoju do wyjścia ze swego przytułku, gdyż stanowczo wzbraniał się opuścić terytoryum Stanów Zjednoczonych, mimo że wraz ze zgonem konsula, dom pozostał bez konsulatu.

A o pani Marcellinie to tylko słyhać, iż dnia pewnego przybyła ofiarować profesorowi swoją rękę, jako żywą pamiątkę niebezpieczeństw wspólnie przebytych; lecz Don Candido ofiarę tą odrzucił ze zgrozą.

# SERBIA.

## Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P . . . . .

---

Dla każdego w ogóle piszącego nie małą stanowi trudność nakreślenie obrazu kraju i ludności, które się zna nie z własnych spostrzeżeń, ale z doniesień i opisu podróżników. W obec takiego ograniczonego źródła nikt nie wszelka niemal indywidualność pióra; najobszerniejsze słowo należy się w tym razie przewodnikowi podróżnemu. Któż nadto jest w stanie zachwycić czytelnika obrazem zdjętym nie z wdzięcznego oblicza natury, ale z nieudolnego opisu podróżnika, obojętnego na czarujące widoki przyrody; kto wreszcie zdoła wyprowadzić na widok ludność i jej życie rzeczywiste, jeśli się sam piszący w tém jej wielostronném życiu nie obracał, jeśli się sam pilnie nie przypatrywał tym ludziom w stosunkach codziennych i publicznych, w dniach smutku i wesela, śród pracy i chwil wytchnienia? Szczęście, jeśli jeszcze można przebierać w gruntownych opisach, szczegółowych doniesieniach. Nie da się to do Serbii odnieść. Tam naukowo poszukiwania w ogóle dopiero w ostatnich latach pierwsze kroki stawiać zaczęły w dziedzinie przeszłości dziejowej i umysłowej, ale do badań nad powierzchnią zamieszkaną ziemi i jej wnętrzem, jeszcze właściwa nie nadeszła pora. Przenoszenie zaś na papier rysunku miejscowego ludu, jego zwyczajów i obyczajów, przedstawiało mało zajęcia dla tych, co sami do téj ludności należą i wśród niej żyją. Taka czynność staje się zwykle udziałem obcych — podróżników, których uderzają spostrzegane na cudzej ziemi odmienne typy, inne zwyczaje, niezwykłe rysy ludowego życia.

Ale i w tym względzie nie poszczęściło się Serbii. Nigdy tu nie zawitał Humboldt, nigdy tu nie powstała stopa Baedekera, Kiselačka. Przed dawnymi laty zwiedzali te strony Viquesnel, Lejean, po-



święciwszy swe prace zbadaniu pod wielu względami całej Turcyi. Pierwsze dokładniejsze mapy tureckich prowincyj im zawdzięcza nauka. Nierównież większe na tém polu położył zasługi niezmordowany podróżnik Ami Boué, który wygotował w 1840 roku obszerną czterotomową pracę p. n.: *La Turquie d'Europe* (Paris). Było to w swoim czasie głośne dzieło, do obecnej chwili nie pozbawione wartości pod względem opisów jeograficznych. Boué robił wymiary przetrzeni i wysokości, badał pokłady geologiczne, zbierał wiadomości historyczne, statystyczne i nakreślił obszernych rozmiarów obraz Turcyi, między innymi prowincjami i Serbii, obraz, którego wartość w rozdziałach statystycznych z postępem czasu oczywiście się zmniejsza, który wszakże pod względem wiadomości geologicznych, orograficznych pozostanie powagą na długo... dopóki nowsze w tej dziedzinie nie powstaną badania.

W etnografii czyli opisie ludu, jego życia domowego, Ami Boué odznacza się starannością rysunku i skwapliwością w gromadzeniu szczegółów, ale wykład pozbawiony jest żywości.

Z pomnikowem dziełem wystąpił przed kilką laty F. Kanitz, podróżnik austriacki. Jest to nie przebrany w każdym kierunku skarb wiadomości o Serbii. Rządowe znaczne zasiłki pieniężne pozwoliły mu w ciągu lat kilkunastu odbywać nieprzerwane studia. Łatwo się domyślcć, dlaczego rząd austriacki tak hojnie wspierał usiłowania naukowe celem zbadania Serbii, usiłowania, powiedzmy, uwiecznione tak pięknym i bogatym plonem. Siedmnaście powiatów, na jakie się dzieli obecne Księstwo Serbskie, wszystkie bez wyjątku zwiedził Kanitz, w niektórych w ciągu dłuższego czasu kilkakrotnie przebywał, odszukiwał ludność serbską w najodleglejszych zakątkach kraju, w leśnych kniejach Szumadyi, na wyniosłościach Kopaonickich gór, w dolinach zielonej Driny i w kotlinach Morawy a wszędzie badał jego zwyczaje, jego charakter, podsłuchiwał jego pieśni i podania i zastanawiał się nad polityczno-społecznym stanem Serbii. Zwiedzał nadto Czarnogórze, Hercegowinę i Chorwacyą austriacką, mógł więc drogą porównawczą dokładniej sądzić o całym szczepie serbskim w tych różnych stronach osiadłym. Żadna literatura, prócz niemieckiej, tak pomnikową pracą poszczycić się w obecnym czasie nie może. Jestto książka o 700 z górą stronicach (1). Przewodnictwu dwóch znakomitości Ami Boué i Kanitza powierzamy się, puszczając się w drogę dla poznania kraju i ludu serbskiego.

(1) Serbien. Historisch ethnographische Reise studien aus den Jahren 1859—1868, von F. Kanitz. Leipzig 1868. VIII i 726.

## V.

## K r a j i l u d n o ść.

Stańmy około Beogradu, (to jest Białogrodu), tam gdzie wody Sawy wpadają od zachodu do „cichego Dunaju” i zwróćmy się twarzą ku południowej stronie. Linia Sawy i Dunaju oddziela Serbię od Austrii. Niech to będzie podstawą figury geometrycznej, wtedy cały kraj w swych granicach politycznych przedstawi nam się w kształcie trójkąta, którego dwa boki zbiegają się u wierzchołka w górach Kopaonickich a boki te stanowié może od zachodu rzeka Drina, od wschodu rzeka Timok. Do pierwszej przytyka ościenna ziemia Bośnia, do drugiej Bułgaria a u wierzchołka trójkąta sąsiaduje Serbia z Albanją: pomieściła się więc wśród otaczających współplemiennych ludów. Gdyby wierzchołki gór Kopaonickich wznosiły się nieco wyżej nad poziom, możeby się nawet dało z ich szczytów ogarnąć okiem całe księstwo, bo ono nie zbyt wielki obszar zajmuje: jak najnowsze obliczenia wykazują, nie więcej jak około 800 mil kwadratowych (1). Jój przestrzeń dorównywa zatem rozległości Szwajcaryi, jest nieco mniejszą od Czech, trzy razy zaś mniej miejsca zajmuje jak Królestwo Polskie.

Cała powierzchnia Serbii odznacza się przeważnie charakterem podalpejskim. Jest to kraina górzysta, która pod względem swoich nierówności przypomina Hercyńskie góry (Harzgebirge). Cała masa jój wyniosłości nie stanowi oddzielnego samoistnego systematu, owszem niemal wszystkie pasma i grzbiety są tylko przedłużeniem sąsiednich gór i jako częściowe odnogi rozchodzą się z odległych pni górzystych. Od strony zachodniej, od Bośni ciągną się w kierunku południowo-wschodnim gałęzie gór, które do nadmorskiego pnia alpejskiego należą, od północno-zachodu zaś wkraczą wyniosłości, które się oderwały od siedmiogrodzkich Karpatów i od Bałkanów.

U wierzchołka trójkąta, w jakim się, jak to wyżej nadmieniono, przedstawia pod względem swych granic politycznych obecne Księstwo Serbskie, zgromadziły się najwyższe wypukłości ziemi serbskiej. W stronie południowej, na samym krańcu wznoszą się szczyty Kopaonickie, które na 6,000 stóp sterczą nad poziomem. Ta wyniosłość nad całą Serbią panuje, nad całą przestrzenią do Sawy, Dunaju i Bałkanu. I w odwrotnej południowej stronie odsłania się z wierzchołka Kopaonika rozległy widok na sąsiednie równiny Kosowego pola, tyle pamiętnego dla każdego Serba, jako smutne miejsce grobu wielkości Serbii. W łagodnej linii piętrzą się Kopaonickie góry, podnoszą się z lekka niby taras a wszędzie pokrywa je gęstwina leśna drzew iglastych. Nierównieź niżniejsze pod jeograficznym względem są sąsiednie od zachodu góry lubo mniej wysokie. Z nich bowiem wężokrętym bie-

(1) Statistische Tafel von Hübner. 1872. Serbski statystyk Jak-szyca liczy tylko 760 □ m., Engelhard zaś 998 □ m.

giem spływa Morawa, z południa dążąc ku północy i po kolankowém zgięciu na znacznej przestrzeni, połączywszy się z bułgarską Morawą, znowu w północnym kierunku niesie swe wody do Dunaju. Dolina Morawy dzieli Serbią na dwie połowy, godne uwagi z tego powodu, że prawa strona stanowi jakby graniczną miedzę pod względem etnograficznym; we wschodniej części tylko sporadycznie wśród przeważającego rumuńskiego żywiołu osiadł żywioł serbski, właściwem zaś ogniskiem narodowem jest lewa, zachodnia strona od Morawy.

Serce przeto serbskiej ziemi mieści się w stronie ku Bosnii od Morawy aż do granicznej Driny. I tu także przemaga charakter górzysty. Z płaskowzgórza podnoszą ku niebu swe czoła, zwłaszcza pamiętne w dziejach Rudnickie góry. Pojedyncze ich szczyty Sabor, Wieniżac, Sturac, sterczą niemal na dwa tysiące stóp nad poziomem. Ponura dzikość natury gór Kopaonickich zamienia się w łagodny uśmiech krajobrazu ożywionego górniczym przemysłem, liściastym dębem i jaworem, ztąd też piękno malownicze miano całej tej krainy, którą lud nazwał Szumadją, bo tu „jodły szumią na gór szczycie.“ W tych gościnnych górach szukał Raja schronienia, kiedy mu nad miarę dokuczało jarzmo niewiernego Turczyzna; tu na płaskowzgórzu leży owa Topola, kolébką i grób pierwszego wyswobodziciela Serbii Jerzego Czarnego, tam znowu w rozkosznej dolinie wśród wieńca buków i jesionów Czernucza, druga ojczyzna Obrenowiczów i nieco dalej te nigdy nie zapomniane miejsce Takowo i Wraczesznica, zktąd się w 1813 r. rozległo Miłosza hasło do boju a znowu dalej pierwsze stołeczne miasto Kragujewac, gdzie gotowano dla Serbów broń do ostatniej zwycięzkiej walki.

Wśród licznych dolin, jakimi są przerzniete Rudnickie góry spływają drobniejsze strumienie ku Morawie. Miejscami ciasne wąwozy (klisure) zabiegają drogę rzeczkom, które w krętym biegu zmuszone są podążać do swego ujścia. Tu i owdzie sterczą łyse czubki gór, niekiedy znowu w nizinach dolin wznoszą się strome skały. Rzadko spostrzegać się daje posępne oblicze krajobrazu, najłagodniejszym wdziękiem uśmiecchają się zwłaszcza szeroko ku Morawie rozciągające się doliny. Obszerniejsze kotliny, mianowicie w południowej stronie gór Rudnickich przedstawiają się oku podróżnika. Poważne dęby i buki pokrywają nieraz górę na całej pochyłości aż do jej szczytów. Z poza porozrywanego urwiska widać nieraz wspaniałe błonie a czerwone dachy wiejskich dworców, cerkwi i monasterów wesoło odbijają na zieloném tle natury. Rudnickie góry kryją w sobie niezmiernie bogactwa: od rudy ich nazwa pochodzi. Jeszcze do dziś dnia pozostały tu ślady cywilizacyi prastarój, bo rzymskiej. Rzymianie założyli tu kopalnie, z których także kiedyś i Serbowie gorliwie wydobywali miedź, siarkę, arsenik, kobalt i inne kopalne materiały. Pozostałe szczątki murów, wodociągi świadczą, że kiedyś Rzymianie tu pilnie uprawiali przemysł górniczy. Dziś zaniedbane kopalnie czekają na poruszającą wszystko siłę, na miejscowe lub zagraniczne kapitały.

Wschodnią część kraju po prawej stronie Morawy zajmują podobnież górzyste wypukłości, które się wznoszą do wysokiego punktu, mianowicie pasmo gór Omolijskich (3,800 stóp) i z wolna spuszczają się ku Dunajowi. Ztąd też w tym kierunku spływają górzyste potoki. Cała ta przestrzeń wschodnia dość żywną warstwą ziemi jest pokryta, równoległe bowiem z łożyskiem Morawy ciągnie się szeroki pas czarnoziemiu, w dalszej zaś odległości różnokolorowa glina na wierzeh gruntu się wydobywa. Gęste lasy na przemian z owocowemi ogrodami i winnicami urozmaicone tło krajobrazu stanowią. Zwłaszcza, do brzegu Dunaju przylegająca okolica, roślinną obfitością miłe na podróżniku sprawia wrażenie. I w tych górach kryją się mało jeszcze tknięte bogactwa mineralne.

Systemat rzeczny w ogólniejszym obrazie nie przedstawia dla wyobraźni i pamięci zbyt wielkiej trudności. Do granicznej od północy Sawy i Dunaju wpadają wszystkie ważniejsze rzeki Serbii i wszystkie od południa płyną. Na zachodnim krańcu Drina, z nią w tym samym kierunku Kolubara, w środku Serbii Morawa a na wschodnim kresie niby miedza graniczna od Bułgarii przesuwa się wody Timoku.

Zdawaćby się mogło, że w krainie tak daleko na południe wysuniętej, klimat powinien się równać łagodnemu niebu Italii, tymczasem roślinność zostająca pod wpływem wiatrów od północno-wschodu, niosących zimne i suche fale powietrza, zaledwie stanąć może na równi z wegetacją południowych Niemiec.

Latem upały dochodzą w cieniu do 33<sup>o</sup> R., zimą zaś mrozy panują niekiedy 12<sup>o</sup> stopniowe. Zmiana powietrza bywa gwałtowną, co także szkodliwie wpływa na bujność roślinności. W listopadzie już śnieg na kilka miesięcy pokrywa powierzchnię ziemi, wiosenny powiów powstaje nagle, śnieżna pokrywa spływa z ziemi i wiosna bez żadnego przejścia rozwija się ze wszystkimi powabami.

Obok panujących przeważnie dębów, buków, jesionów i iglastego drzewa spotykamy mianowicie w południowej Serbii całe lasy dziko rosnącej morwy i orzeszyny; obok srebrnej topoli i akacji rosną swobodnie gruszki, jabłonie a szczególniej śliwy (šliva), z której wyrabiają Serbowie ulubioną nalewkę, rakiją nazywaną. Po wsiach koło domów pną się bujnie krzew winny, a w żywych płotach między białem i czarnem cierniem zieleni się dzikie wino, poziomki zaś i jagody miłą swą woń z pod krzewów roznoszą.

W gęstych lasach Serbii daremnie myśliwy szukałby niedźwiedzia, wilka lub dzika; za to sarna, zając i lis są dość pospolitą zdobyczą serbskiego górala. Najliczniejszym jednak zwierzem, co ożywia samotność lasów serbskich, jest koza niszcząca nielitościwie korę drzewną i nieprzeliczone stada trzody chlewniej, która stanowi jeden z najkorzystniejszych przedmiotów handlu wywozowego do Austrii. Miłosz Obrenowicz, wyswobodziciel i książę Serbii, młodość swą spędził, panując przez pewien czas nad gromadą, co jak owi bajeczni Pelazgowie, żołędźmi się żywią.

W szczelinach gór, w urwiskach skał na wyspach Sawy i Dunaju gnieźdzą się tłumy drapieżnego ptactwa. Nad szczytami gór Kopaonickich krążą orły, sępy i sokoły, nad wodnistymi pasami przeciągają stada dzikich kaczek, gęsi i bekasów. Dziwna, że śpiewającego ptactwa niema tu prawie zupełnie, za to też nieustannie wśród gór i dolin dzwoniąca melodia śpiewnego ludu napenia swą uroczą harmonią głuche górskie powietrze i roznosi pieśni weselne głosy, których natura tym stronom odmówiła.

Gdybyśmy wiedzieli, że czytelnik może przed sobą rozłożyć mapę Serbii Kieperta (w ogólnym zbiorze kartografii Turcyi) lub Milenkowicza, o które zresztą bardzo trudno, chętniebyśmy się puścili w drogę dla zwiedzenia i wystawienia obrazu różnych miejscowości Serbii, ale bez kartograficznej podstawy podróż nasza byłaby podobną wycieczką, więc w zamian za to nieco szerzej etnograficzną stronę naszych zarysów uwydatnić nam wypadnie, co nierównież łatwiej bez żadnych pomocy uwagę czytelnika zająć jest w stanie.

Mowa serbska nie tylko w dzisiejszém księstwie Serbskiem słyszeć się daje, owszem w obecnej Serbii niema jednolitej narodowości, spotykają się tam i inne żywioły. Ale też za to serbski język sięga daleko po za polityczne granice księstwa, będąc powszechnie używany w Czarnogórze i części Albanii (dawniej Serbii), w Bośni, Hercegowinie i tureckiej Chorwacyi. We właściwej Serbii, jak już nadmieniono, wyżej, granicę etnograficzną stanowi rzeka Morawa, po lewej jej stronie ciągnie się jednostajny pas serbskiego języka, po prawej zaś nad ludnością słowiańską przemaga żywioł rumuński, pomieszany ze słowiańskim, lecz nieco odmiennym szczepem Bulgarów. Prócz tego nie brak tam i cudzoziemców Niemców i Węgrów, są także Żydzi pochodzenia francuzko-hiszpańskiego, głównie w miastach przebywający, obok tego także pewna liczba Cyganów. Ogół ludności Serbii wynosi według najnowszych obliczeń 1,220,000 łącznie z Cyganami. Przed 40-tu laty liczono tylko 600 tysięcy (z górą), ludność więc w ciągu tego okresu czasu niemal się podwoiła.

Serbia równająca się pod względem rozległości Szwajcaryi ma o połowę mniej od niej mieszkańców, w Królestwie zaś Polskiem ludność jest o cztery razy liczniejszą.

Kto pragnie lud serbski zbadać tak, jakim się przedstawi w pełni swojego charakteru i w całej swój rodzimój czystości, nie nadwreżonej przez obcowanie z żywiołami zagranicznymi więcój ucywilizowanych narodów, ten udać się powinien w strony nad Drinę i Morawę, w owe górskie wąwozy i gęste lasy, gdzie zawsze najżywszém tętnem bilo życie narodowe, z kąd wychodzili pierwsi walecznicy, co się za wolność serbską bili. Nad Dunajem zaś od strony Węgier i Rumunii mocno działały wpływy obce, które zatarty już wiele odrębności narodowych. Przenieśmy się więc myślą w lesne strony Szumadyi i przypatrzmy się zewnętrznej postaci Serba, jego życiu domowemu, warunkom, wśród jakich swój żywot pędzi.

Serb się odznacza ostremi rysy twarzy i silną budową ciała. Wzrost dobry, barki szerokie, głowa kształtna, czoło wysokie, kości

twarży wydatne, nos zakreśla niekiedy piękną orlą linię. Bujne włosy na głowie połyskują jasnym cieniem, rzadko w ciemniejszy wpadając kolor. Dziś już Serb swobodniej pozwala włosom rość na głowie, ale jeszcze podczas wojen za wolność podgolone głowy były powszechne. Tylko duchowienstwo świeckie i zakonne nosi pełny zarost na twarzy. Kobięty w miastach uważają czarne włosy za najpiękniejszą i niezbędna ozdobę, ztąd barwienie włosów w powszechnym jest zwyczaju. Pod względem wzrostu, kobiety serbskie rzadko kiedy sięgają po nad średnią wysokość. Rysy twarzy bywają prawidłowe, nie zawsze jednak piękne, ale w miastach często spostrzedz można szlachetne profile bez zarzutu będące. Pod względem urody kobiet Serbia wyżej stoi od Czarnogórza, ale czarnogórskie odznaczają się większą ruchliwością, lekkością i wdziękiem ruchów, na czém kobietom z księztwa serbskiego zupełnie schodzi.

Na tak szczupłej przestrzeni nigdzie tyle urozmaïcenia w ubiorze nie znajdujemy, co w Serbii. Ściąga się to mianowicie do kobiet. Barwa i krój zmieniają się prawie co powiat, co okręg. Na wsiach przemasają białe, faldziste, płócienne suknie, pas różnokolorowy nad biodrami i ciemne albo jasne wełniane okrycia.

Letnie ubranie serbskiego wieśniaka odznacza się wielką prostotą. Na głowie nosion prawie zawsze małą, niską, czerwona czapczkę (fenska) w rodzaju żydowskiej jarmułki. Szerokie faldziste szarawary (gatje) sięgają do kostek. Pokrywa je aż do kolan płócienna koszula (košulja), na piersi z rozporkiem, niżej zaś w pasie spięta czerwonym sukienym paskiem. Na ten pasek zwykle wieśniak zaciąga ciemno-brunatny pas rzemienny (pojas), na którym z przodu są zawieszony pistolety, obok mosiężny kij do nabijania a z tyłu skórzana ładownica. U prawej ręki wisi w skórzanej pochwie krótki nóż (noś) i krzesiwo. Jeśli się Serb puszcza w daleką drogę, bierze na siebie pstrą kamizelkę (jelek), zarzuca rodzaj krótkiego płaszcza (gunjac) i do zwykłej swęj broni dodaje zawieszoną przez ramię długą albańską strzelbę (dżewerdar), a w nowszych czasach wojskową kapiszonówkę. Obuwie składa się z pończoch różnobarwnych i wiązanych trzewików (opanci) z niewyprawionego rzemienia.

• Ale w mieście, zwłaszcza tam gdzie jeszcze nie zapanowały zwyczaje cudzoziemskie, ubranie męzkie zwraca na siebie uwagę strojnością i bogactwem. Ciemny granat jest barwą w stroju miejskim przemasającą. Szarawary z modrego sukna w tureckim kroju, ozdobione czarnymi taśmami, na piersiach kaftan bogato ubrany, w zimowej porze futrem ładnie po brzegach lamowany. Pas składa się z tureckiego szala o jaskrawych kolorach wełnianego lub jedwabnego. Pięknie haftowaną płócienną koszulę pokrywa zwykle karmazynowa kamizelka złotem wyszywana. Na rzemiennym pasie wiszą z przodu w srebro okuwane pistolety, z tyłu przyczepione także srebrne ładownice. Pokrycie głowy stanowi feska z długim ciemno-granatowym kwastem a obuwie—białe pończochy i szeroko wycięte skórzane trzewiki. Swobodnie wiszący nóż, krzesiwo i inne drobniejsze przedmio-

ty dopełniają ubrania, które swą okazałością teatralne sprawia wrażenie.

Ubiór kobiety na wsi odznacza się bogatą różnaitością w czesaniu, układaniu i ozdabianiu włosów. Około Beogradu dziewoja wiejska nosi włosy z rozdzielkiem od lewej strony ku prawej, z tyłu zaś spadają warkocz ubrane w kwiaty i pieniążki. Nad czołem włosy są krótko strzyżone i spuszczają się na dół ku oczom, w kształcie drobnych zwojów starannie ułożonych. W wielu miejscowościach nawet niekiedy i w mieście noszą dziewoje na głowie małą czerwoną feskę z ciemnym kwastem, około której wije się od tyłu naprzód założony warkocz. Wdzięk tego stroju podnoszą zwykle jeszcze świeże kwiaty lub błyszczące pieniążki. Zameżna zaś kobieta nie kładzie jarmulki, ale natomiast rodzaj kołpaka pokrytego błyszczącą monetą, który się zawiązuje pod brodą za pomocą wstążek, a z wierzchu spada na ramiona różnobarwna fałdzista chustka. Twarz kobiety przedstawia się wtedy niby w metalowych ramach, bo u bogatszych nawet wstążki do wiązania są wyłożone złotą i srebrną monetą. W innych znowu miejscowościach kobiety noszą ubrania na głowie podobne do włoskich, biała chustka na szczycie głowy, spływająca z tyłu aż do stanu w wąskich fałdkach, na których połyskują metalowe ozdoby wśród wieńców z różnokolorowych kwiatów. Niewypowiedziany urok powstaje z kontrastu tego białego zawoju, odbijającego się wyraźniej na tle ciemnych włosów.

Ubiór wiejskiej kobiety jest zresztą dość prosty. Najważniejszą jego część stanowi długa płócienna, zwykle domowej roboty koszula wyszywana wełną różnokolorową, sięga od szyi aż do stóp. Do tego ubrania w domu lub w polu należą tylko jeszcze w jasne pasy tkane fartuszki z przodu i z tyłu zawiązane; niekiedy kładzie kobieta krótki kaftanik. Wierzchnie okrycie, którego mało używają na codzienną w domu potrzebę, składa się z dłuższej sukni z przodu otwartej, bez rękawów, wyszywanej w różne kwiaty. Różnokolorowe pończochy i trzewiki czyli opanki dopełniają ubrania. Tę malowniczość stroju, do którego się przyczynia bogata ozdoba włosów, podnoszą do wysokiego stopnia perły na szyi, srebrne naramienniki i złote blaszki lub kolczyki przy uszach zawieszane.

Jak wiele rzeczy na europejskim Wschodzie tak i ubranie miejskiej kobiety w Serbii przedstawia połączenie zachodniego i orientального żywiołu, w tym razie co do ubioru dla serbskiej mieszcanki bardzo korzystne. Kostjum cały technie wdziękiem i strojnością i tą się wyróżnia właściwą cechą, że nigdzie nie znać na nim wpływu europejskiej mody. Nie więcej uroczego nad ozdobę włosów młodej serbskiej pani. Na tylnęj części głowy mieści się mała zgrabna czapeczka, ujęta w najpiękniejszy naturalny diadem—w szerokie splety włosów, wśród których kwitnąca róża swe barwne wdzięki rozwija. Zameżna kobieta pokrywa swoje czapczkę złotymi lub srebrnymi pierścieniami, sznurami koralu, tak że z po za ozdoby tej nie widać zupełnie czerwonego koloru feski. I dla zameżnej nieodzowną ozdobę głowy stanowi długi ciemny warkocz: która go niema, zastępuje kolor sztucznie za pomocą farby.

Więcej jeszcze w mieście niżeli na wsi wymaga skończona toalety serbskiej pani malowidła. Róż i blansz są w powszechném użyciu. Kto chce być ubranym jak wymaga zwyczaj, musi farbować na czarno włosy, ciemnym tuszem przedłużać brwi, różowym proszkiem posypywać twarz i usta karminową pociągać barwą. Te sztuczne środki do podniesienia wdzięków, gdy nie zawsze się odznaczają niezbędną dobrocią, bardzo szkodliwie na płeć i cerę kobiet serbskich wpływają.

Jak ubranie głowy jest czysto wschodniem, tak téż i suknie kobiet orientalným odznaczają się charakterem. Prawie przejrzysta, bogato haftowana koszula pokrywa piersi, więcej u panien mniej u zamężnych zasłonięte przed wzrokiem profana chustką jedwabną, która na okrzyż przez ramiona po za głową spada. Jestto ta część kobiecego kostjumu, którą najtrafniej określa angielskie godło „Hony soit, qui mal y pense! Bardzo krótka sznurówka sięga ledwie do piersi, pod względem więc higienicznym korzystniejszą jest od mody w Paryżu przyjętej. Na piersi w miejscu, gdzie się jedwabna chustka krzyżuje, spoczywa róża, u zamężnych złota spinka, która wraz z koralami na szyi, perłami i dukatowemi krążkami dopełnia kosztownej ornamentacyi. Szczególniejszych wdzięków w stroju dodaje kaftanik z cienkiej jasnej materyi swobodnie spuszczonej. Z po za szerokich rozciętych rękawów wyglądają starannie wyrobione rękawki od koszuli. Suknia spływa ku ziemi w kroju europejskim, w licznych faldach, które zbiera na około złotolity pas z opuszczonemi na dół ozdobnemi końcami. W zimowej porze okrywają się kobiety serbskie futrami, które się w kroju stosują do linii sukni. Dziś więc jeszcze w ubraniu panuje w całej sile obyczaj narodowy, ale wielowładna moda paryżka powoli i w te dalekie sięgnie strony, skoro się mnożyć zacznie środki komunikacyi i kapitały zagraniczne większy ruch przemysłowy w Serbii obudzą.

\*

\*

\*

Zobaczmy, jak mieszkają Serbowie. I tu także uderza w oczy prostota pierwotne czasy przypominająca. Rażące przeciwieństwo stanowią wspaniałe gmachy w Beogradzie obok wiejskich lepianek. W osadzie lub we wsi wszystkie domy jednakową mają powierzchowność: wśród tej jednostajności architektonicznej tylko dom starszyny (starrješina) z pomiędzy innych się wyróżnia. Ściany składają się z okraglaków prostopadle lub poziomo umieszczonych, żadnego na nich nie znać obrobienia, chyba tylko, o ile z nich jest zdarta kora. Okraglaki są obrzucone glina, która wypełniając wśrodku pustą przestrzeń, ścianę między węglami stanowi. Dom w ten sposób ustawiony ma zwykle 15 kroków szerokości i 15—20 kroków długości. Zrąb taki dzieli się na dwie lub trzy części. Główne drzwi prowadzą do środkowej, największej przestrzeni całej budowli. Jestto kuchnia od mieszkalnej izby tém się różniąca, że niema u góry pokrycia dla łatwiejszego wypuszczania dymu z ogniska. Wśród dżdżystej pory dym się nie



wznosi w powietrze, rozchodzi się po całym domu i w izbie nie zbyt przyjemnym czyni pobyt, ale przyzwyczajenie oswoiło wieśniaka z tą niedogodnością.

Poszywanie dachu słomą jest w Serbii dość rzadkie, słoma i gonty ustąpiły miejsce dachówce. W południowych wsiach około gór Kopaonickich używają często kory drzewnej. W powiatach nad Driną dachy mają spadek bardzo ostry, ztąd nieraz wysokością swoją dwa razy zrąb przewyższają. W górzystych stronach Serb chętnie przystawia dom swój do pochyłej ściany góry. Wtedy różnicę poziomą między przednią a tylną ścianą wypełnia podkładami drzewnymi, zasypuje ziemią i w niej bez wielkich zachodów przygotowuje sobie małe schowanka i piwniczki. Do takiej chaty prowadzą schody z darni ułożone, przed drzwiami stoi rodzaj ganka.

W Szumadii często tylko fundament domu składa się z ciosowego kamienia, zrąb zaś z drzewa. Do najpiękniejszych typów podobnych budowli, które nieco szwajcarskie domki przypominają, należą dworki do dziś dnia jeszcze dobrze zachowane w Czernuczy, gdzie mieszkali kiedyś Obrenowicze. Podłogi drewnianej nie zna prawie zupełnie wieśniak serbski, zastępuje ją mocno ubita ziemia z gliną pomieszana. W krainie leśnej jak Serbia może się to dziwnem wydać, ale nakazuje ostrożność nie używać podłogi, gdyż w chacie wieśniaka nie ma kominka lub pieca. Zwyczajne niskie ognisko mieści się w pierwszej środkowej izbie, ztąd dym swobodnie w górę się wzbija, jeśli służy pogoda, w innym razie dym się wdziera do izby mieszkalnej i staje się istną plagą.

Wejźmy do wnętrza izby. Serb stara się uczynić ją mieszkalną według sił i środków swoich. Ściany obite są trzcina, obrzucone wapnem, ale białość ich nie odznacza się wielką świeżością. Na ścianach u zamożniejszych wiszą wojloki lub dywany, które służą za posłanie. Jaka tu prostota! Łóżek wieśniak serbski nie zna. Jego sprzęty tchną całą prostotą pierwotnej natury; nie dostrzeże tam gość krzeseł lub stołków z poręczami, tylko koło stołu stoją trójnogi. Tam zaś w rogu mieści się skrzynia, która kryje w sobie święteczne szaty. Najpiękniejsza ozdoba wisi na ścianie. Obraz świętego jest przedmiotem niezbędnym. Przed obrazem wisi lampka, obok gęśla i strzelba: dwa symbole pokoju i wojny. Statki gospodarskie zastosowane są do potrzeb niewyszukanego smaku wieśniaka, kilka glinianych naczyń, drewniane łyżki, widelce należą do zbytku, kociodek żelazny na żelaznym pręcie zawieszony, a szklanych naczyń ani śladu. Szkło jest rzadkością w Serbii, miejscowych fabryk niema zupełnie od czasu, jak upadła huta rządowa. Szkło jest przedmiotem handlu przywozowego z Węgier i Siedmiogrodu. Dlatego też okna chaty są bez szyb, latem wpływa z zewnątrz swobodnie strumień świeżego powietrza, zimą, kiedy mniej jest potrzebny, wstrzymuje przystęp gruby papier na oknach przyklejony. Częstokół opasuje zwykle domostwo, gdziekolwiek znowu odgraniczają sąsiadów żerdzie pokryte powojem, dzikiem winem.

Od tego obrazu zewnętrznej postawy i warunków życia przejdźmy do innej strony i spojrzmy w głąb duszy Serba i jego charakteru. Jakież tu bogate i obszerne pole do uwag, ile nowych, nieznanych rysów, które się już gdzieindziej pod wpływem szerzącej cywilizacji u innych ludów zatarły. Do tych siód i osad zasuniętych w głąb lasów Szumadii jeszcze nie dotarł prąd cywilizacji. Przez tyle wieków Serbia stała zupełnie na uboczu, błogie skutki gwałtownego postępu, w jakim idą naprzód narody zachodniej Europy, na ten lud prosty jeszcze nie spłynęły, ale natomiast w dawniej sile kwitnie prastary uczciwy obyczaj i te tradycyjne cnoty, które wyraca i niszczy potok kroczącej naprzód cywilizacji. Rzadko który naród zachował w takiej nieskazitelnosci charakter swój narodowy jak Serbowie. Tu na łonie tego ludu przechowały się w całej czystości uczucia rodzinne, to gorące serce bijące dla ojca, matki, i ta mężka odwaga, to poczucie godności osobistej, które się nie godzi ze służalczą niskością, a do tego te wszystkie piękne strony zdobią serce zarazem mieszkańca miasta jak i prostego wieśniaka; jaka cześć, jakie poszanowanie dla przeszłości, dla tradycji, jakie tu silne przywiązanie do prastarzej wiary i zwyczaju pradziadów! W upór niekiedy przechodzi to trzymanie się owęj spuścizny po dziadach nawet w tych razach, gdzie pewne zboczenie nie skaziłoby narodowego charakteru, ale owszem postępowanie istotny a konieczny stanowiłoby mogło.

Na twarzy Serba maluje się dobroć, z oczu jego błyska inteligencja. Serb jest łagodny, cierpliwy, gościnnie. O jego cnotach wojskowych, co przez tyle prób ogniowych przeszły, może wątpić chyba ten, co nie zna zupełnie dziejów Serbii. Poczucie prawości głębokie puściło korzenie. Serb przekonany o słuszności sprawy nie lęka się procesu sądowego, owszem chętnie stawia przed sędzią i wymownie się broni. Rozum ma bystry, nie oszukuje innych, ale sam też nie da się w pole wyprowadzić. W gniewie zapala się, klnie, ale nie wymierza sprawiedliwości czynnie. Pojedynek, zemsta krwawa są tam nieznanne. Posiada rozwagę Niemca, gładkość Włocha, brak mu skrętności i zabiegłości niemieckiej, ale przewyższa jednego od drugiego w wielu innych względach.

Mimo swoje bystrość rozumu Serb ma wrodzoną głęboką skłonność do mistycyzmu, która się niekiedy wyradza w przesąd, zabobon i gusła. Jak u nas tak i w Serbii lud prosty wierzy w różne szczęśliwe i nieszczęśliwe znaki, w czarownice, w dnie feralne, w cudowną siłę guseł. Gdyby nawet po wsiach byli lekarze, nie mieliby pewnie zajęcia. Serb się najchętniej ucieka do rady baby (białej kobiety), znachorki, która mu ulgę w jego cierpieniach przynosi.

„Svaka bolest svoje bijfe ima“ powiada Serb: każda choroba ma swoje ziele. Ale skuteczność nie tyle ziołom przypisuje, ile zaangażowaniu i różnym tajemniczym ceremoniom znachorki. Takie kobiety zwykle w sierpniu zbierają swoje zioła, zioła tego rodzaju, których i racjonalna medycyna w danych wypadkach używa, wiekową praktyką ludową wyprobowane. Działanie żelaza w wewnętrznych chorobach nie jest im także obce. Na niedokrwistość zrywa znachorka trzy jabł-

ka, Ś-tój Trójcy odpowiadające, które na jednej gałęzi dojrzały. Nad jabłkami odmawia różne modlitwy, żegna je ręką i na całą dobę w jedno z nich zatyka nóż żelazny, następnie trzy razy dziennie po kawałku jabłka daje choremu. Majtkowie używają przeciwko chorobie morskiej rdzy zeszkrobanej z kotwicy i wodą rozczynioną. Na wyrzuty skórne smarują żelazisty atrament. Przeciwko febrze biorą cienką skórkę z jajka i obwiązują około palca. Dyaryą leczą podobnie jak u nas wieśniacy za pomocą drobno potłuczonego laku rozpuszczonego w winie. Ale najradykałniejszóm w ich pojęciu i najwięcej rozpozszehcnióm lekarstwem w chorobach są trzy środki, do których się i nasz wieśniak ucieka: rakja czyli wódka, puszczenie krwi i pi-jawki.

Jeżeli tego rodzaju zwyczajne środki nie skutkują, wtedy baby znachorki sztuki swój dokazać muszą. Skoro dyagnoza jest postawiona, kładą chorego w znak, posypują sól po obu stronach, a znachorka kilka razy przechodzi po ciele chorego, odmawiając tajemnicze słowa. Niekiedy zanoszą pacyenta do cudownego kościółka, przed cudowny obraz, a gdy i to nie pomaga, pocieszają się, że taka była wola Opatrzności, albo przypisują chorobę czarom wiedźmy czyli, jak ją Serb nazywa, wieszczki (wještica). Według wiary ludowej czarownica zamienia się w nocy na motyla i lata nad domami, najchętniej dusząc niemowlęta w kołysce. Mężczyzn dotyka za pomocą laseczki w okolicy lewej brodawki piersiowej. Wtedy pierś się otwiera, wiedźma pożera serce, znowu się zamyka wieko piersi i człowiek pozbawiony serca schnie powoli i umiera. Obraz dość wierny pod tym względem, że serce w organizmie jest źródłem życia. Można się zabezpieczyć od uroku wieszczki. Wiedźma nie znosi zapachu czosnku, ztąd powszechny zwyczaj smarowania się tym niezbyt wonnym środkiem w wigilią Bożego Narodzenia.

Stosunki osobiste między różnemi klassami i stanami, między bogatemi i biednemi, są nacechowane niezwykłą swobodą. Tam nie masz żadnych tytułów pańskich, żadnych wyróżnień stanowych: wszyscy mówią sobie ty. Jarzmo tureckie zatarło wszelkie różnice, w obec sułtana i baszy nie było szlachty, arystokracji, wszyscy byli rajami, co podatki płacić musieli. Edward Brown, angielski podróżnik XVII wieku, powiada, że spotykał za pługiem wiejskie dziewoje, co podobno ze krwi królewskiej pochodzić miały. Tradycje dawne ni-by w arce przymierza chowa w świeżej pamięci lud serbski, jak może, żaden inny naród; każdy pastucha zna swoich królów i biegle przytacza podania o sławnych bohaterskich rodach swojej ziemi, o Bogdanach, Jakszycach i innych.

Mimo śpiewne usposobienie i zamiłowanie w muzyce, któremi się Serb odznacza, mało objawia upodobania i skłonności do sztuk pięknych, plastycznych, a najmniej do rzemiosła. Serb posiada bardzo bystre pojęcie i wiele innych talentów, których dowody daje, sam sobie przygotowując różne sprzęty gospodarskie. Ale do rzemiosła nie zbyt chętnie się garnie, uważa je za zajęcie poniżające, niegodne dzielnego męża. Ztąd też rękodzielniczy przemysł ważniejszych miast spo-

czywa przeważnie w rękach przybyszów Niemców. Dla tój i dla innych jeszcze przyczyn Serb nienawidzi „Szwaba“, przez to pogardliwe miano każdego Niemca rozumiejąc. Minister Cukicz dokładał usiłowań, żeby przełamać ten upór, to zniechęcenie do rzemiosł; ustanowił stypendya dla młodzieży, ale starania jego owoców nie wydały. Jeżeli Serb zmuszony jest porzucić dom rodzicielski i rodzinną glebę, najchętniej wstępuje na drogę urzędniczą, albo zostaje żołnierzem-wojakiem.

Umiarkowanie należy do najpiękniejszych cnót Serba. Jego posiłek jest zwykle bardzo skromny, nawet wśród letniej uciążliwej pracy. Jeżeli czasem się podochoci, jeśli się raczy winem lub rakją, to jednak do nałogowego opilstwa niema skłonności. Gościnność jest, jak wiadomo, piękną wszystkich Słowian zaletą, Serb nie ustępuje w tym względzie swoim pobratymczym ludom. Z zabaw do najulubieńszych należy muzyka i taniec, „Kolo“ jest taniec narodowy, rodzaj chorowodu ruskiego. Ćwiczenia gimnastyczne, strzelanie, rzucanie kamieni, stanowią rozrywkę poważniejszej młodzieży serbskiej.

Wzajemna miłość rodziców i dzieci jest piękną ozdobą rodzinnego życia w Serbii. Rodzinne życie w Serbii ma swoje właściwości, których tu, mówiąc o związkach przyjaźni i serca, (pobratymstwo i małżeństwo), pomijać się nie godzi. Cały ustrój rodziny nosi na sobie pewne znamię patryarchalne. Wspólność jest jego główną zasadą. Ta wspólnością związana rodzina zowie się *zadrugą*. Ojciec jest naturalną głową takiego rodu. W razie śmierci ojca zadruga wybiera na jego miejsce starszszynę. On jest przedstawicielem całego rodu w obec władz politycznych, on sędzi spory domowe, kieruje pracą, około której się cała rodzina krząta. Dorosli mężczyźni i kobiety pracują w polu, młodsze pokolenie dogląda bydła lub trzody, albo na zmianę uczęszcza do szkoły. Rozkazy starosty, jeśli go nam tak nazwać wolno, są wypełniane chętnie. Starosta wydziela dochody i wydatki domowe, ma oraz staranie o innych i o sobie. Plon polny, dochody z winnic lub z trzody chlewniej stanowią wspólne źródło przychodu dla całej rodziny. Do sprzedaży lub nabycia znaczniejszych przedmiotów niezbędnę jest zezwolenie większości członków rodziny.

W razie śmierci ojca, starosta obejmuje opiekę nad nieletnimi, on winien wraz z wdową czuwać nad ich wychowaniem, aby, jak głosi § 519 serbskiego kodeksu, z nich wyrosli dobrzy, poczciwi i krajowi użyteczni ludzie. Wdowa nawet bezdzietna korzysta w ogólnej rodzinie z udziału, jaki przypadał na jej męża, zobowiązana jednak jest, według sił dla wspólnego dobra pracować. Jeżeli drugi raz za męża wychodzi, otrzymuje, równe jak inne dziewczyny, z zadruży wyposażenie. Na znaczenie ścisłych węzłów zadruży rzuca ciekawe światło prawo spadkowe. Otóż przy spadkobranii większe prawo mają członkowie rodziny stanowiący zadrugę, aniżeli bliżsi krewni, którzy się od niej odłączyli. Nawet obcy członek żadnym węzłem krwi z rodziną nie połączony, ale za zgodą ogólną do zadruży przyjęty, ma pierwszeństwo w spadkobranii przed krewnymi, co do zadruży nie należeli. Nieletnie jednak dzieci, występujące ze związku rodowego za matką,

zachowują prawo swoje do udziału w spadku. Szczęśliwa lub mniej pomyślna dola pojedynczych członków zadrugi, ściśle zależy od losów całości. Im pojedynczy jój członek więcej się przyczynia do poprawienia jój bytu, tém nabywa prawo do większego udziału w razie wystąpienia ze wspólności rodowej, tém większe dziedzictwo swym dzieciom zostawić może. Ten więc komunizm nie przytępia energii i przedsiębiorczości oddzielnych członków, ale owszem podnieca je dla dobra całości i pojedynczych części.

Podobne stosunki panujące w rodzie, odbijają się także na zewnątrz. Już wyżej się rzekło, że po nad wszystkimi chatami wiejskimi panuje dom starzeczyny czyli starosty. To jest punkt środkowy, około którego grupują się oddzielone od siebie domki familij, składających zadrugę. Do wspólnego gumua składa się wszystkie plon wspólny. Każda zaś chatka ma swoje chlewiki, obórki i schowanka, gdzie się mieści odrębny, indywidualny nabytek. Ogólne gospodarstwo domowe prowadzi kolejno jedna z zamężnych kobiet, której wtedy służy miano reduszy, to jest rządczyni (od red, rząd, porządek), inne znowu spełniają niezbędne w gospodarstwie roboty. Kobięta u południowych Słowian w ogóle dzieli z mężem wszystkie prace. Jest ona ciągle zajęta, nigdy nie próżnuje. Zwolniona od ciężkiej roboty w polu, przędzie, robi płótno, szyje bieliznę. Po wsiach nigdy nie widać wieśniaka lub dzieci obdartych, żona szyje i łąta, a zamięłowanie kobiety tego rodzaju jest jawnym dowodem jój skrętności i zamięłowania porządku.

Jakież to piękny, niewysłowiony co do uroku przedstawia obraz rodzina serbska wieczorem u ogniska zadrugi—u starosty zgromadzona! Mężczyźni strugają, poprawiają sprzęty domowe, starsi odpoczywają po pracy, radzą nad gospodarstwem, matki usiadłszy w kółku, w milczeniu oddają się drobnej ręcznej pracy a młodzież spoczęła u ich stóp; tam się dziecina strudzona oparła o kolano matki i zmrużywszy oczęta, śpi snem niewinnego anioła; tam znowu starsza młodzież przybiegła do dziadka i prosi, by im opowiedział o carze Trojanie, lub Marku Kraljewiczu. Niekiedy starosta zdejmie ze ściany gęślę i monotonnym dźwiękiem z jednej tylko struny wydobywanym, przeplata opowieść poetyczną o dawnych bohaterach Serbii. To znowu inny starzec, sięgnąwszy pamięcią do odległych czasów, wysnuje opowieść o owym ucisku Turczyzna, o walce za niepodległość serbską.

Kto zdoła sobie uprzytomnić taki uroczy obraz rodziny, co zresztą tak łatwo każdemu przyjdzie, kto spojrzy głębiej w tę duchową ośnowę takiego związku idealnego, czyż nie zapyta słusznie z autorem „Rodziny“, z owym sielankowym Riehlem: „A polityk i ekonomista, kiedy rozważa dobre i złe strony wspólnych i indywidualnych dóbr, czy weźmie na uwagę moralne w tym względzie czynniki? Czy statystyk jest w stanie wynaleźć liczbę, któraby wyraziła, te błogie skutki, jakie na rodzinę spływają, kiedy dzieci na łonie dziadka lub babki wsłuchują się w tradycje rodziny i kiedy starcy w gronie swych

wników widzą, w tych samych izbach, gdzie młodość spędzili, kwitnącą na nowo wiosnę swojej starości?"

Tak ważnej instytucji w sferze stosunków rodzinnych a zarazem rolnych i ekonomicznych nie chcemy jednak oceniać ze stanowiska wrażenia, jakie na nas sprawia widok zadruży zgromadzonej wieczorem u domowego ogniska. Prawnicy, ekonomiści powiedzą nam: to romantyzm czułego serca, to ideologia! O, nie bynajmniej: zadruża, ten komunizm domowy, rodzinny, to nie czeży frazes.

Posłuchajmy, co o niej mówi, o jej istocie i charakterze jeden z najgruntowniejszych znawców stosunków rolno-rodzinnych swojego kraju Utjeszenowicz: „Nigdy — powiada tenże — nie nazywaliśmy w ciągu naszej rozprawy stosunków rodziny połączonej w zadrudzie — patryarchalnemi, mianem, którego tak chętnie w tym razie używają autorowie z Zachodu. Tę nazwę za zupełnie niewłaściwą uważać należy. Sam lud nie zna takiego miana, bo nazywając te stosunki drużyną, drużstwem, zadrugą, daje znać, na jakich zasadach się opiera podobna instytucja. Jeśli głowę rodu zowie gospodarzem, niezna czy to bynajmniej pana, władcę — ale poprostu gospodarza, zarządcę. I nazwie tej najzupełniej odpowiada sama istota. W stosunkach czysto patryarchalnych rządzi ojciec, patryarcha; dzieci winne mu bezwarunkowe posłuszeństwo, młodsze pokolenie ma tylko obowiązki, ale żadnych praw. Zupełnie inaczej ma się u południowych Słowian. Tam nie ma śladu niewolniczego poddania się pod władzę patryarchalną, ale natomiast najzupełniejsze równouprawienie pod względem wspólności majątkowej, w tym rodzaju jak w stowarzyszeniu akcyjnym; tam nie masz wyparcia się własnej woli, ale każdy ma swój głos i większością głosów jak u akcyonaryuszów zapadają uchwały dotyczące ważniejszych spraw zadruży czyli spółki. Ten słowiański popęd do stowarzyszeń stworzył spółki rolnicze oparte na związkach rodzinnych, spółki, które na zewnątrz i wewnątrz mają swoje właściwe sfery prawne.“

Tym więc sposobem system rolny w Serbii stanowi środek między angielskim systematem, który stara się ograniczyć możność dzielenia własności ziemskiej a systematem rosyjskim, który, uważając grunta wieśniaków za własność gminy, co lat 10 lub 15 dzieli całe pole między pojedyncze głowy gminy. Tam gdzie burzące paragrafy niepraktycznego prawodawstwa jeszcze nie osłabiły węzłów rodowego komunizmu, tam biurokracja chętnie ograniczająca swobodę osobistą, niema jeszcze dostępu, zład jej pioruny na takie familijne prawo. Ci z teoretyków, którzy umieją się tylko obracać w kole pojęć zaczerpniętych z prawa rzymskiego i germańskiego, uważają zadrugę poprostu jako barbarzyństwo. Nowsi ekonomiści, co hołdują kierunkowi wyłącznie przemysłowemu, co sądzą o społeczno-politycznych stosunkach kraju według ilości przedsięwzięć przemysłowych, ci coby ziemię całą pokryć chcieli dymnemi fabrycznemi kominami, potępiają podobny system stosunków rolnych, jako niby wstrzymujący wszelki postęp na drodze przemysłu. Ale ci, co nie unosząc się stronicznie doktrynerstwem, trzeźwo patrzą na rozwalniające się zwłaszcza na Za-

chodzie węzły rodziny w skutek wyosobniania się najdrobniejszych właścicieli ziemskich, przyznać są zniewoleni, że podobne jak u Serbów stosunki rolne, działające silnie na wzmocnienie związków rodzinnych, przyczyniają się skutecznie do istotnej trwałej spójności całego organizmu społecznego. Wprawdzie w ostatnich czasach serbscy politycy wychowani w zasadach szkoły francuskiej, usiłowali już po kilkakrotnie potargać i zburzyć te węzły wspólności rolno-rodzinną, ale znaleźli w zdrowym instynkcie całego ludu silny przeciwko nowatorstwu opór. Pauperyzm i proletaryat nie są więc dla Serbii widmem i przy takich urządzeniach nigdy dlań nie będą, są to bowiem owoce państw policyjnych.

\*

\*

\*

Przejdźmy do związków innego rodzaju, nie opartych ani na wspólnej ziemskiej własności, ani na wspólności krwi, ale na mniej realnym gruncie, na idealniejszej wyrosłych podstawie—na wzajemnym przywiązaniu. Jestto znane pobratymstwo i posiestryzmstwo, węzły święte nie przemijające, nie okolicznościowe, ale wiążące serca w ciągu całego życia. Tylko u południowych Słowian przechowały się te serdeczne związki, jako wiernie dochowana po pracjach spuścizna. Dla serbskiej dziewoi chlubą najwyższą i szczęściem jest posiadać brata duchowego; siostra żyje sławą wojenną swego brata: on stanowi dlań przedmiot jej dumy. Brat nieraz jest dla serbskiej kobiety osobą bliższą od narzeczonego lub męża. Brat przyjmuje na siebie opiekę, broni czci swojej siostry, mści się wyrządzonej jej zniewagi. W mniemaniu pospolitóm najszczęśliwszy jest ten, co ma siostrę, najszczęśliwsza siostra, gdy znajdzie sobie brata. Jak pragnę by siostra (lub brat) żyła, takie zaklęcie za najuroczystszą uważane bywa przysięgę.

Istota tych niezwykłych i nieznanych nam związków polega na wzajemnej dozgonnej przyjaźni, jaką sobie przysięgają towarzyski i towarzysze młodocianych zabaw. Wśród pięknych symbolów zawiera się ten akt powinowactwa duchowego. Podczas zabaw wiosennych w dnie Wielkanocy brat upatruje sobie młodą siostrzyczkę i nawzajem siostra młodego brata i wzajemnie sobie ofiarują przyjaźń. Po rocznej próbie znowu podczas zabaw wielkanocnych już ostateczne wyrzeka się słowo i związki są zawarte na wieki w imię Boga i S-go Jana. Młodzieńcza para przynosi z sobą wieńce, oplata się nawzajem temi kwicistemi sploty, albo z wieńcem biegną brat i siostra ku sobie i na kwiatach składają pocałunki. Odtąd związek staje się świętym, nierozzerwalnym. Niekiedy na żądanie młodej pary uświęca tę przyjaźń błogosławieństwo, przez księdza w kościele udzielone. Te pobratymstwa początkiem swym dalekich sięgają czasów, ostatnie zaś wieki tureckiego ucisku, gdzie kobieta potrzebowała więcej niż kiedykolwiek opieki, przyczyniły się znacznie do ściślejszego zawią-

zania tych węzłów przyjaźni. Ludowe pieśni opiewają budujące przykłady wysokiego poświęcenia, które na tém czystém idealném wyrastały polu i które żywo nam przypominają owe dowody szlachetnej przyjaźni, o jakich nieraz wspominają dzieje klasycznego świata. Są rzadkie nader wypadki, żeby się ktoś odważył uchybić obowiązkom brata lub siostry. W takim razie, według wiary ludu, niebo mści się domierzonej krzywdy. Razu pewnego brat, tak głosi pieśń ludowa, oczarowany wdziękiem swój nadobnej siostry, zbliżył się doń w erotycznym uniesieniu, przekroczywszy granice skromności i

„Oto nagle grom spadł z nieba  
I tknął Piotra Bulgarczyka.  
Dziewczę woła w uniesieniu :  
Niech tą śmiercią ginie każdy,  
Co swą siostrę chce znieważyc!”

Przypatrzmy się związkom na podobnej podstawie opartym — małżeństwom. W Serbii rzadko się kojarzą stadła z wzajemnej zobowiązanej skłonności narzeczonych. W zadość uczynieniu potrzebom swego serca, w pójsciu za jego wyborem krępuje młodego Serba względ na rodzinę, na zadrugę, wśród której sam żyje. Jój stan niezbyt za- możny może nieraz chłodzić najgorętsze uczucia, przytém głowa rodu i członkowie poważniejsi swoją radą praktyczną wpływają na wybór, mający głównie dogodzić wymaganiom całej spółki rodzinnej. Nie idzie ztąd jednak bynajmniej, iżby Serb był obojętny na wdzięki i nie smakował w słodkich uczuciach miłości; owszem pieśń ludowa, wiernie w sobie odbijając usposobienia narodowe, z upodobaniem wy- sławia piękność nadobnych dziewic. Młodzian mówi do dziewczoi :

„Ja nie patrzę pereł ani złota,  
Ni jedwabiu, ani aksamitu;  
Jeno patrzę urodnej dziewczyny,  
Udatnego wzrostu i postawy,  
Pięknych oczu i kroku wdzięcznego,  
By ją dowieść matce mój do dworu,  
Matce mojej chlubą żeby była (1).“

Pieśń ludowa nie zna w miłości i widzieć nie chce pobudek niskich ziemskich :

„Szczęścia — złoto, srebro nam nie daje,  
Tylko, co jest drogiem sercom naszym (2).“

Dziewoja, co ukochała młodzieńca czystą miłością, ucieka z wybrańcem swego serca do leśnego ustronia, by ując przed uściskiem narzuczonego jój z góry kochanka. Może jeszcze niedawno ten romantyzm w pieśni był obrazem istotnie wiernym częstych wypadków rzeczywistości w dziejach kochających się serc młodych, ale dziś po-

(1) Narodowo pieśni Serbskie prz. R. Zmorskiego. 1853 II 326.

(2) Nije blago ni srebro ni złoto,  
Weoz je blago, szto je srcu drago.



dobne porywania, o jakich pieśń wspomina, już do rzadkich zdarzeń należą. Surowo zabrania je przepis prawa. Zwykle teraz ojciec stara się o żonę dla syna a po zobopólném porozumieniu się rodziców z jedną i drugą stroną, następuje wskazanie synowi lub córce uczynionego wyboru.

Jak wszędzie tak i w Serbii obrzędy weselne mają swoje charakterystyczne a ciekawe cechy. Zwykle w dzień niedzielny lub w święto odbywa się wesele. Uroczysty pochód rusza z przed domu panny młodéj. Byłoby hańbą, gdyby ktoś na koniu towarzyszył, wszyscy dla większej ostentacyi pieszo. Na czele orszaku postępuje grajek wiejski. Tuż za nim panna młoda prowadzona przez brata pana młodego (djever) w otoczeniu starosty weselnego (stariswat), kumów, chorążych (bajrakdar), chochlika (czasz albo glumpac), krewnych, rodziców i znajomych. Wszyscy z orszaku weselnego mają na lewém ramieniu przypięte kolorowe chustki. Pochód się zatrzymuje przed domem pana młodego, któremu bracia panny młodéj zalecają swą siostrę. Ztąd do cerkwi. Weselość wzmagą się po drodze, wybranéj umyślnie w jak najdłuższym kierunku. W cerkwi gromadzą się wszyscy przed ikonostasem około pulpitu, na którym leży ewangelia. Po odbytych modłach ksiądz wiąże lewą rękę panny z prawą pana młodego białą chustą, kładzie korony metalowe na ich głowy i obrączki na palce. Młoda para z jarzącemi świecami obchodzi księdza trzy razy dokoła i przyjąwszy odeń ostatnie błogosławieństwo, wyrusza z cerkwi. Po za świątynią wystrząsają z fuzji i pistoletów zwiastują gminie radosną nowinę dopełnionego związku. Matka przyjmuje nowożeńców u progu domu chlebem i winem w dowód życzenia, by im nigdy na dostatku nie zbywało.

Uczta weselna tchnie swobodą i weselością. Na pożegnanie panna młoda całuje wszystkich obecnych w lewy policzek, za co w zamian otrzymuje od weselników podarki pieniężne. Nazajutrz po ślubie nowozamężna odbywa w towarzystwie swoich rówieśniczek dziewiczę uroczystą wyprawę po wodę do studni lub rzeki, przyczém ukazuje się po raz pierwszy w stroju głowy przepisany dla zamężnych kobiet, a o którym już wyżej była mowa. Wiarę małżeńską dochowują stała w Serbii trwale i uczciwie. Wdowy rzadko w powtórne wstępują związki.

Jestto serce przejmujący widok, widok serbskiej żony i dzieci serbskich, kiedy się gromadzą około męża i ojca, co już ostatnie z siebie wydaje ziemskie tchnienie. Głośnie zaś modły księdza, co błogosławi konające chwile ziemskiej pielgrzymki, obok słodczy religijnej pociechy mieszczą w sobie ustępy, które do głębi wzruszają duszę. Przed temi więc smutnemi obrazami nie chcemy zbyt długo zatrzymywać czytelnika: w boleści serca nad stratą ukochanej osoby, w tém uczuciu, które dzieli każda szlachetniejsza istota, nie uwydatni się żaden rys narodowy: w tym żalu, w tych łzach, któremi się rozplywa serce, wszystkie narodowości są sobie równe. Bohater Homera lub Wergila, Achilles, Izy roni nad zgonem Patrokla nie mniej szczerze od Izy Niebelungów bohatera, Hekabe i Andromacha nie mniej obficie od Izy serbskiej wdowy. Obrzędy pogrzebowe według wschodniego wy-

znania są zresztą znane. Po złożeniu do grobu zwłok, uczestnicy tej smutnej uroczystości zbierają się w domu zmarłego na obchód stypy pogrzebowej (daća), na której nie mało rakii (wódki) wychodzi wypijanej na intencją zbawienia nieboszczyka. Stypa pogrzebowa ponawia się po dwóch tygodniach, sześciu miesiącach i po pierwszym roku. Zwykle wtedy przybywa także dla odprawienia modłów i ksiądz miejscowy. Dla uczczenia pamięci nieboszczyka wystawiają część potraw na grobie zmarłego, półmisk z ryżem, plackiem, wino i wódkę, czóm się następnie dziela dziady i baby cmentarne, niby ofiarą złożoną w imieniu nieboszczyka.

W Dzień Zaduszny, który w Serbii według obrządku wschodniego przypada na niedzielę po Trójcy Św., rodzina odbywa pielgrzymkę i za umarłych ofiaruje pewną liczbę świec. Również skwapliwie zakupuje lud mszę i żałobne modły, bo zmarłych chowa w wielkiej czci jeszcze z innego powodu — wierząc w upiory.

Po czterdziestu dniach często żyły duch zstępuje w pogrzebione zwłoki, ztąd w postaci upioru (wukodlak) wkrada się do mieszkań ludzkich, dusi śpiących i wysysa ich krew. Posiada tę własność, że się przez najmniejszy otwór, nawet przez dziurkę od klucza, dostać może. Uczciwy człowiek nigdy się nie zamieni w upiora, chyba, że nad niepochowanymi jeszcze zwłokami jego ptak przeleci, ale przed tém nieszczęściem wszystkich zmarłych pilnie strzegą. Upiór najgroźniej panuje, według ludowego wierzenia, w czasie od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Jeżeli się we wsi zdarzy znaczny mór, wtedy upiorowi przypisują winę. Prowadzą więc konia na cmentarz, na domniemane miejsce pobytu upiora: jeżeli koń nie chce przejść przez grób, dowód, że zwłoki mieszczą złego ducha. Ciało nieboszczyka przytwierdzają wtedy do ziemi ostremi kołami, żeby go nieszkodliwym uczynić.

Cmentarz zwykle w pobliżu wsi a nieraz w środku samego siola się znajduje na wyniosłości drzewami pokrytej. Stawianie lamp na grobach przypomina zwyczaj starożytnych ludów. Wysokie krzyże drewniane obok mniejszych, noszące nazwy zmarłych i inne kamienne pomniki o wielce nieprawidłowych kształtach, nadają serbskiemu cmentarzowi fantastyczny pozór, który w połączeniu z piękną miejscowością i malowniczym nieładem, korzystnie się wyróżnia od wielkomijskich cmentarzy ujętych w murowany czworobok, poprzerzynanych prostymi ulicami, niby warzywne ogrody.

We właściwej Serbii nie ma tak jak w Czarnogórze ludnych i rozgałęzionych rodów. Ich miejsce zastępują gminy miejskie, których ludność stanowi jedną całość. Wyrazem tej łączności jest święto patrona miejskiego (Sabor), obchodzone przez całą wieś z niezwykłą uroczystością. Wszelka praca zawiesza się wtedy w polu i domu, rano zbiera się gromada miejska na nabożeństwo do cerkwi. Ztąd ksiądz na czele processy z obrazami świętymi udaje się w pole, święci ziemię, wodę i bydło, a pobożny ludek wznosi modły do Boga o urodzajne lato. Pod tym względem uroczystość podobna jest do dni krzyżowych, w naszym kościele obchodzonych, z dodaniem tylko

części świeckiej, bo czas popołudniowy cała gromada serbskiej wsi poświęca wesołej zabawie, wśród nieprzerwanej uciechy urozmaiconej pieśnią, muzyką i tańcem.

Najdobitniejszym jednak wyrazem wspólności i ścisłości węzłów rodzinnych jest uroczystość patrona domowego, patrona rodu czyli zadruży. Każdy ród stanowiący zadrużę, ma swego anioła-stróża, swego orędownika czyli patrona, jak każda gens rzymska miała swoich penatów, swoich penates familiares. Święty patron jest najbliższym pośrednikiem między zadrużą a Bogiem. Każdy kmieć serbski wierzy, że tarczą od wszelkich nieszczyć jest święty opiekun rodu, że on najskuteczniej wstawia się za modłaczami doń członkami zadruży. W osobie świętego patrona spostrzega Serb, dziecinnie myślący, jakąś tajemniczą potęgę z nieograniczoną władzą panującą nad niepojętymi dlań siłami przyrody, od których całe jego szczęście zawisło. We wszystkich ważniejszych chwilach swego życia, w szczęściu i wśród troski, w radości i wśród smutnej doli, każdy członek rodziny błaga jego łaski dla siebie i świętego ogniska rodzinnego, bo od pomysłności całego kółka zawisło i powodzenie każdego oddzielnie.

Uroczystość domowego patrona staje się więc w obec religii wyrazem rodzinnych węzłów i urzędzeń serbskich. Wspólność wszystkich członków stanowiących jedną całość pod względem gospodarczo-rolnym i rodzinnym, w ten dzień uroczysty uwydatnia się duchowo i przyodziewa w kształt wysokiej uroczystości religijnej. Patron domu nazywa się krsno imię, albo po prostu swetac (święty). Najczęściej Serbowie wybierają na patronów ŚŚ. Nikołą, Jowana, Dżordzja (Jerzego). Na cześć rzymskich penatów palono na ognisku domowym rodzaj ognia ofiarnego. Podobnie i Serb zapala przed patrona obrazem,—sprowadzonym z Wiednia lub z Rossyi,—małą lampkę i nigdy tego uczynić nie zaniedba w niedzielę i święta uroczyste, choćby był najbiedniejszym.

Dzień świąteczny, na który przypada uroczystość patrona, nazywa się wraz z całym obchodem: sławą. W sławie bierze udział cała gmina kościelna, na uczenie zaś są głównie obecni członkowie zadruży, kumowie i inni krewni. Uczta odbywa się w domu naczelnika rodu, czyli starjeszyny. Zielone wieńce zdobią ganek i dom w ten dzień uroczysty. W obszernej izbie stoi długi stół z desek świeżo zaimprovizowany. Na nim różnokolorowe gliniane i drewniane naczynia, miski, talerze, łyżki, (nóż każdy Serb z sobą przynosi) spodeczki z solą i z papryką (pieprz turecki). Na środku stołu spoczywa ogromny okrągły bochenek chleba, krstni kołacz nazywany, który w religijnej części uroczystości najważniejszą gra rolę. Według liturgicznych przepisów, chleb ten powinien być z pszennej mąki. Na jego wierzchniej części wznosi się krzyż wysoki z napisem: „Isus Christos nika“, na dolnej zaś powierzchni—tylko krzyż na skórcie wyciśnięty.

Wchodzi ksiądz ubrany w szaty kościelne i staje u rogu stołu. Przy nim naczelnik rodu, tuż obok najstarszy syn z całą mężką poło-

wą rodu; dalej koło stołu kumowie i inni krewni: kobiety mieszczą się w głębi izby. Ksiądz czyta modlitwy i święci chleb święty. Błaga o błogosławieństwo Boga i ś. patrona i prosi orok urodzajny, aby kłosa wyrosły wysokie jak do szczytu izby. Wonnych kadzideł zapach z trybularza rozchodzi się w około, cienie dymu przesuwiają się po nad głowami zgromadzonego u stołu zadругi.

Starzszyna bierze chleb do ręki i razem z księdzem łamie na połowę. Ksiądz polewa chleb winem a starzszyna wraz z kumem wino ustami wysysają i znowu na połowę chleb dziela. Część tego chleba dostaje ksiądz, starzszyna i gospodyni domu. Akt święcenia się skończył. Ksiądz zdejmuje swe szaty pontyfikalne i zasiada przy stole na naczelném miejscu. Rozpoczyna się uczta złożona z potraw, na jakie się kuchnia serbskiego kmiotka zdobyć może. Za napój służy rakja i wino. Biesiadnicy wychylają jeden toast za drugim. Ksiądz wznosi kielich na cześć Boga:

Kto pije wino na Sławę Bożą,  
Pomóż mu Boże i sława Boża.  
Cóż piękniejszego, jak Boga sławić,  
A w świętej prawdzie z braćmi wieczerzać?

Gospodarz zdrowie swoich gości. Odzywa się śpiew: „mnogaja ljeta“ i ciągle przeplata dźwięczna melodya nieskończoną liczbę toastów. Przy każdym z nich powtarzają się wierszowane gratulacye „zdrowia“ i życzenia (zdrawice, počašnice). Poetyczne porównania, nieraz pełne myśli obrazowanie stanowią wielce miłą ozdobę tych niekunsztownych improwizacyj. Jeden z kumów przy toaście odzywa się do biesiadników wierszem, wierszem, który bogactwem swych niewyszukanych porównań a prostotą myśli przemawia żywo do duszy:

Troje ptaków górą przelatuje,  
Różne dary niosą wszystkie w dziobie:  
Jeden niesie kłos pszenicy białej,  
Drugi winnej gałązkę macy,   
Trzeci niesie zdrowie i wesele.  
Który niesie kłos pszenicy białej,  
Ten na Baczka spuści się równinę;  
Równina Baczka zbożem ztąd zakwita;  
Który winnej gałązkę macy,  
Ten na Fruszką górę z nią upadnie:  
Fruszka góra winem ztąd zakwita;  
Który niesie zdrowie i wesele,  
Ten niech padnie na stół między nami,  
Niech kwitniemy zdrowiem i weselem!

Kiedy starsi już skończą swoje zdrawice, wtedy młodzież wstępuje na pole popisu. Oto młodzian nalewa sobie z dzbanka wino i pije zdrowie dziewczki:

Nadleciał kwiatek z cudzej krainy,  
Upadł dziewczynie w rumiane wino,  
Miła siostrzyczko, ranna gwiazdeczko!  
Oddmucharaj kwiatek, napij się wina;  
Bo to kwiatusek od chłopca twego,  
Kochanka twego z cudzej krainy.

I oko i czoło,

Bądź mi, siostrzo, wesoło! (1).

\*

\*

\*

Jeżeli u ludów europejskich, nawet u tych, gdzie się nauka Chrystusa w najczystszej formie rozwinęła kształcie, dotychczas zachowały się tu i owdzie ślady i szczątki prastarego ubóstwiania natury, to te pozostałości pogaństwa najsilniej u południowych Słowian pomieszały się z chrześcijańskimi obrządkami i zwyczajami. Dość przejrzyć szereg świąt kościelnych obchodzonych przez wyznawców wschodnie, tudzież uroczyści w domowym serbskim kalendarzu pomieszczonych, a łatwo dostrzedz można, jak w tych obecnych zwyczajach odbija się echo odległych pogańskich wieków, kiedy jeszcze Słowianie, bawiąc się pasterstwem i rolnictwem, bogom leśnym i polnym ofiary składali. Serbowie zwyczajem wszystkich wyznawców wschodniego kościoła trzymają się kalendarza juliańskiego.

Szereg świąt rozpoczyna dzień Teofanii, czyli Objawienia Boga (Apparition), pod nazwą u nas Trzech Króli znany. Wiadomo jest, że jak wielką okazałością obchodzą ten dzień w stolicy północnej na Nowie. W tym samym sposobie jak tam udaje się nad brzeg Sawy książe serbski wraz z licznym duchowieństwem i dworską świtą z patriarchę na czele, który zanurzywszy po trzykroć krzyż w wodzie, podaje księciu do pocałowania i znak krzyża na czole księcia uczyniwszy, ten sam symbol odnowionego przez chrzest życia na czołach obecnych przy procesyi składa. Taki jednak znak duchowego pocieszenia nie wystarczy dla prostego serbskiego kmiotka. Od takiego święta wymaga on dotykalszych znaków szczęścia dla siebie i swego domu.

Według mniemania ludu otwiera się niebo w wigilię Trzech Króli. Nie każdy jednak jest przez los wybrany do oglądania tego cudu; wybrancom, którzy tej łaski dostępują, wolno prosić Boga o spełnienie życzenia, ale tylko jednego.

„A Jezus ochrzczony będąc, wnet wystąpił z wody, a oto się mu otworzyły niebiosa i widział Ducha Bożego, zstępującego jako gołębicę i przychodzącego nań (Ew. S. Mat. III 16).“

Wielu przepędza noc na polu w tęsknym oczekiwaniu cudu. Przed wschodem słońca kapie się kmiotek w rzecę, gdy ją zaś pokrywa już lodowa skorupa, wyrębuje przerebel i nurza się w zlodowiałej wodzie, bo kąpiel w tym dniu wzmacnia ciało na rok cały.

(1) Przekład R. Zmorskiego, T. II, 313—317.

Zwiastowanie N. Maryi Panny 25 marca. W dniu tym według wiary ludowej można skutecznie zakląć złe duchy, zwłaszcza czarowników. Na dni kilka zabija się węża i na łbie umieszcza się odłamek czosnku. Jeżeli puści kiełki zielone aż do święta, wtedy na kapę księdza przed procesją kładzie się odłamek czosnku, co ma nieomylny dawać sposób poznawania wszędzie czarownic.

W Kwietnią Niedzielę (cweti) obchodzą wieśniacy zwyczajem kościoła pamiątkę uroczystego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, łączą z tém jednak i swoje własne święto: zbudzenia się natury i poczynającej się wiosny. W przeddzień zbierają się zwykle dziewczęta serbskie w polu i śpiewają pieśni o przebudzeniu się Lazara, przed wschodem słońca w dzień palmowy kąpią się wrzece i na wesołych tańcach czas trawiają. Jako w Indyi, zkaąd podobno przeniesioną została do nas palmowa uroczystość, uważa też i kmiotek serbski to święto za zwycięstwo budzącej się wiosny nad potęgami zimy. Odtąd się już drogi poprawiają, las pokrywa się liściem, teraz się już można cieszyć kwitnącemi Boga tworami. Wesołe *wily* wychodzą z ukrycia i swemi płaszy ożywiają zielone błonia i gaje białego kwecia. Przy muzyce niebiańskiej wirują w kołowym tańcu te lekkie powietrzne postacie w jasnych powiewnych szatach. Biada temu, coby się odważył podpatrzyć lub przeszkodzić ich weselu. Leśne boginie mogłyby się krwawo na nim zemścić, ich celne strzały nigdy nie chybiają, zawsze mierzą w piętę lub serce. Tylko *Widowi*, który się rodzi w siatce do koszulki podobnej i który niezwykłym celuje rozumem, pojmuje mowę *wil*: wszyscy inni śmiertelnicy pilnie strzedz ich się muszą.

Wielkanoc należy do najpiękniejszych świąt wiosennych; wszędzie ją też obchodzą wielce uroczyście. Jajko, symbol wszego początku we wszechświecie i nowego życia przez odkupienie Chrystusa, gra wtedy ważną a nam znaną rolę. Wzajemnie częstując się jajkami Serbowie, witają się słowy: „Chrystus zmartwychwstał” i odpowiadają: „w istocie zmartwychwstał“.

Na dzień 23 kwietnia przypada uroczystość ś. Jerzego, zwycięzcy smoka (Djurdjewdan). Już przed wschodem słońca kąpią się chłopcy, a dziewczęta czerpią wodę z pod koła młyńskiego, wrzucają weń świeżo zerwane zioła i myją się tą wodą, jako podnoszącą urodę i wzmacniającą zdrowie. Dobrze jest także w dzień ten chuścić się, tarzać na murawie, byle tylko nie spać, bo to ból głowy sprowadza. We wschodniej Serbii od dnia tego ustaje używanie baraniego mięsa. Nad Timokiem (wschodnia graniczna rzeka) czczą św. Jerzego jako patrona trzody. Każdy wieśniak pędzi wtedy kozielka swego do cerkwi. Na jednym z rogu stawia się woskowa świeczka. Po skończonej liturgii wychodzi pop przed cerkiew i święcąc zapalone na rogach kozielków świece, błogosławi wszystkie trzody wiejskie w osobie tych rogato-brodatych przedstawicieli. Poświęcone kozielki zdobia później stół świąteczny. Nazajutrz pop wraz z djakiem obchodzi chaty wiejskie i zbiera skóry kozłe jako dar za udzielone błogosławieństwo. I w innych częściach Serbii zachował się zwyczaj, który zapewne po-

zostaje w związku z ofiarnymi kozłami, jakie w pogańskich czasach na cześć bogom rodzinnym składano.

Zapewnie również odległej sięga starożytności i z pogańskich przechowało się czasów surowo przez duchowieństwo zabronione święto, znane pod nazwą *Dodoli*. Jeżeli zbyt wielka susza zagrażała urodzajom, wtedy jedna z dziewic wiejskich okrywała się zielonością, ziołami i gałązkami, tak iż z poza tego stroju tylko twarz jej widać było. Równieżniczki towarzyszyły jej, skacząc na około z rękami do góry wyciągniętymi. Przed każdym domem zatrzymywano się i śpiewano do „*Dodoli*“ bogini deszczem władającej o spuszczenie rosy niebieskiej na spieczony skwarem niwy:

My ciągniemy wzdłuż przez siolo,  
 Oj dodo, oj dodole!  
 A obłoki wzdłuż przez niebo,  
 Oj dodo, oj dodole.  
 I my prędko, obłok prędko,  
 Oj dodo, oj dodole!  
 Prześcignęły nas obłoki,  
 Oj dodo, oj dodole!  
 Żyto, wino pokropiły,  
 Oj dodo, oj dodole! (1).

Śpiewy powtarzają się tak długo, dopóki z chaty ktoś nie wyjdzie, zwykle gospodyni, która obławszy „chodzącą trawę“ kubłem wody, w darze składała *Dodoli* i jej towarzyszkom różne podarunki. Procesya szła dalej do następnej chaty. Dziś odziedziczyły tę pogańską spuściznę cyganki, które w podobny sposób po wsi chodzą, chociaż wieśniak serbski w skuteczność prosby zanoszonej przez cygankę—*Dodole* nie tak silnie wierzy.

Zbliżają się Zielone Świątki (duhovi, troice) to „miłe święto“, jak je Goethe nazywa w swoim poemacie *Reinecke Fuchs*, obchodzone uroczyście na Zachodzie zwykle na łonie zielonej kwitnącej natury, wśród wonnych lasów. Któżby nie pragnął wyrwać się z ciasnych murów lub posępnej chaty, kiedy w majowy dzień słońce złotą zaświeci pogodą, kiedy pieśń skowronka rozlega się po polach zielonym kłosem umajonych? Ten się poi wonią balsamicznego powietrza, ów znowu z radością patrzy na swoje piękne i bujne niwy.

Kmiotek serbski, którego plony od matki natury zawisły, czyż nie miał powodu, patrząc na bujne zawiązki, cieszyć się swoim szczęściem z całego serca i pragnąć, by się ku jesieni jego nadzieje ziściły? Ztąd też w Zielone Świątki dziś odbywają się processy kościelne, ksiądz wychodzi z całą gromadą, by święcić pola i drzewa a ludźk gorące zanoszą modły do Boga o urodzaj. Oprócz tego niczym innym nie wyróżnia się to święto od zwykłych dni wolnych od ciężkiej pracy. Ale dawniej przed kilkunastu laty, podobno dziś nawet w niektórych

(1) Wuk Karadžycz. Srpske pjesme. I Nr 185.

miejsowościach, Zielone Świątki były wielce uroczystem ludowóm świętem, obchodzonym na cześć staro-serbskiej bogini miłości Lelji. Przeciwno kralicy, bo tak lud swą uroczystość nazywał, powstawało duchowieństwo i ten zabytek, niewątpliwie pogańskich czasów, już ze zwyczajów niemal usunięty został.

To piękne poetyczne święto wiosenne było poświęcone czci bogini miłości. W pieśni wysławiano czarujące wdzięki i potęgę tej wielowładnej bogini, której wpływom młode serca zawdzięczają tyle snów złotych, tyle marzeń tęczowych i tyle głębokich, słodkich wzruszeń, a starcy tyle rozkosznych wspomnień, iż na chwilę nowém zaczynają żyć życiem. Lud więc starał się tę niewidzialną siłę przedstawić w cieleśnej postaci i uzmysłowaną miłość ubrał w najpiękniejsze kształty, w czarujące powaby. Wybierano we wsi najurodziwszą dziewczę, krasawicę istną, jak przystało na boginię miłości. Lelja była w pojęciu ludu kralicą, królową. Występowała wieńcami cała pokryta. Obok niej cudne towarzysзки, z których jedna przedstawia króla, umajone również zielonemi splotami; całe otoczenie składało się z rycerzy i pań dworskich, orszak z chorążym na czele od domu do domu ciągnął,zywając Lelii:

Królu, jasny królu!  
O królowo, pani! Leljo!  
Powstań i pobiegnij! Leljo!  
Z dworu ku dworowi, Leljo!  
Do carskiego stołu, Leljo!  
Gdzie car wino pije, Leljo!  
Leje je królowa, Leljo!  
Ze złotego dzbanka (1).

I stanawszy przed domem wiejskim, orszak składał holdy gospodyni:

W domu tym przed nami,  
Dobra gospodyni,  
Wołki jak jelenie,  
Balsamowe jarzma,  
Drażki jak bławatki,  
Żyto niby złoto,  
Królu, jasny królu!  
Dzielny nasz chorąży!  
Obróć się i pokłoń  
Hołduj gospodyni! (2).

(1) Wuk Karadžicz. Srpskie pjesme I. 159. Wszystkie wiersze, z wyjątkiem pierwszego i ostatniego śpiewają się po trzykroć; przy środkowych zaś chór przyspiewuje Leljo.

(2) Tamże, I Nr. 160.



Odezwały się dźwięki muzyki, chłopcy i dziewoje, podawszy sobie ręce, opasali kołem króla i kralicę, w żartobliwej pieśni zanoszą do nich prośbę:

Tu, nam powiadają,  
Bawi młode dziewcze,  
Zamaż ją wydajcie  
Albo nam przeznaczcie.  
Żeby za mąż wydać  
Za Jowana djaka,  
Za siostrzeńca popa,  
Który pisze piórem  
Wziętém z orlich skrzydeł,  
Niém téż zapisuje  
Oczki wszystkich dziewic  
I molojców twarze (1).

Inne znowu święto z nie mniej licznemi odgłosami tajemniczój poezji natury, spotykane w jednakim kształcie u wszystkich niemal ludów, stanowią dzień, kiedy słońce dobiega najwyższego na niebie punktu, dzień Ś-go Jana, 24 czerwca. Ś-ty Jan (Iwań dan) jest tak wielkiém świętem, że według mniemania Serbów, słońce wtedy trzy razy się w biegu swoim zatrzymuje. Daremnie sarali się pierwsi chrześcijańscy apostołowie znieść uroczystość istotnie pogańską, poświęconą życiodawczemu słońcu w chwili największej jego siły i czci dobroczynnego ognia. Ani germańskie ani słowiańskie ludy tego prastarego obyczaju dotychczas nie zarzuciły. Kościół widział się zmuszonym na dzień ten przenieść święto Jana Chrzciciela, by w nim uwydatnić symbol wiekuistego światła bożego. Na całym Zachodzie jak i u nas dotychczas jeszcze w sile utrzymał się pogański zwyczaj. Któż nie widział w noc Ś-to Jańską owych ogni na szczytach gór, lub owe większych chłopców wesołe płąsy wśród fantastycznego światła gorejących pochodni?

Podobnież w Serbii według mniemania ludu światło Ś-to Jańskie posiada siłę ochronną, zabezpiecza bydło od chorób i pomoru. Młodzież wiejska z zapaloném luczywem obchodzi w okół bydło zgromadzone, wbiega na szczyty gór i tam rozpala stosy z przozowego ułożone drzewa. Dziewczęta zbierają wśród śpiewów Ś-to Jańskie ziele, zatykają je w płotach dla zabezpieczenia domu od szkody. Kładą także ziele do wody, z czego według pewnych znaków wróżą o swoim zamażpójściu.

W letnich i jesiennych miesiącach przypadają kilka świąt drobniejszych, jako to Ś-go Eliasza władcy gromów, Ścięcie głowy Ś-go Jana, Ś-go Michała Archanioła i inne, przy obchodzeniu których, lubo zachowuje lud pewne zwyczaje, te jednak tu jako mało w sobie charakterystycznych cech mieszczące, milczeniem pominięte być mogą. Dopiero święta Bożego Narodzenia wyróżniają się swoją wydatnością i odrębnością, lubo wspomnieć się tu godzi o świętach jakie w grudniu

(1) Tamże, I. N. 161.

obchodzi najmłodsze pokolenie, mianowicie dziatwa. W przedostatnią niedzielę adwentową przypadają *materice*, w ostatnią zaś tak nazwane *otcewi*. Działwa już na kilka tygodni marzy o tych uroczystościach, podobnie jak u nas „gwiazdka“ w głowach dziecąt budzi już zawczasu rozkoszne nadzieje o złotych jabłuszkach i piernikach. W dzień *materic* działwa czyha na sposobną chwilę, żeby zajęść znienacka matkę i w żartach „związać“ wstążkami. Matka wtedy wykupuje się z niewoli weselących się dzieci, darząc ich orzechami, owocami lub innym smacznym kąsem. W podobny sposób postępuje działwa z ojcem w *otcewą* niedzielę. Czy te uroczystości nie są czasem dniem pamiątkowym, przypomnieniem owych „młodzianków“, owych niemowląt betleemskich za sprawą Heroda wyciętych?

Sposób obchodzenia Bożego Narodzenia (bozic) przypomina bardzo żywo zwyczaj z czasów pogańskich. Tylko częściowo przebijają się w nich żywioły chrześcijańskie. Nieraz rysy dawniejszego pochodzenia obok świeższych swobodnie i niezależnie na jaw występują. Do takich uroczystości, które dziś już tylko w niektórych miejscowościach Serbii spotkać można, należy koleda, nasza koleda w wigilię Bożego Narodzenia. Zdaje się, że koleda która jak Lejla i Doda występuje samodzielnie w pieśniach, przedstawia również bóstwo dawniej przez Serbów jak i innych Słowian czczone. Śpiewacy stają przed każdym domem i śpiewają, na cześć koledy:

Gospodyni koledo, pani nasza koledo!  
 Zastaliśmy cię przy stole, koledo!  
 Gdzie wieczerę ty spożywasz, koledo!  
 Białém gardłem wino pijesz, koledo!  
 I oczyma perły liczysz, koledo!  
 I rękoma sznurek splatasz, koledo! i t. d. (1).

Takie obchodzenie po wsi koledujących, mniemają Serbowie, przyczynia się do pomyślniejszego utrzymania inwentarza, obfitszego doju krów i in.

Wigilią Bożego Narodzenia nazywają także w Serbii badnii dan. Naczelnik rodu, starosta, ścina zwykle przed zachodem słońca najwyższe drzewo z młodych dębczaków, odzywając się doń temi słowy: Dzień dobry! bądź szczęśliwy, badnii dniu! Nieraz ścinają wieśniacy kilka badniaków w Hercegowinie téj wielkości, że dla ich przywiezienia potrzeba dwóch do czterech par wołów. Przybywszy przed dom, starosta wita wychodzących na jego spotkanie członków rodziny. Dobry wieczór, niech wam szczęście przyniesie badnii dzień! Odpowiadając mu: Niech ci Bóg go udzieli! posypują drzewko pszenicą. Więc i w Serbii mają coś nakszałt naszych gaików, bo i tam drzewko niepoślednie zajmuje wśród uroczystości miejsce. Na ognisku kładą drzewko, gospodyni domu ściele naokoło słomę, naśladując przytém kwokanie kury,

(1) W. Karadzić, T. I str. 190.

dziatwa zaś, odtwarzając głosem pisklenie kurcząt rzuca orzechy między słomę, którą nazajutrz ścielą pod bydło. Spożywają następnie wieczernię i czuwają pilnie, by przez noc nie wygasł ogień badniaka.

Rodzinie wiele na tém zależy, kto z gości piérwszy dom jój nawiedzi w dzień Bożego Narodzenia? Zwykle więc już z góry wybiera go sobie z koła swoich przyjaciół. Położajnik, bo tak się gość podobny nazywa, wchodzi do domu i wita rodzinę pozdrowieniem: „Chrystus się narodził“ a otrzymawszy odpowiedź: W istocie się narodził, posypuje ziarnem pszenicy palący się badniak. Poczém uderza drzewko kosiosem, odzywając się temi słowy: Ile iskier tyle bydła, owiec, kóz, trzody chlewnój, barci, tyle szczęścia i błogosławieństwa temu domowi.“ Następnie posypuje ściany popiołem, kładzie kilka drobnych monet pod badniak albo zawiesza na drzwiach wiązkę lnu.

Z głównią po spalonym badniaku wychodzi starosta do bydła, okrąża ule i zatykają między gałęzie drzew owocowych aby i na to źródło domowego bogactwa Serbów spłynęło błogosławieństwo. Posiłek południowy zwykle obfitszy niż w inne święta odbywa się przy jarzęcych świecach poprzedzony aktem wzajemnego całowania się przy pozdrowieniu: Chrystus się narodził. W dniu tym picie wódki jest wielce umiarkowane, gdyż nadmiar w tym razie może spowodzić zapalne febry. Odwiedziny wzajemne nie są w tym dniu we zwy- czaju. Każda rodzina we własnym domu obchodzi święto. Położajnik (gość) spędza zwykle cały dzień w domu, do którego został zaproszony, wszyscy są mu wielce radzi a na pożegnanie darzą go upominkami drobnymi. Im gość w weselszém usposobieniu dom opuszcza, tém większe sprowadza jego odwiedziny błogosławieństwo; jeśli zaś nieco podchmieliwszy sobie wychodzi, to najpomyślniejszą dla domu zostawia wróżbę.

\*

\*

\*

Powołując się na to, co wyżej nadmienioném było, przypomnieć należy, że nie z samych Serbów składa się ludność księstwa Serbskiego; w granicach bowiem jego mieszkają także w dość znacznej liczbie rumuńskiego lub romańskiego szczepu Wołochy i Cyncary. Dla uzupełnienia obrazu etnograficznych stosunków Serbii i o tych żywiołach kilka słów powiedzieć, zbyteczném nam się nie widzi.

Ludność rumuńska lub wołoska rozsiadła się na znacznej przestrzeni we wschodniej części Serbii po prawej stronie rzeki Morawy, tu i owdzie pomieszana, z miejscowemi Serbami, w powiatach jednak nad brzegiem Dunaju w jednostajnej siedzi massie. Z górą sto tysięcy (123,000) głów liczy w Serbii ta obca ludność. Nie ta wszakże dość znaczna liczba, ile raczej ważne znaczenie, jakie ma w życiu wewnętrzném Serbii szczep rumuński do bliższego nas zmusza zastanowienia się nad niém. Wołosi odznaczają się nietylko wielką siłą zachowawczą pod względem swój narodowości, ale nawet jeszcze przed niedawnym czasem w Serbii czynili znaczne postępy w romanizowaniu lu-

dnosci miejscowej. Nie tak wysoko ceniąc córki jak Serbsey ojcowie, Wołosi chętnie wydają je za również chętnie biorących je Serbów. Wspólność wyznania obu narodowości ułatwia ich połączenie. Wpływ wołoski musiał być silny, jeśli wszedł nawet w przysłowie: Gde Vlahinja dodje, svu kuća povlaši, t. j. gdzie Wołoszka wstąpi, tam cały dom zwołoszcy. Cyncarzy zaś w życiu handlowo-przemysłowém Serbii pierwszorzędne zajmują stanowisko.

Zkądby pochodzili Rumuni czyli Wołosi, nad tém długo zastanawiali się uczeni; dopiero Mikłosicz, znany badacz języków słowiańskich, w tém pytaniu do stanowczych a zasadnych przyszedł wniosków na podstawie swoich badań filologicznych. Ludność więc wołoska nie powstała, jak mniemał Szafarzyk, z mieszaniny Rzymian i Słowian, ale według zdania Mikłosicza wytworzyła się z Daków i Getów zromanizowanych. Nad lewym brzegiem dolnego Dunaju siedzieli Dakowie i Getowie, szczep z gałęzi illiryjskiej. Z początkiem II-go stulecia po Chr. dosięgnął ich ziemi zdobywcy miecz Rzymian, którzy tu między niemi osadzali swych kolonistów. Do tego przeto wieku odnieść należy początek języka wołoskiego, który pod silnym łaciny zostawał wpływem. W kilkaset lat później zromanizowane ludy Daków wyparte zostały na prawy brzeg Dunaju przez Słowian i zajęły Siedmiogrodzkie wzgórza i Banat węgierski.

O praojcach Rumunów—o Dakach i Getach, kilka szczegółów ciekawych donoszą nam starożytni pisarze. Oddawali oni cześć głównemu bóstwu—Zamolxis zwanemu, wierzyli w nieśmiertelność duszy, objawiali skłonność do askezy, do życia surowego, kobietę stawiali wysoko w stosunkach społecznych. Wiara w różne przejścia duszy do innych światów rozgrzewała szczególnieję waleczność wojowników. Cesarz Julian Apostata nazywa ich najdzielniejszymi walecznikami i nauce ich przypisuje chęć poświęcenia się w boju. Z Rzymianami wcisnęły się rzymskie bóstwa, co wraz z charakterem rodzinnej religii wpłynęło na rozbudzenie sztuki plastycznej. Szczątki pomników z téj sfery świadczą, że zromanizowana Dacya w ciągu kilku wieków dosięgła względnie dość znacznego stopnia uspołecznienia. Wątek losów dziejowych naddunajskich Daków i Getów urywa się bardzo wczesnie: dzieje ich zaledwie w XIII w. ponownie wychylają się z pomroki. Zdaje się, że z nad Dunaju wyparowani Rumuni czyli Wołosi szukali schronień w siedmiogrodzkich i karpackich odnogach, zkąd wyłamawszy się z pod władzy książąt Halickich, znowu ku ujściom Dunaju posuwać się zaczęli. Część z nich odebrała Bulgarom panowanie w Wołoszczyźnie (dzisiejszej), inni znowu pod sprawą dwóch wodzów zajęli brzegi Mołdawy i Prutu, w XIV wieku pomieścili się ze Słowianami, przejąwszy od nich liczne zwyczaje i obyczaje, następnie niezależne księstwo Mołdawskie założyli. W obu krajach słowiańskie urządzenia polityczne i słowiańska mowa byt swój utrzymały: aż do XVII wieku język słowiański był panującym w Kościele i prawodawstwie. Świadczą o tém akta urzędowe Wołoszczyzny i Mołdawji a prawie do czasów Jerzego Rakoczego I. Szafarzyk przyta-

cza, że wszystkie dworskie urzędy i dostojęstwa słowiańskie nosiły nazwy np. Veliki Ban, V. Dvornik, V. Stolnik i in.

Mikłósicz wykazuje podwójny wpływ, jaki się objawia w języku rumuńskim wywarty ze strony słowiańskiego; we względzie przystawek słowiańskich przyzeczianych do wyrazów rumuńskich i znacznej ilości słów słowiańskich, jakie się doń wkradły. Daremnie starają się młodzi Rumunie wyrzucać ze swęj mowy słowiańskie żywioły, zamiast kraj używają *rege* i t. d. Lud jednak od kilkuset lat oswojony z właściwościami swęj mowy, przesiąkniętęj słowiańskim pierwiastkiem nie tak prędko podda się nowatorstwu.

Język łaciński najsilniejszy jednak wpływ wywarł pod względem form gramatycznych, nadawszy im swoje kształty i zaopatrzywszy język rumuński w znaczny zasób swoich wyrazów; lubo z drugięj znowu strony przebijają pewne właściwości w mowie rumuńskięj, które do prastaręj a pierwotnęj podstawy odnosić wypada. Według trafnego spostrzeżenia Mikłósicza, formacja pierwotna rumuńskięgo języka w wielu razach, będąc do albańskięgo podobną, staro-illiryskie pochodzenie pokazywać się zdaje. Prócz tych żywiołów nie mało także znajduje się wyrazów madyarskich, w języku zaś Cynzarów greckich.

Wołochów w Serbii mając li na uwadze, powiedzieć o nich można, że są średnięgo wzrostu, w ruchach swoich nieco ocięzali. Głowę i twarz mają podługne, profil piękny i szlachetny. „Oczy błyszczą jak dwie gwiazdeczki“ zwłaszcza w chwili wzruszenia. Z pod ust rysujących się w delikatnym kształcie, ciemnym wąsem pokrytych, ukazują się białością jaśniejące zęby. Ciemny, długi, gęsty włos otacza opalona, pełną wyrazu głowę. Ubiór nie wiele od serbskięgo się różni: Wołoch tak samo jak Serb długą aż do kolan nosi płócienną koszulę, przepasaną pasem, który z dobiją liczne świecidełka, kółka mosiężne. Pokrycie głowy zwraca na siebie uwagę: już po czapce każdy odróżni od Serba Wołocha, który nosi nawet latem ogromną białą lub czarną czapkę baranią (ćubara).

O urodzie Wołoszki wiele powiedziećby można: piękna Rumunka wdziękiem twarzy, powabem kształtu przypomina żywo klasyczne typy w średnich Włoszech spotykane. Głowa i linie twarzy, zakrój nosa, kształty ust są jak gdyby powtórzeniem form z posagów starożytnych. Zwykle ciemne oczy, ujęte w cienie długięj rzęsy i gęstęj brwi nadają twarzy idealny wyraz, przy tańcu lub innem wzruszeniu strojący się w połysk żywości. Naganny zwyczaj dziewic barwienia sobie twarzy odejmuje cerze naturalną jęj świeżość. Grupa młodych od studni wracających Rumunek przedstawia czarowny widok. Wysmukłe elastyczne kształty ciała wydatniają się w nieskazitelnej piękności z po za długięj płóciennęj sukni. Szeroki pasek obejmuje kibić. Polne kwiatki we włosach, obok złote i srebrne kółeczka około szyi nasznurku się wijące dopełniają ubioru rumuńskich krasawic, z niewysłowionym wdziękiem niosących wodę w dzbankach o klasycznych kształtach. Zameżna kobięta zaniedbuje się zupełnie. Daremnie szukałbyś na jęj twarzy śladów dawnęj piękności. Z koszykiem na głowie, w którem niemowlę spoczywa, z ciężarem na plecach, z wrzcionem, z któ-

rego lewą ręką snuje wątek lniany, tylko lekkim gibkim chodem o rumuńskim swém pochodzeniu świadczy. Pod względem cnót małżeńskich Rumunka nie jest Penelopą, w tym względzie traci nieco na sławę, którą sobie w przedślubnej dobie życia zjednała.

Powyższe rysy zdjęte są z ludności wiejskiej. Zupełnie inaczej przedstawiłby się obraz Rumunki do wyższych stanów należącej. Któż nie zna owych zalotnych, zbytciem jaśniejących kobiet, o południowych rysach twarzy, co szczęśliwie pod względem wdzięków i wystawy współzawodnicząc z Paryżankami, nadreńskie rok rocznie napełniają wody? Lubo są i w bojarskich dworach nie rzadkie wyjątki, co mówią o niepospolitych zdolnościach rumuńskich kobiet. Dość jedną wymienić przez całą Europę dla jej wyższego dowcipu, jej niezwykłych darów umysłu i serca podziwianą hrabinę Dora d'Istria.

Stan umysłowy w ogóle rumuńskiej ludności na niskim bardzo stoi stopniu. Dopiero w ostatnich czasach serbski rząd pozakładał dla Wołochów ludowe szkoły. Wołoszczyzna pod rządem bojarów, Banat pod austriacko-węgierską biurokracją także żadnych w tym względzie nie uczyniły postępów. Potomkowie Daków, Getów, których zwalczenie tyle wysiłków Rzymian kosztowało i o których bohaterskich czynach tak głośno prawią starożytni pisarze, dziś spadli nisko, po większej części odznaczając się charakterem podstępny, tchórzliwym, okrutnym i rzadką gnusnością. Wołoch unika otwarte go zarzutu, śmiałego wystąpienia, z zasadzki uderza na swego nieprzyjaciela. Całe jego szczęście polega na słodkiej beczynności i na picu rakii. Trudni się sprzedażą owoców, najchętniej firmaństwem. Ztąd ciągnie gotówkę dla opędzenia nadzwyczajnych potrzeb. Do gromadzenia grosza żadnego niema pochopu. W potrzebach swoich Wołoch jest wielce skromny. Zdolności odmówić mu nie można, posiada zręczność w robotach ręcznych, w struganiu, w rzeźbie niższej. Nie raz ozdoby na drzwiach, na laskach o niepospolitym smaku świadczą. W Siedmiogrodzie Wołoch bawi się pasterstwem, w Serbii rolnictwem. Tamci żywot koczujący prowadzą, ci więcéj do gleby się przywiązują.

Rolnictwo jest dla Rumuna w Serbii główném źródłem utrzymania. Starania około ziemi żadnego nie poświęca. Sieje proso tureckie, trochę pszenicy i owies, latem pędzi trzodę do lasu, zimą żywi je sianem i słomą. Oddaje się z zamiłowaniem pasterstwu, które gdy wiele daje swobody a mało przysparza kłopotu, najwięcéj gnuśnej jego naturze odpowiada. Pożywienie Wołocha nie jest wcale wyszukane. Spożywa chleb z prosa tureckiego z kozim séré, latem owocami się nasycy. Mleka często się zrzeka z powodu licznych w kościele wschodnim postów, które ścisłe przestrzega. Wołoch jest zabo-bonny. Jego religia dla zaniedbanego wykształcenia plebanów wiejskich polega niemal wyłącznie na wykonywaniu ceremonijnych formuł. Pleban jest więcéj wieśniakiem niż kapłanem. Jego wiedza nie sięga po za powierzchowną znajomość liturgicznych obrządków, ztąd wpływ na otaczającą ludność bardzo słaby.

Zwyczaj w życiu uroczystym, domowym, wiele wspólnych cech ze serbskimi mają. I u Wołochów święto patrona domowego ważną gra rolę. Śpiewu mniej usłyszeć można we wsi wołoskiej niż w serbskiej, a śpiew ten ubogi nader w melodye, brak mu nadto żywości. Poezya Rumunów jest bez polotu, literatura w stanie niemowlęcym. Pewne ciekawe odrębne właściwości przedstawiają obrzędy pogrzebowe u Rumunów, więc słówko jeszcze o nich: Najęte płaczki przy zwłokach są niezbędną rzeczą. Całą dobę rozpliwają się ich żale i płacze w powietrzu. Krewni zmarłego niekiedy do tego żałobnego koncertu łączą swoje ubolewania, często poetycznym nastrojem się odznaczające. Zmarłemu kładą do trumny: łaskę dla dogodniejszego przejścia Jordanu, chustkę do przykrycia i kilka drobnych pieniążków dla zjednania sobie Ś-go Piotra strzegącego bram nieba. Obok grobu zaś stawiają chleb i wino, aby nieboszczykowi na tamtym świecie niczego nie brakło. Z wielką uroczystością obchodzą stypę pogrzebową, która się powtarza po sześciu tygodniach, po sześciu miesiącach, po roku i po pięciu latach. Tu i owdzie jeszcze się trzyma wiara w upiory.

Kto słyszał kiedy o Cyncarach, tym drugim etnograficznym żywiole Serbii?

Uczeni historycy niekiedy po raz pierwszy dowiadują się o takiej ludności, tém więcej i nasz czytelnik wytłumaczonym być może, jeśli mu podobna nazwa nieznanym dźwiękiem zabrzmiała w uszach. W Wiedniu, gdzie niemało mieszka cyncarskich rodzin, które stanowią pierwszorzędne firmy bankierskie, o nazwie i pochodzeniu publiczność nic nie wie, zwykle ich Grekami zowiąc. Cyncarzy ważne zajmują stanowisko w życiu handlowo-przemysłowem na Wschodzie, pod względem handlu są w prowincjach tureckich tém, czém Grecy i Armianie na brzegach morskich. Po całej europejskiej rozrzuceni Turcyi, głównie w miastach swe siedliska mają, lubo i po wsiach mieszkając, rolnictwem i pasterstwem się bawią. Z rumuńskiego szczepu oni najdalej się wysunęli ku północo-zachodowi, mając swe osady w Nowym Sadzie, Peszcie, Budzie, Wiedniu i w Istrii.

W księztwie Serbskiem, gdzie się Cyncarzy sami nazywają Włachami, Wołochami, szczep ten około sześciu tysięcy głów liczyć może, lubo przy obecnym stanie statystyki w Turcyi za dokładność powyższej liczby ręczyć nie można. W Bulgarii, Macedonii, Tracii i Albanii najznakomitsze domy kupieckie do cyncarskiej ludności należą. W niektórych miastach oddzielne swe cyrkuly mają. W Grecyi zamieszkują jej północno-wschodnią część. Grecy zwią ich Kuco-Włochami tj. kuternogami (kulawemi), dlaczego? niewiadomo. Nazwa zaś Cyncarów powstała między Słowianami z powodu odmiennego przez nich wymawiania rumuńskiego liczebnika pięć (czyncz) jako *cync*. Cyncarzy sami mieniają się Rumunami, twierdząc, że są dawnych Rzymian potomkami, co w Macedonii swe osady mieli. Historia jednak nic o podobnym związku nie wie, filologiczne zaś badania, wykazując podobieństwo ich języka do wołoskiego, najdowodniej o ich wołoskiem pochodzeniu przekonują.

Dziś wszyscy należą do obrządku wschodniego, w liturgii jednak mają swą odrębność, używając rumuńskiego języka. Lubo mówią różnemi językami, stosownie do miejscowości, w której przebywają, w najpowszechniejszym jednak mają u siebie użyciu nowo-grecki, który w wielu stronach już cyncarskie narzecze wytepił. Cyncar jako pilny, trzeźwy i rozsądny człowiek wszędzie jest poszukiwany. Przy skromnym życiu zwykle zarabia nad miarę swoich ograniczonych potrzeb. W obczyźnie nawet zachowuje swoje odrębne narodowe cechy, swój ubiór do albańskiego wielce podobny. Typ Cyncarów mimo różnorodnych związków krwi, zawsze charakterystycznym pozostaje. Powinowactwo z Rumanami bije w oczy. Zwykle ciemny włos pokrywa pięknie ukształtowaną głowę, ostre rysy twarzy, ciemne błyszczące oczy objawiają bystrość, żywość umysłu i energią.

Utrzymywało się dotychczas u podróżników zdanie, że Cyncarzy głównie się trudnią pasterstwem i drobnym handlem. Tak wszakże nie jest, jak najnowsze świadczą spostrzeżenia Kanitza. Budownictwo na całym nienal Wschodzie jest w ręku Cyncarów, nie mówiąc o tem, że w Konstantynopolu, Atenach i Beogradzie Cyncarzy w tym względzie posiadają najzupełniejszy monopol. Z najtrudniejszych zadań architektonicznych, jako to przy budowie sklepionych kamiennych mostów, kopuł, głębokich fundamentów, wywiązuje się Cyncar nader chlubiście. Oczywiście nie stworzyli oni oddzielnej szkoły, nie posiadając mistrzów. Czystością styl ich się nie odznacza, ale np. sławna cerkiew w Semendrii o pięciu kopułach wytrzymać może porównanie z dziełami zagranicznych architektów, co tem więcej na uwagę zasługuje, ile że Cyncar na żadne akademickie nie uczęszcza wykłady: całą umiejętność czerpie z tradycyi, która przechodzi z dziada na syna, wnuka i t. d. Cyncar jest po większej części w jednej osobie i budowniczym i malarzem, stolarzem, ślusarzem i cieślą. Prócz przedmiotów z żelaza lanego i kutego, wszystko sam sporządza. Jako złotnik i rytownik nie mniej dobrego używa imienia.

Pod innym wszakże jeszcze względem stanowią Cyncarzy ważny żywioł nie tylko w Serbii, ale i na całym Wschodzie. Rozrzuceni jak oazy wśród pustyni, pozbawieni własnej ojczyzny bez żadnego punktu zjednoczenia, Cyncarzy posiadają jednak, podobnie jak żydzi, niepomierną siłę przechowywania swych narodowych odrębności. Nienawidzą fanatycznie Muzułmanów tureckich, nie lgną też zbyt do Słowian, ale najżywsze swe sympatyje ku Grekom zwracają. Zjednoczeni z niemi wspólnością wiary przejmują się głęboko marzycielskimi dążnościami Hellenów i chętnie korzystają z nowo-greckiej cywilizacyi. Zamożne rodziny Cyncarów, zajmujące, jak się wyżej rzekło, wysokie stanowiska w bankierskim świecie Wiednia, Beogradu i innych licznych miastach, zwykle wysyłają dzieci dla kształcenia do Aten. Ztąd grecką przyswajają sobie mowę, którą na równi z macierzystą uważają. W epoce filhelleńskiego ruchu na Zachodzie i w Grecyi dawali dowody niezwykłego dla sprawy Greków poświęcenia. I dziś także starannie pielęgnują tradycje helleńskie, nieraz hojnie wspierając nauki i sztuki piękne. Średnie stany lub mniej zamożne



stanowiące w miastach Turcyi europejskiej, jedyny żywiol cywilizacyjny, z powodu swych ścisłych duchowych związków z Grekami, ważną dla nich stać się mogą podpora, w razie jakiegoś śmielszego polotu politycznych dążeń heleńskiego narodu. W całej Turcyi liczba Cyn-carów według prawdopodobnych obliczeń Kanitza, około pół miliona wynosi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## P O W I N N O Ś C I

### wojskowe mieszczan w dawnych miastach

#### N A R U S I.

Średniska zgromadzeń wicowych w czasach przedhistorycznych dały zapewne początek najdawniejszym miastom na Rusi. W epoce zaś Rurykowiczów stały się one średniskami siły zbrojnej całej okolicy, której naczelnikiem był albo sam książę, jeśli to miasto było stolicą, jakiej odrębnej dzielnicy, albo starosta lub namiestnik z ramienia księcia wyznaczony. Zresztą nic więcej powiedzieć nie możemy o ówczesnych miastach na Rusi, bo dawni kronikarze ruscy notując najskrupulatniej wszystkie fakta i drobniejsze nieraz zdarzenia, bardzo mało lub nie wcale nie zajmowali się społecznym urządzeniem swojego czasu, innych zaś żadnych nie mamy zabytków piśmiennych, na podstawie których moglibyśmy dokładnie poznać ówczesne stanowisko miast na Rusi i stosunek ich do innych klas narodu. Począwszy dopiero od XV w., głównie zaś z XVI i XVII, posiadamy dyplomata królów i książąt, przywileje lokacyjne, donacyjne i inne dotyczące miast i mieszczan a stanowiące bogaty i ciekawy materiał do historii miast na Rusi. W owęj więc epoce rozpatrzyć chcemy, jakie stanowisko zajmowały owe miasta w obec powszechnego systemu obrony krajowej i jaki udział w niej brały?

W tém króciutkiem studyum naszym, będącym pierwszą dopiero próbą poszukiwań na tej drodze, opierać się głównie będziemy na publikacyach dokumentów historycznych komisji archeograficznej kijowskiej, posiłkując się nie mniej także innemi znanemi dotąd źródłami. Najbogatszy jednak materiał do dziejów Rusi zawiera wspomniana publikacya, o której podawaliśmy sprawozdanie w zeszycie lipcowym zeszłorocznej Biblioteki Warszawskiej,

zwracając głównie uwagę na ostatni tom owej publikacji, obejmujący akta o miastach. Historia stanu mieszczańskiego na Rusi dotąd dotkniętą nie była przez naszych historyków, z wielkim zaś zaniemianiem powitaliśmy wydawnictwo, które otwiera i ułatwia drogę nowym a nieznanym dotąd studjom i rzuca nowe światło na całą, kilkowiekową przeszłość miast naszych. Poznanie zaś tej przeszłości niezbędnie jest potrzebnem dla ujęcia w ogólnym a dokładnym poglądzie całych dziejów naszych, bo wówczas tylko ów pogląd będzie sprawiedliwym, jeśli składowe części narodu szczegółowo rozpatrzone i umiejętnie zbadane zostaną. Tego więc rodzaju studia są konieczne dla wyjaśnienia ogólnej całości dziejów, tém jeszcze więcej dla nas niż dla innych narodów, bo gdy na całym niemal Zachodzie we wszystkich państwach europejskich, cała działalność polityczna skupiała się w rękę monarchy lub małego kółka dzierżących władzę, u nas naród nominalną tylko zostawiał władzę w rękę swych królów. Ztąd więc dokładne zbadanie ustaw, urzędzeń i wzajemnych wszystkich warstw narodu stosunków, obowiązków i powinności, jednem słowem poznanie moralnej strony narodu uwydatniającej się w formach bytu politycznego, jurydycznego i społecznego, niezmierniej jest wagi.

Otóż więc rozpatrzyć tu zamierzamy, jak mówiliśmy, jakie stanowisko zajmowały miasta na Rusi w obec ogólnego systemu obrony krajowej, jakie były powinności wojskowe mieszczan, jakiej natury i jak długo się utrzymywały? Będzie to stanowisko drobny przyczynek do dziejów mieszczaństwa naszego, w każdym jednak razie nie zupełny jeszcze i niedokładny, bo źródła odnoszące się do tego przedmiotu również są niezupełne i niedokładne, a nieraz nie wystarczające dla rozstrzygnięcia kwestyj wątpliwych, zawsze jednak odstąpi nam choć w części charakterystykę dawnych miast na Rusi i stanowisko ich w hierarchii społecznej narodu.

Dawne miasta na Rusi nie mówiąc o tych których początki, sięgając czasów Rurykowiczów, są nam nieznane, lecz począwszy od XV wieku, zakładane były jedynie tylko w celu obrony krajowej, sama ich nazwa *horod*, *gorod*, oznacza miejscowość ufortyfikowaną, bo każde miasto stosownie do potrzeb lokalnych było mniej lub więcej obronną forteczką, miało zamek, wały, palisady, okopy i t. d. Miast otwartych bez zamku chociażby najlichszego lub innych środków obrony, nie spotykamy na całym obszarze dzisiejszego Podola, Wołynia i Ukrainy, aż do połowy XVII wieku; zakładane zaś były w miejscowościach wymagających pilniejszej baczności, silniejszego skupienia sił wojskowych dla odpierania najazdów nieprzyjaciół. W skutek tej ciągłej codzienniej niemal walki, której teatrem była Ruś dawna, mało które z miejskich archiwów choć w części ucalonem być mogło; ztąd więc tak mało posiadamy da-

wnych zabytków piśmiennych, iż zaledwie kilku tylko dokumentami potwierdzić możemy mniemanie nasze o zakładaniu miast na Rusi.

Te dokumenta są to przywileje lokacyjne, z nich najdokładniej poznamy, jakie przeznaczano cele nowo zakładającym się miastom.

Itak w 1584 roku, na przełożenie Michała X. Wiśniowieckiego i Alexandra Wiśniowieckiego starosty czerkaskiego i kaniowskiego, król Stefan pozwala założyć miasto na uroczyszczu zwaném *Korsuń*, „które, powiada ów dyplom, znajdowało się w takiém dobrém położeniu na szlaku tatarskim przedniejszym, którego ten nieprzyjaciół Tatarzyn zwykł był w państwa Rzeczypospolitej wchodzić, na którym gdyby miasto było założone, tedy przyniosłoby nie mały pożytek *spokoju i bezpieczeństwa tamtym krajom*. . . . Łaskawie konferujemy rzeczone miasto Korsuń na témże uroczysku założyć (1).“

Inny znów dyplom lokacyjny z tejże samej epoki (1589 roku) wydany przez Zygmunta III na rzecz nowo założonego miasta Czehryna, wyraża :

„Gdy nam urodzony'kniaź Aleksandro Wiszniowiecki starosta Czerkaski, Kaniowski, Korsuński i Lubecki sprawu dał, że w starostwie naszym Czerkaskom, wo władie jeho niżej Czerkas, uroczyszcze i horodiszcze nazwaneje Czyhryn, nad rekoju Teśmionom jest w takim dobrom położeniu na szlakach i perewozie tatarskom, kudy tot nepryjatelj zwykł w państwa naszi wchodziti i szkody wielikije czyniti, na ktorom gdyby sia twierdza zbudowała i mesto zasadilo, mieło by to byt z dobrom wseje reczy pospolitoje i *z pokojem onych krajew*, na koniec za czasom z pożytkom stołu i skarbu naszoho..... Jakoż pozwalajem tym listom naszym i zakładajem toje mesto (2).“ W tenże sposób także wyraża się tenże król w przywileju lokacyjnym wydanym w 1616 roku na rzecz nowo zakładanego miasta Kryłowa, a wykazawszy tak jak w poprzedzającym cel obrony dodaje..... „My to uważywszy iż osażeniem miasta, państwa naszyje ozdobo majut i poddanyje naszyje *w pokaju żyti budut* a obywatelam tamtoej Ukrainy wsiakocho dobroho poradku życzezi i t. d. . . . (3).“

Tak samo i dla tychże samych przyczyn jeszcze w 1538 roku Zygmunt I pozwala królowej Bonie osadzić miasto Bar obok zamku założonego w jej majątności Rowie (4). W 1540 r. tenże król wydaje przywilęj Jerzemu Falczewskiemu biskupowi łuckiemu na osadzenie miasta we wsi Torczynie, gdyż wystawił tam zamek dla zabezpieczenia okolicznych mieszkańców i sprzętów kościelnych w czasie napadu nieprzyjaciół (5). W 1579 roku król Stefan pozwala

(1) *Archiwum połud-zach. Rossyi. Akta o miastach* Tom I str. 540.

(2) *Archiw. Akta o miastach* Tom I str. 84.

(3) *Tamże*, Tom I str. 127.

(4) *Baliński i Lipiński. Staroż. Polska* Tom II str. 1033.

(5) *Tamże*, Tom II str. 833.

Janowi Zamoyskiemu kanclerzowi Wiel. kor. założyć miasto Szarogród, aby ztąd bezpiecznie wstrzymywać można częste napady Tatarów, a tym sposobem okolicę tameczną przez nieprzyjaciół ogołoconą zaludnić (1), a w 1584 roku tenże król wydaje Mikołajowi Herburtowi podkomorzemu halickiemu przywilej lokacyjny na miasteczko Fulsztyn, gdyż tenże Herburt wystawił w swojej wsi dziedzicznej Dobroszczany zamek drewniany dla wstrzymywania zapędów nieprzyjaciół (2).

Z tych więc dokumentów widzimy, iż w owęj epoce *miasta na Rusi zakładane były zawsze w celu obrony okolicy od napadów nieprzyjaciół*, wznosiły się bowiem albo jednocześnie z obrońnymi zamkami albo też lokowały się obok *twierdz pierwój już wzniesionych, w miejscowościach dogodnych do obrony na szlakach*, któredy nieprzyjacieli zwykł był przechodzić. Pod zastoną tych murów zamkowych jako w miejscowościach bezpieczniejszych już od napaści nieprzyjaciół, ludność okoliczna tłumniej osiadała niż w otwartych wioskach, slobodach i futorach, tu się gromadzili kupcy i rzemieślnicy, tu zakładano składy towarów, tu wreszcie odbywały się targi i jarmarki, na które miasta musiały wyrabiać sobie przywileje od królów i książąt. Ze jednak ludność osiadająca w miastach korzystała ze wszystkich dogodności, jakie zamek obronny im zapewniał, słuszném było przeto, aby też sama ludność w razie potrzeby broniła tegoż zamku, i odpierała najazdy nieprzyjaciół. Ztąd więc biorą początek owe powinności wojskowe mieszczan, ztąd niezmiernie znaczenie miast na Rusi głównie pod względem militarnym. Często po zamkach i twierdzach ukraińnych t. j. leżących na kraju państwa, *szczerple tylko załogi zostawiono a całe rycerstwo ciągnęło na dalsze wyprawy*; tymczasem Tatarzy jak zwykle wpadali, zapuszczając swe zagony aż w głąb kraju. Wśród takich napadów ludność miejska do boju występować musiała, bronić zamku w razie oblężenia, gonić Tatarów ze zdobyczą już w swe stopy pomykających, dalsze nawet w razie groźniejszego niebezpieczeństwa przedsiębrać pochody, a w czasie pokoju straż odbywać tak koło zamku jako też na granicach posiadłości miejskich.

W ten sposób ludność miejska ważną odgrywała rolę w powszechnym systemie obrony kraju. Iżby zaś chętniej wypełniała swe powinności wojskowe, obdarzana była licznemi przywilejami. Każde miasto, gdzie silniejsza była twierdza lub bardziej wystawiona na najazdy nieprzyjaciół, otrzymywało większe swobody i prerogatywy jako wynagrodzenie za trud podjęty w obronie kraju. W 1638 r. Dominik X. Zasławski, największy wówczas magnat na Rusi, koniuszy koronny po Januszu Wiśniowieckim, powziął zamiar pobudowania silniejszych zamków i fortec w miasteczkach swoich na szlakach tatarskich. W tym celu ofiarował on także Konstantynów, obiecując własnym kosztem wzmocnić miejscowy zamek, opatrzyć

(1) *Tamże*, Tom II str. 1053.

(2) *Tamże*, Tom II str. 960.

w stosowną amunicją i dźwignąć w ten sposób potężne *antemurale* przeciwko inkursjom pogańskim, nie tylko województwu Wołyńskiemu ale całej Rzeczypospolitej. W zamian za to żądał obszerniejszych przywilejów dla miasta. Szlachta wołyńska zebrana na sejmiku Łuckim (w styczniu 1638 roku), z zapalem przyjęła ten projekt księcia i w instrukcyi danej swym posłom na sejm Warszawski zalecała, aby sprawę tę przedłożyć Stanom sejmowym, zważywszy iż Konstantynów wszystkim inkursjom pogańskim jest *expositum*, żądała tylko, aby to miasto też same otrzymało przywileje i prerogatywy jak Zamość i Tarnów (1). Projekt ten jednakże nie wiadomo, dlaczego upadł a w Konstantynowie stary tylko zamczek pozostał, te jednak przywileje i prerogatywy, jakich domagano się dla miasta aby silniejsza twierdza była tam wzniesiona, stanowić miały słuszne dla mieszczan wynagrodzenie za trud podjęty przy obronie i utrzymywaniu zamku.

Jedną stałąj normy określającej wszystkie powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi przedstawić nie jesteśmy w stanie, powinności te bowiem zależały głównie od potrzeb miejscowych, nieraz znowu od chwilowych okoliczności i różne były w różnych miastach; co więcej, w jednych utrzymywały się dość długo, w innych mieszczanie wyrabiali sobie przywileje królewskie zwalniające ich od tych powinności, zastępując je czynszami i opłatami pieniężnymi, daniną w naturze lub też robocizną. Wszelkiego jednak rodzaju powinności wojskowe mieszczan, o których znajdujemy wspomnienie w przechowanych dokumentach, w następujący sposób rozklasyfikować możemy:

- 1) Służba wojenna i pochody wojenne.
- 2) Obrona zamku, utrzymywanie go i budowanie.
- 3) Stróża polowa na granicach posiadłości miejskich i wreszcie
- 4) Dawanie podwód pod postów i gońców królewskich oraz kwatery wojskowe. Wszystkie te rodzaje powinności wojskowych rozpatrzmy tutaj po kolei na podstawie źródeł.

## I.

### Służba wojenna i pochody wojenne.

W wielu miastach na Rusi mieszczanie byli obowiązani w razie potrzeby stawać zbrojnie w pomoc staroście zamkowemu, bronić zagrożonego zamku lub całej nawet okolicy, dalsze czasem przedsiębrać pochody wojenne czy to dla pogoni nieprzyjaciela, czy dla niesienia pomocy innym hufcom rycerstwa. Od kiedy obowiązek ten włożony został na mieszczan, nie wiemy. Jednym z najdawniejszych dyplomów lokacyjnych, jakie posiadamy, jest dyplom książąt Koryatowiczów, wydany Kamieńcowi w 1347 roku, a na mocy którego ciż książęta nadawali osiadającej około zamku Kamieniec-

(1) *Archiw. Połud. Zach. Rosji. Postanowienia Sejmików. Tom I*  
str. 243.

kiego ludności prawo Magdeburgskie i różne przywileje, zapewniali sobie przytém pomoc mieszczan w razie potrzeby. „A wójt i mieszczanie, powiada ów dyplom Koryatowiczów, mają mnie kniazia sprzyjać i być sprawiedliwými i wiernými, a z wojewodą i z dworzany być z nami wespół przy złém i przy dobrém mają być pomocni i uczynkiem i słowem i przyjaźnią i mocą i radą bez wszelakiej hitrości (1).“ W tym jednak dyplomie nie dość jasno oznaczone są powinności mieszczan, ogólnikowo tylko zaleca książę, aby mu w razie potrzeby wszelką pomoc dawali. Inny znów dyplom Alexandra, wówczas Wiel. ks. Litewskiego z 1497 roku, nadający mieszczanom Łuckim prawo Magdeburgskie, wyraźniej określa ich powinności wojskowe: „Tempore vero hostilitatis quamvis dicti incolae moenia civitatis defendere obligantur, si tamen necessitas immineret hoste prevalente, omnes ad castrum nostrum congregari debent, at ibi constanter una cum terrigenis perseverare ad hostem populandum (2).“

Zygmunt I, potwierdzając w 1516 roku Magdeburgią nadaną mieszczanom kijowskim przez króla Alexandra, obowiązuje ich również do służby wojskowej.... „Cóż mieszczanie kijowscy każdego czasu *zarówno z innými mieszczanami naszymi* i poddanymi, podług dawnego zwyczaju obronę i stróżę odbywać powinni na tém miejscu, gdzie zdawna stoją i gdzie za Tatarami w pogoń potrzeba by było, niż mieszczanie kaźden za siebie podług możności swojej, zbrojno, konno, jak do wojny należy za ukazem naszym albo urzędnika naszego, nie odkładając bez żadnej wymówki z innými poddanymi naszymi wyjeżdżać powinni, także w zamku naszym podług zwyczaju dawnego niż mieszczanie nasi w nocy obchodzić i obwoływać powinni (3).“ Inne znów pismo królewskie z 1544 r., uwalniając tychże mieszczan kijowskich od dawania podwód dla gońców i posłów królewskich, nakazuje im, aby stawali pod komendą namiestnika w razie konieczności rychłej pogoni za Tatarami, aby odprawiali nadto straż połową i strzegli zamku (4).

W Braclawiu także, jak świadczy rewizja zamku z 1545 roku, „bojarowie ze wszystkiemi swými ludźmi na posługę królewską jeździli, a mieszczanie pasieki mający dwukonno w zbroi w posługę królewską stawali, ale wtenczas (1545) ta służba już ustała była (5). „Opis zamku Kaniowskiego sporządzony 1552 roku, za Zygmunta Augusta wyraża: „Mieszczanie Kaniowscy jako ludzie wolni swe ziemie terytoryalne dziedziczący, żadnych powinności roboczych nie odbywają, ale równą z szlachtą, ziemianami i bojarami powiatu Kijowskiego służbę wojeuną pod komendą starosty Kaniowskiego

(1) *Przeddziecki. Podole, Wołyń i Ukraina.* Tom I str. 142.

(2) *Archiw. Połud. Zach. Rosji. Miasta.* Tom I str. 15.

(3) *Hramoty Wjel. Ksi. Litews.* od 1390 — 1569 (wyd. przez Antonowicza i Kozłowskiego. Kijów 1868) nr. 25.

(4) *Sbornik Muchanowa* nr. 91.

(5) *Archiw. Akta o miastach.* Tom I str. 532.

czynili... (1). Lokacyjny przywilej Zygmunta III na rzecz miasta Czehryna wydany w 1589 roku powiada: „A będą powinni ciż mieszczanie nasi Czehryńscy przeciw każdemu nieprzyjacielowi naszemu koronnemu, przy starości, wójcie swoim tamecznym albo namiestniku jego, konno zbrojno zawždy stawać i zwierzchności jego jak w czasie wojny tak i pokoju nie wylaamywać się (2).“ Takież same powinności wojskowe przepisują przywileje lokacyjne tegoż króla mieszczanom Korsuńskim w 1584 roku (3) i mieszczanom Kryłowskiem w 1616 roku (4).

Z tych więc przytoczonych dokumentów widzimy, że aż do pierwszych lat XVII stulecia, mieszczanie w razie potrzeby obowiązani byli stawać w szeregi walczących, ba nawet odbywać dalsze pochody wojenne. Że zaś te powinności stosować się musiały do wszystkich w ogóle miast na Rusi, dowodzą wyrazy „mieszczanie Kijowscy... zarówno z innemi mieszczanami naszymi...“ znajdujące się w piśmie Zygmunta I do mieszczan Kijowskich powyżej przytoczonym.

Rozpatrując dzieje miast na Rusi, nie jeden znajdziemy przykład, jak całe nieraz mieszczaństwo, mając na czele starostę lub zamkowego namiestnika występowało do boju. Bielski (fol. 472) notuje pod rokiem 1463 podobny przykład: gdy Kazimierz Jagiełłończyk pozwolił zaciągać w Polsce ludzi na obronę miasta Kaffy obłożonego przez Turków, oddział z 500 ochotników z Rusi ciągnąc na odsiecz Kaffińczykom, przechodził przez Braclaw. Tam owi ochotnicy w zwadzie z mieszkańcami zabili jednego z mieszczan. Oburzeni tym gwałtem Braclawianie chcąc się pomścić, tłumnie zbierają się, biją w dzwony, zwołują swoich. Żołnierze, aby odwrócić uwagę mieszczan i módz uciec zapalają miasto, ale rozwściekleni Braclawianie, nie zważając na stratę palących się domów, idą za nimi w pogoń pod wodzą Michała ks. Czartoryskiego, wówczas starosty braclawskiego. Cztery razy odparci ze stratą, opasawszy wreszcie przeciwników, Braclawianie wszystkich ich prawie wycięli; z 500 zostało tylko pięciu, zwycięzcom dostało się łupu zdobytego na 30,000 szacowanego.

## II.

### Obrona zamku, utrzymywanie go i budowanie.

We wszystkich bez wyjątku miastach, mieszczanie obowiązani byli bronić miejscowego zamku w razie napadów nieprzyjaciół, a w czasie pokoju starannie go utrzymywać. Te powinności najdłużej

(1) *Archiw. Akta o miastach*, Tom I str. 66.

(2) *Tamże*, Tom I str. 85.

(3) *Tamże*, Tom I str. 129.

(4) *Tamże*, Tom I str. 541.

przetrwały, bo jeszcze na początku XVIII-go wieku były obowiązujące w niektórych miastach. Tam jednak, gdzie silniejszy i większy był zamek, nie tylko sami mieszczanie go utrzymywali ale także sąsiednie włości. Zwykle każda z nich miała swoją tak zwaną *horodnią*, którą oprować swoim kosztem musiała. W zamku Włodzimirskim takich *horodni* było siedemdziesiąt, w Łuckim sto sześćdziesiąt pięć, w Krzemienieckim trzydzieści trzy (1).

Co się zaś tyczy budowania zamków, po zniszczeniu onych przez Tatarów lub spaleniu, to jeden tylko znajdujemy przykład, aby mieszczanie własnym kosztem i nakładem odbudowywać go musieli. I tak 1518 roku, Zygmunt I w piśmie do mieszczan Smotryckich powiada:

„Bacząc na częste najazdy tatarskie, pozwalamy mieszkańcom dla ich bezpieczeństwa, własnym nakładem i pracą zamek wystawić, zastrzegając, iż skoro ukończony zostanie, aby w nim sami mieszczanie straż i inne powinności odbywali, w razie zaś napadu nieprzyjaciela, wszyscy do wspólnej obrony stawać mają. Jeśliby kto zbiegł, szukając pewniejszego schronienia, polecamy cały jego ruchomy i nieruchomy majątek na skarb nasz zabrać: w razie zaś ujęcia później takowego zbiega, ma być śmiercią karany, ażeby odjąć na przyszłość innym chęć do podobnej ucieczki. Dla tém rychlejszego wystawienia zamku, uwalniamy *Smotrycz* nad lat dwa od opłaty podatków (2)“.

Jakkolwiek niema tu mowy o zniszczeniu dawnego zamku, tylko o budowaniu nowego, to przecież musiało to być odbudowanie tylko podupadłego lub zburzonego może przez Tatarów, bo w Smotryczu od czasu jeszcze książąt Koryatowiczów silny był zamczek tuż obok klasztoru Dominikanów przez tychże książąt założonego. Oprócz jednak tego tylko przykładu, nigdzie żadnego więcej śladu nie znaleźliśmy, aby mieszczanie własnym kosztem i pracą budować musieli zamki. Wznoszone one były kosztem skarbu królewskiego albo osób prywatnych.

Po większej zatem części zamki na Rusi wznoszone były przez szlachtę, ze znacznym nieraz kosztem, który czasem zwracany bywał. I tak w ostatnich latach XVI wieku Jan Potocki Starosta Kamieniecki, wniósł obronny zamek w miasteczku Latyczowie; lustracye w 1598 i 1601 roku chlubnie o tej fundacyi wspominają a uchwałą sejmową 1607 roku przyznawano Potockiemu jako wynagrodzenie za wyłożone koszta 12000 złotych (3). Ostrogscy, Zasławscy, Sieniawscy, Herburty, Czartoryscy, Lubomirscy i t. d. wszyscy wnosili obronne zamki i forteczki; byle miasto najmniejsze, oszańcowane i opalisadowane było. Utrzymywanie zaś ich i obrona aż do XVIII prawie wieku obowiązującym były dla mieszczan.

(1) Opis zamków wołyńskich z ksiąg Radzieckich Krzemienieckich w *Pamiętnikach komisji Archeograficznej Kijowskiej* Tom. IV, Cz. II str. 1—282.

(2) *Starożytna Polska* Tom. II str. 966.

(3) *Volum. Legum* II fol. 1455, 1511 i 1621.



## III.

## Stróża na granicach posiadłości miejskich.

„*Stróża polowa*,” o której często znajdujemy wspomnienie w dokumentach miejskich, była to warta, którą mieszczenie ciągle utrzymywać musieli na granicach swoich posiadłości, iżby nieprzyjacieli nagle i niespodziewanie pod zamek nie podstąpił. W owych bowiem wiekach często dowiadywano się o wtargnięciu nieprzyjaciela w granice kraju, wówczas dopiero gdy stawał pod murami miasta. Komunikacje nadzwyczajnie były trudne, kilka tylko szlaków przerzynało niezmierne przestrzenie, w wielu miejscach niezaludnione, a tam dalej ku Dnieprowi i po za Dnieprem ciągnęły się owe tak zwane wówczas „*Dziki pola*” stepy bezmierne jak ocean, na których gdzieś tam tylko rozsiadały się miasta na obszarach mieszczących dzisiaj setki miast i włości.

Wśród takich więc przestrzeni, bez dróg komunikacyjnych, wieści czy złe czy dobre szły powoli, hordy tylko tatarskie, szybko wpadały a obznajomione już z każdym szlakiem, zostawiające po za sobą niby słupy drożne, tysiące mogił, kurhanów lub kopców sygnałowych, cichaczem niszczyły całą nieraz okolicę i rozniósłszy wszędzie śmierć i zniszczenie, uchodziły czémprędzej łupem objuczone. Ztąd więc, aby nie dać się podejść, ogromnej potrzeba było pilności, i dla tego ustanowiono ową „*stróżę polową*” na granicach posiadłości miejskich. Ciężka to była powinność dla mieszczan, ciągle warty trzymać w znacznej nieraz od miasta odległości, bo ziemie do miast należące czasem na mil kilka lub kilkanaście rozciągały się. I tak np. lustracya zamku Braclawskiego z 1545 roku powiada, iż pasieki mieszczańskie były bardzo obszerne, goź jedna pasieka miejska większa była jak trzy wsie, przy których po mili mniéj i więcéj ziemi znajdowało się, w których pasiekach mieszczenie grunta orne, stawy, spusty, pszczoł mnóstwo, zwier wieloraki, sady, ogrody owocowe i wszelkie pożytki dziedziczyli, takich zaś obszernych pasiek *dwadzieścia siedm* posiadali (1). „Inne znów miasto Czehryn posiadało nie mniejszą przestrzeń ziemi, bo począwszy od Taśminy wyżej Czehryna w czterech milach, przez pole do rzeki Dniepru, Dnieprem na dół do rzeki Suły pod rzekę Boh, a od Boha, aż do granicy korsuńskiej (2).” Mieszczanom mohilewskim nadano puszcę koło miasta na dwie mile wkoło, gdy zaś wytrzebili te puszcze, prosili króla Stefana o więcéj lasów. Król przywilejem wydanym w 1577 roku nadał im jeszcze puszczy i ziemi na mil cztery

(1) *Archiw. Połud. Zach. Rossii. Akta o miastach* Tom I str. 532.

(2) *Tamże*, Tom I str. 85.

wkoło (1). Również obszerne były terytorya Czerkas, Korsunia i wielu innych miast. Utrzymywać więc ciągłą straż na takich obszarach dość było uciążliwem, ztąd w wielu miastach częste spory starostów z mieszczaństwem o niewypełnianie tych powinności, których zaniedbanie było czasem powodem nie jednej klęski i zajęcia zamku przez nieprzyjaciela.

W księgach grodzkich braclawskich pod rokiem 1552, znajdujemy opis zdobycia zamku Braclawskiego przez Tatarów, właśnie dla tego, iż nie było warty po polach. „W Braclawiu — powiada ów opis — nie mieli o ludziach neprzyjatelskich dowiedowania, ani ostrożności, ani *storożi żadnoj na polu*, ani w ostrozie, a i starosta ich na toj czas otjechał był, i w takowom spłoszeństwie ich przyszedł bez wiesti Car Perekowski, tepereszni Dewlet zo wsim wojskom swoim tatarskim i t. d. i wówczas Tatarzy zdobyli i zburzyli zamek, i mnóstwo ludu w jassir uprowadzili.

Z czasem, gdy osady na Rusi ścieśniać się zaczęły, szczególniej w południowych powiatach podolskich, obowiązek ten „*stróży*“ stawał się nie tak już potrzebnym, za to w stronie północnej przetrwał aż do ostatnich prawie lat XVII wieku, w wielu jednakże miastach „*stróża polowa*“ zastąpiona już była wartą koło zamku tyłko, to jest w obrębie miasta.

#### IV.

### Dawanie podwód pod posłów i gońców królewskich, oraz kwaterunki wojskowe.

Zwykle posłom królewskim przejeżdżającym przez miasta, mieszczanie dostarczać musieli podwód na dalszą podróż, gdy zaś zatrzymywali się gdzie, własnym kosztem ich utrzymywać. Zwyczaj to niezmiernie był dawny i stosował się do wszystkich bez wyjątku miast na Rusi.

I tak podług pisma Zygmunta Augusta, wydanego w 1552 r., mieszczanie łucy „dawać mają jedną podwode a podwodnika na konia pod gońca naszego, kiedy tam przez Łucko gońcy w sprawach naszych, od nas hospodara i do nas za listy naszemi i panów rad naszych będą jeździć (2).“ Dawniej jednakże ciż mieszczanie łucy więcej podwód dostarczać musieli, bo przywilej Aleksandra W. X. Litewskiego z 1498 roku, uwalnia ich „od dawania podwód z wozy na wojny, co ustanowił był Iwan Chotkiewicz, gdy dzierżył Łucko za ojca naszego (3).“ W Braclawiu, jak świadczy lustra-

(1) *Akty Rossii Zachod. połud.* Tom I str. 207.

(2) Archiw. Akta o miastach Tom I str. 23.

(3) *Tamże*, Tom I str. 19.

cya z 1545 roku „podwody pod posłów i gońców królewskich tylko do miasta Winnicy tak ziemianie jako i mieszczanie wspólnie dawali (1).“

Często jednak mieszczanie wyrabiali sobie przywileje królewskie, zwalnające ich od tych powinności. I tak na przykład, Zygmunt I potwierdza w 1516 roku przywilej króla Aleksandra uwalniający mieszczan kijowskich „od wszelkich postów naszych, również moskiewskich, mołdawskich, tureckich, perekopskich, i innych wszelkich postanników, gońców, kurierów, i od dawania tym posłom podwód, pokarmów i napojów i innych wydatków na przyjęcie ich i od stróży skarbów i koni ich i od pochodu z posły do ordy, także i wojewodzkiem postannikom koni i podwód u nich brać zakazujemy (2).“ Cokolwiek później (w 1534 roku) Wójt Włodzimierski Iwaszko Detkowicz, burmistrz, radcy, i wszyscy mieszczanie włodzimierscy zanieśli skargę do króla na nadużycia starosty. Wówczas więc król w piśmie do kniazia Andrzeja Aleksandrowicza Sanguszki i syna jego kniazia Fedora, nakazywał, aby wszystkich tych nadużyć zaprzestali. „I gdy posły nasi, albo tatarscy, albo inni cudzoziemscy idą do nas w poselstwie, wy im każecie tym posłom stancye dawać i sług swoich u nich stawiacie. I bili nam czołom i t. d.“ Król tym piśmie swoim uwalnia mieszczan od tych powinności (3).

Co się wreszcie tyczy kwaterunków wojskowych, takowe miały miejsce tylko podczas pochodów wojennych, lub podczas wojny wewnątrz kraju, zależały więc od potrzeb i okoliczności chwilowych, nie miały zaś stałego określenia.

Takie były powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi, mniej więcej aż do połowy XVII wieku; w wielu jednakże miastach już od XVI wieku, te powinności zastępowane były pieniężnymi opłatami lub daniną. Jeszcze w 1509 roku Zygmunt I uwalnia mieszczan włodzimierskich żeby na wojnę nie chodzili, tylko „gdy namiestnik włodzimierski pójdzie na wojnę, to oni pod niebytność jego, mają na zamku naszym z namiestnikiem jego być dla obrony, podług dawności (4).“ Inny znów przywilej temuż miastu wydany w 1532 roku, wyznacza jako zastępstwo za powinności wojskowe różne podatki, z których zebrane pieniądze na żadne potrzeby brać nie powinni, tylko „ku obronie miejskiej dzieła i rusznicy, porocha i saletru kupowati i puszkarza chowati (5)“

(1) *Tamże*, Tom I str. 532.

(2) *Hramoty Wiel. Ks. Litewskich* Nr. 25.

(3) *Archiw. Akta o miastach* Tom I str. 32.

(4) *Tamże*, Tom I str. 30.

(5) *Tamże* str. 31.

W XVII wieku, gdy napady tatarskie coraz już rzadziej się powtarzały, powoli we wszystkich miastach czynsze i daniny na korzyść starosty lub zamkowego urzędu, zastępowały owe powinności wojskowe, miasta tylko nadgraniczne zachowywały jeszcze swój charakter militarny. Konstytucya 1620 roku nakazuje opatrzyć miasta pograniczne w strzelbę, proch, ludzi i insze rzeczy do obrony należące (1); lecz w tych nawet miastach cały system obrony ześrodkowuje się już w rękę starosty tylko i hufców rycerstwa. W zamian zaś za owe powinności wojskowe, rozliczne zjawiają się podatki lub zwiększają się pierwój już egzystujące. W każdém mieście znajdujemy *podymszczyznę, kopszczyznę, wierchowszczyznę, podwożne, pomiarnie, słodowe, warowe, sotne, woskowe, mostowe, sosz* i t. d. Niektóre z tych podatków przeznaczone były jedynie tylko dla wzmocnienia środków obrony miejscowej.

Jakkolwiek uwolnienie mieszczan od powinności wojskowych, pomyślnie wpływać musiało na handel i przemysł krajowy, to z drugiej znów strony odosobniało wybitniej jeszcze klasę szlachecką od innych warstw narodu. Współdział ludności rolniczej w obronie kraju niwelował jakoby tę różnicę stanów, bo w téj wspólnej pracy dla dobra kraju była przynajmniej równość zasługi, odkąd zaś usuniętym został, szlachcie tylko pozostało wyłączne prawo bronięcia kraju, a przedział kastowy coraz trudniejszym był do przekroczenia.

Zawadyńce, 10 stycznia 1872 r.

K. P.

(1) *Volum. Leg. III fol. 14.*

# KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Czterystoletni jubileusz Kopernika, dzieło p. Flamaryon'a. Rodowitość polskiego astronoma. Młode lata. Nauki w Wszechnicy Jagiellońskiej. Wojciech Brudzewski. Podróż po Włoszech. Padwa. Korony akademickie. Bononia. Rzym. Powrót. Stan duchowny. Walka z krzyżackim zakonem. Wszechstronność geniuszu: Kopernik ekonomista, lekarz, inżynier, filozof, poeta, malarz. Jego wizerunek. Wiersz Tiho-Brahego. Dzieło de Revolutionibus orbium coelestium. Śmierć. Napis grobowy. Stoletnia cisza. Tryumfy. Napoleon w Frauenburgu. Ocenienie Herdera.—Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono.—Poezya i proza.—Bibliografia i archeologia.—Holandry: rozprawa p. Quesnel.—Andrzej Lemoyne uwieczony poeta.—Strumień i dziewczyna.—Po balu.

Wiadomo że zbliżająca się czterechsetletnia rocznica urodzin Kopernika, wywołała we wszystkich krajach Europy mnóstwo dzieł i rozpraw poświęconych bądź uczczeniu tego wielkiego geniuszu, bądź krytycznym rozbiorem jego różnostronnych prac naukowych, rozbiorem, które same przez się najwyższą są pochwałą.

We Francyi najpopularniejszy pisarz z wydziału naukowego p. Kamil Flamaryon, ułożył osobną książkę na cześć polskiego astronoma. Główną zaletą dziełka tego jest ożywiające je ciepło. Flamaryon ukochał Kopernika, z uczuciem też kreśli jego żywot, wykazuje różnostronne prace, zacięte walki z nieuctwem i przesądami wieku. Miłość autora do bohatera swego udziela się czytelnikowi w sposób tak naturalny, że Kopernik znany dotąd we Francyi jako istota abstrakcyjna, zstąpił nareszcie w tym kraju z wyżyn eterycznych na świat ziemski, słowem przestał być jakąś liczbą a został człowiekiem, krwią z krwi i kością z kości kraju który go wydał. Upowszechnienie tej strony życia Kopernika nadaje charakterystyczną cechę dziełu pana Flamaryon.

Pragnęlibyśmy szczerze aby ta praca mogła być jaknajrychlej upowszechnioną w przekładzie polskim. Co do nas ograniczymy się na krótkim z niej sprawozdaniu.

Autor w rozdziale wstępnym daje poznać pierwotne wyobrażenia chaldejskich i egipskich ludów o ziemi i o niebie; określa systemata Arystotelesa, Hypparcha, Ptolomeusza; wykazuje powolny postęp nauk astronomicznych przez ciąg średnich wieków, tak w szkole aleksandryjskiej jak między Arabami; dochodzi wreszcie do pierwszych czasów naukowego odrodzenia, kiedy w połowie XV-go wieku Jerzy Purbach i Jan Müller z Królewca, (Regiomontanus) głosili w Wiedniu prawa nauki oparte na spostrzeżeniach starożytnych.

Z pola naukowych badań przechodzi Flamaryon na pole historii, jednym rzutem pióra kreśli zarys owych chaotycznych czasów, w których urodził się i żył wielki astronom polski.

„Wiek Kopernika—mówi on—krwawo przyświeca w dziejach. W Anglii walka zaciętych stronnictw Jorku i Lankastru, zmiata do sto tysięcy ofiar; miecz Karola Zuchwałego księcia Burgundyi, wali stopy trupów nad Renem i Mozela; zdobywca Bajazeta napełniając postrachem Europę; bezrządy Bergiów budzą grozę powszechną. Na placu publicznym we Florencyi stos pochłania Sawonarolę, Kalwin pali Serweta za wprowadzenie w czyn zasad wolnomyślności; Henryk VIII zrywa z kościołem przez miłość dla kobiety, którą powlecze wnet na rusztowanie, a w ślad za nią cztery inne małżonki. Soliman II łupi Azyą i wschodnią Europę, Karol V zalewa wojskiem Zachód. Francya, Anglia, Hiszpania, Włochy, obroczone krwią: gdzie rzuc okiem błyszczą łuny zatłonych stosów!

„Ale w tym szalonym odmiecie — dodaje autor — widzimy z pociechą niezliczonych pracowników myśli, którzy jako Boży oracze uprawiają i wiernie posiewają swój zagon, przysposabiając chleb ducha, co ma szczerze nakarmić przyszłe wieki. Gutenberg umiera na lat cztery przed urodzeniem się Kopernika, przekazawszy wiekom puścizną cudowny wynalazek druku. Krysztof Kolumb zwalcza niesłychane trudności, przebywa szeroki ocean i poza nim odkrywa nowy świat; okręt Magiellana opływa po raz pierwszy kulę ziemską, a podczas kiedy kształty i obszary ziemi przestają być dla ludzi tajemnicą, Kopernik wytrwałą pracą dochodzi jej praw i określa właściwe jej stanowisko w wszech świecie.“

Flamaryon kreśli żywot Kopernika od kolébki do grobu; pójdźmy więc w ślady za nim. Wprawdzie życiorys wielkiego ziomka naszego znany u nas nierównie lepiej niż w obcych krajach; sądzimy przecież że dla czytelników naszych nie będzie obojętną wiadomość w jaki sposób cudzoziemcy pojmują i oceniają wielkiego męża. Autor usiłuje ugruntować i rozpowszechnić przekonanie, że Kopernik był Polakiem, że jemu świat zawdzięcza nową a wielką drogę do pojmowania praw świata widzialnego.

„Mikołaj Kopernik—mówi Flamaryon—urodził się 19 lutego 1473 roku w mieście polskiém Toruniu, za rządów Kazimięrza Jagiellończyka; ojciec jego był piekarzem, członkiem rady mu-

nicypalnej. Dziad przemieszkował w Krakowie od końca XIV wieku, matka Barbara Weiselrod siostrą była biskupa warmińskiego.

„A więc — dodaje autor — Kopernik jest Polakiem z rodu. Wielu jego biografów począwszy od Gassendego do dzisiejszych zowie go Niemcem, sam Fontenelle wpadł w podobny błąd za innymi. Najniesłuszniej król bawarski pomieścił w świątyni Walhalli w gronie znakomitości niemieckich wielkiego astronoma polskiego.“

W latach dzieciennych mały Mikołaj Kopernik chodził w rodzinném mieście do szkółki Ś. Jana. Pilny i pracowity uczył się z wielką gorliwością; wieczorem nawet unikał rozmowy z towarzyszami, a za powrotem do domu pracował mozolnie nad łaciną.

W dziesiątym roku stracił ojca. Odtąd wuj jego Łukasz Weiselrod biskup warmiński, wziął go pod wyłączną opiekę. W szkole toruńskiej młodzian wyuczył się dokładnie starożytnych języków. Pozostał z tych czasów piękny jego przekład na łacinę listów Theofilaktesa.

Biskup warmiński wyprawił go następnie na uniwersyteckie nauki do Krakowa. Tam ośmnastoletni Kopernik wpisany w poczet uczniów pod nazwą *Nicolaus Nicolai de Torunia*, postanowił oddać się wyłącznie nauce medycyny. Oprócz tego uczęszczał na wydział filozoficzny, z szczególném zaś upodobaniem słuchał wykładu matematyki. Ta ostatnia nauka pochłonęła niebawem jego umysł. Uniwersytet Jagielloński pod kierunkiem Macieja z Kobylina, liczył wówczas w gronie mistrzów uczonego Wojciecha Brudzewskiego, który wykładał astronomią. Słowa mistrza zapaliły w młodym Koperniku niesłychany zapał do tej nauki. Nie przeparta siła popchnęła go na nową drogę.

Brudzewski poznał i ocenił znakomite zdolności ucznia; nie poprzestając też na szkolnych wykładach, pozwalał mu brać udział w wykonywanych przez siebie doświadczeniach astronomicznych, wyjaśniał mu użycie instrumentów. Wówczasto Kopernik postanowił zwiedzić Rzym i sławne wszechnice włoskie.

Podróż po Włoszech uważaną była wtedy za konieczne dopełnienie klasycznego wychowania. W tej kolébce nauk i sztuk pięknych, pod wpływem tego uroczego nieba, w obec tylu wspomnień dawnej chwały, wyobraźnia rozbudzała się jakby czarem, umysł przychodził do dojrzałości. Checiwa nauki młodzież przedsiębiorąc tę podróż kształciła się pilnie w rysunku, aby zdejmnować widoki i odtwarzać spotykane co krok arcydzieła. Kopernik idąc za ogólnym popędem, poświęcał rysunkom i malarstwu wolne chwile, w krótkce też przyszedł, jak mówi Gassendi do wielkiej biegłości w malowaniu krajobrazów, a nawet wizerunków uderzającego podobieństwa.

Po ukończeniu nauk w Krakowie wrócił młodzieniec do Torunia, zabawił czas jakiś w domu wuja i matki, poczem pośpieszył

do Włoch. Skończył wtedy dwudziesty trzeci rok życia.

Zatrzymał się nasamprzód w Padwie, tam uczył się na kursa filozofii i medycyny. Po trzyletnich naukach otrzymał dwa wieńce. W archiwach sekcji medycznej Uniwersytetu Padewskiego zapisano jako w r. 1499 mistrz wszechnicy Mikołaj Teatinus włożył na głowę ucznia polskiego dwie korony.

Zwolna Kopernik przystępował do nauki, która miała zapewnić mu nie pożyłą chwałę. Pragnął nasamprzód zyskać stopień doktora medycyny, czyniąc zadostyc woli biskupa warmińskiego. Wywiązawszy się względem wuja rozpoczął dopiero systematyczną pracę na polu odpowiedniem jego geniuszowi.

Słynął podówczas w Bolońskiej wszechnicy sławny mistrz astronomii Dominik-Marya. Kopernik podczas pobytu swego w Padwie, odwiedzał go po kilkakroć i z nadwyzyczajną pilnością słuchał jego wykładów. Ukończywszy medycynę przeniósł się do Bolonii i oddał z zapałem matematycznym naukom. Dominik Marya spostrzegł od razu wielką miłość pracy i rozległą wiedzę młodziana. Z jego to poręki otrzymał Kopernik katedrę matematyki w Uniwersytecie rzymskim r. 1499. Miał wtedy lat dwadzieścia siedm.

Obdarzony porywającym darem wymowy młody mistrz ściągnął wielką liczbę słuchaczy. Wykładał on astronomię według systematu Ptolomeusza. Wówczasto wnikałszy głęboko w ów systemat poznał całą jego niedostateczność.

Przez lat siedm przebywał we Włoszech od roku 1496, do 1502. Tam wpatrując się w błękit pogodnego zawsze nieba poociągnięty wpływem wyższych umysłów, dążących z zapałem do odrodzenia nauk, uczuł wielkie powołanie swoje. Pracował bez spoczynku, żył w samotności nie biorąc udziału w ponętach i burzach światowych. Pozostały z tych czasów po nim liczne spostrzeżenia nad zaćmieniami tak księżycą jak słońca.

Za powrotem do kraju wstąpił do stanu duchownego. Święcenia kapłańskie przyjął z rąk Jana Konarskiego biskupa krakowskiego. W kilka lat potem za staraniem wuja otrzymał (1510) kanonię w mieście Frauenburgu. Wolny od obowiązków rodziunych oddał się gorliwie naukom matematycznym i astronomicznym badaniom.

Lubo praca naukowa pochłaniała potężny jego umysł, kiedy cheiwy zakon krzyżacki zabrał nieprawnie ziemie i grody należące do kapituły, Kopernik nieustraszony pogrózkami potężnych nieprzyjaciół, śmiało wystąpił z nimi do walki. Poniósł skargę przed tron Zygmunta I i tyle dokonał wytrwałem dochodzeniem krzywd, że zakon zmuszony został zwrócić zabrane gwałtem posiadłości.

Inną niemniej ważną sprawę podniósł Kopernik na sejmie Grudziązkim. Rzec tu szła o przywrócenie zachwianego kredytu pomorskim miastom, zalanyam fałszywą monetą przez ościen-



nych Krzyżaków. W rozprawie *O urządzeniu monety* (De optima monetae cudendae 1526), Kopernik okazuje się wytrawnym i wyższym nad wiek swój ekonomistą, a co więcej obywatelem troskliwym o dobro Rzeczypospolitej. Rozprawa ta zachowana dotąd w oryginalnej, tłumaczonej na język francuzki przez Ludwika Wołowskiego członka Instytutu, była kilka lat temu przedmiotem ciekawej konferencji tego uczonego, i dała poznać cudzoziemcom wszechstronny geniusz Kopernika.

Krzyżacy poprzysięgli mu zemstę. Wiedzieli oni że kano-nik Frauenburski trawi noce w obserwatoryum, które urządził sobie na wieży własnego domu; wiedzieli że pojęcia jego różnią się radykalnie od przyjętych zasad, zasłyszeli coś nawet o nowej teorii wykazującej wirowy obrót ziemi w około słońca. Postanowili więc stanąć mu w poprzecz drogi i bronią szyderstwa chłostać go w najdotkliwszy sposób. Płatni przez nich wędrowni kome-dyanci, przedrzeźniali po jarmarkach wielkiego astronoma i ośmieszali go w obec przyklaskujących tłumów.

Przyjaciele Kopernika ciężko boleli widząc go przedmiotem pośmiewiska gawiedzi, skłaniali go usilnie aby wystąpił przeciwko podobnym nadużyciom.

„Dajmy im pokój—odpowiadał spokojnie mędrzec—nie uga-niam się bynajmniej za poklaskami tłumów; eo ja wiem nie zyska ich uznania, coby im przypadło do myśli, tego ja wcale nie wiem.“

I wielki astronom pracował bez spoczynku, głuchy zarówno na szyderstwa nieuków jak i na przestrogi uczonych. Jedna noc gwiazdzista dawała mu przepomnieć tysiąca dotkliwych pocisków, a sam w obec Boga patrząc w niezmierzone okiem niebo, rad od-wracał myśl od nędz i małostek ziemskich!

Podczas gdy sprzedajne błazny ośmieszali go w obec karcze-mnych tłumów, najszynniejsi matematycy ówczesni witali już wschodzącą zorzę jego chwały. Jeden z nich Erazm Reinhold w rozprawie nad systematem Ptolomeusza, wyraża się z niesły-chaną czcią o Koperniku; zowie go twórcą dzieła co odrodzi astro-nomią, nowym Ptolomeuszem, sławnym mędrceem, którego boski geniusz błogosławion będzie po wszystkie wieki.

Zaczem wieki miały przekazać wiekom imię nieśmiertelnego męża, już to imię przebiegało z ust do ust, otoczone błogosławień-stwem ludu. Tłumy chorych wieśniaków napełniały bezustanku prosty jego dworek. Biegły w sztuce lekarskiej Kopernik udzie-lał im rad, opatrywał ich rany, przyrządzał im lekarstwa własną ręką; ubogich odziewał i karmił. Sława jego lekarska rozeszła się w mgnieniu oka po całej okolicy, chorzy zdalekich nawet stron, pełni wiary i nadziei garnęli się do niego, najszynniejsi lekarze współcześni zasięgali piśmiennie jego rady.

Troskliwy o pomyślność ludu Kopernik w każdej okolicz-ności był dlań prawdziwym ojcem i dobroczyńcą. Widząc jak dotkliwie czuć się daje brak wody w położonem na górze mia-

steoczku, sprowadził ją z dalekiej rzeczki za pomocą wymyślonego przez siebie przyrządu i rurami rozprowadził ją po mieście.

Przy tylu różnostronnych pracach oddawał się niemniej poezyi. Utworzył w łacińskim języku religijny poemat p. t. *Siedm gwiazd* (Septima sidera), wydany w Krakowie 1529 roku, przełożony na polski język przez Ignacego Badeniego.

Długo Flamaryon zatrzymuje się nad codziennem życiem Kopernika. Kreśląc z miłością jego obraz, zbiera pilnie najdrobniejsze rysy zapisane przez Gassendego, Saweryena i innych tak obcych jak polskich biografów. Zobaczmy jak maluje postać mędrca.

„Oblicze Kopernika wyrażało dobroć i kontemplacyą. Lica rumiane świadczyły o zadowoleniu sumienia i pokoju wewnętrznym. Oczy piękne, pełne życia, zapalały się w miarę uczuć poruszających duszą. Włos długi kręty, spadał mu na ramiona. Barki miał krzepkie, wzrost dorodny. Nikodem Frischlinus patrzając na jego wizerunek oddany z natury, taki nakreślił pod nim napis :

Oto jest Kopernika wizerunek żywy,  
Wiernie odtwarza urok piękności prawdziwej;  
Oko cudne, włos bujny, jagody rumiane,  
Członki jak Apelesa pędzlem malowane;  
Badawczo snuć się zdaje wątek twórczej, myśli:  
Gwiazdom na widnokregu nowe szlaki kreśli,  
Pcha ziemię w ruch, firmament na uwięzi trzyma,  
I w biegu słonecznego wstrzymuje olbrzym!

Mówiąc o wizerunku Kopernika przypomina autor jak głębokie wrażenie sprawił jego widok na sławnym astronomie Tiho-Brahem. Mistrz duński aczkolwiek nie przyjął systematu Kopernika, może być że z obawy panujących wówczas przesądów, okazywał jednak najwyższą cześć dla jego geniuszu. Otrzymałszy w darze portret polskiego mistrza wykonany jego własną ręką, równie jak jego narzędzia astronomiczne, pomieścił te drogie pamiątki w swoim obserwatorium. Pod wizerunkiem nakreślił wiersz pełen gorącego uznania. Dajemy go w przekładzie:

Liczne wieki upłyną, długo świat poczeka,  
Nim ziemia podobnego wyda znów człowieka;  
On powstrzymał na niebie rydwan słońca złoty,  
Pchnął ziemię nieruchomą w wirowe obroty;  
Nakreślił księżycowi ścieżki tajemnicze,  
I z gruntu przeistoczył wszechświata oblicze.  
Za pomocą tych drążków potrafił mistrz dzielny  
Poddać pod swoje prawa Olymp nieśmiertelny;  
Marnym drewna odłamem dosięgnął gwiazd szczytu,  
I rozdarłszy tajemną oponę błękitu,

Geniuszu potęgą w te przestrzenie wnika,  
 Kędy nie sięgły przed nim oczy śmiertelnika.  
 Gdy Tytany ku niebu dały się zuchwale,  
 Kładą górę na górze i skałę na skałę,  
 Olbrzymie złomy opok w twardeń rękę niosą,  
 Wałą Osę nad Etną, Pelion nad Ossą,  
 A przecież mimo trudu, mimo woli szczerój  
 Słabi duchem w niebieskie nie wdarli się sfery;  
 On ufny w moc rozumu, acz bezsilny ciałem,  
 Wdarł się tam, nad Olimpem zapanował całym,  
 Zbrojny kawałkiem drewna struganym z prostotą;  
 O! niechże temu drewnu pozazdrości złoto!

Według Flamaryona, najdawniejszy z istniejących dziś portretów Kopernika jest ten, który widzimy na zegarze astronomicznym w katedrze Strasburskiej. Zegar ten wykonany był w trzydzieści lat, po śmierci wielkiego astronoma polskiego, według wprowadzonego przezeń systematu. Mówiliśmy o nim w jednej z tegorocznych kronik naszych.

Autor określiwszy postać mistrza, wprowadza czytelnika do skromnego dworku, gdzie Kopernik spędził życie wśród mozolnej a różnorodnej pracy.

Był to prosty ale wygodny dworek. Sprzęty niewytworne odpowiadały potrzebom uczonego. W osobnej izdebce było laboratorium, gdzie tam przyrządzał leki dla chorych, na przybocznej wieży, zkąd obliczał obroty planet, zebrane były narzędzia astronomiczne wielkiej prostoty wykonane jego własną ręką. Tu płynęły dnie mędrca w ciszy i w głębokim ducha skupieniu.

Nie kwapił się Kopernik z wydawaniem prac swoich, nie chciał rzucić na pastwę nieuków, albo na łup złośliwej zawiści, prawd mozolnie przez siebie odkrytych. W stosunkach zato z uczonymi dostępny był i łatwy. Udzielał im chętnie rękopisów, dawał żądane objaśnienia, odpowiadał na czynione zarzuty. Jan Brosciusz posiadał wielką moc jego listów, prowadząc z nim stałą korespondencją. Pisywał także chętnie do towarzysza młodości Wapowskiego.

Nie lubił Kopernik czczych rozmów z ludźmi którzy pojąć go nie zdołali, unikał licznych znajomości, a rad przestawał tylko z prawdziwie uczonymi, ztąd obwiniano go o nieprzystępnosć. Miał jednak kilku serdecznych i wiernych przyjaciół; do tych należał Tydeman, Gize biskup chełmiński i znany z nauki biskup warmiński Dantyszek. Znana także ojcowska miłość dla młodego Retika. Był to najgorliwszy z jego uczniów. Retik zajmował już miejsce prof. matematyki w Wittembergu; posłyszawszy o sławnym astronomie porzucił katedrę, udał się do Polski i stał się odtąd nieodstępnym uczniem i współpracownikiem prac Kopernika.

Szeroki ustęp poświęca Flamaryon określeniu systematu astronoma polskiego, i porównaniu go z teoryami starożytnych. Opuszczamy ten ustęp, jako przechodzący ramy naszej kroniki.

Kopernik rozpoczął w roku 1507, wielkie dzieło, w którym postanowił sformułować wyniki długoletnich już badań. Pracował powoli, cierpliwie, dokładał jedną cegłę do drugiej, poprawiał, zmieniał, dopełniał rzecz coraz nowymi dowodami, aż po siedmioletniej pracy zbudował wspaniałą pomnik naukowy, dokonany w roku 1514. Nie wypuszczał jednak z rąk drogiego rękopisu, rozszerzał go ciągle, nie kwapił się ogłosić go drukiem, ani dla astronomów, tém mniej dla publiczności.

Wszyscy przecież uczeni współcześni wiedzieli o pracy Kopernika, znali w części jego systemat. Wielu z nich nalegało silnie, aby mistrz nie krył światła pod korcem. Ulegając w końcu namowom, siedmiesięcioletni starzec pozwolił w roku 1541, wydrukować rękopis wykończony przed dwudziestu siedmiu laty. Wydaniem tego największego skarbu w nauce, zajmował się ukoochany uczeń jego Retik.

Wiadomo że Kopernik poświęcił swoje dzieło Pawłowi III-mu, powód tój dedykacji, określa w liście wstępnym.

„Ofiaruję — pisze on — dzieło moje, Waszjej Świętobliwości aby cały świat, tak uczeni jak i nieuczni, przekonani byli że nie unikam roztrząsania i sądu.

„Powaga Waszjej Świętobliwości, jej miłość dla nauk a zwłaszcza dla matematyki, służyć mi będą za tarczę przeciwko złośliwym i zdradzieckim pociskom, wbrew przysłowia: niema lekarstwa na ukąszenie oszczercy. . . .

„Przekonany jestem że uczeni i biegli matematycy, przykładną moim badaniom, jeżeli jak przystało prawdziwym filozofom, zechcą gruntownie poznać dowody jakie przynoszę w dziele mojem. Gdyby zaś ludzie lekkomyślni i ciemni, chcieli nadużyć niektórych ustępów z Pisma Świętego, zmieniając ich znaczenie, nie będę zważał na to, gardzę naprzód zuchwałą napaścią. Alboż to Lektancyusz sławny pisarz lecz słaby matematyk, nie ośmieszał tych co uwierzyli w okrągłość bryły ziemskiej? Azaliż nie może spotkać mnie los podobny? Prawdy matematyczne mają być sądzone li przez matematyków. Jeżeli mnie własne nie myli przekonanie, moje prace nie pozostaną bez korzyści dla kościoła, którego rządy spoczywają w ręku Waszjej Świętobliwości“

Kopernik przemawia do głowy kościoła, z synowską miłością i szczerem zaufaniem. W całym tym liście przebija swoboda cechująca prawdziwy i świadomy siebie geniusz. Pełen on zarazem pokory i głębokiej pobożności. Jest to testament największego matematyka i astronoma jakiego wydały wieki. Znaczenie owego listu tém większe, gdy zważymy czas przewrotów religijnych, w którym był nakreślony.

Wielu pisarzy łamie sobie głowę nad wytłumaczeniem dla czego Kopernik znalazł poparcie swoich prac naukowych w tyłu biskupach, kardynałach, a nawet w samym Papieżu, kiedy tymczasem dopełniacz jego Galileusz doświadczył tyłu trudności? Pytanie bardzo ważne, my sądzimy że głównym powodem różnicy jest to, iż Kopernik stawiał poprostu swoje wnioski jako teorię naukową, gdy zaś dopełnienia Galileusza przedstawiane były w charakterze dogmatu religijnego. Owa to okoliczność sprawiła że i system Kopernika został uważany w wieku XVII za szkodliwy, bo dający pobudkę do obłądu.

To samo widzimy dziś w pewnym względzie, na mniejszą nierównie skalę w Darwinie i tak znanych Darwinistach. Nigdy Darwin nie przedstawia swoich wywodów inaczej jak ze strony czysto naukowej, kiedy tymczasem zwolennicy jego biorą te zasady jako sztandar pojęć nihilistycznych, w ich ostatecznej konkluzji.

Nieśmiertelne dzieło Kopernika, które miało wywołać w przyszłości tyle sporów, odnieść w końcu tryumf nad przesądami, i odwieczną rutyną i stać się węgielnym kamieniem nowej nauki, sławne dzieło *De Revolutionibus orbium coelestium* wydrukowane było w roku 1543. Retik przysłał najpierwszy egzemplarz autorowi.

„Księga — mówi Flamaryon — nadeszła w samą porę. Późny wiek, a więcej jeszcze trudy i przeciwności, stargały życie sławnego matematyka. Paraliż prawego boku, oraz wyrzuty krwi ustami, przykuły go do łoża i uczyniły niezdolnym do wszelkiej pracy umysłowej. Pamięć jego słabła, siły widocznie upadały. Kiedy przyjaciele podali mu egzemplarz wydrukowanego dzieła, ohwile jego były już policzone. Uczony mąż ogarnął księgę gwałtownym wzrokiem, położył na niej drżące dłonie, ale niebawem pobożny chrześcijanin wspomniął że stanie za chwilę przed Najwyższym sędzią. Opuścił księgę i zajął się tylko zbawieniem własnej duszy.

Umarł w siedmdziesiątym trzecim roku życia, opłakiwany przez kilku wiernych przyjaciół, otoczony błogosławieństwem ubogich, których był dobroczyńcą. Europa zajęta wojnami religijnymi, mało zważała na skon człowieka, którego geniusz popchnął ludzką inteligencją w nowe nieznane dotąd szlaki.

Złożono ciało Kopernika w kollegialnym kościele warmińskim. Prosty kamień z napisem świadczył że w miejscu tém pochowany raczej pokorny grzesznik, niżli mąż niesłychanego geniuszu. Oto ów skromny napis:

Abyś mi jak Pawłowi przebaczył nie tuszę,  
Lub skarb łask, jak Piotrowi chciał wlać w moję duszę;  
O to, coś dał na krzyżu łotrowi, mój Boże,  
Błagam w pokorze!

„Napis to jak uważa Flamaryon wcale nie astronomiczny, maluje on pokorę gorliwego katolika, który wiele przeboleł i odrzuca od siebie wszelkie próżności świata.“

W obserwatorium paryżkiem widzimy wielki portret Kopernika, malowany w roku 1735, według oryginału zachowanego w bibliotece toruńskiej. Poniżej portretu skreślony powyższy, skromny napis. Porównywając daty, przychodzimy łatwo do wniosku, że ten wizerunek wielkiego Polaka jest darem Stanisława Leszczyńskiego, który świeżo naówczas przybył do Paryża z nie-szczęśliwej wyprawy Gdańskiej.

W lat trzydzieści po śmierci Kopernika, ów prosty kamień grobowy zastąpiony został wspaniałym pomnikiem. Położył go sławny historyk Marcin Kromer powołany na biskupstwo warmińskie. Był to hołd oddany uczonemu mężowi, imieniem polskiego narodu.

Nie prędko jednak świat dorósł do pojęcia wielkiego geniuszu, który wyprzedził pochód wieków. Nad grobem astronoma panowała głęboka cisza, nie zmacona ani okrzykami chwały, ani też klątwą nienawiści; Galileusz dopiero w roku 1564, jął wykazywać prawdopodobieństwo Kopernikowej teorii, ale upłynął z górą wiek cały, zaczęła teorya ta miała otrzymać powszechnie u świata uznanie.

„W sto lat po śmierci Kopernika — mówi Flamaryon, — uczony francuzki Gassendi pisząc życiorysy sławnych matematyków, począł zbierać notaty do życia astronoma polskiego, ale jego chwala nie świeciła jeszcze pełną aureolą, odkrycie jego nie dość jeszcze było ocenionem. Gassendi w swoim dziele podrzędne naznacza stanowisko restauratorowi astronomii: życiorys Kopernika stanowi jakoby dopełnienie historii Tiho-Brahego, w pośrednie biografii Purbacha i Regiomontanus.“

Opowiada Flamaryon jak w roku 1802, znakomity polski uczony Tadeusz Czacki z poetą, Marcinem Molskim, odwiedzili w Warmii dom i grobowiec wielkiego rodaka, jak w lat kilka potem cesarz Napoleon, uczcił pamięć jego w Toruniu.

Arago w rozprawie o Koperniku przytacza, że Napoleon podczas kampanii pruskiej, w roku 1807, pragnął zebrać ustne tradycje o sławnym astronomie. Odwiedził jego dom w którym tkacz założył półowiecz swój warsztat. Skromny to dworek, wszystko pozostało tu jak było niegdyś. Portret Kopernika zawieszony był nad łóżem, odwieczne franki z czarnej serzy, sięgały zapewne jego czasów: stół, szafa, parę krzesel, oto i cały sprzęt uczonego!

Napoleon zyczył sobie przewieźć ów portret do Paryża i pomieścić go w Luwrze, ale tkacz nie chciał sprzedać drogiej pamiątki, która jak mówił przynosiła szczęście rodzinie. Cesarz uszanował pobożną tradycją i nie nalegał dłużej.

Odwiedził Napoleon grób wielkiego męża, kazał odnowić go własnym kosztem i pomieścić przy wielkim ołtarzu, aby mógł być lepiej widzialnym.

W końcu dzieła przebiega Flamaryon prace późniejszych astronomów, którym Kopernik uTOROWAŁ drogę: Ticho-Brahęgo, Gallileusza, Keplera, Newtona; charakteryzuje wreszcie dzisiejszy stan nauki. Oto ostatnie słowa zamykające to małe, lecz dziwnie sympatyczne dziełko.

„W miarę jak nauka szła naprzód, jak coraz gruntowniej badano świat za pomocą spostrzeżeń i rachunków, praktyki i teorii, coraz to nowe świadectwa i dowody potwierdzały systemat Kopernika. Fizyka, mechanika, matematyka, chemia, przychodząc w pomoc astronomii, podniosły blask teorii polskiego mędrca. Dziś astronomia stała się nauką wspartą na niewzruszonych podwalinach. Znaczenie swoje zawdzięcza ona tym genialnym badaczom przyrody, których przezycista chwala, zachowa przez wieki nieskażoną aureolę, zawdzięcza ją przedewszystkiem wielkiemu astronomowi polskiemu, który poświęcił żywot cały zbadaniu praw Bożych w przyrodzie, a który umarł pozostawiając ziemi dzieło najwznieślej sze z pomiędzy wszystkich, jakie wydał kiedykolwiek rozum ludzki: poznanie systematu świata.“

Temi słowy zakończy Flamaryon rozprawę o Koperniku, oceniając go głównie jako twórcę dzisiejszej nauki astronomicznej. My dodamy jeszcze słowa wielkiego myśliciela niemieckiego Herdera, który w dziełach Kopernika podziwia nie tylko znaczenie ściśle naukowe, ale przedewszystkiem następstwa filozoficzne jakie z nich wypływają, tym bowiem dziełom zawdzięczamy gruntowne pojęcie przyrody. Postawieniem prawdziwego systematu świata, Kopernik według niego, więcej uczynił dla filozofii, niż wszystkie szkoły greckie swoją dyalektyką.

„Od nieba to — mówi Herder — od nieba należy rozpocząć naszą filozofią historii rodu ludzkiego, jeżeli ma zasługiwać na tę nazwę. Ziemia na której mieszkamy, niczem jest sama przez się; z niebios tylko czerpie ona siły powszechnie rządzące wszechświatem, jak niemniej właściwości swoje i kształty, zdolności twórcze i zachowawcze. Nie należy zatem uważać jej osobno, ale raczej w całości stworzenia. Niewidzialne, wiekuiste węzły łączą ją ze słońcem, tém ogniskiem, z którego bierze światło, ciepło i życie. Bez słońca nie możemy pojąć naszego systemu planetarnego, jak nie pojmujemy koła bez środkowego punktu. Słońce obdarzone od Przedwiecznego, równie jak inne ciała, potężną siłą atrakcyi, słońce to, okazuje nam w obrębie wpływu swego, planety posłuszne prawom najprostszym, wirujące bezustanku na własnych osiach i w około wspólnego centrum, w przestrzeniach odpowiednich wielkości ich i przeznaczenia, wraz z podległymi im satelitami. Niema szczytniejszego widoku, nad obraz tej wielkiej budowy świata i nigdy może rozum ludzki nie wzbił się nad poziom zachwalęj i szczęśliwięj, jak w onczas, kiedy Kopernik, Kepler, Newton,

odkryli i ustanowili prawa proste, wiekuiście i doskonałe formacyi i ruchu planet (1).“

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,  
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:  
Dzień uroczysty w krzyżowym zakonie.

Tak było w roku 13\*\*<sup>33</sup>, toż samo powtórzyło się roku Pańskiego 1872. Dźwięk maryenburskiego dzwonu roległ się szeroko po świecie, szerzej niż za czasów unieśmiertelnionego pieśnią Walenroda. Po drutach elektrycznych przebiegł on w te nawet obszary nowych światów, których istnienia nikt się podówczas nie domyślał. Nie naszą rzeczą śledzić wszystkie drgania dzwonu starych krzyżaków, zobaczmy tylko jak dzisiejszy dźwięk odbił się na polu literatury.

Ktoby potrafił zliczyć te ody, hymny i sonety, do których nowa uroczystość dała pohop; same obrzędowe mowy i dziennikarskie rozprawy, zebrane w jedną całość, mogłyby zapełnić nie jedną półkę biblioteki. Radzi nie radzi musimy zostawić je na boku, poprzestaniemy tylko, wierni obowiązkowi kronikarza, na małych próbkach, z których można będzie powziąć wyobrażenie o całości tego literackiego cyklu.

Zobaczmy oto na jaki ton jeden z poetów, poruszony dźwiękiem dzwonu maryenburskiego, nastraja swoją germańską lutnię, jak wywołuje z dębowych trumien, chmary zakonnych rycerzy, jak spędza im wiekowy sen z powiek i czarem pieśni rozbudza ich do życia, albowiem zegar wieków wybił dla nich godzinę odrodzenia, w pełnej mocy i chwale, których dawna ich moc i chwała, była tylko przecuciem, zapowiednią, mythem! posłuchajmy poety:

Północ wybiła na klasztornej wieży,  
Nagle mistrz wielki w stary dzwon uderzy;  
Groźne się hasło rozległo z daleka:  
Drgnęły sklepienia, zatrzęsły się mury,  
Pękły na dwoje ciężkie trumien wieka,  
Z książęcych grobów powstają komtury,  
Kroczą szeregiem do sali zamkowej;  
Skute ich barki w zelazne pancerze,  
Hełm z pióropuszem przyświeca im z głowy.  
W okół komnaty stanęli rycerze,  
Na białych płaszczach czarny krzyż odbija,  
Z wiatrem proporzec szeleści tam w górze  
A na proporcu Dziewica Maryja!  
W trupiěj prawicy dzierżą miecze duże

(1) Herdel: Filozofia Historii ludzkości, 1784. Tom 1.



I twardy puklerz każdy w ręku ściska,  
Przerosły pleśnią i rdzą grobowiska.

Milczą ponuro, snąc nie pojmują, co się stało. Aż oto wielki mistrz występuje z pośród grona. Opowiada bratniej drużynie jakim sposobem ostry miecz wypadł im z prawicy, wytracon długą koleją win i przestępstw. Oznajmia, jak przed stu laty czarny orzeł siadł znów na stariej wieży ich zamczyska i rozpostarł skrzydła nad ich germańską ojczyzną. Zwracając się potem do owęj ziemi, którą deptał zwyczajko za żywota, woła w najwyższém uniesieniu.

Pruska ty ziemio moja! do uścisku  
Oba ku tobie wyciągam ramiona!  
Ty, coś w słowiańskim zgrzęzła topielisku  
W stuletniej chwale witaj odrodzona!  
Patrz pruska ziemio, oto Cezar nowy!  
Dawno ku niemu pozierasz z tęsknotą;  
Patrz! ma na barkach płaszcz Karlomanowy,  
Na głowie wawrzynu i koronę złotą!

Inny poeta, na groźniejszy jeszcze stan nastraja lirę swoją. Zatacza on wzrokiem po szerokich obszarach nadbaltyckich, widzi z boleścią, że są jeszcze w pobliżu germańskie kraje, martwe gałązki oderwane od pnia ojczystego! że są jeszcze stare zamczyska, gdzie orły teutońskie słały bezpieczne gniazda, odtracone od germańskiej jedności. Oto urywek pieśni zbudzonej także dźwiękiem maryenburskiego dzwonu a drukowanej w Nogat-Zeitung w sam dzień uroczystości:

Co bądź nam wieków wyszczerbił ząb,  
Czas wspólną siłą naprawić już;  
Co bądź uronił germański dąb,  
Długo szamotan wichrami burz:  
Niech w jedną całość zrośnie się wraz,  
Sokami wielki zasili pień,  
Niech odrodzony germański las  
Na świat olbrzymi roztoczy cień!

Ale nie dosyć jeszcze na tém, archeologia nie dała wyprzedzić się w bibliografii. Na odgłos maryenburskiego dzwonu obok medalów bitych przed stu laty na rozkaz Fryderyka II-go, wystąpiły na jaw cztery dawniejsze medale, bite w Gdańsku i Toruniu, a świadczące wymownie o uczczeniach dla zakonu krzyżackiego, owych prusaków, zagrzężyłych jak mówi poeta, w słowiańskim topielisku i spojierających z tęsknotą, ku opiekuńczej Germanii,

której Krzyżacy według dzisiejszych pojęć, mają być najżywotniejszym wyrazem.

Pierwszy z tych medalów biło miasto Gdańsk, w dwóchsetletnią rocznicę wyzwolenia swego od przemocy zakonu.

Medal ten w dniu 6 marca, po uroczystej mowie Jana Tytiusa profesora gimnazjum, rozdany był pomiędzy senatorów i obywateli miasta, przez Gerarda Bartsh, burmistrza gdańskiego.

Drugi medal bity w Toruniu w sto lat później, przedstawia widok zamku Maryenburskiego, z którego wyjeżdża sześciu rycerzy na koniach. Tym zastępuje drogę herold, który zsiadłszy z konia wręcza pismo pierwszemu z jeźdźców. Napis wokoło: „Pruskiego związku manifest doręczony przez Herolda w Malborgu 6 lutego 1454 roku.“

Trzeci medal podobny do poprzedniego, bity w tymże roku w Toruniu, z powodu że rysunek pierwszego nie podobał się Torunianom.

Ozwarty największy i najzdobniejszy ze wszystkich, bił Gdańsk za Augusta III-go w roku 1754. Przedstawia on widok miasta w oddaleniu. Na pierwszym planie dwa orły: biały i czarny, druzgoczą szponami krzyż kawalerów niemieckich.

---

Mała ale nadzwyczaj ważna pod względem położenia geograficznego Holandya, zwraca w tych czasach na siebie uwagę powszechną, szczególniej uwagę Niemiec i Francyi, a to jak łatwo zgadnąć z przeciwnych wprost pobudek. Nigdy we Francyi nie pisano tyle jak dziś o tym nadmorskim kraju, nigdy z większą pilnością nie badano jego instytucyi, charakteru, podań i obyczajów.

Do najciekawszych publikacyj dzisiejszych należy przekład dzieła Daniela Sterna: *Historja początków Rzeczypospolitej w Nederlandach*. Poważne to dzieło dało pobudkę panu Quesnel, do wybornej rozprawy pod tytułem: *Wspomnienia Holandyi*. Autor przebywał lat kilka w Amsterdamie, poznał charakter i obyczaje Holendrów, zbadał do gruntu ich instytucye, miał sposobność osądzić pod jakimi warunkami może wolność trwać w społeczeństwie, a nie przerodzić się w swawolę: słowem poznał geniusz ludu chlubiącego się słusznie najwyższym rozwojem praw obywatelskich.

„Nie mylniejszego, wyrzekł Daniel Stern, nad język polityczny; pięknie brzmiące jego wyrazy: wolność, rzeczpospolita, najrozmaitsze mają znaczenie, zmieniają się całkiem według miejsca i czasu. Rzeczpospolita Peryklesa, nie była wcale rzeczpospolitą Kalwina, wolność Brutusa i Tacyta, odmienna od téj, jaką pojmovali Macchiawel i Danton. Długo jeszcze krew płynąć będzie za prawdy przysłonięte grubym pomrokiem.“

P. Quesnel rozwija ten temat, wykazuje on jakimi drogami ludzkość od dziewiętnastu wieków szuka tych prawd, tak ciemnych jeszcze dla niej, jak wytrwale ugania się za wolnością, widząc w niej główny warunek szczęścia. „Aby zabezpieczyć tę wolność,

mówi autor—przeciw porywom własnych namiętności, ludzie związali pierwotne społeczeństwa. Aby zagwarantować się jedni przeciwko drugim, podjęli oręż i dali sobie wodzów; aby odzyskać znów wolność, którą wydarli im ci wodzowie, podnieśli królów na tarczach. Aby ubezpieczyć też wolność przeciwko nadużyciom wszelkich władz, rzucili się w wiekach średnich w objęcia teokracji, wyobrażającej Boską powagę nauki, prawa i sprawiedliwości. Później, aby odzyskać wolność zcentralizowali władzę monarchiczną, i zleli na nią wszystkie prawa rozdzielone w organizacyi feudalnej; wreszcie, zaprowadzili podział władzy: ztąd wypłynęła zasada samorządu (self government).”

„Rozmaicie ludy pojmują wolność—dodaje autor: Anglicy i Holendrzy rozumieją w niej trwałą rękojmię poszanowania osób i własności. Rzecz jednak godna zastanowienia, że właśnie u tych dwóch narodów, wolność ugruntowała się i przechowała pod cięciem najzupełniejszej nierówności społecznej. Lubo tak w Holandyi jak w Anglii, zasada owęj nierówności, nie była nigdy uświęconą żadnem prawem, ani przywilejem wpisanym w ustawę państwa, znalazła za to w obyczajach jednomyślną sankcyę. Oligarchia kupiecka w Holandyi, zarówno cięży na ubogiej części narodu, jak rodowa arystokracya na proletaryacie angielskim. Tak samo tu, jak w republikańskiej Genewie i w Stanach Zjednoczonych, ludzie postawili między sobą zapory nie istniejące bynajmniej w ich społecznych instytucyach.“

Od tych ogólnych uwag przechodzi autor do ciekawych szczegółów, potwierdzających jego założenie. Przebywając długo w Amsterdamie, stołecznym niegdyś grodzie holenderskim, dziś głównem handlowem ognisku, miał sposobność poznać niezliczone przesady arystokratyczno-mieszczańskie, przechowane tam silniej niżeli w nowożytną, a ztąd kosmopolityczniejszej Hadze.

Pieniądz stanowi jedyną różnicę społeczną w kraju, w którym przywileje rodowe oddawna nie istnieją. Pieniądz stał się tu nowem bożyszczem nowego bałwochwalstwa. „Widzimy tu, mówi autor, dwie ostateczności: albo ludzie wpadają w apatyę, albo też w gwałtownej żądzy wzbogacenia się czerpią pobudkę do niezmordowanej działalności. Mała bardzo liczba pragnie osiągnąć rzeczywiłą wyższość, rozwojem talentu i pracą umysłową.

„Arystokraci pieniężni wzrosli w Holandyi w nieporównaną pychę. W ich osobach pieniądz odbiera hołd powszechny. Obwarowali się przepisami surowej etykiety mieszczańskiej. Żony ich ubliżyłyby własnej godności, gdyby uchybiły drobiazgowym, dziecinnym nawet jej przepisom, gdyby naprzykład w niedzielę wyszły przed południem na nabożeństwo, lub w dzień powszedni ukazały się na ulicy przed godziną drugą z południa; każda z nich zgubioną byłaby w opinii, gdyby ośmieliła się wniść do sklepu, gdyby powóz jej zatrzymał się na ulicy przed jakimkolwiekbyż magazynem. Bogacz holenderski ubliżyłby sobie, gdyby nie miał na głowie czarnego kapelusza; jeżeli wyjeżdża na wieś, służący nie-

sie za nim ryżowy kapelus w pudełku, który pan kładzie na głowę, minawszy bramę miasta. Byłoby to zniewagą domu, gdyby kucharka kupowała mięso w jatkach, lub na targu inne przedmioty żywności, gdyby dom nie był obsługiwany przez różnego rodzaju faktorów“.

Osobna część miasta, zwana Herren Gracht (wybrzeże pańów) jest w Amsterdamie wyłączną siedzibą arystokracji. Lud z poszanowaniem wchodzi do tego sanctuaryum. Cudzoziemiec, który chce zachować wziętość, musi bądź co bądź tam zamieszkać. Skromne poddasze na Herren Gracht więcej znaczy niż pałac w innej dzielnicy miasta.

Niesłychana tyrania w obyczajach, stanowi tło życia holenderskiego: każdy ubogi, czy bogaty, poddaje się tu dobrowolnie pod jarzmo tradycyi. Autor przytacza dowód tego poszanowania. Zwyczaj nie pozwala jeździć konno po ulicach Amsterdamu, dla utrzymania ich w czystości. Młody jeden progresista postanowił złamać panujący przesąd, przeprowadzono mu osiodłanego konia, przed ganek ojcowskiego domu. Ruszył z miejsca wśród okrzyku i gwizdania ulicznej gawiedzi; niektórzy sypnęli za nim kamieniami. Nazajutrz i przez kilka dni następnych powtórzyła się taż sama scena. Lud stawiał niezłomny opór. Rzucano petardy pod nogi biednemu koniowi; życie jezdca było w niebezpieczeństwie: policya milczała jednak, i żaden głos nie odezwał się za nim! Własny ojciec młodziana utrzymywał że lud ma słuszność, obstając przy dawnym zwyczaju. W uliczniku amsterdamskim, widzi autor, uosobioną ideę niepodległości. Wszystko mu wolno; niema na świecie zuchwalszej i niesforniejszej istoty. Niech kto mieszkający na dole, zostawi tylko otwarte okno, psotniki wtykają w nie głowę, patrząc mu w oczy, przedrzeźniają go w najśmieszniejszy sposób; niech je zamknie, sypną w nie kamykami. "Przechodnia na ulicy pomazą nieraz farbą, przypną mu papier do surduta. Wszędzie ich pełno. Wieczorem dzwonią we wszystkie dzwonki mieszkań. Pałac królewski otwarty 'dla nich na rościez; po woskowanej posadzce przedpokojów grają w kregle i w piłkę, lub przewracają koźły. Ulicznik, to młody obywatel; wybryki jego tolerowane jako symbol wolności ludu.

Ale mimo tych ustępstw na rzecz swobody jednostek w abstrakcyjnym pojęciu, nigdzie ubogi nie szanuje więcej bogatego jak w wolnej Holandyi. Poszanowanie to godzi się u Holendrów z uczuciem wolności osobistej.

Domy w Amsterdamie wybornie harmonizują ze sposobem życia mieszkańców. Sam ich pozór zimny, zawarty szczelnie, świadczy o wysokim pojęciu, tak własnej jak cudzej godności. Każdy dom wygląda na warownię. Za temi wiecznie zamkniętymi drzwiami, panuje spokój, milczenie, oszczędność i porządek. Ubogie tylko rodziny mieszczą się we wspólnych kamienicach; kto posiada jakie takie środki utrzymania, zajmuje mały ale osobny domek. Bogaci nie przyjmują pod dach swój najbliższych

nawet krewnych. Rodzina holenderska różni się też zupełnie od rodziny w innych krajach, jak na przykład we Włoszech, gdzie w skład jej wchodzi nawet wychowawce i służby, objęci wyrazem *familia*. U Holendrów rodzina, to para małżonków, istnieje jak para ptaków w gnieździe. Dopóki dzieci małe, rodzice czuwają nad niemi; wprawdzie nie mają ich nigdy pod bokiem, lecz osadzają na najwyższym piętrze domu. Kiedy dziatwa podrośnie, córki zajmują pokój obok matki, synowie otrzymują miejsce w kantorze obok ojca; ale kiedy córki powychodzą za mąż, kiedy się synowie poženią, węzeł rodzinny rozrywa się zupełnie. Syn żonaty, córka zamężna nie zasięga nigdy do stołu rodzicielskiego, chyba za formalnym zaproszeniem. Tenże sam stosunek etykietałny utrzymuje się między bratem a siostrą: odwiedzają się tylko jak obcy.

„Razu jednego—mówi autor—podziwialiśmy w obec jednej z pań holenderskich, przepyszne ciepłarnie jej brata zamieszkałego w témże samém mieście.

— Nigdy ich nie widziałam—odrzekła pani—wieczorem tylko zwykłam bywać u niego.

Zamężne dzieci nie mieszczą się nigdy w domu rodzicielskim, ztąd wynikają nieraz trudności przy zawieraniu małżeństw. Kto się żeni, musi koniecznie mieć dom, a o to nie łatwo w mieście podobnym jak Amsterdam. Gruntu do budowy nabyć tu niepodobna, pole zaś kosztowniejsze niżli sama budowa gmachu. Miasto nie pozwala sobie dziś takich zbytków jak za czasów kwitnącej republiki. Rodziny obejmują z kolei pradziadowskie domy: potrzeba aby jedna z nich wymarła lub opuściła miasto, zaczęła druga zajmie jej miejsce. Ojcowie czekają podobnej okoliczności wydając córki lub żeniąc synów; tymczasem zaręczają młode pary i nieraz kilka lat upływa pomiędzy zaręczynami a małżeństwem. Narzeczeni za to używają wszelkiej swobody, wolno im przebywać a nawet przechadzać się razem, co rzuca pewien urok na zbyt długie chwile oczekiwania.

Odkąd młoda para odleci z gniazda, staje się wniem zupełnie obcą. Jeżeli zaś rodzice nie przyjmują żeniatych dzieci do domu swego, tém mniej nie oddają się nigdy w zgrzybiałych latach pod straż i opiekę swych dzieci. Starzec umiera przy samotnym ognisku, przy którym przeżył długie lata, od dnia kiedy wstąpił w te progi z młodą towarzyszką wręczyszy jej klucze i berło domowego zarządu.

Nieporozumienia i skandale małżeńskie nie zdarzają się prawie w Holandyi. Mąż nie wdziera się nigdy w prawa żony, ani też żona w prawa męża. Wszystko tu nieodmienną toczy się koleją oparte na tradycyjnych obyczajach. Brak wyobraźni zabezpiecza domowy spokój stadła. Jeżeli kiedykolwiek która z pań holenderskich zboczyła z drogi powinności, było to chyba w podróży, poza obrębem domowych progów. Cześć domowego ogniska ściśle tu przestrzegana. Jakaż to cisza, jaka słodycz, jaki ład jednostajny, w tych domach spiczastych, powleczonej ciemnym

pokostem, wymytych tak czysto, z białemi u okien storami, zamkniętych zawsze tak szczelnie. Przez gładką szybę dojrzyysz tak niekiedy bieluchną jak śnieg głowę i rumianą twarz starca, pochyloną nad doniczkami przepysznych hiacyntów lub gwoździków. Holendrzy hodują kwiaty z namiętnem upodobaniem i poświęcają na nie wielkie summy. Ściany domów powleczone ciemną makatą, zawieszane obrazami wielkich mistrzów. W takim to domu mieszka stary kupiec oligarcha, zawistny praw swoich, wierny tradycyjnym obyczajom, niedostępny i dumny. Tam obwarowany chińskim murem od napływu nowych idei, nie lęka się niczego, ani cudzoziemskich przykładów, ani ducha kosmopolityzmu rozprzęgającego dziś stare węzły.

Oprócz tej oligarchii kupieckiej istnieją jeszcze w Holandyi, szczątki starożytniej szlachty rodowej od miecza i roli, skupionój wokół tronu. Ta szlachta niema przecież najmniejszej przewagi w polityce, pochłonoła ją całkiem mieszczaństwo najpotężniejsze z pomiędzy mieszczaństw europejskich.

Określa autor stanowisko monarchy nadzwyczaj zależne w tym kraju niepodległym, w obec uorganizowanego silnie samorządu; przechodzi nakoniec do ludu wieśniaczego.

Stan włościański w Holandyi niepodległy, bogaty, dumny, nie ustępuje stanowi mieszczańskiemu. Praca rolnicza mniej tu mozolna niż w krajach wydających zboże i wino. Uprawa łąk wymaga szczególniej drobiazgowego starania i pilnej czujności, a to są wrodzone Holendrom zalety. Dziwny panuje związek pomiędzy tą ziemią wydartą morzu piędz po piędzi, a niezłomnym i upartym charakterem tutejszych mieszkańców. Te płaskie niziny nie przecięte najmniejszym pagórkiem musiały oddziałać na ich spokojną, niezmaconą niczém wyobraźnią. Wieśniak który na kresach widnokregu widzi tylko kanał ocieniony drzewami, żyje szczęśliwy na łące swojej z gromadką bydła tak tu wypasłą i chędogą, tak szczęśliwą pod względem materyalnym. Prawdziwy ideał spokojności — mówi autor — przedstawiają nam te liczne stada krów, rozsiane po niezmierzonej okiem łące. Maść ich biała lub czarna. Leżąc na murawie zielonej przyglądają się migającym parowozom z równą bezmyślnością jak rumiani i utuczeni piwem ich panowie. Czy to w noc letnią czy podczas mgły jesienniej, każda krowa pokryta kocem wełnianym. Wązkie rowy któremi łąka przecięta wzdłuż i w poprzecz, służą do drenowania ziemi, a zarazem rozgraniczają własność jedną od drugiej. Bydło nie przekroczy nigdy owej słabej zapory, jakby miało geniusz kraju swego. Dobrze mu u siebie, nie myśli też wdzierać się w prawa sąsiada. Gospodarz spokojny o dobytek, ma czas oddać się z żoną innym pracom około sera i domowego porządku. Obory gdzie bydło przebywa tylko zimą, są prawdziwym wzorem czystości. Podłoga w nich wysypana piaskiem odnawianym codziennie, równie jak podściełka ze słomy. W około ścian na półkach porozstawiane naczynia do mleka, niekiedy wytworne i kosztowne. Dom mieszkalny odzna-

cza się nadzwyczajnym ładem i wygodą. Na bieluchnej podłodze leżą małe kobierczyki pod nogi. Na półkach połyskuje miedź i piękne naczynia ze szkła i porcelany. Bogatsi mają domy o piętrze, górne izby otwierają tylko w ważnych okolicznościach, jak zaręczyny, wesela, chrzciny i t. p.; zresztą zawsze zamknięte. Dlatego to aby oszczędzić próżnego wydatku na wschody, potrzeba do nich wdzierać się po drabinie, dosyć zresztą wygodnej. Tam nagromadzone wszelkiego rodzaju osobliwości: porcelany japońskie i chińskie, dowód że pradiady dzisiejszych rolników zajmowali się głównie żegluga.

Fermiery holenderscy żyją oddawna w dostatkach, dzięki pracowitości i zamiłowaniu w ładzie domowym, ale bogactwo ich wzmogło się znacznie, odkąd Izby złożone w większości z gospodarzy ziemskich przeprowadziły prawo pozwalające na wywóz bydła, surowo niegdyś zabroniony. Odtąd ubogi mieszczanin nie jada wcale mięsa i pauperyzm wzmógł się widocznie, ale ziemia nabrała wartości odpowiedniej produktom. Wywożony rok rocznie się w miastach po 2 franki 25 centimów. Fermiery których ojcowie zadzierżawili grunta na lat sto, w czasach kiedy wartość ich była nadzwyczaj niską, ogromne odnoszą dziś korzyści. To też dzierżawca bogatszy tu daleko niż właściciel. Zubożony szlachcic z dawnego rodu opowiadał panu Quesnel, jak fermier zaprosił go raz na wesele.

— Jakiem winem pan hrabia pozwoli sobie służyć?—pytał gościnny gospodarz: burgundzkim, bordeaux, reńskim czy hiszpańskim?

Bogaci wieśniacy wyposażają órki dwoma lub trzema baryłkami złota. Niegdyś składano złoto w małeńkie beczułki okute żelaznemi obręczkami, dziś pozostała tylko tradycyjna ich nazwa: taką beczułkę zastępuje weksel na dom handlowy.

Autor kreśli żywy obraz tych wieśniaków, jak spieszą do miasta wysokim wozem, po grobli ubitej nad szeroką niziną. Patrzeć na nich—mówi—przychodzą ci na myśl owi Arye (oracze), którzy podbili niegdyś te obszary. Wozy ich takie same jakich używali Germanowie za czasów Tacyta, z tą różnicą że naładowane dziś nie bronią, ale kulami sera. Najobfitsze to źródło dochodu, plon pracy nieochybny. Patrzmy w dniu targowym na tych włóścian, w czystej bieliźnie, długich kaftanach czarnych, w sabotach białych jak śnieg; każdy ma kieszeń pełną złota. Nie brakło nigdy kupców na ser holenderski.

Dziwnie wyglądają owe saboty pobielane całe białą kredą w kraju tak bardzo błotnistym. Zwyczaj ten świadczy o miłości porządku posuniętej do najwyższego stopnia.

Mało gdzie w Europie ubiór narodowy przechował się tak wiernie jak u Holendrów. Starożytne godło Statuderów: *utrymam*, stało się godłem całego narodu. Można je do wszystkiego zastosować. Z ubiorem zachowały się i obyczaje szczególniej na

północy, gdzie wpływ obcych mniej na lud oddziaływał. W wielkich miastach jak Amsterdam stare tylko matrony zatrzymały jeszcze strój narodowy; po wsiach za to używany powszechnie. Cudnie wyglądają rumiane lica młodych dziewcząt obok złocistych opasek nasadzanych kamieniami, łączących się harmonijnie ze złotopłowym ich włosiem. Wytworny szerególniej strój głowy u Fryzonek. „Patrzałem z upodobaniem — mówi autor — na te piękne córki północy, kiedy przybywają do miasta z rodziną oparte na ramieniu narzeczonego, po sprawunki na dzień godowy. Błękitne ich oczy pełne głębokiego spokoju, przypominają łagodny wzrok holenderskich jałowic. Zakochana para co chwila zatrzymuje się na ulicy i całuje w obec wszystkich. Nikt jednak nie widzi w tym nic złego. Wieczorem cała rodzina idzie na teatr do łoży pierwszego piętra. Wieśniak w takim dniu sypie hojnie pieniędzmi. W teatrze zapijają piwo i całują się znowu.“

Sliczny też obraz dla oka, przedstawia ów lud wieśniaczy, zi-mą, kiedy po zamarzałem Zuydersee, spada z północnych prowincyi do Amsterdamu, jak stado wodnych ptaków. Dziewczyna pędem strzały, niktne na łyżwach po gładkim lodzie, dotykając ledwie palcem długiej laski, którą towarzyszy trzyma w ręku. Spódniczka jej szamotana wiatrem, szeleści jak skrzydło Goelanda. Rzekłbyś że to jakieś nadpowietrzne geniusze, ale przypatrzwszy się bliżej poznajesz młode mleczarki, u każdej na plecach połykują dwa naczynia blaszane pełne mleka.

O ile wieśniaczy lud szczęśliwy w Holandyi, o tyle znowu upośledzona uboższa miejska ludność. Los służących w tym wolnym i bogatym kraju, prawdziwie opłakany; nigdzie może na świecie nie są tak skąpo płatni i tak nędznie żywieni: kawa bez cukru, chleb czarny, twardy jak kamień, dostarczany raz w tydzień, trochę masła, sэр, kartofle: oto całe ich pożywienie. Mięsa nie dostają odkąd podrożało. Nędzny pokarm przy wilgotnym klimacie, budzi skłonność do wielu chorób, mianowicie skorbutycznych, i utrzymuje bezsilność muszkułów, osłoniętą pozorem tuszy. Taka niesprawiedliwość względem sług, wyradza w nich popeł do kradzieży, pani domu nie może wypuścić z rąk kluczy ani na obwilę.

„Jednego wieczoru — mówi autor — byłem na herbacie u znakomitej rodziny, w domu generała Stadtbonen. On sam przebywał długo we Francyi, znał świat i obyczaje dworskie. Czterech kamerdynerów w czarnych frakach roznosiło filiżanki. Mieliśmy wstać od stołu, kiedy ktoś z nas prosił jeszcze o herbatę. Nieszczęściem cukierniczki były próżne, służba zaś nie miała do rozporządzenia, ani kawałka cukru. Gospodyni dała znak, postawiono przed nią srebrną skrzynkę; wydobyla wtedy z za pasa pęk eleganckich kluczyków, otworzyła skrzynkę, wzięła z niej garść cukru, zamknęła ją znow i pęk kluczy założyła za pasek. Nikogo to z obecnych nie zdziwiło ani zgorszyło, przeciwnie wszyscy pochwalali ład panujący w zamożnym domu.



„Gdyby nas spytano, dodaje p. Quesnel, o charakterystykę ludu holenderskiego, powiedzielibyśmy że główną jej cechą jest brak uprzejmości i nadzwyczajna nieufność. Każdy naród ma jakiś rys, który sypeci jego oblicze, nie przeszkadzając ogólnej pięknosci. Charakterem Anglików, wygórowana pycha, Francuzów próżność posunięta aż do śmieszności: Holendrzy podejrzliwi jedni przeciwko drugim, nieufni względem monarchy, względem rządu, względem sług, szczególnież zaś względem cudzoziemców, ciągle się mają na baczności. Ta wada charakteru była dla nich nieraz prawdziwie zbawienną kotwicą. Pod cieniem podejrzliwej polityki, zachowali oni w Europie niepodległe i przeważne stanowisko. Nieufnością, zasłaniają się dotąd jak tarczą od wpływu nowoczesnej wolności, opartej na idei równości społecznej i na podkopaniu ojcowskiej władzy. Kosmopolityzm podnosi zapewne duszę; ale drogo kosztuje tych którzy podjęli jego sztandar. Francya przypłaciła próbę: Holender nie stanie się nigdy ofiarą podobnego idealizmu. Niechaj drudzy czynią doświadczenia, on będzie z nich korzystał. Szaleńcy idą naprzód, odbierają też pierwszą chłostę. Dobry zapewne postęp, ale trzeba działać roztropnie. Mniej chwały a więcej zysku. Tak rozumuje Holender. I obwarowawszy się chińskim murem samolubstwa, patrzy zdaleka na wysilenia i zawody ludów, goniących za ideałem. Tym sposobem zachował własne obyczaje, podobnie jak starożytne ludy, dzięki systematycznej niegościanności.“

W ciągu lat ostatnich Amsterdam, handlowa stolica Holandyi, nie liczył więcej nad pięćdziesięciu Francuzów, a i ci byli ciągłym przedmiotem nienawiści ze strony miejscowych robotników. W trzech czy czterech francuzkich sklepach zabrakło kupujących. Zagraniczni goście podróżni, zimniej jeszcze przyjmowani. Tytuł urzędowy otwiera im salony, lecz nie daje miejsca przy żadnym domowym ognisku. Nazwa cudzoziemców, jak niegdyś w starożytnym Rzymie oznacza tu coś niższego, jest jakoby zniewagą i wyrzutem. Niechęć ta od roku 1813, panowała głównie przeciw Francuzom; od dwóch lat rozciągnęła się również i do Niemców, Holender bowiem, dbały o nietykalność kraju, odgradza się murem nienawiści i pogardy, od tych którzy mu zagrażają.

Dziesięć lat temu jeszcze uczono działywę patriotycznego katechizmu, ułożonego po klęskach Francyi i wypędzeniu przez Holendrów Ludwika Bonapartego. Katechizm ten miał na celu zohydzić w młodych umysłach imię Francuza.

Oto kilka pytań i odpowiedzi:

- Dlaczego Francuzi zaleli Holandya w roku 1794?
- Bo umierali z głodu w kraju własnym i szli naprzód, gdzie ich oczy poniosą, szukając chleba.
- W jakim stanie przybyli do nas?
- Zgłodniali i nadzy, nawet bosi.
- Jak odeszli?
- Pouciekali kominami, i t. p.

Od czasu Sadowy, Holendrzy zwrócili ku Niemcom nienawiść jaką żywili tak długo do Francji. W roku 1866, Von Prinsterer napisał gorącą broszurę, pełną trwogi patryotycznej. Ostatnie tryumfy niemieckie nad Francuzami, bardziej jeszcze zbudziły ich podejrzliwość.

To usposobienie umysłu, zrodzone skutkiem jeograficznego położenia, stanowi główne tło charakteru Holendrów. „Widzimy je, mówi autor, w obyczajach i drobnych nawet rysach życia społecznego. Zawarcie się w sobie i niegościnnosć widoczne tu we wszystkich, nawet w owych drzwiach domów, o połowę wyższych niż okna, z pogwałceniem praw architektury. W dniach przyjęcia na przykład, gospodarz zapraszając gości, oznacza najprzód godzinę, w której wszyscy rozejść się mają; nie dosyć na tem, gdy godzina uderzy, przypomina sam że zabawa skończona. Na hasło jego służący przynoszą płaszcze do salonu. Holender na każdym kroku zdaje się mówić: jestem u siebie, zostań na swoim miejscu, nie zachodź mi w drogę! Jam bogaty pan, jam wolny obywatel, należę do najszlachetniejszego, najszcześniejszego narodu. Holandia to centrum świata! Z takim usposobieniem naród nie może być przyjemnym, ale przyznać trzeba, że dzięki temu usposobieniu Holendrzy zachowali niepodległość polityczną, zamknawszy oczy na zewnętrzną wrzawę, czy na cudze przykłady, od czasów Ludwika XIV do Napoleona.“

„Pytamy — dodaje słusznie autor — co nastąpi kiedy plebs niderlandzki, dobrowolnie dziś zgięty pod ideą nierówności społecznej i pod przewagą pieniężną, otręśnie kiedyś barki? Wiemy jak zacięcie walczył w sprawie reformy religijnej, dopóki nie pokonał wszelkich przeszkód. Niech tylko idea odnowienia społecznego porwie te zimne umysły, a znajdzie ku postudze najzaciętszy upór. Chyba że swobody polityczne których Holandia nigdy się nie zrzekła dobrowolnie, nawet w czasach najcięższych klęsk, staną się u niej prezerwatywą przeciw obłędowi ducha rewolucyjnego.“

Podczas gdy to piszemy, dowiadujemy się o zjeździe socjalistów w Hadze. Przewódca ich Marks, jak powszechnie utrzymują dzienniki, odjechał niezadowolony z tradycyjnej niegościnnosci holenderskiej.

---

W gronie poetów francuzkich, uwięzionych w roku zeszłym przez akademię, czytamy imię Andrzeja Lemoine, autora ulotnych poezyj zebranych w jeden mały tomik. Utwory te poetyczne tobną w ogólności wielką prostotą, przypominającą niekiedy pieśni wiejskiego ludu. Przytaczamy dziś w przekładzie dwa maleńkie poemaciki, zaczem damy poznać czytelnikom naszym, uwięzionego świeżo autora.

## STRUMIEN I DZIEWCZYNA.

STRUMIEN.

Co się tobie dziewczę stało?  
 Gdzie twój uśmiech pusty;  
 Czemu ręką tak niedbałą  
 Pierzesz w wodzie chusty?

DZIEWCZYNA.

Ja strumyku mój kochany  
 O tój łące marzę,  
 Gdzie ty pędzisz rozpląsany  
 Przy twych wód pogwarzel!

STRUMIEN.

Tam zapewne kędy rosną  
 Te lipy nad rzeką,  
 Gdzie słowiczek śpiewa wiosną?

DZIEWCZYNA.

O, nie tak daleko!

STRUMIEN.

Pewnie myślisz o jeziorze,  
 Gdzie pomiędzy trzcina,  
 Moje prądy gubią łoże  
 Zaczem znów wypłyną.

DZIEWCZYNA.

Nieco dalej...

STRUMIEN.

Gdzie me wody  
 Kręcą młyńskie koła?  
 Kędy w gaju rwie jagody  
 Młynarka wesola?

DZIEWCZYNA.

Jeszcze dalej... gdzie półkole  
 Zataczasz murawą,

## STRUMIEN.

Gdzie kłosiste szumi pole,  
Od lasu na prawo?

## DZIEWCZYNA.

Oo tam słyhać? mów strumyku!

## STRUMIEN.

Wczoraj tam wieczorem,  
Dziewcząt zbiegło się bez liku  
I chłopców pod borem.  
Święto-Jańska noc to była  
Ogień buchał w górę,  
Jasna łuna czerwieniła  
Czarną dymu chmurę.  
Oj płaszyż tam dziewczęta  
Przystrojone w wieńce,  
Oj płasaliż tam od święta  
Przybrani młodzieńce.  
I wesoło na ich tany  
Poglądali starzy,  
Jeden tylko zadumany  
Coś żałośnie marzy.  
Dźwięk ligawki go nie ęoi  
Piosnka mu nie miła;  
Znać mu w sercu i pamięci  
Smutna myśl utkwiała.  
Próżno wiankiem go oplotą  
Przecudne dziewoje,  
On nie stoi widać o to:  
Patrzy w wody moje!

## DZIEWCZYNA.

Gdzież to myśli jego płyną?  
Kogo czeka młody?

## STRUMIEN.

Cheesz-li widzieć ją dziewczyno?  
Patrz na dno méj wody!

## P O B A L U .

## I.

Wróciła z balu, cóż jej się stało?  
 Zkąd te na licu ślady boleści;  
 Zwiesiła głowę na rękę białą:  
 Ona skończyła dziś lat trzydzieści.  
 Ma lat trzydzieści! żałośnie liczy  
 W dni swoich księżde kartę za kartą,  
 Jak się dosnuje ten sen zwodniczy?  
 O tém co przeszło, wspomnieć nie warto!  
 Gdzież urok?—pyta—w poranku tylko  
 Odbłyki zorzy cudnie migocą!  
 Młodość mi zbiegła chwilka za chwilką,  
 Jak ją przeżyłam—czemu? i poco?  
 Jedném się kołem bieg dni mych toczy,  
 Letnie przechadzki... zimowe bale!...  
 Jesienią w morzu zatapiam oczy,  
 Lecz ja nie żyłam: nie żyłam wcale!  
 Gdzież wymarzone miłości czary,  
 Gdzie snów dziecięcych gwiazdeczka złota?  
 Wszystko mi pokrył jakiś mrok szary,  
 A w duszy nuda, żal i tęsknota!  
 Łańcuch zbyt ciężki okuł mnie biędną,  
 Niemiłą czarę wychylał do dna;  
 Dziś, jutro, zawsze jedno i jedno,  
 A ja żyć pragnę, jam życia głodna!  
 Po marzeń świecie myśl smutno goni,  
 A ścieżka moja twarda i pusta;  
 Złote owoce są na jabłoni...  
 Gdyby raz do nich przyłożył usta?  
 Zaczém zapadnie ta noc głęboka,  
 Co z lic mych spędzi urok niewieści;  
 Dobędę iskrę z czarnego oka:  
 Dziś albo nigdy!... mam lat trzydzieści!

## II.

Czemuście, czemu anioły stróże  
 Od wygasłego zbiegły ogniska?  
 Zdala nam tylko w modrym lazurze  
 Łabędzie skrzydło wasze połyska.  
 Przeciw pokusom kto mięcz nam poda?

Kto w walce wesprze duszę zbolełą?  
 Czemu zadrżała kobieta młoda?  
 Oczy jej błysły, lice skraśniało!  
 Dźwięk jej uroczy dobiegł do ucha,  
 Głos-że sumienia nagle zbudzony?  
 Wyciąga dłonie... patrzy i słucha,  
 Cudnym dzwoneczkiem brzmią srebrne tony.  
 Drzwi się rozwarły, dziecinka bosa,  
 Z cicha po miękkim stąpa kobiercu,  
 U rzes jej świeci łezka jak rosa,  
 Chce przy matczyném ogrzać się sercu.  
 Schwyci ją matka—tuli na łono,  
 Oczy jej trysły zdrojem łez świętym;  
 Łkanie rozdzięra pierś rozżaloną,  
 W głąb duszy własnej patrzy ze wstrętem.  
 Łzami oblane dzieciątka włoski,  
 Po co mu wiedzieć zkąd łzy te płyną?  
 Snać odgaduje cud jakiś boski,  
 Bo tuli główkę pod pierś matczyną,  
 Jak kwiat co latem gdy burza minie,  
 Krople z pełnego strząsa kielicha.  
 Matka pochyla skroń ku dziecinie:  
 „Straszny sen miałam!“ poszepnie z cicha.  
 Boża już ścieżka wytknięta dla niej,  
 Ofiarę spełnić ma do ostatku;  
 Już przeboleła swe Getsemani,  
 Słabą kobietę zwalczyła matka!

## PIŚMIENNICTWO

### KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracji. Rok VII. Półrocze pierwsze. 1872 r.*

Ekonomista należy do szczupłej u nas liczby dzienników, poświęconych pewnej specjalności. Założony w roku 1865, utrzymuje się już rok siódmy, lecz utrzymuje z wysileniem, nie znajdując ani w piszących, ani w publiczności takiego poparcia, któreby, nie mówimy już szerszy rozwój jego możliwym czyniło, lecz któreby przynajmniej zabezpieczyło jego trwanie.

Przyczyn tego nie w samą tylko obojętności ogółu na kwestye ekonomiczne szukać należy. Jeżeli te kwestye w chwili zało-

zenia Ekonomisty nie były przedmiotem ogólnego zajęcia, to nie zaprzeczenie stan rzeczy pod tym względem coraz więcej dąży ku zmianie. Zdawałoby się, że właśnie w czasie obecnym pismo, które za swój zakres obrało, być organem materialnego rozwoju społeczeństwa, wzbudziłyby powinno żywy spółdział ogółu.

Nauki ekonomiczne nie są wprawdzie wyłączną specjalnością Ekonomisty. Zajmuje się on, jak na tytule wyrażono, nie tylko ekonomią i mającą z nią pewną łączność statystyką, lecz nadto i administracją. Zakres zbyt może obszerny dla pisma, wydawanego w miesięcznych od czterech do pięciu arkuszy druku obejmujących zeszytach.

Lecz administracja w całym ciągu tego pisma podrzędne tylko zajmowała miejsce. W półroczu, którego rozbiór przedstawić zamierzamy, jest traktujących o administracji artykułów dwa. Oba są tego rodzaju, że na ich zniknięciu z łamów Ekonomisty wartość i poczytność tego pisma nie wieleby straciły. Artykuł o składzie reprezentacji sejmowej w niektórych państwach europejskich, tłumaczony z niemieckiego, jest suchym zestawieniem szczegółów, właściwszym może dla jakiego almanachu niż dla czasopisma, które tylko pod gwiazdą przewodnią żywej idei zajęcie wzbudzić jest w stanie. Druga znacznie obszerniejsza rozprawa o gminie, jej organizacyi i stosunku do państwa, przynosi dowód oczytania się jej autora w tej gałęzi literatury administracyjnej. Lecz znajomość książek o pewnym przedmiocie wydanych nie jest jeszcze znajomością przedmiotu. Tej ostatniej autor nie nabył; rozprawa jego, pomimo niejakić pozorów samoistności, jest ciężką kompilacją, z której zaczerpnąć można masę ogólnych, nie zawsze dokładnych wiadomości, lecz która nie posłuży nikomu za podstawę gruntownego poznania przedmiotu.

Pominąwszy w rozbiore Ekonomisty dział administracyi, który, jeśli ma być tak słabo i niedostatecznie jak dotąd traktowany, możeby lepiej na przyszłość z kolumn tego pisma zupełnie usunąć, pozostają jako stanowiące istotną treść pisma, działy ekonomii i statystyki.

W tym kierunku Ekonomista nie jest bez zasługi.

Pierwszemu jego zadaniem z natury przedsięwzięcia wynikającym było: stać się, w wytkniętym zakresie, organem jawności, zaznajamiać publiczność z tém co zaszło lub zachodzi w sferze stosunków ekonomicznych, zwłaszcza krajowych. Jeżeli temu zadaniu Ekonomista w pełnej mierze nie sprostął, jeżeli skąpy zaledwie obraz rozwoju ekonomicznego kraju roztoczyć przed nami zdołał; nie można mu czynić ztąd zarzutu, że źródła jawności skąpo dla niego płyną; należy mu się raczej uznanie za to co zdołał zebrać i do wiadomości podać, uznanie którego nikt mu nie odmówi, kto z trudnościami na tej drodze spotykanemi jest obznajmiony.

W kronice ekonomicznej krajowej, czytamy budżet państwa; uwagi nad nim (tłumaczone), ustawy nowo powstających spółek, ich sprawozdania, ważniejsze rozporządzenia rządowe, sfery ekono-

micznój dotyczące, ogólne rezultaty urzędzenia włościan i mieszkańców miast, niektóre cyfry statystyczne i t. d. Wszystko to bardzo niewystarczające, ale powiedzieć tylko możemy: dzięki i za to!

Lecz obok udzielania wiadomości ekonomicznych, dla rozbieganego czasopisma przedstawia się inne zadanie. Winno ono nie tylko fakta ujawniać, ale także winno te fakta oceniać; być jeśli nie sterownikiem opinii, to przynajmniej jakąś skazówką dla niej, zasłużyć sobie na zaufanie, dla zdania swojego zjednać powagę.

Takiego stanowiska Ekonomista nie zajął, takiej powagi, najzyczliwsi jego zwolennicy temu nie zaprzeczą, pismo rzeczone nie używa. Czyż może być inaczej, kiedy w kolumnach Ekonomisty pojawiają się takie niepojęte dla nas, z uwagi na niezaprzeczone ukształcenie redaktora, wysoki, jak np. polemika Redakcyi Ekonomisty z Gazetą Handlową?

W numerze styczniowym swego pisma, Ekonomista powstał na nowe jakoby zwyczaje świeżo powstałych banków publicznych warszawskich: „nieznane dotąd, o ile nam wiadomo”—mówi Ekonomista str. 54— „w żadnym kraju cieszącym się zdrowym rozwojem systematu kredytowego i finansowej działalności“. Nowość wprowadzona przez banki zganione, polegać miała na tém, że banki warszawskie skupują weksle i dają zaliczenia na zastaw papierów publicznych po cenach równoczasowo nie jednostajnych, lecz zależnych od uznania banków, i że o tém uprzedzają publiczność, ogłaszając minimum i maximum ustanowioną na czas pewien stopy kredytowej, którą np. dla skupu weksli ustanowiły podówczas od 6 do 8 od sta.

Ten artykuł Ekonomisty wywołał odpowiedź Gazety Handlowej w Warszawie wychodzącej (Nr. 49); na co Ekonomista odpisał w zeszycie swoim na miesiąc marzec (str. 213—216) i raz jeszcze wrócił do tego przedmiotu, rozbiegając sprawozdanie Banku handlowego za rok 1871 (maj, str. 376).

Kiedy tak nasz Ekonomista unosił się zgrozą nad zdrożnym nowatorstwem banków warszawskich, jednocześnie, bo w styczniowym numerze b. jeden z najpoważniejszych organów dziennikarstwa angielskiego, *Quarterly Review*, rozbiegał stosunki Banku Angielskiego. Dało do tego powód podwyższenie stopy skupu w tym Banku w październiku 1871 do 5%, podwyższenie które w tym stosunku od przesilenia w r. 1866 po raz pierwszy wydarzone, kazało się obawiać nowego wstrząśnienia kredytowego, do czego jednak nie przyszło. Artykuł kwartalnika angielskiego stawia dwa główne wnioski: żąda zniesienia podziału Banku Angielskiego na dwa oddziały, zaprowadzone jak wiadomo prawodawstwem Roberta Peela; żąda nadto, aby Bank zaprzestał ogłaszać stopę skupu wekslowego, gdy stopa przez Bank w ogłoszeniach oznaczona, stanowi tylko minimum ceny skupu w Banku praktykowanej, ale nie przeszkadza temu, że Bank równocześnie eskontuje po wyższej stopie, o ile to uznaje właściwem.



Widzimy ztąd, że praktyka banków warszawskich nie jest tak odmienną od praktyki banku angielskiego, jak to mniemał Ekonomista. Różnica polega nie na tém, że stopa skupu nie jest dla wszystkich jednostajna, bo to i w Banku Angielskim ma miejsce—ale na tém, że Bank Angielski ogłasza tylko minimum stopy po której eskontować zamierza, kiedy nasze banki działając jawnie i otwarcie, ogłaszają i minimum i maximum swojej jednoczesnej stopy kredytowej.

Pomylił się więc Ekonomista co do faktu; wziął za stałą i jednostajną stopę skupu, cyfrę oznaczającą tylko minimum tój stopy; lecz gorzej jeszcze myli się, w przywiedzionych artykułach, w swoim zapatrywaniu się na cały systemat bankowy. Dla Ekonomisty banki akcyjne są pewnym rodzajem Lombardów, które udzielając pożyczki, biorą na uwagę tylko wartość zastawu materialnego. Nie może być nic błędniejszego nad takie zapatrywanie się na sprawy bankowe. Wszyscy co dotąd o bankach pisali, każą bankom tak prywatnym jak akcyjnym, zwracać przy skupie wexłów uwagę nie tylko na odpowiedzialność osób na wexlu podpisanych, ale także i na rodzaj interesów z których wexle wynikły; każą mieć bacność nie tylko na wartość zastawu, ale na cały stan majątkowy tego, który zastaw przedstawia, bo dla banku nie jest pożądanym, aby musiał przystąpić do sprzedaży zastawu. Zastaw dla banku jest tylko dodatkowym zabezpieczeniem udzielonego przezeń kredytu, ale przy udzielaniu kredytu bank zawsze główną uwagę zwracać winien na obrót interesów swoich klientów.

Każdy kto zada sobie pracę odczytać chociażby Courcelle-Seneuil'a (*Traité des opérations de Banque*, wydanie drugie str. 371—378,) przekona się, że takie a nie inne są zasady przyjęte w całym świecie bankowym. Wie o nich niezawodnie Ekonomista, nie powinien więc ulegając chwilowemu zapędom stawać w sprzeczności z zasadami nauki; której u nas ma być przedstawicielem.

Z wielu względów które niepodobna nam w niniejszym artykule rozwijać, musimy się też zastrzedz, przeciw rozbiorowi działalności Towarzystwa Warszawskiego Ubezpieczeń od ognia po koniec 1871 r. (Ekonomista, maj str. 377—382). Jest to rozbiór w wysokim stopniu niezyczliwy. Ekonomista ob staje za wzajemnością w ubezpieczeniach, dając, zdaniem mojem, błędnie, Towarzystwom ubezpieczenia na tój zasadzie opartym wyższość nad Towarzystwami premiovemi. W rozbiorze działalności tych ostatnich powinien przecież zachować bezstronność, której w artykule jego majowym nie znaleźliśmy.

W ogóle, w uwagach Ekonomisty nad stanem naszych spółek ekonomicznych przebiega się brak praktycznej znajomości interesów, a jego wiedza teoretyczna nie jest ani dość obszerna, ani dość pewna, iżby brak ten, zawsze dotkliwy, zastąpić mogła.

Od artykułów praktycznego zakresu przechodząc do strony więcej teoretycznej, z przyjemnością zaznaczamy w dziale statystyki artykuł P. Jełowickiego pod napisem: Süssmilch i Quetelet w obec

statystyki, jako nauki indukcyjno-spostrzegawczej (zeszyty za kwiecień i czerwiec): Jest to jasna i gruntowna praca, dająca dobre wyobrażenie o przedmiocie. Jój autor z którego nazwiskiem na kartach dziennika pierwszy raz nam się spotkać przychodzi, zapowiada odznaczającego się na polu przez siebie obraném pracownika, jakich jak najwięcej Ekonomistom życzymy.

Recenzya dziełka D-ra Pilat, wydanego we Lwowie w roku 1871: O metodach zbierania dat do statystyki żniw (Ekonomista, marzec, str. 182—186) przez P. Załęskiego, dała powód Drowi Pilat do odpowiedzi (czerwiec str. 428—438) prawie trzy razy dłuższej od pisma, na które odpowiada. Nie umiemy jeszcze zność spokojnie publicznego sądu, który sami przecież, występując publicznie, o sobie wywołujemy. Każdy autor uważający się za pokrzywdzonego wygłoszonym o nim sądem, zamiast pozostawić rzecz na zdanie czytelników, występuje z odpowiedzią rozpoczynając ją zawsze na jeden sposób, to jest, uroczystém oświadczeniem, że polemikę uważa za bezowocną, za jałową, ale że w danym razie zachodzą szczególne powody, dla których wbrew swojej najszczerzej chęci, swojemu recenzentowi odpowiedzieć uważa za konieczne. Tak samo zaczyna i P. Pilat, który jak z jego odpowiedzi widać jest ukształconym i zdolnym statystykiem. Chętnie przyznałbym mu słuszność, ale dla czegoż pozbawia czytelników przyjemności ofiarowania mu palmy zwyciężki, z własnego popędu?

Z obszerniej pracy p. Załęskiego: Rys statystyki porównawczej m. Warszawy, rozpoczętej w Ekonomistom za r. 1871, dalszy ciąg i dokończenie części pierwszej, obejmującej statystykę zabudowań i ludności, mieszczą się w trzech pierwszych zeszytach roku bieżącego. Praca p. Załęskiego w swój całości usuwa się z pod naszego ocenienia. Możemy tylko uznać pracowitość autora i wraz z nim żałować, że dane na których się opiera, choć ze źródeł czerpane, nie zawsze są tak dokładne, iżby prawidłowość ich statystycznych elementów, ustanowić się dała. Mniemam także, że szacowna praca p. Załęskiego większy przyniosłaby pożytek, gdyby w niektórych punktach autor bliżej objaśnił czytelnikom rzeczywiste znaczenie podanych przez siebie cyfr, bez czego te do mylnych wniosków doprowadzić ich mogą. Tak np. w tablicy 10 (listopad 1871 str. 648) podaje p. Załęski cyfry, odnoszące się do ruchu budowlanego w Warszawie za lata 1855—1867. Dla wyrozumienia tych cyfr wypadało objaśnić, że w Warszawie domy murowane piętrowe, według przepisów policyi budowlanej, wykończają się w następnym roku po rozpoczęciu ich budowy. U p. Załęskiego rok 1866 przedstawia najwyższą cyfrę nowowystawionych domów murowanych frontowych (107). Mógłby kto ztąd wnosić, że w roku tym ruch budowlany doszedł w Warszawie do swego maximum; tymczasem maximum rzeczywiste przypada na rok 1865, a w roku 1866, po większej części wykończano tylko rozpoczęte w roku poprzednim budowle. Ruch budowlany warszawski, ile z własnej obserwacyi dostrzedz mogliśmy, dość mały od roku 1831 do końca 1854, wzmo-

cniał się w roku 1855 i trwał przez lat jedenaście do końca 1865 roku, w którym doszedł swego maximum. Dwa lata dalsze 1866 i 1867 okazały znaczące jego osłabienie, cztery następne 1868—71 prawie zupełny upadek. Ruch budowlany ożywił się nieco w Warszawie dopiero w roku bieżącym, czego skazówką jest podwyższona cena a czasem i brak materiałów budowlanych.

Widzimy na tym przykładzie do jak niepewnych, a czasem mylnych wniosków doprowadzić mogą cyfry chociaż dokładne, ale w pewnym szczegółowym celu zbierane. Ażeby ocenić ruch budowlany miasta, pewniejszą może skazówką niż ilość wystawionych domów, bardzo różnyh co do swoich rozmiarów, byłaby ilość użytej do budowy cegły.

Do statystyki w części należy także artykuł P. Fudakowskiego o produkcji żelaza w byłych skarbowych zakładach w dolinie rzeki Kamionnej, rozpoczęty w ostatnim zeszycie rozbieranego przez nas półroczu *Ekonomisty*, a dokończony w zeszycie następnym. P. Fudakowski zwiedził osobiście zakłady, o których pisze w roku 1859. Jego artykuł jest na sprawdzonych przez niego faktach oparty, napisany jędrnie i logicznie. O technicznej stronie przedmiotu sąd należy do znawców.

Praca P. Fudakowskiego stanowi przejście od statystyki do nauki ekonomii, która nadając tytuł dziennikowi, na tym zaszczycie w pierwszym półroczu r. b. po większej części poprzestać musiała. Oprócz paru artykułów mniejszego znaczenia i rozmiaru, zaznaczymy jako należące do tego działu, w przeglądzie bibliograficznym ocenienie studyów nad podatkiem dochodowym p. Bilińskiego przez J. B. Oczapowskiego (styczeń i maj) i artykuł p. Józefa Kirsztota p. r: kredyt rolniczy ze stanowiska prawa obowiązującego (styczeń).

Czytelnicy Biblioteki nie żądają zapewne odemnie, iżbym na podstawie polecającego listu Dra. Oczapowskiego, przedstawiał im po raz wtóry dzieło, z którym już w roku zeszłym poznałbym ich miałem sposobność. Trzymając się zasady: non bis in idem, zastanowię się bliżej tylko nad rozprawą p. Kirsztota; wprzód jednak muszę załatwić się z redakcją *Ekonomisty*, co do całości działu ekonomicznego w tém piśmie.

Nie jest wygórowanem żądanie, iżby redakcyja pisma specjalnego powiadamiała swoich czytelników o ruchu umysłowym i literackim, jaki się w zakresie przez nią obranym pojawia nie tylko u nas, gdzie często ruchu niema żadnego, ale i za granicą. Obowiązek ten ciąży redakcyją zwłaszcza w chwilach kiedy nowa jaka dążność w danej nauce przełom sobie czyni; kiedy dążność taka znajduje nie już pojedynczych zwolenników, ale całe grono przedstawicieli, czynnych i ruchliwych, którzy pismami licznymi i nieraz znacznego rozgłosu wpływ swój rozszerzyć usiłują. Taka właśnie chwila nadeszła dla nauki ekonomii w Niemczech, gdzie grono młodych pracowników wypowiedziało wojnę szkole wolno-handlowej, a w części i całemu kierunkowi ekonomii politycznej od czasów

Adama Smitha. Nowa szkoła przemawia za więcej niż dotąd natężoną działalnością rządów na polu stosunków ekonomicznych, za co jej zwolennicy od przeciwników uzyskali przewisko katedrowych socjalistów (Catheder Socialisten).

Pisma czasowe polityczne zwróciły na ten kierunek naukowy swoją uwagę. Gazeta Augsburska (*Allgemeine Zeitung*) zamieściła cały szereg artykułów (od 2 kwietnia r. b.) pod napisem: *Die Krisis der deutschen Volkswirtschaftslehre*. U nas nawet, jedno z pism codziennych (Gazeta Warszawska) w miesiącu wrześniu poświęciła temu przedmiotowi dość obszerną wzmiankę. W październiku przyszło do zebrania zwolenników nowej szkoły na kongresie, odbytym w Eisenach, w którym przyjęli udział i ludzie uznanej powagi naukowej, jak Roscher, Gneist i Engel.

Cóż o tym ruchu na polu ekonomii czytelnikom swoim donosi nasz *Ekonomista*? *Ekonomista*, pismo specjalne, milczy czy drzemie. Szanujmy ten spoczynek! Nie sądząc iżby słowa moje zakłócić go mogły, pozwolę sobie wyliczyć w porządku abecadlowym niektóre prace zwolenników nowej szkoły i inne pokrewnego im dążenia. Może po wypoczynku, pokrzepiony na siłach *Ekonomista* uwzględnić je zechce.

1. Brentano. *Die Arbeitsgilden der Gegenwart. Die englischen Gewerbevereine*. Dwa tomy Lipsk. Duncker i Humblot, 1871 roku.

2. Cohn. *Zeitgeschaeft und Differenzgeschaeft*. Jena Maucke.

3. Held. *Die laendlichen Darlehenskassen in der Rhein Provinz*.

4. Plener: *Die englische Fabrikgesetzgebung*. Wiedeń 1871 rok.

5. Rodbertus-Jagetzow. *Zur Erklärung und Abhilfe der heutigen Kreditnoth des Grundbesitzes*. Jena. Maucke. Dwa tomy 1869 rok.

6. Schäffle. *Capitalismus und Socialismus*. Tibinga. 1870.

7. Scheel. *Die Theorie der socialen Frage*. Jena 1871 r.

8. Schmoller. *Zur Geschichte der deutschen Kleingewerbe*. Halla 1870 rok.

9. Schönberg. *Zur wirtschaftlichen Bedeutung des deutschen Zunftwesens im Mittelalter*. Berlin 1868 rok.

10. Tenze. *Arbeitsaemter. Eine Aufgabe des deutschen Reichs*. Berlin 1871 rok.

11. Wagner (Adolph) *Rede ueber die sociale Frage*. Berlin 1872 rok.

12. *Zur Geschichte der englischen Arbeiterbewegung im Jahre 1871*. Lipsk 1872 rok.

Na zakończenie kilka słów o p. Kirszrocie. Treść jego artykułu jest następująca:

Pan Kirszrot twierdzi, że rolnictwo w kraju naszym jako liczące najwięcej pracowników i najwięcej wytwarzające, znaleźć powinno w instytucjach kredytowych silniejszą pomoc niż inne gałę-

zie pracy; że nasze instytucje kredytowe najmniej rolnictwo uwzględniają;

Że w ostatnich czasach starano się wprowadzić temu zaradzić, lecz chcąc rozszerzyć kredyt rolniczy, zwrócono więcej uwagę na osoby niż na rzeczy, stosując do rolników prawo handlowe i przy-  
mus osobisty;

Że od tych środków wpływu na zwiększenie kredytu rolnicze-  
go oczekiwać nie można;

Że kredyt rolniczy winien głównie zwracać uwagę nie na oso-  
bę, lecz na rzecz, to jest na zastaw;

Że wprowadzić ziemia jest już powszechnie pożyczkami To-  
warzystwa Kredytowego obciążona, że jednak pozostają jako pod-  
stawa kredytu rolniczego znakomite wartości ruchome, które w ca-  
łości oddane przez rolnictwo w zastaw byćby mogły. Jako takie  
wartości p. Kirszrot wskazuje, inwentarz żywy i martwy, zboże na  
pniu, cięcia w lasach i t. p.;

Że zastosowaniu kredytu do tych wartości stają na przeszkod-  
zie przepisy naszego prawodawstwa, uznające za nieodłączne od nie-  
ruchomości wiele przedmiotów z natury swojej ruchomych, niedo-  
puszczające zastawu bez oddania takowego w obce ręce, co w rol-  
nictwie często jest niemożliwym; żądające wreszcie dla zastawu  
aktów notaryalnych zbyt kosztownych i tamujących szybki obrót  
działań kredytowych.

Z tych względów autor projektuje odpowiednio wyłożonym  
przez siebie widokom zmiany w naszym prawodawstwie.

Nie na wszystkie zdania pana Kirszrota zgodzić się możemy.  
Uznając słuszność niektórych jego uwag, w ogóle nie podzielamy  
jego poglądu.

W nowszych czasach wiele łożono usiłowań dla rozwinięcia  
kredytu rolniczego; dczegóż jednak te usiłowania nie sprawiły,  
iżby kredyt rolniczy stanął na równi z kredytem jakiego używają  
przemysł i handel? Prąd kredytowy ogarnia wszystkie inne ogni-  
wa produkcji społecznej; dczegóż w swoim przebiegu przerywa  
się przy produkcji rolnej?

Tę kwestyą objaśniają nam poznane już prawa innych prą-  
dów w naturze istniejących.

Prądy do swego przebiegu potrzebują dobrych przewodników,  
to jest takich, któreby prąd nie tylko przyjmowały, ale i oddawały.

Takim przewodnikiem dla prądu kredytowego rolnictwo do-  
tąd nie było. Rolnictwo potrzebuje kredytu, dopomina się o niego,  
lecz pochłaniając go w znacznych massach, nie udziela go dalej.

Wynika to z przyjętego trybu nie tyle produkcji rolnej, ile  
obrotu pldów tej produkcji.

Fabrykanti kupiec potrzebują i używają kredytu. Ale fabry-  
kant i kupiec czyniąc w znacznej części swoje zakupy na kredyt,  
odpowiednio temu sprzedają też w znacznej części swój wyrób lub  
towar na kredyt. Rolnik sprzedaje prawie wyłącznie tylko na go-  
towiznę. Normalny obrót jego interesów nie wytwarza żadnych pa-

piérów kredytowych, których skup przyzna to zapewne p. Kirszrot, pożądanym jest dla instytucji kredytowych przedmiotem operacji, niż zabezpieczenie na bydłe i zbożu na pniu.

Ażeby rolnictwo zajęło miejsce w systemacie kredytowym na równi z przemysłem i handlem, na to potrzeba zmienić sposób sprzedaży jego płodów. Dopóki rolnictwo sprzedawać będzie swoje płody tylko na gotowiznę, samo wyłącza się od ogólnego ruchu kredytowego. Żadne prawodawcze środki nie zaradzą temu, co wynika z natury rzeczy.

W nowszych czasach rolnictwo nasze, lubo powoli i częściowo, zaczęło wchodzić do ogólnego systematu kredytowego. Rolnicy powierają już czasem swoje płody w obce ręce dla komisowej sprzedaży. Nawzajem domy komisowe zaczęły udzielać im kredytu.

Zaczęło za kontraktami uprawiać buraki, które dopiero po ukończonem ich odstawieniu, a w części później nawet płacone bywają, bezpośrednio zaś są oddawane na kredyt; poszły za tём zaliczenia na buraki, udzielane rolnictwu przez cukrownie, zaliczenia znaczne, bo dochodzące jak mi wiadomo piętnastu rubli na morg dwustopretowy, czyli 675 rubli na włókę. Jest to więcéj niż przed niedawnym czasem wynosiła przecięciowa wartość włóki w Królestwie, więcéj niż dziś jeszcze pożyczka na włókę Towarzystwo Kredytowe.

Skup i zaliczenia są podstawami dzisiejszego systematu kredytowego, w którym czysta pożyczka podrzędna tylko gra rolę. P. Kirszrot mówiąc o kredycie, ma na względzie głównie tylko pożyczki.

Zgadzam się z nim na to, co mówi o zastosowaniu procedury handlowej i przymusu osobistego do kredytu rolniczego; lecz czyż p. Kirszrot, który nie spodziewa się od tych środków wpływu na zwiększenie kredytu rolniczego, jest z sobą w zgodzie, kiedy ten kredyt oddaje pod opiekę kary kryminalnej za sprzedaż i usunięcie zastawu (str. 10)? Z dwojga złego lepsze już więzienie cywilne niż karne.

Propozycje p. Kirszrota uznania za ruchomość tego, co prawo unieruchomiło, zmiany przepisów o zastawie, mogłyby w pewnej ale dość ograniczonej mierze zasłużyć na uwzględnienie. Nie należy zapominać ani o prawach dzisiejszych wierzyteli hipotecznych, ani o ciosie jakimby kredyt hipoteczny dotknięty został, gdybyśmy za przedmiot jego gołą tylko ziemię i co najwięcej ściany i dachy budynków uznać chcieli. Przytem w prawodawstwie zaciéra się coraz więcéj różnica między nieruchomością i ruchomością, różnica tak jeszcze wybitna w kodeksie Napoleona. Wszystko to wskazuje na inną drogę niż zalecana przez autora artykułu, który kładąc nacisk na zabezpieczenie rzeczowe, na zastaw ruchomy, usuwając na drugi plan wzgląd właściwie kredytowy, nie poszedł w ślad za obecnym rozwojem systematu kredytowego.

*Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. (Z wizerunkiem i życiorysem poety). Tom I poezye oryginalne i naśladowania. Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego. (Dr. W Łebński) 1872 r. (w 8-ce str. VII, 400).*

Pięćdziesiąty siódmy rok się skończył, kiedy w *Pamiętniku Warszawskim*, pod redakcją F. Bentkowskiego 1815 r. po raz pierwszy ukazała się skromna cyfra *K. Br.* pod bajeczką p. n. *Koguty*, i w tymże roku wiersz liryczny: *Żal matki* (1). Były to pierwsze utwory poetyczne Kazimierza Brodzińskiego, z którymi wystąpił publicznie, a był wtedy professorem literatury polskiej w wyższych klassach Szkoły wojewódzkiej księży Pijarów na *Długiej ulicy* w Warszawie. Odtąd stałym będąc współpracownikiem tego pisma, w niem drukował tak oryginalne poezye jak tłumaczone z Ossyana, z Szyllera, z pieśni słowiańskich i litewskich. Tu okazał się pod napisem *powieści, Wiesław*, później przez samego poetę nazwany *Sielanką krakowską*; tu ów rzewny a pełen smutku wiersz: *Żal za językiem polskim*, gdy francuzczyzna w domowym wychowaniu macierzystą wypędzała mowę od ognisk rodzinnych.

W siedem lat później wydał w roku 1821 we dwóch tomikach zbiór poetycznych utworów, którym dał tytuł *Pisma* i ten napis J. I. Kraszewski w nowém wydaniu zachował. W roku 1830 zaczął drukować swoje rozprawy estetyczne, jak zarazem krytyczne rozbiory dawnych pisarzy polskich, ale po wydaniu pierwszego tomu, dalszego wydawnictwa zaniechał. Przez pięć lat ostatnich życia pracował ciągle, objawszysy główną redakcyę „*Magazynu powszechnego*“ i wtedy to napisał wiersz:

#### DO MEGO STOLIKA.

„Gdy rolników z pługami wywołuje zorze,  
Ja zielony stoliku, ja przy tobie orzę.  
Tyś mi jeden dziedzictwo: staniesz mi za niwę,  
Gdzie działkom chleb obmyślam, lub imie poczciwe:

(1) Najpierwsze utwory poetyczne Kazimierza Brodzińskiego, jako piętnastoletniego młodzieńca, mamy już drukowane w roku 1807. Brat jego starszy Andrzej (tłumacz *Dziewicy Orleańskiej* Szyllera, w którego przekładzie przedstawiano ten dramat na teatrze warszawskim) wydał w wymienionym roku: „*Zabawki wierszem*.“ (Kraków 1807 w drukarni Jana Maja. W 8-ce str. 178). W nich znajdujemy nagrobki, wierszyk i bajkę, pióra Kazimierza. W dodanym przypisku jakby w wieszczem przeoczeniu

Tydzień cały najemnik, ale w dzień świąteczny,  
 W wieczność myślą się puszczam, nad ten czas konieczny!  
 Tu dworskiej chorągiewki wyśmiewam odmienne,  
 Niestaje możnych berła i klasyków wieńce,  
 A w przyspieszonym świata zmiennego obrocie,  
 Cichój prawdzie hołduję i starój prostocie.“

Mozolną była nadzwyczaj ta redakcyja co tydzień wychodzącego pisma, które wypełniać musiał własnymi pracami i utrzymywać korektę bezpłatnie, odrywając go od właściwego jego powołania. Sam też o niej w liście do Łukasza Gołębiowskiego przyjaciela swego pisze:

„Różne moje projekta oddalenia się z Warszawy spełzły na niczym. Mam teraz zajęcie mało odpowiednie moim ulubionym pracom, kosztujące wiele zmudy i czasu, ale tak je uważam jak wy ziemianie wasze pistoryusze, które choć śmierdzą, przecież więcej przynoszą niż wonne ogrody. Podjąłem się redakcyi *Magazynu powszechnego*: przedsiębiorca dobrze na nim wychodzi, a mnie płaci od arkusza po cenie umówionej i to mię stawia w możności zostania w Warszawie. Radbym zacy przyjacielu, żebyś widział mniemanego śpiewaka, jak on się po całych dniach mozoli nad artykułami o mechanice, o kuglarzach, o zoologii, jak was rolników naucza znać się szczegółowo na kukurydzy, na *główni* w pszenicy, jak opisuje skład wozów parowych, uczy obchodzić się z zegarkami, jak nawet pisze o astronomii. Uzbroiłem się w cierpliwość i mówię sobie: „to moja dzierzawka.“ Tak pisał na początku 1835 r., który był ostatnim jego życia. Licha to była dzierzawka, bo po obliczeniu roczném wynosiła za ledwie 3,000 złp. ówczesnych, chociaż wydawca liczył z górą 3,000 prenumeratorów. Rękopisma *prelekeyi* na uniwersytecie niewaunych, leżały już pyłem okryte, z nowych utworów mało co przybywało. Do ostatnich prac Brodzińskiego przed ostatnim wyjazdem za granicę należą dwie rozprawy: „*O czei Boga-rodzicy*“ i „*O szlachcie polskiej*.“

Złamany fizycznie, bolejący duszą, osmutniał wiele i te dwa cierpienia wybijały na jego obliczu i w zamgloném spojrzeniu. Opuścił Warszawę dla ratowania zdrowia i znalazł grób na obcej ziemi.

W tym czasie rękopisma Brodzińskiego dziwne spotykały koleje: z rąk do rąk przechodząc, wreszcie zniknęły bez śladu. Żądania równocześnie zupełnego wydania pism zgłaszało poety, z każdym rokiem wzrastały: dawni jego uczniowie, teraz składający poważne grono obywateli i urzędników, podnosili je nieustannie, bo w druku

mówi o nim: „Brat mój zawsze pamiętać musi, że to przecież ja, zasłałem pierwszy tę niwę, na której może dla niego laury zakwitnąć.“ Opiekując się bowiem Kazimierzem, on go zachęcał do pióra, pracy umysłowej i zaszezepił w nim to gorące zamiłowanie do literatury, które przechował do ostatniej chwili życia.



istniały tylko dwa tomiki z 1821 r. poezyi i jeden tom prozy z 1830 roku.

Księgarz i nakładca wileński Teofil Glücksberg podjął się tego wydawnictwa, a D. C. Chodźko przyjął jego redakcyą. Od roku 1842 do 1844 wydrukował dziesięć tomików p. n. „*Dziela Kazimierza Brodzińskiego, wydanie zupełne i pomnożone pismami dotąd drukiem nieogłoszonymi.*“

Pomimo wygórowanej ceny chwymano je skwapliwie, ale jakżeż smutne rozczarowanie nastąpiło. Zamiast mieć *wydanie zupełne*, ujrzano z największą niedbałością przedruki tak poezyi, jak i prozy, z pomienionych wyżej edycyi które sam Brodziński drukował i to co ogłosił w *Pamiętniku Warszawskim*. Nie pomieszczono tu ani jednej prelekcyi, a w utworach poetycznych które umiano napamięć, znaleziono błędy grube, opuszczenia i poprzekęcane ustępy.

Wydawca dobry zrobił interes i na tak lichém wydaniu, nie miał zresztą innego celu.

Ale był w gronie naszym mąż, któremu piśmiennictwo nasze wiele zawdzięcza, osobisty przyjaciel i wielbiciel Brodzińskiego, któremu leżało na sercu to zapomnienie znakomitego pisarza. Wziął więc sobie za cel ostatnich lat życia, odszukania rękopismów jego zatraconych i przygotowania *prawdźiwie zupełnego* wydania wszystkich pism Brodzińskiego.

Zabrał się do spełnienia tego zamiaru z niezwykłą energią; zacny starzec, rzeźwił radością gdy nową jaką pozyskał zdobycz, a z jakimże ożywieniem, z jakąż pociechą opowiadał nam, że po długich staraniach wreszcie odnalazł wszystkie własnoręczne rękopisma Brodzińskiego. Ale w jakimże nieładzie: rzucane w kufer bezładnie, poszarpane, stanowiły stos papierów w którym ani jeden utwór w całości nie pozostał.

F. S. Dmochowski niezrażony niczém, zabrał się do ich uporządkowania z benedyktyńską cierpliwością. Na szczęście znalazł pomoc nie małą w niesłychanej swój pamięci, która była jego osobliwym darem. Znał każdą prelekcję Brodzińskiego i za odczytaniem wstępu lub urywku, przypominał sobie całość. Stosunki z poetą blizkie ułatwiały to zadanie. Po dwóch latach już ład w nich ustalił, porównał z wydrukowanemi i przygotował do wydania. Pomimo to, umiejętnej i troskliwej potrzeba było ręki i pracy, ażeby zebrany już materiał oddać pod prasę drukarską. Podjął się tego J. I. Kraszewski.

F. S. Dmochowski napisał życiorys Brodzińskiego, który ogłosiło nasze pismo.

„Przesłał on nam (mówi we wstępie J. I. Kraszewski) tę biografiją przy liście swym 15 kwietnia 1871 r. wskazując co uczynił, a coby jeszcze należało zrobić dla wydania lepszego pism Brodzińskiego, odpowiedniejszego zasłudze pisarza a wymaganiom ogółu. Notę tę dopełnioną, przygotowawczy materiał zebrany przez ś. p. Dmochowskiego, mamy teraz przed sobą. Oprócz tego bardzo cen-

ny egzemplarz z dopiskami i uzupełnieniami p. Leonarda Wasiu-tyńskiego, wielką nam też był pomocą. Dwa te materyały, dołączywszy do nich pierwsze wydania, pisma peryodyczne i osobne odbicia, cały nasz zasób do nowój edycyi stanowią. Uporządkowanie tych dzieł samo już nie małą przedstawia trudność. Systematycznie je rozdzielić prawie niepodobna, gdyż częstokroć przyszłoby rozłączać, co się wzajem objaśnia i razem iść powinno; chronologicznie też szczególniej poezyj ułożyć nie można, bo nie wszystkie noszą pewną datę i cechę pochodzenia. Szczęśliwsi wydawcy poezyi Schillera mogli je na peryody tworzenia rozdzielić, my zaledwie niektóre wcześniejsze wydobyte z zapomnienia przez Dmochowskiego, do osobnego działu i ostatniego tomu mogliśmy przekazać. Reszta idzie tu w pewnym łańdzu, powiązana analogią treści i formy. Inaczej postąpić nie mogliśmy. Przekłady i naśladowania zebrane też osobno, chociaż przy oryginalnych poezjach zostawiliśmy wszystko co przetworzonóm i duchem poety na jego własność obróconóm zostało.

„Dwadzieścia kilka lat, przeszło ćwierć wieku przeciąga się niezmordowana praca Brodzińskiego, która jego samego przetwarza i poezye dawne z lat 1812—1815 do ostatnich z 1830—1835 niepodobnemi czyni. Olbrzymi ten trud niezmordowanie kształcącego się talentu, zmienia prawie jego naturę, podnosi, wypełnia i pokazuje nam na Brodzińskim jeden z najciekawszych psychologicznych fenomenów, jak rośnie człowiek duchem i wolą silną.

„Z tego jednak powodu w zbiorze pism pozostałych z lat dwudziestu kilku, wydawca ma niezmierną trudność, którą ocenić należy: musi on wymagania historyi pogodzić z poszanowaniem dla pisarza; zachować co tylko można, a odjąć co sam autor byłby chętnie poświęcił. Z tego prawa wszakże jak najmniej korzystaliśmy, zachowując nietylko co jakiegokolwiek znaczenie, choćby pamiątkowe miało, lecz starając się o poprawność tekstu i dołączając jego warianty, bo i te częstokroć są nauczające. Czy się nam to udało wykonać tak, abyśmy wszystkim słusznym wymaganiem zadość uczynili, sądzić o tém nie możemy. Spełniliśmy przyjęty obowiązek wedle sił i możności.“

Wymagania jakie mieć mogliśmy, o ile sądzić możemy z pierwszego tomu, w zupełności w tej edycyi Brodzińskiego zaspokojone zostały. Sumiennosc i staranność wybija na każdej niemal stronnicy, a dodane warianty w wielu miejscach dają nam dowód z jaką troskliwością zgąsky poeta dbał o formę, jak pilnym był krytykiem sam dla siebie, ażeby każda myśl była przybraną nietylko w odpowiednią szatę *słowa*, ale w powabną artystyczną.

Co do chronologii jak powstawały przynajmniej ważniejsze utwory Brodzińskiego, mamy wskazówkę nieomylną, przeglądając XXI tomów *Pamiętnika Warszawskiego* od roku 1815—1821. W nim bowiem mamy pewne daty kiedy były pisane, albowiem zaraz redaktor F. Bentkowski drukował, zbierając bezpłatne zasoby tak prozy jak poezyi do każdego zeszytu swego pisma. Tak mamy rok

kiedy powstał *Wiesław* i czterdzieści pięć utworów poetycznych, oraz pięciu rozpraw estetycznych, pomiędzy którymi *O romantyczności i klasycyzacji*, i *Listy o literaturze polskiej*, zajmują kilka zeszytów *Pamiętnika Warszawskiego*. Po roku 1832 lubo wiele pisał, mało drukował i pod utworami tymi podpisywał się *Kazimierz z Królówki* od swój wioski rodzinnej w obwodzie bocheńskim. Mieszczą się one w *noworocznikach* jakie wówczas wśród głuchej ciszy literackiej zaczynały się pojawiać.

Pod względem typograficznym edycja pomimo swój tanioci (porównana z tandetową wileńską) należy do rzadkich zjawisk wydawnictwa polskich książek. Piękny papier, o jaki daremne u nas byłyby starania w naszych fabrykach, druk nowy i wyraźny, odbicie czyste, marginesy szerokie, korekta nadwyzczaj staranna, ścisłość sumienna. Wszystko są to warunki konieczne, ażeby wydanie odpowiadało życzeniom ogółu i te warunki we wszystkich warunkach spełnione widzimy.

Teraz przychodzi pod sąd młodego pokolenia ten poeta w całym słowa tego znaczeniu i znakomity estetyk, a przytém mąż nieposzlakowanej prawości i najszlachetniejszego charakteru. Z tą zasługą, z tym talentem i pracą ćwierć wiekową, staje dopomnąć się o właściwe sobie stanowisko w historii literatury krajowej, jako pierwszy reprezentant naszego okresu, a które mu niektórzy mniej baczniz zaprzeczali. Nieujmując w niczém praw należnych bezwątpienia najpotężniejszemu geniuszowi, jakim jest Mickiewicz — nie możemy pomijać Kazimierza Brodzińskiego. Kto wie, czyby śpiewak *Grażyny i Dziadów* był tak od razu zrozumiany, gdyby umysły do tój wielkiej przemiany w pojęciach prawdziwej poezyi, nie był przygotował autor *Wiesława*. Ztąd tóż bez żadnych porównań co do talentu, jako prawdziwych przedstawicieli ostatniego okresu postawiliśmy Brodzińskiego i Mickiewicza i stawiać zawsze myślimy. Jeden z pierwszych romantyków J. B. Zaleski już mu oddał hołd należny, bo niewahał się wyrzec, że do roku 1830 jeden tylko Brodziński był prawdziwym wieszczem narodowym.

Wykołysany pieśnią ludową, zwolennik prostoty szczerzej i kochający zawód rolniczy, lubował się szczególnie w Janie Kochanowskim. O nim zawsze mówił z wielkím uwielbieniem, na nim język swój poetyczny wyrabiał, stapał w jego ślady. Umiął go prawie napamięć i łacińskie *Elegie* z upodobaniem tłumaczył, a na czele tego przekładu dał nam najwyborniejszy życiorys wielkiego poety XVI stulecia. Dla tego we *Fraszkach* swych pisze:

### Do Jana Kochanowskiego.

Mnie Janie z Czarnolasu ty ująłeś duszę!  
Tyś mi jako do cichój przyjaźni stworzony,  
Nie okażny, ztąd mało od świata ceniony,

Nikt téż nie wie, co w tobie czyta serce moje,  
I ja z tobą przestając, o wielkość nie stoję.

To zespolenie ducha pieśni ludowej z pieśniami Jana Kochanowskiego, jakże cudnie odbija w téj fraszce.

### DO PTASZKÓW.

Was natura, o ptaszki! kołysze z gniazdamí,  
Was dziwnie pisanemi odziała piórkami;  
Was pieśni wyuczyła, któremi i lasy  
Samotne ożywiacie i rolnika wczasy,  
Dla was z gór rozsyłała chłodzące strumienie,  
Wam opatrzna z siejącym knieciem wyżywienie;  
Was jak aniołków skrzydły obdarza lekkimi,  
Dała być postaćiami od nieba do ziemi,  
Ze drogą niedosięzną nucąc pieśń swobody,  
Przepaści przebywacie i zamknięte grody!  
Tak żyli i Słowianie, szczęśliwe ich dzieci,  
Wierząc nawet, że dusza gdy z ciała uleci,  
Ptasie odziewie piórka, na gałązce siedzie,  
I nad grobem pieśń dawną przyśpiewywać będzie!

Mamy tu w tym rodzaju obrazów z natury siłą wielką natchnione *fraszki*. Dość przytoczyć: „*Do chmury*.”

Rosą chmuro brzemienna, spiesz na wiejskie siola,  
Rzeźwij zboża pożywne i zdrowiące zioła,  
Daj świadectwo, że niebo wspiera znojne prace,  
Ale grzmotami groźne nawiedzaj pałace:  
A którym ranne słońce nie wspomina Boga,  
Niech ich grom twój obudzi, przypomni go trwoga!

Przy téj prostocie nieraz szczególnie naiwne znajdujemy *fraszki*, jak:

### Z A M I A N A.

Ty mi dałeś serce twoje,  
Abyś moje wziął w zamianę,  
Teraz chcesz je mieć oddane;  
Otóż daję ci oboje,  
Bo już nie wiem które moje!

Poważnie spoglądając na świat, jakże wielką prawdę wypowiedział w *Ewangeli*!

Chrystus wam ziarna życia rozesał po świecie,  
Ale od wieków dotąd łupiny gryziecie!

albo w *Dwóch boleściach*.

Smutno nocie, gdy zbrodnia umie działać sztucznie,  
Gdy jęć pała ofiary, poklaskują hucznie;  
Smutno jest, gdy niewolno zapłakać w cierpieniu,  
I tój ulgi wszelkiemu zazdrościć stworzeniu,  
Ale najsmutniej w sercu taić prawdę świętą,  
Lub kiedy się objawia, widzieć źle przyjętą.

W najsmutniejszych chwilach życia, napisał z goryczą w piersiach:

### DO PŁACZĄCÉJ.

Gdym i ja był szczęśliwszy, łatwo łzy się lało,  
Teraz ich i na spiekę cierpień nie zostało;  
Śmiechem je leczyć muszę, czyliż ten szczęśliwszy  
Kto się śmieje rozumem, łzy serca straciwszy?

Wierny tradycyi starój, co jak pas złocisty przewijała się przez warstwy wiekowe, we *Fraszkach* najlepiej się sam maluje. W nich to spowiedź jego myśli i uczuć serca. Toż samo mamy i we *fraszkach* Jana Kochanowskiego.

Brodziński jak poważną naukową krytykę cenił, tak pogardzał podjazdową uzbrojoną w drzewce szyderstwa. Cichy i skromny, nie uniknął tój ostatniej w czasach zawziętej walki klasyków z romantykami, gdy w roku 1830 wydał tom pierwszy prac swych estetycznych i rozpraw wyjaśniających tak pisarzy, jak i okresy literatury polskiej. Nie odpowiedział żadném na nje słowem, ale przerwał wydawnictwo dalszych tomów, przez co o mało nie straciliśmy większej połowy prac jego! We *fraszkach* tylko napisał: *Do krytyków*.

Do roboty niéma was,  
Do krytyki wszyscy wczas!

A był w zupełném prawie do tych słów wyrzeczenia! Życie Kazimierza Brodzińskiego i jego utwory, które się z sobą tak ściśle łączą, wymagałyby obszernych studyów nie bez pożytku dla ogółu społeczeństwa naszego. Bogaty to materyał i pouczający.

Sąd o talencie i znaczeniu Brodzińskiego z wyjściem następnych tomów będzie się wyrabiać i utrwałać, młode pokolenie nieznające prac jego, będzie miało sposobność ocenić wartość. Przyjęcie pierwszego tomu tak przyjazne przez całą naszą prasę, jest już rękojmnią, że zasługi tego poety i estetyka doczekają się należne-

go uznania, tém więcej, gdy tyle cech odrębnych odróżnia go od wszystkich pisarzy współczesnych.

Staje on przed oczyma naszymi zawsze w téj skromnej postaci, z tém rzewnym obliczem i anielskiém spojrzeniem, jakie natura sama drobną twarz jego ubarwiła i czeka braterskiego sądu, za swe życie bez skazy i wierną służbę cnocie i prawdzie!

Jeden z jego uczniów, już zmarły *Eustachy Marylski* wystawił mu pomnik dłuta Władysława Oleszczyńskiego w kościele Opieki Ś-go Józefa na Krakowskim-przedmieściu, drugi który był zarazem i jego przyjacielem, zebrał mozolną pracą rękopisma miane za zatracone i ostatnie lata sędziwej starości temu zadaniu poświęcił. J. I. Kraszewski przyłożył starannę rękę do wydania zupełnego i krytycznego zbioru pism pozostałych, godziłoby się ażeby liczni jeszcze żyjący uczniowie Brodzińskiego i wielbicieli, pomyśleli o pogrzebaniu prochów jego w ziemi rodzinnej którą tak miłował. Pomnik na cmentarzu katolickim w Dreźnie coraz niszczeje, znaleźć łatwo zakątek w *Powązkach*, owym wielkim grodzie zmarłych, gdzie złożone i uczczoneby zostały.

Lubił kwiaty a najwięcej *konwalie*; znajdują się chętni i gotowi, którzyby z każdą wiosną skromny grobowiec zasłali ich wiązanekami na cześć i wdzięczną pamięć śpiewaka *Wisława*.

D. 18 października 1872. r.

K. Wł. Wójcicki.

---

*Famiętniki Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1871/2. Ktok trzeci (Warszawa 1872, 8ka większa, str. 199).*

W majowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej z roku bieżącego, znajduje się wiadomość o książkach wydawanych przez Instytut głuchoniemych i ociemniałych; zwrócono tam większą uwagę na *Pamiętnik*, który Instytut w miejsce dorocznych programów egzaminu zaczął wydawać. W dopełnieniu téj wiadomości zamierzamy słów kilka powiedzieć o świeżo wyszłym *trzecim tomie* tegoż Pamiętnika. Specyalne tego rodzaju publikacje godne są ze wszelkich miar uwagi i uznania. Pamiętnik Warszawskiego Instytutu, będąc polem na którym rozwija się tak nowa nieznaną przez ogół metoda nauczania głuchoniemych i ociemniałych, płodna w następstwa dla pedagogiki w ogóle; obok bardzo wielu korzystnych względów za nim przemawiających, świadczy o wyrobieniu i siłach odpowiedzialnych zakładu, podnosi tudzież jego zasługę w obec ogółu, specyjalistów i podobnych zakładów zagranicznych.

Trzęś Pamiętnika na dwie da się rozdzielić części:

Pierwsza zawiera w sobie rzeczy ogólniejszego interesu, traktująca bądź sprawy głuchoniemych i ociemniałych w odniesieniu do ogółu, bądź sposoby ich nauczania.

Druga zawiera rzeczy wyłącznie dotyczące Instytutu warszawskiego, jakimi są rozmaite ulepszenia w tymże zakładzie, jego kronika, fundusze, sprawdzania rachunkowe, legata, program wykładu nauk, sztuk i rzemioł, wykazy statystyczne i t. p.

Na wstępie *części pierwszej* spotykamy *Historję Instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych przez Jana Fapłonińskiego*. Dyrektor zamierzył całkowitą historją Instytutu opracować na podstawie dokumentów urzędowych, które jako przypisy w całości drukuje. Każdy łatwo pojmuje doniosłość takiej pracy. W tym Pamiętniku znajduje się dopiero *okres przygotowawczy*, kończący się założeniem Instytutu w Warszawie 23 października 1817 roku (1). Historia wzrostu i rozwoju tej Instytucji aż do dni dzisiejszych, pociągnie się zapewne przez lat kilka, a wartość jej podniosą jeszcze dokumenta, których dotąd, na tak krótki stosunkowo okres czasu (okres przygotowawczy) jest już dziesięć.

Daliej spotykamy opis: szkoły głuchoniemych i Instytutu ociemniałych w Petersburgu przez tegoż. Odsyłając zajmujących się tą rzeczą do Pamiętnika, nadmieniamy tutaj tylko, że Instytut głuchoniemych w Petersburgu (nie łącząc się wcale z Instytutem ociemniałych) różni się pod wielu względami od warszawskiego w urzędzeniu, w funduszach, (wydatek z roku 1871 wynosił tam 76000 rs., zatem więcej niż dwuletni wydatek Instytutu warszawskiego przy tej samej prawie liczbie uczniów), w metodach nauczania. Tam przyjęto przede wszystkim migową metodę, na drugim planie stoi pisana, mowa zaś uważa się jako dodatek; w Instytucie warszawskim zaś wprost przeciwnie: najważniejszy przedmiot stanowi wymawianie, (przedmioty naukowe w mowie się wykładają), dalej pisanie, a w końcu dopiero mimika, którą się nauczyciele w szczególnych tylko razach posługują.

Następnie znajdujemy życiorys *Ks. de l'Epèe*, założyciela pierwszej szkoły dla głuchoniemych p. Ks. Ig. Głińskiego, dobrze napisany, szkoda że nie więcej szczegółowy. Następuje po nim drugi życiorys Doktora Bęcwicza jako dobroczyńcy Instytutu.

Następują dwie prace z *metodyki*, przyczyniające się do podniesienia Pamiętnika jako pisma specjalnego. Teimi są:

a) *Znaczenie rysunku i metoda nauczania go u głuchoniemych* p. W. Gersona, który przez lat 12 był nauczycielem tego przedmiotu w Instytucie. Kształcenie głuchoniemych odbywać się tylko może przez pośrednictwo wzroku, jedynie więc tutaj jest możebną metoda *poглядowa*; na rozwój pojęć głuchoniemych przede wszystkim drogą *postaciową* wpływać należy. Z tego punktu autor wychodząc dowodzi, że rysunki rozwijając pojęcia foremności, proporcji i stosunku szczegółów do ogółu, wielce i skutecznie się przyczyniają do wykształcenia umysłu głuchoniemego. Artykuł napisany gruntownie.

(1) Opowiadanie o zawiązku tej Instytucji (w Szczuczynie) powtórzone jest słowami samego ks. Falkowskiego, jakie zostawił w książeczce p. t.: *O początku i postępie Instytutu Warsz. Głuchoniemych*. Warsz. 1823.

b) *Metoda początkowego nauczania języka w szczególném zastosowaniu do ociemniałych klasy 1-jej p. W. Nowickiego.* W myśl nowszych pedagogów, wymagających rozmów nauczyciela z dziećmi przed przystąpieniem do nauk, mieści się tu właśnie sposób takich rozmów, będących atoli systematycznym nauczaniem w dwóch ważnych celach przeprowadzonym: rozszerzenie zakresu pojęć dziecka (przy wzbogaceniu go w odpowiedni zasób wyrazów) i przysposobienie go do nauki gramatyki, do czego ta początkowa nauka jest właśnie podstawą. Rzecz lubo w zarysie tylko przeprowadzona, dowodzi dobrego zrozumienia przez nauczyciela psychicznego stanu i wymagań dzieci tak nierozwiniętych jeszcze jak ociemniałe. Praca ta szerzej rozwinięta z pominięciem względów odnoszących się do ociemniałych, zasługiwałaby na ogólniejsze rozpowszechnienie, a podręcznik tą metodą napisany byłby bardzo pożądanym do początkowej nauki języka (gramatyki) w sposób *połączony* prowadzonej, (okazowy).

Trzymając się podziału wyżej podanego, przechodzimy do *części drugiej* Pamiętnika. Tutaj dowiadujemy się, że Rada Pedagogiczna Instytutu wprowadziła drukowanie *nut wypukłych* dla ociemniałych, sposób zaś pisania tych nut zasada się nie na systemie 5-ciu linii generalnych, ale na oznaczeniu tonów literami odpowiadającymi 7 dźwiękom *C, D, E, F, i t. d.* Wprowadzono również drugą nowość, t. j. ogródek botaniczny dla głuchoniemych, zawierający najpowszechniejsze rośliny. Dowiadujemy się także, że stan zdrowia dzieci w zakładzie jest zadowalniającym; od lat siedmiu nie było żadnych epidemicznych chorób w zakładzie. Zasługuje na szczególną uwagę rodziców ten fakt, że z badań przyczyn głuchoty pokazuje się, iż mniejsza zaledwie połowa dzieci jest głuchoniemą od urodzenia, z drugiej zaś większej połowy dzieci pozbawione są słuchu a następnie mowy skutkiem gwałtownych wypadków w ich niemowlęctwie, najczęściej skutkiem rozbicia lub spadnięcia. Ważna nauka dla rodziców! Ktoby się chciał obeznać poszczegóło z zakresem i sposobami nauczania głuchoniemych i ociemniałych, znajdzie obszerny materiał w *Programie* wykładu. Podajemy tutaj tylko, że w roku szkolnym ubiegłym pobierało w Instytucie nauk głuchoniemych 156 (uczniów 105, uczennic 51), ociemniałych 37 (uczniów 26, uczennic 11) razem 193. Osób wykładających w oddziale głuchoniemych przedmioty *umysłowe* 16 (w tej liczbie 3 kobiety). Nauczycielek robót i nauczycieli sztuk i rzemiosł w obu oddziałach 17.

Jeżeli pierwsze dwa tomy Pamiętnika nie mogły w zupełności wypełnić swego zadania, to w trzecim widzimy postęp pewien ku temu, aby z czasem Pamiętnik nie już nie pozostawał do życzenia. Postęp ten widzimy w całym Pamiętniku, a zwłaszcza w rozpoczęciu historyi Instytutu, tudzież w dwóch wspomnianych wyżej artykułach *Gersona i Nowickiego*. Życzenie zaś nasze może być jeszcze dość rozległe. Pragnęlibyśmy np. spotkać krytyczne rozbiory metod i kierunków nauczania z uwzględnieniem historycznego ich



rozwoju i obecnego ustalenia i wydoskonalenia; dalej z dydaktyki tj. rozprawy nad rozsystematyzowaniem nauk udzielanych głuchoniemym i ociemniałym, nad ich rodzajem i zakresem, nad znaczeniem i podniesieniem jednych z umniejszeniem innych muięj odpowiednich. Pożądanemi są także krytyczne sprawozdania z ruchu naukowego w Instytutach głuchoniemych i ociemniałych za granicą; tudzież krytyczne oceny podręczników naukowych, w ogóle sprawozdania z całego ruchu pedagogicznego w zastosowaniu do głuchoniemych i ociemniałych. Podobne prace spodziewamy się znaleźć w latach następnych, tém więcęj skoro nauczyciele Instytutu dali już dowody, że można liczyć na ich siły. Nieustając w pracy zasłużyli już oni na uznanie, a uznanie to tém jest ogólniejsze, że książki przez Instytut wydawane nie tylko dla samych głuchoniemych mają znaczenie, a Pamiętnik może być pożyteczną książką, w rękach każdego wykształceńszego człowieka.

W.

*Gustaw i Werter prel. publ. przez Adama Bełcikowskiego, doc. Uniw. Jagiell. Kraków. nakładem Tomaszewicza. 1872.*

Pan Bełcikowski w małej broszurce, która jest oddrukiem prelekcji publicznej o „Werterze i Gustawie“ (Mickiewicza), bada porównawczo naturę psychologiczną obydwóch bohaterów, oceniając zarazem doniosłość literacko-społeczną dwóch utworów głośnych w swoim czasie. Badanie to sumienne, zanadto może streszczone, co się usprawiedliwia krótkością odczytu, zawiera wiele spostrzeżeń trafnych, szczególnieć co do wewnętrznych przyczyn działalności Gustawa i Wertera; atoli w ostatecznej konkluzji mniej się rachuje z wpływami wieku, które tak potężnie oddziaływały na poetów, zwłaszcza też na Getego w owej właśnie chwili. A przecież były one niezaprzeczone, wielkie i nieuniknione, i z tego też względu, Werter przedstawia nam stan moralny, który zdrowy duch Getego przeszedł silnie, ale pod którego naciskiem, muięj silni upadli. Była to epoka pochyłości, po której łatwo stoczyć się było w przepaść. Wolność najszerszą chciano zastosować w życiu i w urządzeniach społecznych, nietylko w sztuce. Wszystko co się wydawało przymusem, regułą, formą, uważano za przeszkodę i tamę dla wyższego ducha. Ztąd musiała powstać kolizya z ustalonym dotychczasowym porządkiem społecznym, i z całym światem, a często wprost i z rozsądkiem. Nie powiemy tu nowych rzeczy, przypominając, że naówczas najwięcej rozpowszechnioną była literatura angielska w Niemczech, mianowicie *Noce Younga*. Zatapiano się w marzeniach abstrakcyjnych, szukając poezji jak najdalej od rzeczywistego świata. Kierunek ten zaznaczony wybitnie w Werterze, bo oto bohater unika najsamprzód świata, osamo-

tnia się dobrowolnie, szukając w naturze pociechy. Przywiązuje się do murawy, źródła, skały, i mówi: moja dolina, mój las, a potem osamotnia się bardziej jeszcze, unikając samej natury, uważając ją za przemijającą, jak wszystko na tym świecie.

Odtąd nie pozostaje mu nic, jak: samobójstwo.... *Patet ianua, ex!* powiedział Seneca w podobnym wypadku.

W tych chwilach, (o czém p. Bełcikowski napomyka) Gete sam próbował życie sobie odebrać, i te właśnie próby świadczą o niepokoju epoki w jakiej żył, z jakiej się odrazu otrząsnąć nie był w stanie.

Z tego przeważnie względu, jakkolwiek gdyby Werter był czysto osobistą spowiedzią, jeszczeby nas żywo interesował, utwór ten ma historyczno-społeczną wartość, a więc i dziś jeszcze przykuwa nas do siebie.

Tym innym względem nie jest bynajmniej to, co powiada p. Bełcikowski na str. 53, że: „Werter jest wyobrażeniem namiętności“. przeciwnie, Werter walczy z nią wszędzie, wytrwale i rozumnie, i tylko fatalność, zbieg okoliczności będący tu rezultatem wpływów wieku, uzbraja rękę jego samobójczo. Czujemy się dość dlatego pociągnięci sympatycznie, że nie jest on prostym i zwykłym kochankiem, ale człowiekiem goniącym za ideałem niedoścignionym. W tém gonieniu daremném tkwi choroba wieku, lecz zarazem i wielkość bohatera. Dlatego właśnie sympatyzujemy z nim, że cierpi przez swe błędy i przez a raczej mimo swych cnót. Słusznie powiedział jeden z licznych krytyków, czy jak kto chce, komentatorów Getego, że Karolina jest tylko jedną z form entuzjazmu Wertera, i jednym z jego gorzkich zawodów, ale że gdyby ją nawet był posiadł, nie byłby szczęśliwym, bo ideał za którym goni, będzie mu zawsze znikał z przed oczu. Werter nie ma energii, (Gete miał ją ogromną) jest marzycielem i pełnym słabości, a przecież spotężyć z nim więcej można i trzeba niż z każdym innym, który nie ma żadnego ideału. W ten sposób uważany, nacechowany jest wysoką moralnością, a przeto i trwałością niespożytą.

Zdaje nam się, że pan Bełcikowski tę stronę całkowicie pominął, więcej podnosząc erotyczność utworu. Uwagi co do Gustawa wydają się dosyć słuszne. Przy téj okazji jednak, przytoczymy więcej od pana Bełcikowskiego szczegółów dotyczących historii Wertera, raz dlatego, że u nas dopiero w najnowszych czasach wchodzi na tę drogę łączenia życia poety z jego utworem, (Klaczko w życiu Krasieńskiego, Małcki o Słowackim, Siemieński o Mickiewiczu i in., Tyszyński), potem, że wielu utworów wielkich poetów, nie można by inaczej zrozumieć np. *Pokrewieństwa z wyboru*, gdzie Getego wspomnienia i osobiste wrażenia spisane tu są w formie powieści, a nareszcie że literatura niemiecka i jój koryfeusz, są dla nas prawie zupełnie obcymi.

Gete w swojej spowiedzi: *Wahrheit und Dichtung*, dał klucz do wielu swych utworów, z témwszystkiem późniejsi dopiero komentatorowie wyjaśnili wiele szczegółów nieznanych i ciekawych. A śmiem twierdzić, że wpływ życia poety na jego dzieła, nazwać

się może jednym z najbardziej pouczających procesów ludzkiego ducha. Otóż dokumentem odpowiednim, opisującym pobyt Getego w Wetzlarze, jako przyczynę do napisaniu Wertera, jest dzieło syna Kestnera (w Werterze Albert narzeczony Charlotty jest Kestnerem) p. t.: „Gete i Werther“ mające dewizę: „Prawda bez poezyi“ w przeciwieństwie do dzieła Getego, noszącego tytuł: „Poezya i prawda,“

Wetzlar było małą miejsciną, nie dającą mu środków do pracy ani rozrywki. Nie miało ani szkół wyższych, ani teatru. Kiedy Gete przybył tamże, zastał grono młodych ludzi, urzędników poselstwa, którzy bawili się w fikcyę romantyczną, ustanowiwszy się: „kawalerami okrągłego stołu.“ Nowoprzybyły, przybierał sobie nazwisko średniowieczne. Gete nazwał się Göttem von Berlichingen. Jeden z młodych ludzi zapoznał wnet Getego z Vossem, Bürgerem i z braćmi Stollberg, atoli nas obchodzi tu głównie młody człowiek, który później ważną w życiu i pismach Getego odegrał rolę. Jest nim Kestner, który był wówczas zaręczony z młodą osobą, dziś powszechnie znaną jako bohaterka z Werthera. Zwała się Karolina Buff. Kestner w owym czasie tak między innymi pisze o Getem: „...jestto człowiek z charakterem, wyobraźnię ma żywą, a wyraża się najczęściej przez porównania i obrazy... Wszystkie jego wrażenia są bardzo żywe, lubo pracuje nad sobą... Wszelkie jego przymusy wstręt mu sprawia... Nie jest jeszcze *silny w zasadach*, i szuka systemu i t. d. i t. d.“ Wkrótce odsunął się od kawalerów stołu okrągłego, i zajął się czytaniem, pracami poetycznymi, czyniąc przytem dalekie wycieczki w okolice miasta. Sam pisze o tém: „...Od wyjazdu z Frankfurtu, czuję w sercu próżnię, której niczem zapełnić nie mogę...“ Okolica Wetzlaru opisana żywcem w Wertherze, bo Gete przeniósł w tę książkę, wszystkie swe wrażenia i wspomnienia natury wspaniałej i harmonijnej, tak odpowiadającej owoczesnemu nastrojowi poety. Wioska w romansie wiezie się *Wallheim*. Tutaj to zetknął się po raz pierwszy z Kestnerem i z nim zaprzyjaźnił prędko. Przyjaźń tę wzmocnił wnet następny wypadek: Ułożono balik wiejski, na który Kestner późno dopiero przybył, lecz Karolina (Charlotta) z kilkoma przyjaciółkami wybrała się wcześniej, a w powozie z nią siedział Gete. Karolina oczarowała go naturalną wesołością i wrodzonym wdziękiem. Oczarowanie to było tém trwalsze, że się stało mimowolnie. Scena na balu opisana żywo w romansie, lubo z pewną sentymentalnością, nie leżącą bynajmniej w charakterze Karoliny, o ile o tém wiedzieć można z Pamiętników Getego. Burza po balu opisana w romansie, jest wymysłem poetycznym. Karolina nie była wcale egzaltowaną, owszem, odznaczała ją prostota. Nazajutrz ujrzał Gete swą ulubioną w kole rodzinném, gdzie miała wielkie obowiązki do spełnienia nad liczném młodszém rodzeństwem. Obraz ten rzeczywisty, czytelnikowi niezbyt się podoba, zachwycił poetę. Po kilku miesiącach Gete czuł się bardziej zakochany, niżby pragnął. Z Kestne-

rem jednak, narzeczonym Karoliny, zostawał w jak najlepszych stosunkach. Kestner pisze „Czasami lituję się nad nim, i oddaję się walce wewnętrznej, bo wątpię czy tak jak on uszczęśliwię Karolinę; ale znowu nie mogę jęj utracić.“ Zrozumiał Gete takie położenie, i wyjechał bez pożegnania.

Dwa wpływy, natury i młodości, zatarły w strapionym bolesne wrażenie. Piękność krajobrazu, obudziła w nim instynkta poety i artysty. Zapytywał sam siebie, czy malarstwo nie jest jego prawdziwem powołaniem. Napadła go myśl dziwna, trzymał w ręku szczyryk i rzucił go w bieżący strumyk. Jeżeli się zanurzy, będzie malarzem, jeżeli liście zasłonią go przed jego okiem, będzie poetą. Lecz wyrocznia okazała się dwójznaną, bo ujrzał tylko wodę zamąconą w miejscu, w które rzucił szczyryk. Postanowił więc tymczasem malować i pisać wiersze. W monotonnem życiu we Frankfurcie, ożywiły się wspomnienia Wetzlaru, i wtedy rozpoczął Gete swą ciekawą korespondencję z Kestnerem. Między innemi, pisał raz do niego: „Drogi Kestnerze! Powiedz Karolinie, iż mi się czasem zdaje że ją zapomniałem, ale wnet wpadam w stan pierwotny.“ Rzeczywistość i poezya, oto co cechuje tę korespondencję, a zarazem całą młodość Getego.

Co dziwniejsza, że załatwia sprawunki dla narzeczonych, ale błaga ich aby nie przyjeżdżali do Frankfurtu. Oświadcza nawet w jednym liście, że się z portretem Karoliny rozłączy w dzień jęj ślubu.

Następne zdarzenie zdecydowało poetę do zebrania swych wspomnień i przelania ich w utwór, o którym mówimy. Dowiedział się od Kestnera, że jeden z jego przyjaciół, w podobnej miłośnej rozterce, był przeciw odważniejszym od niego. Niejaki Jeruzalem, nksztalcony wysoko filozoficznie, bawiąc w Wetzlarze zakochał się w mężatce, która obeszła się z nim brutalnie. Młodzieniec odebrał sobie życie. Szczególném zaś wydarzeniem, zabił się bronią, której od Kestnera pożyczył. List który w tęg mierze pisał do niego, zamieścił Gete prawie w całości w Wertherze. Gete wyobraził sobie, że ta broń była przeznaczoną dla niego, i uderzony podobieństwem przygód, stworzył plan Werthera. Lecz dopiero w 15 miesięcy później, zabrał się do dzieła (w 1773 roku). Myśl wszakże samobójstwa i wahanie się ciągle między odebraniem sobie życia a powstrzymaniem się od tego, trapi go ciągle, dopóki jęj nie uspokoił dziełem harmonijném, przedstawiającém stronę poetyczną i namiętną jego charakteru.

Takim jest początek, i taką jest przyczyna powstania osobistości Werthera. Samego romansu, arcy-prostego w swym układzie nie rozbieramy, jako zbyt ogółowi czytelników. Autor broszurki porównyując Getego z Mickiewiczem, powiada że „Gete miał może większe serce, ale Mickiewicz miał więcej serca.“ I znów Werthera z Gustawem, że „Werther jest może większą poezyą, ale Gustaw ma w sobie więcej poezyi.“ Jestto dosyć niejasna gra wyrazów i lubowanie się w nięj, która nie zawiera w sobie

zwywołów krytycznych. Wprawdzie istnieje niezaprzeczone analogia między bohaterami, a właściwie motywem ich cierpienia, ale różnią się przedewszystkiem charakterem i nastrojem. Gustaw jest idealniejszy i indywidualniejszy, gdy Werther odpowiadał więcéj ówczesnemu usposobieniu ogółu. Z tego więc już względu, a przedewszystkiem z tego, że Gustaw jest fragmentem rzuconym z fantazyą, pod wrażeniem bolesnej chwili i z myślą późniejszego skończonego planu, gdy przeciwnie Werther przeprowadzony był według jednolicie obmyślanego planu, porównanie co do wyższości poetycznej jednego utworu nad drugi, wydaje się nam mniej stosownem. Jednak Gete umiejący „strawić“ każdą boleść, wychodzi z niej zwyciężko odławszy ją raz w literacki utwór; nie budzi téż w nas tyle współczucia, ile Mickiewicz, stwarzający bohatera w ogniu dotkliwego a niezagojonego własnego cierpienia.

Werther ma przeciw sobie wolę ostatnią matki Karoliny, pragnącej jój połączenia z Albertem, czyli surowe zobowiązanie moralne, którego przekroczyć nie śmie; Gustaw ma „tylko jedną miłość za sobą.“ Nie żądał nic od swój ukochanej: „nie prosiłem ażeby była mnie wzajemną, prosiłem tylko o maleńkie względy, tylko żeby była zemną, choćby jak krewną z krewnym. jak siostrzyczka z bratem.“ Tymczasem „pożegnać, porzucić każą!“ Gdyby chociaż na pamiątkę jego męki — wola z żalem:

„Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żałobie,  
Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki!

Gdyby choć łezka boleści i westchnienia: „ach, on mię tak kochał!“

W tym wykrzyku odśłania się on nam w całej potędze swego idealnego uczucia, odśłaniając zarazem wydatniej chłodny, obojętny charakter téj, którą ukochał. Karolina przeciwnie czująca wzajemność dla Werthera, nie przekracza nigdzie granic dosyć sztywnie pojętego obowiązku, i wiedząc o stanie duszy Werthera, oddaje przeciw spokojnie rękę Albertowi, którego jój kochać trudno. Może dlatego łatwiej zrozumieć rozpacz i obłąkanie Gustawa. Uderzył w jego serce cios odrazu, bez litości i bez względu.

„Z czego umarłem? . . Nie mów że z rozpacz;  
Powiedz że byłem zawsze rumiany, wesoły,  
Zem ani wspomniał nigdy o kochance,  
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjaciół. . .  
Ze ta pijatyka, tańce. . .“

A dalej mówi do księdza:

„Dla mnie, oprócz wspomnienia, nic więcéj nie proszę,  
Za grzech mój, życie było dostateczną karą.

Bo:

„Kto nad świeckiego życia wylatując krańce,  
Duszą i sercem gubi się w kochance,

Jój tylko myślą, myśli, jój oddycha technieniem,  
Ten i po śmierci również, własną bytność traci.

Pan B. kończąc mówi, że obie epoki w których pisali Gęte i Mickiewicz były do siebie podobne; konwencyonalność, próżność uczucia, martwa formułkowatość panowały w literaturze i w życiu; że potrzeba było, iżby wielcy poeci rzucili temu zimnemu światu wyzwanie w imię prawdziwego uczucia, i że nareszcie dzisiejsze czasy podobne do tamtych. W tym względie ma słuszność, jakkolwiek całkiem inne przyczyny, wytworzyły obecnie ten stan ogólnego społecznego usposobienia.

E. L.

---

*Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier. Opracował Dr. Fr. Czerny. Kraków, 1872. Str. 178.*

Trzy państwa na tytule przytocznej rozprawy wymienione, Czechy, Polska i Węgry mają w swych pierwiastkowych dziejach nie mało wzajemnej łączności. Wiek IX i X jest dobą ich organizacyi politycznej, która się odbywa wśród wzajemnego oddziaływania i w obec wspólnie im grożącej postawy zachodnich cesarzów; okres ten jest także chwilą, kiedy się w tych trzech państwach zaczyna krzewić wiara chrześcijańska. W Czechach i Węgrzech apostołował Wojciech Śty, czci go także Polska jako swego apostoła. Z Czech przeszło światło chrześcijaństwa do Polski, z Polski podobnież przez związki małżeńskie do Węgier przeniesione zostało. Przestrzeń między Dunajem, Mołdawą, Odrą, Wisłą i Karpatami wybrał sobie autor jako pole do nakreślenia w ogólnych zarysach powstających państw i szerzącej się nauki chrześcijańskiej, zakres ostateczny swego obrazu wzięwszy rok tysięczny naszój ery. Jeżeli już nieraz usiłowano w literaturze przedstawić ogólny obraz zachodniej Słowiańszczyzny w epoce jój pierwszego ukazania się na widowni dziejowej, obejmowano zwykle Morawy, Czechy, Słowian nadelbiańskich oraz Polskę, i stopniowe, kolejne tworzenie się między nimi organizmów państwowych wykazywano. Badano ten przedmiot, zestawiając różne usiłowania przez zachodnich Słowian podejmowane na polu politycznej organizacyi. Zagłębiano się w dzieje morawskiego Świętopełka, Bolesławów Czeskich, dzieje Obotrytów i Lutyków, historiją Bolesława Chrobrego, dążące do zbudowania rozleglejszego gmachu politycznego. Rozumiemy takie zadania. Zestawienie dziejów jednorodnych części, pochodzących z jednego plemienia, z jednakowemi wspólnemi pierwiastkami społecznemi,

może prowadzić do ogólnego wniosku, do jakiejś syntezy. Jest wiele nauczajacém badać, jak się z pierwiastków germańskich urzędzeń rozwinęły instytucje polityczne Niemiec, Francji, Włoch i Anglii, ale zestawienie dwóch odrębnych szczepów słowiańskiego i węgierskiego, nie mających między sobą wewnętrznej łączności, może się dokonać tylko na podstawie zewnętrznej. Związki takich państw płynąć więc tylko mogą z ich terytoryalnej wspólności, z sąsiedztwa mniej lub więcej bliskiego. Ztąd też i wnioski nie mogą zdążać do jakiejś harmonijnej syntezy. Zdaje nam się że sam przedmiot nie nadaje się do porównywania i ścisłego obok zestawienia. Zresztą, kto przedstawia dzieje Czech i Polski, bez dotykania dziejów węgierskich również jak i niemieckich obejść się nie może, dla ich łączności z niemi. Wprowadzenie zaś oddzielnego przedmiotu do dziejów Czech i Polski, wydaje nam się niewłaściwem punktem wyjścia, pozbawionym szerszej podstawy.

Cokolwiekbyż, zobaczymy, jak autor wywiązał się ze swego zadania. Państwo Samona, następnie dzieje Rościsława Morawskiego, apostołowanie ŚŚ. Cyrylego i Metodyusza, początki Węgiei, Czech i Polski, Śty Wojciech, szerzenie się w tych krajach wiary chrześcijańskiej, oto wątek, z którego się cała opowieść wysnuwa. Sam rodzaj zadania czynił niemożliwem wszelkie szczegółowe poszukiwania: autor nie może zapuszczać się w roztrząsanie nierozstrzygniętych spornych pytań, nie może dokładniej stosować źródłowej krytyki do pojedynczych kwestyj, bo nie wybrnąłby z mnóstwa nasuwających się mu się pod pióro pytań. Zmuszony jest podążać do kreślenia ogólniejszej całości. Ztąd konieczność płynie korzystania już z gotowych rozpraw, monografij, co wszakże nie może stać na przeszkodzie do przeglądania i czerpania wiadomości ze samych źródeł. Pod względem znajomości prac swoich poprzedników w tak rozgałęzionym przedmiocie, autor nie ściągnie na siebie żadnego zarzutu, owszem to pilne korzystanie z dzieł i pojedynczych prac znaney wartości, godne jest najszczerzej pochwały. Czytelnik wynosi przyjemne wrażenie z rozprawy pisaney po polsku, kiedy w niej dostrzega tę staranność i sumiennosc, tę ścisłość w przytaczaniu zdań innych uczonych autorów, czém się nie zawsze odznaczają prace naszych badaczy historycznych. Przy takim chwalebnyem wyposażeniu autora „Zawiązków państwowych“, życzyć tylko wypada, by na téj drodze nie ustawał; a jesteśmy pewni, że niejedną poważną a pożyteczną pracą wzbogaci naszą ubogą literaturę historyczną. Pragnęlibyśmy jednak, aby tę chwalebna dokładność i ścisłość posunął jeszcze dalej. I tak np. autor, przedstawiając dzieje Samonowego państwa, nic więcej nie powiedział nad to, co już Palacki wyrzekł w tym przedmiocie. Nie mamy nic przeciwko temu, że „W Zawiązkach państwowych“ są powtórzone wywody Palackiego, ale dlaczego autor (str. 21) odnosi historią starcia się Samona z Dagobertem do roku 635, kiedy na to innych nie przytacza dowodów, a Palacki wszak téj daty nie kładzie?

Dalój znowu (na str. 28) autor oświadcza, iż nie zgadza się ze zdaniem Palackiego, co do niezależności Czech od Karola W., owszem twierdzi, że Czechy już na początku IX wieku zmuszone były hołdować zachodnio-rzymskiemu cesarstwu. Czy tak się miało czy inaczej, wypadło w każdym razie w przypisku przynajmniej rozprawić się dokładniej z taką powagą jak Palacki. Trzeba było zwrócić bacniejszą uwagę na to, co Einhard powiada, że danie składać musiały wszystkie narody, quae inter Renum ac Visulam fluvios oceanumque ac Danubium positae... Germaniam incolunt (M. G. II 15). Jeżeliby ztąd wypadło, że Czechy płacić były zmuszone dań cesarzowi, to ściągałoby się także i do narodów nad Wisłą, więc i do Polski. Kto z poważnym autorem rozprawić się myśli, nie powinien tak sporu rozstrzygać.

Mamy jeszcze jedną prośbę do autora „Zawiązków państwowych.“ Idzie już tylko o samą formę, o sam wykład, który, jak wiadomo, w rzeczach historycznych niepoślednie zajmuje miejsce. W całym przedstawieniu czuć brak wyższego wyrobienia. Wszędzie w oczy bije i razi młodzieńczy zapał. Autor zwyczajniejsze rzeczy odziewa w poetyczną szatę. O najprostszych wypadkach wyraża się obrazowo, gromadzi wyszukane porównania, wzbija się lotem fantazyi w coraz wyższe sfery i nieustannie stąpa po wyżynach. Czytelnika nuży ta podobłoczna podróż. O zwyczajnych przedmiotach chciałby żeby rozprawiano na ziemi. Prostota wszak jest pierwszym warunkiem jasności. Z tego okrywania myśli w jakieś poetyczne kształty rodzi się ciemność, szczególnie jeśli to obrazowanie aż do przesytu jest posunięte. Na str. 15 mowa o Trajanie, iż ten „skierował pilniejszą uwagę na północne granice państwa, usiłując przedewszystkiēm zmyć z niego (tj. państwa) *rumieniec wstydu*, jakim okrył je lekkomyślny Domicyan.“ Pomimo całej sympatyi dla poetycznego polotu, tak nam się dziwnē w tē miejscu wydaje rumieniec wstydu, jakim się pokrywa całe imperium rzymskie i ta czynność, jaką dokonywa Trajan, zmywając rumieniec z oblicza terytorjum rzymskiego. O wielu innych podobnych miejscach nie wspominaemy. Krasicki, Naruszewicz, Mochnacki są wzory, o którychby zapominać nie należało, a zwłaszcza polecić wypada je obecnemu młodszemu pokoleniu, co jakoś dziwnie lekceważy sobie ojczyzną mowę. Czytając „Państwowe zawiązki“ zdaje się, jak gdybyśmy byli w epoce skażenia języka. Powtarzają się ciągle konflikty, scysye, skonsolidowania, alianse, alianty, sytuacye, akceptacye, separacye, emancypacye (o narodach), inowacye i izolacye, nielojalne koketowanie, egidy, grawitowanie, forsy; maryaże, prowokować, ignorować, skaptować, rewoltować, szachować, kłopotać (?) Kadłubka, despocya, problematyczny, maksymy, apostołka, malkontenci, kontury, katolizować, zasankcyonować i w. i.

Są także Raichstagi i interwencye a z temi nazwami łączą się dziś w prawie publicznē pewne ściśle określone pojęcia, które do IX lub X wieku zupełnie nie przypadają. Są znowu zwroty, które czytelnik zrozumie, jeśli umie po niemiecku, ale w innym ra-



zie słusznie się zapyta, kiedy autor mówi „o dziesięciu długich latach“ (zehn jarhe lang), ileż to było lat *zwyczajnych* o 365 dniach? W inném znowu miejscu spotyka się „jako taki“ co po polsku znaczy: ujdzie (franc. tellement quellement), tymczasem ma to być niemieckie „als solcher.“ Język Śniadeckich nie zna takich naszej mowie niewłaściwych, a jak się przytoczyło, nawet dwuznacznych wyrażeń. „Ograniczać się na pas ziemi“ jest niemieckie: beschränkt auf ein Stück Land. Co znaczą takie słowa zderzać się i wytaczając kierunek? których niéma w słowniku Lindego.

Z tём wszystkiém są to tylko drobne usterki, których łatwo uniknie w następnej a zawsze pożądanój pracy.

P.

*Lehrbuch der Geographie für die mittleren u. oberen Classen i t. d. von H. Guhe. 2 Aufl. 1872. Hannover, 658 str. 8ka.*

Podręcznik geograficzny jest dziś książką potrzebną dla każdego, zarówno dla ucznia jak i nauczyciela, dla technika jak i dla literata. Dzieło Guthego, które po 4-eh latach doczekało się już drugiego wydania, posiada niepospolite zalety. Autor jest professorem mineralogii i matematyki w szkole politechnicznej w Hanowerze, praca więc tak dobrze przygotowanego w naukach ścisłych pisarza staje się niejako rękojmią wartości dzieła, dzieła, które jak geografia, mieści w sobie tyle żywiołów z nauk matematycznych i przyrodniczych. To też książka Guthego nie jest kompilacją z wielu innych już istniejących podręczników geograficznych ułożoną, ale stanowi w znacznej części pracę samodzielną, opartą na badaniu źródeł pierwotnych, pierwszorzędnych. Sam system w układzie i stanowisko, z jakiego się na tę naukę zapatruje, świadczy o samodzielności autora. Wpierwszój i drugiej księdze przedstawiona jest geografia matematyczna i fizyczna, w trzeciej części znajdujemy wykład historycznej i politycznej geografii oddzielnie wszystkich części świata z poglądem na stosunki fizyczne, historyczne i polityczne. O historycznej geografii wyraża się autor bardzo słusznie, że ona jest właściwą geograficzną nauką, inne zaś jój części tylko za pomocnicze uważać należy. Ona nam pokazuje do jakiego stopnia człowiek zapanował nad ziemią, przedmiot jój badań stanowią stan pojedynczych ludów i fizycznych przyczyn, które wpływały na postęp lub powstrzymanie w rozwoju człowieka danego społeczeństwa. Polityczną zaś geografią nazywa autor opis pojedynczych od siebie niezależnych ludzkich społeczeństw, które się państwami zowią. Wiadomości do tego przedmiotu się odnoszące, jakkolwiek mają wartość chwilową, z właściwą geografią nie pozostają w żadnym istotnym związku. Podręcznik z tytułu wyżej przywiedziony na naukowej oparty podstawie, a objętością znacznie mniejszy od 3 tomowego Kloedena, mógłby w polskim przekładzie przy przystępnej cenie być dobrą wskazówką dla wykładowców, a pożytecznym podręcznikiem dla uczących się geografii w średnim i wyższym zakresie.

F.

*Napis na starój Chrzcielnicy w kościele Ś-go Jana w Toruniu, dokładnie przerysowany. Warszawa 1872. W drukarni J. Sikorskiego (w 8-ce str. IV z dwiema tablicami litografowanemi przedstawiającemi chrzcielnicę i napis).*

W roku 1844 Dr. Ney w tomie X. *Przyjaciela ludu* (Nr. 44) zamieścił podobiznę napisu znajdującego się na starożytnój chrzcielnicy spizowej w kościele Ś-go Jana w Toruniu nie wdając się w odczytanie onego. Andrzej Kucharski podług udzielonej sobie kopii uznał że napis jest polski, że litery w nim są ruiiczne a częścię greckie i glogolicke, w rozprawie: „*Najdawniejszy zabytek polszczyzny*” drukowanej w Bibliotece Warszawskiej w Tomie II 1850 roku, i odczytał go w następujących wyrazach:

„*Z dyaboly w tewo Isus Gospod chce zlewać ciebie wodę tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi.*”

W następnym roku 1851 w temże piśmie (Tom II) archeolog nasz Józef Łepkowski, w artykule: „*O czytaniu runów słowiańskich*” przekonawszy się że znaki przedstawione przez Kucharskiego, różnią się znacznie od podobizny Dr. Ney'a, zaprzeczył takiemu odczytaniu.

Nakoniec we *Wzorach sztuki średniowiecznej* A. Przewdzickiego i E. Rastawieckiego (Serya II 1855—1858 r.) znajdujemy rysunek tój chrzcielnicy i podobiznę napisu z objaśnieniem w tekście. „*Napis na tablicy najdokładniej przerysowany na miejscu* w niektórych tylko literach poprawia Dra. Ney, ale kształt głosek zupełnie stwierdza.“

P. Wilhelm Kolberg znany z wielu prac uczony inżynier, autor pomienionėj broszury pisze:

„Będąc w roku zeszyłym w Toruniu znalazłem, że podobizna we *Wzorach sztuki średniowiecznej* dokładną nie jest i postanowiłem wszelkie wątpliwości co do grafiki tego napisu usunąć i ułatwić uczonym onego odczytanie. Jeżeli bowiem w wyuczonym piśmie jak przysłowie mówi: *litera docet, litera nocet*, to oczywiście w piśmie odwiecznem, w języku niewiadomym, konieczne jest wierne oddanie choćby najdrobniejszych szczegółów pierwowzora. Nie tylko kształt, proporcya, odległość znaków, ale często nieznacne nawet zбочenie linii może stać się zrozumiałem dla uczonego badacza, tak jak mylne odtworzenie znaków udaremnia najmozolniejsze prace i na błędną popycha drogę. Aby osiągnąć ściśłość najwłaściwiej byłoby użyć fotografii do kopiowania takich napisów. Gdy zaś takowej, jak w przypadku obecnym, użyć nie można, należy zrobić odciski które się stają wierną i trwałą kontrolą rysunku. Tego tóż sposobu do zdjęcia napisu użyłem. Sporządzenie podobizny liter przedstawiało trudności jeszcze z tego powodu, że chrzcielnica pomalowana jest jasną farbą olejną, a litery lubo wypukłe, powleczone farbą czarną; malarz zaś nie zawsze trzymał się ściśle konturów, lecz według domysłu niektóre kształty dopełniał lub opuszczał. Dla zrobienia odcisku wypadało mi prze-

konać się o czystości zarysów, przyczem znalazłem znowu że niektóre wklęsłości były grubo zamazane gęstą farbą tak stwardniałą, że się nie dała oskrobać, lecz tylko dłutem za pomocą młotka odłupaną być mogła. Tym więc sposobem oczyściwszy litery gdzie należało aż do czystego metalu, wydobyłem dokładne ich zarysy. Następnie zaś za pomocą zmoczonego papieru brałem odciski, a rysunek w naturalnej wielkości z tych odcisków fotograficznie do  $\frac{1}{4}$  części zmniejszony, na kamień litograficzny przeniesiony został.“ Przycoczyliśmy cały ten ustęp dosłownie dla upewnienia badaczy, że obecnie po tak ścisłym i sumienném skopjowaniu z całym zaufaniem mogą przystąpić do odczytania całego napisu. P. Kolberg znajduje, że w nim litery są podobne do liter na grobowcu Henryka Łagodnego księcia Szląskiego i Krakowskiego, zmarłego 1290 roku, w kościele Ś-go Krzyża w Wrocławiu, ale niema w nim ani liter odwróconych ani nieznanych, a są wszystkie jednéj wysokości i wyrazy rozdzielone punktami: z tego powodu uważa i zasadnie, napis na chrzcielnicy w Toruniu za dawniejszy.

R.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

— *Warszawa, październik 1872 r.* Redakcja *Opiekuna domowego* pisma tygodniowego, sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęconego; ogłosiła prospekt, w którym cel wydawnictwa swego wyjaśnia, pod godłem: „*Tyle życia ile w czynie.*”

„Wiedząc dla kogo i w jakich okolicznościach piszemy, wiedzieliśmy też w którą stronę działalność naszą skierować nam należy. Zakres téj działalności z samej natury rzeczy zamknąć się musiał w obrębie społeczeństwa w którym żyjemy, należało tylko znaleźć dla niej odpowiednie ognisko, któreby promienie myśli naszych odbijało w sobie, rozsyłając je w około pośród ludzi. Ognisko to znaleźliśmy w *Rodzinie*. Na nią i przez nią oddziaływać chcemy. Słowa zdrowej nauki, praktycznych wskazówek materialnego i moralnego rozwoju, będziemy czerpać z czystego źródła wiedzy i miłości. Oby czyny nasze dorównały chęciom, a słowa oby znalazły odgłos w unysłach i sercach wszystkich ojców i matek!

„Wyznanie naszej wiary krótkie i jasne:

„Wierzymy w postęp i bronimy go, ale nie uznajemy nieogłędnej działalności gorączkowych jego obrońców, którzyby chcieli wszystko zburzyć, zanim się zbiorą siły do nowej budowy.

„Wierzmy w siły młode ale nie przeceniamy ich—przeciwnie, chcielibyśmy w nie zaszczepić to przekonanie, że „postęp danego społeczeństwa zależy od umiarkowania partji postępowej.“

„Zserdeczną miłością dla społeczeństwa, wśród którego wzrosliśmy i żyjemy, postanowiliśmy na tój właśnie drodze służyć krajowi wydając „Opiekuna domowego.“ O piśmie naszym nie robiliśmy dotychczas ogłoszeń, chcielibyśmy bowiem piérwój czynem wykazać nasze zamiary, chcielibyśmy się dać poznać publiczności. Dziś gdy usiłowania nasze osiągnęły już pewien skutek, gdy w całej prassie krajowej serdecznego doznaliśmy przyjęcia, tém śmielej, na szczupłym polu naszej działalności podnosimy sztandar myśli i uczuć, które obok postępowej dążności, potrafią uszanować racjonalnie pojętą tradycyą i będą jednocześnie ogniwem, wiążącym w pracy dwa następujące po sobie pokolenia wspólnością zadań i celów.”

— Księgarz *Maurycy Orgelbrand* ogłosił prospekt na dzieło p. n. „*Dzieje umysłowego rozwoju Europy przez I. W. Drepera Dra Medycyny i profesora Chemii, Fizyologii w Uniwersytecie w N. Yorku. Tłumaczenie z oryginału Angielskiego przez Tadeusza Korzona.*“ Dwa tomy w 8-ce. Od 1 listopada r. b. zacznie wychodzić zeszytami. Cena rsr. cztery: dla prenumeratorów *Niwy* rsr. trzy. Wpomienionym prospekcie czytamy:

„Co się stanie z nami a przynajmniej z wnukami, prawnukami i prawnukami naszymi? Dla kogo pracujemy w znoju i gorzkim częstokroć zwątpieniu? W co się obróca nasze pola uprawne, nasze miasta gwarne, nasze koleje, telegrafy, balony, nasze literatury i wszystkie owoce długich i wytrwałych cudownych prawie wysiłków ludzkości?

„Takie pytania podniecały oddawna myślicieli, przedewszystkiém zaś historyków i filozofów do badań długoletnich a wyteżonych. Powstała nawet osobna gałąź wiedzy, zwana Filozofią historyi, czyli Historyzofią. Od czasu jak *Vico* ogłosił swą „Nową naukę,“ na polu tém występowali pomiędzy innemi *Herder*, *Szlegel*, *Cousin* i sławny *Hegel* z obszerną teorią, która budziła w uczniach jego najśmielsze nadzieje i nieograniczone uwielbienie dla mistrza. Powiedział on, że „Historya powszechna jest przedstawieniem ducha w czasie, tak samo jak przyroda jest przedstawieniem idei w przestrzeni“; a że jako filozof mniemał, iż ducha tego poznał, wszystkie jego drogi i przejawy zbadał, przeto poważył się przedstawić cały plan, podług którego Opatrzność prowadzi rodzaj ludzki, a nawet spróbował przyszłość zaszkiecować. Wpływ jego był bardzo silny i opanował wszystkie rozgałęzienia nauk moralnych. Całe pokolenie ówczesne myślało podług jego szematów dyalektycznych, mówiło jego frazesami, powtarzało jego pomysły.

„Wkrótce atoli zaczął wzbierać inny prąd naukowy, który wzma- gał się szybko, a i teraz jeszcze potężnieje coraz bardziej skutkiem świetnych odkryć czynionych na polu nauk przyrodniczych. Powstaje szkoła „Pozytywistów“ którój założycielem był filozof francuzki *Au-*

gust Comte. Nie ufa ona samemu rozumowaniu i dyalektycznym wywodom, lecz żąda wszędzie dowodu przez doświadczenia i spostrzeżenia, dokonywane na zjawiskach lub przedmiotach pod zmysły podpadających. Pod tym sztandarem stanęli. Bekl, Mill, Spencer i... Dreper.

„Doktor medycyny i prawa, professor chemii i fizjologii w Uniwersytecie w Nowym-Yorku, Dreper nie szczędził pracy na obszerne studia nad historią, literaturą, a przede wszystkim nad filozofią: zgromadził więc niepospolity nawet w gronie współczesnych uczonych, zasób wiedzy i znakomicie przysposobił się do powołania filozofa historii.

„Zaczawszy swe dzieło od rozległego poglądu na przyrodę, Dreper dowodzi, że tak w układzie społecznym, jak w zjawiskach fizycznych ziemi, tudzież w całym świecie organicznym i budowie człowieka rządzą niewzruszone prawa. Następnie stawia pytanie: czyżby w życiu społecznym, w losach narodów, w historii rodzaju ludzkiego, nie było praw żadnych? „Czyż niema nic wspólnego pomiędzy bezleśną pustynią a zwyczajami plemion koczujących, co na niej rozbijają swoje namioty; pomiędzy żyzną równiną a trzodami i życiem pasterskim, pomiędzy łańcuchami gór a odwagą która ich często broniła, pomiędzy morzem a usposobieniem do szukania przygód?“

Zdaniem jego narody żyją podług takich samych praw jakie rządzą życiem człowieka pojedynczego. Są to przemijające przechodnie formy ludzkości, muszą one wygasnąć jak wygasają gatunki królestwa zwierzęcego. Odbywają wszakże „swoj pochod nie bezładnie i bezmyślnie jakby we śnie, ale istnieje wspaniała droga, po której wszystko postępować musi w nieustannym ruchu, w ciągłym nieprzerwanym postępie.“

„Tę zasadniczą ideę swoją Dreper rozwija w przeglądzie całej prawie Historii powszechniej, zaczynając od Egiptu i Indyów i postępując przez Grecję, Rzym, wieki średnie ku nowym czasom. Obchodzi go wyłącznie rozwój umysłów, filozofii, religii, postępy nauk ścisłych i przyrodniczych. Na ostatku kreśli z przedziwną prostotą i jasnością obraz wiedzy naszej: historię ziemi, stan astronomii, fizyki, anatomii, fizjologii, chemii, i dochodzi aż do najwyższych zagadnień życia organicznego. W rozdziale ostatnim potrącił nawet o najdrażliwszą strunę i położył ponętny napis: „Przyszłość Europy.“

Jakkolwiek rozmaite mogą być sposoby zapatrywania się na system historyzoficzny Drepera, jakkolwiek uczeni historycy mogą się różnić z nim w zapatrywaniu się i przeprowadzeniu szczegółów, to przecież sam ogrom przerobionego materiału i niepospolite zalety pisarskie, rozległość poglądu, świeżość pomysłów, swoboda i spokój sądu, gorąca miłość dla nauki, a przede wszystkim ta jasność i praktyczność, jaka stanowi najcenniejszy może przymiot rasy anglo-saxońskiej nadają dziełu Drepera wartość wysoką.

„Zresztą że dzieło to mile było witane przez publiczność czytającą, dowodzi tego znaczna liczba wydań jego we wszystkich językach europejskich. Przedsiębiorcą ogłoszenie jego w języku polskim, pra-

gnę uzupełnić brak tej znakomitej pracy w literaturze naszej, a sądząc że dobrą wyświadczyć przysługę wszystkim zwolennikom historii i filozofii nowoczesnej; wszystkim ludziom myślącym a nawet szerszym kołom czytelników szukających posilnej strawy umysłowej.

Tłumaczenie wykonanem zostało podług oryginału angielskiego z wszelką możliwą starannością.

— Professor Warszawskiego Uniwersytetu p. Berg ukończył przekład *Pana Tadeusza* Mickiewicza na język rosyjski. Wyjątki z tego tłumaczenia były drukowane, teraz całość ma iść pod prasę.

— Ks. *Władysław Siarkowski* autor opisu *grobów w Katedrze Kieleckiej* i badacz przeszłości, podaje (w *Gazecie Kieleckiej*) zajmujące szczegóły o gnieździe rodzinnem Stefana Czarnieckiego, owego słynnego hetmana i pogromcy Szwedów, który słusznie mawiał o sobie że wyrosł:

„*Ani z roli*  
*Ani z soli,*  
*Ale z tego co mnie boli.*”

„O siedem mil od Kielc, a kilka wiorst za osadą Włoszczowa leży w lesistej okolicy wieś Czarnca, dziedzictwo niegdyś Stefana Czarnieckiego, które po przodkach w spuściznie otrzymał; we wsi tej w r. 1640 bohater ten wystawił kościół murowany na cześć Najświętszej Maryi Panny i S-go Floryana, jak świadczy o tém napis łaciński umieszczony na tablicy kamienną nad zakrystyą. We dwanaście lat potem 1652 r. wyrestaurował w tejże wsi dom, w którym niegdyś przodkowie jego zamieszkiwali i na pamiątkę umieścił płytę marmurową z odpowiednim napisem łacińskim. Dziś niema śladu z tego domu, czas w gruzy go zamienił, zaś ocaloną płytę wmurowano na zewnątrz ścianie kościoła nad okienkiem, które grób Stefana Czarnieckiego oświeca. Do czasów obecnych w niewielkiej odległości za kościołem stoją trzy lipy odwieczne. Ludzie starzy wspominają, że przed laty między pomienionemi lipami stał stół kamienny. O tém więc miejscu przechowało się podanie, że tu Czarniecki zwykł był odmawiać różaniec w czasach wypoczynku w Czarnicy po trudach wojennych. Gdzie się zaś stół pomieniony podział? kto go złąd wziął? o tém mimo starannego wypytywania się nie mogliśmy się niczego dowiedzieć.

Jak wiadomo Czarniecki złamany starością a jeszcze więcej znękany trudami wojennemi podejmowanemi z nadludzką siłą, zachorował na Ukrainie i uległszy naleganiom przyjaciół kazał się w lektyce zawieszonj między kołmi wieźć do Dubna, ale nie dociągnął do tego miasta i w chacie włościańskiej we wsi Sokołowie, w styczniu 1665 r. Bogu ducha oddał. Przed zgonem kazał przyprowadzić swego ulubionego konia, mdlejącą go ręką głaskał i prosił obecnych, aby o nim mieli staranie. Zwłoki Czarnieckiego sprowadzono do Czarnicy i tu w grobie kościelnym pod chórem z wielką okazałością pochowano w trumnie cynowej. W czasie rozruchów krajowych przed

laty, trumna wywleczoną została z miejsca wiecznego spoczynku i popsuta, z pozostałych po niej kawałków ówczesny proboszcz miejscowy kazał zrobić 6 lichtarzy. Lichtarze te do dziś dnia stoją na wielkim ołtarzu kościoła w Czarnocy, o szczątkach zaś Czarnieckiego trudno się dowiedzieć. Z czapraka ulubionego konia bohatera, który rodzina Czarnieckiego podarowała kościołowi, zrobiono kaptur i nim przyozdobiono kapłańską kapę. Ubiornu tego miejscowy proboszcz używa w czasie większych uroczystości kościelnych.

Czarniecki za tycia obok dzielności charakteru i nieustraszonego męstwa, był bardzo pobożnym, szczególniejszą cześć i nabożeństwo miał do Matki Bożej. Jój wizerunek we wszystkich walkach miał przy sobie. Dwa obrazy Matki Najświętszej przed którymi zwykły był ten wojownik, jak niesie podanie odmawiać modlitwy, znajdują się w kościele w Czarnocy. Obrazy te rzeczywiście mają na sobie wyraźną cechę odległej starożytności.

Pamięć o tym niepopolitym mężu do dni obecnych przechowuje się wiernie między ludem miejscowym. Terażniejszy pleban w Czarnocy zapewniał nas, że lud w jednej z pieśni pobożnych imię Czarnieckiego wspomina. Najpiękniejszy to bez wątpienia pomnik jaki sobie człowiek w sercach wystawić może. Nagrobka bowiem żadnego niema ani w kościele ani na cmentarzu, jest tylko wizerunek malowany na prostej tarcicy, przedstawiający tego bohatera jako hetmana siedzącego na koniu.

W zbiorze przywilejów zebranych przez ś. p. Zielińskiego, b. naczelnika powiatu kieleckiego znajdowały się oryginalne przywileje wsi Czarnocy z roku 1366, 1414, 1418, 1427, 1437, 1441, (F. M. Sobieszczański w Wycieczce archeologicznej str. 179).

O zabytkach tych nie znaleźliśmy dotąd wzmianki w żadnym piśmie.

— Roznoszenie książek po wsiach i miasteczkach, tak zwane *kolporterstwo* praktykujące się w W. księstwie Poznańskim i Prusiech Zachodnich, coraz większe przybiera tam rozmiary. Pan Kwitnowski donosi, że od *Trzech Króli* r. b. sprzedał w ogóle książek polskich za 842 talarów. Największy pokup miał w ziemi Chełmińskiej, gdzie w ciągu czterech tygodni utargował 160 talarów. Dodamy, że podług wiadomości zasiągniętej od księdza pastora *Otto*, w Szląsku Austryjackiem, przy pomocy kolporteryi rozchodzi się od 10 do 12000 egzemplarzy każdej książki ludowej. U nas pierwszy o ile nam wiadomo, przed kilkudziesiąt laty księgarz *Gustaw Sennewald* (ojciec) próbował kolporteryi, ale przez brak sumienności, tego któremu ją powierzył, poniosłszy stratę, więcej jój nie próbował, po nim żaden z księgarzy naszych w tym celu dla rozpowszechnienia pokupu książek, nie poszedł w jego ślady.

— Czytamy w Gazecie Polskiej. „Na przesłane nam przed niejakim czasem zapytanie, ilu jest izraelitów w 10-ciu guberniach kraju tutejszego? odpowiadamy zamieszczając tu dostarczone nam przez redakcyę „Izraelity“ urzędowe według jój oświadczenia, cyfry. W końcu roku 1871 było ludności żydowskiej:

	mężcz.	kobiét.	razem.
W Warszawie . . . .	39,972	46,713	86,685
W gub. Warszawskiej . .	37,758	39,523	77,381
„ Lubelskiej . . . .	46,385	48,580	94,925
„ Kaliskiej . . . .	30,250	34,875	65,165
„ Piotrkowskiej . . . .	38,180	41,507	79,687
„ Siedleckiej . . . .	37,464	40,318	77,782
„ Radomskiej . . . .	35,570	38,534	74,104
„ Kieleckiej . . . .	25,234	26,427	51,661
„ Płockiej . . . .	23,254	25,252	48,506
„ Łomżyńskiej . . . .	34,604	36,684	71,288
„ Suwalskiej . . . .	42,977	44,862	87,839
Razem . . . .	391,648	423,275	814,923

Uderzającą jest tu przewyżka kobiet o 31,627, nad mężczyzn. Tę różnicę widzimy i pomiędzy chrześcijanami, przeglądając cyfry statystyczne ludności wszystkich miast naszych.

— *Katalog zbioru medalów i monet polskich*, hrabiego Emeryka Hutten-Czapkiego, tom 1-szy wyszedł w r. z. w Petersburgu (Carl Ricker), i w Paryżu (chez Baer) in 4-to. Stron liczbowanych jest 406, nieliczbowanych 4; tytuły są dwa, i przy każdym z 5-ciuset odbitych egzemplarzy, jest karta z Nr. porządkowym egzemplarza. Katalog ten ułożony jest w języku francuzkim. Tom ten 1-szy, obejmuje opis medali i monet polskich od najdawniejszych czasów do końca panowania Jana III-go. Tom 2-gi w tym roku jeszcze podobno wyjdzie; widziano już bowiem wydrukowane opisy numizmatów do ostatnich czasów, z wyjątkiem medali osób prywatnych, które doprowadzone dopiero do litery R. Dzieło to kosztujące wiele pracy i nakładu, będzie jednem z najbogatszych dla polskiej numizmatyki dzieł tego rodzaju: jest w niem przeszło 300 rycin odmian, niewydanych dotąd na widok publiczny. Jestto jednak tylko katalog zbioru posiadanego przez hr. Czapkiego, nie jest więc kompletnym katalogiem numizmatów polskich. Katalog ułożony jest niemal ściśle chronologicznie; to jest, wszystkie sztuki zamieszczone są pod tym rokiem, w którym wybite zostały, a raczej który jest na nich wyrażony. Numizmaty nie mające daty, zamieszczone zostały na końcu każdego panowania, bez względu na znaki menniczne i inne cechy, według których, okazy inaczej można było umieścić. Powstała więc mieszanina medali i pieniędzy koronnych, od najgrubszych do najdrobniejszych, po których bez oddzielnej intytulacyi idą litewskie, gdańskie, elbląskie, toruńskie, rygskie, poznańskie, bydgoskie, i wschowskie. Uporządkowanie takie nie dało się logicznie przeprowadzić. Lepiejby było pod każdym panowaniem zamieścić opis numizmatów nie latami, ale gatunkami: naprzód wszystkie medale, potem monety koronne, potem litewskie i t. d.

Autor nie poprzestał na prostém wyliczeniu okazów zbioru jego stanowiących, owszem bardzo dokładnie je opisał, dodawszy w oso-



bnych rubrykach, w jakim są kruszcu, ich wagę w milligramach, średnicę w millimetrach, numera odnoszące się do ważniejszych naszych dzieł numizmatycznych i stopnie rzadkości. Druk, korekta i całe wydanie niezmiernie staranne, powiedzielibyśmy: zbyt dobre, gdyby w numizmatach mógł istnieć zbytek dokładności.

Wszystkie znaki przedziałowe, osobliwszego kształtu głoski, znaki myncarskie, oraz herby podskarbach i miast, odbite są z osobno w tym celu wykonanych kliszy, ryciny zaś numizmatów nieobjęte naszymi elementarnymi dziełami, dodane są w tekście.

W końcu tego pierwszego tomu umieszczono bardzo starannie wypracowane objaśnienia głosek pojedynczych lub składanych, oraz znaków i herbów znajdujących się na monetach; słowem, pod skromną nazwą katalogu, spotykamy dzieło obejmujące bardzo wiele takich wiadomości numizmatycznych, którychbyśmy w poświęconych nauce tej dziełach napróżno szukali.

— *Kraków*. Staraniem Jana Matejki i wszystkich miejscowych artystów, zawiązuje się *stowarzyszenie artystów*, którzy zrywają stosunki z teraźniejszym Towarzystwem Sztuk Pięknych. Ustawę właściwą wkrótce zredagują, dla zatwierdzenia władzy. U *Czecha*, wyszła „*Pieśń Januszowa o Krakusowym grodzie*.” Na okładce tej maleńkiej książeczki jest drzeworyt z wyobrażeniem mogiły Kościuszki, jaką była przed jej ufortyfikowaniem. Ks. *Henryk Książarski*, proboszcz z Modlnicy Wielkiej pod Krakowem, wydał przełożone przez siebie: „*Dokumenty tyczące się wcielenia Rzeczypospolitej Krakowskiej do monarchii Austryjackiej w roku 1846*.” Jeden z największej przedsiębiorczych księgarzy tutejszych *J. M. Himmelblau*, wydał własnym nakładem w r. b. *Wettera*: Dzieje powszechnie skrócone w przekładzie Zygmunta Sawczyńskiego. Wydanie trzecie: *Lerela Władysława* Gramatyka języka Polskiego, dla użytku szkół elementarnych. Wydanie 2-gie poprawne, *Karola Mecherzyńskiego*: Wypisy polskie dla szkół żeńskich, z najcelniejszych pisarzy; tegoż: *Historya literatury polskiej dla szkół*. *Dr. Kelnera* pedagogika w urzywkach, obejmująca sprawy szkoły początkowej i wychowania domowego, opracowana przez Zygmunta Sawczyńskiego. *E. Rebena*: Wypisy niemieckie do tłumaczenia niemieckiego na polskie i z polskiego na niemieckie. *Smilkowskiego*: Wypisy francuzkie do użytku młodzieży polskiej z dodatkiem słownika francuzko polskiego. Wydanie drugie. *Siemieński Lucyan*: Wieczory pod lipą, wydanie dziesiąte.

Wyszły nadto tłumaczenia z oryginału *Pokornego* przez *Dr. Rzepeckiego* w drugim już wydaniu: Zoologia i Mineralogia, każde z kilkuset drzeworytami.

Professor rysunków seminaryum żeńskiego w Krakowie, wydał *wzory nauki rysunków dla szkół ludowych*.

Nakładem wydawnictwa *Kraju* wyszły: *Adam Mickiewicz i pisma jego do roku 1829*, przez Alberta Gąsiorowskiego *Fizyologia codziennego życia G. H. Lewesa*: z angielskiego przetłumaczył *Ludwik Masłowski: Obrazki z podróży po Szwecyi* Barona W. Engeströma. *Irydion* odczyt Adama Bełcikowskiego. *Józef Ignacy Kra-*

*szewski przypomnienie czterdziestoletnie zasług piśmienniczych i pracy*: przez Karola Estrejchera. *Kwestya nadbaltycka* Jana Leśniewskiego.

Adam Belcikowski wydał w r. b.: *Zofjówka, Serafina* dwa poemata. A. Nowolecki wydał dwa tomy utworów El. . . y p. n. *Poezye*. Professor W. Łuszczkiewicz wydał: *Zabytki Sztuk Pięknych Krakowa*. I. Pomniki architektury od XI do XIII wieku ze stanowiska historii sztuki.

— Towarzystwo pod godłem *Mrówki*, zawiązane w końcu 1868 roku w Krakowie, mające na głównym celu, zakładanie i zasilanie biblioteczek szkółek ludowych, dla rozszerzenia w tej warstwie oświaty, po zgrupowaniu walnóm w dniu 24 sierpnia r. b. powiększyło się do 300 członków. Składka miesięczna wynosi 10 centów. Krzątając się gorliwie, cicho i bez rozgłosu, od czasu swego powstania utworzyło lub zasililo sześćdziesiąt kilka biblioteczek przy szkołach ludowych w Krakowie i poza Krakowem, rozdało przeszło 1000 książek ludowych i dla młodzieży przeznaczonych. Nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich Władysława Jaworskiego, wyszła monografia: „*Zakon Kamedułów, jego fundacye i dziejowe wspomnienia w Polsce i Litwie*”. Przeważnie według źródeł rękopiśmiennych archiwu OO. Kamedułów w Bielanych przy Krakowie, skreślił Ludwik Zarewicz, członek komisyi historycznej przy C. K. Towarzystwie Naukowem Krakowskiem. (W 12-ce 1871 roku str. VI, str. 232). Jestto streszczenie (jak sam autor pisze w przedmowie) obszerniejszych prac jego: „*Dziejy zakonu Kamedułów w Polsce i Litwie i monografia Bielanych Krakowskich*.”

— Wyszły dwa tomy *Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego*, tom 20 i tom 21. Poczet czwarty. *W tomie 20* mieszczą się następujące rozprawy. Uwagi nad podaniem o pieśni: Bogarodzica przez ks. Pękalskiego; Modlitwy Wacława zabytek mowy staropolskiej przez professora Sucheckiego. Rzeźba kamienna Krakowska XIV wieku przez professora Łuszczkiewicza. Wątpliwość w używaniu składni „przyprawić kogoś o coś” przez prof. Sucheckiego. Znaczenie końcówki „ota” przez prof. Sucheckiego. Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologiczny w Bononii 1871 roku: Sprawozdanie hr. Przeddzieckiego z dodatkami i o dwóch stacyach krzemiennych w ziemiach polskich, o pałacu Czeszewskim, o żalniku Dobieszewskim i okazach z epoki brązu znalezionych w krajach dawniej Polski z projektem nowych map archeologicznych międzynarodowych; Jan Śniadecki na polu filozofii przez D-ra. Ziembę; Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII przez K. B. Hoffmana. Sprawozdanie o kamieniach runicznych Mikorzyńskich przez hr. A. Przeddzieckiego. *W tomie 21* Przyczynek do anatomii fizyologicznej i patologicznej naczyń chłonniczych skóry ludzkiej przez prof. Biesiadeckiego. Poszukiwania morfologiczne nad miotnikiem otrębiastym przez prof. Janczewskiego, Trzy rozprawy prof. Ed. Skiby, Przyczynek do teoryi sprężystości, Współczynniki załamania promieni świetlanych w różnych mieszaninach wyskoku, Nowa teorya rozczepiania się światła, Dwie rozprawy

p. Long Feigla, Uwagi nad przypadkiem zdziergnięcia jelit w worku przepuklinowym, O budowie i przeznaczeniu szpiku kostnego, Trzy rozprawy prof. Kuczyńskiego, Przyczynek do teorii soczewek, O sposobie użycia soczewek dwuwypukłowych grubych zamiast szkielek jedno barwnych. Przyrząd do oznaczenia linii falistych złożonych, powstałych w skutek interferencji fal poprzecznych. Dwie ostatnie rozprawy prof. Kuczyńskiego wyszły w oddzielnych odbitkach. Prócz tego: Rozbiór chemiczny dwóch źródeł, wody siarczanęj w Krzeszowicach przez Ad. Aleksandrowicza, Teorya równań liniowych o pochodnych cząstkowych rzędu 1-go jednej funkcyi przez prof. Wł. Zajęczkowskiego.

— We Lwowie wyszło dziejko p. t. *Obrazy wszech świata: Astronomia i Geologia popularna* napisał Jan Stella-Sawicki z 60 drzeworytami. Jestto przewodnik bardzo użyteczny dla młodzieży naszój, w którym systematycznie a jednak z pewnym wyborem autor w wykładzie jasnym przedstawił główne przedmioty astronomii i geologii. Zamieścił także treściwą wzmiankę o astrologii, o tój chorobie umysłowój, która przez tyle wieków panowała nad ludzkością wiążąc metafizykę z naukami przyrodniczymi, z tego powodu autor odzywa się: „Jestto najlepsza nauka dla nas, iż należy przystępować skromnie do badań natury i orzekać wtedy tylko, gdy mnogie fakta przekonają nas iż wnioski robimy sprawiedliwy.“ Autor wyszczególniając astrologiczne przepowiednie, talizmany, amulety noszone dla zapewnienia zdrowia, życia, miłości, bogactwa i t. d. przytacza: „Żołnierze niemieccy tak byli przekonani o skuteczności tych środków, że pewien autor francuzki mówiąc o pobiciu ich we Francyi dodaje, że znaleziono amulety na szyi wszystkich zabitych, rannych i wziętych do niewoli.“

— We Lwowie wyszła: *Teorya rachunkowości wiejskiój podwójnej* przez E. Wędrychowskiego profesora szkoły agr. w Dublanach.

— W Berlinie wydrukowaną została książka p. t. *Moc prawna dowodu ze świadków w postępowaniu karném, przez Józefa Ostrowskiego*. Rozprawa napisana dla pozyskania stopnia kandydata prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

— *Encyklopedyi rolnictwa* redakcyi J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i S. Przysańskiego wyszły cztery zeszyty: ostatni obejmuje Budownictwo wiejskie i inne. Jedno z najpożądańszych dzieł dla naszego kraju, godne szczególnego poparcia i uznania. Z wyszłych dotąd zeszytów widać że Encyklopedia nasza nietylko dorównywa lecz nawet przewyższa wartością swoją Encyklopedye tego rodzaju za granicą wychodzące.

— Wielki obraz *Matejki*, przedstawiający Stefana Batorego w obozie pod namiotem, który był na wystawie Lwowskiej, obecnie umieszczonym został w salonie Stowarzyszenia Wiedeńskiego Sztuk Pięknych (*Kunstverein*). Sprawozdawca wiedeńskiej *Pressy* między innymi, pisze: „Malarze obdarzeni w wysokim stopniu świetnością kolorytu, znajdują w nim raczej przeszkodę niż pomoc, jeżeli za przedmiot swego pedzla obierają temata historyczne. Gdzie idzie o spra-

wienie wrażenia wzniosłego, tam i kosztowna szata technąć powinna tą samą powagą i szlachetnością, co i osoba która jest nią przystrojona, a wzgląd ten i do całości utworu winien być uogólniony. Artysci wystrzegać się powinni, aby obraz mający nam uprzytomnić jedną z wielkich chwil historyi, nie stał się przedstawieniem błyskotliwej, częściej sceny ceremonialnej. To też jestto największą dla ostatniego dzieła Matejki pochwałą, iż o nióm powiedzić można: że pomimo całego bogactwa i blasku kolorytu, jest prawdziwie wielką historyą kompozycyą. Większego przepychu trofeów, akcesoryi i draperyi od czasów Tyciana i Pawła Weroneza nikt jeszcze dotąd tak nierozwinął jak Matejko; a pomimo jednak tego zewnętrznego przepychu, scena historyczna będąca treścią obrazu, typy, charaktery, rysy i różne odcienia uczuć przedstawionych postaci, pochłaniają całą uwagę patrzącego. Znaczenie historyczne sceny dominuje tu nad zewnętrznymi powabami formy, a to najwymowniej świadczy o dobrze obmyślonej treści i wysokiej wartości obrazu.“

Podawszy następnie streszczenie obrazu, wielce dla jego twórcy po-  
chlebne, a które tu pomijamy, sprawozdawca kończy słowami:  
„Obraz ten jest najznakomitszym dziełem Matejki i pierwszorzędnym  
utworem w całej dziedzinie nowożytnego malarstwa historycznego,  
a zarazem pierwszą próbą mistrzowskiego owdładnięcia kolorytem.“

— We Lwowie na miejscowym cmentarzu, wzniesiono pomnik na  
grobie ś. p. *Karola Szajnoch*y, pomysłu p. Filipiego, a wykonany przez  
p. Periera. Jest on w kształcie piramidy z orlem na szczycie, w pośrodku  
popiersie znakomitego historyka, u podstawy zaś allegoryczne  
figury.

— Dzienniki niemieckie, mianowicie literackie, zajmowały się  
mocno i dotąd zajmują broszurą D-ra. Bratranka z Krakowa, pod tytu-  
łem: „Zwei Polen in Weimar,“ która nie jest czem inném, jak  
przekładem listów Odyńca umieszczonych w *Kronice Rodzinnej*, opisu-  
jących pobyt Mickiewicza i Odyńca w Weimarze. Niemiecocy krytycy  
i historycy literatury nie mogą się nacieszyć tym mistrzowskim obraz-  
kiem, obchodzącym ich rzeczywiście tyle tylko, ile w nim widzą odno-  
śnego do Goethego i jego otoczenia. Podziwiają trafność spostrzeżeń,  
świeżość barw, oryginalność charakterystyki, i niema prawie dziennika,  
któryby nie przytoczył tych listów w wielkich wyjątkach. Obszerne  
dzieło pośmiertne kanclerza Müllera, prawie całe poświęcone wspom-  
nieniom o Goethe'm i życiu ówczesném wejmarskiém, nie wywołało  
ani połowy tego ruchu umysłowego między Niemcami, ile wywołały go  
listy Odyńca przetłumaczone przez D-ra Bratranka. Zdając z nich  
sprawę, wołają niemieccy literaci: „utajony skarb“ i dziwią się że  
„w pokątném warszawskiém piemku“ skarb taki się znalazł.

— Na powszechną wystawę w Wiedniu, w roku przyszłym  
mającą być otwartą, professor Maryan Jaroszyński wykończa wielki  
obraz historyczny 280 stóp kwadratowych mający, którego treścią

jest *traktat Toruński* z 1466 roku. Władysław Chotomski w obszernym artykule krytycznym w jednym z pism poznańskich, nader wysoko stawia ten obraz, i twierdzi, że pod względem kompozycyi może się ubiegać o pierwszeństwo z obrazami Kaulbacha i Delaroche'a. O ile to zdanie jest prawdziwe, sam utwór dopiéro nas objaśni.

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszło dzieło p. n: *Teorye polityczne XVI wieku, poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach srednich: skreślił Dr. W. M. Olendzki.* (Czcionkami Ludwika Merzbacha w 12-ce, 320, 1873 roku).

— W czasopiśmie czeskiem „*Kmiety*“ młody poeta *Antal Staszek* w udatnym przekładzie, wydrukował poemat Juljusza Słowackiego: „*Anhelli*.“

— Księgarz i wydawca *Bluszczu*, Michał Glücksberg, ogłosił prospekt na „*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, podług tekstu łacińskiego Wulgaty, przekład ks. Jakóba Wujka, zatwierdzony przez Stolicę Apostolską.*“ Wydanie to w przepysznej edycyi, w kroju arkuszowym, ozdobione 230 drzeworytami rysunku najslawniejszego francuzkiego ilustratora *Gustawa Dore'go*, zacznie wychodzić w r. b. dla ułatwienia miesięcznie po dwa zeszyty, z których każdy obejmie 3—4 arkuszy tekstu i tyleż rycin. Całe wydawnictwo ukończonem zostanie w kwietniu 1875 roku i obejmie 62 zeszytów. Tak ilustrowane *Pismo Święte*, rozpowszechniło się we Francyi; Anglii i Niemcy zaraz je sobie przyswoili. Przekład Jakóba Wujka, wzbogacony jest objaśnieniami podług J. Fr. Allioli, sam tekst zachowany ściśle i sumiennie. O szerokiém rozpowszechnieniu tej wspaniałej publikacyi nie powątpiewamy, sama wartość dzieła, nowa ilustracya i łatwość nabycia, dają tego rękojmię.

— Redakcyja *Przeglądu Tygodniowego* ogłosiła prospekt na wydawnictwo „*pięćdziesięciu tomów za pięć rubli*“ z gałęzi nauk: Filozofii, Historii, Pedagogii i wychowania, Nauk ekonomicznych, Nauk przyrodniczych, Podróży, Szkiców i literatury pięknej. Oprócz tego kilka tomów pod tytułem *Miscelanea* obejmie rozprawy drobne, w różnych gałęziach nauk najznakomitszych uczonych angielskich, niemieckich i rossyjskich: pierwszy tom tej publikacyi ma się ukazać w grudniu r. b.

— Juljusz Kossak zamieszkujący stale w Krakowie wypracował akwarelłowiy portret ś. p. Adama hrabiego Potockiego. Nieboszyk przedstawiony jest konco na swój ulubionój białej klaczy, zwanój „*Panna*.“ Układ obrazu i pojęcie portretowanój postaci przypomina portret Leona hrabiego Rzewuskiego, także przez Kossaka dawniej wymalowany. Kasztanowaty wierzchowiec Rzewuskiego i biała klacz Potockiego widocznie wiernie z natury są oddane. Tam widać w głębi zamek Podchorecki, tu ruiny zamku w Tenczyńcu. Krajobraz liściastego lasu nosi na obu akwarelach tę samą cechę i ma ten sam koloryt jesiennego oświetlenia. P. Kossak

wykończył także dwa albumy z wyprawy myśliwskiej na niedźwiedzia. Jedno z nich przedstawia widoki polowania w Karpatach, drugie szkice humorystyczne z tej wyprawy.

— Etnograf i archeolog *Zygmunt Gloger* przygotowuje do druku przekład znakomitego dzieła *Lutock'a, Człowiek przedhistoryczny*. Praca ta będzie wielce pomocną w poszukiwaniach, jakie badacze nasi rozpoczęli w wynalezieniu szczątków tego okresu, i śladów człowieka przedhistorycznego.

— W miesiącu wrześniu i październiku r. b. *Kłosa* od Nr. 378 do 382, obejmują artykuły z drzeworytami: Karol August Heylman.—Odaliska.—Odjazd na pustynię: Zamek w Podhorcach (Sala złota).—Wystawa paryska.—Teatr na wyspie w Łazienkach Królewskich.—Przy płocie.—Opatów.—Podhorce (Sala karmazynowa).—Blanka naróżna.—Studnia deptakowa. Podczas bombardowania Paryża.—Ojciec Marek z Aviano.—Boże dary.—Madej.—Humań i widok klasztoru pobazylińskiego i kościoła katolickiego.—Nauka matki.—Międzyboż.—Jan ze Sprowy.—K. August Moes.—Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Dersław z Rytwian powieść T. T. Jeża.—Początek i charakter arystokracji angielskiej.—Listy J. I. Kraszewskiego.—Sir Walter Skott.—Z obcego świata I. Hodie'go.—Drugie cesarstwo we Francji T. T. Jeża.—Przegląd teatralny.—Marta Kuzmówna powieść.—Pokłosie.—Ugo Foskolo, Studium literackie.—Międzynarodowy kongres statystyczny w Petersburgu.—Opatów.—Łazienki królewskie pod Warszawą.—Wiadomości z pola literatury i sztuki.—Kronika naukowa p. T. Skomorowskiego.—Kronika lwowska.—Przegląd prasy peryodycznej.—Charakter, przez Samuela Smilesa.—Poczye.—W kwestyi spółki połączonj pracy kobiet.—Przegląd polityczny.

— *Tygodnik Ilustrowany* od Nr. 248 do 252 obejmuje artykuły z drzeworytami: Rzeźby Lenartowicza.—Altana Maryi i brzoza Mickiewicza w Tuhanowiczach.—Faworyt.—Jan Siostrzyński.—Posąg Stanisława hr. Skarbka.—Antoni Stalpe.—Młodzi lazzaroni.—Projektowany podjazd przy dworcu drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.—Chór na Jasnej górze w Częstochowie.—Wzajemna usługa.—Marya Szymanowska.—Adam Pajgert.—Dziewczyzna karmiąca ptastwo.—Zaoisze leśne.—Zamek książąt Litewskich w Wilnie.—Dziewczę i kwiaty.—Grajek ubogi.—Konie tatarskie na jarmarku.—Podróż po muzułmańskim Wschodzie. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Morituri powieść J. I. Kraszewskiego.—Dawid Livingstone i jego podróże po Afryce.—Zbiory Monachijskie.—Przegląd piśmienniczy.—Przegląd teatralny.—Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.—Rok straszny W. Hugo (przekład).—Samuel ze Skrzypny Twardowski: Studium literackie B. Chlebowskiego.—Korrespondenye.—Szkice z Kaukazu.—Ze świata muzycznego.—Szaohy.—Rebusy.—Wet za wet powieść w dwóch tomach z angielskiego.

OD REDAKCYI  
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ.

**Biblioteka Warszawska** wychodzić będzie w roku 1873, w którym pismo to zacznie trzydziesty trzeci rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie **Rs. 9**, na prowincyi **10**; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytym porządku odbierać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie przedmieście Nr. 415) przesłać prenumeratę **Rs. 10** i zarazem zawiadomić, z której stacyi pocztowej zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniej zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

# LIBER BENEFICIORUM DŁUGOSZA.

PRZEZ

*Felixa Zielńskiego.*

## II.

Dobra duchowne w dyecezyi krakowskiej. — Ioh rozległość. — Tytuły posiadania. — Wsie i folwarki. — Karczmy i młyny. — Prawo polskie i niemieckie. — Powinności włościańskie. — Robocizna. — Pojedynsze spostrzeżenia.

Majątek nieruchomy stanowił, obok dziesięcin, główne źródło dochodów duchowieństwa, objętych opisem Długosza. Dobra duchowne w dyecezyi krakowskiej były liczne i obszernie, lecz rozległość ich zaledwie w przybliżeniu oznaczyć się daje.

W pierwszej części niniejszej pracy powiedzieliśmy, że w księdze beneficjów Długosza „ziemia po największej części jest pomierzona.“ Ściąga się to przecież tylko do ziemi uprawnej. Lasy, łąki, pastwiska, nieużytki i t. d. nie okazują się być pomierzone; przynajmniej księga beneficjów ich rozległości nie oznacza.

Ziemia uprawna zostawała w posiadaniu bądź włościan, sołtysów, kmieci, zagrodników, karczmarzy, młynarzy i t. d., bądź głównych właścicieli. Pomiar jest co do pierwszej części roli prawidłem, co do drugiej tylko wyjątkiem.

Z tych względów niepodobna z jakąkolwiek ścisłością oznaczyć ogólnej rozległości dóbr duchownych w dyecezyi





Krakowskiej. Oznaczenie liczebne może ściągać się tylko do ilości łanów, przez włościan uprawianych.

Była to przecież, jeżeli nie największa co do rozległości, pod względem dochodów najważniejsza część własności gruntowej, jedyna stanowiąca podstawę ówczesnego systemu podatkowego.

Przytoczyliśmy z księgi beneficjów, w pierwszej części niniejszej pracy, opis wsi Jałowesy. Liczba łanów podana w tym opisie na wstępie, wynosi dwadzieścia jeden. Z tych dwa posiadał sołtys, dziewiętnaście kmiecie. Z dalszego ciągu opisu okazuje się, że właściciel wsi Jałowesy, biskup Lubuski, posiadał w tej wsi roli uprawnej dwa łany, ogród i sadzawkę. Miał także i łąkę, którą kmiecie obowiązani byli sprzątać, każdy po dwa dni w roku. Czy do tej wsi las należał, w opisie niema wzmianki.

W obliczeniu ilości łanów w dobrach duchowieństwa, przyjmujemy liczbę łanów we wsi Jałowesy na 21, objaśniając na tym przykładzie sposób obliczania, za podstawę którego służy ilość łanów zwykle na wstępie opisu każdej wsi w Długoszu podana. Nie wchodzi do ogólnej cyfry ani ilość łanów roli folwarcznej, z powodu że tylko wyjątkowo rozległość jej jest w opisie wskazana, ani tém mniej rozległość lasów, łąk, pastwisk, gdy ta w opisie wcale nie została oznaczoną.

W takim nawet zakresie przedsięwzięte obliczenie nie daje jeszcze wypadków dokładnych, z powodu że w wielu wsiach, zwłaszcza w części trzeciej swojej pracy, obejmującej majątki duchowieństwa zakonnego, Długosz nie był w stanie cyfry łanów podać i tylko kropkami ją oznaczył; a nadto, że w niektórych lubo wyjątkowych razach, według wzmianki o tém przez Długosza uczynionej, rola nie była na łany podzielona.

Nakoniec w pracy tak rozległej, mogły i z naszej strony pomimo łożonej usilności zajść pomyłki rachunkowe, które zresztą, jak sądzimy, nie czynią zbytniej różnicy w ogólnym wypadku obliczenia.

Z temi zastrzeżeniami podajemy wypadek obliczenia ilości łanów w dobrach duchowieństwa w dyecezyi krakowskiej, opisanych w liber beneficiorum, przypominając, że opis w tej księdze zawarty nie obejmuje dóbr stołowych biskupa krakowskiego, opisanych w zaginionej pracy Długosza z r. 1440,

i że z trzech tomów dzieła *liber beneficiorum*, pierwszy odnosi się do dóbr wyższego duchowieństwa świeckiego; drugi wykazuje uposażenie probostw; trzeci majątki duchowieństwa zakonnego.

Według naszego rachunku było w dyecezyi krakowskiej (łącznie z Pabianicami):

własnością wyższego świeckiego duchowieństwa realności 266, łanów 1849. (Tom I);

własnością probostw, oprócz gruntów probostw we wsiach cudzych, realności 28, łanów 81. (Tom II);

własnością duchowieństwa zakonnego, realności 601, łanów 4152;

Razem realności 895, łanów 6082. Dodając do tej ostatniej cyfry przypuszczalną cyfrę łanów, liczebnie w Długoszu nie wskazanych, przyjąć można w dobrach duchownych w dyecezyi krakowskiej, oprócz dóbr stołowych biskupa krakowskiego, ogółem łanów około siedm tysięcy.

Jak widzimy, trzy massy majątków duchownych w ogólnym wypadku obliczenia objętych są bardzo nierówne. Największą jest massa majątku nieruchomego duchowieństwa zakonnego; po nióm idzie wyższe duchowieństwo świeckie: ostatnie i bardzo poślednie miejsce zajmują probostwa. Nierówność uposażenia zwiększyłaby się jeszcze, zwracając uwagę na okoliczność już wyżej przywiedzioną, że w spisie majątków zakonnego duchowieństwa jest więcej niż w dwóch pierwszych tomach pozycyi, w których nie podaną liczbę łanów zastępują kropki. Natomiast w odwrotnym kierunku modyfikuje wypadek podanego obliczenia, względ na okoliczność, że tak znaczne źródło dochodów jak dziesięciny (1) płynęło przeważnie na korzyść wyższego świeckiego duchowieństwa i proboszczów, i że grunta probostw we wsiach do cudzej własności należących położone, jako co do rozległości

(1) Dziesięcina z dóbr Łagowskich w dyecezyi krakowskiej położonych, lecz należących do biskupa wrocławskiego, szła na rzecz tegoż biskupa. Długosz mówi (I 621) że w ten sposób biskup wrocławski dochody swoje z dóbr Łagowskich *podwoił*. Uważał więc dochód z dziesięciny za równający się dochodowi właściciela głównego. Jest w tém może przesada; to pewna jednak, że stosunek dwóch tych gałęzi dochodu więcej się zbliżał do równości za czasów Długosza niż w czasach późniejszych, w których dochód właściciela wzrósł, dochód z dziesięciny zmalał.

po większej części nie oznaczone, nie weszły do rachunku. Wprawdzie pominięte zostały także folwarki, w dobrach wyższego duchowieństwa i zakonnych, lecz jak poniżej zobaczymy, liczba tych folwarków była za czasów Długosza mniejszą od liczby probostw.

Duchowieństwo zakonne liczyło 59 klasztorów (w Tomie III 58, w Tomie I. 1), należących do 15 zakonów.

Niższe duchowieństwo świeckie opatrywało w dwudziestu dekanatach i archidjakonatach 662 probostw.

Duchowieństwo wyższe oprócz obcych biskupstw, posiadających dobra w diecezji krakowskiej, liczyło jedną kapitułę i jedenaście kolegiat.

Wskazawszy przedmiot własności, posiadające ją osoby, wypada z kolei zastanowić się nad tém, jakie były tytuły posiadania.

Długosz na oznaczenie prawa własności używa w księdze beneficjów rozlicznych wyrażen: *haereditas*, *proprietas*, *proprietas pleno jure* (III s. 369), *propria possessio*, *sors*, *fundus*, *dominium*, *dominium pleno jure*, *dominium supremum* (II 469). Wyrażenia najpospolitsze, *haereditas dominium*, *proprietas* używane są lub pojedynczo, lub obok siebie, najczęściej *proprietas et dominium*, czasem *haereditas et proprietas*, raz nawet wszystkie te trzy wyrażenia stoją w połączeniu. Sprawa, *villa cuius haereditas et proprietas et dominium pertinet ad abbatem et monasterium Clarae Tombae* (I 23) (1).

Odmienne wyrażenia na oznaczenie prawa własności, wskazują niezaprzeczenie na odmienne pierwotnie względy, pod któremi to prawo było uważane. Względy te jak mniemy były: ekonomiczny, polityczny i spadkobierczy. *Proprietas* jestto własność uważana jako prawo rzeczowe, prawo do przychodów, do ciągnięcia użytków z własności. *Dominium* jest własność uważana ze strony prawa zwierzchności nad ludnością na gruncie zamieszkałą (2) i prawa patronatu.

(1) Pomimo takiego zlania się wszystkich możliwych tytułów prawnych na rzecz klasztoru Mogińskiego, własność Sprawy nie długo trzymała się klasztoru. W tomie III str. 426 czytamy, że w roku 1475 klasztor sprzedał tę wieś Pieniążkowi z Iwanowia za 350 grzywien.

(2) Zwierzchnie prawo jest wyrażnie uznane w dawnych ustawach, z zastrzeżeniem jednak praw rządowych. Statut Jana Alberta z roku 1496 (Bandtkie, *Jus polonicum* str. 348) przepisujący kary na właścicieli dóbr, na

Hereditas wreszcie jest własnością uważaną ze względu na jej trwanie wieczyste. Własność, zwierzchność, dziedzictwo, tak moglibyśmy przełożyć te trzy odcienia jednego pojęcia. Lecz w potocznej mowie drugie z tych wyrażen, w znaczeniu wskazanem nie upowszechniło się tyle, co pierwsze i trzecie. Wyrazy dominium, prawa dominialne żywcem przeszły do naszego języka, może dopiero w nowszych czasach, bo w słowniku Lindego jeszcze tych wyrazów niema. W odpowiedniem znaczeniu ma on tylko dwór, dworszczyzna, odrabiać lub płacić dworszczyznę. Ztąd zdaje się, że pojęcie w wyrazie dominium zawarte, było obce, gdy nie zdołało sobie wyrobić powszechnie przyjętej krajowej nazwy. U Modrzewskiego w tłumaczeniu widzimy użyte wyrażenia: zwierzchność i panowanie (p. Bibl. Warsz. roku 1843 Tom III str. 267. Artykuł o sołtystwach przez L. Ł.)

Trzy wyżej wskazane odcienia w pojęciu własności za czasów Długosza, mieszają się z sobą, przechodzą jeden w drugi, bywają brane za jedno. Kiedy np. Długosz (II 382) mówi „Cobylniki. . . villa cuius proprietas ad Serenissimum Poloniae regem pertinet, widocznie ma na myśli własność zupełną. Taką więcj niż każda inna była własność królewska; niepodobna przypuszczać, aby od niej jako oddzielne prawa odłączone być miały zwierzchność i dziedzictwo.

Jednakże czasem, lubo nader rzadko, w dziele Długosza proprietas i dominium rozchodzą się z sobą i występują oddzielnie. Przypadek ten zachodzi najwyraźniej co do wioski Manina, o której Długosz tak pisze: (II str. 469).

Manina villa. . . cuius proprietas ad ecclesiam in Manina pertinet, dominium vero et jus patronatus ejusdem ecclesiae pertinet ad episcopum Lubucensem, et episcopus Lubucensis est unicus ejusdem ecclesiae patronus et habet ibi aliquam sortem, ex qua habet dominium supremum eiusdem villae.

Biskup lubuski był panem wsi; to jego zwierzchnie prawo było przywiązane do części, którą w niej posiadał; miał téż prawo patronatu. Właścicielem był proboszcz.

kmieci i na miasta za używanie soli zagranicznej, dodaje co do kmieci „baerendis contradictione non obstante, qui taliter subditos suos tenere debet ut non sint poenales.“

Ze szczegółowego opisu okazuje się, że były w tój wsi dwa łany kmiece; z tych jeden należał do proboszcza, drugi do biskupa i to było całą w tój wsi biskupa własnością. Były nadto dwie karczmy (tabernae), dwie zagrody (hortulaniae), które płaciły czynsz proboszczowi lub odbywały dla niego robociznę. On téż pobierał całkowitą dziesięcinę dla siebie i miał rolę i łąki w swoim posiadaniu.

Byłoby ciekawém i pouczającém, gdybyśmy dawniejsze koleje i początek stosunków własności we wsi Manina wysłedzić mogli; dzieło Długosza nie podaje do tego materiału. Mówi on o tejże wsi w opisie dóbr biskupa lubuskiego (I 643): In ista villa habet episcopus unam sortem, residuum est plebani de Manyna cum laneis.

Proprietas i jus supremum oddzielone są znowu co do wsi Krzczaczyn w księstwie Zatorskiem (III 66. 67). Własność należała do klasztoru Zwierzynieckiego w Krakowie; jus supremum do księcia na Zatorzu, któremu dawano po korcu owsa z czubem i dwa kuraki z łanu, a przytem płacono pięć grzywien i wiardunek zwyczajnej monety.

Osepów i czynszów składanych panującemu we wsiach prywatną własnością będących znajduje się w księdze beneficjów zaledwie kilkanaście przykładów: w tomie pierwszym Okalina, Goyczów, Siedlec; w tomie trzecim, Sorbic, Krzczaczyn, Zorzow, Radzieszów, Brunaczowska Wola, Parczowice, Bystrzyca, Łukawa. Opłaty dla kasztelana widzimy tylko w dwóch wsiach do dóbr Pabianickich należących (p. niżej). Stacye dla króla zastrzeżone są tylko w kilkunastu wsiach biskupstwa lubuskiego, w czém można upatrywać wskazówkę, że Długosz co do dóbr tego biskupstwa czerpał wiadomości z dawnych rejestrów.

Odróżnienie *haereditas* od *dominium*, prawa dziedziczenia od prawa zwierzchniej własności, znajdujemy w Długoszu (II str. 113). „Winary villa. . . cuius haeredes Stanislaus et Johannes Marsalkoviczi de armis Zadora, quam *nomine regis tenent*.“ W ogóle *haereditas* wyrażając względ trwałości posiadania, niełączyła się tak ściśle z pojęciem własności jak *proprietas* i *dominium*. *Haeredes* byli nazywani czasem i włościanie (Cod. dipl. Pol. II 86). Długosz zna (wieczystą), dziedziczną dzierżawę młyna prądnickiego, *arrenda haereditaria* (III 42). Przywilój na karczmę w Jugowicach dany zo-

stał w roku 1424 Stanisławowi Pudełko i jego prawym spadkobiercom (III 34 35).

Powyższemi tytułami oznaczone prawo własności obejmowało w części ziemię, będące w bezpośredniem posiadaniu właścicieli, w części ziemi uprawiane przez innych, ulegające pewnym obowiązkom na rzecz tak zwanych właścicieli.

Co do ziem pierwszego rodzaju nazywają się one u Długosza *pospolicie praedia, agri praediales*; dość często *allodia*, dawniejsza zdaje się od *praediów* nazwa; wyjątkowo *aratura*, nazwa jak miemam najdawniejsza, parę razy *grangia*. Dziś nazywamy to folwarkiem, gruntami folwarcznemi. W Długoszu napotykamy wyrazy: folwarki I 169, Wolfarki (I 209 210), Forwarki (III 117), Wolwarfky (III 118), jako nomenklatury o niejednostajnej jak widzimy pisowni, oznaczające gospodarstwa podmiejskie. Górnicki, najdawniejszy z autorów przywiedzionych przez Lindego co do wyrazu folwark, w podobnym znaczeniu tego wyrazu używa „folwarczek nad miastem dla przejażdżki i pociechy.“ Wzorem podmiejskich forwarków (*Vorwerk*) wyosobniono i nazwano większe gospodarstwa wiejskie. Zanim jednak do tego przyszło, zanim *allodium* wyosobniło się jako osobna całość z *villi* (Dług. III 117 *wyoszka*) zdaje się iż znane były tylko dwory (*curia, curtis*) a dworska rola (*aratura*) pomieszana z innymi, w układzie wioskowym nie miała nazwy oddzielnej.

Nie we wszystkich wsiach były folwarki. Na ogół realności obliczonych na 895, przypada folwarków duchownych 361, z czego 102 w dobrach wyższego duchowieństwa; 6 w majątkach probostw; 253 w majątkach zakonnych.

W dobrach duchownych we wsi jest tylko jeden folwark, należący do duchowieństwa. Wyjątek od tego spostrzegłem w Charwinie, majątku Benedyktynów tynieckich, którzy posiadając część téj wsi z folwarkiem, kupili drugą część od świeckiego posiadacza także z folwarkiem (*praedium militare*). Lecz w opisie majątków duchownych znajdują się także wsie w których było po kilka folwarków świeckich, np. w Świancyczkach (Tynieckich) folwarków takich dwa, w Przewodach folwarków trzy, w Danicach folwarków cztery. Wielość folwarków w jednej wsi szlacheckiej była stosunkiem zwyczajnym. Księga beneficjów, oprócz opisu majątków duchownych z wyszczególnieniem wszystkich źródeł ich docho-

dów, zawiera także krótkie i nie tak szczegółowe wykazy wsi, będących w posiadaniu świeckich, ze względu na składane z nich dziesięciny. W tych wsiach odróżnione są posiadłości folwarczne od kmiecyh jako oddzielnie, a często i różnym duchownym osobom dziesięcinę składające (1). Otóż gdzie we wsi był tylko jeden folwark, Długosz wyszczególnia to wyrażając się dość często *unum tantum praedium, praedium unicum*. Przykładów większej ilości folwarków w jednej wsi jest tyle, że przywozić je po szczególe byłoby zbytęcznóm.

Folwarki w ogóle miały nie wielką rozległość. Jakkolwiek w dobrach duchownych było ich tylko po jednym na wioskę, a ztąd zapewne w przecięciu były większe niż *praedia militaria*, to przecież rozległość ich o ile jest wymieniona, rzadko znaczniejszych cyfr dochodzi.

Z folwarków do wyższego duchowieństwa należących w liczbie 102, znalazłem rozległość podaną w łanach przy folwarkach 23. Z tych sześć miało po jednym łanie; jeden półtora łana; ośm po dwa łany; trzy po trzy łany; trzy po cztery łany; jeden tylko (Pabianice) liczył sześć łanów, ale téż Długosz dodaje: *habet agros largos praediales*.

W tomie II (probostwa) z folwarków których rozległość podana, dwa Brunowice i Jankowice liczą po dwa łany. Większym był od nich folwark proboszcza w Drochlinie (II str. 100 101, I str. 18) ale ten składał się z kawałków, oso-

(1) O dziesięcinach patrz pierwszą część niniejszej pracy. Nadmieniam, że w wydanym w roku 1870 kodeksie dyplomatycznym Uniwersytetu Krak. T. I znajduje się wyrok w sprawie o dziesięciny zapadły dnia 31 stycznia 1388 roku (str. 9-12) na który, ze zwykłą sobie uprzejmością zwrócił moją uwagę senator Hube. Jest tam ustęp str. 11, *et quia jure communi in Regno Poloniae dictatur, ubi colunt rustici agros in bonis haereditariis, decimae dantur in communem cursum dictum Gonitvam*. *Gonitwa* zdaje się tu być wytłumaczoną w znaczeniu wyścigów (*oursus*). Dowodziłoby to tylko, że już pod koniec XIV wieku nie wiadano co znaczy *gonitwa* w wyrażeniu dziesięcina w *gonitwę*. Heloel nie znając przywiedzionego wyroku ślusznie zastrzegł się przeciw mieszaniu *gonitwy* z wyścigami (str. 50).

W *liber beneficiorum* ważnym i widoki Heloela zupełnie popierającym jest dokument z roku 1215, w którym dziesięcina z kilku folwarków (*aratura*) należących do prywatnego posiadacza, przypisana zostaje kościołowi parafialnemu z rozrządzenia samego właściciela folwarków (II 396,7).

Nareszcie w *Cod. dipl. Pol.* znalazłem w dokumencie z roku 1339 (III str. 206) wzmiankę o dziesięcinie przechodzącej in *gonitvam*.

ne nazwy mających. Widocznie była to całość w różnych czasach skupiona. Pierwotnie obejmował ten folwark dwa łąny.

W tomie III pięć folwarków ma po dwa łąny; trzy po trzy łąny; trzy po cztery łąny; jeden pięć; jeden siedm łąnów. Wyjątkowo wielkie były dwa folwarki klasztoru mogińskiego w Prandocinie i Kacicach (III 424, 425). Pierwszy miał do czterestu łąnów. Powstał z sołtystwa zakupionego za 410 grzywien szerokich groszy. Większy jeszcze był folwark w Kacicach, pierwotnej siedzibie klasztoru. Długosz mówi o nim jak o czemś niebywałem, „klasztor Mogiński wszystkich kmieci téj wioski, która ma ziemię żyzną usunął i złączywszy ich łąny z łąnami folwarcznemi dawnemi, uczynił folwark znamienity i któremu drugiego równego zaledwie znaleźć można, a zbudowawszy kilka ogromnych stodół, wielką moc zboża wszelkiego rodzaju tam składa i przechowuje, którego zboża uprawa odbywa się więcej własnym pługiem i ludźmi swojemi niż pracą kmieci.“ (Łanów kmiecych było w Kacicach szesnaście). „*Huius ville quae foecundam et uberem glebam habet omnes laneos cmethonales deposuit et antiquis praedialibus coniunctis praedium insigne et cui secundum difficulter reperitur Monasterium Mogilense fecit et aliquot horreis amplis et protensis effectis, magnam vim frumentorum cuiuslibet generis illic servat et congerit quae magis propriis colonis et aratro quam cmethonum suffragiis elaborata proveniunt.*“

W ogóle zatem pola folwarczne nie były obszerne. Pole na którym sto korcy wysiewano, nazwane jest wielkiem „*Campus magnus in Syedliska ubi centum chori seminantur* (I 18).“ Gdyby korzec ówczesny był równy dzisiejszemu, byłaby to rzeczywiście znaczna rozległość. Lecz wykazaliśmy w pierwszej części niniejszej pracy małą w stosunku do dzisiejszej objętość ówczesnego korca, i że trzy takie korce równały się jednej miarze (mensura). O rozległości pola o stu korcach wysiewu możemy powziąć bliższe wyobrażenie ze wzmianki, że na folwarku (allodium) Przewięczany, mającym dwa łąny (mansi) wysiewano trzydzieści miar (1) t. j.

(1) Łukaszewicz: Krótki opis etc. str. 297 w przypisku mówi, że z kilku rejestrów gospodarskich z pierwszej połowy XVIII wieku okazuje



dziewięćdziesiąt korcy oziminy i tyleż jarzyny (I 646 7). Folwark oszacowany był do podatku na dziesięć grzywien dochodu (*allodium valet decem marcas*). Zebrane z niego zboże warte było przeszło piętnaście grzywien.

Wielkie pole w Siedliskach, jeżeli wysiewano na niem sto korcy jednego tylko zboża, nie wynosiło nawet łanu całego. Wprawdzie ten łan był dość obszerny. Świadczy o tém poczucie językowe przechowane w sposobie mówienia, którego nie widzę zaznaczonym u Lindego. Mówimy o rozległej przestrzeni zboża „jaki łan“ „bujne łany“ i t. p.

Odpowiednie szczupłości folwarków były też i zbiory z nich. Na folwarku Zagorzyce (III 5) zebrano raz siedm tysięcy snopów (wiązek *casulae*) pszenicy. Było to w r. 1456, prawie na dwadzieścia lat przed ułożeniem dzieła Długosza, który o tém jako o niepamiętném zdarzeniu zachował wiadomość, nadmieniając „*res monstrosa et nonnisi ab his qui viderint credita*“ (1).

Takie samo pojęcie o rozległości ówczesnych folwarków dają nam ceny dzierżawne za nie płacone. Bywały bowiem folwarki w dzierżawie, *arendata*. Oto niektóre z tych cen: Parskawice folwark o dwóch łanach dzierżawiony za trzy grzywny lub dwie kopy; Siedlec o dwóch łanach grzywien cztery; Zamoście o dwóch łanach grzywien dwie; Szewce kop dwie; Karniowice sześć grzywien; Damianice grzywien cztery; (p. tom I). Prandnik trzy łany, grzywien dziesięć (III). Niektóre z tych cen nie wyrównywają przychodowi jaki właściciel pobierał z jednego łanu kmiecego, jak niżej zobaczymy.

Folwarki mnożyły się, ich obszerność wzrastała, w części przez zakup sołtystw, który nawet prawem upoważniony został, w części przez usuwanie kmieci. Jednego i drugiego

się, iż kmieć na łanie wysiewał 15 ćwiertni poznańskiej miary oziminy i tyleż jarzyny. Według tego ćwiertnia byłaby polską nazwą *mensury*, gdy 15 *mensur* wysiewano na łanie według Długosza. Ćwiertnia poznańska obejmowała 4 wiertelce każdy po 18 garcy. Obszerność łanu Wkopolskiego Łukaszewicz oznacza na 126-180 morgów magdeburskich; porównaj Kolberg, porównanie miar i wag, wydanie 2-gie w roku 1838 str. 51 52.

(1) W indeksie do *Liber beneficiorum cassula* objaśniona jest przez snopek a *casula* przez stóg siana, z powołaniem się na I 537. Atoli *cassula* i *casula* jest jeden i ten sam wyraz. Stogi, brogi, sterty zwały się *acervi*, *frumenta in acervos disponere*, por. I 276 534.

przytoczyliśmy pojedyncze przykłady. W Liber beneficiorum jest ich bardzo wiele, a więcej jeszcze w majątkach świeckich niż w duchownych.

Daleko mniej liczne, lecz wcale nie rzadkie są przykłady odwrotne, t. j. zamiany ról folwarcznych na kmiecie. Następowало to w razach, gdy gospodarstwo rolne nie przynosiło właścicielowi dochodu. W Piechonicach np. do kapituły krakowskiej należących, folwark osadzony został kmieciem, ponieważ więcej sprawiał wydatku niż czynił dochodu „*praedium quia plus constabat quam proferebat locatum est cmet-hone.*“ W ogóle można powiedzieć, dążność była dwojaka. W gruntach mocnych i żyznych pozbywano się kmieci, zakładano i zwiększano folwarki; w gruntach lekkich i płonnych na folwarcznych rolach osadzano kmieci. Podobną dążność dostrzedz można było u nas przed rokiem 1846.

Do folwarków zaliczyć także można grunta probostw we wsiach cudzą własnością będących. W księdze beneficjów nie mają one innej właściwej sobie nazwy. Długosz używa zwykle wyrażen: *ecclesia albo plebanus habet agros et prata pro suo usu et necessitate albo pro suo praedio.* Jest nawet folwark sołtysa, *praedium scoltetiale* (III 454).

Systemat gospodarowania na folwarkach był w ogóle trzy polowy; lecz są przykłady cztero polowego podziału. Taki systemat gospodarowania zaprowadziły u siebie Górka mała, Grambołów, Mistrzowice, Kuchary, Grabków, Bieńczyce, Tampoczół i pleban w Pabianicach. Rzadsze są przykłady podziału na dwa pola, Chroszcz w dobrach klasztoru staniątkowskiego.

Sposób obrabiania pól folwarcznych łączy się z kwestyą powinności włościańskich: zastanowimy się nad nim poniżej.

Przestrzeń lasem zarosła stanowiła podówczas większą, zapewne część kraju: ten właśnie nadmiar vegetacji drzewnej czynił ją bezcenną w największej liczbie okolic i był powodem, że na stosunki własności i użytkowania *borów i gajów* w ogóle mało zwracano uwagi. Wzmianki jakie się w tym względzie znachodzą u Długosza, są, rzecz można wyjątkowe, dowodzą że już w niektórych okolicach drzewo nabierało wartości. Przytaczać je po szczególe nie widzimy potrzeby, gdy na stan ówczesnego gospodarstwa krajowego nie wywierają znaczniejszego wpływu.

Jednym z ważnych źródeł dochodów większych właścicieli stało się w późniejszym czasie wyrabianie i sprzedaż trunków, mianowicie wódki i piwa. U Długosza o wódce nie widzimy żadnej wzmianki. Piwo sprzedawane było a w części i wyrabiane w karczmach, które należały nietylko do dworów, lecz często także do sołtysów, a czasem lubo rzadziej i do proboszczów (II 354). Stosunek ten w Długoszu jest jeszcze zupełnie *konkretny*; nie mówi on o prawie warzenia i szynkowania; wyrażenia jus braxandi, jus propinandi ani razu nie napotyka się w księdze beneficjów. Natomiast liczne są wzmianki o tabernach. W niektórych wsiach, lecz bardzo rzadkich, jest taka ilość tabern, że to dało powód p. Maciejowskiemu w jego rozbiórce księgi beneficjów (Bibl. Warsz. roku 1864 str. 117) do wniosku iż Długosz pod wyrazem taberna rozumie wzorem klassycznej i średniowiecznej łaciny, raz wieśniaczą chatę, drugoraz karczmę. Takie rozumienie wyrazu taberna byłoby jednym dowodem więcej, że prawo propinacyi za czasów Długosza jeszcze się nie wyosobniło.

Przemawia za tem naturalna kolej rzeczy. Wyrabianie i wyłączna sprzedaż trunków nie jest prawem z własności gruntu wynikającym, tak jak nie wynika z własności gruntu wyrabianie i sprzedaż płótna, sukna, bednarszczyzny i t. d. Można się trudnić wszelkimi rodzajami przemysłu bez upoważnienia właściciela gruntu na którym się mieszka: z kądże odmienny stan rzeczy z biegiem czasu wykształcił się, co do wyrobu i sprzedaży trunków?

Powiedzieliśmy już, że okoliczność ta nie zostaje w związku z własnością ziemi (*proprietas*), jak wielu mniema. Propinacya nie jest owocem ziemian użytkiem z niej ciągnionym. Drugi element średniowiecznej własności, *dominium*, prawo zwierzchnie nad ludnością na gruncie zamieszkałą przyczynił się pośrednio do wytworzenia prawa propinacyi; ale nie jest jego źródłem. Na mocy prawa dominialnego właściciele pobierali od procederów pewne opłaty tam, gdzie te procedery główne zajęcie mieszkańców stanowiły, a więc mianowicie po miastach, czasami i na wsiach. Tak np. w tenucie Pabianickiej, kmiecie i mieszkańcy po wsiach (*emethones et incolae*) trudniący się kołodziejstwem, dawali rocznie *pro dominio wóz* z dwoma kołami nowemi, lub pła-

cili groszy sześć; gonciarze dawali pro dominio po siedm kóp gontówi t. p. (I 292). Te opłaty zazwyczaj drobne rozciągane były i do warzących i sprzedających piwo i miód, w tym samym lub podobnym rozmiarze co i na innych procederentów, lecz okoliczność ta nie tylko istnienia prawa propinacyi nie dowodzi, ale je wyłącza. Kto opłatę od procederu przez drugich wykonywanego pobiera, ten prawa do wyłącznego wykonywania procederu nie rości.

Długosz dostarcza przykładów opłat propinacyjnych po miastach. W Koprzywnicy (III 378) każdy dom, jeżeli nie warzył piwa, płacił właścicielowi, którym był klasztor koprzywnicki, po groszu jednym; jeżeli warzył piwo, po groszy dwa „*quaelibet domus si non braxat cervisiam solvit de fundo et area unum grossum, si vero braxaverit cervisiam solvit duos grossos*“. Podobnież każdy rzemieślnik płacił po dwa grosze.

Opłata od warzenia piwa równa się tu opłacie od każdego innego rzemiosła. Opłata ta nałożona była na mocy dominium eminens, władzy publicznej nie oddzielonej wówczas od własności gruntowej (*proprietas*), lecz nie jest to jeszcze *ius braxandi et propinandi*. Mieszczanie warzyli piwo, kiedy chcieli i swoje wary szynkowali. W Pabianicach każdy warzący lub szynkujący piwo płacił kapitulę, tych dóbr dziedzice, po jednym groszu, warzący zaś lub szynkujący miody po dwa grosze zwykłej monety (I 274). I tu opłata jest zwykłą opłatą procederową. Przytem dwór w Pabianicach sam warzył także piwo, bo kmiecie należącej do Pabianic wsi Rypułtowskię Woli obowiązani byli zwozić do dworu pabianickiego drzewa ile potrzeba do warzenia piwa, item *tenentur pro curia in Pabianice adducere ligna pro braxatione cervisiae quotquot sunt necessaria* (I 291). Jest to jeden z rzadkich przykładów trudnienia się podówczas dworów warzeniem piwa. Por. I 629.

W Kłobucku mieście królewskim, mieszczanie i przedmieszczanie szynkujący piwo i miód płacili klasztorowi w tém mieście istniejącemu po groszu od szynkowania piwa, a po trzy grosze jeżeli oprócz piwa szynkowali i miody. Opłata nazywała się *guthowe* (1); dla wykazania istnienia pod ów-

(1) Tekst drukowany (III 166) wprowadza w tém miejscu w błąd czytelnika a nawet specjalnych badaczy. Wydrukowano bowiem *buthowe*

czas prawa propinacyi dziedzica, tém mniej przywzodzoną być może, gdy klasztor dziedzicem Kłobucka nie był, lecz miasto należało do własności królewskiej.

Widzimy jak małe po większej części były opłaty od propinacyi pod bezpośrednim wpływem prawa dominialnego powstałe. Na tych opłatach ograniczała się cała korzyść właściciela ze sprzedaży trunków po miastach. Na wsiach sprzedaż trunków nie była również za czasów Długosza źródłem znaczniejszych dochodów dla właścicieli. Karczmarze na wsiach byli rodzajem włościan, mających nawet zwykle lubo nie zawsze swoją rolę, lecz zajmujących się głównie warzeniem i szynkowaniem piwa, a czasem rzezią bydła, co oprócz wyraźnych wzmianek ztąd się okazuje, iż w daninie składali dworowi dość często łój, tak jak jatki rzeźnicze miejskie. Czynsz przez nich opłacany był wyższy od włościańskiego; natomiast karczmarze zwykle wolni byli od zaciągu i tylko dodatkowe roboty np. tak zwane powaby odbywali. Również po większej części wolni byli od danin i osepów, tak, że osada karczmarska, gdy i czynsz z niej nie był zbyt wysoki, często nie wiele więcej co osady kmiecie czyniła dworowi dochodu. Karczmarze szynkowali piwo bądź swego waru, bądź zkądinąd sprowadzone. Nie widzę w księdze beneficjów śladu, iżby piwo brali ze dworu, co się później namietaniem zwało (por. Łukaszewicz krótki opis miast i wsi w powiecie Krotoszyńskim str. 41) lub iżby dwór na siebie trzymał karczmę. Dwór zwykle nawet piwa nie robił; zdarzało się że obowiązek robienia piwa na potrzeby dworu ciążył karczmarza (I 343) lub téż dwór dawanie sobie przez karczmarza piwa w naturze zastrzegał.

Wyrób i sprzedaż trunków wykształciły się nieco odmiennie na wsiach i po miasteczkach; lecz tu i tam zysk właścicieli polegał tylko na umiarkowanej opłacie od procederentów, wynikającej z prawa dominialnego; korzyści z wyrobu

co dało poohóp p. Maciejowskiemu l. c. do poprawienia *buthowe* na *butkowe* (*budkowe*), a nawet w innem miejscu (III 4) *guthowe* na *butkowe*. W indeksie (str. LVII) znajduje się objaśnienie, że *buthowe* jest tylko błędem kopii, z której druk księgi beneficjów uskuteczniiony został; w autografie bowiem stoi w tém miejscu tak jak w innych *guthowe*. To więc czytanie jedynie jest właściwem.

i wyłącznej sprzedaży trunków po cenach wyższych niż targowe, właściciele jeszcze nie ciągnęli.

Kwestya propinacyi zaczęła nabierać znaczenia, prawo to osiągnęło faktyczną podstawę dopiero z rozszerzeniem się fabrycznego wyrobu trunków i z tym rodzajem wyrobu zostaje w ścisłym związku.

Wzmianki o browarach ściągają się w księdze beneficjów tylko, do miast większych, Krakowa, Wiślicy, Sandomierza. Na wsiach a nawet i w miastach pomniejszych nie było osobnych browarów. Mieszczanie warzyli piwo po domach, karczmarze na wsi w karczmach. Ze wzmianek iż w Pabianicach, Pyrkowie, Swyrzszach właściciele warzyli piwo, nie można jeszcze czynić wniosku, iżby w tych miejscowościach istniały osobne browary. I po dworach warzono piwo sposobem domowym; do fabrykacyi na większą skalę nie było podniety, gdy szczupłe podówczas i nieliczne folwarki nie wywoływały kwestyi odbytu dla pomiernych swoich plonów.

Lecz już za czasów Długosza panowała dążność do pomnażania i powiększania folwarków. W miarę wzrostu gospodarstw większych, zaczęła się dla nich przedstawiać kwestya nie łatwa do rozwiązania, przy małym zaludnieniu kraju i kominikacyach w stanie natury zostających. Szukając dróg odbytu zaczęły dwory warzyć piwo, a następnie palić wódkę w większych rozmiarach na sposób fabryczny. Ztąd dopiero wyrodziło się dążenie do monopolu, ztąd powstało prawo propinacyi czyli wyłącznego wyrobu i sprzedaży trunków. Do zapewnienia sobie tego monopolu, posłużyło dworom prawo dominialne co do swój rozciągłości ustawami nie określone, lecz jak wykazaliśmy, propinacya nie w tém prawie ma swoje źródło. Nie jako rolnik właściciel, nie jako pan zwierzchni, ale jako fabrykant dążył właściciel wioski wyrabiający piwo i wódkę do zapewnienia odbytu swemu wyrobowi, a pan zwierzchni osłaniał tylko swoją powagą zachcianki fabrykanta.

W podobny sposób i za granicą powstawały jura banaria. Znane było np. we Francyi droit de ban-vin, prawo służące właścicielowi głównemu sprzedania swego wina zanim inni mogli zacząć je sprzedawać. Cibrario pisząc o stanie ekonomicznym Włoch za czasów Danta (Révue contemporaine 15 maja 1868 r.) odróżnia dominium eminens,

directum, utile i mówi o władzy dominialnej, „Elle se fit marchande, détaillante à des prix toujours plus élevés que les cours naturels de certaines denrées et marchandises, le vin, le sel, la pelleterie de luxe, le fer, l'acier, la poix; ce monopole se restreignit pour le vin à un ou deux mois chaque année.“ Monopol przekracza tu granicę wyrobów miejscowych. Przywiedzione przez Cibraria przedmioty nie były jedyne, które uległy prawu monopolicznej sprzedaży. Duch monopolu jest niewyczerpany w swoich wynalazkach (1).

Okoliczność, że monopol zjawia się dopiero przy produkcji fabrycznej, tłumaczy nam, że przymus mlewa nastął u nas piérwój niż prawo propinacyi. Piérwój były młyny niż browary i gorzelnie. Istnienie przymusu mlewa Długosz wyraźnie i niejednokrotnie zaświadcza, np. co do wsi w włości pabianickiej położonych w słowach: „cmethones in molen-

(1) Kilka z ciekawszych jego nowoczesnych a krajowych objawów możemy tu przywieść na podstawie akt urzędowych.

Przed laty około dwudziestu, właściciel dziś już nie żyjący obszernych dóbr nad granicą Królestwa położonych, w których sól z zagranicy sprowadzana była przedmiotem defraudacyi, zawarł ze starozakonnym umowę, przez którą zobowiązywał się za dość znaczną roczną opłatą, czuwać nad tém, aby w obrębie jego dóbr nikt inny oprócz rzeczzonego starozakonnego soli przemycanej nie sprzedawał. Tak powstał nieznaný dotąd monopol sprzedaży soli defraudowanej. Spekulacya zakończyła się wymierzeniem kary fiskalnej na biorącego i wypuszczającego monopol w dzierżawę.

W r. 1810 znowu właściciel miasteczka Golina pod Koninem nadał starozakonnemu monopol sprzedaży soli w tém miasteczku, a następnie wytoczył proces przeciwko trzem mieszkańcom sprzedającym sól na własny rachunek i co dziwniejsza uzyskał wyrok b. Sądu Najwyższej Instancyi, z d. 23 lutego (6 marca) 1840 r. przychylający się do jego żądania.

W Prusach co do krajów Księstwa Warszawskiego przeszłych pod panowanie, sądy różnie rozstrzygły kwestyę, czy mianowicie przymus mlewa zniesiony został przez zaprowadzony w Księstwie Warszawskim kodeks Napoleona (art. 686). Za zniesieniem oświadczył się Ober Landes gericht w Kwidzynie (Marienwerder). Do tego rozumienia prawa przychyliło się Ministerjum Sprawiedliwości pruskie decyzyą z d. 1 czerwca 1827 r. W W. K. Poznańskim prawa przymusowe trwały faktycznie do roku 1833, w którym zniesione zostały ustawą z d. 13 maja 1833 r. (Gesetzsammlung za r. 1833 str. 59). Również zniesiono inną ustawą tejże daty (tamże str. 55) opłaty dominialne. Systemat indemnizacyj w obu razach był odmienny, co do przymusu trunkowego tak urządzony, iż niewiele się różnił od bezpłatnego zniesienia.

Co do wpływu kodeksu Napoleona na przymus trunkowy, porów. rozprawę A. K. w Bibl. Warsz. 1861 I. s. 298—300.

dino capituli molere tenentur.“ Przymus ten rozciągający się nawet do mielenia słodu,—w Skarbimirzu (I 517) jest *molendinum in quo oppidani de jure et consuetudine tam brasca sua molunt quam frumenta*; ma już w Długoszu techniczną nazwę. Jestto *necessitas molendi*, czemu odpowiada prawo mielenia *jus molendi*. Kto był obowiązany młéć w pewnym młynie, miał téż i prawo aby mu zmielono: *Molendinum in quo oppidani nullum jus habent molendi vel necessitatem*, mówi Długosz (I 517). Przymus mlewa nie zostawał w ścisłym związku z własnością ziemi, bo przysługiwał nawet *sołtysom* i wójtom, gdy ci byli posiadaczami młynów, np. w Wiskitnie (I 287), w Łagowie gdzie przymus rozciągał się i do mielenia słodu (I 621), lecz tylko dla ludzi wójtowskich, *homines advocati*. Że przymus mlewa za czasów Długosza nie był bezwyjątkowym, to wynika z takich wzmianek, jak np. o wsi Bodzowie (I 110). Nie było w téj wsi młyna. Długosz nadmienia, że kmiecie mielał we wsi Błoniu lub gdzie im się podoba, *cmethones molunt in Blonye vel ubi volunt*. Podobnież w Okalinie i Gojczu (I 397—8) *molunt ubi possunt*. Gdyby wybór młyna zależał zawsze od woli kmieci, zbytęcną byłaby wzmianka że tak jest w Bodzowie, Okalinie i Gojczu, lecz uwydatnienie wyjątku wymagało oddzielnego zastrzeżenia.

Fabryczny wyrób trunków rozwinął się najprzód w miastach. Ztąd téż po stronie miast spostrzegamy pierwsze usiłowanie zapewnienia sobie monopolu i to nie tylko w obrębach miejskich, ale i na wsiach. Lecz miasta pozostawione własnym siłom nie miały u nas dostatecznej przewagi, aby temu uroszczeniu zjednać skuteczne uznanie. W poparciu więc swoich roszczeń użyły pomocy, zapewne nie zupełnie bezinteresownej, starostów. Ślad tych usiłowań pozostał w naszym prawodawstwie. Statut Jana Alberta z roku 1496, pierwsza z ustaw naszych odnoszących się do propinacyi, wzbroniła starostom zmuszać mieszkańców wsi do brania piwa z miast królewskich, zapewniając zupełną wolność sprowadzania wyrobów i przedaży wszelkich trunków tak właścicielom wsi jak ich poddanym:

*Abusum illum quo ad recipiendas in villas de civitatibus et oppidis nostris cervisias, spirituales et saeculares subditi nostri specialiter in Brestensi Junivladislaviensi et Ra-*



dziewioviensi, aliis quoque terris et districtibus compellebantur, tollimus et abolemus perpetuo decernentes statuentes que illos et alios ubique locorum in regno nostro constitutos, *villarum dominos eorumque subditos* in hac libertate conservandos ut liceat cuique cerevisias et liquores alios undecumque recipere sumere in villisque et aliis locis ditionis eorum braxare et braxari facere ac undecumque maluerint aut voluerint sumere, habere, propinare et utifrui libere absque omni nostrae et capitaneorum nostrorum prohibitionis arresti ac poenae formidine (1).

Widzimy, że we dwadzieścia przeszło lat po ułożeniu księgi beneficjów, właściciele dóbr nie tylko nie wykonywali prawa wyłącznego wyrobu i sprzedaży trunków w obrębie swoich dominiów, ale jeszcze sami potrzebowali opieki prawodawstwa dla zapewnienia, lecz nietylko sobie ale i swoim poddanym, wolnego sprowadzania, wyrobu i sprzedaży trunków, praw zagrożonych przez uroszczenia miejskie.

Powstanie monopolu dziedziców do późniejszych czasów odnieść należy.

Skreśliliśmy główne stosunki własności folwarcznej, jak się nam przedstawiają w opisie Długosza. Nie dotknęliśmy wszakże środków uprawy obszarów dworskich, gdy te łączą się ze stosunkami włościańskimi, do rozbioru których na podstawie księgi beneficjów przystępujemy.

Oprócz młynarzy i karczmarzy o których już mówiliśmy, spostrzegamy pomiędzy ludnością wiejską sołtysów i wójtów (sculteti, advocati) kmieci (cmethones), zagrodników (hortulani). Są też wzmiankowani czasem mieszkający na wsiach coloni, incolae, inquilini, hospites, najemnicy (qui pro pretio cmethonibus laborant I s. 534) i t. p.

Zastanawiając się nad stosunkami ludności wiejskiej za czasów Długosza, zwraca naprzód uwagę, że wzmianki o pra-

(1) Potrzeba małej znajomości dawnego naszego prawodawstwa obok zakorzenionych uprzedzeń, aby na tekście wyraźnie zastrzegającym zupełną wolność sprowadzania, wyrobu i sprzedaży trunków tak właścicielom dóbr jak ich poddanym, opierać wyłączne w tym przedmiocie prawo pierwszych, (por. sprawozdanie przedstawione sejmowi galicyjskiemu w r. 1869 na posiedzeniu 25, tudzież rozprawę A. K. o prawie propinacyi i jego rozciągłości w naszym kraju w Bibl. Warsz. rok 1861. T. I. s. 277, 278). Ostatni utrzymuje, że wyrazy eorumque subditos należą do motywów ustawy, a nie do rozporządzenia w nięj zawartego!

wie niemieckiem rzadko się w księdze beneficjów napotykają. Na wsiach niema ich w téj księdze więcej nad kilkanaście.

Tylko w jednej tenucie pabianickiej, nadanej kapitule krakowskiej je szcze w jedénastym wieku, oznaczono co do każdéj wioski, z wyjątkiem Rżgowa, w którym podówczas zakładano miasto, czy jest na prawie polskiem, czy na niemieckiem osadzone. W dobrach biskupa włocławskiego w dyecezyi krakowskiej położonych, wymieniono co do kilku wsi, że są na prawie niemieckiem i jest na końcu opisu tych dóbr ogólne zastrzeżenie, że wszystkie wioski na prawie niemieckiem istniejące, winny płacić i płacą corocznie *obiednego* po jednym wiardunku, a wójt także jeden wiardunek z wyjątkiem wsi Lychów... Item omnes villae in jure Theutonico residentes debent solvere et solvunt omni anno pro obyedne per unum fertonem et advocatus etiam unum fertonem, dempta villa Lychów (I 629). Ponieważ przy opisie Lychowa niema uczynionéj wzmianki, iżby ta wieś była na prawie niemieckiem, pod którą ją podciąga zastrzeżenie końcowe, widać ztąd, że pomiędzy wsiami biskupa włocławskiego były, prócz wyraźnie wymienionych jako istniejące na prawie niemieckiem i takie, które toż prawo posiadały, chociaż o tém opis Długosza wzmianki nie uczynił.

Oprócz powyższéj wzmianki o powszechném płaceniu obiednego przez wsie na prawie niemieckiem będące w dobrach biskupa włocławskiego, mamy inne jeszcze powody do wniosku, że ta opłata w takich tylko wsiach istniała i była w nich powszechną. Z opisu tenuty pabianickiej, jedynéj massy dóbr w której osadzenie wsi na prawie polskiem lub niemieckiem jest w Długoszu systematycznie podane, przekonujemy się, iż we wszystkich wsiach na prawie niemieckiem osadzonych, prócz Warszyna, płacono obiedne, we wszystkich wsiach na prawie polskiem będących nie uiszczano téj opłaty. Wskazane tu okoliczności upoważniają do wniosku, że obiedne było charakterystyczną opłatą wsi na prawie niemieckiem osadzonych, a ztąd że gdziekolwiek w opisie Długosza jest wzmianka, iż wieś jaka płaciła obiedne, jak np. w dobrach klasztoru tynieckiego Kawieczyn, Kamienica i t. d. albo że dawała obiady jak w Prądniku (III 210), możemy przyjąć że wieś ta była prawem niemieckiem nadana, chociaż Długosz o tém wyraźnie nie nadmienił.

Stwierdza to zdanie przywilej na sołtystwo w Płowcach, przedane w roku 1363 przez Oswalda kasztelana Słońskiego, pana na Płowcach jego wiernemu (fidei) Stefanowi Wojciechowiczowi, kmieciowi w Płowcach za 50 grzywien denarów toruńskich. Powiedziano tam: gdy wsie niemieckie mianowicie kmiecie z sołtysem, trzy obiady panu swemu zgotować są obowiązane, chcemy aby rzeczony sołtys za trzeci obiad, który jego dotyczy, płacił nam corocznie groszy dwanaście... cum igitur villae Theutunicales videlicet kmethones cum Sculteto tria prandia domino suo parare teneantur, volumus ut dictus Scultetus pro tertio prandio quod ipsum tangit nobis solvat annis singulis duodecem grossos (Cod. dipl. Pol. T. I str. 224).

Obiedne zostawało w związku z ustrojem sądownictwa we wsiach na prawie niemieckiem osadzonych. We wsiach tych niższe sądownictwo sprawowali sołtysi, pobierając zwykle trzeci denar, t. j. trzecią część opłat sądowych mniejszych, poenae parvae, dla siebie, a dwie trzecie części oddając dla dworu, dominium. Lecz trzy razy do roku odbywały się sądy wielkie, sądy gajone albo wiece, dla spraw ważniejszych i z odwołań się od wyroku sołtysa. W tych sądach przewodniczył pan wioski, albo wyznaczony przez niego zastępca; opłaty sądowe szły w całości dla dworu, obowiązkiem zaś było kmieci i sołtysa podejmować przedstawiciela władzy dominialnej. Zwykle kmiecie dawali dwa obiady, sołtys trzeci, co zapewne zostaje w związku z udziałem sołtysa w dochodzie z mniejszych kar sądowych. Zamiast obiadu składano najczęściej pieniądze i to się nazywało *obiedne*. Tak np. w przywileju na osiedlenie wsi Jodłowa na prawie niemieckiem magdeburkiem, pisze Kazimierz Wielki 30 września 1359 roku :

Nadto wspomnieni sołtysi i kmiecie trzy razy w roku kiedy wiece zwykły się odprawiać, podejmować będą naszego posła i wydatki przyzwoicie opatrzą, mianowicie sołtys raz jeden, a kmiecie razy dwa, albo téż za każdy obiad wiardunek groszy zapłacą... insuper Sculteti et Cmehones memorati ter in anno, quando iudicium generale consuetum est celebrare, nuntium nostrum recipient et in expensam videlicet Sculteti semel et Cmehones bis decem ter procurabunt aut pro quolibet prandio, unum fertonem grossorum persolvent (Cod.

dipl. Pol. T. III str. 259). Podobnie tamże str. 261, gdzie o sądach trzy razy w roku odprawianych mówi się: sądy wielkie zwane gajone judicia magna quae ter in anno fieri consueverunt quae bannita dicuntur (1).

Żadna inna cecha prócz obiednego nie okazuje się dość stateczną, iżby istnienie jej za pewną wskazówkę nadania wsi prawem niemieckiem poczytać można.

Tak np. z opisu tenuty pabianickiej widzimy, że wszystkie wsie na prawie niemieckiem osadzone, miały kiedyś sołtysów, którzy jednak za czasów układania księgi beneficjów byli już wykupieni w Rżgowie, Chocianowicach, Kalnie wielkiem. W opisie wsi prawa polskiego co do Jutrkowic, Bichłowa i Górki wielkiej, niema wzmianki o istnieniu lub nieistnieniu w tych wsiach sołtystwa; co do Rakowskiej Woli czytamy, że był w niej sołtys, lecz go wykupiono; przy wszystkich innych wsiach jest wyraźna wzmianka, że w nich sołtysa niema.

Możemy ztąd wnioskować, że sołtystwa były niegdyś właściwością wsi na niemieckiem prawie osiadłych, wszakże ze skupem sołtystwa wieś nie przechodziła pod prawo polskie. Były też choć rzadziej sołtystwa i we wsiach prawa polskiego. (Por. Łukaszewicz krótki opis str. 267—270). O sądowym ustroju tych ostatnich, księga beneficjów mało co nadmienia. Dawniejsza od księgi beneficjów, Księga prawa zwyczajowego polskiego (Helcel Tom II) wykazująca stan rzeczy pod koniec trzynastego wieku, choć może nieco później ułożona, zna we wsiach polskich starostów, Włodarzy, szafarzy i komorników (s. 16—23); starostę czasami nazywa-

(1) Oprócz obiednego była inna opłata mająca związek lubo nie tak ścisły z sądami, trzy razy do roku odbywanemi, tak zwane opravne lub oprawa. Pobierano ją na wielkie sądy w Kaszowie, Szydzinie, Opatkowicach (III. s. 187, 191, 194). Obok obiednego płacono była we wsiach niektórych opactwa Tynieckiego np. Januszkowice, Bryszka, Ujazd, Wróblew. O Kobylanach (I. 7) mamy wyraźną wzmiankę, że płacili opravne i napisne ale nie płacili obiednego. W Charwinie płacono opravę raz na rok (III. 211.) Zapewne jest to ta sama opłata, którą pod nazwą odprawcowe widzimy wymienioną pod r. 1255 (Cod. dipl. Pol. III. 65). Był officialista sądowy zwany opravca. Dla niego zapewne szła owa opłata; por. Helcel Pomniki II. s. 116 Pelca de Carnow innocenciam suam de furto inio super quo per Zyndranum *Oppravcam* de quibusdam equis furatis fuit accusatus per sex testes ydoneos .....compurgavit (r. 1401).

Inni badacze inaczej rozumieją opravne. Księga beneficjów, zdaje się dokładniej tę rzecz wyjaśnia.

no sołtysem (O sołtystwach s. 310 z Vogta). Szafarze znani są we wsiach M. Poznania (tamże str. 328 z Łukaszewicza). Księga beneficjów wspomina według Indexu, raz jeden tylko włódarz *vladarius* T. I s. 546. Tytuł ten dany jest kanonikowi będącemu drugim prebendarzem sandeckim. *Vladarius episcopalis Sandecensis*.

W pabianickich dobrach w większej części wsi prawa polskiego, widzimy składany osep w ziarnie, którego we wsiach prawa niemieckiego niéma, z wyjątkiem częściowym co do Chocianowic, gdzie dziewięciu kmieci osep składało, dziewięciu zaś było wolnemi od niego. Sama nazwa osep w łacińskim tekście Długosza zatrzymana, wskazuje na miejscowy początek tój powinności. Lecz jak już nadmieniliśmy, dla wsi prawa polskiego powszechna ona nie jest. Zdarza się téż choć rzadko we wsiach prawa niemieckiego, u Długosza w Chocianowicach (1) i Tampoczole. W przywileju Kazimierza Wielkiego z dnia 4 października 1359 r. dla wsi Skawinka, mającój się założyć na prawie niemieckim, król uwalnia wprawdzie osadników od sepu czyli annony i od robót, lecz tylko na lat dwadzieścia. Wolność od osepu nie może zatem służyć za cechę wyróżniającą wsie na prawie niemieckim.

W ogóle rzecz można, za czasów Długosza zacierają się już różnica między osadami na prawie polskim i niemieckim tak, że Długosz nie uznał po większej części potrzeby zaznaczać tój odmiennosci praw. Zawsze było wolno przechodzić z prawa niemieckiego na polskie, ale dopiero po czasach Długosza wypadek ten częściej zachodzić począł, skoro forma prawna ustaliła się, według Zawadzkiego *Processus iudiciarius* str. 7, w roku 1527, za dekretem królewskim wydanym w tym przedmiocie w sobotę przed Ś. Fabianem i Sebastyanem.

Jednakże dla bliższego oznaczenia różnic w powinnościach wsi na prawie ziemskim niemieckim, posłużyć może opis tenuty pabianickiej w księdze beneficjów, gdy w opisie tym odróżnienie obu praw jest jak nadmieniliśmy systematycznie przeprowadzone.

(1) Być może, iż Chocianowice były naprzód wsią na prawie polskim i że dawniejsi osadnicy zostali przy swoich powinnościach, gdy osiadający później na warunkach prawa niemieckiego uzyskali nadanie tego prawa dla całej wioski.

Pabianice czyli kasztelania Chropy nadaną była w r. 1084 czy 1086 przez Władysława Hermana za wstawieniem się jego małżonki Judyty kapitule krakowskiej.

Dobra te odległe od Krakowa, w obcej dyecezyi położone, z początku kapituła zaniedbała. Tego zaniedbania użył za pozór Kazimierz Sprawiedliwy do zajęcia na siebie dóbr rzeczonych, które dopiero w roku 1189 kapitule zwrócił, pisząc w dokumencie (u Gładyszewicza Żywot błogosławionego Prandoty str. 254, z niego u Zeissberga Vincencius Kadlubek str. 26) że zajął na siebie „Chropensium provinciám” gdyż była a multis retro neglecta, i zwraca ją kapitule w lepszym stanie (emendatam). Pomimo tych ulepszeń w kulturze, Pabianice jeszcze w roku 1286 nazywały się kasztelanią Pustkowicką, kiedy Leszek Czarny w ugodzie z Pawłem z Przemankowa uwolnił je od powinności książęcych. (Tłumaczenie polskie dokumentu z transumptu dotąd w oryginale nie wydanego, w Przewdzieckiego Pawle z Przemankowa, Bibl. Warsz. 1851 T. II str. 237—240). Można więc uwierzyć Długoszowi gdy nadmienia, że w czasie nadania, Pabianice były lesiste i mało miały osad. Większe zasiedlenie Pabianic liczyć dopiero można od końca dwunastego wieku. Za czasów Długosza było w tych dobrach dwa miasteczka (oppida) i 28 wsi.

Zwykle dzierżawił te dobra na lat trzy jeden z prałatów i kanoników krakowskich „qui melior politicus et justitarius esse creditur” płacąc kapitule dwieście lub trzysta grzywien rocznej dzierżawy, co na dzisiejszą monetę wyniesie około tysiąca do tysiąca pięćset rubli srebrnych.

Miasta były, Pabianice, prawem niemieckiem szredkiem nadane i Rzgów z wioski na miasto za Kazimierza III zamienione, o którego nadaniu prawem niemieckiem Długosz nie czyni wzmianki. Jako wieś, Rzgów zostawał pod prawem niemieckiem, gdy kmiecie płacili obiedne. W dwóch tych miastach było łąnów  $44\frac{3}{4}$ .

Wsi na prawie polskiem było 21; w nich łąnów  $219\frac{1}{2}$ ;

Wsi na prawie niemieckiem 7; w nich łąnów 101 (do czego dołączyć można Rzgów, gdzie było 9 łąnów kmiecych).

W przecięciu więc wsie na prawie niemieckiem mają więcej łąnów niż wsie na prawie polskiem; stosunek jest prawie jak 15 do  $10\frac{1}{2}$ .

Powinności włościańskie dla dworu tak w Pabianicach jak w ogóle dóbr duchownych, wykazane w księdze beneficjów dają się ująć we cztery grupy:

Czynsz (*census*) i drobne opłaty.

Osep (*annona*).

Daniny (*daciae*).

Robocizna (zaciąg, labor i t. d.).

Czynsz płacony był przez kmieci z łanu; wysokość jego wynosiła we wsiach polskich:

1 wieś	po	18	groszy
1	„	24	„
11	„	30	„
1	„	32	czy 36 (1)
3	„	34	„
1	„	37	„
2	„	40	„
1	„	43	„
1	„	50	„
<hr/>			
		22	

W miastach i wsiach na prawie niemieckiem:

1 (Pabianice)	po	8	groszy (6 gr. szerokich)
1 Rzgów	„	28	„ (14 skojców)
1	„	9	„
1	„	18 i 30	} W Chocianowicach i Kalnie Wielkiem część kmieci płaci- ła po 18 groszy, część więcj.
1	„	18 i 48	
1	„	21	„
1	„	22	„
1	„	25 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„
1	„	30	„
<hr/>			
		2 miasta i 7 wsi.	

Osep. W dziewięciu wsiach polskich po cztery korce pszenicy i cztery korce owsa z łanu; w trzech po cztery korce owsa; w dziewięciu niema osepu.

(1) Jest to wieś Patrykozy po 1460 r. przykupiona; czynsz oznaczono na sedecim scottos, tres fertones pro f. Scti Martini, Może tu zachodzić pomyłka.

W miasteczkach i wsiach niemieckich niema osepu, z wyjątkiem tylko tych kmieci w Chocianowicach, którzy płacili po 30 groszy czynszu.

Wsie polskie nie dające osepu zamieszczone są na końcu z wyjątkiem jednych Patryków, o których świeżem przykupieniu donosi Długosz. Można stąd wnosić, że wsie dające osep są dawniejsze, nie dające osepu później założone lub przykupione. Osep jest w Pabianicach właściwością dawnych osad polskich. Z dziewięciu wsi dających osep pszenicy i owsa, w dwóch dawano jeszcze po dwa korce chmielu.

**D a n i n y.** Dwadzieścia wsi polskich dawało po dwa kapłony lub kuraki (*capones, galli communes*), 17 po 30 jaj. Sześć niemieckich wsi dawało po dwa kapłony i po 30 jaj. Ta wieś niemiecka, która nie dawała kapłonów, składała jedną poków miodu. W jednej wsi polskiej dawano po trzy popielice. Jedna niemiecka wieś dawała po trzy, jedna po dwa sery z łanu.

W daninach, w ogóle rzecz biorąc, nie zachodzi różnica między wsiami polskimi i niemieckimi.

**D o d a t k o w e o p ł a t y.** Z dziewięciu wsi polskich dających osep pszenicy i owsa, ośm płaciło po dwagrosze siennego (*census foeni*). Z wsi niemieckich płaciła ten czynsz tylko część Chocianowic dająca osep.

W dwóch miasteczkach i sześciu wsiach na prawie niemieckiem płacono obiedne, zwykle całemi wsiami, najczęściej po pół grzywny, raz jeden wiardunek; raz po dwa grosze z łanu.

Jedna wieś polska i jedna niemiecka płaciły po 4½ grosze z łanu kasztelanowi Konarskiemu łączycykiemu.

Nakoniec trzynaście wsi polskich, jedno miasteczko i dwie wsie niemieckie płaciły *notario pro nota* po ½ grosza z łanu. Jestto może opłata za kwity pisarzowi (napisne).

Były jeszcze opłaty i daniny zaregulowane ze względu nie na prawo osadnicze, lecz na pewne rodzaje zajęć.

Tak powiedziano w ogóle, że każdy kmieć i mieszkaniec (*incola*) we wsiach pabianickich mający *casses leporinos aut valteres* daje po jednym zajacu corocznie dla dworu w Pabianicach, bez względu na obszerność roli; sprzedający korę dębową (*cortices quercinos aut multicoloratis*) daje po sześć gro-



szy i dwa kuraki; robiący koła płaci *pro dominio* sześć groszy albo daje wóz nowy z dwoma nowymi kołami; robiący gonty (*scilindria*) daje siedem kop gontów. Z pasieki płacili jeden kmieć we wsi polskiej wiardunek.

W dobrach pabianickich było za czasów Długosza na dwadzieścia ośm wsi, folwarków sześć, w Pabianicach, Rzgowie, Dobroniu, Żytowicach, Patrykozach i Warszynie.

Z tych folwark w Rzgowie powstał w piętnastym wieku z zakupionego tamże sołtystwa o trzech łanach z młynem za sto trzydzieści grzywien. Patrykozy zostały przykupione już po roku 1460. Nie na wiele lat zatém przed Długoszem, było, w tak obszernych dobrach, folwarków kapituły tylko cztery. Z tych największy był folwark w Pabianicach, o sześciu łanach. Nadto kapituła nabyła w Pabianicach połowę wójtostwa, łanów półtora i tę na siebie trzymała, zapewne więc owe półtora łana zwiększyły grunta folwarczne. Folwark w Żytowicach miał łanów cztery. Rozległości innych folwarków Długosz nie podaje.

Sposób obrabiania folwarków był w całych dobrach jednakowy, bardzo starożytny. Sposób ten gospodarowania napotyka się w księdze beneficjów oprócz dóbr pabianickich w wielu jeszcze innych, dlaczego bliżej się nad nim zastanowić wypada.

Nie wszystkie wsie w dobrach pabianickich były obowiązane do robót w polu. Z dwudziestu jeden wsi polskich roboty odbywało siedmnaście, nie odbywało cztery. Z tych ostatnich co do jednej tylko jest przytoczony powód „dlatego że większy czynsz płacą, eo *quod maiorem censum solvunt*” (płacili po groszy 50). Inne trzy wsie płaciły czynszu po groszy 40, 34 a nawet 24.

Ze wsi niemieckich (7 a ze Rzgowem 8) dwie obrabiały pola, jedna mająca ośmnaście łanów (Wiskitno) była do robót w polu obowiązana, lecz natomiast płaciła trzy grzywny, czyli każdy łan płacił za uwolnienie od robót polnych po groszy ośm; w jednej (Czyszemino) kmiecie płacili po dziewięć groszy, okupując roboty (*redimendo labores*), trzy a ze Rzgowem cztery nie odbywały robót w polu.

Odbywanie robót polegało na tém, że włościanie mieli wyznaczone sobie działki pola na folwarku, które musieli zorać, zawlec, zasiać, zżąć, zżęte zboże ułożyć i zwieźć.

Takie działki gruntu zwały się jutrzyny, nazwa którą się pięć razy napotyka już w dyplomacie z roku 1215 (T. II str. 396—7), którym Krystyn dziedzic na Obichowie przypisuje dziesięciny z folwarków swoich i gruntów sołtystwa kościołowi w Gawłoszowicach (*decimam post araturam nostram incum iutrzyny*). Gdzieniegdzie na pograniczach jutrzyny zowią się u Długosza murgi, morgi, a dwa razy (T. I str. 397) obroki.

Najpełniejszą o robotach jutrzynnych czyni Długosz wzmiankę w opisie wsi Jutrkowice i Bichłów (T. I str. 276) ...omnes emethones simul tenentur in predio agros eos contingentes et ipsi designatos et emensuratos qui iutrzyny appellantur, arare, arpicare, frumento curiae seminare, metere, acervos pro eis disponere et in horreum propriis curribus ducere.

Ta ogólna norma odbywania robót polnych w dobrach pabianickich ulega niejakięj zmianie tylko co do wsi Górki małej, w której norma jest podana na cztery korce wysiewu oziminy i tyleż jarzyny obrabiane przez jeden łan. Górka mała była wioską świeżo przykupioną.

Systemat gospodarowania przez obróbki jutrzyn był tyle za czasów Długosza upowszechniony, że czasem wyraża on się krótko o kmieciach do téj powinności obowiązanych, laborant iutrzyny, czasem znowu podaje ilość korcy zasiewu, na co ziarna zwykle dwór dostarczał.

Oprócz robót w polu kmiecie w dobrach pabianickich odbywali różne posługi. Uwolnienie od iutrzyn nie znaczyło jeszcze uwolnienia od posług i sianokosów. Siano sprzątały wszystkie w ogóle wsie tak na prawie polskiem, jak na prawie niemieckiem osadzone z wyjątkiem tylko wsi polskiej Rokicie.

Roboty przy sprzęcie siana wyszczególnione są zwykle: skosić, zgrabić, skopić i zwieźć (*falcastrare, rastrare, colligere et in horreum ducere*).

Inne posługi polegały na wożeniu sieci na polowanie, potrzeb dworskich do Piotrkowa (tam rezydował rządzący Pabianicami kanonik), gradzeniu pastwisk i ogrodów, naprawianiu wału nad stawem, kryciu dachów dworskich, zwózce od wsi do wsi i na targ, zwożeniu drzewa (zwykle fur dwunastu) do Pabianic. Od téj ostatniej posługi wolne były Dłótowo, Rokicie, Górka mała na prawie polskiem, Czyste-

mino na prawie niemieckiem. Inne posługi były powszechne, niema tylko o nich wzmianki przy wsiach świeżo przykupionych Potrukozy i Górka mała.

Roboty i posługi były jak widzimy liczne i rozmaite, pojedynczo znaczne nie były. Sześciolanowy a chociażby dodając grunta powójtowskie siedmi i pół łanowy folwark w Pabianicach obrabiało łanów kmiecych najmniej dziewięćdziesiąt cztery, bo tyle w Długoszu z robotami swemi jest wyraźnie do tego folwarku zaregulowanych. W odbywaniu tych robot i posług, w opłacie czynszów i uiszczaniu danin, niema wybitnej i stanowczej różnicy między osadnikami prawa polskiego i prawa niemieckiego. W ogóle powinności drugich są lżejsze; należy przeciw zwrócić przytém uwagę na następną okoliczność.

Zasiedlenie dóbr pabianickich możnaby przytoczyć na poparcie systematu Ricarda, który utrzymuje, że najlepsze grunta, najprzód wzięte zostały pod uprawę, a dopiero stopniowo zaczęto uprawiać pośledniejsze. Tak zdaje się być w Pabianicach, jak się okazuje ztąd, że osep, we wsiach które za najdawniej osadzone uważać można, składany widzimy co do oziminy w pszenicy a nie w życie.

Odpowiednio temu większe były w tych żyznych wioskach ciężary. Później osiadający biorąc grunta lżejsze, karczując je własną pracą, otrzymywali warunki łatwiejsze, a to tak we wsiach polskich jak w niemieckich. W jednych i drugich zarówno znikają osepy; inne warunki są do siebie zbliżone.

Do podobnych wniosków przychodzimy, rozpatrując się w stosunkach wsi niemieckich albo wyraźnie za takie podanych (np. w dobrach biskupa włocławskiego), albo z powodu dawania obiadów lub płacenia obiednego (np. w dobrach klasztoru tynieckiego) za niemieckie przez nas uważanych. Nigdzie wsie niemieckie co do czynszów i powinności nie przedstawiają tak wybitnych różnic od polskich, iżby oddzielnego dla siebie przedstawienia wymagały. Ze charakterystyczna ich powinność, obiedne, ma wszędzie krajową nazwę, dowodzi zlania się ich osadników z krajowcami, gdzie od początku takimi nie byli. Osep w wsiach niemieckich z małym wyjątkiem nie uiszczano; zastępuje go mianowicie w dobrach

tynieckich, obowiązek dawania stacyi, tj. owsa i różnych wiktuałów lub pieniędzy na nie, na przyjazd opata.

Dobra biskupa włocławskiego w dycezyi krakowskiej stanowiła kasztelanija łagowska, darowana w roku 1086 przez Judytę, tę samą, która obdarzyła Pabianicami (kasztelaniją chropską) kapitułę krakowską. W łagowskich dobrach liczymy 16 realności, 209 łanów i 3 folwarki. Jest to włość znaczna, lecz mniej obszerna niż Pabianice. Nie ma w niej takiej jednostajności robocizny co w Pabianicach. Kiedy w tych ostatnich systemat obrabiania jutrzyn był w wyłącznym zastosowaniu, w łagowskich dobrach obok jutrzyn, które jeszcze w niektórych wsiach się utrzymują, widzimy (w Pawłowej Woli) robocizną czterech dni narok, winnych wsiach posługi roczne, w innych znowu jednodzienną tygodniową robocizną, istniejącą w Nieskurczowie obok jutrzyn. Obrabianie jutrzyn było uważane za lżejsze niż jednodzienna tygodniowa pańszczyzna. O Baranowie powiedziano „nie obrabiają kmiecie dni tygodniowo, lecz tylko obsiewają miary” (tj. obrabiają jutrzyzny na normę wysiewu), non laborant emethones dies in septimana, solum seminant mensuras. Podobnież w tomie II o wsi Janikowicach czytamy: „nie więcęć nie robią prócz jutrzyn, non plus laborant nisi iutrzyzny. Odpowiednio temu widzimy wyższy okup za nieodrabianie jednodniowego na tydzień zaciągu niż za nieodrabianie jutrzyn. W pabianickich dobrach, jak już wspomnieliśmy, płacono okupu za robocizną w polu, która polegała tam na odrabianiu jutrzyn, w Wiskitnie po ośm, a w Czyszemnie po dziewięć groszy z łanu. Tymczasem w opisie dóbr Wronin wielki i mały należących do dóbr klasztoru szpitalników w Krakowie (III s. 48. 49) czytamy wzmiankę, że kmiecie obowiązani do zaciągu po jednym dniu tygodniowo z łanu, okupywali się od tój powinności, płacąc czynszu o jedną grzywnę więcęć niż wynosił czynsz zwykły—zamiast dwóch grzywien płacili trzy. Wartość pięćdziesięciu dwóch dni robocizny ciągłej równała się tu jednej grzywnie czyli 48 groszom, co daje wartość jednego dnia ciągłego na  $\frac{12}{13}$  grosza ówczesnego albo dzisiejszych groszy około 20. We wsi Wolicy dobroniowskiej (t. I) jeden dzień tygodniowy okupywał się trzema wiardunkami. Wartość dnia roboczego była zapewne wyższą w Wroninie odległym o kilka mil od Krakowa niż w ustronnych Pabianicach;

wszakże różnica wskazanych cen okupu jest zbyt znaczna, iżby się tym wyłącznie względem wytłumaczyć dała.

Jutrzyzny obrabiane były w dobrach Łagowskich według normy wysiewu. Norma ta jest podana w Niewsku-rzowie, Baczkowicach i Gaszycach na korce: po trzy korce żyta i trzy korce owsa; w Baranowie i Wrzechowie na miary, mensury, inne wyrażenie na tę samą ilość; w Olszownicy na dwie metrety.

Stosunek liczebny w jakim zostają w księdze beneficjów wsie obrabiające jutrzyny do ogółu dóbr w tej księdze opisanych, nie daje się ze ścisłością oznaczyć, z powodu, że w wielu miejscowościach Długosz o robociznie włościańskiej nadmienia, bliższego nie dając określenia. W takich razach mówi pospolicie, labor powaba. Nie wiadomo, jakie powinności robocze rozumieć wypada pod temi wyrazami, które mogą oznaczać i oznaczają zapewne nieraz odbywanie jutrzyn, ale też stosować się mogą i do robocizny inaczej odbywanój. Poprzestając na obliczeniu tych tylko wsi, w których jutrzyny albo tym wyrazem są oznaczone, albo w których opisane powinności są téj co jutrzyny natury, znajdziemy, że odbywanie robót na normę jutrzyn, miało miejsce w szóstój mniej więcj części wsi, w liber beneficiorum opisanych.

Sposób ten odbywania robocizny znany był po całym kraju. Widzimy go na pograniczu Szlązka i w Lubelskiem, a poza obrębem dyecezyi krakowskiej w Pabianicach. Książę T. L. w rozprawie swojój: „Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku“, przytacza wzmianki o tego rodzaju robociznie, napotkane przez siebie w rejestrach zamkowych, aktach kapitulnych, dekretach, po różnych stronach kraju pod nazwami, zczas, powab, urok, *planta*, *digeria* (Bibl. Warsz. r. 1857, T. II. str. 804, 805, 833). Nazw znanych w Księdze beneficjów, jutrzyny i (wyjątkowo) obroki, książę T. L. nie przywodzi. Z nazw przytoczonych przez księcia, powaba znachodzi się licznie w Księdze beneficjów, lecz rzadko tylko jest w związku z jutrzynami. *Digeria* użyte są w Długoszu w opisie kilku wsi, z pomiędzy należących do klasztoru koprzywnickiego, w znaczeniu jutrzyn (III 380, 387, 392). W innych miejscach (III 138) *digerium* jest u Długosza toż co *dierium* i znaczy toż co stacya. Zczas, urok, *planta*, w Księdze beneficjów wcale się nie spotykają.

Jutrzyny o ile normę ich odbywania Długosz w opisie swoim podał, najczęściej odrabiane były na normę wysiewu, od dwóch korcy albo jednej tunny, do trzech korcy, czyli jednej miary, czterech korcy, a nawet parę razy do dwóch miar, czyli korcy sześciu zboża ozimego i tyleż jarego.

Stosunek ten zastąpiony powszechnie w szesnastym wieku robocizną tygodniową, dotrwał gdzieś niegdzie aż do naszych czasów, jak co do prawego brzegu Noteci, zaświadcza P. Michalski, komisarz ekonomiczny pruski, w artykule p. t. „Włościanie i ich regulacya, rzut oka na stosunki gospodarcze Wielkiego Księstwa Poznańskiego przed uregulowaniem włościan“. Między różnymi kategorjami włościan, których okupacya pruska w Poznańskim zastała, wymienia on pod N-rem 5:

„Wreszcie włościanie zaciężni w niektórych gminach po prawym brzegu Noteci położonych, których zaciąg nie na dnie, ale na pewną miarę był oddawna ustanowionym, tak np.: iż jedne i te same morgi na zawsze wyznaczone uprawiali, sprzątali, wywozili mierzwę z obory lub owczarni, sprzątali pewne morgi łąk, odprawiali podróże i inne, ale zawsze wymierne powinności“, (Bibl. Warsz. r. 1844. T. IV. str. 606).

Opis ten zdaje się być żywcem wyjęty z Księgi beneficjów, tak jest zgodny z tém co w tej księdze podano o wsiach jutrzyny obrabiających.

Zwróćmy jeszcze uwagę na niektóre inne massy dóbr, należące do jednego właściciela, pod względem odrabianych w tych dobrach powinności.

W sześćdziesięciu realnościach należących do klasztoru miechowskiego, stosunki robocizny były takie:

W sześciu nie było robocizny;

W ośmiu obrabiano jutrzyny;

W jednej robiono dwie powaby na rok;

W jednej robiono pół dnia tygodniowo;

W jednej, jeden dzień pieszy, czasem ciągly (tygodniowo, zagrodnicy).

W dziesięciu jeden dzień ciągly tygodniowo;

W siedmiu dwa dni ciągle tygodniowo;

W jednej nieoznaczono wiele, ale tygodniowo;

W dwudziestu czterech *labor et powaba*;

Wsie robiące jutrzyny, wszystkie składały osep.

Najbogatszym był klasztor tyniecki. Jego opata zwano opatem o stu wioskach, *abbas centum villarum*. Długosz wylicza téż prawie tyle realności klasztornych (98). Stosunki robocizny były następujące:

W dwunastu nie ma robocizny;

W jednej za labor płacą po wiardunku;

W dwóch robią tylko powabę;

W jednej zną po pięć wiązek (*cassulas*);

W jednej robią drogi;

W trzydziestu trzech obrabiają jutrzyny; przy kilku powiedziano, że za powabę obrządzają jutrzyny;

W dziewięciu po jednym dniu ciągłym tygodniowo;

W ośmiu po dwa dni ciągłych tygodniowo;

W trzech po trzy dni ciągłych tygodniowo;

W dwudziestu ośmiu *labor powaba*.

Folwarków w dobrach było trzydzieści pięć.

Dobra klasztoru mstowskiego uposażone w znaczniejszej części przez biskupa krakowskiego Iwona w XIII wieku odznaczały się małą i jednostajną robocizną. Wynosiła ona z łanu tylko trzy dni w roku. O folwarkach nie ma tu wzmianki. Wełna według Długosza miała być trzy lub cztery razy cenniejsza od zwyczajnej.

Zbierając w jeden ogół rzecz o powinnościach włościańskich na podstawie Księgi beneficjów, zaznaczymy, że tylko powinności robocze okazują odmiany dość ważne i stateczne, aby je w pewne grupy ująć można. Czysnz, osep, daniny, jakkolwiek rozmaite, nie przedstawiają różnic typowych. Można tylko opisać ich rodzaj, ustanowić minimum i maximum, ilości średnie i przeciętne.

Czysnz jest opłatą pieniężną obliczoną na grosze zwykłe lub szerokie, skojce, wiardunki, grzywny, kopy, rzadko na floreny. Termin opłaty przypada zwykle na święty Marcin, do wyjątków należą dwa terminy roczne; drugi termin jest w takim razie na święty Jan, na Narodzenie N. Panny i t. d.

Wysokość czysnzów jest nader rozmaita. Pominąwszy łany od czysnzu wolne, wysokość od 4 i 6 groszy dochodzi 3 i 4 grzywien. We wsi Topoli dwa łany zaduszne płacą po pięć grzywien, ale już za wszystkie powinności z dziesięciną i podatkiem łącznie, *pro censu, decima, labore, dacia et*

*tribute*. Podobnie we wsi Czechy (prebenda Czechowska) trzy łany *pro decima et censu et omnibus laboribus ducturis et daciis* płacą 16½ grzywien czyli 5½ grzywien z łanu. Maximum opłaty przypada w tynieckich dobrach we wsi Modnanach, na jeden łan wolny od robót *qui a laboribus liber est*; ten płacił ośm grzywien.

Pominąwszy czynsze wyjątkowo niskie lub wysokie można powiedzieć, że wielka masa czynszów płaci się w kwotach od wiardunku czyli groszy 12 do dwóch grzywien rocznie z łanu. Średni czynsz (połowa summy dwóch tych ilości) wynosiłby jedną grzywnę i sześć groszy. Czynsz przeciętny, sędzę że nie dochodzi grzywny, gdy więcej łanów uważałem płacących czynsze niższe. Dodawszy wszakże do czynszów inne prestacye włościańskie, dochód właściciela głównego z łanu kmiecego, okazałby się wyższy niż z wydzierżawionego łanu folwarcznego.

Osep uiszczzał się głównie w trzech gatunkach zboża: w życie, pszenicy i owsie. Rzadko jednakże wszystkie trzy gatunki są w tej prestacyi połączone. Czasem bywa tylko jeden gatunek; najczęściej owies. Długosz pisze nieraz *avenam non solvunt*, na oznaczenie że wieś nie składa osep. Zwykle osep uiszczają się w dwóch gatunkach, któremi są albo żyto i owies, albo rzadziej pszenica i owies. Prestacya ta ustanowioną jest na korce lub na miary (trzykorcowe) dla każdego gatunku zboża oddzielnie. Wynosi od jednego do sześciu korcy lub od jednej do dwóch miar. Osep owsa jest często większy od osep oziminy: we wsi Czułówek mały dochodzi miar sześciu (III 187). W tej wysokości podany jest osep owsa w kilku z pomiędzy dawnych przywilejów określających powinności włościańskie, a przywiedzionych przez p. Stawiskiego w jego Poszukiwaniach do historii rolnictwa krajowego s. 68, 69. Osep uiszczzał się z łanu; nader rzadkie są przykłady składania osep *in commune*, tak jak dziesięcina dawana *in gontwam*, przez całą wieś razem (III 192 wieś Zorzów).

Daniny są głównie uiszczane w kurakach (*galli*), kapłonach (*capones*), kurczętach, (*pulli*), jajach. Rzadziej w serach i t. d. Dwa kapłony i trzydzieści jaj są tu najzwyczajszą normą.

Pod względem powinności roboczych dobra przez Długosza opisane stanowią pięć wielkich, lecz nie równych grupp



z których pierwsza jako wyłączająca robociznę, tém samém żadnego jój typu nie stanowi. Cztery grupy dalsze należą do czterech odmiennych typów, które czasami dochodzą do zupełnej odrębności, w odgałęzieniach stykają się z sobą i przechodzą jeden w drugi.

Pierwsza grupa zajmująca liczebnie więcej niż piątą część realności duchownych, mieści w sobie te realności co do których wyraźnie wspomniano, że robocizny nie odbywają, albo przy których robocizna nie jest wymieniona. Grupa ta nie jest jednak tak znaczną jakby z liczby realności do niej należących wnosić można było. Mieści się w tej grupie wiele pojedynczych łań w cząstkowych własnościach duchowieństwa. Stosunek liczby łań od robocizny wolnych do liczby ogólnej łań byłby niezawodnie mniejszy od stosunku realności, lecz z powodu nie oznaczenia liczby łań w wielu miejscowościach, rachuba na łańy przeprowadzić się nie daje. Grupa pierwsza, jako wyłączająca robociznę, do żadnego z jój czterech typów odnieść się nie daje.

W drugiej grupie zamieszczamy realności, w których robocizna albo wcale nie była określona, albo polegała na powinnościach specjalnych. Gdybyśmy do grupy tej zaliczyli wszystkie wsie, w których opisie odbywana robocizna bliżej nie jest określona, z zamieszczeniem tylko wzmianek takich, jak np. labor, powaba, albo innego ogólnikowego wyrażenia np. quilibet laborat, grupa zajmowałaby około piątą część wszystkich realności, opisem Długosza objętych. Lecz nie mierniam, iżby we wszystkich posiadłościach, w których robocizna pod ogólnikowém wyrażeniem jest wzmiankowana, robocizna nie była określona, sędzę raczej, że pod ogólnikowemi wyrażeniami ukrywają się po większej części formy odbywania robocizny poniżej podane albo może i jakie inne, i że Długosz tylko z powodu niedostateczności swoich materiałów, szczegółowe oznaczenie robocizny w wielu z tych wsi pominął.

Inaczej rzecz się ma w tych lubo nielicznych wypadkach, gdzie opis Długosza zamieszcza jak np. co do dóbr kockich należących do kościoła płockiego takie wyrażenia: chociaż nie mają dni wyznaczonych, obowiązani są jednak robić gdy im to nakażą, etsi dies ordinarios non habuerint laborant quoties eis imperatur. Przypomina to zastrzeżenie dyplomatu

tynieckiego (u Lelewela Polska wieków średnich III s. 122).  
Item quicquid eisdem precipitur laborant.

Tu widocznie robocizna nie była oznaczona.

Dalszy podział grupy drugiej u Długosza także już nieliczny, obejmuje tak zwanych świątników i innych osadników odrabiających szczególne powinności, których charakterystyczną cechą jest, że wyjątkowo tylko odnoszą się do uprawy roli. Wskazuje to na stan pierwotny kraju, obejmującego więcej lasów i łąk niż wytrzebionego pola.

Świątnicy byli osadnicy przeznaczeni wieczyście, przy zaprowadzeniu chrześcijaństwa i zakładaniu kościołów, do usług kościelnych perpetua servitute obnoxii (I s. 89). Z postępem czasu przy nastaniu zakrystyanów, osady świątników stały się rodzajem sinekury. Straciwszy przyczynę swego bytu, świątnicy zostali w części usunięci, w części wykupieni, czego obojga przykłady znajdują się w Długoszu. Tak np. we wsi Czaple małe, własności wspólnej prałatów i kanoników krakowskich, dawniej przez świątników zamieszkałej, gdy ustanowiono na ich miejsce zakrystyana i dwóch dzwonników, role świątników obrócono na kmieci, sors sanctuariorum in emethones redacta.

Długosz znowu założywszy klasztor Paulinów na Skałce w r. 1472, kupił dla nich dwa łany od świątników w Opatkowicach za sto grzywien. Sami oni sprzedawali swoje role i dzielili się nimi—we wsi Świątnikach często i prawie co roku mówi Długosz (I 89). Nazywa ich też Długosz czasem kmiećmi (I 91). W dobrach kustodyi krakowskiej nie tylko byli wolni od podatków, ale nawet pobierali na siebie dziesięcinę. Ich stan był zatem za czasów Długosza nie tylko nie gorszy ale nawet lepszy od innych kmieci, a wspomnienie ich pierwotnej niewoli do czasów dawniejszych odnieść należy, lubo niewola ich ustała raczej wpływem czasu niż na skutek prawa albo przywilejów. Jest u Długosza wieś Świątniki, jedna z kilku tego nazwiska, gdzie kmiecie, może dawniejsi świątnicy, nie mają dni wyznaczonych do robót, lecz odbywają je gdy im to nakażą (quoties et quando eis mandatur. (I 73).

Trzecia grupa składa się z wiosek, w których robocizna oznaczona jest na dnie w roku, czego przykład przywiedliśmy w dobrach mstowskich. Jest to również forma bardzo starożytna, najdawniejzemi dyplomatami objęta.

Liczba dni jest tu różna od jednego dnia do dwudziestu czterech dni w roku—ostatnia cyfra raz tylko (III 430). Czasem robocizna taka połączona jest z powabą, czasem przechodzi do typu jutrzyn; np. Moniakowice klasztoru mogińskiego odbywają sześć dni w roku, orząc, bronując, rznąc, arando, arpizando, metendo, czasem zbliża się do robocizny tygodniowej. Dwadzieścia cztery dni w roku przywiedzione powyżej, stykają się już z pół dniem w tygodniu we wsi Orłowie klasztoru miechowskiego. W Zdzisławicach wsi klasztoru mogińskiego robocizna odbywa się na normę jednego dnia na cztery tygodnie. Te formy przejściowe są rzadkie, zaledwie pojedyncze ich ślady napotkać się dają.

Liczba realności grupy trzeciej ma się w Długoszu do ogółu prawie jak jeden do dwunastu.

Czwartą grupę stanowią opisane już powyżej jutrzyny, które obejmując w sobie powinności robocze odniesione do roku gospodarczego, zostają w pewnej styczności z dwiema gruppami poprzednimi. Pierwszą wzmiankę o jutrzynach znajdujemy w przywiedzionym powyżej dyplomie z roku 1215. Jakkolwiek istnienie jutrzyn jest nieco później dyplomatycznie stwierdzone niż istnienie robocizny, odbywanej na dzień w roku lub sposobem szczególnych powinności, niemniej jednak jest to forma robocizny równie zdaje się dawna, co dwie pierwsze. Można by nawet odnieść do niej wyrażenia dyplomu tynieckiego... *quilibet tenetur quatuor diebus arare et arpicare ubi vicinior curia fuerit*, łącząc z tém inny obowiązek poprzednio w tymże dyplomie wspomniany, *quinque capetia metere et in horreum deducere*. Mamy tu cztery obowiązki w jutrzynach połączone, orać, zawleć, z żąć i zwieźć, lecz obowiązki te nie odnoszą się jeszcze do stale wyznaczonego działu gruntu ani do normy wysiewu, i nie są wyliczone w właściwym porządku, co wskazuje na nieustalony jeszcze sposób ich odrabiania. Wsie, w których odrabiano jutrzyny, stanowią około jednej szóstej części wiosek, opisem Długosza objętych.

Niekiedy z jutrzynami łączą się powaby, a nawet bywają brane jedne za drugie, co równie jak wyrażenie dla części grupy drugiej charakterystyczne, *labor et powaba*, zwraca uwagę na tę ostatnią. Pierwszy raz wyrażenie *powaba* napotkałem w dokumencie z d. 8 października 1339 r. (C. D. P.

III s. 205), gdzie mowa jest o dziesięcinie z dóbr klasztoru szczyrzyckiego, Krzyszkowice i Mogilany, a mianowicie, że dziesięcina należy do klasztoru, gdziekolwiekby klasztor orał własnym pługiem lub pługami, zwołaniem kmieci, co się zowie *powaba* albo też *Thlaka* (tłoka)... *decima post aratrum seu araturas agrorum ipsorum ubicunque araret proprio aratro vel aratris, convocacione emethonum que dicitur powaba vel etiam Thlaca.* W opisie Długosza Krzyszkowice i Mogilany (III 440) w obu tych wsiach są folwarki. Uprawa ich odbywała się sposobem jutrzyn, a nadto odrabiali kmiecie powabę, która w Krzyszkowicach zwana jest podwójną. Powaba jest tu oddzielona od jutrzyn. Lecz w niektórych wsiach tynieckiego klasztoru, np. w Racznój, Śmierdzącój, za powabę obrabiano jutrzyny, pro powaba laborant agros jutrzyny; w Rybnie powabam in iutrzyny explant. W opisie Zorzowa (III 192) mamy takie wyjaśnienie powaby „powabę odrabiają albowiem w ozimie i jarzynie obowiązani są orać, siać, żąć i zwozić.” Opis taki mógłby się stosować do jutrzyn. Podobnie w Woli Bortowskiej wsi klasztoru łysogórskiego, też w Króbielicach wsi klasztoru koprzywnickiego powaba alias *digeria seminant et disponunt pro vere et hyeme* (III 380).

Powaby były dwie w roku: jara i ozima; niekiedy odrabiano obie, niekiedy jedną; czasem też jest mowa o wielkiej i małej powabie. Lecz i tu jak wszędzie zdarzają się odmiany. W Wągrzynowicach (tynieckich) np. były trzy powaby. W Chraszczu (staniątkowskim) odrabiano powaby raz w miesiąc dwoma ludźmi. Czytamy wyrażenie *pole powabne* (III 115) użyte zapewne na oznaczenie pola obrządzanego przez powaby.

Powaba była zdaje się w początkach robocizną nadzwyczajną, zwołaniem kmieci lub nawet wszystkich mieszkańców na pomoc dworowi, dłaczego też czasem i pomocnem jest nazywana. Być może, że w początkach odrabiającym powabę dawano jedzenie i picie (*comestio et potus*); w Długoszu przecież rzadkie tego są już ślady (Czułówek mały i t. d.) Później powaba zaczęła przechodzić w obowiązek stały, w jaką wymiarową robotę, do której należało czasem i obrządzanie jutrzyn, a częściej jeszcze sprzątanie łąk.

Najliczniejszą z pięciu grup powinności roboczych przez nas odróżnionych w księdze beneficjów jest grupa pią-

ta, grupa robocizny tygodniowej. Grupa ta zajmuje co do liczby realności część prawie jedną czwartą ogółu. Robocizna jest z małemi wyjątkami dla kmieci ciągła, dla zagrodników pieszka. Robocizna ciągła odbywa się albo oddzielnie przez każdego kmiecia (kromie sprząży), albo sprzęgając swoje bydło (*coniunctim*) z kąd zapewne powstało wyrażenie robocizna sprzężajna, brane później za jednoznaczne z robocizną ciągłą.

Grupa ta dzieli się co do ilości dni w tygodniu odrabianych na kilka poddziałów. Najgłówniejszy z tych poddziałów jest robocizny jednego dnia w tygodniu, stanowiący około cztery siódme części téj grupy. Z pozostałych trzech siódmych części połowę zajmuje robocizna dwóch dni na tydzień. Reszta rozprasza się na robociznę trzech lub czterech dni w tygodniu i na robociznę odmienną co do liczby dni w porze zimowej i letniej w stosunku jednego i dwóch—dwóch i trzech, czasami nawet trzech i pięciu dni w tygodniu. Ostatnią widzimy w kilku wsiach klasztoru staniątkowskiego, od Ś. Michała do Ś. Jana trzy dni, od Ś. Jana do Ś. Michała pięć dni, lecz tę wysoką robociznę połowa tylko wsi kolejno odrabia (*medietas villae laborat, medietas vacat* (III 285—288).

Dodatkowe do robocizny posługi, jak podwozy i t. d. odbywają się albo z zaliczeniem dni na te posługi użytych na rachunek robocizny stałej, albo bez zaliczenia. Tak rozumiemy wyrażenia *Długosza absque die, praeter diem*, w przeciwstawności *ad rationem dierum, propter diem*.

Formy przejściowe są i tu nieliczne. W kilku wsiach klasztoru Łysogórskiego napotykamy połączenie pańszczyzny tygodniowej z roczną; odrabiano w nich tygodniowo jeden dzień pieszki, rocznie piętnaście dni ciągłych. Podobnie gdzieś łączą się jutrzyny z robocizną tygodniową.

Czy robocizna tygodniowa jest równie dawną formą odbywania powinności kmiecych u nas jak jutrzyny i robocizna roczna? o tém wątpić można i niektórzy badacze temu zaprzeczyli. Nie rozstrzygając téj wątpliwości, musimy jednak opierając się na danych wziętych z księgi beneficjów i z dawniejszego odcień, bo pochodzącego z r. 1400 opisu dóbr. b. lubuskiego (1) odnieść początek robocizny tygodniowej do cza-

(1) Opis ten odnosi się do stanu rzeczy dawniejszego niż r. 1400. Dobra lubuskie są jedyne w całym dziele *Długosza*, co do których obowiązek dawania stacyi królowi jest wzmiankowany; możemy stąd wnosić, że

sów dawniejszych niż dotąd przypuszczano. Forma ta uprzedza niezaprzeczenie wiek piętnasty; w drugiej jego połowie za czasów Długosza jest tak upowszechnioną, że to samo już dawniejszy początek jój naznacza.

Wiadomo, że w roku 1520 (Vol. Leg. I 396) zapadła uchwała sejmowa obowiązująca kmieci, którzy dotąd tygodniowej pańszczyzny (diem in septimana) nie odrabiali, do odrabiania jój po jednym dniu w tygodniu, z wyjątkiem tych, którzy czynszem pieniężnym lub zbożowym, albo téż inną jakową opłatą lub daniną panom swoim roboty wynagrodzili. Uchwała nie ściągała się do osadników „którzy z posiadanej roli więcej niż jeden dzień w tygodniu panom swoim i Nam (królowi) robić zwykli (laborare consueverunt). Uchwała ta dowodzi istnienia robocizny tygodniowej, więcej niż jedno-dziennój, jeszcze przed jój wydaniem w roku 1520. Widzieliśmy, że taki stosunek dni roboczych nie był nieznany już za czasów Jana z Borsznic i Długosza. Na podstawie dzieła tego ostatniego możemy téż dokładnie wyrozumieć, do jakich kmieci odnosi się zastrzeżony wyjątek, co przedstawiało trudności z tego powodu, że czynsz pieniężny składali wszyscy niemal włościanie, a czynsz zbożowy (osep) składała część ich dawniej osiedlona. Mowa jest w prawie o czynszach specjalnie za okupienie się od robocizny ustanowionych, jakich przykładem są np. w dobrach pabianickich, Czyszemino, Wiskitno i Dłotowo. Takie wsie nawet po prawie z roku 1520, z mocy tegoż, do tygodniowej pańszczyzny nie były obowiązane.

Zebraliśmy w powyższem przedstawieniu co się na podstawie dzieła Długosza o powinnościach dla ludności wiejskiej obowiązkowych wyłuszczyć dało. Zapatrując się na stan prawny téj ludności, nie widzimy niewolnictwa w księdze beneficjów. Jeżeli czasami lubo bardzo rzadko jest wzmianka o homines ascripticii, ta odnosi się do czasów przed Długoszowych (I 61.) a wyrażenia jak homines advocati (I 621.) oznaczają kmieci na cudzych gruntach osadzonych.

stan rzeczy w opisie ich podany uprzedza wydanie przywileju koszyckiego, znoszącego takie obowiązki.

W księdze beneficjów jest jeszcze kilkanaście innych wiosek, co do których ta uwaga znajduje zastosowanie, gdy w opisie ich zamieszczono wzmiankę o osepach i t. p. obowiązkach dla panującego.

Kmiecie sprzedawali swoje role. Tak np. Długosz dla założonego przez siebie klasztoru na Skałce, kupił we wsi Dambniki od kmiecia Świuki w r. 1474 jeden łan za trzydzieści grzywien i połączywszy go z łanem nabytym od proboszcza, zrobił z tego folwark i dwór. Nowy nabywca musiał ponosić te same ciężary z zakupionego od kmiecia łanu, co i sam kmięć (*salvis oneribus*). W Klimontowie, wsi klasztoru staniątkowskiego kupił na tych warunkach od kmieci dwa łany proboszcz. Kmiecie uważający się za uciążonych opuszczają swoje role, np. wieś Sławoszów do klasztoru buskiego należąca *propter labores regios pene universa desertata*—kilka wsi tynieckich i Klarysek krakowskich. W ogóle są to bardzo wyjątkowe zdarzenia. Kmiecie mają dziedziczne prawo do swoich posiadłości; wyjątki od dziedziczności jako osobliwość zaznacza Długosz. Osiedlanie roczne widzimy tylko w jednej wsi Dojazdowie, gdzie cztery łany były dane rolnikom nie na wieczyste dziedzictwo, lecz czasowie, albowiem co rok na Boże Narodzenie (gody) następowało ich osadzenie... *lanei dati agricolis non in hereditatem perpetuam sed ad tempus quoniam singulis annis fit eorum locus alias osadzenie a festo nativitatis Christi*. Gdy nie ma przytem wzmianki ani o losowaniu roli, ani o wyznaczaniu działów przez gminę, wątpię iżby w tém ślad wspólnej własności uważać można. Nie naprowadza téż na ślad wspólnej własności wzmianka o czasowem osadzeniu kmiecia w Brańczycach, należących do kustodyi kolegiaty Święto-michalskiej. Długosz powiada tam, że kustosz osadził kmiecia na roli folwarcznej, ma jednak możność rzeczzonego kmiecia w każdym czasie z roli folwarcznej usunąć.

Innych czasowych osadzeń kmieci w księdze beneficjów dostrzedz mi się nie zdarzyło. Wynika ztąd pytanie, na jakiej podstawie następowało tak często w Długoszu wspomniane zrzucanie kmieci i zamienianie ich ról na folwarczne? W części działa się to zapewne sposobem nadużycia; prawną podstawę dawało opuszczenie roli przez kmieci, ich niewypłatność lub wykupienie osady.

Kończąc na tem przegląd stosunków ludności rolniczej w dobrach duchowieństwa dyecezyi krakowskiej, zwrócimy jeszcze uwagę na niektóre ciekawsze szczegóły w księdze beneficjów natrafione.

1) Długosz opisując dobra katedry płockiej w diecezji krakowskiej w ziemi Lubelskiej nad rzeką Wicprzem położone (*proprius et totalis districtus*), składające się z miasta Kock (Koczsko) i pięciu wsi, opowiada o tém dość dziwną historję.

„Za czasów“ (mówi on I 629 630) „panowania w Polsce... (tu kropki, Długosz nie wie jak się panujący nazywał), jakieś książątko włoskie, *princeps et regulus Italicae orae...* (znowu kropki, Długosz nazwiska nie wie), czy z powodu jakiej popełnionej zbrodni, czy też jak sam zwykł był utrzymywać, z powodu wzbudzonych niechęci i zawiści, wygnany od swoich, nie mając gdzieby bezpiecznie przebywać, przyjechał do Królestwa Polskiego, gdzie łaskawie przyjęty, stał tu sobie obrał zamieszkanie. Książę polski dał mu na wieczność i dziedzictwo Kock z przyległemi wsiami, ten mu jeszcze dając przywilej, że gdyby zmarł bezpotomnie, może darowizną rozrzucić na rzecz kościoła lub kogo bądź innego. Włoski książę, uważając za niegodne siebie poddać się pod jarzmo małżeńskie, pędził wstrzemięźliwe życie w poczciwości i cnocie, blizki śmierci zapisał dobra nadane kościołowi płockiemu, w którym chciał być pochowanym. Jakoż pogrzebiony w katedrze płockiej pobożnie tam spoczywa, a kościół płocki dotąd zostaje przy własności Kocka.“

Opowieść Długosza ma wszystkie cechy legendy. Długosz nie wie kto? kiedy? i komu? dobra kockie darował, ale zna przygody życia donataryusza, wie że to był książę włoski, zna jego charakter, a nawet wie co on zwykł był mawiać o swoim wygnaniu z Włoch. Może to służyć za przykład w jaki sposób Długosz amplifikował doszłe go podania. Zkąd się to podanie wzięło? postaramy się rozwiązać na podstawie więcej autentycznych źródeł niż powieść Długosza.

W kodeksie dyplomatycznym mazowieckim, w dodatku czytamy ważny dokument z datą mylną jak się zdaje 1203 roku, zawierający wykaz uposażenia kościoła płockiego. Do dóbr kockich ściągają się słowa następnego dokumentu (I 334):

*In pogost circa Lublyn Kucsko cum ecclesia et foro et taberna et cum villis et pertinentiis et cum omnibus solutionibus earundem villarum.*

Pogost był to rodzaj okręgu, o którego ustanowieniu na dawniej Rusi mówi Nestor (u Bielowskiego s. 602.) pod ro-



kiem 946 „Szła Olga do Nowogrodu, ustanowiła nad Mstą pogosty i danie, a nad Łagą pogosty, obroki i danie, łowiska jój są po całym kraju, znamiona i miasta i pogosty.”

Podanie przez Nestora przechowane, lubo nie wiele więcej autentyczne od legendy Długosza, zestawione z dyplomatem plockim, tłumaczy powstanie legendy. Jest ona z rodzaju tych, które mitologowie uważają za biorące początek od nazw, których znaczenie się zatarało. Czytając lub wiedząc z tradycyi że z wyrazem pogost łączyło się wspomnienie darowizny Kocka, a nie umiając wytłumaczyć sobie znaczenia tego wyrazu, mniemano, że dobra kockie dostał kościół plocki po gościu. Taki był pierwotny związek legendy, która rosnąc z upływem czasu—vires acquirit eundo, ostateczne swoje wykończenie zawdzięcza Długoszowi (1).

2) Więcej od poprzedniej wiarogodna, lubo może nie we wszystkich szczegółach jest powieść Długosza o szafarskim zamku.

Klasztor szczyrzycki założony był najprzód w Ludzimirzu. W roku 1245 z powodu grasujących w okolicy zbójców, przeniósł się do Szczyrzyca, zakupionego za sto grzywien srebra. Dla obrony dóbr około Nowego Targu opat szczyrzycki wystawił zameczek drewniany w Szaflarach. Zamek ten po roku 1380 dał opat ówczesny w posiadanie wychrzczonemu żydowi, którego nazwiska Długosz nie podaje. Ten zaczął bić w Szaflarach fałszywą monetę krajową i zagraniczną. Gdy to wywołało liczne zażalenia, opat zaś nie czynił sprawiedliwości, czy nie chcąc, czy nie mogąc; król Ludwik rozkazał staroście krakowskiemu Sędziwojowi z Szubina zająć zamek. Sędziwój zamek zdobył, żyda spalił, a dobra no-

(1) Na prawym brzegu Wilii na gościńcu z Borysowa do Dohinowa jest wieś Pohost. Hr. Tyszkiewicz w swoim dziele Wilia i jej brzegi, zamieszczając tę wiadomość (s. 29—30) dodaje „na jakąś to nazwę wiosek często po kraju naszym natrafiać się zdarza.... Pohosty były w starożytności miejscami, w których przybysze (goście kupcy) czas jakiś pogościłi, były to więc na ziemi naszej jak najdawniejsze miejsca dla składu towarów po drogach kupieckich obierane“ co hr. Tyszkiewicz odnosi do czasów Gedymina i Olgerda, przytaczając jednak znaczenie pogosti u Nestora. Mniemam że hipoteza Hr. Tyszkiewicza ustąpić musi świadectwu z trzynastego wieku popartemu tradycją Nestora. W Królestwie Polskiem, według tabelli miast i wsi nie ma obecnie wsi nazwy Pogost, lecz są *pogasty* w plockiem (przasnyskiem).

wotarskie z powodu zbrodni obrażonego majestatu, na skarb królewski zabrał. Opat udał się do Ludwika na Węgry z prośbą o zwrócenie dóbr. Lecz Ludwik oddał tylko Ludzimirz i Krownów, załatwienie całej sprawy do przyjazdu swego odłożył. Tegoż roku jednak Ludwik umarł, Jagiełło zaś dobra zajęte zastawił lub rozdał.

3) Przy obudzonych obecnie badaniach języka nie będzie zbyt cennym zamieścić tu wzmiankę, że pochodzenie nazwy wsi Swatha Marza do probostwa kieleckiego należącej, dziś wedle tabelli miast i wsi Święto-marz wieś rządowa w opatowskiem, Długosz wywodzi kilkakrotnie od starodawniej nazwy Bogarodzicy. Poloni in exordio fidei Beatam Maryam Szwyatha Marza appellabant (I 438.). We wsi był kościół poświęcony Najświętszej Pannie. Od nazwy kościoła poszła nazwa wioski, świadczy Długosz. A titulo autem ecclesiae praefatae villa Szwyantha marza denominationem accepit a vulgo, quod ruditer in primordio fidei gloriosam Virginem Szwyantha marza appellabant (II 462).

Wywody źródłosłowowe nie są mocną stroną Długosza; zasługuje przecież na uwagę, że według niego, według podania, z którego zapewne wiadomość swoją zaczerpnął, forma *rza* w pewnym miejscowym narzeczu wyprzedziła formę *rya* i że pierwsza forma była za czasów Długosza uważana za przestarzałą. Widzimy zresztą już w dyplomie gnieźnieńskim z roku 1136 wieś Podgorzyno. Przez *rs* pisze się w dyplomie łędzkim z r. 1145 Irgowo. Oba te dyplomata doszły nas wprawdzie w transumptach z czternastego wieku. Lecz wątpię czy mianowicie co do drugiego z nich można przypuścić przeistoczenie pisowni w transumpcie. U Długosza (II 397.) w dyplomie z roku 1215 *rz* takie się napotyka.

4) Do historii naszego prawa cywilnego przyda się spostrzeżenie, że zastaw pod przepadem, unieważniony później przez wyroki trybunałskie za wpływem prawa rzymskiego, praktykował się za czasów Długoszowym blizkich. Mikołaj ze Skotnik zostawił klasztorowi koprzywnickiemu wieś Bobrkę za dwieście grzywien, w obec króla Władysława II (Jagiełły) pod przepadem w razie nie wykupienia w lat trzy. Wieś została własnością klasztoru (III 390. 391.).

# SERBIA.

## Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P.....

---

### VI.

#### Stan polityczny i społeczny.

Zamierzając przedstawić obecny stan Serbii pod względem jej urządzeń politycznych, gospodarstwa społecznego, jej pracy na polu prawodawstwa i oświaty, jej życia kościelnego, wkraczamy na niwę młodą, dziewiczą, na którejbyśmy daremnie szukali owoców prastarzej cywilizacji. Nie znajdziemy tu tego zajęcia, jakie w nas budzi widok pracy wieków całych, dokonanej na drodze postępu ludzkości, ani odniesiemy korzyści, jaka płynąć zwykła z rozważania instytucyj i życia, wyrobionego przez długie szeregi pokoleń. Wszystko tu jest świeże, młode, jak gdyby dopiero od wczoraj liczyło dobę swego istnienia. Kiedy inne państwa już obchodziły poważne uroczystości tysiąclecia swych dziejów, obecne księstwo Serbskie zaledwie pół wieku przeżyło. Z tém wszystkiém wszakże i wiek młodzieńczy, wiek prób i doświadczeń, wiek zawiązku wiosennego, nie jest pozbawiony powabu. Mniemamy także, że dokładniejszy dając obraz księstwa Serbskiego pod względem politycznym i społecznym, dotychczas mało w Europie znany, zadość uczynimy ciekawości czytelnika polskiego, którą w nim tak słusznie budzi sprawa Serbii i jej przyszłości, tylu ścisłemi wiążąca się węzłami z tak często poruszaną w świecie dyplomatycznym i publicystyki kwestyą wschodnią.

---

Dzisiejsze księstwo Serbskie (knjażstwo Srbija) stanowi część dawnego staro-serbskiego cesarstwa. Obecne granice jego zostały nakreślone na skutek pokoju w Bukareszcie zawartego w roku 1834. Jako część składowa państwa tureckiego, uznaje Serbia zwierzchnictwo Porty Otomańskiej i interesa swoje przez własnego rezydenta (Kapu Kihaja) w Konstantynopolu załatwia. Serbia płaci sułtanowi roczną daninę w ilości 41552 dukatów, ma jednak przez międzynarodowe umowy, a zwłaszcza przez traktat paryżki z 1856 roku zapewnioną sobie nietykalność granic i zupełny samorząd w swoich sprawach domowych.

Do tych przywilejów należy, obok wolnego wyboru własnego księcia, moc prawodawcza pod względem zarządu, wymiaru sprawiedliwości, finansów, handlu, spraw duchownych i oświecenia, nadto posiada Serbia własną narodową siłę zbrojną, ma prawo obsadzania twierdz swojemi załogami i używania obok flagi własnego herbu państwowego.

Narodowy herb serbski stanowi zwykły srebrny krzyż w czerwonym polu, między którego czterema ramionami ukazuje się po jednym niebieskim promieniu. Dębowe i wawrzynowe liście otaczają tarczę, nad którą wznoszą się książęca korona z jabłkiem i krzyżem. Obie książęce rodziny kraju, Karadźordżewicze i Obrenowicze mają swoje własne herby, w których z małemi zmianami heraldycznymi herb księstwa się odbija. Serbia ma prawo wysyłania stałych dyplomatycznych przedstawicieli na dwór księcia Rumuńskiego a wiadomo także, że niekiedy w ważnych sprawach wysyła swoich agentów dyplomatycznych do mocarstw europejskich. Urzędowe stosunki z Serbią utrzymuje sześć gwarantujących państw: Anglia, Francya, Włochy, Austria, Prussy i Rossya za pośrednictwem konsulów akredytowanych przy Porcie i księciu Serbskim. Wielkie ustępstwa, które Porta zniewoloną była uczynić w marcu 1867 roku, postawiły Serbią na stopie państwa prawie zupełnie niezależnego. Wtedy bowiem prawo sułtana obsadzania twierdz oddano ostatecznie Serbii, tak iż obecnie zwierzchnia władza sułtana objawia się w kilku błahych formalnościach, np. w zatykaniu tureckiej flagi obok serbskiej na wałach fortecznych. Urządzenie stosunków mennicznych, prawo rozdawania orderów, prawo wymagania zbrojnych posiłków od Serbii należą także do zwierzchnich praw sułtana, ale wykonywanie tych praw w Serbii na coraz większe natrafia trudności.

Po śmierci Jerzego Czarnego władza naczelna, jak wiadomo, ofiarowaną została w 1817 roku przez zgromadzenie narodowe Miłoszowi Obrenowiczowi. Pierwiastkowo była nieograniczona, zastępując najzupełniej usunięte rządy baszów. Powoli jednak na głośnie żądanie narodu ulegała stopniowemu ograniczaniu i nakoniec w 1838 r. została ujęta w karby przez zasadnicze prawo (Ustaw), które władzę książęcą oparło na ogólnie europejskich podstawach.

Serbia już dwa razy korzystała ze swego prawa wyboru własnego księcia. Władza wszakże jest dziedziczną w panującym domu. Po wygaśnięciu męzkich potomków służy księciu moc wyznaczenia

następcy za uchwałą senatu. Książę serbski nosi tytuł: knjas Srbski z dodatkiem: Swjetlost (oświecony).

Przy wstąpieniu na tron książę składa przysięgę ustną i piśmienną przed metropolitą na zachowanie konstytucyi, po czém odbiera namaszczenie i hołdy wszystkich dygnitarzy swego kraju. O niedawno odbytym akcie wstąpienia na tron młodego Miłosza Obrenowicza IV posiadamy kilka szczegółów, które niech nam w tém miejscu wolno będzie przytoczyć.

Po ukonstytuowaniu się skupsztyny czyli sejmu pod laską Karabiberowicza i po wygłoszeniu mowy tronowej, metropolita stanął przed młodym księciem, wystosowawszy doń następujące słowa:

„Książę! Dałeś ludowi serbskiemu książęce słowo w swęj proklamacyi, że najusilniejszym twém staraniem będzie stać się godnym imienia wielkiego Miłosza i Michała. Powiedziawsz, że drogim dla ciebie jest być pierwszym konstytucyjnym księciem Serbii.

Ta konstytucya, którą Serbia sama sobie dała, wymaga, abyś złożył przysięgę, iż rzetelnie wykonywać będziesz obowiązki panującego księcia z wiarą w Boga i że starać się będziesz uszczęśliwić kraj dla chwały imienia twego i sławy narodu, który się w twoje oddał ręce,

Książę! Bóg jest świadkiem, że wszystko, cokolwiek w przysiędze zawarto, jest prawdą. A Bóg niedopusci, by znieważono Jego imię. Nie zapominaj więc nigdy, coś poprzysiągi; bądź wiernym Bogu i wierze prawowiernej a wtedy długo Serbii i ludowi serbskiemu panować będziesz; teraz zaś połóż rękę na to najświętsze godło prawowiernego kościoła, na krzyż Ś-ty i Ewangelią.“

Zgromadzeni posłowie podnieśli się z miejsc i wśród głębokiego milczenia wysłuchali rotę przysięgi wykonanej przez księcia w następujących słowach:

„Ja Miłosz Obrenowicz IV, książę Serbii, obejmując władzę, przysięgam na Boga i na wszystko, cokolwiek tu na ziemi dla mnie najświętszym być może, na Ś-ty krzyż i Ewangelią Ś-tą, iż zachowam nietykalną konstytucję kraju i panować i rządzić będę według praw wskazanych przez powyższą konstytucję i że zawsze jedynie mieć będę na względzie dobro narodu we wszystkich mych krokach i czynach. Składając uroczyście przysięgę przed Bogiem i narodem, powołuję na świadectwo Stwórcę naszego, przed którym wypadnie mi zdać sprawę na sądzie ostatecznym i prawdę méj przysięgi stwierdzam, całując Ś-tą Ewangelią i krzyż naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Tak niech mi Bóg dopomoże.“

Zgromadzenie jednogłośnie odpowiedziało: Amen! a książę wśród liczne go grona dostojników opuścił salę tronową, żegnany głosnemi okrzykami zgromadzonych posłów.

Zasadnicze prawo serbskie widzi w księciu jedyne naczynie uajwyższej władzy. W tym charakterze służy mu zwykle prawo majestatu, nietykalność osoby, nieograniczone działanie, nie ulegające żadnej odpowiedzialności. Należy więc doń zwierzchnicza władza ko-

ściełna, dowództwo nad wojskiem i przewodniczenie w senacie oraz w zgromadzeniu narodowym, z którym dzieli moc prawodawczą. Władza zaś wykonawcza, wolny wybór ministerjum, rozstrzygnięcie w ostatniej instancyi stanowią wyłączną prerogatywę księcia.

Pod rozpoznaniem senatu (sowjet) przychodzą wszystkie projekta budżetowe i prawodawcze. Senat ustanowiony został dopiero w 1838 r. jako nieustająca prawna reprezentacja interesów narodowych przy osobie księcia, oraz dla bezpośredniego współdziałania w prawodawstwie i kontroli zarządu państwa. W 1861 roku uległ senat przekształceniu i obecnie składa się z prezydenta dożywotnie mianowanego, z wice-prezydenta, następcy tronu, skoro ten dojdzie do 18 roku życia i 17 członków senatorów mianowanych przez księcia, którzy najmniej 35 lat życia powinni liczyć a krom tego mieć za sobą 10 lat wzorowej i nieskazitelnej służby.

Najwyższa Izba Obrachunkowa (Główna kontrola) stanowi władzę ściśle z senatem połączoną. Składa się z prezesa i dość znacznego grona rachmistrzów, zajmujących się kontrolą przychodów i rozchodów państwa. Prezesa wybiera senat i przedstawia księciu do zatwierdzenia.

Reprezentacja narodowa gromadzi się w sejmie czyli tak nazywanej narodowej skupstynie (narodna skupština). Prawidłowy rozwój i życie tego sejmu bardzo niedawnych sięga czasów; pierwotkowo skupstyna miała charakter przeważnie patryarchalny, w której zgromadzali się naczelnicy gminni i starszyzna narodu. Pod despotycznymi rządami księcia Aleksandra Dżordżewicza sejm nie posiadał warunków, przy których mógł być się w żywotną rozwinąć instytucją. Dopiero od chwili złożenia z tronu księcia Aleksandra i przywołania z wygnania Obrenowiczów zaczyna się w skupstynie więcej prawidłowe i bujne życie. Odtąd określono ściślej porządek narodowego przedstawicielstwa, książę Michał dał sejmowi prawo zgromadzania się co lat trzy z wyjątkiem ważnych wypadków, z powodu których skupstyna może być częściej zwoływana. Oprócz zatwierdzenia przez rząd proponowanych projektów prawodawczych, ma nadto sejm prawa w tym względzie inicjatywy. Należy także doń sprawdzanie wydatków państwowych za ubiegły trzyletni okres. W razie jeśli umiera książę, nie zostawiwszy po sobie męzkiego potomka lub nie wyznaczony następcy, sejm zajmuje się sprawą wyboru nowego władcy. Prawo wyborcze w Serbii jest bardzo rozległe, korzysta zeń każdy, co podatki płaci, a więc każdy Serb. Wybrany zaś być może dopiero po 30 roku skończonym. Na 10 tysięcy głów przypada jeden poseł. Urzędnicy zostający w służbie rządowej jak niemniej i wojskowi, z prawa wyborczego ani czynnie ani biernie korzystać nie mogą. Posłowie otrzymują dziennie na utrzymanie 6—8 złp. Prezesa i sekretarzy zwykłych posiedzeń wybiera książę, nadzwyczajnych zaś skupstyna.

Książęce ministerjum w Serbii według najnowszego urządzenia z r. 1862 składa się z 7 departamentów. Ministrowie odpowiedzialni są przed księciem i senatem. Przygotowują wszystkie projekta

i wnioski, przedstawiają je osobiście senatowi, przyjmując udział w rozprawach jednak bez prawa głosu. Prezes ministrów zaświadcza wraz z prezydentem senatu wszystkie książęce rozporządzenia.

Ministerjum znosi się z całym krajem za pośrednictwem władz niższych: powiatowych, okręgowych i gminnych. Dawny starosłowiański podział na żupy i ziemie został zamieniony po wybicu się na wolność, na więcej odpowiedni dla celów administracyjnych podział na 17 powiatów (okružije), 60 okręgów (srez) i 1059 gmin (obština). Na czele zarządu powiatowego stoi naczelnik powiatu (načalnik), pod którego nadzorem pozostaje bezpieczeństwo całego powiatu, część policyjno-lekarska, szkoły, poczty, telegrafy, budowa dróg i t. d. Biuro naczelnika (načalničstvo) składa się zwykle z naczelnika biura, jego pomocnika, z lekarza powiatowego, inżyniera, sekretarza, kasyera kilku kancelistów i żandarmów.

Od władzy naczelnika zależą urzędnicy okręgowi, którym przewodniczy tak nazwany kapetan. Działalność ich odpowiada zupełnie czynności powiatowego naczelnika ale w zakresie znacznie szerszym.

W gminach, które stanowią jedność administracyjną w całości kształcie zarządu, panuje zupełna autonomia. Gmina sama wybiera swój urząd (obštinski odbor), którego obręb działalności jest dość rozległy. Taki wójt gminy gra bardzo ważną rolę we wszystkich gałęziach życia gminnego. On ogłasza wszystkie prawa, nadesłane mu z biura okręgowego. Wybiera podatki, posiada władzę policyjną, czuwa na sądem gminnym i wpływa na naznaczanie lub uwalnianie urzędników gminy. Do rady dodani mu są ławnicy (obštinnari). Ławnicy pod karą pieniężną powinni na każdym posiedzeniu wójta udział przyjmować. Uchwały zapadają większością głosów. W gminie są prócz tego sądy wiejskie (obštinski sud) z trzech członków złożone, które działają polubownie albo w sprawach spornych rozstrzygają do wysokości 500 piastrow (około 170 złp.) Przed kilku jeszcze laty (do roku 1867), zwykle wszyscy członkowie gminy przyjmowali udział w naradach dotyczących spraw gminy. Zachował się tu starosłowiański zwyczaj, kiedy wszyscy kmiotkowie schodzili się na wiec ludowy. Teraz zaś rząd widział się zmuszonym zaprowadzić niezbędną zmianę, dla uchylenia tych małych parlamentów, w których nieraz najlepsze jego wnioski i postanowienia spotykały silny opór ze strony mędrkujących kmiotków, do wszelkich zmian nie zbyt pochopnych. Obecnie ministerjum wprowadziło zamiast ogólnej rady gminnej szczuplejszy komitet, w skład którego wchodzi członkowie wybrani przez oddzielne spółki rodzinne (zadrugi). Nowa organizacja serbskiej gminy stanowi ważny krok naprzód w sprawie przekształcenia instytucyj politycznych Serbii na sposób europejski.

Rzucając okiem pobieżnym na rozwój życia publicznego w ciągu ostatnich lat kilkunastu w Serbii, niewątpliwie słuszną nam się nasunie uwaga, że życie to całe zmierza po drodze istotnego postępu. Wprawdzie bez zboczeń się nie obeszło. Sejm, to główne naczynie

publicznego życia całego narodu, nieraz zrywał się do gwałtowniejszej akcji i wzbijał się śmielszym lotem, ale rządy ostatniego księcia Michała, wielce zasłużonego około sprawy wyzwolenia Serbii z pod zwierzchnictwa Porty, może za często i za silnie powściągały izbę poselską na drodze do szerszych swobód konstytucyjnych. Opór, jaki książę w niej spotykał, był bardzo słaby i niema się czemu dziwić przedstawicielom narodu, wśród którego dopiero zaczynają powstawać zawiązki życia konstytucyjnego. Nie zawsze były siły po temu w społeczeństwie tak mało przygotowaném, żeby utworzyć silną i skuteczną opozycją. Dla tego też skupsztyny serbskie w uległości zupełnej poddawać się musiały widokom szczególnież księcia Michała, który mimo wszystkie swe w obec Serbii zasługi, miał pewną skłonność do samowolnych rządów. Tym też sposobem reakcja, której wyrazem był minister Krsticz, coraz śmieliej głowę swą podnosiła, mianowicie już pod koniec panowania Michała. Książę działał w reakcyjnym duchu aż do swjej śmierci gwałtownej w roku 1869. Regencya ustanowiona w miejsce nieletniego księcia Miłosza w ciągu trzech lat wstąpiła na odmienne drogi. Zdaje się, że rządy regencyi stały się zapowiednią szybszego, więcej prawidłowego rozwoju Serbii. Od sierpnia roku bieżącego rządzący Milan, który z 18 rokiem swego życia doszedł do pełnoletności, budzi w narodzie najpiękniejsze nadzieje. Poprzednio kierowany przez mężów stanu, co posiadali najzupełniejsze zaufanie narodu, dziś otoczony przez ministrów wypróbowanego poświęcenia dla kraju, takich np. jak Risticz, obecnie minister spraw zagranicznych, życie całego narodu do nowego polotu podnieść może.

Pragnęlibyśmy podać czytelnikom kilka rysów z tego nowego życia parlamentarnego Serbii, któreby zarazem mogły rzucić światło na jej rządy wewnętrzne, ale brak materiału staje nam na zawadzie. Jeszcze poważniejsze pisma nie dostarczyły nam bliższych wiadomości o nowój erze, jaka się dla Serbii rozpoczyna z wstąpieniem na tron młodego księcia Milana. Posługujemy się więc nieco dawniejszym materiałem z r. 1867 co nas ma wprowadzić w sferę działania poselskiego koła. Skupsztyna z r. 1867 obradowała jak zawsze w m. Kra-gujewac, natenczas pod laską Karabiberowicza, bankiera beogradzkiego. Według stanów koło poselskie składało się z 52 sędziów gminnych, 27 włościan, 32 kupców, 1 karczmarza, 1 kowala, 3 urzędników gminnych, 7 świeckich księży i 2 przełożonych zakonu.

Książę zagał posiedzenia sejmowe następującą mową:

„Kochani postowie! Z wielką radością widzę się znów w gro-nie was, mężów zaszczyconych zaufaniem narodu, z wesolém sercem witam was! Od czasu ostatniej narodowej skupsztyny, tak ważne, jak wiadomo wam, zaszły wypadki na naszą korzyść, że obecnie śmiało do pracy przystąpić możemy. Naród pozbył się najcięższej swjej troski, ja widzę spełnioném moje najgorętsze życzenie. Tureckie załogi ustąpiły z Serbii, twierdze nad Sawą i Dunajem są w naszych rękach,



a wyrazy: wolność i wewnętrzna niezależność Serbii stały się już ciążem. Udałem się do Konstantynopola, aby tam wyrazić mą wdzięczność w tym względzie. Wysoka Porta uczciła mnie przyjęciem pełnym szacunku dla serbskiego narodu i dla mnie. Mam tę niezachwianą nadzieję, że wkrótce znikną te wszystkie nieporozumienia, które tamowały prawidłowy bieg stosunków między Serbią a Turcją. Nie tylko w kwestyi twierdz, ale i w innych okolicznościach widziałem, jak mocarstwa gwarantujące życzliwie są dla Serbii usposobione. O takie poparcie i nadal zawsze usilnie starać się będę. Ze sprawozdań, które wam przedstawią moi ministrowie, przekonacie się, że zajmując się sprawami zewnętrznymi, o ulepszeniach domowych bynajmniej nie zapomniałem.“

Książę następnie przeszedł do wykazania środków, jakie przedsięwzięte zostały celem naprawy wewnętrznego zarządu.

„Mówiąc o naszych sprawach domowych, z dumą i szczerem zadowoleniem wymieniam instytucją, która aczkolwiek w rządzie innych jest najmłodsza, należy wszakże do najwięcej rozwiniętych i która coraz głębsze w życie narodu zapuszcza korzenie. Wszyscy czujecie, że mam tu na myśli naszą armię narodową, która chętnie i z zapałem ćwiczy się w swoim zadaniu, jest oddaną i posłuszną moim rozporządzeniom, odpowiada zatem zupełnie pokładanemu w niej przez nas zaufaniu, w imieniu więc sejmu składam jój wyrazy szczerego podziękowania. Niechaj nadal w serbskim narodzie żyje dotychczasowy duch oddania się temu, co ma służyć dla dobra ojczyzny, duch poświęcenia, kiedy należy służyć ojczyźnie, duch ufności w ojcowskie moje zamiary a Bóg łaskawy pobłogosławi nasze prace i nasze dążności ku przyszłej szczęśliwości serbskiego narodu. Wszyscy godnie spełnimy nasze zadanie i złożymy ofiary, na jakie każdego stać będzie. Niech Bóg błogosławi Serbią i waszą pracę. Sejm jest otwarty!“

Odpowiedź sejmu pokazuje, jak książę umiał szczęśliwie porużyć patryotyczne uczucia. Oto jój słowa:

„Wasza książęca mość! Najłaskawszy panie! My, przedstawiciele serbskiego narodu, spieszymy z odpowiedzią na słowa powitania wystosowane do nas. Potomkowie sejmujących w Takowie dziękują Bogu, gdy słyszą od syna Miłosza Obrenowicza, że twierdzą nad Sawą i Dunajem są już w naszych rękach i że wolność i niezależność Serbii pod względem wewnętrznym stały się już ciążem. Syn więc godnie dokonał dzieła ojca. Jak z jednej strony miło jest posłom słyszeć, że powaga księcia i Serbii wzrasta u Porty, tak z drugiej znowu boleśnie jest patrzeć na wypadki, jakie na granicy Serbii i Turcyi miewają miejsce. Te stosunki są wielce niepewne, chwiejne; tureccy właściciele ziemscy nie szanują uczuć naszych względem braci między niemi żyjących. Prócz tego Turcy gwałcą bezustannie wszelkie rękojmie i postanowienia, jakie istnieją dla opieki naszego handlu. Osobista wolność i bezpieczeństwo życia i własności naszych kupców tak mało są szanowane, że serbscy podróżnicy narażają swe życie, kiedy się do granic Serbii zbliżają. Jeśli taki stan rzeczy trwał

dalej będzie, handel między Serbią a Turcją ustaćby musiał, a naród serbski poniósłby uszczerbek znaczny w swojej godności w stosunku do całego kraju. Licząc na to, że Wasza Książęca Mość koniec tym stosunkom położy, oświadcza izba gotowość nieuchylania się od ofiar, skoro naród powołany zostanie do bronięcia honoru i interesu Serbii. W uczuciu wdzięczności cieszy się sejm niemało z dobrego usposobienia mocarstw europejskich względem W. K. Mości, względem wielce zasłużonego księcia i naszego narodu. Reformy w ostatnich latach przedsięwzięte uznajemy jako najlepszy dowód ojcowskiej pieczołowitości W. K. Mości około kraju. Cokolwiek dotyczyć będzie dobra naszej ziemi, sejm zawsze z gotowością wspierać będzie rząd na tej drodze. Do takich zmian należą: prawo leśne, robotnicze i wniosek o kolejach. Niech kolej jak najprędzej, przeryna kraj nasz; takie jest życzenie skupsztyny. Niemniej cieszy się sejm z uregulowania koryta Morawy i z projektu nowych dróg komunikacyjnych. Dumni jesteśmy z tego, iż W. K. Mość nas zapewnia, że postępujemy naprzód wraz z innymi narodami na drodze postępu, przemyślu i pomnożeniu bogactwa narodowego. Prosimy jednak o jak najsilniejsze popieranie nas w tym kierunku. Witamy nowe rozporządzenia w dziedzinie sprawiedliwości: są to rękojmię postępu i wolności każdego obywatela z osobna i całego kraju w ogóle. Szczególnie oddzielenie administracji od sądownictwa zarówno pożytecznym jest dla zarządu jak i dla wymiaru sprawiedliwości. Hospodarze! Przedewszystkiem najgłośniejsze odezwało się w nas echo na słowa powitania, któremi nasza zbrojna siła zaszczyconą została. Ośmielamy się jednak wypowiedzieć przekonanie, iż wojsko nasze dopiero wtedy zasłuży na wdzięczność i pochwałę, skoro mu podaną zostanie sposobność stwierdzenia czynem na polu chwały tych gorących uczuć, jakie żywi dla celu, gwoli którego do życia powołanem zostało. Niech żyje wskrzesiciel i dowódca narodowego wojska Serbii, nasz książę Michał Miłoszewicz Obrenowicz III."

Wielomówny adres dopiero co przytoczony, podany księciu Michałowi przez sejmunującą izbę w r. 1867, może dać miarę wewnętrznego życia Serbii na polu politycznym. Prócz mnóstwa ogólnych frazesów treści w nim mało. I nie dziw temu, bo to życie Serbii tak młode, takie świeże, jak gdyby wczoraj dopiero powstało. Nie stoi ono na gruncie długich wieków, zaledwie się wychyliło z pieluch niemowlęctwa i pierwsze zaledwo stawia kroki. Ztąd też nie widać w adresie, by poruszone były kwestye, coby mogły jako w parlamencie angielskim lub w zgromadzeniu francuzkiem zwracać na siebie uwagę świata politycznego; nie czuć w nim tętna jakiejś olbrzymiej walki, coby się toczyła w imię wielkich zasad życia państwowego. Tam na porządku dziennym takie kwestye elementarne, które już dawno rozstrzygnęły państwa na zachodzie Europy. W oczy zaraz wpada to stadium niejako stanu pierwotnego, w którym jeszcze się Serbia znajduje: Izba poselska domaga się ulepszenia komunikacyi, zmian w prawodawstwie, poprawy zarządu wewnętrznego a jakkolwiek książę przed kilku laty zapewnił posłów, że Serbia podąży na drodze postępu za innymi narodami, to otwarcie mówiąc, daleko pozostała i pozostaje za tym po-

stępem, jaki widzimy na Zachodzie. Pod względem handlu, przemysłu, eksploatacji bogactw ziemi czeka Serbią jeszcze praca olbrzymia, która dziś zaledwie budzi się z długoletniego odrętwienia, a praca taka, jak wiadomo, idąc systematycznie posuwa się zwolna, owoce jęj nie są zwykle widzialne od razu. Długie lata upłynąć muszą, nim się ta praca w dostrzegalnych skutkach objawiać zacznie. Ale słusznie zauważył książę Michał w swojej mowie, że odradzająca się Serbia stworzyła w krótkim czasie instytucją najmłodszą w rządzie innych, ale wypróbowaną, dojrzałą instytucją, która już plon nie mały przyniosła — wojsko narodowe.

Lubo Serbia swoje wyzwolenie polityczne zawdzięcza w znacznej części opiece przyjaznych jęj mocarstw i powikłaniom politycznym, w jakich się nieraz Porta Otomańska znajdowała, słuszność wymaga przyznać, że gotowość ofiar, duch poświęcenia, waleczność narodu i jego mozolne starania nie mały przyjmowały udział w sprawie jęj odrodzenia. Naród serbski odkupił się krwią własną, krwią swoich waleczników, a któż z obywateli serbskich nie walczył za wolność swojego kraju? Serbom nie wiodło się bynajmniej tak szczęśliwie jak Włochom w ostatnich czasach, co odzyskiwali najpiękniejsze prowincye bez żadnych niemal wysiłków. Serbska ziemia przesiąkła krwią tych, co się za jęj niepodległość bili. Takim aktem krwawym rozpoczęła Serbia swoje wystąpienie na widownią dziejową w początkach naszego stulecia, jak się już wyżej przedstawiło. W ostatnich zaś latach książę Michał zręczną polityką umiał wymóżyć na Porcie ustępstwa, które Serbii zupełną niezawisłość zapewniły. Śmiała jego polityka nie polegała bynajmniej na czczych dyplomatycznych wykrętaach, które zwykle nie zbyt wielkięm cieszą się powodzeniem, skoro za niemi nie przemawia materyalna siła. Szalę zwycięstwa dyplomatycznego przechyla zwykle wzmianka o dzielnym mieczu, o tysięcznej armii. Bywa to podobno najskuteczniejszy argument. Książę Michał często się uciekał do tego środka powołując się na swoje siłę zbrojną, gotową zawsze poprzęć wywody dyplomacyi. Porta powoli robiła ustępstwa na korzyść niezawisłości Serbii, a Porta ani się spostrzegła, jak w Serbii powoli wyrosła dość groźna wojskowa siła, nie źle uzbrojona, dobrze wyćwiczona. To serbskie wojsko, które więcj swoją postawą i powagą imponowało Porcie, ukazało się istotnie w Serbii jak *Deus ex machina*. Cokolwiekbađ zrobiono w Serbii na drodze postępu, w jednym kierunku posunięto się znacznie naprzód, w utworzeniu siły zbrojnej. Ku temu głównie były skierowane usiłowania rządu w ostatnim dziesiątku lat, działającego w tęg słusznęm przekonaniu, że tylko pod osłoną takiej opieki może powoli męźnić młode życie Serbii. Dziś Serbia z otuchą patrzy w swą przyszłość, mając pod bokięm regularne wojsko, które pod każdym względem wyćwiczenia, dzielności, uzbrojenia, nierównięm wyżj stoi od turekiej armii.

To co Serbia na tęg polu zrobiła za naszej jeszcze młodej pa-mięci, winna głównie rządóm swoich książąt i swojemu poświęceniu. Zapewne, że i tradycya przyczyniła się w niemałej mierze, tradycya

wielkich czynów dokonanych przez przodków na polu chwały. Ale z przeszłości swojej Serbia żadnej prawie nie odziedziczyła spuścizny materialnej, żadnej armii regularnej; dawniej bowiem, jak wiadomo, za czasów podziału na żupy, każdy żupan ciągnął na wojnę ze swoimi ziemskimi czyli powiatowymi oddziałami. Ponieważ węzły między żupanami nie były zbyt ścisłe, nie było też i jedności pod względem wojskowym. Kiedy się kraj połączył i swoich carów mieć zaczął, wtedy włastele czyli szlachta ciągnęli na wojnę z chorągwiami, pod którymi gromadzili swoich lenników. Sprowadzano nawet najemnych żołnierzy z Włoch i Niemiec. Waleczność była zawsze w dawnych i obecnych czasach naczelną Słowian cnotą. O niej mówić byłoby zbyt czerzą rzeczą. Ilużto bohaterów znają pieśni ludowe Serbów. W Marku Kraljewiczu, Miłoszu Obiliczu, w Jerzym Brankowiczu, w despotcie Wuku, Smokiem zwanym, uosabia się narodowe, staroserbskie bohaterstwo. Z upadkiem serbskiego państwa szlachta upadła, zniszczała. Część jej opuściła rodzinne strony, reszta zaś zginęła bez śladu w ogólnej massie, którą wytworzyło pod nazwą rajów panowanie tureckie. Niewielka tylko liczba serbskiej szlachty poszła za przykładem bośniackiej, przyjąwszy muzułmanizm dla ocalenia majątków i stanowiska. Ci renegaci bronili fanatycznie nowego sztandaru. Z ich grona wychodzili nieraz owi straszni tureccy dowódcy, przed którymi drżała Europa i Azja.

Z liczby rajów przemocą zwykle corok wybierano chłopców, którzy następnie powiększali szeregi strasznych janczarów. Od końca XVII stulecia, kiedy Austria rozpoczęła długie wojny z Turcyą, prawie w każdej wyprawie przyjmowały udział legiony serbskie utworzone z walecznych Serbów, co na pierwszy odgłos wojny opuszczali kraj rodzinny, by w szeregach cudzoziemskich walczyć przeciwko Turcyi. Aż do ostatniej walki za niepodległość Serbii, tradycya wojskowa żyła między Serbami, ale sama tradycya siły zbrojnej, jak wiadomo, nie utworzy. Pod wodzą Miłosza Obrenowicza zrzucano jarzmo tureckie, uzyskano pewne rękojmie bezpieczeństwa, ale nie uzyskano tego, co najskuteczniej mogłoby bronić młodą niezależność od niebezpiecznych ze strony Turcyi zamachów. Traktaty przysięgą stwierdzone, są w obec Porty małej wagi. Lada kaprys sułtana wniwecz je obracał, jak świadcza o tém dzieje współczesnej nam doby. Regularne wojsko było dla Serbii warunkiem jej przyszłości. Niepospolita zręczność Obrenowiczów, ich wytrwałe zabiegi dokonały tego, że powoli bez wiedzy nawet Turcyi powstała dzielna armia serbska. Pierwszy z książąt Miłosz Obrenowicz wymógł na Turcyi drobne napozór ustępstwo, iż wolno mu będzie trzymać pewną liczbę zbrojnych ludzi, aby zapobiegać naruszeniu porządku publicznego i w danym razie karać przestępców. I oto z tych drobnych zawiązków rozwinęła się cała siła zbrojna. Dla podtrzymania niby publicznego porządku urządził Miłosz pierwotkowo milicyą narodową, która 4 tysiące głów liczyła. Z biegiem czasu—jak lawina z gór się tocząca stopniowo do znacznych urosła rozmiarów ta mniemana milicya bezpieczeństwa publicznego. Na tej drodze nie tyle zrobił książę Ale-

ksander, syn Jerzego Czarnego, ile znowu Miłosz i Michał Obrenowicze. Po powrocie z wygnania Miłosz na nowo rozpoczął swoje dzieło. Bez hałasu i wrzawy pracował nad organizacją wojska, budował koszary, zakładał szkoły wojskowe, sprowadzał austriackich instruktorów, wysyłał zdolniejszych ludzi do zagranicznych akademij wojskowych. Nie mało w tym względzie dodawał mu podniety duch czasu, jaki wtedy w Europie panował. Była to epoka, kiedy Napoleon, cesarz Francuzów głosił w polityce zasadę narodowości i takową orężem w czyn wprowadzał. Dla urzędzenia armii serbskiej został powołany pólkownik Mondain, dzielny francuzki inżynier generalnego sztabu. W Serbii otrzymał tytuł ministra wojny i długi czas był szefem serbskiego wojska.

Książę Michał wstąpił w ślady swego ojca. Narodowa milicya wzrastała w liczbę i robiła postępy w militarném wykształceniu. Już w 1861 r. przedstawił sejmowi wniosek, dotyczący organizacji narodowego wojska (narodna wojska), w myśl którego każdy Serb od 20—60 lat podlega służbie wojskowej. Ówczesny sekretarz stanu, głośny Risticz, obecnie minister spraw zagranicznych, w gorących słowach zalecał w imieniu księcia wniosek, przedstawiony Izbie poselskiej o nowej organizacji wojskowej: „Bracia moi!—zawołał—jeżeli za naszą armią 5tysięczną stanie pięćdziesiąt tysięcy milicyi narodowej dobrze wywicznej, któż się odważy nas obrazić? Uczmy się robić bronią w niedzielę, zamiast przed mechanami (karczmarzami) czas spędzać na bezużytecznej gawędzie“. Projekt został przyjęty przez skupstżyne wśród gwałtownych okrzyków radości.

Porta Otomańska, patrząc z obawą na wzrastającą siłę Serbii, protestowała uroczyście; Austria także dorzuciła swoje „nie pozwalam“, obawiając się wybuchu nad Dunajem, gdzie Kossut podniecał żarzewie powstania. Kroki obu mocarstw pozostały bez skutku. Chociaż Austria surowo zabroniła wywozu broni do Serbii, umiano sobie jednak zaradzić inaczej, sprowadzając ją pośrednim sposobem z Rossyi. Już na początku następnego, to jest 1862 roku, wszędzie z zapalem odbywało wojsko narodowe różnorodne ćwiczenia. W czerwcu, kiedy Turcy bombardowali Beograd, na głos księcia stawiła się na obronę stolicy imponująca siła zbrojna. Praca księcia Michała wydała w tym względzie pożądane owoce.

Milicya narodowa stała się najpopularniejszą instytucją Serbii. Uciążliwa służba żadnego nie budziła i nie budziła niezadowolenia w ludności. Według ostatniej organizacji z roku 1867, wszyscy właściciele i posiadacze są zobowiązani służyć w narodowej milicyi z wyjątkiem Cyganów i Żydów. Prócz tego wolni są wyżsi urzędnicy. Służba trwa od roku 20—40. Jakkolwiek zwykle tylko pierwsze powołanie znajduje się stale pod bronią, jednak cała milicya przyjmuje udział w ćwiczeniach wojskowych dwakroć do roku: na wiosnę i na jesień. Narodowa milicya dzieli się na jazdę, artylerję, piechotę i furgonów (komordzije). Jazdę formują zwykle z bogatych kupców, właścicieli ziemskich i przemysłowców. Cały rynsztunek i ubra-

nie własnym kosztem każdy nabywa. Było jęj w ostatnich czasach 5,000 koni.

Do artylerji powołują urzędników, ludzi więcj ukształconych i mieszczan. W tym rodzaju broni ważną gra rolę artylerja górski, która ma działa zastosowane do miejscowych warunków, to jest tak lekkie, że na jucznych zwierzętach można je przewozić przez lasy i góry. Liczba ludzi w artylerji może około 8,000 wynosić. Do piechoty zaciągają głównie wieśniaków. Pierwsze powołanie wynosi około 50,000. Cała milicya rozdzielona jest na pięć oddziałów albo okręgów; jest to podział czysto terytoryalny. Regularne wojsko służy głównie jako szkoła dla wojska narodowego. Nie ma go więcj nad 2—3 tysięcy. Służba w tém wojsku trwa trzy lata. Nie podajemy dalszych w tym przedmiocie szczegółów, z obawy, aby nie wprowadzić w błąd czytelnika. W roku przeszłym z powodu powszechnego w Europie uzbrajania się i reorganizowania służby wojskowej, poczyniono także i w Serbii odpowiednie zmiany, o których nie posiadamy jeszcze pewniejszej wiadomości. Zakupowano dla Serbii broń odtylcową, poprawiano artylerję, sprowadzano z Austrii dobre i silne konie, założono nowe szkoły wojskowe. Ostatnia reencya pod względem starań około podniesienia siły zbrojnej nie pozostawała w tyle za Obrenowiczami. Młody książę może z otuchą patrzeć na dzieło swoich poprzedników, które się nie mało przyczyniło do utrwalenia wewnętrznej niezawisłości Serbii.

\*

\*

\*

„Pierwszy i najcięższy podatek, który płacą kraj i praca, stanowią koszta przewozu. Powiększają się one w stosunku geometrycznym, podczas gdy odległość od targu wzrasta w artmetycznym“. To wyrzeczenie sławnego ekonomisty amerykańskiego Careya najzupełniej się sprawdza w Serbii, nie posiadającej ani dobrych dróg, ani żelaznej kolei. Nie zbyt wielka ludność a głównie brak wszelkich dróg i komunikacyi, jest dotychczas najgłówniejszą przyczyną tego niskiego stanu bogactwa narodowego, jaki spotykamy w tureckich naddunajskich prowincjach. Nawet te piękne drogi, które w tych stronach pobudowali kiedyś Rzymianie z takim wysiłkiem dla połączenia Mezji, Tracji i Macedonii z brzegami Egejskiego i Adryatyckiego morza, Turcy zupełnie zapuścili i zaniedbali. Połączenie na kołach jest w tureckich prowincjach prawie rzeczą niemożliwą. Ztąd też zatamowanie zagranicznego handlu, który radzi sobie, używając do przewozu towarów, w każdym razie drogiego środka, to jest jucznych zwierząt. Znaczniejsi więc kupcy mający zagraniczne stosunki, muszą zwykle trzymać w nadmorskich miastach albo w przystaniach nad Sawą i Dunajem swoich komisyjonerów, którzy przeładowują towary w mniejsze beczki, dla dogodniejszego pomieszczenia ich na koniach. Łatwo zrozumieć, jaką stratę czasu i pieniędzy sprowadza podobne postępowanie. W całej Turcyi miarą ciężkości jest siła ko-

nia, na którego liczą 225 funtów. Taka karawana, która wymaga także licznych poganiaczy, najwyżej dziennie przebywa 6—8 godzin (mil). Koszta więc przewozu na juki jednokonne dochodzą do znacznej cyfry, wynosząc w lepszej porze roku za jedną milę około jednego złotego. Jeżeli latem komunikacja karawanowa jest niepewna, to zimą ustaje prawie zupełnie. Takiego rodzaju były drogi, które Turcyja zostawiła Serbii niemal w pustynią zamienioną.

Kiedy książę Miłosz objął rządy w zapuszczonej krainie, wóz należał do rzadkich, a koło z żelazną obręczą do niesłychanych rzeczy. Budowie dróg poświęcił książę Miłosz szczególnejsze staranie. Jako drugi Piotr, zmuszał nieukształconych wieśniaków do prowadzenia pierwszych dróg, za które potomność wdzięczną mu być powinna. Wprawdzie pierwsze próby czynione przez ludzi nieprzygotowanych, były mało zadawalające. Podróżnicy jak Perch, Boué nie mało o nich opowiadają. W każdym razie był to początek uznania godny. Książę Aleksander z zapalem prowadził dalej rozpoczęte dzieło. Zarząd dróg powierzono oddzielnej sekcji w ministerjum spraw wewnętrznych. Sprowadzono z zagranicy licznych inżynierów, młodych ludzi wysyłano z Serbii do szkół politechnicznych w Wiedniu, Paryżu, Berlinie i Brukselli. Powoli przyszło do tego, że nietylko każdy powiat ale i każdy okręg miał swego inżyniera, który kierował robotami około budowy i naprawy dróg. Prawodawstwo określiło bliżej obowiązki gmin względem utrzymania komunikacji. I tak: według prawa serbskiego, koszta na budowę i utrzymanie dróg ponoszą gminy, przez które drogi przechodzą. Gmina dostarcza materiału i dba o wykonanie przepisanych robót. Robotnicy jednak i nadzorcy otrzymują od państwa dziennie wynagrodzenie. Korzystanie z dróg jest dla wszystkich bezpłatne. Mimo tyloletnie usiłowania rządu, drogi w Serbii nie są jeszcze postawione na średniej stopie doskonałości. Na każdym prawie sejmie posłowie dopominają się najrozleglejszych ulepszeń. Obecnie Serbią przerywa w głównych kierunkach sześć bitych traktów. Drogi boczne czyli wiejskie są w bardzo oplakanyj stanie. Brak im często mostów, rowów, ścieków, ztąd zimą stanowią właściwie bezdroża. Każdy wtedy tworzy sobie w prawo i w lewo własną drogę. Z tém wszystkiem, Serbia stanowi w całej Turcyi wyjątek, jedyne państwo, na które spływają już dobrodziejstwa ożywionego ruchu osobowego i towarowego po drogach założonych na sposób europejski. W ostatnich latach za księcia Michała, utworzono nawet oddzielne ministerjum dróg i komunikacyj (ministerstwo gradźewina).

Teraz urządzono także oddział robotników do budowy mostu. Ale dawniej nie znano w Serbii tego rodzaju budowli. Kiedy książę Michał wstąpił na tron, nie zastał w całym kraju ani jednego mostu. Przez takie rzeki jak: Morawa, Drina, Ibar, przeprawiano się na przewozach, które dla państwa znaczny przynosiły dochód. Obecnie już zaprowadzono w ważniejszych miejscowościach mosty zbierane na łyżwach.

Serbia posiada prawo swobodnego korzystania z wolnej żeglugi na Sawie i Dunaju, dotychczas jednak dla braku kapitału niezrobiono żadnego użytku z tego szacownego przywileju. Książę Miłosz w 1866 roku starał się wyswobodzić z pod austriackiej flagi, zakładając przy pomocy francuzkiego towarzystwa żeglugę parową, ale zabiegi jego wkrótce udaremnione zostały.

Serbia oddzieliła się od pozostałej Turcyi zapomocą kwarantanny i pogranicznej strazy. Cały ruch osobowy i towarowy tylko przez kilka pogranicznych stacyj odbywać się może. Takie ograniczenia ruchu komunikacyjnego wprowadzono już dość dawno celem ustrzeżenia kraju od zaraźliwych chorób, jakieby nieraz z Turcyi wniesione być mogły. Jest wszystkiego siedm punktów wyznaczonych jako zborne miejsca (sastanci), gdzie się zgromadza pograniczna ludność dla wzajemnego porozumienia, wymiany towarów, załatwienia interesów. Każdy zborny punkt posiada w tym celu urządzoną salę gościnną, na dwie części przedzieloną, gdzie schodzą się umawiające strony. W takich miejscowościach zwykle pełni swą czynność i urząd celny. W czasach, kiedy żadna nie panuje zaraźliwa choroba, podróżnicy i towary bez zwłoki dalej swą podróż odbywać mogą, w przeciwnym razie ulegają zwykłym środkom ostrożności, kadzeniu, dezynfekcyi i kilku lub kilkunastodniowemu zatrzymaniu.

Poczta, telegraf i kolój żelazna, te potężne czynniki zachodniej cywilizacyi, nie są wprawdzie obcemi dla Serbii instytucyami, ale znajdują się niestety! jeszcze na stopniu niemowlęcego rozwoju. Czas powoli zrobi swoje: wszystko jest ściśle i wzajemnie zawarunkowane. Z ulepszeniem dróg bitych ożywi się ruch pocztowy, z powiększeniem się bogactwa narodowego, wzmożą się kapitały dla celów komunikacyjnych i przemysłowych. Poczta listowa w Serbii podlega dwóm urządcom. Austriacki konsul ma pod swoim zarządem pocztę międzynarodową, to jest przyjmuje wszystkie listy i posyłki zagraniczne i w Beogradzie odsyła takowe bezpośrednio do właściwych rąk, na prowincyą zaś przeznaczone listy oddaje do urzędu pocztowego miejscowego, to jest książęcego. Po głównych gościńcach idzie poczta listowa przez Serbią do dalszych prowincyj Turcyi, zwykle na koniach przewożąc swoje pakunki, niekiedy na dwukołowych wózkach czyli biédach. Osobowa poczta dopiero w ostatnich czasach zaczęła używać zwykłych wozów. Dla podróżującego najdogodniejszy jest przejazd na prywatnych koniach, co do pośpiechu podróży znacznie się przyczynia, lubo powiększa koszta, jakie ponosić wypada za własnego wierzchwca, za jucznego konia i za pocztyliona. Za taki sposób przejazdu płaci się za milę 4—5 złp. Siodło i uzdeczkę winien podróżnik mieć własne. W 1864 roku wyprawiono listów rządowych 202,850, prywatnych 239, 635, która to liczba w ostatnich latach w skutek zmniejszenia opłaty znacznie się powiększyła. Osób przewieziono na wozach i konno około dwóch tysięcy. Dochód pocztowy wynosił w roku 1866 blisko 150 tysięcy złotych.



Telegrafy zostały w Serbii zaprowadzone w roku 1854. Przed niedawnym czasem było już 20 stacyj, które się zapewne w ostatnich trzech latach znacznie pomnożyły (1). Rząd serbski przyłączył się do niemiecko-austriackiego związku telegraficznego, za pośrednictwem którego pozostaje w połączeniu z całą Europą.

Koleje żelazne byłyby jedynym dla zrujnowanej Turcyi środkiem podniesienia jej dobrobytu, ożywienia jej stosunków handlowych. Mogłyby one nie mało przyczynić się do ruchu przewozowego ze Wschodu na Zachód, do Wiednia i Włoch. Ale przy tych niepewnych stosunkach, jakie tam panują, zagraniczny kapitał nie zbyt chętnie rzuca się do niebezpiecznych przedsięwzięć. Sam zaś rząd Porty Otomańskiej za mało czuje w sobie energii, by podobnemi dobrodziejstwami obdarzyć ludność swoich prowincyj, przeprowadzając drogi żelazne. Wszystko w tym względzie idzie żółwim krokiem. Przed laty dwunastu w całej Turcyi było zaledwie 9 mil geograficznych kolei żelaznych, w 1871 było już 40 mil, co to jednak za nieznaczny stosunek do całego obszaru (2). Od komunikacyi zewnętrznej w tureckim państwie głównie zależy kolej w Serbii. Kraj stoi jeszcze na zbyt niskim stopniu rozwoju materialnego, by się mógł opłacać kapitał włożony w budowę drogi żelaznej. Kolej żyje głównie przewozem miejscowych produktów, te zaś według danych statystycznych nie są w stanie w Serbii utrzymać drogi żelaznej.

Drogi i rolnictwo w najściślejszym między sobą pozostają związku. Pewnik ten każdemu jest wiadomy. Tylko tam rolnictwo kwitnąć może, gdzie system dróg został wszechstronnie rozwinięty, bo drogi ułatwiają korzystniejszy zbyć produktów rolnych. Po tém, co się wyżej rzekło o komunikacyach w Serbii, łatwo pojąć, na jakim stopniu znajduje się rolnictwo. Z tego względu głównie pielęgnowano dotychczas jedną gałąź gospodarstwa rolnego: zajmowano się hodowlą trzody chlewniej, która, jak wiadomo, sama jest w stanie przebywać dalekie przestrzenie i daje gotowiznę w łatwy sposób, gdy tymczasem zbyć produktów rolnych pociąga za sobą większe trudności i większego wymaga nakładu.

Z tém wszystkiém Serbowie nie mniej chętnie od innych Słowian-pobratymców bawią się rolnictwem. Rolnictwo i pasterstwo, któremu sprzyjały leśne strony i bujne trawiaste doliny, od najdawniejszych czasów stanowiły główne zajęcie Serbów. W epoce politycznej samodzielności, własność ziemską (czyli basztyne) posiadała szlachta (wlastele) i kmiotkowie. Oddawano także w rodzaj dzierża-

(1) Najnowsze źródło informacyi w tym względzie, do którego się udawaliśmy, widocznie nie posiada jeszcze pewnych danych. Geographisches Jahrbuch. Gotha za r. 1872, podając tabelę różnych państw i ich drutów telegraficznych, pod Serbią umieszcza tylko 19 stacyj, a długość drutów na 131 mil geograficznych. Neumann. str. 519.

(2) Tamże. str. 512.

wy ziemię za uiszczeniem pewnej ilości płodów rolnych. Ludność wiejska mieszkała we wsiach i osadach. Jakie podatki płacili wieśniak szlachcie, duchowieństwu i carowi, w szczególach, nie jest nam wiadomém. Tak nazywani „perper carski“ stanowili w każdym razie główne źródło dochodów księcia, króla czy cara.

Pod tureckim panowaniem zniesiono wszelką własność ziemską, nad całym krajem rozciągał swe prawo sultan. „Wszelka ziemia należy do kalifa, który jest cieniem i namiestnikiem Boga na ziemi“. Już wyżej była mowa o tém, że po podbiciu Serbii cały kraj podzielono na drobne części, z których dochody wyznaczono spahiom. Spahia był rodzajem lennego pana. Tylko pewna część szlachty-renegatów zatrzymała dawną własność i prawa. Wieśniak albo w ogóle każdy raju, pozostając na swoim kawałku ziemi, winien był płacić swojemu najbliższemu panu dziesięcinę, która się połowie dochodu równała; prócz tego, basza czyli rządca prowincyi, ściągając na swoje korzyść oddzielne opłaty albo 100 dniową na rok pańszczyznę z każdego gospodarstwa, a nadto nad wszystkimi ciążyła „dymnica“, którą wybierali biskupi z Konstantynopola nasyłani—za ordynowanie plebanów wiejskich. Te wszystkie podatki i ciężary mając na uwadze, które rolnik ponosił, łatwo określić można jego względem ziemi stanowisko. Z gruntu swojego miał właściwie tylko prawo użytkowania (ususfructus), tymczasem owoce pracy jego zabierane przez ciemiężycieli, zaledwie na nędzne wystarczały utrzymanie. Nic więc dziwnego, że kmiotek serbski zamieniony na pańszczyznianego chłopca, nie miał żadnej podniety do ulepszenia gospodarstwa. Pola zarastały chwastem, zapadały się chaty wiejskie, wsie i sioła opustoszały... przemysł i handel obumarły.

Skoro raz w ludności zostanie zabita wszelka chęć do pracy i zabiętość, skoro się raz w niej zagnieździ ospałość i lenistwo i w ciągu kilku wieków przytępieje wszelka energia, jakże to trudno wtedy wlać znowu nowy popęd i żywszą w niej obudzić działalność. Na to dziesiątki lat nie wystarczą. Po wojnach za niepodległość kraju, ludność odrazu znowu wróciła do swojej własności. Ziemia przeszła w zupełne posiadanie rolnika. Nowe stosunki polityczne wymagały nie małych wydatków, które tylko przez opodatkowanie można było pokryć. Ileż to szemrań, ile niezadowolonia głośniego spotykał pierwszy książę w pracy około odrodzenia swego kraju. Ludność wiejska w mniemaniu, że wolną być powinna od wszelkich ciężarów, chętnie łączyła się z ambitnymi przywódcami stronnictw, które do wygnania Obrenowiczów się przyczyniły. Powoli jednak rozsądniejsze poglądy między ludnością wiejską postęp czyniły. Mimo usiłowania przez Miłosza podjęte celem podniesienia rolnictwa, dotychczas zaledwie ósma część całego księstwa znajduje się pod uprawą, a na milę kwadratową przypada zaledwie 1,200 głów. W obec więc takiego stanu wniosek jest bardzo prosty, że rolnictwo w Serbii nie stoi bynajmniej na pożądanym stopie doskonałości.

Usiłowania rządu, założenie w Topczyderze około Beogradu wzorowego gospodarstwa, kilku szkół agronomicznych, zwolna przy-

czynniają się do podniesienia rolnictwa. Przynajmniej Serbia dziś się w tym stanie znajduje, że zboże wystarcza jej na własne potrzeby. Uprawa wina i jedwabnictwo posuwa się z każdym rokiem naprzód. Z tém wszystkiem podróżnik spotyka nieraz okiem niezmierzone obszary, leżące zupełnie odłogiem. Niekiedy zdawałoby się mogło nawet bez zbyt bujnej wyobraźni, że Serbia to niby amerykańskie Stany, gdzie dopiero powstają młode osady. Całe pasy wytopionych lasów obok źle uprawionych pól! Po nad wysokim kłosem pszenicy lub łodygą kukurydzy sterczą drzew zwęglone pniaki. Nadmiar urodzajnej gleby pozwala zapuszczać ugiorem świeżo uprawne pola. Mierzwy nie potrzebuje wieśniak serbski, w danym razie zastępuje ją powoli guijące ściernisko z poprzedniego roku. Brak większych gospodarstw, któreby nowsze ulepszenia w rolnictwie wprowadzały, staje na zawadzie postępom agronomicznym.

Rolnik serbski zawsze jeszcze używa narzędzi, któremi się przed setkami lat posługiowano. Pług jego nie wywraca ziemi, tylko ją z lekka na powierzchni rozdziera; bo jedyny kawałek żelaza, co się przy tym pługu trzyma, podobny do wyciągniętej ręki, prawie równolegle zapuszcza się w ziemię. Do poruszenia takiego narzędzia potrzeba nieraz dwóch, trzech i czterech par wołów i kilku ludzi. Zamiast brony używają często gałęzi lub cierni. Trawę tną kosą albo sierpem, ale grabie są nieznanne. Garście na zagonach zbierają za pomocą wideł. Dynie, melony i groch sjeją razem z kukurydzą w sposób bardzo pierwotny. Za orzącym wieśniakiem idzie żona lub córka i wrzuca w bruzdę pomięszane nasienie, przygarniając nań ziemię swoją bosą nogą; potem broną bardzo prostą równają rolę.

Cepy są podobnie nieznanem w Serbii narzędziem. Zboże depczą woły lub konie na twardem glinianem klepisku, niekiedy natichmiasz po żniwie na polu. Na klepisku wbijają kół, do którego są przywiązane konie za pomocą lin i w tym sposobie obracając się dookoła, z powodu obwijającej się liny coraz mniejsze zakreślają łuki, następnie w odwrotnym kierunku na coraz szerszej linie po deptaku się obracają.

Jak w całej Turcyi tak i w Serbii przeważa uprawa tureckiego prosa czyli kukurydzy. Pod nią zajęta jest prawdopodobnie połowa a może nawet dwie trzecie w ogóle uprawnej roli. Chleb z kukurydzy stanowi główne pożywienia Serba. Ziarnem kukurydzy tuczą i trzodę chlewną. Łodygi dają także i bydłu na zimę. Zyto, pszenicę sieją głównie w okolicach Sawy i Dunaju, wszędzie zaś spotyka się owies, jęczmień, proso. Brak starania przy zwózce zboża zmniejsza znacznie jego wydajność i wywóz zagraniczny. Wyższe gatunki maki sprowadzają zawsze jeszcze z Austrii. Ze strączkowych roślin prawie wyłącznie sadzą groch tyczkowy i polny, które stanowią ulubioną potrawę postną. Jarzyny i kartofle spotykają się tylko w pobliżu miast. Powszechnie jednak hodują w polach i ogrodach pieprz turecki, cósbulę i czosnek. Każdy wieśniak ma zawsze trochę tej papryki.

Z owoców obok wiśni, jabłek, gruszek, szczególniejszą cieszą się uprawą śliwki. W okolicach Kruszewacu spotyka podróżnik całe lasy drzew śliwowych. Suszone śliwki stanowią w ciągu kilku tygodni główne pożywienie ludności. Najlepsze śliwki rodzą się w Szumadyi. Ze śliwek przygotowuje także Serb swój ulubiony napój śliwowiec czyli rakiją, odznaczającą się przyjemnym, chłodzącym smakiem i zapachem gorzkich migdałów. Śliwki tak się obficie rodzą, że mimo ogromnego spożywania wywóz takowych około 80 tysięcy centnarów wynosi.

Uprawa wina wyłącznie się odbywa na płasko wzgórzach, przylegających do Dunaju. Pierwsze latorośle w Serbii sadił podobno cesarz rzymski Probus. Szczególniej słyną winogrona Semendryi. Czerwone wina są nieco cierpkie i ciężkie, posiadają w pewnym stopniu te same własności co i dalmatyńskie. Wszystkie wyrób spożywa się na miejscu. Wyższe stołowe wina sprowadzają, lubo w niewielkich ilościach, z zagranicy. Uprawie wina poświęcają wieśniacy największe staranie. W jesieni zaczyna się winobranie. Co Serb zbierze, to i wypije. Już w dwa tygodnie po rozlaniu wina w beczki zaczynają kosztować daru Bożego. Oszczędności zwykle nie robią, zapas jednego roku wychodzi powoli na potrzeby domowe, nieraz już w porze letniej niema ani kropli wina w piwnicy, wtedy kmiotek do gorzałki sięga.

Zwróćmy się teraz do drugiej gałęzi gospodarstwa rolnego, do hodowli inwentarza. Ten sam tu spotykamy niski co i w rolnictwie stopień rozwoju. Bydło pozostaje zwykle jak najdłużej na wolnej paszy. Zimą podobnie pod gołym niebem przebywa około zabudowań, niekiedy w bardzo lichych oborach, żywiąc się li tylko suchymi łodygami kukurydzy; nie wielką ilość siana spożywają konie i owce. Rassa bydła jest nieszczególna, mała, chuda, niepozorna. Wiosną widać na tych pięknych alpejskich dolinach bujną trawą pokrytych, nieliczne stada wynędzniałego bydła. Rolnik serbski nie dba wiele o swój inwentarz. Ponieważ nie spożywa mięsa wołowego, bydło więc w pewnej ilości stanowi przedmiot handlu wywozowego. Cieląt na wsi nigdy nie biją. Dojność krowy, która przecięciowo 5 duk. kosztuje, jest bardzo mierna. Mleko zaledwie na potrzeby domowe wystarcza. Wyrób masła nieznanym zupełnie, zastępuje go wyrób twarogu, który staje się przedmiotem prędkiej konsumpcji domowej. Przy takich pastwiskach rozległych i żyznych, jakie ma Serbia, hodowla bydła, fabryki masła i sera, podobnie jak w Holandyi, mogłyby się stać obfitym źródłem bogactwa narodowego, gdyby ten lud taką samą jak Holendrzy odznaczał się energią i przedsiębiorczością.

Konie serbskie nie należą do pięknej rassy, ale są zwinne, zręczne, szczególnie w podrózach po ścieżkach stromych skał. Te własności pozwalają używać konia w Serbii do przewożenia lub raczej przenoszenia towarów. Muły i osły spotykają się rzadko. Koni zbyt koźnych, poprawnej rassy jest mało, a zarodowe stajnie księcia w nieznacznym dopięro przyczyniły się stopniu do jęj uszlachetnienia. Dla

wojska tj. dla konnicy i artylerji Serbia zmuszona jest z zagranicy sprowadzać konie, zwłaszcza z Węgier.

Rozległe dębowe lasy Serbii sprzyjają wielce hodowli trzody chlewnój, tego najbogatszego źródła dochodu w serbskiem gospodarstwie. Serbska trzoda chlewna gra ważną rolę w wyżywieniu całej środkowej Europy. Na wielką skalę rozwinięta jest ta hodowla, szczególnie w Szumadyi. Na wiosnę, kiedy się rozpoczyna żegluga na Sawie i Dunaju, ciągną nieprzeliczone stada szczecinowego inwentarza ku wywozowym przystaniom, mianowicie ku Semendryi. Świnie serbskie są mało tuczone, chude, stąd też w ostatnich latach mniej były poszukiwane przez handlarzy, którzy w Węgrzech mogą zakupować lepszą rasę, więcej wypasioną. W wielu okolicach Serbii hodowla trzody chlewnój stanowi dla rolnika jedyny dochód gotowizną, w 1862, 63 i 64 r. wywóz roczny wynosił przecięciowo 325 tysięcy sztuk. W skutek popłochu rządzonego w Europie przez ukazanie się w wieprzowinie trychin, znacznie się zmniejszył handel zagraniczny tego rodzaju inwentarza, w ostatnich jednak latach znów się wzmaga, do czego się także przyczyniają postępy w poprawieniu rasy uczynione.

Zmniejszona nieco z powodu obaw o trychiny w 1865 roku hodowla trzody chlewnój oddziaływała korzystnie na owczarnie, ale dotychczas jeszcze owca jedynie tylko służy do zaspokojenia głodu wieśniaka, jako najwięcej ulubione mięso. Do zwierząt domowych należy w Serbii także koza, która mało wymagając doglądu, dla rolnika wielce jest pożądana.

Lasy Serbii należały kiedyś do najpiękniejszych w Europie. Jeszcze w przeszłym stuleciu, powiadają podróżnicy, Serbia była jako jeden las. Teraz już znacznie przetrzebione zostały. Gdzie leśne knieje zamienione na uprawną rolę, tam szkody żadnej przez to nie wyrządzono. Ale lekkomyślnie przez długie lata trzebiono lasy, które z wielu względów nietkniętymi pozostać były winny. Rządzono się w Serbii zasadą jak i u nas, że lasy są nieprzebrane, że po wycięciu nowy na tém miejscu znów wyrosnie. Pocieszano się tą myślą, że drzewa nigdy nie zabraknie. Tymczasem skutki takiego gospodarstwa niebawem się ukazały w wielu miejscowościach, gdzie drzewo stało się przedmiotem poszukiwanym i wielce drogim. W gminnych lasach nie było porębów, każdy wycinał na własną potrzebę, gdzie i co mu się podobało. Rząd zapobiegał po razy kilka takiemu systematycznemu trzebieniu, ale bez wielkiego powodzenia. Dopiero w 1867 roku uchwaliła skupsztyna surowe prawo leśne. Większe obszary lasów, do których gminy nie miały żadnego a przynajmniej wątpliwy tytuł, rząd przepisał na własność skarbową, rozciągnął opiekę nad lasami gmin, kazał w nich urządzić poręby, na potrzeby domowe, budowlę i opał otrzymuje członek gminny bezpłatnie albo za niewielką opłatą potrzebny materyał. Samowolnie jednak bez uchwały gminy nie ma prawa gospodarować w lesie i rozrządzać drzewem. Rząd także wygotował prawo korzystania z pastwisk leśnych, zbierania żołądki i innych, tak iż obecnie obawa o drzewo w Serbii może być za bezzasadną uważana.

Pod względem rzemiosł Serbia stoi na tym stopniu, na jakim się kiedyś Polska znajdowała, kiedy pracę rękodzielniczą za ubliżającą godności człowieka uważano. Prócz wiejskich kowali, krawców, szewców, szcztokarzy nie masz zupełnie serbskich rzemieślników: wyższy przemysł spoczywa głównie w rękach cudzoziemców. Nie można Serbom odmówić bynajmniej uzdolnienia, zręczności, owszem zmysł naśladowczy posiadają w wysokim stopniu; brak im jednak wytrwałości a głównie zamiłowania w tego rodzaju zajęciu. Są także i inne przyczyny podobnego w rzemiosłach zastoju. W Serbii brak stanu miejskiego: Serb nie zbyt chętnie osiada w miastach, gdzie zwykle najodpowiedniejsze bywa ognisko ruchu na polu rzemiosł. Pod długoletniemi panowaniem tureckiem unikano miasta, gdzie się obce jarzmo najdotkliwiej dawało we znaki. Prócz tego istnieją w Serbii różne przepisy, ograniczające swobodę zajmowania się rzemiosłem. Są pewne zajęcia, które należą do ściśle zamkniętych korporacyj czyli cechów. Cechy mają swoje urządzenia podobne do tych, co się rozwinęły na Zachodzie. Tylko wykwalifikowani majstrowie mogą prowadzić swój proceder. Trzeba przechodzić przez stopnie, zostać czeladnikiem, być zapisanym do cechu i otrzymać właściwe świadectwo. W pewnych razach monopol rzemiosła przechodzi na wdowę i dzieci.

Cudzoziemcy mają prawo osiedlania się w Serbii, za wykazaniem kwalifikacyjnego świadectwa i uzyskaniem pozwolenia od władzy policyjnej. Ztąd też nie tylko w Beogradzie, ale i we wszystkich znaczniejszych miastach, wyłącznie niemal zajmują się rzemiosłami Niemcy z różnych prowincyj, zostający pod opieką austriackiego i niemieckiego konsulatu. Rząd serbski przedsięwziął w ostatnich latach środki, by pobudzić ospałą ludność do współzawodnictwa z cudzoziemcami. Liczni stypendyści kształcą się w różnych zawodach w zagranicznych zakładach, by z czasem powiększyć miejscowe rękodzielnicze siły. W celu podniesienia miejscowego przemysłu i rolnictwa, uchwalił sejm w 1865 roku wniosek kolonizacyjny, który wielkie poczynił ułatwienia dla napływu cudzoziemskiego żywiolu, dając uwolnienia od podatków, różne przywileje. Roznosiciele niemieckiej kultury tłumnie zgłaszać się zaczęli, by korzystać z ofiarowanych dobrodziejstw, a natomiast wnieść z sobą dobrodziejstwa swojego społecznienia. Ale jakżeż gorzkiego doznali zawodu! Rząd serbski, wprowadzając w życie wniosek kolonizacyjny przez sejm uchwalony i szczerze pragnąc ztąd odnieść pożądany skutek, nie tamował wprawdzie napływu, ale mając na względzie interesa narodowości miejscowej, kładł za warunek, że Niemcy mogą się tylko pojedynczo osiedlać, ale nie tłumnie, to jest całemi gminami, co ostatecznie zupełnie oziębilo zapał kolonizacyjny w kulturtraegerach.

\*

\*

\*

Ciężka to była z początku dla serbskiego rządu sprawa ze ściąganiem podatków. Wiesniak, jak wyżej nadmieniono, nie pojmując

wyższych zadań i potrzeb państwa, sądził, że po zrzuceniu jarzma tureckiego i wszelkie opłaty ustać były powinny. Miłosz, pierwszy książę zwalczał na tym polu niezmiernie trudności. Powoli jednak opodatkowani ulegli słusznym wymaganiom państwa, zrozumiałwszy, iż trzeba było opłacać haracz Porcie, zakładać szkoły, budować drogi. Już w 1838 r. skarbowość oparła się na trwałej podstawie, kiedy oddzielne ministerium finansów utworzone zostało. W bardzo prędkim czasie Serbia doprowadziła swój zarząd skarbowy do wysokiego stopnia, ustaliwszy jednostajny system opodatkowania, ścisłą rachunkowość i rządząc się w całym gospodarstwie skarbowym wielką oględnością.

Ministerium finansów tak rozległą rozwinęło czynność, że obecnie składa się z 6-ciu wydziałów. W niém się koncentruje cały zarząd wszelkich publicznych dochodów i wydatków. Każdy minister ma do dyspozycji kredyt uchwalony przez prawo, jednak tylko minister finansów assygnuje żądane summy, za każdym razem uzyskując odpowiednie pozwolenie od senatu i księcia. Zadanie ministra skarbu jest wielce trudnem. Do niego należy zarząd publicznych pieniędzy i dóbr skarbowych, nadzór nad wszystkimi gałęziami zarządu finansowego, nad celnictwem, podatkami stałemi i niestałemi, nad leśnictwem, monopolami, górnictwem, przemysłem, handlem i t. d.

Dochody skarbu w Serbii powstają głównie z jednego najważniejszego źródła, z podatku bezpośredniego czyli pogłównego. Po licznych próbach i zmianach w opodatkowaniu zaprowadzono od r. 1865 rozmaicie ustopniowany podatek pogłówny. Każdy żonaty 18 lat mający właściciel ziemski, kupiec, przemysłowiec albo w ogóle rodzinę utrzymujący płaci rocznie 50 złp. tak nazwanej porezy, uważanej łącznie i za podatek z głowy i z własności. Podatek ten w ogólnej ryczałtowej summie przeznaczają na oddzielne gminy, które go rozkładają na ogólném zebraniu gminy na pojedyncze rodziny stosownie do ich zamożności i ilości opodatkowanych. Tym sposobem powstały po wsiach 3—10, w miastach 10—20, w Beogradzie 32 klas opodatkowanej ludności. Nieżonaci, jeżeli ich dochód nie wynosi rocznie 1300 złp. płacą od zarobku stosownie do klasy od 4—16 złp. Na Cyganów celem zmuszenia ich do życia osiadłego nałożono ciężkie podatki. Ojciec rodziny płaci 40 złp., młodzież 14—20 r. po 12 złp. a dzieci od 8—14 r. po 8 złp. Do opodatkowanych w Serbii należą duchowieństwo, urzędnicy i nauczyciele. Wyjątek w tym względzie stanowią tylko sędziowie gminni, niższe duchowieństwo zakonne i żołnierze z regularnego wojska. Ogólny dochód z porezy wynosił w 1866 r. około 11 milionów złp.

Do kasy skarbowej wpływają dochody z monopolu solnego i tabacznego. Prócz tego na rzecz skarbu zaliczone jest rybołówstwo na Dunaju, przewozy na wszystkich rzekach, poczta, telegrafy, górnictwo i celnictwo. Ministerium finansów zarządza także dobrami skarbowymi, które powstały z tureckich lennych posiadłości. Znaczną część skarbowych funduszów stanowi tak nazwany fundusz rezerwowy (nepokretna kassa) utworzony z oszczędności, jakie poczynił Miłosz z budżetu ogólnego podczas pierwszego okresu swego panowania.

W ostatnich czasach cały ten fundusz pochłonęło uzbrojenie wojska. Po ukończeniu rachunków w ostatnich latach znalazło się w skarbie przewyżki i oszczędności około 10 milionów złp., które zachowane zostały na pokrycie nadzwyczajnych rozchodów albo na wypożyczenie osobom prywatnym. Prócz tego ministerjum ma jeszcze pod swoim zarządem różne kassy gminne, wdowie, kościelne, które razem tworzą rodzaj banku hipotecznego (uprawa fondowa). Ta uprawa czyli bank wydaje pożyczki na hypotekę ziemską. Pożyczający ma kredyt w połowie wartości swojej ziemi i innych nieruchomości. Za służenie otaksowanie ziemi zaciągającej pożyczkę, odpowiedzialni są taksatorzy i z ramienia rządu delegowani urzędnicy. Pożyczkę dają w gotowiznie, za co się płaci 3<sup>o</sup>/<sub>o</sub> procentu i 1<sup>o</sup>/<sub>o</sub> amortyzacyi, co sześć miesięcy. Uprawa przyjmuje także prywatne summy na 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub> procent rocznie. Z tą instytucją łączy się także od niedawna urządzona kassa oszczędności.

Forma budżetu jest taka sama w Serbii jak wszędzie. Każdy minister układa budżet podług przewidywanych na rok następny wydatków i takowy z odpowiedniami motywami przedstawia do zatwierdzenia zgromadzeniu senatu. Na podstawie oddzielnych etatów układa się ogólny, który podpisuje książę. Za księcia Aleksandra nie było we zwyczaju podawać do wiadomości wnioski budżetowe. Dopiero książę Michał zastosował się do wymagań konstytucyi. Projektowany więc budżet ogłaszają rok rocznie w urzędowym dzienniku „Srbske Nowine.” Ministrom nie wolno bez pozwolenia senatu wydawać więcej nad oznaczoną miarę.

Oto budżet Serbii uchwalony 30 listopada 1867 r. na następny rok 1868. (Patrz str. 398)

Oddzielne pozycye podane w piastrach łatwo zamienić na ruble, mnożąc przez 10 a dzieląc przez 100. Tym sposobem dochód roczny wynosi blisko 3 mil. rubli, tyleż i rozchód.

Kasowość serbska jest urządzona w sposób bardzo prosty i praktyczny. Najwyższa Izba obrachunkowa zależąca bezpośrednio od Senatu zajmuje się ogólną kontrolą, wysyła swoich urzędników na rewizye kas i ksiąg rachunkowych.

Dawne państwo serbskie miało swoją monetę. Najdawniejsze sięgają podobno czasów Mutimira, więc jeszcze przed dynastją Nemanjów. W beogradzkiem muzeum przechowane są monety z X wieku. Bito wtedy slatice (dukaty), perpery, bjelice, dynary i in. Dziś pieniądź nazywa się *nowac*. Księstwo serbskie ma prawo utrzymywać własną mennicę, dotychczas jednak dla braku szlachetnego kruszcu nie korzystało z tego prawa. W obiegu są głównie złote i srebrne monety Austrii, Turcyi i Rossyi. Jeden rubel przyjmuje się w wartości 20 piastrow handlowych. Sztuka 20 kop. warta jest 4 piast. czyli piast po 10 gr. p. Zagraniczne papierowe pieniądze nie mają żadnego kursu. Miary i wagi pochodzą jeszcze po części z czasów tureckich. Do miar długości używany jest arszyn = 2,02 stóp wiedeńskiej, do wagi okka o 4 litrach a każdy po 100 dram = 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> funt. prus. Materye z Austrii przywożone sprzedają na łokcie austr.,



z Turcyi zaś na tureckie. W aptekach używają austriackiej medycznej wagi.

## Dochód.

## Rozchód.

Wyrażony w piastrach —1 piastr = 20 gr. —10 kop.

Zarząd dóbr skarbowych	17000	Lista cywilna księcia...	1200000
Dzierżawa z dóbr skarbowych.....	420000	Haracz Porcie otom...	1175255
Procent z papierów publicznych.....	10000	Podatek na rzecz patriarchy Konst.....	5010
Drukarnia rządowa...	350000	Koszta sejmu.....	30000
Ekon. Topczyder i stadtina.....	32000	Koszta na senat.....	482968
Poczta.....	216000	Dodatek dla minis. prezydenta.....	0000
Telegraf.....	200000	Pensye i dodatki dla wyż. urzęd.....	100000
Dochód z funduszu głównego.....	330000	Na nieprzewidziane zwykłe wydatki.....	240000
Podatek stały.....	16430000	Na nadzwyczajne wyd.	900000
Monopol z soli.....	500000	Sekretarz dworu księ. żęcego.....	14400
„ z tytoniu.....	400000	Najwyższa Izba Obrachunkowa.....	275896
Cła.....	4400000	Emerytury i gratyfikacye.....	827495
Dochody sądowe, kancelaryjne.....	1674000	Minister. Sprawiedliw.	3115690
Przez ministrów nie użyte summy.....	100000	„ wyz. i oświec	2782688
Różnica kursu.....	250000	„ spr. zagran.	928740
Sprzedż bydła zbląkanego.....	40000	„ „ wewnęł.	5805105
Kary pieniężne.....	170000	„ „ skarbu.	1727457
Z funduszu szkolnego.	1200000	„ „ wojny..	7839638
Dochód z kup. dóbr tur.	270000	„ rob. publicz.	1374260
Nieprzewidziane doch..	1800000		
Razem...	288790000	Razem...	28331414

Kilka jeszcze słów o handlu zamierzając powiedzieć, nie możemy się powstrzymać od przytoczenia trafnych wyrazów, które Carey co do handlu Turcyi europejskiej wygłosił w swoim podręczniku ekonomicznym. „Żyżna okolica dolnego Dunaju, powiada tenże, kiedyś ożywiona widownia rzymskiego przemysłu, dziś zaledwie dostarcza środków do nędznego utrzymania kilku serbskich pastuchów i wołoskich chłopów“ a wśród ruin, dodajmy od siebie, tych wspaniałych miast, jak niegdys Ratiaria, żyją obecnie nieliczni tureccy żebracy. Zaiste są to ciężkie warunki, wśród których się handel w Turcyi znajduje, a ogólny stan niewątpliwie oddziałuje także silnie i na pojedyncze prowincye.

Serbski rząd od samego początku podejmował bardzo chwalebne starania celem ożywienia w kraju handlu i przemysłu. W równej mierze postępowały Miłosza zabiegi około wznoszenia nowych miast i osad, oraz starania około budowy dróg. Założono szkołę po-

litechniczną i handlową w Beogradzie, ułożono kodeks handlowy i wolność handlu ogłoszono jako zasadnicze prawo narodowe.

Dzisiaj każdy Serb ma prawo zajmować się handlem nie tylko we własnym kraju, ale w ogóle we wszystkich prowincjach Otomańskiego państwa. To ogólne prawo podlega wszakże ze względu na pewne przedmioty niejakiemu ograniczeniu. Handel bydlęmi i wszelkimi płodami krajowemi otwarty jest dla każdego Serba we wszelkich miejscowościach. Cudzoziemskim kupcom nie wzbrania się prowadzić interesów w granicach Serbii.

Handel serbski w ogóle w dość korzystnym znajduje się stanie. Kraj jest czynnym na polu handlowym, gdyż wywóz góruje nad przywozem. Do wywozowych przedmiotów należy inwentarz i produkta rolne, z zagranicy zaś przychodzi sól, tytoń, towary kolonialne i zbyt-kowne.

W roku 1863 do Austrii wywieziono	za 1389623 dukatów.
„ „ „ przywieziono	„ 835475 „
„ „ do Turcyi wywóz wynosił	„ 252863 „
„ „ z Turcyi przywóz	„ 200967 „
„ „ do Rumunii wywóz	„ 43325 „
„ „ z Rumunii przywóz	„ 259753 „
W ogóle wywóz przedstawiał wartość	1685811 „
„ przywóz	„ 1296176 „

Główne ognisko ruchu handlowego stanowi Beograd. Trzecia część towarów wprowadzanych i wywożonych przechodzi przez beogradzką komorę celną. Odbyt wyrobów zachodnich przemysłowców powiększa się z wolna ale stale, w miarę rosnących potrzeb nowej coraz dalej szerzącej się cywilizacji. Anglia, Francja, Szwajcarya, a szczególnie niemiecki związek celny już dawno w naddunajskich krajach mają ważny odbyt na swe towary. Austria bardzo słabą rozwija na tym polu działalność. Do wielce pokupnych przedmiotów należą pruskie wełniane i jedwabne wyroby, sukna, chustki, flanela. Po większej części towary te zakupują kupcy serbscy na jarmarku w Lipsku i przez Wiedeń do Serbii je prowadzą. Niemniej znacznym jest także przywóz żelaznych i stalowych wyrobów z Prus, z którymi w ostatnich latach Francja współzawodniczyć zaczęła.

Rząd serbski stara się dawać na jak najniższy procent rolnikom pożyczki. W mniej pomyslnych pod tym względem warunkach znajduje się handel, skoro żadnych jeszcze niema instytucyj kredytowych. To co wyżej o Uprawie fondowej (kassa kredytowa) powiedzianem było, przekonywa, że rząd daje z niej pożyczki tylko na hipotekę ziemską i przytém na dłuższe terminy. Kupiec więc uciekać się musi do prywatnego kapitału, o który zresztą bardzo trudno. Nawet zaufaniem cieszące się domy kupieckie płacą 10—12% rocznie, co oczywiście stanowi w serbskim handlu bardzo ważną dla prędkiego rozwoju tamę. Świeżo dopiero założony został prywatny bank handlowy, o którego wszakże działalności brak nam wszelkich danych.

Przemysł górniczy, który w Serbii znalazłby tak rozległe dla siebie pole, dotychczas nie dźwignął się jeszcze z zupełnego upadku. Nakłady przez rząd czynione celem wydobywania i przerabiania rudy żelaznej w Majdanpek bezowocnie stracone zostały. Żelazo serbskie obfitujące w zbyt liczne składowe części siarki, pod względem dobroci i ceny nie może współzawodniczyć z zagranicznym. Zaniechano więc dalszego wydobywania, poprzestając głównie na eksploatacyi miedzi. W podryńskim powiecie, rząd dość pomyślnie prowadzi roboty około wydobywania ołowiu, cynku i antymonium. Nowe prawo górnicze z r. 1866 dające prywatnym osobom za opłatą pewnego podatku wolność poszukiwania i wydobywania wszędzie kruszców, zdaje się zapowiadać lepszą przyszłość przemysłowi górniczemu, który ściagnął nie omieszka krajowe i zagraniczne kapitały

\* \* \*

O dawniejszém prawodawstwie serbskiem już wyżej była mowa, kiedy się wspominało o Zakonniku cara Duszana i o stanie Serbii pod tureckim panowaniem. Gdy ustąpili tureccy sędziowie, owi kadyowie i muselimowie, co w imieniu Sułtana według koranu wymierzali sprawiedliwość, nowa wyzwolona Serbia nie miała żadnych praw, kodeksów, ani sędziów. Dawna tradycja z czasów sławnego cara Duszana zatarła się w pamięci nawet najoświecześniejszych ludzi, zresztą nacóżby się była przydała wśród odmiennych zupełnie warunków życia. Pierwiastkowo więc obyczaj narodowy stanowił normę prawa. Następnie, zaczawszy już od Miłosza Obrenowicza, wydawano rozmaite mniej lub więcej rozległe postanowienia prawne, i długie lata pracowano nad ogólną kodyfikacją. Z początku wzięto za podstawę prawa cywilnego kodeks Napoleona, zaprowadzwszy w nim wielostronne zmiany. Kilkakrotnie wydawano oddzielne postanowienia, ułożono wreszcie ogólny kodeks cywilny w 1844 roku, który z biegiem czasu częstym uległ poprawkom. Od chwili powrotu Obrenowiczów, za Miłosza i księcia Michała (między 1858—1869) na polu prawodawstwa żywsza obudziła się działalność. Zrozumiano potrzebę nowej kodyfikacyi, coby odpowiadała świeższemu europejskiemu prawodawstwu i miała na względzie prawo rzymskie, dawne bizantyjskie i stare słowiańskie prawo. Prócz kodeksu karnego, prawa wekslowego i zmienionej procedury cywilnej, które w 1860 roku ogłoszone zostały, wydano nową procedurę karną, w 1865 roku wprowadzoną w wykonanie. W tych prawodawczych pracach najwyższy udział brali: minister sprawiedliwości Raiko Lješanin i jego pomocnicy Petronjewicz (następnie minister spraw zagranicznych) i Romanowicz.

Kompetencya serbskich sądów rozciąga się na wszystkie sprawy, bądź cywilnej, bądź karniej, bądź politycznej natury. Żadna osoba, żaden stan, prócz wojskowych, nie ma uprzywilejowanego

trybunału. Prócz tego Serbia ma to, czego w wielu innych państwach nie spotykamy, iż sądownictwo od administracji jest zupełnie oddzielone. Sądy są w granicach swojej prawnej działalności zupełnie wolne od wszelkiego wpływu i nacisku rządowego. Tylko w pewnych wypadkach, przez prawo nieprzewidzianych i nieokreślonych, wolno sędziemu udawać się z zapytaniem do ministra sprawiedliwości. Objasnienia w tym razie otrzymane nie mają mocy obowiązującej; sędzia z nich powinien korzystać tylko po sumiennem ich rozważeniu. Sądy i sędziowie są przed rządem odpowiedzialni za wierne pełnienie obowiązków urzędu. W ogóle sądownictwo serbskie i wymiar sprawiedliwości znajdują się w Serbii na bardzo dobrej drodze.

Gdy mowa była o spółce rodzinnej czyli zadrudze, nadmieniono się, że takowa i w obec prawa zajmuje pewne określone stanowisko jako osoba prawna, którą w obec gminy i państwa reprezentuje starosta, czyli starješina. Starosta w sprawach domowych i rodzinnych jest sędzią, który rozstrzyga spory w zadrudze wynikające. W policyjnym wszakże, karnym względnie, każda osoba ze spółki rodzinnej, podlega sądom publicznym. Sądownictwo cywilne dobrowolne i sporne, sprawowane jest przez następujące sądy:

1. Sądy pokoju, w których zasiada głowa gminy (kmet) i dwaj radni (pomoćnicy). Do nich należą wszelkie sprawy cywilne, które rozstrzygają „według wymagań zdrowego rozsądku, słuszności i obyczaju narodowego“; w razach jeśli przedmiot sporny nie przechodzi wartości 500 piastrów (około 170 złp.) odwołanie się od wyroku sądów pokoju w ciągu trzech dni dopuszcza się w razie, jeśli jedna ze stron lub świadkowie nie byli wysłuchani, albo sprawę rozstrzygnięto na podstawie zeznań niewłaściwych świadków. Sąd pokoju ma się starać o polubowne załatwienie sporu. Postępowanie w tych sądach jest ustne i jawne. Z sumarycznego prowadzenia sprawy nie spisuje się żadnego protokołu. Wyroki stają się prawomocne po trzech dniach, a wykonanie ich należy wyłącznie do sądu pokoju.

2. Sądy powiatowe i miejski sąd w Beogradzie, stanowią pierwszą instancją (sud prvog stepena) we wszystkich sprawach cywilnych i karnych. Żadna sprawa cywilna nie może być rozpoczęta, dopóki strony nie udowodnią, że polubowna zgoda była daremną. Wyroki i motywa tych sądów doręczają stronom z podpisem prezesa sądu i sekretarza. Jeśli w ciągu ośmiu dni nie nastąpiło odwołanie, wyrok staje się prawomocnym i w ciągu piętnastu dni musi być do władzy powiatowej odesłany do wykonania. Takich sądów, stosownie do liczby powiatów, jest siedemnaście prócz miejskiego w Beogradzie.

3. Sąd apelacyjny w Beogradzie składa się z dwóch wydziałów: cywilnego i karnego. Sąd ten rozstrzyga w drugiej i ostatniej instancji wszelkie sprawy z odwołania sądów powiatowych. Postępowanie jest piśmienne. Sąd apelacyjny składa się z prezesa i dziewięciu sędziów.

4. Sąd kassacyjny w Beogradzie w danych razach przegląda i kasuje wyroki ostatniej instancji. Prócz tego, sąd kassacyjny

czuwa nad właściwem tłumaczeniem ustaw i zachowywaniem przez niższe sądy zasad prawnych. Sąd ten o dwóch wydziałach cywilnych i jednym karnym, składa się z prezesa i czterestu sędziów. Członkowie winni mieć trzydzieści lat skończonych, kwalifikacye naukowe i przynajmniej siedmioletnią praktykę w niższych sądach. Prócz tego istnieje w Beogradzie trybunał handlowy.

Sprawy kryminalne należą do tych samych sądów, w tym samym co wyżej porządku. Nowy kodeks kryminalny w 1860 roku ogłoszony, ustanawia karę śmierci (zwykle przez rozstrzelanie) za rozmyślne zabójstwa i napady zbrojną ręką dokonane. Kara śmierci nie stosuje się jednak do przestępstw politycznych. Ciężkie roboty (robija) od lat 2—20. Skazani tej kategorii pracują w więzieniach w ciężkich lub lżejszych kajdanach. Wieża (zatwor) od 30 dni do pięciu lat. Niekiedy kara ta może być zamieniona na roboty tak, iż ośm miesięcy robót za rok więzy się liczy. Są także i kary cielesne czyli chłosta (batina) za mniejsze przewinienia sług, wyrobników, włóczęgów i w ogóle tych, których pozbawienie wolności mogłoby przynieść szkodę utrzymywanej przez nich rodziny. W tym razie za 14 dni więzy liczy się 10—15 razy, za 1—3 miesiące 26—30 razy, za sześć miesięcy 40—50 różeg. Nadto są kary pieniężne i honorowe.

Wymiar kar należy do władz policyjnych. Prócz powiatowych domów roboczych istnieje oddzielne więzienie znaczniejsze w Pożarewac. Skazani na ciężkie roboty odsiadują swą karę w koszarach twierdzy beogradzkiej, w Topczyderze (500 miejsc), w Liubiczowie (100), w Kragujewacz (300). W 1867 roku było ogółem przestępców w tych więzieniach 1106 na ciężkie roboty skazanych. Obchodzenie się z więźniami odznacza się ludzkością. Otrzymują dostateczną ilość chleba, mięsa i jarzyn, oraz ciepłą odzież.

Prawo ulaskawienia w wyrokach kary śmierci służy wyłącznie księciu, z którego też książęta serbscy zawsze przy pewnych uroczystościach korzystają.

Statystyka sądowa wykazuje, że liczba spraw cywilnych przez sądy pokoju rozstrzygane znacznie wzrasta rok rocznie od 1850. W okresie 1861—1864 roku, sądy osądziły 5834 spraw karnych: w liczbie tych 479 o zabójstwo i rany, 1752 o podpalenie, 3603 o kradzież znaczniejszą i lżejszą. W 1865 roku sądy pierwszej instancyi miały 18,712 spraw cywilnych a 1958 spraw karnych. W tymże roku zanotowano 67 samobójstw. Rozwiązywanie spółek rodzinnych, szybko naprzód postępujące, zdaje się, przyczynia się znacznie do stopniowego pogarszania moralnego stanu serbskiego społeczeństwa.

\*

\*

\*

Kościół serbski stoi na starym gruncie, mając za sobą tysiąc lat nieprzerwanego istnienia. Duchowieństwo zdawna wysokie w obec narodu zajmowało stanowisko. Państwo serbskie w swoich

początках, rzec można, było prawie teokratycznie rządzone. Pierwsi jego książęta w późniejszym wieku zwykle wstępowali do stanu zakonnego. Tak np. Stefan Nemanja, który założył klasztor Chilandar na górze Atos. W tym klasztorze przebywał Ś. Sawa, co się tak czynnym okazał około krzewienia klasztorów słowiańskich. Tu się spotykały, podając sobie ręce dwie narodowości: grecka i słowiańska, tu się łączyły dwa zkaładną przeciwnie sobie żywioty. Ztąd święta Góra zajęła wysokie stanowisko w obec dwóch narodowości, które do dziś dnia jeszcze w dawnych pozostają serdecznych związkach. Duchowieństwo klasztorne zawsze też stanowiło główną podporę serbskich kralów i carów. Chętnie kanonizowało koronowane głowy, mimo niezbyt cnotliwe życie książąt; królowie zaś darzyli mnichów licznemi przywilejami. Świecka część społeczności składała zakonnemu duchowieństwu niemal część królewska. Szlachta zazdrościła mu tego wpływowego stanowiska, ale sama zbyt mało posiadając ukształcenia, z pod tego wpływu uwolnić się nie była w stanie. Jak wszędzie w wiekach średnich tak i w Serbii duchowieństwo w ogóle zbawienny wpływ wywierało na umoralnienie społeczeństwa, ztąd też książęta sownie wynagradzali bogatém uposażeniem licznych klasztorów.

Nie było niemal księcia czy krala, coby nie współzawodniczył ze swemi poprzednikami w sprawie wznoszenia klasztorów dla chwaly Boga i rozszerzenia prawowiernego wyznania. Nieraz na równie, po większej zaś części w ciasnych przesmykach leśnych gór, do których zaledwie po wąskiej ścieżce można się było dostać, powstały w nieprzeliczonej liczbie kościoły i klasztory. Niesie podanie, jakoby car Duszan ulaskawił bogatego szlachcica za przekroczenie, pod warunkiem by 70 cerkwi w górach około Kruszewac wystawił; jakoż w tych stronach spotyka podróżnik siedm jednakowych kaplic, na jeden wzór zbudowanych, z czego zapewnie podanie poetyczny wątek wysnuło. Z głęboką czcią jako o relikwiach mówi choćby najprostsz Serb o klasztorach w Semendryi, Rawanic, Życy, Studenicy i innych. Ileżto wspomnień historycznych wiąże się z niemi z czasów szczęścia i wielkości serbskiego narodu! Kiedy po owym nieszczęśliwym dniu bitwy na Kosowem Polu runęły wszystkie twierdze, któż podtrzymał naród w wierze praocjów, jeśli nie owe święte miejsca, które wśród głębokiego zmroku lasów przechowywały tradycją minionęj wielkości? I kiedy znowu Serbia chwyciła za broń, by zrzucić haniebnę jarzmo muzułmanów, gdzież jeśli nie w tychże świętych miejscach święcono sztandar powstania? Przed małym kościółkiem w Takowie wygłosił w Niedzielę palmową 1815 roku książę Miłosz hasło do boju. W małym klasztorze Zwiastowania (Blagowještenije) zorganizowała się pierwsza rada narodowa; w jednym z najskromniejszych klasztorów w leśnej stronie Wracewsznicy odbył się też po szczęśliwie zakończonej walce akt odrodzenia narodowego duchowieństwa serbskiego; z tych bowiem murów wyszedł duchowny współwalecznik księcia Miłosza i pierwszy narodowy arcybiskup wyzwolonej Serbii.

Po utrwaleniu politycznej niezawisłości, urządzono także na mocy kilku konkordatów stosunek narodowego kościoła serbskiego do patriarchyatu Carogrodzkiego. W swoich granicach kościół serbski używa zupełnej swobody na polu ustawodawstwa kanonicznego i symbolicznego, oraz zarządu wewnętrznego; arcybiskup jednak serbski zależnym jest od patriarchy w Konstantynopolu, w znak czego Serbia opłaca mu roczną daninę 9,000 piastrow.

Książę ma nadzór zwierzchniczy nad kościołem pod względem jego urzędzeń i zarządu, do niego też należy obowiązek czuwania nad zachowaniem służących mu praw. W zakresie zaś dogmatycznym, obrzędowym i dyscyplinarnym kościół posiada nieograniczoną swobodę. Państwo nie powinno tamować wewnętrznego rozwoju kościoła, ale i kościół nie może wkraczać w dziedzinę do władzy państwowej należąca. Książę potwierdza metropolitę, biskupów, ma władzę sądową i policyjną nad wszem duchowieństwem i prawo kontrolowania administracji dóbr kościelnych. Duchowieństwo używa licznych przywilejów, z których wyłączono w ostatnich latach uwolnienie od podatków.

Na czele narodowego kościoła w Serbii, do którego wszyscy Serbowie należą, stoi arcybiskup beogradzki. Służy mu tytuł: metropolity wszech Serbii. Od niego zależą czterej biskupi Beogradu, Szabacu, Užycy i Negotyny, z którymi razem stanowią synod narodowy. Metropolita jest w obec władzy jedynym prawnym przedstawicielem całego duchowieństwa. Metropolitę wybiera synod z grona duchowieństwa zakonnego, potwierdza książę, a inwestyturę nadaje patriarcha Carogrodzki, poświęcenia dokonywa na miejscu najstarszy biskup krajowy.

Biskupów podobnież wybiera synod z łona duchowieństwa klasztornego, potwierdza książę a namaszcza metropolita. Metropolita i biskupi pobierają płacę od rządu: pierwszy 2000 dukatów, biskupi po tysiącu. Pozostałe duchowieństwo składa się ze świeckiego i zakonnego. Świeccy księża w liczbie obecnie 703 rozmaitych stopni, zwykle żenią się jeszcze przed wyświęceniem. Nie mający żon nie mogą być nawet na dyakonów wyświęceni. Używają wszelkich praw cywilnych i mają zupełną moc rozporządzania swoim majątkiem w drodze testamentowej. Po prawnym rozwodzie albo po śmierci żony nie wolno jest plebanowi drugi raz się żenić, ale wolno przywdziać suknię zakonną. Wyżsi dostojnicy kościelni pochodzą tylko ze stanu zakonnego, świeccy zaś księża mogą najwyżej dojść do stopnia kanonika (prota). Proboszczów mianuje i naznacza dyecezyalny biskup, utrzymuje zaś parafia. Prócz mieszkania z ogrodem otrzymują stały dochód, który w kształcie podatku (bir) płaci każda opodatkowana głowa parafii, w miastach zwykle w gotowiznie, po wsiach w naturalnych płodach. Prócz tego korzystają z dochodów za różne czynności kościelne: chrzty, śluby, pogrzeby i t. d.

Zakonne duchowieństwo w liczbie 121 mnichów mieszka w 41 klasztorach, rządzone przez przełożonych wybieranych z grona zakonników. Klasztory są uważane jako samodzielne osoby prawne. Bra-

cia zakonni żyją w bezżeństwie, i zupełnej wspólności dóbr. Prócz służby klasztornej spełniają często obowiązki plebanów, w okolicach w których mieszkają, za co pobierają podobne co i proboszcze wynagrodzenie z parafii.

Pod względem kościelnym Serbia dzieli się na 34 dekanaty i wikaryaty, zostające pod władzą 18 kanoników (prota). Pod względem sądowym istnieją konsystorze w dyecezyach i jeden wyższy konsystorz apelacyjny. Najwyższą władzę duchowną przedstawia synod narodowy, który czuwa nad jednością i czystością prawowiernej nauki w szkołach i kościołach i nad postępem chrześcijańskiego życia w narodzie. Synod stara się o właściwe wykształcenie duchowieństwa i wynosi do wyższych godności zasłużonych mężów. W sprawach duchownych synod rozstrzyga w ostatniej instancji.

Według ostatnich wykazów z roku 1867, liczba kościołów parafialnych wynosiła w Serbii 335, prócz 16 kaplic i 41 klasztorów.

Pierwszą i jedyną instytucją, w której się kształci serbskie duchowieństwo, jest duchowna akademja (bogosłowski uczyliście) w Beogradzie, zostająca pod nadzorem ministra oświecenia i arcybiskupa. Z nią połączony jest rodzaj seminaryum, w którym wychowawcy mieszkanie i życie otrzymują bezpłatnie. Sposobiący się do stanu duchownego powinni mieć świadectwo z ukończonych 4 klas gimnazjum. Wykład nauk zastosowany jest do akademii duchownych w Rossyi. Kurs trwa cztery lata.

Zasady wyznania wschodniego również jak i ceremoniał kościelny są dość znane, nie wymagają więc od nas podawania bliższych objaśnień. Nabożeństwo odbywa się w staro-słowiańskim języku. Wykształcenie serbskiego duchowieństwa stało kiedyś, jak świadczą pozostałe dzieła, na dość wysokiej stopie, niewątpliwie wyższej od dzisiejszej. Akademja w Beogradzie, od niedawna założona, dotychczas wpływu swego dostrzegalnie w krótkim czasie wyrzec nie była w stanie. Zawsze jeszcze na prowincyi i po wsiach pełnią obowiązki duchowni (papa), których całe wykształcenie polega na znajomości rytuału i psalterza. Nieraz walcząc z potrzebami życia na równi z kniotkami, wśród których żyją i podobnie jak oni uprawą roli się trudnią, zaledwie od wieśniaków ubiorem się różnią, ztąd też pożądanego wpływu na parafian swoich wywierać nie mogą. Zakonnicy aż do ostatnich czasów byli zawsze w większym u narodu zachowaniu, nie dla ich wyższego wykształcenia ale z powodu uroku świętości, jaki w oczach ludu na zakonnikach spoczywa. Lud zawsze chętniej przyjmował sakramenta z rąk zakonnika niż świeckiego kapłana, z większą czcią zbliżał się do klasztoru niż do parafialnej cerkwi, bo klasztorna cisza, ponury widok leśnej ustroni głębsze sprawiało wrażenie na umyśle Serba, w ogóle skłonny do mistycyzmu. Niższe duchowieństwo klasztorne pogrążone jest w zupełnej ciemnocie. Ku podniesieniu umysłowego poziomu poczynił b. minister oświecenia Cukicz szlachetne usiłowania, które niewątpliwie bezowocnymi nie zostaną.



Zasadę wolności sumienia rozciągnął rząd serbski na wszystkie uznane chrześcijańskie wyznania. Skoro się gdzie powiększy liczba chrześcijan, iż oddzielną stanowią mogą gminę, wtedy służy im prawo po uzyskaniu od władzy pozwolenia, zbudowania kościoła i urzędnienia samoistnej i samorządzącej się parafii. Nie ciąży na nich podatek wnoszony na rzecz serbskiego kościoła. Duchowni jednak i nauczyciele muszą być stałymi obywatelami księstwa. Są wszakże pewne ograniczenia, tak np. nie wolno przechodzić z kościoła wschodniego na inne wyznanie, w mieszanych małżeństwach ślub jest koniecznym w kościele wschodnim i dzieci w tym razie bezwarunkowo do panującego wyznania należeć muszą. Na tych podstawach istnieje obecnie w Beogradzie gmina katolicka i ewangelicko-augsburska.

Żydzi niemają w Serbii praw obywatelskich, przytém podlegają licznym ograniczeniom, co powstrzymuje dalszynapływ tój ludności. Od 1842 roku istnieją te surowe przepisy, wydane przez księcia Aleksandra Dżordżewicza i dotychczas jeszcze nie zostały zmienione. W Beogradzie mieszka około tysiąca żydów, którzy się mieszczą w oddzielnój części miasta.

\*

\*

\*

Przed niedawnym jeszcze czasem, bo przed laty kilkudziesięciu, jakikolwiekby produkt Gutenbergońskiego wynalazku należał między ludnością państwa tureckiego prawdziwie do białych kruków. Tylko stan duchowny widział się zmuszonym nabyć jakieś początki wiedzy. Ewangielie i psalterz stanowiły jedyne dla księży w tym względzie źródło. Świecka zaś część społeczeństwa, pozbawiona wszelkich środków, z zewnątrz nie pobudzana ku kształceniu, w zupełnej była pogrążona ciemnocie. Cała wiedza, wszelkie wiadomości historyczne Serbów (w księztwie) jedynie płynęły z tradycyi, zachowanej w pieśniach narodowych. Nawet przywódcy serbskiego powstania z małym wyjątkiem pisać ani czytać nie umieli. Postać rzeczy się zmieniła od chwili utrwalenia się samodzielności Serbii. Już Jerzy Czarny czuł potrzebę zakładania szkół. W roku 1808 założył rodzaj szkoły narodowej w Beogradzie, w której austriacy Serbowie pod kierownictwem Obradowicza, wskrzesiciela nowo-serbskiego piśmiennictwa, wykładali prócz nauk elementarnych, geografię, historią i nauki przyrodnicze. W skutek chwilowej w roku 1813 utraty samodzielności Serbii, ta jedyna szkoła w kraju upadła.

Jak we wszystkich dziedzinach życia publicznego tak i w sprawie oświaty książę Miłosz rzucił podwalinę pod dalszą budowę. Wynaradawianie się młodych Serbów wysyłanych za granicę dla kształcenia się w naukach, zniewalało rząd serbski do spiesznego zakładania szkół krajowych. Niezmiernie na tém polu złożono ofiary. Książę Miłosz pozaprowadzał szkoły we wszystkich miastach powiatowych. On założył pierwsze gimnazjum serbskie w Kragujewac i drukarnią rządową, która przygotowywała elementarze i książki do użytku kościelnego. Za rządów księcia Aleksandra Dżordżewicza

oświata ludowa doznawała szczególniejszej opieki. Prawo szkolne z roku 1843 wprowadziło ogólny ład i porządek. Usiłowania księcia wspierali liczni współpracownicy w szkołach austriackich wykształceni. W tym okresie powołani zostali do Beogradu dobrze krajowi i oświacie zasłużeni austriacy Słowianie: Gawryłowicz, Szafarzyk, Panczyz, Medowicz i inni.

Dziś sprawa oświaty w Serbii stoi stosunkowo dość wysoko. Wszystkim gminom zalecono zakładać szkoły ludowe; właściwego przymusu tj. obowiązkowego posyłania dzieci do szkół niema, ale wstrzymywanie obcych dzieci od uczęszczania do szkoły jest surowo wzbronione. Spieszymy jednak przedewszystkiem objaśnić czytelnika, że w Serbii wszelkie kształcenie się w szkołach jest bezpłatne, prócz tego rząd ustanowił jeszcze liczne stypendya dla ulgi uboższej młodzieży, pragnącej odebrać wyższe wykształcenie. W roku 1841 powstał z ogólnych składek corocznie powiększający się fundusz edukacyjny, w roku 1867 wynosił 233,800 dukatów, głównie obracany na utrzymanie szkółek ludowych. Wydatki na nie, prócz pomocy ze strony gmin obliczano w 1866 roku na półmilionu złp. W szkołach miejskich podzielonych na trzy klasy uczą rzeczy najprostszych: czytać, (po serbsku i staro-słowiańsku), pisać i rachować, katechizmu, religii i trochę geografii. Brak nauczycieli odpowiednich sprawia, że całe uczenie odbywa się więcej mechanicznie. Założone niedawno seminaryum nauczycielskie złemu zapewne w prędkim czasie zaradzi.

Średnie wykształcenie odbiera młodzież wyłącznie w zakładach rządowych, w 2 gimnazyach, w 4 progimnazjach i w 4 szkołach realnych. Gimnazyja dzielą się na 6 klas, progimnazya na 4. Rozkład nauk w klasycznych i realnych szkołach nie wiele się różni od naszego, bliższe więc wyszczególnienie przedmiotów zbytecznym nam się widzi.

Wyższe wykształcenie daje liceum założone w 1838 r. przez księcia Miłosza, a w 1863 r. zamienione na szkołę główną, oraz akademie duchowna i akademie wojskowa. Uniwersytet beogradzki czyli właściwiej Szkoła główna trzy obejmuje wydziały: filozoficzny techniczny i prawny. Na czele szkoły stoi rektor wybierany z grona profesorów. W 1867 r. było na 3 wydziałach 15 profesorów i 194 słuchaczy.

Niski stopień wykształcenia, poniżające stanowisko kobiety na Wschodzie, we wszystkich krajach niegdyś Turcyi podległych staje głównie na zawadzie, że się tam kobieta wyżej rozwinać nie może. Dopiero za rządów ostatniego księcia (Miłosza) zwrócono bliższą uwagę w Serbii na wychowanie i wykształcenie kobiety. Sprawę tę wziął gorąco do serca b. minister Cukicz. Dla przygotowania nauczycielek założono seminaryum w Beogradzie, zkaąd przynajmniej do ważniejszych miast można wysyłać wykwalifikowane nauczycielki. Przed laty dziesięciu powstała także w Beogradzie wyższa szkoła żeńska wyłącznie dla przychodnich, na 4 klasy podzielona, z bardzo skromnym planem wykładu.

Dla wystawienia dokładniejszego obrazu oświaty w Serbii przytaczamy kilka statystycznych danych z 1866 r.

Szkół ludowych : męzkich	342	uczniów	15359
„ „ żeńskich	35	uczennic	2048
„ „ katolicka	1	uczniów	56
„ „ protestan.	1	„	82
„ „ dla Izrael.	1	„	92
Szkół realnych	„	4	„ 247
Gimnazyja i progim.	„	6	„ 1267
Szkoła główna	„	1	„ 210
Akademia duch. i seminar.	1	„	186
Akademia wojskowa . . . . .	1	„	194
Szkoła żeńska . . . . .	1	„	86
Stypendyści zagranicą . . . . .			40
W szkołach prywatnych . . . . .			133
Razem szkół 394 . . . . .			20000

W stosunku więc do całej ludności (1,222,000) wypada w Serbii jeden uczeń na 61 głów. Jestto istotnie w porównaniu z państwami na Zachodzie, stosunek nie bardzo pomyślny, ale niepodobna przykładać do Serbii miary innych krajów oświeconych. Serbia zrobiła i robi stosunkowo znaczne na tém polu postępy, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę, że przed 60 laty kiedy Turcy ustąpili z kraju, nie było ani jednej szkoły, w 1836 r. liczone już 72 szkół i 2514 uczniów, w 1846 r. 213 a uczących się 6201: dziś zaś już 394 zakładów naukowych z 20 tysiącami uczniów.

Że rząd serbski dba o podniesienie oświaty narodowej, najlepszym tego dowodem, że w r. 1868 wydał na cele naukowe, szkolne, na stypendya, elementarze i in. 12-tą część ogólnego budżetu na całej księstwo przeznaczanego. Na polu wydawnictwa książek pożytecznych i tanich, w ostatnich latach panuje ruch i działalność, których szczerze pozazdrościć można. Jeszcze przed niedawnym czasem serbska literatura pedagogiczna w wielkiej pozostawała zależności od zagranicznej. Wszystko cokolwiek ważniejszego było lub okazało się w tym zakresie w obcych językach, tłumaczono na serbską mowę, dziś już wybija się na wolność literatura serbska, dostarczając obfitą rokrocznie ilość książek pisanych przez miejscowych pisarzy w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej. Są to wprawdzie tylko podręczniki, ale nie pozbawione istotnej wartości, o czém w następnym rozdziale szerzej pomówić zamierzamy.

W tej chwalebnej działalności literatury nowo-serbskiej ważną rolę książęca drukarnia w Beogradzie, która kosztem rządu odbija tysiące egzemplarzy dzieł do zakresu szkolnego należących. Początek swój wzięła w r. 1830 za czasów księcia Miłosza, kiedy cesarz Mikołaj ofiarował jej dwie prassy. Z drobnych pierwiastków instytucya ta wyrosła i niebawem stanęła na wysokim stopniu doskonałości. Obecnie pośpieszne maszyny najnowszej budowy są w niej czynne (z fabryki König i Bauer w Wirzburgu). Może się także poszczycić

nie rzadkiem bogactwem doborowych czcionek różnej wielkości w trzech alfabetach: wschodnim, staro i nowo-słowiańskim. Prócz rządowych i prywatnych ogłoszeń drukuje gazetę rządową, kilka dzienników, między innymi Pamiętnik towarzystwa naukowego (Głosnik) i wiele dzieł elementarnych. Do instytucji tej należy podobnież zakład litograficzny z oddziałem ksylografii, galwanoplastyki i stereotypii, gdzie przygotowują mapy, plany, rysunki, obrazy i t. d.

Zbawienne także owoce na polu oświaty w Serbii wydają dwie biblioteki: jedna własnością liceum będąca z przeważnie pedagogicznymi dziełami, druga publiczna, która systematycznie zaopatruje się we wszystkie ważniejsze utwory umysłowe wszystkich narodów, czasów i gałęzi wiedzy ludzkiej. Wzorowe urządzenie swoje zawdzięcza wysoce zasłużonemu dyrektorowi Jankowi Szafarzykowi, synowcowi sławnego filologa słowiańskiego Pawła Józefa Szafarzyka. W 1867 znajdowało się w niej około 10 tysięcy dzieł w 20 tysięcy tomach. Szczególniej bogatym jest oddział rękopisów. Są to po większej części na pergaminie lub papierze pisane starosłowiańskie książki z czasów samodzielności Serbii. Niemniej ważną ozdobę biblioteki stanowią inkunabuły albo staroserbskie druki. Przy tej sposobności miło nam jest obznajmić czytelnika z ważną bardzo okolicznością, że biblioteka w Beogradzie zawdzięcza swój wzrost szlachetnej hojności naszego ziomka D-ra. Kopernickiego z Bukaresztu, byłego profesora Kijowskiego Uniwersytetu, znanego kranioлога, który piękny i bogaty swój zbiór dzieł medycznych złożył bibliotece w darze.

Podobne zadanie co i biblioteka spełnia także i muzeum narodowe, tylko oczywiście w innym kierunku. Systematyczny układ i rozrost winno niez mordowanemu swemu dyrektorowi Szafarzykowi. Jego szczęśliwej inicjatywie i osobistemu wpływowi przypisać należy, że muzeum spotyka wszędzie ze strony ukształconego ogółu bardzo żywe poparcie. Ze wszech stron napływają rok rocznie nowe wykopaliska. Gabinet numizmatyczny mieści w sobie jedyny zbiór serbskich monet, gdzieindziej niespotykanych. Serbskie monety sięgają czasów Stefana I-go i w nieprzerwanym idą ciągu aż do ostatniego despoty Brankowicza. Dawniejsze pieniądze noszą po części słowiańskie, po części łacińskie napisy. Odbija się w nich typ kościelny w pewnej mierze, gdyż wizerunek księcia zwykle się obok wizerunku Zbawiciela znajduje. Stęple przygotowywano w Bizancjum, Dubrowniku i w Wenecyi. Bito jednak monetę także i w kraju, którą przygotowali złotnicy, jak świadczy o tém postanowienie w Zakonniku Cara Duszana, żądające by takowi w miastach tylko mieszkali. Muzeum posiada 15 sztuk monet wielkiego Cara Duszana. Wielce ciekawe są małe monety z nazwami miast Prizrent, Skoplic, Nowobrdo, jak niemniej monety sławnego bohatera narodowego Marka Kraljewicza z napisem „król Macedonii“

Oddział archeologiczny muzeum, jakkolwiek bogactwem się nie odznacza, wysoki posiada jednak wobec nauki znaczenie, mieszcząc w sobie wykopaliska różne, naczynia gliniane, mozaiki, kamienne płyty z napisami, wszystko to z czasów rzymskich; a ponieważ na miejscu znalezione zostało, nie mało więc przyczynić się może do wyjaśnienia ciem-

nych dziejów z czasów mezyjsko-rzymskich téj krainy, w której następnie osiedli Serbowie.

Galerya obrazów jest bardzo skromna, rzec można nawet uboga, bo prócz kilku kopij, nic godniejszego uwagi z oryginalnych utworów w sobie nie mieści.

---

## T O M A S Z P A D U R R A.

PRZEZ

W. Przyborowskiego.

---

*Tomasz Padurra* uchodził przez długi czas za mit, za uosobienie fantazyi i poetyczności ludu ukraińskiego. Od chwili jednakże kiedy wydrukował swe *Ukraińki* w r. 1844 w Warszawie, kiedy w téj ostatniej bawił jakiś czas, chociaż z nikim się niekomunikował, wtedy przestano wątpić że żyje. Nic atoli o nim nie wiadano, gdzie się urodził, z kąd wyrósł ten tajemniczy lirnik ukraiński, ten poeta ludowy w całym znaczeniu tego wyrazu. K. Wł. Wójcicki w swéj *Historji literatury* (1), pierwszy o nim podał niektóre wiadomości, ale bardzo szczupłe i niedokładne. Przytoczymy tu je dosłownie, najprzód dla pokazania jak mało wiedziano o Padurze, powtóre dlatego, że króciutką tę wiadomość podawały wszystkie literatury i pisma, nie starając się do badać prawdy. Oto co pisze Wójcicki: „Wiadomo, że Padurra rodem Polak, urodził się na Ukrainie, chodził do szkół w Krzemieńcu i przez długi czas na Wołyniu przebywał. Od r. 1817 do 1820 podróżował po Wschodzie przy Wacławie Rzewuskim.“

Tyle napisał K. Wł. Wójcicki i tyle też tylko wiedziano. Resztę wiadomości jakie podał w swéj *Historji literatury* zaczerpnął z przypisków do poezji Padurry wydanych w Warszawie, w wspomnianym już przez nas roku 1844.

Dopiero w skutek śmierci poety zaszczytnej dnia 20 września 1871 r., *Gazeta Polska* wychodząca w Warszawie i Biblioteka War-

(1) Tom IV p. 168.

szawska, zawiadomiły nas, że Padurra zmarł we wsi *Koziatynie* (1), leżącej niedaleko od miasteczka *Machnówki murowanej*, przy linii drogi żelaznej brzesko-kijowskiej, o parę mil od Berdyczowa, w domu przyjaciela swego, który troskliwie pielegnował starca, p. M. Wasiutyńskiego. Mając takie dane, a nosząc się już oddawna z myślą ocenienia w literaturze stanowiska Padurry, udaliśmy się listownie do p. Maryana Wasiutyńskiego, prosząc go by nam nadesłał wiadomości o życiu serdecznego swego przyjaciela.

P. Wasiutyński nie dał nam długo czekać na te szczegóły. Nadesłał nam je zaraz obszernie spisane z fotografią poety, którą wraz z niektórymi wiadomościami zacerpniętymi z biografii przesłanej nam przez p. Wasiutyńskiego, umieściliśmy w Tygodniku Ilustrowanym (2). Wszystkie zaś szczegóły jakie tu podajemy czerpaliśmy także z téj biografii i miło nam publicznie podziękować tutaj p. Wasiutyńskiemu za jego skwapliwą dbałość o rozpowszechnienie prawdziwych wiadomości o Padurze, który nader wybitne stanowisko zajmuje w naszej literaturze.

Rodzina Padurry była polską, a ponieważ różne sprzeczne obiegują wiadomości, uważamy za stosowne tutaj słów kilka o niej powiedzieć. Protoplastą Tomasza Padurry był *Jan* z rodu Słowian Zakarpackich, przybyły do Polski w końcu panowania Władysława IV i służył w autoramencie cudzoziemskim. Ożenił on się z Maryą Padurra *Stupecką*, osiadł w Polsce i został praojcem domu z którego idą: *Joachim* namiestnik chorągwi hussarskiej księcia Dymitra Wiśniowieckiego, poległ w bitwie pod Podhajcami; *Tomasz* stronnik Emeryka Tekeli, zakończył życie w okowach tureckich w Stambule; *Piotr* porucznik pancerny w chorągwi Józefa Potockiego, zabity przez kozaków przy szturmie Białe-Cerkwi; *Paweł* konfederat Barski w bitwie pod Salichą 1768 r. rozsiekany (3).

Rodowód téj familii utwierdzony heroldyą, nieprzerwanie idzie od *Joachima Jerczak Padurry* herbu *Sas*, porucznika J. K. Mości (Sobieskiego), który posiadał w 1680 r. wieś *Majdan* w województwie Ruskiem, a którą syn jego Teodor sprzedał Szeptyckiemu czesnikowi trembowelskiemu za 15 tysięcy ówczesnych złotych w roku 1712, o czém kontrakt przyznany w aktach Łuckich.

Około połowy XVIII wieku, widzimy ród Padurrów, po sprzedaży części we wsi *Berezówce* (akta Żytomierskie) osiadły na Ukrainie, we wsi *Soszarisku*, majątności naonczas książąt Lubomirskich a szczególnie w dobrach książąt Sanguszków we wsi *Sinarnéj*, kluczu Ilinieckim, gdzie oddawali się rolnictwu jako szlachta

(1) Koziatynie a nie Koziałtynie, jak drukowały oba te pisma.

(2) Patrz Tygodnik Ilustrowany z r. 1872 Nr. 229.

(3) Rękopis p. Wasiutyńskiego. W oryginalnym dokumencie opowiedziano: „Sinicki, Rozwadowski, Pomorski, komenderowani z ordynansu marszałka konfederacyi w r. 1768, przybyli do Iliniec, do nich przyłączył się z innymi Paweł Padurra ze wsi Sinarnéj, który pod Salichą na potyczce od wojsk rossyjskich zabity.”

zagonowa. Ztąd był i Jan Padurra ojciec naszego poety, który wykształciwszy się w szkołach u jezuitów, otrzymał w r. 1790 dyplom od króla Stanisława Augusta na *komornika* przysięgłego. W tymże roku mieszkał już w Ilinicach trudniąc się pomiarem gruntów, a za swe zasługi otrzymał nadanie od księcia wojewody Hieronima Sanguszki „prawa dożywotnie na dworek z gruntami ornymi w Ilinicach, na przedmieściu przy młynie *Litwinowym*, nad rzeczką od tegoż młyna płynącą, w staw zwany kamienny wpadającą“ (1).

W tym to dworku w Ilinicach, dziś okolonym rzadką już brzezią, a która ma i tę jeszcze tradycją, iż w niej w r. 1786 w czasie przejazdu króla Stanisława Augusta, przyjmował go podwieczorkiem książę wojewoda Sanguszko: urodził się Tomasz Padurra dnia 21 grudnia 1801 r. z wspomnianego już ojca *Jana* komornika Braclawskiego i matki *Anieli z Paszkowskich*, herbu Zadora, Mazurki z Płockiego. Wspomnienia młodości, jak w każdej duszy o poetycznym nastroju, budziły w Padurze rzewne myśli, czego dowodzi następujący ustęp (2). „W r. 1866, pisze p. W., w przejeździe razem z T. Padurrą zwiedziliśmy tę miejscowość, położoną zaraz za kołowrotem po lewej stronie drogi z Iliniec do Daszowa wiodącej. Domek był już w ruinie, brzezinka spustoszona, wałęsał się po niej dziad jakiś stary zbierając suche gałęzie. Dziwnym trafem spotkał się po latach pięćdziesięciu pan z dawnym sługą. Dziad ów za pacholectwa swego, był w usługach przy ojcu Tomasza. Na pamiątkowym kamieniu gdzie biesiadował ostatni król z ostatnim wojewodą usiedli oba, gwarzyli. Starzec odszedł z wiązką gałęzi, poeta marzył, zapłakał. Było to pod wieczór, dzwon z pobliskiego kościoła ozwał się na *Ave-Maria*, a uderzył *requiescat* tylu ludziom, czynom, nadziejom! I miejsca i rzeczy i ludzie mają często swe dziwne losy.“...

T. Padurra miał trzy siostry i trzech braci, wszyscy bezżenni poumierali, z przykłądną miłością i zgodą razem do śmierci mieszkając. Jedna tylko siostra wyszła za Tyszkiewicza szlachcica z Litwy i tę obłąkaną po stracie męża i syna do swego domu zabrali. W roku 1822, już po śmierci ojca, rodzina Padurrów mieszkała we wsi *Mszaniec* (pół mili od Machnowki), którą trzymali przez zastaw od Przyłuskiego. Po ekspiracyi kontraktu, kupili domek w Machnowce (około 1830 r.), w którym mieszkali do końca życia. Ostatni zmarł Tomasz. Fundusz ich był szczupły a i ten zniknął z bankructwem bankiera *Halperyna*, u którego był ulokowany (3).

(1) Rękopis p. Wasiutyńskiego, dokument oryginalny z 4 maja 1790 r. „Widzimy, pisze p. Wasiutyński z listów własnoręcznych Tomasza Ostrowskiego do Jana Padurry pisanych, iż był u niego w poważaniu, zajmował się także pomiarem gruntów *Telioszczyzny* (mająt. Ostrowskiego) i był wybrany komornikiem Braclawskim, o czém list z powinszowaniem przesłany mu został.“

(2) Rękopis p. Wasiutyńskiego.

(3) Tamże.

Z pomiędzy braci naszego poety, zasługuje tutaj na wspomnienie, starszy od niego o jaki lat dziesięć *Józef*, który ukończywszy w Wilnie oddział nauk moralnych i politycznych, otrzymał w 1817 r. stopień kandydata obojga praw. „Człowiek wysokiej znacności, pisze p. W. (1) pełen nauki był niejako opiekunem i mentorem brata młodszego. To też Tomasz do końca życia, zachował dla niego poważanie z miłością braterską.“ Umarł na parę lat przed śmiercią naszego poety. Był on z powołania prawnikiem, lecz zniechęcony wszystkiém co go otaczało, dusza napół melancholijna, usunął się od świata i osiadł w domowém zaciszu. Uniwersytet Wileński w r. 1822 wzywał go do zajęcia katedry prawa narodowego, po Daniłowiczu (2), który pod tę porę do Niemiec wyjechał, ale z niewiadomych przyczyn odmówił. Mieszkając w zakątku wśród ciszy wiejskiej Józef Padurra pracował wiele umysłowo, zostawił po sobie następujące przekłady:

1. *O Duchu praw* przez Montesquie'go. Tomów pięć.
2. *Traktat o prawie karném w Rosyi*. Tomów 3.
3. *O ugodzie społecznej* J. J. Rousseau, T. 1.
4. *O prawach kryminalnych Pastoreta*. T. 2.
5. O przestępstwach i karach z komentarzami Voltaira, *Behkaria*. T. 2.
6. *Zasady ekonomii politycznej Sismondego* T. 2.
7. *Harmonie ekonomiczne Bastiata*. T. 1.
- (3) 8. Porównanie Zoroastra, Konfucjusza, Mohameda, Pastoreta. T. 1.

„Wszystkie te prace, powiada p. W., są jasnym stylem i wyborną polszczyzną przełożone.“ A ogrom ich dowodzi ciągłej umysłowej działalności Józefa Padurry i niezmiernie pracowitej pracy. Józef przekładając odwoływał się często do wydawców, gotowym będąc nawet za jakie takie wynagrodzenie je oddać; pomimo to nie mógł znaleźć nakładcy na rzeczy ściśle naukowe a zatem u nas nie kupne.

Wspomniawszy mimochodem o całkiem nieznanjéj postaci Józefa Padurry, wracamy do Tomasza. Urodzenie Padurry przypadło w tę porę, kiedy prawie współcześnie z nim urodziło się dwóch największych poetów ukraińskich: *Seweryn Goszczyński* i *Bohdan Zaleski*. Pierwszy przyszedł na świat 1803 r. a więc tylko w dwa lata później od Padurry i w tychże samych *Ilincach*. Zaleski urodzony w 1802 r. (14 lutego) a więc o kilka miesięcy zaledwie młodszy, nieznanym nam pocie za młodu, bo zanurzony gdzieś w stepowej przestrzeni śnił „upowity w pieśń u łona“ swjéj matki Ukrainy, słuchał dum starego kozaka co go *hotubił* na życie. Ale już zbli-

(1) Rękopis p. Wasutyńskiego.

(2) Wezwanie woryginałe znajduje się w rękach p. Wasutyńskiego, z daty 7 kwietnia 1822 r., podpisane własnoręcznie „*Capelli*.”

(3) O téj to pracy p. Wasutyński pisał do Kłosów za rok 1872, którą to pismo podało za przekład Tomasza. Rękopis jéj jest u p. W. gotów go oddać bez żadnych wynagrodzeń, gdyby kto obciał wydrukować.



żały się te trzy świetlne gwiazdy, by rozkwitłszy zupełnie opromienić słonecznym blaskiem rodzinną swą ziemię. Ilińce, które szczyć się tém kiedyś będą, że wydały na świat dwóch znakomitych poetów, należały podówczas do księcia wojewody Hieronima Sanguski.

Padurra pierwsze zasady i początki nauk odebrał w domu rodzicielskim i w szkółce parafialnej, przy probostwie w Ilińcach, gdzie razem uczęszczali z Sewerynem Goszczyńskim. Opowiadał on później (1) że wyuczywszy się obadwa ministrantury służyli razem do mszy, będąc dumni ze swego obowiązku, jakby najpierwsi dygnitarze kościoła. Zwiedzając w r. 1866 kościółek w Ilińcach poznał z wielkiem swoim zadowoleniem tę samą kadzielnicę, której używali przy obrzędach. Gdy już oba podrosli trochę, rodzice oddali ich do szkół w *Winnicy*, gdzie przez parę lat byli razem, a gdy ojciec Seweryna przeniósł się w okolice Humania do Leszczynówki, i umieścił syna w Humaniu u ks. Bazyljanów, Tomasz został się w Winnicy i ukończył szkoły w r. 1820. Z dat tych jasno się pokazuje, że Padurra nie mógł podróżować od r. 1817 do 1820 po Wschodzie z Emirem Rzewuskim, gdyż czas ten poświęcał nauce. Wreszcie Rzewuski wybierając się na Wschód zabrał ze sobą tylko Konstantego Chotyńskiego swego nadwornego doktora, starego sługę Marcina i Sokoła kozaka z Sawrania (2). O Padurze w relacji jego niema ani słówka. Nakoniec jak to później obaczymy, poeta nasz poznał się z fantastycznym *grafem* dopiero po jego powrocie do kraju, koło r. 1825, p. Wasiutyński zapewnia nas też w swym liście, że Padurra nigdy nie był na Wschodzie, że wyprawili go w tę podróż nieświadomi rzeczy gazeciarze i t. d. Padurra w końcu choć pod pewnym względem usposobienia poetycznego, przypadał do fantazyjującego życia grafa, przecież w życiu był spokojnym, nie palony tą gorączką co gnała *Emira* szukać awantur w pustyni *Nezdu*; melancholijny, spokojny i marzący w ciszy, nie miał w sobie tej kipiączki życia. Najlepszym wreszcie dowodem naszego twierdzenia są daty. Był on za młody by mógł towarzyszyć Rzewuskiemu, nieznanemu jeszcze nigdzie i nikomu. Późniejsze jego stosunki z Emirem wpłynęły zapewne na utworzenie tej fałszywej wieści (3), która rozeszła się po wszystkich pismach i historyach literatury mówiących o Padurze.

Po ukończeniu szkół Winnickich w r. 1820, wizytator ówczesny *Weleżyński*, widząc w Padurze wyższe zdolności i pilność w naukach i mając w tej dobie odbywać swe coroczne wizyty po zakładach naukowych, zabrał go ze sobą jako sekretarza. „Udało mi się, opowiadał później śmiejąc się sam Padurra, pomimo całej mojej żywości zachowywać pewną powagę przy wizytach; dopiero

(1) Rękopis p. W.

(2) Czytaj: Wacław Rzewuski i przygody jego w Arabii p. Lucyana Siemieńskiego str. 17.

(3) K. Wł. Wójcickiego Hist. lit. polski T. IV. Encykl. pow. Orgelbranda lit. P.

przyjechawszy do *Międzyrzecza*, gdy jako sekretarza księży umieścili w osobnej celi, z której okna wychodziły na ogród, gdzie była wiśnia obficie obciążona owocem i nakryta siatką, na przyjęcie JW. wizytatora zachowana, nie mogłem wytrzymać, a obudziwszy się rano, wyskoczyłem przez okno i objadłem wiśnie. Ojcowie opatrzyli się i ks. rektor wystosował na piśmie jowialne oskarżenie podane na wety przy końcu obiadu. Śmiał się JW. wizytator z tego wypadku, śmieli się Ojcowie z towarzystwem, a ja czerwieniłem jak piwonია. Dla ujęcia mi wreszcie konfuzji ks. rektor cofnął swój proces a mnie zaprosił na podwieczorek.“

Tak jeżdżąc po tych wizytach przez parę miesięcy przybyli na koniec do Krzemieńca, gdzie Padurra zaraz wstąpił do głośnego liceum, szkoły, która w swoim czasie tak wielu ludzi zdolnych we wszystkich kierunkach wydała. Tu oddawał się najwięcej studjom historycznym, pisał przytém poezye, dумы. Były to czasy gdy Bajron powszechną na siebie ściągnął uwagę, gdy młodzież chciwie go czytała, gdy Ossyan napół sennemi i fantastycznemi powieściami swemi budził drzemiące dzieje zamglonej przeszłości. Gienialna potęga Bajrona tak dalece wpływała na wszystkie ówczesne głowy myślące, na wszystkie dusze poetyczne, że niema prawie nikogo z piszących w owój dobie, na którymby nie było znać wpływu angielskiego wieszca. Jeżeli Mickiewicz i Słowacki, Goszczyński i Malczeski nie mogli ominąć Bajronistycznych raf, to jakżeż Padurra jakkolwiek pełen talentu, talentu oryginalnego i rodzimego, ale zawsze niższy od nich, mógł oprzeć się temu porywającemu pociągowi. Kształcił się on też na Bajronie i poezyach Ossyana i do końca życia rad ich czytywał (1). Ukończył kursa w Krzemieńcu w 1825 r. i wyjechał z tamtąd z zapasem wiedzy i znajomością społeczeństwa.

Od lat już pięciu prawie Wacław Rzewuski powrócił do kraju ze Wschodu, ze swój poetycznej podróży po pustyniach *Nezdu*. „Fantastyczny strój wschodni, powiada L. Siemieński (2), sposób życia wyróżniający się od zwykłego trybu domów szlacheckich i pańskich, osobliwej piękności i dzielności konie, wszystko to zwracało na siebie uwagę całej prowincyi. Zjeżdżano się zewsząd na oględziny tak samego Emira, jak dworu, ogierów i klaczy i z podziwieniem a czasem i niedowierzaniem właściwem naszym hreczkosiejom, słuchano jego opowiadań o przebytych awanturach arabskich, które umiał illustrowć już melodyjami beduińskimi, już rozbiciem kopją, ciskaniem dzirytu i jazdą konną na sposób synów pustyni. Jak całe umunsztukowanie i osiodłanie konia, tak części uzbrojenia i ubioru beduińskiego, wszystko to było nowością dla jego sąsiadów, a on każdy szczegół tłumaczył, praktyczność jego podnosił i o lada drobnostce umiał coś ciekawego powiedzieć, co słuchaczywprawiło w entuzjazm lub zdumienie. Bawiło to i zajmowało jak każda nowość a jeszcze więcej zajmowała poetyczna postać

(1) Rękopis p. W.

(2) Wacł. Rzewuski—str. 110.

Emira, szczególnie jej płeć piękną, której zawracała się głowa na widok ekscentrycznego oryginała, gaszącego bohaterów romansów rzeczywistością, a przerastającego wszystkie egzemplarze doskonałych kawalerów rej wodzących w prowincyi. Emir w rozmowie umiał być pociągającym, bawił anegdotami, śpiewał, dokazywał na koniu, imponował nauką, lubo niekiedy gdy wpadł w ton sentymentalny lub humanitarny, stawał się niemiłosiernie nudnym...“

Przytoczyliśmy ten ustęp w całości dla okazania jak wielki wpływ na okolicę wywierał Emir, jak był przez wszystkich poszukiwany, uwielbiany wszędzie. To też nic dziwnego, że i Padurra zbliżył się do niego. Co więcej, Rzewuski był także poetą *sui generis*, pisywał nawet wiersze, epepeje, które przytacza p. Siemiański. Mając takie poetyczne usposobienie obadwa z Padurra, łatwo poznali się, przyłgnęli do siebie tak, że przez lat kilka nieodstępni prawie byli towarzyszami. Przesiadывał więc nasz Tomasz u *grafa*, jak zwano Rzewuskiego, albo w Sawranii na Ukrainie lub w *Kuźminie* na Wołyniu. Nie obeszło się naturalnie bez tego, by na wrażliwą naturę Padurry, nie wpłynął graf Emir, kipiący fantazją jakąś napół pańską, napół kozacką lub beduińską. Co więcej poeta nasz tak dalece zakochał się w Emirze, że pominałszy to iż później szedł z nim dzielić jedne prawie losy pod *Daszowem*, ale nawet naśladowując niejako Mickiewiczowskiego *farysa*, pisał osobną dumę, coś w kształcie ody lub kassydy Adama: do *Emira*. Już w tej porze pisał nasz poeta moc dum, pieśni, ale tak jakoś rodzimych, że rozchwytywano je zaraz, śpiewano po dworach pańskich i szlacheckich, a sławny swojego czasu wędrowny śpiewak i teorbanista Witort(1), spory ich zapas miał od autora i roznosił po świecie, siejąc je jak złote ziarna między ludem (2). Do tego to czasu, przebywania na dworze Emira, odnosi się znany wiersz T. A. Olizarowskiego o Padurze p. t. *Śpiew kozaka*, który, jako zachowujący w sobie wiele charakterystyki i malujący dobrze ów dwór i otoczenie naszego poety przytoczę tu w całości:

„Był u grafa pan Padurra,  
Nie bardzo to świecił zdrowiem,  
Ale zwinny jak wiun: chmura  
Nie tak chybka. Cóż powiecie,  
A do konia jakby dziecie.  
Lecz jak siądzie na dywanie  
Śród pokoju z kozakami,  
Jak pociągnie po torbanie  
Białą ręką, a oczami  
Jastrzębiami, jak po strunach,  
Po całunach i piołunach,  
Po kozackich twarzach mignie:

(1) Był to szlachcic, rodem z Litwy podobno.

(2) Rękopis p. W.

To niech w tobie serce stygnie  
 Od wieczora—nie zastygnie  
 I do rana. Gdy dwanaście  
 Po torbanach razem stuknie,  
 To na tobie, jak na chwaście  
 Pełnym rosy, huk osiada.  
 Twojém sercem dumka gada!  
 Pan Padurra dumek uczył,  
 Dał się w znaki, o! dokuczył  
 Tém uczeniem; lecz nauczył.  
 Ta to cała Ukraina  
 Dziś dumkami brzmi Padurry,  
 Na podolskie już tam góry,  
 Ponad same lézą chmury  
 Dumki nasze. Nie nowina  
 I w Krzemieńcu. Jak tam byłem  
 Na posyłce: „jak tu głucho“  
 Sam do siebie wymówiłem.  
 Aż tu dumka w same ucho:  
 „Zakotywsia miśiąc w chmari“  
 Jak nie jęknie! Lecz z gitary  
 Nie z torbanu, nie z torbanu“.

Takie to tam było życie na dworze złotobrodego Emira, jak go Beduini nazwali. Konie, kozacza drużyna gotowa w ogień na rozkaz pański skoczyć, podróże konno po stepie wśród pogodnej nocy z kopia beduińską, ze strusiami pióry w białym płaszczu emirskim; śpiew wreszcie: ot jak żył Emir i przyjaciel jego od serca, nasz Padurra. L. Siemieński (1) pisząc o Rzewuskim powiada:

„Miał on przy sobie przyjaciela, poetę Tomasza Padurrę, który dziwnie piękne dumki umiał składać w narzeczu ludu rusińskiego; miał Witorta teorbanistę, który dorabiał nutę i śpiewał..., a za nim chórem śpiewali nadworni kozacy sawrańscy, towarzysze nieodstępni swego pana“...

Nie można powiedzieć żeby to życie nie miało w sobie poezyi, nie miało pewnego zadowolenia dla duszy naszego śpiewaka. Ledwie że wytrysła dumka z jego piersi, już ją chwytało, nucono chórem; już ją mógł słyszeć dzwoniącą po mogiłach, kurchanach, bezbrzeżnym stepie.... Pod pewnym względem była to pełnia żywota Padurry. Zenit jego świetlany i tak tęczowemi barwy strojny, tak piękny i uroczy, że każdy poeta mógł i może mu go zazdrościć. Nie papier, nie druk chwycił te jego pieśni i dumy, ale żywe serca, usta żywe podawały sobie wzajem na pamięć wieczystą. Czegóż więcej można pragnąć?

(1) Wacl. Rzewuski str. 129.

W tój dobie krąg stosunków Padurry począł się rozszerzać; zabierał znajomości z ludźmi wyższymi nauką lub położeniem społeczném. Poznał się z głośnym zbieraczem pieśni ludowych *Zoryanem Chodakowskim*, którego sam nazywa swoim przyjacielem (1), z Tymonem Zaborowskim tak wcześniej zgasiłym. Oto jak sam o tém mówi (2):

„Słyszałem w mojem dzieciństwie dumę o Eustachym Daszkiwiczu, która, ile zapamiętać mogę, obok wiernych opisów historycznych, miała wiele właściwych sobie piękności. Zoryan Chodakowski w liście do Tymona Zaborowskiego pisanym, przesyłał mi z tój dumy kilka zwrotek, zachwyconych może na stygnących ustach ostatniego tój ziemi lirnika; lecz wieść o zgonie obydwóch uprzedziła mnie smutkiem, nim odebrałem samo pismo z rąk obcych... Pokój waszym popiołom miłośnicy dziejów słowiańskich i moi przyjaciele!“

Stały dla niego także otworem w tój porze podwoje hetmanowej Rzewuskiej w *Konstantynowie* (3), która utrzymywała dom na stopie tradycyi hetmańskiej z wykwintem i pańszością; dalej, bywał nasz poeta u Potockich w Humaniu, u Sanguszków w Sławucie. Wszędzie wiódł go Emir, jako swego przyjaciela, a że Rzewuskiego otwartemi rękami przyjmowano, więc i Padurrę opromienionego sławą poety, radzi zawsze widzieli. Jeździł też w tój porze poraz pierwszy do Warszawy, robił wycieczki do Małorossyi, nad brzegi Dniepru; w roku 1828 był w dawniej Sicz(4), zbierał podania, tradycye, pieśni; miał wstęp do bibliotek, szczycił się względami znakomitych osób a między tymi metropolity kijowskiego *Eugieniusza*, u którego przesiadując tygodniami miał udzielane dawne rękopisy, z których wiadomości czerpał i o których często wspomina w swoich Ukrainkach (5).

Z poezyj swoich, jakie później w Warszawie na widok publiczny wydał, prawie wszystkie w tym czasie płodnym, poetycznym, w czasie rozkwitu swoich nadziei i marzeń napisał. I tak: dwie z nich noszą datę 1827 r., sześć 1828 r. a trzy 1829. Te które zostały napisane w roku 1828, opiewają przeważnie bohaterskie dzieje dawniej kozaczyzny, widocznie kreślone są gorącą ręką, pod świeżém wrażeniem podróży po Ukrainie przeddnieprowskiej i Sicz(4) dawniej.

Skończyć się wreszcie musiało to życie gwarne, napół fantastyczne, oświetlone nadziejami. Złotobrody Emir przepadł gdzieś

(1) Patrz Ukrainky, przypiski, 163—126. (2) Loc. cit.

(3) Rękopis p. W.

(4) Czytaj przypiski w Ukrainkach str. 158. (5) Rękop. p. W.

jak kamień w wodę (1), a Padurra przecierpiawszy wiele osiadł z rodziną swoją w *Machnowce*. Z żywota ruchliwego, przepełnionego ogniem poezyi i czynów, przeszedł nagle w ciszę, spokojność i smutek głuchy. Nieotoczony gromadą kozackiej drużyny, już nie tworzył dumek ale począł pracować nad obszerniejszemi rzeczami. W tym to czasie napisał poemat p. t.: *Kudak*, tłumaczył Konrada Wallenroda na narzecze ruskie, z którego znany tylko mały wyjątek (2), Bajrona, z którego także zaledwie kilka pieśni pozostało. Wszystkie te prace atoli skradziono mu wraz z innemi rzeczami, gdy był zagranicą w roku 1848. „Ta strata, powiada p. W. (3), bolała go całe życie i nie mógł o niej bez serdecznego żalu wspominać. Natchnienia poetyczne nie przychoǳą na zawołanie, na rozkaz, a raz zaginione powtórzyć się nie mogą. Tém co pozostało, co następnie wypracował a nie ogłosił drukiem, być może iż za swego życia się rozporządził, gdyż nie znajduję jego rękopisów między pozostałościami.“

Około 1840 r. i później przesiadywał często u *Borejki* w Piskowie, z którym go łączyły stosunki przyjacielskie. W Stawucie na dworze ks. Sanguszków nieraz po kilka miesięcy bawił, tak go chętnie przyjmowano. Stawa jego bowiem brzmiała już nie tylko w Ukrainie ale w całej Polsce, choć niewiele dotąd drukował: lubo różne pisma czasowe ogłaszały jego pieśni, a to bez jego wiedzy i woli. Jak np. w roku 1842 Kajetan Jabłoński wydał we Lwowie książkę p. t.: *Pienia Tomasza Padurry* (w 12, str. 98), gdzie pomieszawszy jego utwory z utworami innych autorów, mógł nieznanego rzeczy w błąd wprowadzić. To téż poeta oburzony takim postępowaniem, odzywa się w swoich Ukrainkach (4), w przypisku do Pieśni Kozackiej:

„Ten wiersz, jak inne, powtarzano w pismach peryodycznych w kraju i zagranicą. Oświadczam moim wydawcom, że nigdy i żadnemu z nich nie posyłałem do ogłaszania, ani pozwalałem robić zbiorów pod moim imieniem, a do tego w znacznej ilości pism nie moich“ (5).

Postanowił nakoniec wydać rozproszone swe dumy w jednej książce i w tym celu udał się w r. 1844 powtórnie do Warszawy i tu

(1) Podanie miejscowe mówi, że został zabity w lasach Daszowskich od własnego kozaka nazwiskiem *Usenko*, który po latach kilku, miał się stawić dobrowolnie przed sądem w Lipowcu i za to czy inne przewinienie wysłany został na Sybir. (Rękopis p. W).

(2) Podobno p. K. Wł. Wójcicki posiada niektóre ustępy z tego przekładu w rękopismie, przez samego Padurrę pisanym.

(3) Rękopis.

(4) Przypiski, str. 182.

(5) Biblioteka Warszawska w tymże czasie drukowała niektóre jego dumki, te same później znajdujemy w Ukrainkach.

je wydrukował u Gustawa L. Glücksberga, z którym go łączyły stosunki koleżeńskie jeszcze z Krzemieńca. Książka ta, co wywołała ironizm sądów najróżnorodniejszych, rozrywana wreszcie chciwie, nosi tytuł: *Ukrainky z nutaju Tymka Padurry*, Warszawa u Hustawa Ł. Hliksberha na utyci Medowij, 1844, (in 8-vo, str. 195). Jest to wydanie bardzo ozdobne i przypisane: *Naczesť Romanowi z Koszyry i pamiatku naszych lit molodych, prypysuju T. Padurra*. W książce tej zawartych jest 12 poematów różnorodnej treści, pisanych w narzeczu ruskiém z dosłownym obok przekładem polskim, dokonanym przez samego autora. Do każdój dumki dorobiona jest muzyka przez Karola Lipińskiego: oto jak opowiada o tém sam Padurra w przypiskach (1).

„Przed laty kilkunastu, *Emir Tag-El-Facker-Abd-El-Niszan* (Wacław Rzewuski), słysząc odemnie jedne tylko, ogłaszające się w tym zbiorze poezye i mojej kreacyi muzykę do nich, pierwszym był co mi głoskami muzycznymi (bo nut nie znam) ponotował temata bez wtórow. Leżało to czas długi, jak wiele innych śpiewów moich, obok pism w tece zapomnienia; lecz kiedy tu ogłaszam część z nich z muzyką, znany w Europie nasz rodak Karol Lipiński, dorabiane mi później do moich tematów wtóry, niektóre sprostował a do tego śpiewu utworzył. Miło mi oświadczyć podziękowanie znakomitemu u Słowian artyście, za uprzedzającą mnie i troskliwą pomoc; miło mi pomyśleć o tém, że miłośnik jak on wszystkiego co jest słowiańskie, odświeżył moją pamięci i sercu wspomnienia przyjaźni, lat błogięj młodości i milszych mi tęsknot i marzeń, może błąkających się jeszcze czy rozwianych po rodzianym stepie!“

Nuty te litografowane są u Hirszla w Warszawie i bardzo pięknie, cała zaś książka drukowana czcionkami łącińskimi. Obok dum zawiera liczne przypiski, z których ważniejsze ustępy dotyczące osobistości autora przytoczyliśmy; wiele tam znajduje się ciekawych a nieznanych rzeczy do historii kozaczyzny, czerpanych z rękopisów, jakie autor czy to w Kijowie, czy też w podróżach swoich po Ukrainie znajdował. Po wydaniu na widok publiczny prac swoich, w roku 1848, zrobił wycieczkę za granicę, odwiedził Pragę w czasie zjazdu słowiańskiego i wtedy napisał wiersz do Szafarzyka, którego równie wysoko cenił jak Lelewela.

„Od 1858 r., powiada p. W. (2), rzadziej wychylał się ze swego zakątka w Machnówce, od tego właśnie czasu stosunki moje z nim były ściślejsze, a gdy całą rodzinę stracił, w ostatnich latach prawie stale przebywał w Koziatynie. Do końca życia zachował charakter łagodny. W stosunkach domowych delikatny, patrzył na świat okiem poetycznym, na przeszłość z tęsknotą, na przyszłość z boleścią. Lubił rozmowę poufną, otwartą, unikał

(1) *Ukrainky*, str. 182—183.

(2) *Rękopis p. W.* str. 6.

zgiełku i nowych znajomości. Pamięć miał wyborną, w opowiadaniu zajmujący i niewyczerpany, gdy miał humor potemu. Wszakże do niektórych ludzi i faktów był uprzedzony, jak zwykle starzy bywają. Wierzył zawsze iż wygra na loteryi warszawskiej, to też miał zwykle bilet i fortuna dopisywała mu czasem, bo wygrawszy kilkanaście tysięcy złotych, użył ich na podróż zagranicę. Pracą chętniej się zajmował w lecie, niż zimową porą. Z natury marzyciel, wyobraźni silnej, serca czułego, umysł miał skłonniejszy do melodyi niż do zajęcia i spraw rzeczywistego życia.“

Ostatnią, większych rozmiarów, pracą Padurry był artykuł treści historycznej p. t. *Mazepa*, drukowany w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie za rok 1864.

Umarł dnia 8 września 1871 r. w domu przyjaciela p. Maryana Wasiutyńskiego w Koziatynie. Pochowany na parafialnym katolickim cmentarzu w Machnówce Murowanej. Padurra był wzrostu słusznego, twarzy poważnej i smętnej, rzekłbyś natchnioną, wejrzenia pełnego spokoju i tęsknoty. Portret jego zdjęty z kijowskiej fotografii znajduje się w Tygodniku Ilustrowanym za rok 1872 Nr. 229.

Wincenty Pol pisząc o Padurze powiada (1): „Padurra uchodził u nas długo za mit i fikcyę, aż nareszcie wyszedł zbiór jego poezyj i bliższe wiadomości o nim, o jego młodości i o jego życiu upowszechniły się w Polsce. Padurra należy do najrzadszych poetycznych zjawisk, powiedziałbym na kuli ziemskiej, bo jest on pisarzem innego ducha, a pisarzem innego języka. Tylko ci coby najlepiej rozumieli go powinni, nie zrozumieli Padurry i szukają dziś języka, kiedy po języku Padurry, po języku Kotlarzewskiego i po teorbanie Witorta, dum nie było już czego dalej szukać, bo język leżał gotowy, tylko trzeba było kształcić lud, któryby tym językiem i w tym duchu jak Padurra, władać potrafił.

„Każdy zna te widełki, podług których się stroi fortepian. Podają one tylko jeden ton, jedną nutę; ale każda, największa orkiestra, musi być podług tej jednej nuty nastrojona: żadna najpiękniejsza opera, żadne najwznioślejsze oratorium w kościele bez tej nuty i bez tego stroju nie mogą być odśpiewane ani odegrane. Otóż poezye i dumy Padurry dają ten kamerton nowej naszej literaturze. Jeżeli kto nas wprowadził na nowe pole, to wprowadził nas Padurra istotnie. Co jest w nim najgieniałniejszego, to właśnie to, że z lirycznego uczucia wychodząc, przychodzi następnie w dumę historyczną, która jest zadatkami epickiej poezyi. Gamma jest bardzo krótka, bardzo mała, ale i gamma słowika jest małą a jednakoż słucha ją każdy z uniesieniem.

(1) Pamiętnik o Literaturze polskiej w XIX w.



„Po Padurze dopiero mógł przyjść Zaleski i inni, przed Padurą nie było podobieństwem i kiedyś jak przyjdziemy do dum historycznych, kiedy poezya ostatecznie osiągnie tę wysokość, że będzie nierozdzielna od muzyki i nierozdzielna od życia, wówczas obejrzymy się za Padurą i nie tylko my, ale wszyscy się obejrzą w całej Słowiańszczyźnie za nim, bo pieśni jego proste i dumy mają to znaczenie w literaturze naszej, co poezye Hezyoda w literaturze greckiej.“

Niektórzy krytycy, mianowicie krytyk w Tyg. petersburskim z roku 1844 i 1845, zarzucali Padurze niezajomość ukraińskiego narzecza, co więcej odmawiali mu tytułu poety. Pomimo to sami uznali dumę o *Romanie z Koszyrry* za istną perłę ukraińskiej poezyi. Co się tyczy znajomości narzecza ukraińskiego przez naszego poetę, dość jest przeczytać jego uwagi umieszczone na końcu *Ukrainekt*, nad językiem tamtejszym; dość wreszcie posłuchać którejkolwiek dumki jego, ażeby mu nie tylko przyznać znajomość języka ale i mistrzowskie nim władanie. Wreszcie lud, najlepszy podobno sędzia w tym względzie, przyjął jego dumy, przemienił w swą własność, coby nie miało miejsca, gdyby były pisane nie jego językiem.

Obok dum drukowanych w Ukrainkach, znane są na Ukrainie także w narzeczu ruskiem następujące: Lirnik, Zaporozec, Rejestrowy, Czarnomorzec, Ruchawka, Pieśniarz, Rożyński, Barabasso, Sierko-Tetera, Murassko, Mazepa, Hordijenko, Hetmanci, Do Dniepru, Ukraina. Z pieśni w języku polskim pisanych, znane są: Fantazyje, Przeobrażenie, Wspomnienia, Do Emira, Do M\*\*\*, Fatyma, Do Wiosny, Grób D. K. S. Miasto, Czapla, Do Shanar doliny, Ostatnia myśl T. Z\*\*\*.

Wspomniałem wyżej że do każdej dumki dodana jest muzyka, pisana przez Lipińskiego, według śpiewu Padurry. Muzyka to tęskna nad wyraz, i taka dumka wyśpiewana przez dobrego śpiewaka, silne bardzo wrażenie może zrobić na słuchaczach.

Wszyscy krytycy przyznali, że najznakomitszym utworem Padurry jest jego дума o *Romanie z Koszyrry* (1). Pominąwszy myśl przewodnią tej dumy, myśl zkądinąd bardzo zacząną względnie do ludu i położenia owoczesnego, Padurra przechodzi w nią już do poezyi epickiej.

Na zakończenie przytoczymy tu słowa K. Wł. Wójcickiego, który tak mówi o tym poecie (2):

„Padurry pieśni wiele przeszło na wieczną pamięć w usta narodu i ludu, w dalekiej przyszłości powtarzać będą późniejszych

(1) Jest to Roman książę Sanguszko, żyjący w XVI wieku, człowiek wielkich nadziei, przedwześnie zmarły.

(2) Hist. lit. pol. IV—168.

pokoleń usta, pieśni tego wieszczą, choć nie będą wiedzieć o ich twórcy. Padurra w tych śpiewnych dumach, które tak chciwie chwytają każde ucho, co lgną do serca, skreślił cały żywot kozaczy, zamknął w nich stawę bitnego pokolenia i schwytał zarazem charakterystykę rodową. Najpiękniejsze pieśni skreślił w narysach ukraińskim, zrozumiałym dla Ukraińców i tak łatwym dla nas. Prócz ludu, który je śpiewa, w Galicyi niemal całej po dworach szlachty nucą te pieśni Padurry, wiele z nich brzmiało nietylko w cichych ścianach dworów. Nasz wieszcz i twórca dumek Hetmana Kosińskiego, Mazepy i Rusałek, wysoko cenił pieśni Padurry, z jakąż rozkoszą każdą chwytając, z jakim zapatem rozczytywał. Bo przyznać trzeba, że tylko różnica języka dwóch tych śpiewaków rozdziela, ale też sama związłość, choć nie ta sama śpiewność, toż chwytywanie wielkich obrazów a tak treściwie w szczupły wiersz ujętych, cała historyczność niemal kozaczego rodu w każdej dumie skreślona, czyni obu braćmi jednego natchnienia“.

---

## POŁOŻENIE OBECNE FRANCYI,

podług najnowszych źródeł urzędowych.

---

### WSTĘP.

W życiu narodów, podobnie jak w życiu pojedynczych ludzi, wydarzają się wielkie klęski, które stanowią wpływ wywierają na dalsze losy tych narodów. Są one próbą ich sił żywotnych i albo prowadzą za sobą upadek państwa i narodu, albo są bodźcem do rozwoju większej działalności, powołują do życia większą masę sił moralnych i czasami doprowadzają naród do jeszcze większej niż poprzednio potęgi i znaczenia w gronie innych narodów. Takiej klęski publicznej doznały Prusy w 1806 roku. Jednakże dzięki zwiększonej działalności ich ludności i rządu, dobrej administracyi i nowemu systematowi obrony narodowej, potrafiły Prusy pogoić rany zadane im w walce z Napoleonem I, skorzystać z idei odra-

dzających się zjednoczonych Niemiec i siłami całej dawniej Germanii pokonały pierwsze państwo militarne w Europie tj. Francją.

Dla Francji podobną klęską narodową i publiczną, była wojna 1870—1871 roku. Pomimo woli nasuwa się pamięci analogia zachodząca pomiędzy Francją obecną i Prusami, po 1806 roku i publiczności francuscy może pierwsi zwrócili na nią uwagę w celu zachęcenia współziomków do wyteżenia wszystkich sił moralnych i fizycznych, dla zagojenia otrzymanych ran. Wzięto się zatem skrzętnie do pracy, rozwinięto działalność podwójną, by z jednej strony skorzystać z nabytego doświadczenia i pozbyć się błędów przeszłości, a z drugiej sumiennie zapłacić Niemcom karę pieniężną za blichtr zewnętrzny rządów bonapartystowskich i lekkomyślność wypowiedzenia wojny. Żeby jednakże poznać wielkość poniesionych strat i wysondować niby otrzymaną ranę, wzięto się do ich sumiennego obliczenia, nie obawiając się bynajmniej jawności i licząc na zdrowy rozum narodu, który nie da się zastraszyć wielkością tych strat. Prace takie statystyczne, o ile zostały ukończone ogłoszono drukiem i chociaż jeszcze wiele brakuje do tego żeby wszystko zostało ujęte w liczbę i tablicę statystyczną, jednakże z ogłoszonych materiałów możemy zapożyczyć niejeden ciekawy szczegół. Ponieważ Francja pomimo czasowego zaćmienia jej znaczenia pierwszorzędnego, pozostaje jednak zawsze jednym z narodów przodujących w postępie ludzkości, przeto i dotyczące jej zjawiska mają znaczenie ogólnoludzkie. Wiele zatem rzeczy odnoszących się pozornie tylko do niej jednej, mogą być interesującymi i dla szerszego kręła czytelników, nawet takich, dla których losy Francji są zupełnie obojętnymi, ale dla których nie mogą pozostać obojętnymi, zjawiska ogólnoludzkie będące symptomatami t. z. patologii narodowej.

Na zasadzie zatem najnowszych oficjalnych wykazów statystycznych, postaramy się przedstawić czytelnikom chociaż urywkowo i pobieżnie obecne położenie Francji, unikając zbytniego nagromadzenia tablic i liczb a ograniczając się rezultatami najogólniejszemi i stosunkowo najbardziej interesującymi. I tak, zanim przejdziemy do szczegółów, powiedzmy: że ostatnia wojna, jakto wszystkim wiadomo, skończyła się *uszczerpieniem granic Francji*. Podług obliczenia z 1866 roku liczyło to państwo 37,548 gmin, 54,305,141 hektarów powierzchni i 38,067,064 ludności, wojna z 1870—71 roku pozostawiła jej 35,859 gmin, 52,857,675 hektarów i 36,469,836 ludności. Straty zatem wynoszą: 1,689 gmin, 1,447,466 hektarów i 1,597,228 ludności. Francja utraciła cały departament Bas-Rhin, dep. Haut-Rhin za wyłączeniem części okręgu Belfortskiego, kilka gmin z dep. Vosges, dwa okręgi Sarreguémis i Thionville, większą część okręgu Metz i 19 gmin z okręgu Briey z dep. Moselle, na koniec prawie całe okręgi Chateau-Salins i Sarrebourg z dep. Meurthe. Przechodząc obecnie do rozmaitych szczegółów statystyki urzędowej, musimy zrobić uwagę że wykazy urzędowe nie dają jeszcze dostatecznego materiału do pracy

systematycznej, ogłoszono ich tylko część, zbyt bowiem jeszcze bli-  
szy jesteśmy od okropnego kataklizmu politycznego, który na-  
wiedził Francją. Następnie zwrócimy uwagę na to, że wiele rzeczy  
trudno bardzo ująć w liczbę i tablicę, jak np. całą stronę moralną  
życia narodowego, i tablice statystyczne mogą nam dać tylko niektó-  
re wskazówki do ocenienia stanu moralnego przed i po okropnej  
wojnie. Nakoniec rezultaty obliczenia ogólnego ludności z 1872 r.  
nie są jeszcze wiadome, potrzeba bowiem pewnego czasu do ich usy-  
stematyzowania i ugrupowania. Rozpoczynamy zatem od ruchu  
ludności.

### R u c h l u d n o ś c i .

W tomie XVIII urzędowej statystyki Francyi znajdujemy cieka-  
we zestawienie porównawcze ruchu ludności we Francyi i w innych  
państwach europejskich za okres 1861 do 1865 r. Przedstawione tam  
stosunki są bardzo stałe i ostatnia wojna mogła tylko czasowo  
zachwiać prawidłowość tych zjawisk. Ztąd też dążnością ludności  
będzie powrócenie jak najprędsze do stosunków ruchu ludności ist-  
niejących przed wojną.

Znajdujemy najprzód obliczenie *rocznego powiększenia* ludności  
w państwach europejskich i okresu lat potrzebnego dla jej po-  
dwojenia:

	Powiększenie roczne na 100 osób.	Period podwoje- nia ludności.
Rossya . . . . .	1,39 . . . . .	50 lat
Szwecya . . . . .	1,33 . . . . .	52 „
Norwegia . . . . .	1,32 . . . . .	53 „
Szkocya . . . . .	1,31 . . . . .	53 „
Anglia . . . . .	1,26 . . . . .	55 „
Prusy . . . . .	1,26 . . . . .	55 „
Węgry . . . . .	1,09 . . . . .	64 „
Saksonia . . . . .	1,05 . . . . .	66 „
Niderlandy . . . . .	1,05 . . . . .	66 „
Dania . . . . .	1,05 . . . . .	66 „
Belgia . . . . .	0,88 . . . . .	79 „
Wirtemberg . . . . .	0,84 . . . . .	83 „
Włochy . . . . .	0,83 . . . . .	84 „
Bawarya . . . . .	0,70 . . . . .	99 „
Hiszpania . . . . .	0,67 . . . . .	104 „
Austria . . . . .	0,63 . . . . .	110 „
Francya . . . . .	0,38 . . . . .	183 „

Jeżeli powiększenie ludności pozostanie to samo podług sto-  
sunku wyżej obliczonego, natenczas Rossya, Szwecya, Norwegia,

Wielka Brytania i Prusy podwoją swą ludność w pół wieku. W innych państwach wzrost ludności jest powolniejszy. W Austrii zaś i we Francji ludność dąży do stanu niezmiennego. Pochodzi to w Austrii od wielkiej śmiertelności, we Francji od małej płodności jej ludności.

Przechodzimy do tej płodności czyli do stosunku *urodzeń*. Porządek państw europejskich podług coraz zmniejszającego się stosunku urodzeń do ludności jest następujący:

	Urodzeń na 100 ludności.		Urodzeń na 100 ludności.
W Rosyi . . . . .	5,07	W Anglii . . . . .	3,54
„ Węgrzech . . . . .	4,15	„ Szkocji . . . . .	3,54
„ Saksonii . . . . .	4,01	„ Prusach . . . . .	3,44
„ Wirtembergu . . . . .	3,94	„ Szwecyi . . . . .	3,30
„ Austrii . . . . .	3,87	„ Belgii . . . . .	3,21
„ Hiszpanii . . . . .	3,84	„ Norwegii . . . . .	3,17
„ Włoszech . . . . .	3,84	„ Danii . . . . .	3,11
„ Bawaryi . . . . .	3,65	„ Francji . . . . .	2,66
„ Niderlandach . . . . .	3,56		

Widzimy z tego zestawienia, że z 17 państw europejskich, we Francji najmniej przychodzi na świat dzieci stosunkowo do ludności. Po Francji przedstawiają stosunek najmniej korzystny państwa skandynawskie, Anglia i Szkocja, dalej Belgia i Niderlandy. Liczba urodzeń przynosi stosunek średni dla wszystkich państw w większej części państw niemieckich i słowiańskich, również w Hiszpanii i we Włoszech. Stosunek wyjątkowo korzystny co do liczby przedstawia Rosya.

W liczbie ogólnej urodzeń, *dzieci nieprawne* zajmują następujące stanowisko w tychże samych państwach.

	Dzieci nieprawych na 100 urodzin.		Dzieci nieprawych na 100 urodzin.
W Bawaryi . . . . .	22,68	W Belgii . . . . .	7,19
„ Wirtembergu . . . . .	15,79	„ Węgrzech . . . . .	6,77
„ Saksonii . . . . .	15,05	„ Anglii . . . . .	6,36
„ Austrii . . . . .	14,72	„ Szwajcaryi (1867). . . . .	6,20
„ Danii . . . . .	10,84	„ Hiszpanii . . . . .	5,83
„ Szkocji . . . . .	9,79	„ Włoszech . . . . .	4,94
„ Szwecyi . . . . .	9,20	„ Niderlandach . . . . .	3,93
„ Prusach . . . . .	8,23	„ Irlandyi (1863:64). . . . .	3,75
„ Norwegii . . . . .	7,86	„ Rosyi . . . . .	3,00
„ Francji . . . . .	7,56		

Widzimy zatem że stosunki we Francji podobne są bardzo do stosunków w Belgii i że Francya zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy państwami niemieckimi i skandynawskimi z jednej strony,

Anglią, zaś i państwami południowemi z drugiej. Zresztą w samej Francyi stosunek dzieci nieprawych jest rzeczywiście dosyć znaczny tylko w samym Paryżu.

W liczbie przychodzących na świat żywych dzieci liczą w Hiszpanii, Włoszech i Austryi więcej niż 106 chłopców na 100 dziewcząt. Stosunek dla Francyi i Belgii jest średni pomiędzy państwami europejskiemi.

Pomiędzy przychodzącemi na świat jest pewna liczba *nieżywo-urodzonych*, których obliczają w większej części państw europejskich, za wyłączeniem Wielkiej Brytanii i Rossyi. Stosunek tych nieżywo-urodzonych do liczby ogólnej urodzonych jest następujący:

W Niderlandach . . . 5,19	W Danii . . . . . 3,99
„ Szwajcaryi . . . . . 4,92	„ Norwegii . . . . . 3,98
„ Belgii . . . . . 4,61	„ Szwecyi . . . . . 3,28
„ Saksonii . . . . . 4,38	„ Bawaryi . . . . . 3,24
„ Francyi . . . . . 4,35	„ Austryi . . . . . 2,09
„ Prusach . . . . . 4,16	„ Włoszech . . . . . 1,76
„ Wirtembergu . . . 4,07	„ Hiszpanii . . . . . 1,29

Jeżeli pojęcie nieżywo-urodzonych jest to samo we wszystkich państwach wyżej wymienionych, to w takim razie największa liczba wypadków śmierci tego rodzaju byłaby w strefie umiarkowanej, następnie w strefie zimnej, najmniej nakoniec nieżywo-urodzonych liczonoby w państwach południowych. Przejdźmy teraz do liczby *małżeństw*. Na sto ludności wypada małżeństw w państwach europejskich:

Na 100 ludności.	Na 100 ludności.
W Rossyi . . . . . 1,04	W Hiszpanii . . . . . 0,80
„ Węgrzech . . . . . 0,90	„ Francyi . . . . . 0,80
„ Saksonii . . . . . 0,83	„ Wirtembergu . . . 0,79
„ Prusach . . . . . 0,85	„ Belgii . . . . . 0,75
„ Anglii . . . . . 0,85	„ Danii . . . . . 0,74
„ Włoszech . . . . . 0,84	„ Szkocyi . . . . . 0,71
„ Niderlandach . . . 0,84	„ Szwecyi . . . . . 0,71
„ Bawaryi . . . . . 0,83	„ Norwegii . . . . . 0,69
„ Austryi . . . . . 0,82	

W państwach słowiańskich najwięcej bywa zawieranych małżeństw, najmniej zaś w państwach skandynawskich. Pod tym względem Francya i Belgia ustąpić muszą pierwszeństwa Hiszpanii, Włochom i większej części państw niemieckich.

Dla obliczenia *plodności małżeńskiej* biorą zwykle stosunek dzieci prawych do liczby zawartych małżeństw w pewnym danym roku. Otrzymałibyśmy tym sposobem rzeczywistą plodność małżeńską, gdyby liczba roczna zawieranych małżeństw była ciągle ta

sama; ale ponieważ liczba ta co rok się zmienia, nie otrzymujemy zatem stosunku rzeczywistego. Płodność małżeńską obliczylibyśmy dokładniej porównyując liczbę dzieci prawych z liczbą kobiet zamężnych w wieku płodności, jednak tego dotąd nigdzie nie uczyniono. Musimy zatem poprzestać na obliczonym stosunku dzieci prawych do zawartych małżeństw, który w państwach europejskich był następujący :

W Rosyi . . . . .	4,72	W Prusach . . . . .	4,14
„ Hiszpanii . . . . .	4,52	„ Niderlandach . . . . .	4,07
„ Szkocyi . . . . .	4,50	„ Austryi . . . . .	4,01
„ Irlandyi . . . . .	4,48	„ Belgii . . . . .	3,96
„ Włoszech . . . . .	4,34	„ Anglii . . . . .	3,92
„ Węgrzech . . . . .	4,31	„ Saksonii . . . . .	3,86
„ Norwegii . . . . .	4,25	„ Danii . . . . .	3,77
„ Szwecyi . . . . .	4,23	„ Bawaryi . . . . .	3,40
„ Wirtembergu . . . . .	4,22	„ Francyi . . . . .	3,08

We Francyi zatem najmniej wypadają dzieci na każde małżeństwo, chociaż należy ona do państw, w których najwięcej bywa małżeństw zawieranych pomiędzy kawalerami i pannami, t. j. osobami pierwszy raz zawierającymi związku małżeńskie. Przeciwnie w Austryi i Węgrzech najwięcej liczą stosunkowo małżeństw zawieranych pomiędzy osobami owdowiałemi.

Pod względem *śmiertelności* państwa europejskie dają się uporządkować jak następuje :

	Na 100 osób wypadków śmierci.		Na 100 osób wypadków śmierci.
W Norwegii . . . . .	1,84	W Bawaryi . . . . .	2,95
„ Szwecyi . . . . .	1,96	„ Saksonii . . . . .	2,95
„ Danii . . . . .	2,16	„ Hiszpanii . . . . .	2,96
„ Szkocyi . . . . .	2,23	„ Włoszech . . . . .	3,01
„ Anglii . . . . .	2,28	„ Węgrzech . . . . .	3,06
„ Francyi . . . . .	2,28	„ Wirtembergu . . . . .	3,11
„ Belgii . . . . .	2,33	„ Austryi . . . . .	3,24
„ Niderlandach . . . . .	2,50	„ Rosyi . . . . .	3,68
„ Prusach . . . . .	2,58		

Śmiertelność jest zatem najmniejszą w państwach skandy-nawskich i anglosaksońskich. Francya, Belgia i Niderlandy zajmują stanowisko pośrednie. Następują państwa niemieckie, północne poprzedzają południowe. Największa nakoniec śmiertelność panuje w Austryi i Rosyi. Jednakże śmiertelność ogólna jest różną dla każdego wieku, tak że każdy wiek oddaje w stopniu rozmaitym swoją daninę śmierci. Ciekawemi są bardzo zatem tablice śmiertelności obliczone dla każdego wieku życia. Z tablic zawartych w T. XVIII Statistique de France można obliczyć dla danej liczby

nowourodzonych liczbę *pozostających przy życiu* w każdym wieku. Tak np. na 100 jednocześnie urodzonych pozostaje przy życiu po 20 latach ukończonych:

W Norwegii . . . . .	72,6	We Francyi . . . . .	62,9
„ Danii . . . . .	71,3	„ Niderlandach . . .	61,6
„ Szwecyi . . . . .	69,8	„ Prusach . . . . .	58,6
„ Anglii . . . . .	64,6	„ Włoszech . . . . .	53,4
„ Belgii . . . . .	64,2	„ Hiszpanii . . . . .	51,1

Można również podług zawartego tam materiału obliczyć *prawdopodobieństwo życia* dla nowourodzonych jak następuje:

	Lat	m.		Lat	m.
W Norwegii . . . . .	48	—	We Francyi . . . . .	39	10
„ Szwecyi . . . . .	45	3	„ Niderlandach . . .	38	1
„ Danii . . . . .	45	3	„ Prusach . . . . .	36	5
„ Belgii . . . . .	40	3	„ Włoszech . . . . .	31	10
„ Anglii . . . . .	40	—	„ Hiszpanii . . . . .	31	2

Różnice wychodzą daleko mniejsze jeżeli obliczamy *prawdopodobieństwo* dla mających ukończone lat 5:

W Norwegii . . . . .	54	8	W Anglii . . . . .	50	5
„ Szwecyi . . . . .	53	10	„ Prusach . . . . .	50	4
„ Danii . . . . .	52	3	„ Niderlandach . . .	49	8
„ Francyi . . . . .	51	9	„ Hiszpanii . . . . .	47	10
„ Belgii . . . . .	50	6	„ Włoszech . . . . .	47	—

W ostatnim razie tylko państwa skandynawskie przedstawiają korzystniejsze stosunki niż Francya, którą znowu wyprzedza wszystkie inne państwa.

Dla 1869 r. zdołano zebrać daty odnoszące się do *ruchu ludności* tylko z 87 departamentów; departamenta Haut i du Bas-Rhin zajęte w następnym roku przez Prusaków i stracone dla Francyi, nie dostarczyły potrzebnych liczb. W tym zatem roku przy porównaniu z poprzedzającym 1868 r., *ruch ludności francuskiej* przedstawia się jak następuje:

Urodzenia . . . . .	1868	1869.
Dzieci prawe . . . . .	875560	889953
„ nieprawe . . . . .	70993	71580
Razem . . . . .	946553	961523
Wypadków śmierci . . . . .	890018	875430
Przewyżka urodzeń nad wypadkami śmierci . . . . .	56535	86093
Nieżywo urodzonych . . . . .	44390	45873
Małżeństw . . . . .	292266	307111



Widoczne jest zatem polepszenie warunków życia ludzkiego we Francji w 1869 r. Liczba urodzeń powiększyła się, zmniejszyła się liczba wypadków śmierci, ludność zatem zaczęła dążyć do stopniowego powiększania. Mianowicie zwiększenie się znaczne liczby małżeństw było oznaką stopniowego powrotu do zaufania w przyszłość, które tak boleśnie zostało zawiedzione.

Za 1870 r. doszły do ministerium wykazy o *ruchu ludności* tylko z 19 departamentów, które tylko pośrednio ucierpiały od wypadków wojennych. Ponieważ kroki wojenne rozpoczęły się pod koniec lipca tj. na początku 2-go półrocza 1870 r., ciekawem jest zestawienie rezultatów za oba półrocza osobno. I tak znajdujemy:

	1-e półrocze.	2-gie półrocze.
	1870 roku.	
Małżeństw . . . . .	34202	13577
Urodzeń . . . . .	116230	107608
Wypadków śmierci . . . . .	109339	113475
Przewyżka urodzeń nad śmiertelnością . . . . .	6891	—
Przewyżka wypadków śmierci nad urodzeniami . . . . .	—	5867

Każdego roku normalnego 1-e półrocze przedstawia większą liczbę urodzeń na 7%, wypadków śmierci bywa więcej o 2% i małżeństw na 15 do 18%. W 1870 r. widzimy różnicę w liczbie urodzeń pomiędzy obu półroczami wynoszącą 7%, co jest stosunkiem zupełnie normalnym; ale za to wypadki śmierci w 2-gim półroczu zamiast być mniejsze liczebnie, przenoszą wypadki 1-go półrocza o 4%. W skutek tego po przewyżce liczby urodzeń nad wypadkami śmierci w 1-ém półroczu następuje przewyżka prawie taka sama wypadków śmierci nad urodzeniami w 2-ój połowie roku. Ale najwidoczniejszym jest ogromne zmniejszenie liczby małżeństw wynoszące 60%. Porównywając dla 17 departamentów rezultaty 1870 r. z rezultatami roku poprzedzającego, otrzymamy co następuje:

	1869 r.	1870 r.
Małżeństw . . . . .	60965	46097
Urodzeń . . . . .	211423	216547
Śmierci . . . . .	178067	212727
Przewyżka liczby urodzeń nad wypadkami śmierci . . . . .	33356	3820

Widzimy zatem, że w 1870 roku urodzenia powiększyły się liczebnie o 2½%, wypadki śmierci na 20% i w liczbie małżeństw nastąpiło zmniejszenie o 24%. Wypadki zatem wojny chociaż nie dotknęły bezpośrednio tych departamentów, jednakże jej klęski odbiły się na ruchu ludności, szczególnie na liczbie nowozawieranych małżeństw. Liczba ta jest najczulsza na wszelkie przewidywania przyszłości pomyślniej lub nie pomyślniej.

## Położenie ekonomiczne.

Rząd francuzki w latach 1861 do 1865 zbierał dokładne wiadomości o stanie przemysłu fabrycznego we Francyi. Wypadki wojenne wstrzymały ogłoszenie otrzymanych rezultatów, jednakże przed ogłoszeniem tej pracy *in extenso* podano rezultaty ogólne, rozróżniając przemysł miast Paryża i Lugdunu i zakłady rządowe od przemysłu reszty Francyi. Ogólna liczba dla całej Francyi wynosi: zakładów fabrycznych liczono 156000, robotników 2,300000, wartość produkcji 12 miliardów, siła użytych machin i narzędzi równa sile 672000 koni.

Cały przemysł fabryczny podzielono na 16 kategorii i przeciwstawiając przemysł Paryża, przemysłowi reszty Francyi i wyłączając Lugdun i zakłady rządowe, otrzymamy rezultaty następujące:

	Liczba zakładów		Wartość produkcji w milionach	
	we Francyi.	w Paryżu.	we Francyi.	w Paryżu.
1. Przemysł tkacki . . . . .	12480	2740	2333	135
2. „ wydobycia (extractive). . . . .	4894	12	166	1
3. „ kruszcowy (métallurgique). . . . .	1136	165	441	30
4. Fabrykowanie przedm. metalowych . . . . .	2020	2733	200	149
5. „ „ ze skóry . . . . .	3085	436	213	78
6. „ „ z drzewa . . . . .	2471	1261	78	85
7. „ „ z gliny (céramique). . . . .	2015	306	97	9
8. „ „ chemicznych . . . . .	1644	929	232	97
9. Przemysł budowlany . . . . .	13026	78	100	9
10. „ oświetlenia (l'éclairage) . . . . .	787	188	68	39
11. Fabrykowanie mebli . . . . .	151	2742	17	75
12. „ odzienia i strojów . . . . .	1294	3145	114	157
13. „ przedmiotów żywności . . . . .	52845	618	2604	169
14. Przemysł transportowy . . . . .	478	1533	47	88
15. „ odnoszących się do nauk i sztuk . . . . .	1663	2724	146	136
16. Fabr. przedm. zbytku i przyjemn. . . . .	224	2709	14	168
<b>Razem . . . . .</b>	<b>100163</b>	<b>22409</b>	<b>7130</b>	<b>1421</b>

Z tego zestawienia widzimy, że Paryż pod względem przemysłu fabrycznego, stanowi jakby oddzielne państwo i przemysł paryżki w pięciu grupach przenosi swą produktywnością przemysł reszty Francji. Takimi przedmiotami przemysłu są: przedmioty zbytku i przyjemności, meble, transporta, odzienie i stroje i fabrykowanie przedmiotów z drzewa.

Dokumenty statystyczne odnoszące się do przemysłu fabrycznego w mieście *Lugdunie* (Lyon) spłonęły podczas pożaru, jednakże liczą przybliżenie wartość produkcji fabryk tego miasta na 500 mil. franków. *Zakładów* nakoniec *państwa* liczą 61, a ich produkcją roczną ceną na 914 milionów.

Mamy zatem siłę produkcyjną Francji tylko pod względem przemysłu fabrycznego, obliczoną prawie na 10 miliardów franków rocznie nie włączając do tej summy sztuk i rzemiosł. Ale podług mniemania izb handlowych francuzkich, rezultaty otrzymane przez rząd przy obliczeniu produkcji fabrycznej są przynajmniej o  $\frac{1}{3}$  mniejsze od wysokości rzeczywistej. Ztąd też p. Block sądzi, że zamiast 10 miliardów otrzymanych w rachunku, można produkcją roczną ocenić przynajmniej na 12 miliardów.

Co się tyczy *handlu*, to wykazy urzędowe francuzkie rozróżniają *handel ogólny* (commerce général) od *handlu specjalnego* (commerce spécial) zaliczając do ostatniego przedmioty sprowadzane dla spożycia wewnętrznego i przedmioty wywozu wytworzone w kraju. W 1869 r. obliczono handel ogólny Francji z koloniami i państwami obcemi na 8002 milionów franków. Wynosi on zatem 23 mil. więcej niż w roku poprzednim, i 200 mil. (tj.  $2\frac{1}{2}\%$ ) przenosi liczbę średnią za peryod pięcioletni poprzedzający 1869 r.

*Przywóz* dosięgnął cyfry 4009 mil., tj. o 249 mil. mniej niż w roku poprzednim, ale zato o 195 mil. więcej niż pięcioletnie przecięcie.

*Wywóz* dosięgnął liczby 3994 mil., jest zatem o 273 mil. większy niż 1868 r., a o 5 mil. większy niż pięcioletnie przecięcie.

Wartość przedmiotów powtórnie wywiezionych (reexportowanych) po ich obrobieniu we Francji doszła cyfry 182 mil. Pomędzy przedmiotami przywozu z zagranicy, meteryały surowe dla przemysłu francuzkiego, wynosiły 2381 mil. Przedmioty wywozu dadzą się podzielić jak następuje:

Produkta przyrodzone . . . . .	1782 mil.
„ przemysłu . . . . .	2212 „
Razem . . . . .	3994 „

Głównymi przedmiotami przywozu dla spożycia wewnętrznego, podczas okresu 1866 do 1868 były: surowa bawełna, jedwab, wełna, skóry surowe i węgiel kamienny. Pomędzy przedmiotami wywozu wytworzonymi we Francji zajmują pierwsze miejsce: wyroby jedwabne i wełniane, oraz wina. Wartość wyrobów jedwabnych wywiezionych podczas okresu 1868 do 1870 obliczają na

500 mil. fr.; wartość wyrobów wełnianych na 125 mil. Wartość wywiezionych win z 234 mil. w 1866 r. urosła do 250 mil. w 1870 r. Widzimy zatem jaką ogromną potęgą przemysłową jest Francya i z drugiej strony jak wielkie szkody ponieść musiała z przyczyny wojny 1870 i 1871 r. Jednakże zaraz po ukończeniu wojny a mianowicie po upadku komuny 18 marca 1871 r., Francuzi rzucili się z wielkim zapętem do powetowania przynajmniej choć w części poniesionych strat materyalnych. Ponieważ na polu ekonomiczném wszystkie państwa i narody są solidarnie połączone, klęski ekonomiczne Francyi musiały również osiągnąć choć pośrednio i inne narody. Ztąd téżto z zaprzestaniem operacyi wojennych wzięto się wszędzie do podwójnej działalności: tém się tłumaczy narzekanie ogólne na niedostateczność taboru przewozowego kolei żelaznych nie tylko we Francyi ale i w Niemczech i w innych krajach.

Przejdźmy teraz do strat poniesionych przez wojnę 1870 i 1871 r., o ile one zostały obliczone na drodze urzędowej.

### Straty poniesione wskutek wojny 1870 i 1871 r.

O stratach terytoryalnych w ziemi i ludziach mówiliśmy już poprzednio, przejdźmy zatem do *strat w żołnierzach*. Obliczenia oficjalne jeszcze nie zostały ogłoszone, podamy zatem tylko to, co zamieszczono w dzienniku *Opinion nationale*. Zginęło na polu bitwy albo wskutek odniesionych ran oficerów i żołnierzy 89000. Z téj liczby zginęło przy Forbach, Reischoffen, Borny, Gravelotte, Saint-Privat i w walkach koło Metz podczas miesięcy września i października 26000; 10000 padło pod Sedanem; z armii Loary z korpusów generałów Chanzy i d'Aurelle de Paladines 22000; z korpusów generałów Bourbaki 7000; gen. Faidherbe 3500; gen. Garibaldi 1600 ludzi. Oblężenie Strasburga, Belfortu, Phalsbourgu, i in. kosztowało życie 2000 żołnierzy; oblężenie Paryża 17000.

Dla obliczenia strat poniesionych po departamentach wskutek rekwizycyi, kontrybucyi wojennych i innych przyczyn ustanowione zostały *komisyje kantonalne* złożone z mera, sędziego pokoju i obywateli dla jak najsumienniejszego ich zestawiania. Prace tych komisji zostały ogłoszone w gazecie urzędowej z 28 października 1871 r. Podług tych wykazów urzędowych, *kontrybucyje wojenne* zapłacone przez 13700 gmin przed ratyfikacją preliminaryów pokoju (26 lutego 1871 r.) wynosiły . . . 37,587,339.75 fr.  
po téj ratyfikacyi . . . . . 1,466,573.89 „

Władze niemieckie pobrały *podatków* przed wspomnianą ratyfikacją:

Podatków bezpośrednich . . . . .	31,712,168.45 fr.
„ „ pośrednich . . . . .	7,659,452.23 „
Po wymianie ratyfikacyi:	
Podatków bezpośrednich . . . . .	7,129,193.71 „
„ „ pośrednich . . . . .	2,648,848.17 „
Wszelkie inne rekwizycyje wojenne wynosiły . . . . .	327,581,506.64 „

Straty spowodowane przez pożary i z innych powodów . . . . .	141,130,095.22 fr.
Wartość ruchomości, mebli, pie- niędzy zabranych bez rekwi- zycji . . . . .	264,172,802.46 „
<i>Ilość ogólna strat</i> po departamen- tach wynosi . . . . .	821,870,980.52 „

Dla wynagrodzenia choć w części tych strat, poniesionych w skutek wojny, Zgromadzenie Narodowe przeznaczyło summę 100 mil. fr. do podziału pomiędzy osoby poszkodowane po departamentach. Do poprzednio przedstawionej liczby strat nie włączono straty poniesione przez miasto *Paryż*. Według sprawozdania Prefekta, zamieszczonego w protokółach rady miejskiej, miasto to poniosło 68 mil. fr. strat, z których przypisać należy wojnie zewnętrznej 2 mil., 6 mil. wojnie domowej, a pozostałe 60 mil. pożarom wzniesionym przez komuę. Razem z gminami podmiastowymi straty wynoszą 144 mil., do których zaliczyć jeszcze należy 20 mil. szkód, zrządzonych gmachom publicznym. Do tych summ nie zaliczono 200 mil. kontrybucyi wojennej, które miasto Niemcom zapłacić musiało.

*Gazeta Temps* (1 Janv. 1872 r.) ocenia straty Paryża na 150 mil., z których 80 m. spowodowanych przez wojnę zagraniczną, a poniesionych prawie wyłącznie przez gminy podmiejskie; 16 mil. w skutek operacji armii francuskiej w celu wyzwolenia Paryża z rąk komuny, z których znowu 7 mil. przypada na Paryż (szczególniej *Passy*), a 9 mil. na przedmieścia; nakoniec 61 mil. wynikły w skutek pożarów i rabunku komuny. Widzimy zatem, że ostatnia wojna kosztowała Francją 3 miliardy wydatków wojennych, 5 miliardów kontrybucyi wojennych do zapłacenia Niemcom, przynajmniej miliard w stratach i spustoszeniach, nakoniec sumę trudną do oznaczenia w stratach pośrednich: w zmniejszeniu wartości przedmiotów, braku zajęcia, rozstroju stosunków handlowych i t. p. Ztąd też ocenienie przez *Kolba* strat francuskich, przyczynionych przez ostatnią wojnę, na 10 miliardów jest prędkiej za uizkie niż za wysokie.

Ale najwidoczniejszemi są nieszczęsne następstwa ostatniej wojny na budżetach państwowych za ostatnie lata. Narzekano za cesarstwa, że budżet roczny dosięga 2 miliardów fr., tymczasem obecnie po wojnie coraz bardziej zbliża się do 4. Przyjrzyjmy się zatem położeniu finansowemu Francyi.

### Położenie finansowe.

Ostatni *budżet* drugiego Cesarstwa, którego rachunki są już zupełnie ukończone, jest z 1866 roku. Wynosi on fr.

Dochodów . . . . .	1,948,859,642.74 „
Rozchodów . . . . .	1,946,880,982.92 „
Przewyżka dochodów . . . . .	1,978,659.82 „

Pierwszy *budżet* wojenny jest 1870 r. przedstawia on następujące liczby:

Dochodów . . . . .	2,730,156,000 fr.
Rozchodów . . . . .	3,375,604,000 „
Deficyt . . . . .	<u>645,448,000 „</u>

*Budżet z 1871 r.* przedstawia się jak następuje:

	Slużba zwyczajna	Slużba nadzwyczajna	Ogół
Wydatków	2,023,215,954	1,178,476,749 38	3,201,692,703 38
Dochodów	1,867,281,452	1,279,354,375 —	3,146,635,827 —
Przew. doch.	—	100,877,625 62	—
„ Wyd.	155,934,502	—	55,056,876 38

*Budżet na 1872 rok* przedstawia się w lepszym trochę świetle, wynosi on:

Dochodów . . . . .	2,344,796,000 fr.
Wydatków . . . . .	2,334,759,000 „
Przewyżka dochodów . . . . .	<u>10,037,000 „</u>

Pomiędzy dochodami znajduje się *nowych podatków* na 462,349,000 franków. Nowe te podatki są następujące:

Podatek na konie i powozy . . . . .	2,112,000 fr.
„ na kluby i bilardy . . . . .	2,000,000 „
Stępel i wpisowe . . . . .	113,100,000 „
Kawa, kakao, herbata i inne towary . . . . .	62,328,000 „
Cukier rozmaitego pochodzenia . . . . .	57,317,000 „
Napoje, alkohol i likiery . . . . .	83,000,000 „
1/10 ceny biletu na kolei żelaznej . . . . .	30,000,000 „
Tytoń . . . . .	40,000,000 „
Proch . . . . .	3,000,000 „
Karty i pozwolenia (licences) . . . . .	6,300,000 „
Zapałki chemiczne . . . . .	15,000,000 „
Cykorya . . . . .	5,000,000 „
Papier . . . . .	10,000,000 „
Olój skalny . . . . .	192,000 „
Opłaty pocztowe . . . . .	22,000,000 „
Opłaty za żeglugę . . . . .	5,000,000 „
Opł. stat. przywozie i wywozie prod. . . . .	6,000,000 „

Liczba tych nowych podatków obecnie powiększona została aż do 495,353,000 fr., ztąd projekt *budżetu na 1873 r.* przedstawia się jak następuje:

Dawne przychody i podatki . . . . .	1,791,109,000 fr.
Nowe podatki . . . . .	495,353,000 „
Dochody . . . . .	<u>2,286,462,000 „</u>
Rozchody . . . . .	2,388,313,000 „
Deficyt . . . . .	<u>101,851,000 „</u>

Prócz tego wymaga jeszcze rząd 200 mil., któreby chciał otrzymać przy pomocy podatku na materiały surowe; byłoby to porzuceniem przyjętej zasady wolności handlu i powrotem do systemu protekcji, zaniechanego od 1860 roku. Ztąd też podatek ten wywołał ogromną burzę pomiędzy ekonomistami i zwolennikami wolności handlu i Zgromadzenie Narodowe z trudnością chyba przychyli się do ustępstw rządowi pod tym względem.

Do wszystkich tych budżetów dodać jeszcze należy *budżet* tak zwany *likwidacyjny*, wynoszący około miliarda frank. Zawiera on wydatki następujące:

Odnowienie materiału wojennego, odbudowanie fortec i t. p. 379,000,000 fr. Żywnienie wojsk niemieckich 1872 roku 50,000,000 fr. Wynagrodzenie departamentom zajętem 100,000,000 fr., wynagrodzenie mieszkańców Paryża 6,000,000 fr., zwrót kontrybucyi 200 mil. Paryżowi 149,000,000 fr., zwrót kosztów przewozu podczas wojny Towarz. kolei żelaznych 160,000,000 fr. Dla pokrycia tego budżetu likwidacyjnego liczy rząd na bardzo szczupłe fundusze. Posłużyć do tego ma wartość rent należących do kassy amortyzacyjnej zlikwidowanej i wynoszące koło 80 mil., sprzedaż nieruchomości koronnych (domaniaux) położonych w obrębie miasta Paryża i wszelka przewyżka dochodów w budżetach. Są to wszystko źródła zbyt małe dla pokrycia blisko miliarda wydatków.

Większa część budżetów lat wojny i następnych musiała być pokrytą przez *pożyczki*. Od czasu rozpoczęcia kroków wojennych zaciągnięto w tym celu pożyczki następujące:

*Pierwszą* pożyczką po wypowiedzeniu wojny, była pożyczka 750 mil., która przyniosła kassie państwa 804,585,000 fr.

*Drugą* zawarto w Anglii dnia 24 października 1870 roku podczas oblężenia Paryża z domem angielskim Morgan i s-ka.; przyniosła ona kassie państwa tylko 202,024,000 franków.

*Trzecią* była pożyczka dwóch miliardów w celu zapłacenia części kontrybucyi wojennej Prusom. Przyniosła ona 2,291,000,000 franków. Pożyczki 750 i 250 milionów pochłonał budżet 1870 r. Z pożyczki dwóch miliardów wzięto 675 milionów dla budżetu 1871 roku. Dla zapłacenia zatem 2 miliardów Niemcom, potrzeba było do pozostałych 1,550 milionów pożyczki dołączyć: 325 milionów otrzymanych za odstąpienie części drogi żelaznej kompanii Wschodniej, leżącej wśród prowincyi przyłączonych do Niemiec i jeszcze 125 mil. pożyczonych od banku francuzkiego.

*Ostatnią* jest pożyczka 3½ miliardów z dni 28 i 29 lipca 1872 r. w celu wypłacenia pozostałej części kontrybucyi wojennej.

Do tych pożyczek należy dodać zaliczenia porobione rządowi przez *Bank francuzki* i wynoszące 1,530 mil. Summą tą rozporządzo no się w sposób następujący: 125 mil. użyto dla skompletowania 2 miliardów kontrybucyi niemieckiej, 632,949,000 franków dodano do budżetu 1870 roku, a pozostałe 772,051,000 przeznaczono dla powiększenia funduszy budżetu 1871 roku.

Ponieważ tę pożyczkę bank dał na 1% rocznie ze zwrotem przynajmniej po 200 mil. rocznie, tj. w ciągu 7 lat, otrzymał za to

upoważnienie podniesienia emissyi biletów bankowych do 3,200 mil. fr. z kursem przymusowym i wydawanie biletów nawet na 5 franków sztukę.

Takie ogromne pożyczki, choć tę przynajmniej miały dobrać stronę, że pokazały ogromny kredyt Francyi, który przez ostatnią wojnę nie został zachwiany. Są one oznaką ufnosci w siłę produkcyjną tego kraju, jakto szczególnie pokazała ostatnia pożyczka 3½ miliardów, pokryta na przeszło 10razową wysokość nominalną.

Jednakże w skutek tych pożyczek *ciężar roczny długu publicznego* ogromnie się podniósł. I tak ciężar ten przed wojną ostatnią wynosił rocznie 359,227,373 franki, obecnie zaś po wojnie i zlikwidowaniu jej kosztów 1,033,205,124 fr. summa ta bynajmniej nie jest jeszcze kompletną, należy ją podnieść do 1,050 mil. franków. Żeby jednakże uspokoić opinią publiczną, zatrużoną tém, że Francya może upaść pod ogromem ciężarów wynikłych z wojny ostatniej, przeprowadza sławny ekonomista *M. Chevalier* porównanie pomiędzy Anglią po wojnie z pierwszym cesarstwem i Francją obecną i podaje rezultaty następujące: Służba długu konsolidowanego i bieżącego wymaga obecnie we Francyi rocznie okrągłą liczbę 40,000,000 £. (funtów szterlingów). Anglia po wojnach z Napoleonem I, musiała rocznie opłacać 49,000,000 £. zatem o 9 mil. więcej niż obecnie Francya, która jest i bogatszą i ludniejszą niż Anglia 1816 r. Obliczone na franki porównanie to wynosi podług *Chevalier'a* jak następuje:

Procenta długu angielsk. w 1816 r. .	1,255,300,000 fr.
„ „ francuzk. w 1871 r. .	998,118,000 „
Różnica	277,182,000 „

Francya zatem ma 300 mil. mniej do płacenia niż Anglia po bitwie pod Waterloo. Jestto zatem dosyć zadawalniające przedstawienie położenia finansowego Francyi. Podobnie jak we Francyi ogromne koszta pociągnęła za sobą wojna domowa w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ale tam przedsięwzięto środki radykalne w celu zmniejszenia wydatków rocznych. Stany północne miały pod bronią przeszło milion żołnierzy podczas wojny, ale zaraz po ustaleniu porządku legalnego, zmniejszono ich liczbę do 50,000 a nawet do 45,000 i ta reforma nastąpiła jeszcze w 1865 r., w którym zamordowano prezydenta Abrahama Lincoln'a.

Tymczasem rząd republikański francuzki zamiast zmniejszyć wydatki wojenne podczas pokoju, powiększa je jeszcze. Nie porzuca zatem myśli przywrócenia Francyi znaczenia państwa militarnego pierwszorzędnego, po za którą kryje się w oddaleniu myśl odwetu na Prusach i Germanii. Ale co jeszcze gorsza, rząd obecny francuzki zamyśla z podatku uczynić narzędzie protekcyjne. Dowodzą tego ostatnie prawa o marynarce handlowej, prawo dane rządowi wypowiedzania traktatów handlowych z państwami obcemi i ostatnie wota w Zgromadzeniu narodowem na korzyść podatków na mate-



ryały surowe. Jestto zatem powrót do dawnego systemu protekcyjnego przed 1860 r. i nad tym wstecznym zwrotem boleją znakomitsi ekonomiści francuzcy.

### Niektóre wskazówki co do stanu moralnego ludności.

Ciekawém byłoby przedstawienie stanu moralnego ludności francuzkiej w ostatnich latach drugiego cesarstwa, ażeby następnie porównać go ze stanem po wojnie; ale nie jest to zadanie tak łatwe do wykonania. Trudno bowiem w liczby i tablice ująć stronę moralną narodu: potrzebaby zatem ograniczyć się stroną ujemną. Dla jej przedstawienia moglibyśmy spożytkować wykazy sądowo-karne i cywilne, które za lata 1868—1869 zostały ogłoszone. Ale ta praca rozszerzyłaby zbyt znacznie objętość obecnego artykułu i miałaby również tylko wartość stosunkową. Ograniczamy się zatem niekiedy tylko bardziej wydatnymi objawami statystyki sądowej.

Tak pomiędzy sprawami cywilnymi zwraca uwagę liczba spraw o rozłączenie pomiędzy małżonkami (séparations de corps). Liczba tych spraw z 2,999 w 1868 roku urosła do 3,056 w 1869 r. Z liczby ogólnej 3,056 tylko 445 rozpoczęte zostały przez mężów, którzy jeszcze w 109 razach wystąpili z przeciwnymi skargami (demandes reconventionnelles) na 2611 spraw rozpoczętych przez żony. Z liczby ogólnej 46% tj. 1290 przypada na klasę robotników, 19% (545) na właścicieli nieruchomości, 18% (490) na rolników i 17% (485) na kupców i przemysłowców. Sposób utrzymania 246 proszących o separacyą nie był oznaczony.

Związek 1,091 małżonków był niepłodny. Co się tyczy długości pożycia małżonków proszących o separacyą, to  $\frac{1}{3}$  wszystkich żądań (1016) była uczynioną podczas drugiego dziesiątka lat pożycia małżeńskiego; przeciąg czasu pomiędzy dniem ślubu i dniem żądania rozłączenia wynosił od 5 do 10 lat dla 860 małżonków, od 20 do 30 lat dla 568 małżonków, od jednego do 5 lat dla 561, nakoniec wynosił mniej niż rok dla 27 związków. Długość pożycia nie mogła być otrzymaną dla 24 związków. Pod względem podawanych powodów, podania o rozłączenie dadzą się podzielić na kategorie następujące: z przyczyny złego obchodzenia, nadużyć i ciężkiej obrazy 2,959, z przyczyny cudzołóstwa kobiety 147, z przyczyny trzymania przez męża nałożnicy w mieszkaniu małżeńskim 65, i z przyczyny skazania jednego z małżonków na karę hańbiącą 30 wypadków. Trybunały cywilne wyrzekły rozłączenie małżonków w 2,332 wypadkach, w 282 żądania oddalono, 442 spraw wycofane zostały przez same strony interesowane, po większej części w skutek pogodzenia się.

Ze statystyki sądowo-karnej podajemy liczbę osób skazanych przez sądy przysięgłych (Jury) w ciągu 1869 roku.



Podług <i>zajęcia</i> dadzą się samobójcy podzielić na:	
zajętych rolnictwem . . . . .	1,961
„ przemysłem . . . . .	1,425
„ handlem . . . . .	190
„ zajęciami liberalnemi . . . . .	780
„ usługą osobistą . . . . .	179
nie mających stałego zajęcia, albo których środki utrzymania pozostały niewiadome . . . . .	579 (1).
Poszukiwania robione w celu wykrycia <i>przyczyn samobójstwa</i> doprowadziły do rezultatów następujących i dały kategorie następujące:	

Z przyczyny nędzy . . . . .	474
„ zgrzyot rodzinnych . . . . .	571
„ miłości, zazdrości, rozpusty i złego prowadzenia . . . . .	222
„ opilstwa przypadkowego . . . . .	133
„ opilstwa nałogowego i oğrùpienia (abrutissement) . . . . .	531
„ dolegliwości rozmaitych . . . . .	1,089
(z tøj liczby z przyczyny dolegliwości fizycznych . . . . .	591)
„ chorób umysłowych . . . . .	1,516
Samobójstwa sprawców przestępstw ciężkich . . . . .	26
Z przyczyn niewiadomych . . . . .	552.

Widzimy zatem, że przyczynami najczęstszymi samobójstw były choroby umysłowe, dolegliwości rozmaite, szczególniej fizyczne; potwierdzać to zdaje się przypuszczenie niektórych osób, którzy samobójstwo uważają jako produkt osobnej choroby umysłowej, pobudzającej człowieka do odebrania sobie życia.

(1) Dla należytego zrozumienia tych cyfr, trzeba by oznaczyć stosunek samobójców do cyfr ludności, podzielonej podług zatrudnień. Gdy jednak potrzebnych do tego materiałów nie znaleźliśmy w ostatnich wykazach, przytoczamy więc cyfry p. Legoyt, sporządzone na rok 1856, które naturalnie mogą posiadać tylko wartość przybliżoną:

Rolnictwo zajmowało osób. . . . .	19,064,071	. . . . .	529	4
Przemysł . . . . .	10,469,961	. . . . .	290	7
Handel . . . . .	1,632,331	. . . . .	45	3
Zajęcia rozmaite, zostające w związku z poprzedniami . . . . .	100,099	. . . . .	2	3
Zajęcia liberalne . . . . .	1,362,045	. . . . .	37	8
Duchowieństwo wszelkich wyznań . . . . .	142,705	. . . . .	4	0
Osoby bez zajęcia określonego, lub których zajęcie niewiadome. . . . .	3,241,457	. . . . .	90	0
Razem . . . . .	36,012,669	. . . . .	1000	0

Smutnym objawem społecznym jest rozszerzenie się *opilstwa*. Statystyka francuzka podaje liczby średnie za ostatnie lat 20 śmierci przypadkowych i samobójstw, dokonanych i przytrafiających się w skutek nadużycia trunków alkoholycznych.

Od 1850 do 1854 r. średnio:	264	śmierci przyp.	227	samobójstw
„ 1855 „ 1859 r. „	234	„	283	„
„ 1860 „ 1864 r. „	303	„	390	„
„ 1865 „ 1869 r. „	504	„	643	„

Porównyując okres pierwszy z ostatnim spostrzegamy, że liczba śmierci przypadkowych podwoiła się, liczba zaś samobójstw nawet się potroiła.

## P a r y ż.

Miasto Paryż jest niby małym państwem w państwie francuskim i stanowi w systemie zarządu francuzkiego osobną jednostkę przeciwstawianą zwykle całemu państwu. To życie oddzielne i jakby różne od życia reszty Francyi, zawdzięcza miasto swęj ludności, która liczebnie przenosi nie jedno państwo drugorzędne w Europie, jak np. Grecyą, Danią i t. p. Podczas wojny ostatniej Paryż pokazał, że nie należy go włączać bezwarunkowo do liczby ogólnej gmin miejskich francuzkich, kiedy bowiem wszędzie Francuzi ustępowali przed wkraczającymi wojskami niemieckimi, Paryż jeden obronił honor wojskowy francuzki, przytrzymał wojska nieprzyjacielskie  $4\frac{1}{2}$  miesiąca pod swemi murami. Nakoniec wypadki nieszczęsnej komuny Paryzkiej od 18 marca do 22 maja 1871 roku pokazały, że Paryż jest sercem Francyi, że tam najbardziej skupiły się wszystkie materiały palne całego kraju i przyszło do pierwszego wybuchu. Ztąd też Prusy traktowały oddzielnie z Paryżem i nałożywszy na Francyą 5 miliardów kontrybucyi wojennej, obarczyły osobno Paryż 200 milionami.

Paryż podług obliczenia 1866 roku liczył 1,825,274 ludności. Produkcyjność przemysłowa jego jest bardzo wielką, jak to już poprzednio wspominaliśmy, albowiem w 5 gałęziach produkcji na 16, Paryż przewyższa całą Francyą wartością swych wyrobów.

Straty które dotknęły to miasto w skutek ostatniej wojny, są bardzo znaczne, jak to również poprzednio przedstawiliśmy i straty te musiały wpłynąć na zwiększenie budżetu rocznego miasta i jego długu tak stałego jak i bieżącego.

Tak <i>budżet na 1872 rok</i> przedstawia liczby następujące:	
Dochody zwyczajne i nadzwyczajne	503,589,926 81 fr.
Rozchody „ „	503,589,926 81 „
Z tej liczby ogólnej na dochody i rozchody nadzwyczajne przypada . .	308,922,903 54 „
Pozostaje zatem na dochody i rozchody zwyczajne . . . . .	194,667,823 27 „

Z tych summ dosyć znaczną część pochłania *dlug miasta*, który podług ostatnich obliczeń wynosi w kapitale 1,630 milionów i potrzebuje rocznie 83,200,000 franków. Z téj summy ogólnej przypada na dług skonsolidowany miasta w kapitale 1,443,822,315 fr. przy rocznej wypłacie 80,574,530 franków. Resztę uważać należy jak dług bieżący miasta. Dosyć silnie obarcza budżet miasta *Prefektura policyi*. W budżecie na 1872 rok żądano dla niej 19,968,301 fr. 22 cent., kredyt 1871 r. wynosił tylko 16,278,722 fr. 82 cent. Jestto zatem powiększenie wynoszące: 3,690,028 fr. 39 cent.

Z téj summy przypada na powiększenie liczby stróżów pokoju (*gardiens de la paix*) 3,625,855 franków.

---

Staraliśmy się zapoznać czytelnika z najnowszemi datami statystycznymi, dotyczącymi Francyi, zawartemi w ostatnich ogłoszeniach urzędowych.

Z powyższych wskazówek z łatwością może sobie czytelnik zestawić obraz położenia obecnego Francyi i zrozumieć wielkość jej sił produkcyjnych i strat poniesionych w skutek ostatniej wojny 1870—71 roku. Wprawdzie zbyt są to jeszcze świeże wypadki téj wojny, ażeby wszystko odnoszące się do niej mogło być dokładnie obliczone i do wiadomości publicznej podane. Jednak z tego co już rząd Rzeczypospolitej ogłosił, można sobie ułożyć obraz dosyć dokładny. Rząd bowiem, jak dobry gospodarz po poniesionej klęsce, wziął się do sumiennego obliczenia swych strat, nie starając się ukrywać nic przed narodem; owszem zaczynają mu zarzucać nawet, że umyślnie zwiększa spodziewany deficyt w swych projektach budżetowych, ażeby w danym razie mieć do rozporządzenia większe zasoby finansowe.

*Witold Zaleski.*

---

# KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kobieta grecka, dzieło w dwóch tomach panny Klarysy Bader, uwiełożone przez Akademię Francuzką. Mythy pierwotnych Pelazgów. Helenowie. Życie rodzinne w czasach Homerycznych. Bohaterki Illiady: Helena, Hekuba, Andromaka.— Przekład Franciszka Dmochowskiego.— Ocenienie Mickiewicza. Bohaterka Odyssei: Kamilla, Eurikleja, Penelopa. Przekład Cypryana Norwida.—Niewiasta grecka w rodzinie za czasów historycznych. Sparta: Wychowanie Laodemonki. Ateny: Wychowanie dziewczeczek Jońskich. Małżeństwo. Posag. Opieka nad sierotami. Weselne obrzędy.—Niepodległość spartańskich niewiast. Idylla Teokryta: Dyalog Syrakuzanek.—Życie niewiasty ateńskiej w gynecceum. Obyczaje. Matka spartanka. Matka atenka. Ostatnie rozłączenie małżonków. Płaskorzeźby na grobach.— Typ bohaterki dramatycznych. Eschiles. Trilogia Orestiadas: Klytemnestra, Orest, Eumenidy.—Sofokles. Trilogia: Król Edyp, Edyp w Kolonie, Antygona. Przekład Kazimierza Kaszewskiego. Eurypides: Tragedia Alcesta. Kobieta grecka w dziedzinie literatury i sztuki. Dziewięć muz ziemskich: Safo. Erinna. Telezilla: Tyrteusz niewieści. - Mirtis mistrzyni Pindara.—Korynna: współzawodnictwo z Pindarem.—Nossis. Praxilla. Anythe. Moero. Kora: odkrycie sztuki plastycznej. Malarki. Timoreta. Irena. Lalla z Cyzyku.—Kobiety szkoły filozoficznej Pythagoresa. Teano. Damo. Listy Teano. Fragmenta filozoficzno moralne Perictione i Phinthys.

Poświęcamy dziś całą kronikę naszą na sprawozdanie z jednego tylko dzieła: bo też to dzieło zasługuje na szczególną uwagę czytelników polskich, a to z niejednego względu. Najprzód zaleca je w sposób zaszczytny Akademia Francuzka, przyznając jedną z swych wielkich nagród autorce. Co więcej, samo dzieło powinno zająć czytającą naszą publiczność, jako przedstawiające dokładny i bardzo ciekawy zarys cywilizacji starożytnych Greków, o tyle, o ile rozwój tej cywilizacji dotyczy stanowiska kobiety.

Panna Bader stawia nam z kolei przed oczyma boginie i kapłanki czasów mytycznych, bohaterki, Illiady i Odyssei: ukazuje nam pyszne świątynie i posągi, wtajemnicza w igrzyska i obrzę-

dy religijne wyprawiane w Grecyi na cześć bogiń; daje nam poznać niewiasty w rodzinie i społeczeństwie za czasów historycznych, określa idealne typy kobiet, stworzone geniuszem wielkich dramaturgów, przedstawia słynne postacie, unieśmiertelnione w dziejach, wielkie poetki błyszczące w literaturze, artystki wstawione w sztuce malarskiej, nakoniec filozofki szkoły Pythagoresa. Sama ta rozmaitość przedmiotów, okazuje wielkie bogactwo krytycy, w ukoronowanem przez Akademią dziele.

Praca ta ma jeszcze za sobą jedną dodatnią stronę, nadzwyczaj ważną, przy dzisiejszem kierunku umysłów. Gruby realizm który opanował literaturę wszystkich ludów Europy, potrzebuje koniecznie oddziaływania, a oprócz religii, cóż silniej oddziaływać może przeciw temu tak niebezpiecznemu kierunkowi, jeśli nie poznanie estetycznego piękna, którego starożytna Grecya pozostawiła na zawsze najobfitszym źródłem.

Owóż to powody które skłoniły nas do poświęcenia całej kroniki, znakomitej publikacji panny Bader.

Trzecia to już praca autorki: wszystkie trzy do jednego skierowane celu, wypełniają plan jeden. Pierwsza p. t. *Kobieta w Indyi*, poświęconą była zbadaniu całego plemienia aryjskiego, w najdawniejszych jego źródłach. Panna Bader przyniosła nowe dowody, stwierdzające tę prawdę, że mimo przebiegu kilku tysięcy lat, w ciągu których Aryowie azjatyccy żyli rozłączeni od braci swoich w Europie, mimo różnych wpływów tak jeograficznych jak historycznych, obie te grupy zachowały przecież też same cechy, w głównych pobudkach życia ich dziejowego. Drugie dzieło autorki *Kobieta Biblijna*, przypominało wpływ tradycyji religijnych, których chrystyanizm stał się dopełnieniem. Dwie tamte prace, równie jak dzisiejsza o kobiecie greckiej, i rozpoczęta już nowa o kobiecie rzymskiej, mają stanowić wstęp do wielkiego dzieła poświęconego badaniom nad *Kobietą Francuzką* od czasów najstarożytniejszych, kiedy dzisiejsi Francuzi byli jeszcze Gallami.

Dzieło o kobiecie greckiej w dwóch obszernych tomach, pochłonęło pięć lat wytrwałej pracy, ale też wzbogaciło liczbę dzieł źródłowych w literaturze francuzkiej. Autorka nie poprzestając na wystudjowaniu arcydzieł greckich w oryginalu, na odczytaniu licznych prac, nowych i dawniejszych autorów, w językach francuzkim, niemieckim, angielskim i włoskim, przelożyła sama ważny rękopism, nigdy dotąd nie tłumaczony na żaden z żywych języków, obejmujący listy i moralno-filozoficzne rozprawy kobiet ze szkoły pythagorejskiej. Dla erudyków, najważniejsza to część dzieła panny Bader.

## I.

Autorka zapuszcza się najprzód w głęboką starożytność; ukazuje nam pierwszych Aryów, jak osiedleni na półwyspie który

później nazwać miano Grecyą, zachowują w mytach religijnych pamięć pierwotnej kolebki. Pelazgowie zdaniem autorki, to pierwsi przybysze z Iranu, to gałąź zaledwie oderwana od pnia oczystego; ztąd mythy ich potworne, tajemnicze, straszne, dalekie jeszcze od idealnych form, jakie nadali im później Helenowie.

I autorka prowadzi nas kolejno to w tajemnicze góry Epiru, pomiędzy dęby święte, gdzie kapłanki Dodony wsłuchując się w poszczek spiżu, w plusk wody i szum liści kołysanych wiatrem, głoszą śmiertelnym wiekuiste wyroki. To znów na górze Elajum ukazuje nam ciemną grootę, gdzie z pogwałceniem praw natury, topor Pelazga wyciosał kłoc w postaci niewieściej, z konską głową, z grzywą najeżoną gadami.

Ośmielimy się nasunąć tu uwagę, czy ta właśnie potworność, przypominająca mythy fińskiej Kalewali, nie jest raczej świadectwem, że Pelazgowie nie należeli bynajmniej do plemienia Aryów, ale że byli fińskimi tubylcami, nad którymi zawładnęli Helenowie, promieniste syny Aryów.

Od Pelazgów przenosi nas autorka w ten wspaniały panteon Heleński, w którym kobieta jak wiadomo tak przeważną odgrywa rolę, gdzie boginie zasiadają z bogami na wyżynach Olympu, zktąd czuwają nad dolą śmiertelnych, mieszają się czynnie w ich sprawy, otaczają opieką wierne ludy, jak Junona Acheje, słońią puklerzem ulubione miasta, jak Pallada Ateny.

Czas nie pozwala nam zatrzymywać się w tym panteonie, skreślonym uroczym poetycznym piórem panny Bader. Zostawiamy więc muzy na Helikonie, nereidy w łonie oceanu, gracye na cypryjskich wybrzeżach, a z dziedzin eterycznych zstępujemy na ziemię, pod domowy cień starożytnych mieszkańców Hellady.

Autorka idzie w ślad za Homersm. Gdzież znaleźć pewniejszego przewodnika? Z jakimże wdziękiem ślepy wieszcz wtajemnicza nas w życie greckiej dziewicy! Ukazuje nam ją małą jeszcze dziewczką,

Która za matki śladem drobnym krokiem goni,  
Ohwyta ją za kraj szaty i rzewne łyzy roni;  
I twarzą jej przesyła chęci niemowlęce,  
Aż ją zmiękczone matka podejmie na ręce (1).

Widzimy ją potem, jak wyrosła już z dziecka, jak odpłacając rodzicom podjęte około niej trudy, podziela ich prace domowe:

Gdy w czasie winobrania z głośnemi okrzyki  
Niosą ładowne słodkim owocem koszyki;  
Wśród dziewic młodzian trącać w gitarę uczony  
Gra, sam sobie zgodnemi przynucając tony,

(1) Ten urywek i wszystkie inne następne z *Illiady*, są przekładu Franciszka Dmochowskiego.



Młodzież idzie i takiej wesołości rada,  
W takt i nogą i wdzięczną pieśnią odpowiada.

Widzimy potem dziewicę pływającą na godach, strojną  
w świąteczne szaty, uwieczoną kwiatami.

Skaczą chłopcy i dziewczyny wzięwszy się za ręce,  
Lekka zasłona wdzięki pokrywa dziewczęce,  
Na chłopcach zaś bogatsza zawieszona odzież :  
Obojój płoi z urody celująca młodzież  
Dziewczęta głowy w piękne ustroiły wieńce,  
. . . . . Mają pałasze młodzieńce,  
Raz w około szybkimi kręcą kołowroty,  
To znowu się mieszając wśród wdzięcznej ochoty,  
W tysiącznych kształtach pływają lekkim wiodą skokiem:  
Liczny lud stoi miłym zachwycon widokiem.

Ale nie na samych pływaniach wyrabiały się małżonki i matki  
bohaterów. Krzepkie to pokolenie potrzebowało mężnych i sil-  
nych niewiast. Zawsza też zaprawiano dziewczętkę do życia  
rzeczywistego. Córy nawet królewskie wychowywane były na  
dobre gospodynie. Podczas kiedy matka rodziny czuwała pilnie  
nad ogniskiem, młodej córce powierzano zajęcia po za obrębem  
domu. Piękna Nauzika, córka króla Aleinousa, prała u rzeki bie-  
liznę z towarzyszkami.

Słodko płynęły dziewczęca dni pod rodzicielskim dachem,  
przy boku matki; ale też nowa otwiera się dla niej doba: dziewica  
ma zostać małżonką.

Hezyod radzi mężowi aby wprowadził do domu swego żonę  
młodą i czystych obyczajów, któraby umiała zrozumieć i spełniać  
surowe życia obowiązki; zaleca przedewszystkiém, aby nie szukał  
daleko niewiasty, której częściej stanie się jego cześcią. Potrzeba  
aby niewinność dziewicy dała mu rękojmię cnót małżonki. Wów-  
czas to żona stanie się *darem bogów*.

Ojciec jako głowa rodziny, rozporządzał dowolnie ręką cór-  
ki; weselne gody odbywały się z wielką uroczystością, ale naj-  
ważniejszym aktem przy obrzędzie, był odjazd dziewicy do domu  
młodego małżonka. Pieśń godowa, złożona z brzmieniem lir i po-  
dzwiekiem fletni, wiodła weselny pochód; a przy jasnym blasku  
pochodni, któremi niewolnicy oświecali drogę, widać było toczący  
się wóz małżonków, poprzedzon orszakiem cudnych niewiast, oto-  
czony gronem rozpląsanéj młodzi.

Następowała uczta: wyprawiał ją pan młody, dla przyjaciół,  
krewnych i sąsiadów. Podczas uczty Aoid śpiewał pieśń obrzędo-  
wą, przygrywając na lutni. Taki obraz mamy w Odyssei:

Stół w szerokiej komnacie zasiadła dokoła  
Sławnego Menelaja drużyna wesoła,

A wśród niej boski Aoid śpiewa pieśń godową,  
I dźwiękiem lutni wieszczę swe przeplata słowo;  
A przy gęźbie ochota kiedy w sercach rośnie,  
W pośród nich dwaj młodziany płasają radośnie.

Niewiasta zameżna miała prawo rozmawiać z gościem, gdy ten przybywał do jej domu. Kiedy jednak szła sama w tłumy ludzi, pokrywała się cała śnieżystą zasłoną.

Mąż dumny z towarzyszki, szczęśliwy obok niej, rad był otoczyć ją poszanowaniem świata i ściągnąć na nią błogosławieństwo bogów. Często nawet ulegał radom żony cnotliwej.

Gdy się wybiera na daleką wyprawę, z zalem opuszcza małżonkę, ściga ją tęskną myślą, a skoro bój skończony, pospiesza co żywo do domu, by odetchnąć przy niej po trudach. Któż nie wie, jak Ulyses przez morza i lądy przedzierał się do wiernej Penelopy.

Matka znajduje zwykle w synach też miłość, jaką ma dla niej małżonek. Synowie pomną, że karmiła ich mléką własnej piersi, odziewała płótnem własną utkaną ręką, że *zganiała muchę z ich kołyski*, jak się cudnie wyraża Homer.

Gdy matka owdowieje, syn starszy wchodzi w prawa ojca, ma nad nią nieograniczoną władzę. Wolno jej wprawdzie usunąć się od tej opieki, wracając z posagiem do ojca lub do krewnych i wchodząc w nowe śluby; jeżeli jednak woli pozostać w domu wierna pamięci zmarłego, musi zrzec się zupełnie własnej woli, a poddać woli syna. Patrzmy oto jak ów Telemak osłaniany tylokrotnie tarczą Minerwy, napomina surowo matkę, że się poważyła wrzec słowo na radzie mężów.

Powróć w progi, gdzie cicho igła się nawleka,  
Krosna są owdzie, kłębek niecierpliwie czeka,  
I rozkazuj by panny były ci powolne.  
Co do rozpraw, te jako doniosłe i wolne  
Mężkim przystają duchom choć niejednako:  
Najpierw mnie, bo jestem tu panem i głową.

To Penelopa słysząc w sercu zatrzymała,  
Zacnością słów przejęta — i poszła jak stała (1).

Królowa Itaki okazuje uległość synowi, gdyż obyczaje greckie nakazywały wdowie posłuszeństwo. Ale kiedy Telemak, uchylbiając prawom gościnności pozwolił znieważać obcego starca w domu Ulisesowym, matka wchodzi znów w prawa swoje i gromi go surowo.

Takie to rysy obyczajów greckich w epoce mytycznej, wybrała autorka z Illiady i Odyssei. Niepoprzestając na tém, dla

(1) Przekład Cypryana Norwida, dotąd niedrukowany.

lepszego określenia rzeczy, daje nam streszczony obraz dwóch nieśmiertelnych arcydzieł Homera, uwydatniając szczególnieję ustępy, w których bohaterki obu epopei występują na scenę. Nie możemy rozszerzać się nad tym przedmiotem, powtarzamy tylko pełne wyprawne sądu uwagi panny Bader, określające znaczenie mytycznej kobiety greckiej.

„Podziwiamy wysokie uczucie moralności—mówi autorka—w obrazie Heleny, jak go nakreślił Homer. W czasach starożytnych nie nauczono się jeszcze przystrajać namiętność złudnym pozorem cnoty. Kobieta która zboczyła z drogi powinności, czuła się tam upokorzoną w własnych oczach; nie usprawiedliwia się też bynajmniej potęgą uczucia, silniejszą nad jej wolę. Hańba nie zowie się tam ofiarą.“

Homer nie tłumaczy Heleny tym urokiem nadziemskiej piękności, co ją równał nieśmiertelnym. Jakimże sposobem czyżni on kobietę przestępną, tak zajmującą w oczach naszych? Oto że ją otacza, nie ponętą słabości, lecz urokiem żalu za popełnioną winę.

Długą i ciężką boleścią opłacała błąd swój Helena. Pamięć znieważonego małżonka, opuszczonej córki, szlachetnych braci, na których spada jej wstyd, pamięć dalekiej ojczyzny, ściga ją w nowej siedzibie. Ale sroższy dręczy ją wyrzut. Z jej winy toczono krew, przez nią ginęli tysiącami Grecy i Trojanie, to też stojąc nad trupem Hektora najwierniejszego przyjaciela swego, uzala się gorzko nad swym losem; jej było raczej umrzeć!

Hektorze! z braci męża najwięcej mi luby!  
 Ach! czemu nie zginęła pierwiej nieszczęśliwa!  
 Dwudziesty rok tu mego pobytu upływa,  
 Odkąd, gdym się wazyła ojczyznę porzucić.  
 Nigdy mię przykrem słowem nie chciałeś zasmucić,  
 Owszem, kiedy bratowe moje albo siostry  
 Albo świekra czyniła jakiś wyrzut ostry,  
 Tyś mnie zawsze zaślaniał!.....  
 Płacząc nad tobą, siebie nieszczęśliwa płaczę!  
 Już takiego obrońcy w Troi nie obaczę.  
 Dzisiaj bez przyjaciela, wżgardzona, obrzydła,  
 Będę u wszystkich nakształt jakiegoś strasznydła!  
 Tak narzeka i z oczu jej strumień łez ciecze,  
 Płacze z nią cała Troja.

Słowa te piękne malują pokorę Heleny, określają niemniej położenie jej w domu Pryama. Czując się winną, przemawia do wszystkich słodko, trwożliwie, z poszanowaniem. Dumna tylko i pogardliwa w obec tego, który ją zgubił. Jego niekzemność najdroższą dla niej karą. Z królewską powagą, nakazuje mu po klęsce wrócić pod mury Troi, by odzyskać cześć utraconą.

O ile gardzi Parysem, o tyle szanuje pamięć pierwszego małżonka. Menelaus ze swej strony pewien, że uprowadzona gwałtem żona pozostała mu w duszy wierną i opłakuje zerwane z nim śluby. Tym sposobem Homer przygotowuje z wolna chwilę, kiedy królowa Sparty zasiędzie znów przy opuszczonem ognisku.

Z większym urokiem jeszcze maluje Homer postacie cnotliwych niewiast. Hekuba i Andromaka świecą w Illiadzie jak dwie przezyste gwiazdy. Hekuba to typ królewskiej matrony. Wierna towarzyszka Pryama, przychodzi mu z poradą w każdej sprawie. Matka dziewiętnastu synów, ogarnia wszystkich sercem macierzyńskiem, lecz każdego z nich ocenia w miarę zasług. Piękność Parysa niewiele u niej znaczy. Hektor całą jej otuchą i chlubą. Pierś bohatera syna, to w jej oczach najbezpieczniejszy wał Illionu.

Straszna też boleść matki, gdy widzi tego syna starzanego we krwi, powalonego dzidą Achillesową. Staje nad trupem, zdiera zawicie z głowy, targa siwy włos i zawodzi żałośnie, a jęki jej rozlegają się o mury Troi.

Hekuba jęczy, ciężki jęk przerywa łkanie:  
 Zaczóż po tobie wlokę te życia ostatki!  
 Hektorze mój, ty byłeś ozdobą twój matki,  
 Tyś był obrońcą Trojan, zasłoną ich progów,  
 I ztąd cię szanowali jak jednego z bogów.  
 Żyjący, byłbyś jeszcze chlubą twój krainie:  
 Już cię niema Hektorze! wszystko z tobą ginie!

Żal matki dochodzi do najwyższej rozpacz, kiedy stary Pryam aby ocalić zwłoki Hektora od zniewagi, wybiera się do floty greckiej.

Maszli twych mężnych synów oglądać morderce.  
 Ach! jeśli to uczynisz, żelazne masz serce!

Imie Achillesa budzi w niej zapamiętałą wściekłość; to już nie kobieta, lecz chciwa krwi wilczyca.

Obym się mogła pomścić na jego wątrobie,  
 Obym ją w zębach gryzła!

Ale w téjże chwili mija szaf: wilczyca staje się znów Trojanką, matka chlubi się synem bohaterem.

Jednak Hektor nikczemnie życia nie postradał..  
 Za Trojan, za Trojanki, stanął jak mąż dzielny,  
 I nie zbladł, kiedy w piersi przyjął cios śmiertelny.

Zatrzymamy się jeszcze przed najcudniejszą bohaterką Iliady, Andromaką. Nigdy Homer nie okazał się wznioślejszym, jak w chwili gdy stawia nam przed oczy małżonkę Hektora.

Legł już wielki obrońca Troi. Andromaka nie wie co się dzieje z droгим jej mężem.

Tkała płótno, na którym sztuką niedościgłą  
 Cudne obrazy lekką wyszywała igłą,  
 Sługi naczynie z wodą grzały w jej pokoju,  
 By miał gotową łaźnię mąż powrócon z boju.  
 Wtém z wieży ucho smutne uderzyły jęki,  
 Drgnęła, i nagle igła wypadła z jej ręki.  
 Zmieśzana, obłąkana, spieszy na ulicę,  
 Serce bije, za panią dążą służebnice.  
 Gdy na wieżę w tłum ludzi spieszonym wbiegła krokiem,  
 Z muru na wszystkie strony trwożnym wiedzie okiem;  
 Postrzega wreszcie męża, za wozem ciągnięty  
 Niegodnie! Lecą z trupem konie na okręty!  
 Na to jej czarnym cieniem oczy noc powlekła:  
 Upadła!...

Siostry i służebne trzeźwią omdlałą. Andromaka otwiera oczy:

Gdy zmysły odzyskała, płacze roztkliwiona,  
 Nad trupem nieszczęśliwym, nieszczęśliwa żona.  
 „Biedna ja, biedny Hektor, okrutne niebiosy,  
 Dla obojga jednakie zgotowały losy.  
 Nad rodem naszym gwiazda świeciła też sama,  
 Gdym w Tebach na świat przyszła, ty w domu Pryama.  
 Mężu! ty już w podziemne idziesz śmierci kraje,  
 A w płaczu wiecznym żona po tobie zostaje.

Lecz boleść macierzyńska na myśl o dziecku przemaga jeszcze w sercu żalostnej małżonki. Andromaka płacze nad synem. Niedola sieroctwa staje nagle w jej oczach.

Nie będziecie wy sobie pomocą wzajemną,  
 Ni ty jego młodości, ni on twój siwiznie!  
 Niech się nawet z tej wojny okrutnej wyśliznie,  
 W iluż się sprawach, w ilu niedolach ubiedzi!  
 Dobro jego łakomi wydrą mu sąsiedzi.  
 Ach! na cóż nie wystawia dziecka stan sierocy!  
 U przyjaciół ojcowskich wzywając pomocy,  
 Idzie, z twarzą spuszczoną, z mokremi oczyma:  
 Tego za płaszcz, drugiego za kraj szaty trzyma:  
 Ktoś przytknie do ust czarę, gdy postyszysz skargi,  
 Ale go nie ochłodzi, zwilży tylko wargi.

Drugi, co pod rodziców cieniem szczęsny rośnie,  
 Uderzy go rękoma, słowem zelży sprośnie:  
 Pójdź precz! rzeknie, twój ojciec nie uczuje z nami!  
 Przyjdzie do matki wdowy mój syn złany łzami;  
 Dawniej takiej obeldze nigdy nie podpadał,  
 Szpik czysty na kolanach swego ojca jadał,  
 A gdy sen przerwał jego igraszki dziecięce,  
 Wtedy troskliwa mamka brała go na ręce,  
 Położyła w kolebce miękkim sianej puchem  
 I roskosz snu jej lekkim pomnażała ruchem.  
 Dziś, cierpienie i nędza dla niego w podziale:  
 Tak płakała, niewiasty dziłiły jej zale.

Wszystkie powyższe ustępy dajemy z przekładu Franciszka Dmochowskiego. Piękny to przekład zaprawdę, dlaczegoż tak u nas zapomniany? czemu spoczywa na pułkach bibliotek, jak ona królewna uśpiona w lesie, zaklętym czarodzieja słowem. I jakież to czarodziej sprowadził ten sen półwiekowy? Jużciż zapewne nie Mickiewicz! Alboż on nie powiedział, i to w czasach silnego podrażnienia na warszawską krytykę, że: jako tłumacz poezyi Franciszek Dmochowski nie małe położył w literaturze zasługi, że talent jego zachował śmiałość i życie, że zwyczajem Stanisławowskich pisarzy znał on jeszcze dawną Zygmuntofską literaturę, czuł i cenil śmiałość, bogactwo, różnaitość stylu Zygmuntofskiej epoki, że we własnych pismach, pracą i usilnością doskonalil styl swój, z razu ciężki i twardy; że w ostatnich zwłaszcza pieśniach Illiady wiersze harmonijne, w wyrażeniach ściśle nie zamieniają się w rymowaną prozę“ (1).

Jeśli Mickiewicz tak ocenia tłumacza Homera, jakże wysoko podnosi on twórczość geniuszu greckiego; czém jest w pojęciu jego klasycyzm grecki? oto „wypadkiem równowagi pomiędzy wyobraźnią, uczuciem i rozsądkiem.“ „Poeci greccy — dodaje on — w najświetniejszym okresie swojej sztuki, zawsze śpiewali dla gminu: pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek narodowych, ozdobionych zmyśleniem i oddaniem przyjemnym; wpływały więc silnie na utrzymanie i kształcenie charakteru narodowego“ (2).

Nie na klasycyzm grecki powstaje zatem wielki nasz poeta, ale raczej na wprowadzony z klasycyzmu „konwencyonalizm szkoły francuzkiej XVII wieku,“ gdzie każdy poeta musiał trzymać w karbach swój talent, miarkować wyobraźnię i uczucie, bo wszelki zapęd, wszelkie gwałtowne uniesienie obrażało przyzwoitość dworską.“ Pod wpływem dworskich więzów, bladła wyobraźnia, stygło uczucie, a tylko „usta poetów powtarzały to, co rzeczywiście czuły serca poetów greckich“ (3).

- (1) Mickiewicz, O krytykach warszawskich.
- (2) Mickiewicz, O poezyi romantycznój.
- (3) Mickiewicz, Tamże.

Nasza romantyczna szkoła przekroczyła granice określone przez wielkiego jej twórcę. Namiętne spory dwóch stronnic, rozjątrzyły umysły: potępiono słusznie *konwencyjonalizm*, a z nim razem rzucono najniesłuszniej klątwę na klasycyzm grecki, jak gdyby wielki ojciec miał odpowiadać za niedołęstwo wyrodzonych dzieci swoich? Oto powód, dlaczego Homer butwieje u nas na pulkach bibliotek: dlaczego obecne pokolenie poetów tak mało czerpie w tym wiecznie żywym zdroju. Czas nam zaprawdę otrząsnąć się z tych przesądów.

I my wychowani pod wpływem powszechnych uprzedzeń nie dawno, wyznajemy ze wstydem, odczytaliśmy całego Homera. Jakież to szeroki widnokrąg otworzył przed nami ten czarodziej! Czy ślepy wieszcz był osobą, czy zbiorowym geniuszem narodu nie wiemy, nie ulega przecież wątpliwości, że był i jest słońcem, z którego wieki czerpały promienne poezye, i wieki czerpać je będą. Wszystkie wielkie typy stworzone geniuszem różnych czasów i ludów europejskich, wszystkie Eneasz, Cydy, Rolandy, Igory, Zygfydry i Godfydry, a może nawet Lary i Walenrody, mają prototypy swoje w Achillesach, Ajaxach, Ulisesach lub Hektorach wiecznego piewcy Ilionu. Nie ubliża to wcale samoistnej twórczości wielkich poetów: świadczy tylko o jedności geniuszu ludów europejskich, dla których Grecya była i jest gwiazdą przewodnią.

Powróćmy do naszej autorki. Po *Illiadzie* przedstawia w treści *Odyseję*, ukazuje nam po jednej, bohaterki cudnego poematu. Widzimy tu słodką *Nauzike* którą Homer porównywa do długowłosej palmy. Nic piękniejszego jak ta córka króla *Alcinousa* zajęta praniem bielizny z towarzyszkami; przytaczamy ten ustęp, przełożony piórem *Cypryana Norwida* z najdokładniejszą wiernością i prostotą godną oryginału. Przekład ten nie był dotąd drukowany, zawdzięczamy go uprzejmości autora.

To *Alcinous* rzekłszy, na sługi zawoła,  
Którzy wraz rozkaz pełniąc, naprzód wiodą koła  
Wozu bystre, a potem muły i takowe  
Zakładają w upręgi do jazdy gotowe.  
Zaraz dziewczę *Najzika* z izby swojej zbieży,  
Niesie bieliznę świetną i co doń należy,  
I wszystko to na gładkie układa siedzenia.  
Matka jej kosz podawa, smaczne w nim jedzenia.  
I pieczeń zimną, nadto ona jeszcze niesie  
*Utr*, szyty z koziej skóry, który winem dmie się,  
I gdy już dziewczę na wóz skoczyło, dołącza  
Fłaszczkę złotą, co miękki olejek wysącza,  
By płeć swoją namaścić czém miała dziewczyna.  
*Najzika* ogule bierze i bicz i zacina,  
Ażeby prędko jechać ze swemi pannami,  
Służebnemi, i z całym sprzętem swym, mułami

Których stąpanie echo powtarza dalekie,  
 Jadą tak przybywają niebawem nad rzekę.  
 I w miejscu piękném, gdzie są wygodne bystrzany  
 ( W których może być przedmiot najmniej czysty prany)  
 Stanąwszy, panny najprzód gdy wyprzęgły muły,  
 Odgoniły je, aby złotą trawę zuły  
 Brzegiem rzeki, co krętą murawę przeryna:  
 Potém bieliznę z wozu dziewczynie, dziewczyna  
 W rękę kładzie, aż wszystko zebrawszy starannie  
 Wniosły do głębi, na dno tłocząc, i jak w wannie  
 Stopami swemi mieszając te rzeczy do piasku,  
 Każda coraz, z własnego rada wynalazku.  
 Aż skoro doszło pranie do tego wytworu,  
 Że ani cieniu plamy na rzeczach ubioru,  
 Dopiero je te panny starownie zebrały  
 Uściłając na piasek spłukany i biały,  
 Gdzie wszystek zwir już słone obmyły pierw fale,  
 Z szumem parte przeciwko brzegowi na skale.  
 Dziewice zaś kąpielą całe orzeźwione  
 Namaściły olejkim włos i zwiąły w stronę.  
 I wieczerać usiadły na darni nad rzeką.  
 Schło zaś, co prane było w słońcu niedaleko,  
 Aż Najzika i poczet jój dostawszy siły,  
 Wstały i z włosów wstążki wszystkie odrzuciły,  
 I poczęły grać w piłkę .... tą zaś, co chór wie dzie,  
 Rytm mierzącą taneczny spiewaniem na przedzie  
 Była Najzika...

Rzekłbyś, że nie jest inaczej  
 Dianna sama, skoro strzałę ciskać raczy  
 Na Erimancie albo urwistym Tajgecie,  
 Tropiąc dzika lub sarnę posuwistą w lecie.  
 Gdy serca jój otuchę Nymfy polne czynią  
 Córki bozkie! radośnie płasając z boginią.  
 Lecz ona je przechodzi więcej o pół czoła  
 Tak, że ją wciąż odpoznasz chociaż, do około  
 Wszystkie piękne, choć okiem gdzie skłonisz... nawyka,  
 Lecz ją odpoznasz zawsze...

Tak była Najzika!

Piękna niemniej postać Euriklej, stariej niewolnicy, która wykarmiła Ulisesa własnym mlekiem. Eurykleja przyrosła do ogniska panów swoich, wyniańczyła dwa ich pokolenia, do każdego z nich mówi, „moje dziecko,“ królowę zowie córką. To nie sługa, ale raczej krewna, przyjaciółka. Jest ona prawem ramieniem swojej pani, najwierniejszą jej radą: podziela jej trudy, jej tęsknotę, jej łzy i jej radość.

Ale jak Andromaka w Iliadzie, tak w Odysei główną bohaterką, jest Penelopa, najwyższy ideał mądrzej i mężnej niewiasty. Przy-



wiązana do męża duszą całą, Penelopa ocenia szczególniej w Uli-sesie charakter szlachetny i niezłomny. Miłość jej oparta na sza-cunku i uznaniu jego wysokich zalet. Wśród gorących łez, które wylewa za nim, chlubi się tryumfami poległego w mniemaniu jej bohatera, chwala jego nie jestże najwyższą jej chwałą?

Spokojna i poważna w obec natrętnych zalotników, odrzuca pogardliwie ich hołdy, wymawia im surowo, że znieważają dom nieobecnego, że niszczą jego mienie. Ale skoro dowiaduje się o za-machu uknutym na życie syna, uniesiona słusznym gniewem, wy-rzuca im w oczy nikczemność, nakazuje upamiętanie.

A kiedy przybywa w końcu ten mąż tak gorzko opłakiwany, nie rzuca się w jego objęcie, lęka się podstęp, nie śmie własnym dowierzać oczom.

Przytaczamy ustęp, w którym Penelopa opowiada podróżnemu starcowi długoletnią żalobę serca swego, nie poznając w przy-byłym Ulisesa.

Roztropna Penelopa w te słowa odpowie:  
 Słuchaj cudzy człowieku, w dniu kiedy Argowie  
 Z Odysejem na morskie puścili się wody  
 Bogi zdarły mi z lica blask dawniej urody!  
 Gdyby wrócił i znowu wziął mnie pod swe prawa,  
 Przy nim piękniejby jeszcze wzrosła moja sława:  
 Dziś ja żalobna płaczę, a Dajmon złowrogi  
 Przygniótł mnie plag brzemieniem. Oto w moje progi  
 Tłumnie się nie proszone garną zalotniki:  
 Z leśnej wyspy Zakhintos, z Somo i Duliki,  
 Ze skał Itaki nawet! zuchwalce bez sromu  
 Łupią cały dobytek królewskiego domu.  
 Ja nie dbam o przybyszów, ich głos mnie nie wzruszy,  
 Nad moim Odysejem płaczę w głębi duszy.  
 Oni chcą ślub przyspieszyć, a ja umysł siłę  
 Jakby zręcznym wykrętem oddalić tę chwilę.  
 Bóstwo dało mi radę, myśl ją moja schwycei:  
 W mój komnacie na krosna lniane snuję nici;  
 Rzeknę do zalotników:

Słobaciez młodziany!  
 Gdy zmarł boski Odysej, mój mąż ukochany,  
 Przestańcież mnie dopóty nalegać o słowo,  
 Aż utkam w mój komnacie tę płachtę grobową.  
 Bohaterskie Laerta ciało nią obwinę,  
 Gdy Moira mu oczy zamknie w złą godzinę.  
 By niewiasty Achejskie nie rzekły mi kiedy,  
 Że ten mąż co z bogactwa, nim przyszedł do biedy,  
 Posiadał na Itace dostatków tak wiele,  
 W grób zastąpił bez płachty grobowej na ciele.  
 Tak rzekłam, i uwierzył ich umysł wspaniały.  
 Jam odtąd wielkie płótno tknęła przez dzień biały,

A nocą gdy pochodnie świeciły mi jasno,  
 Schylona po nad krosnem prüfam tkankę własną.  
 I tak całe trzy lata dzień za dniem się toczy,  
 A podstęp Achajów nie dostrzegły oczy;  
 Ale nadszedł rok czwarty: dnie, miesiące biegną,  
 Me sługi psim językiem same ich ostrzegą.  
 Schwycili na uczynku, acz łzawa i smutna  
 Pod groźbą, wbrew méj woli, dokończyłam płótna.  
 A teraz, kiedy chybił ten sposób ostatni,  
 Oni znów nalegają: jak mi wyjść z téj matni?  
 Ten i ów do małżeństwa nakłania mnie krewny,  
 A syn się niecierpliwi i pogląda gniewny  
 Jak przybysze chudobę szarpiają jego całą.  
 Wzrosł na męża, Zeus wielką przyodział go chwałą.  
 Lecz ty opowiedz starcze dzieje twego rodu,  
 Gdzie twój dom? jak się zowiesz? gdzieś chadzał za młodu:  
 Bo przecież jak o dziadach stare wieści brzmiały,  
 Nie wyszedłeś zapewne z dębu ni ze skały?

Starzec długo opowiada bajeczną swoją genealogią. Mieni się Aitonem, bratem Idomeneja sławnego króla Krety. Prawi jak przed laty wielu, podejmował w grodzie swoim boskiego Odyseja, gdy ten spieszył pod mury Ilionu.

Skoro przybył do miasta, kołacze w me progi,  
 Pyta gdzie Idomenes sercu jego drogi,  
 Lecz Eon po dziesięć kroków jawi się i zbiega,  
 Odkąd pchnął Idomenes swe nawy od brzegu,  
 Ipo szerokiém morzu pośpiesza do Troi.  
 Ja miłego podjąłem gościa jak przystoi,  
 Obdarzam go sownicą z Achajów drużyną,  
 Daję opaske woły, i mąkę i wino,  
 Karmię hojnie, na niczém nie zbywa nikomu.  
 Dwanaście dni Achaje gościli w mym domu,  
 Bo w rozhukane wały Boreasz dął srodze,  
 Zbudził się jakiś Dajmon, by wstrzymać ich w drodze.  
 W dniu trzynastym wiatr ustał, znów cisza na fali  
 Odysej wsiadł na okręt i popłynął dalej.

Każde słowo starca porusza do gruntu serce Penelopy, słucha go z wytężoną uwagą:

Tak mówi, kłamliwemi słowy zmyśl jój mami,  
 A Penelopa słucha, zalewa się łzami,  
 Jak on śnieg co pod słońcem w krople się rozpryska,  
 Nim zasili na nowo wyschłe rzek łozyska,  
 Tak łzy potokiem płyną po lieu matrony.  
 Płacze za Odysejem, on widzi łzy żony.

Ale męża żrenice łzami nie pooieką.  
 Jak z rogu lub żelaza, nie drgną pod powieką,  
 Kzy wstrzymała roztropność...

Przepraszając czytelników naszych, szczególnie zaś grekofilów, za nasz zbyt zuchwały, a nie dość zapewne wierny przekład, opuszczamy z żalem Penelopę i Homera, i bohaterskie wieki, a przenosimy się z autorką w historyczne czasy Hellady.

## II

Badając kobietę grecką we wszystkich krajach Hellady, panna Bader z szczególną uwagą przygląda jej się w dwóch typowych społeczeństwach, tak odrębnych od siebie: Doryckiem i Jońskiem.

Kobieta w Sparcie stała na równi z mężem; w Atenach zaś u Jończyków owianych wpływem Wschodu, zajmowała podrzędne stanowisko. W każdym z tych miast, wychowanie dziewcząt odpowiadało przyjętym obyczajom.

Prawodawca spartański chciał przygotować w dziewicy przyszłą matkę; zobaczmy jak Likurg wziął się do dzieła. Jakąż to matronę przysposobi genialny mąż, który stworzył społeczeństwo Lacedemońskie, ów lud arystokratyczny a ubogi, gardzący przemysłem i rolą, a oddany wyłącznie gimnastycznym ćwiczeniom ciała, ów lud prosty, niechętny sztukom pięknym i retoryce, zakochany tylko w rzemiośle wojskowem i bohaterskich tryumfach? Z jakiejże to niewiasty ma się zrodzić syn, który od dziecka nie zna stodoły czy dachu rodzicielskiego, zrzecze się własnej osobistości, a stanie wyłączną własnością państwa?

Likurg chce, aby młoda dziewczica lacedemońska hartowała siły w igrzyskach, władała dzielnie tarczą i dzirytem. W odzieży jej nie ma tamować krępkiego rozrostu ciała. Okryciem jej całkiem prosta wełniana tunika, zapięta na ramieniu, rozcięta z lewej strony, sięgająca ledwie do kolan.

Dziewczyna nie potrzebuje unikać męskiego wzroku, czy to podczas gimnastycznych zapasów z towarzyszkami, czy też gdy spieszy na obrzęd religijny wozem, wykutym w kształcie gryfa, jelenia albo kozła.

Chóry dziewcząt zwane Partenie odgrywały dyalogi pod okiem mężczyzn. Dziewice śpiewały w obec króla pochwalne hymny na cześć tryumfatorów, lub złośliwą pieśnią wyszydzały tchórzliwą młodzież. Była to najsrozsza kara dla przestępných.

Wielką wadą konstytucyi lacedemońskiej—uważa słusznie autorka—było zapoznanie wiekuistych praw, które naznaczają każdej istocie stworzonej, właściwą sobie rolę w harmonii świata. Mąż przeznaczon do zapasów, powinien odbierać wychowanie publiczne, sposobiące go do życia obywatelskiego; kobieta, której prze-

znaczeniem żyć w domu, powinna brać wychowanie w kole rodziny.

Przenieśmy się teraz do Aten. Skoro w domu przyszedł na świat chłopiec, zawieszano na drzwiach wieniec oliwny, godło rolniczej pracy, znak intelektualnych tryumfów; jeśli dziewczyna, zawieszano pieluchy, godło macierzyństwa. Całe życie niewiasty ateńskiej objęte w tym symbolu.

Zamknięta szczerlnie w gineceum, dziewczeczka Jońska nie znała tej wolności, jakiej używały bohaterki Homera. Młoda Atenka śmie zaledwie podnieść oczy na blizkich krewnych. Przędzie wełnę, lub wyszywa tkanekę w piękne wzory; milczy, nie otworzy ust, wzbroniono jej nawet próżnych pytań. Od czasu do czasu otwierają się dla niej drzwi więzienia: ubrana w tunikę barwy szafra nowej, idzie w orszaku małych dziewczątek do świątyni Dyanny, poświęcona służbie bogini.

Wychowanie ateńskie wstrzymujące rozwój władz umysłowych w kobiecie, nie może zarówno służyć za wzór jak systemat wychowania spartańskiego, zmieniający kobietę w męża. Filozofowie ateńscy protestowali silnie przeciw takiemu upośledzeniu kobiet swoich. Arystoteles twierdzi, że skoro mężczyźni i niewiasty tworzą dwie równe części w państwie, należy przeto wprowadzić nauki polityczne do wychowania kobiet. Nie wiadomo w jaki sposób zastosowano tę zasadę. To jednak pewna, że inne ludy greckie, jak na przykład Eolowie, umieli ustrzedz się dwóch wprost przeciwnych ostateczności. Wychowując kobietę w zamilowaniu obywateli domowych, kształcili niemniej władze jej umysłowe.

Starożytne prawa oddalały czas zawierania związków małżeńskich. Likurg zabraniał młodzieży spartańskiej zenić się przed wiekiem zupełnej dojrzałości. Kto jednak pozostawał w bezżeństwie, lub też wchodził w niewłaściwe związki, ulegał publicznemu oskarżeniu. Mąż, który odmawiał Sparcie potomstwa, okryty bywał infamią. Do innych kar łączono i tę jeszcze, iż podczas religijnego obrzędu kobiety włożyły go wkolo ołtarza i okładały chłostą.

W Atenach prawo pozwalało mężczyźnie zenić się dopiero w trzydziestym piątym roku, dziewczynie ise za mąż w dwudziestym szóstym. Później zniżono cokolwiek te cyfry. I tu prawo potępiało w zasadzie bezżennych, ale nie ściagało ich karą. Obywatel jednak nie osiągnął godności wodza, ani mowcy publicznego, jeśli nie był właścicielem ziemskim i ojcem rodziny.

W wielu stronach Grecji nie wolno było zawierać związków małżeńskich po za obrębem kraju; wiadomo, z ilu kraików składała się rzeczpospolita. Ateńczycy szczególnie dumni z swych przywilejów, potępiali związki z obcymi. Wspomnieliśmy o tém w jednej z kronik, mówiąc o małżeństwie Peryklesa z Aspazją.

Cudzoziemiec, który pojął Atenkę, jak również cudzoziemka zaślubiona z Ateńczykiem, tracili w mieście Minerwy wszelkie pra-

wa i strąceni bywali do rzędu niewolników. Majątek ich ulegał konfiskacie; trzecią część otrzymywał denuncyator.

Ateńczyk, który wychowywał obcą dziewczynę i wydał ją za ziomka swego, skazany bywał na stratę majątku i czci obywatelskiej.

Prawodawcy Spart i Aten mało się różnili w oznaczeniu posagu. Likurg postanowił, że wartość osobista dziewczęcia ma być jedynym jej wianem. Ten, który zabronił kobietom używać malowideł i sztucznych ozdób, bronił im także przyciągać zalotników ponętą majątku, a nie osobistemi zaletami.

Solon, prawodawca ateński widział niemniej w związku dwóch serc główną podstawę szczęścia. Postanowił zatem, że oblubienica wniesie tylko w dom małżonkowi oprócz małego posagu, trzy pary szat i sprzęty nie wielkiej wartości. Później jednak prawo to poszło w zapomnienie.

Tak w Sparcie jak w Atenach w braku męzkiego potomstwa, ojcowizna szła po kądzieli. W takim wypadku córka Spartanina, obejmowała w posiadłość jeden z dziewięciuset działów, które Likurg rozdał obywatelom na prawach majoratu. Dziedziczka zaślubiła najczęściej uboższego krewnego. Sam ojciec nazywał jej małżonką; los sierot powierzano królowi.

Ateńczyk który miał córkę, nie mógł zapisywać majątku obcemu, chyba z obowiązkiem zaślubienia tejże córki. Jeśli umierał bez testamentu, dziedziczka musiała oddać rękę krewnemu. W razie gdy kilka pozostało córek, dzieliły się równo majątkiem.

Syn urodzony z dziedziczki przybierał nazwisko rodu matczynego.

Nad mieniem sierot czuwał Archont, urzędowy opiekun słabych. Wszelkie uchybienia opłacał on karą tysiąca drachem. Summa ta szła na ozdobienie świątyni Junony, opiekunki małżeńskich stad.

Naród ateński hojnie wyposażał córki zasłużonych swych obywateli.

Autorka stawia nam przed oczy nadzwyczaj ciekawy obraz weselnych obrzędów, odmienny całkiem u ludów Doryckich i Jońskich.

W Sparcie kiedy ojciec przyrzekł córkę przyszłemu zięciowi, ten zmuszony był wykraść narzeczoną. Zostawiał ją w domu niewiasty, która pośredniczyła w zawarciu związków. Swatka obcinała włosy dziewczynie, i przebierała ją po mężku. Tymczasem młodzian ucztował wesoło z towarzyszymi. Ukradkiem tylko widywała się młoda para aż do chwili, kiedy mąż pomieścił żonę w domu własnym.

U Ateńczyków zaręczyny stanowiły najważniejszy akt przy małżeńskim obrzędzie. Młoda para nie mogła się zaręczyć bez pozwolenia ojców i matek lub najbliższych krewnych. Narzeczeni zamieniali przysięgę, podając sobie rękę prawą. Tak zaręczony młodzian w dowód miłości składał upominek przyszłej

zanie. Miesiąc zwany Gameleon, odpowiedni styczniowi, przeznaczony był na obrzędy ślubne w Atenach.

We wszystkich krajach Grecyi w wigilią weselnych godów składano ofiary bostwom dobroczynnym i złowrogim, aby ściągnąć łaskę pierwszych, usunąć zły wpływ drugich. Bostwa te zmieniały się stosownie do miejscowości. Tu czczono Jowisza i Junonę, szczególnych opiekunów małżeństwa, tam Wenerę uosobienie piękności i macierzyńskich uczuć; tu znów Parki co przedą nie żywota, lub Gracye co rozsiewają, na nie swoje czary. Oblubienica ateńska obcinała warkocz na ofiarę Minerwie, Syrakuzanka zanosiła objatę do gaju Dyanny.

Z wnętrzości zabitych ofiar wnoszono o przyszłej doli stadła, częstokroć nawet w razie złowrogich oznak zrywano umowę. Spostrzeżona para sinogarlicie zapowiadała miłość małżeńską, para wron obiecywała długi żywot; samotna wrona, była godłem wdowiego stanu.

Przy ofierze składanej Junonie wylewano na ołtarz zółé zabitej ofiary, aby oddalić wszelką gorycz od nowożeńców.

W Atenach towarzyszki kąpały oblubienicę w zdroju Calhiroe, Pizystrat ozdobił ten źród z niezrównanym przepychem.

Podczas obrzędu weselnego panna młoda strojna w szatę purpurową, z włosiem namaszczoneym wonnemi olejkami, miała nad czołem wieniec z maczków i sezenu poświęconych Wenerze. Kupiony wieniec przyniosłby jęj niedolę; sama dziewczyna wiła go z kwiatków zerwanych własną ręką.

Narieczona w Beocyi kładła na głowę koronę z dzikich szparagów, łodyga ich najerzona kolcami świadczyła, że chcąc zakosztować słodkiego owocu szczęścia, małżonkowie muszą przebaczać sobie wady.

Pierwsza uczta odbywała się w domu rodziców panny młodej. Ojciec napełniał winem czasę złotą i składał ją w ręce przyszłego zięcia. Dar ten przechodził z pokolenia w pokolenie. Wieczorem nowo zaślubiona wsiadała na wóz w towarzystwie męża i przyjaciela; ci wieźli ją do nowego jęj domu.

Ów dom rzesisto był oświecony, strojny w bluszczowe i wawrzynowe wieńce. Godłem małżonka wawrzyn, godłem dziewicy skromny bluszcz, któremu nie dano wytrwać o własnej sile.

Kiedy małżonkowie trzymając się za ręce wchodzili w progi domu, stawiano im przez chwilę na głowie kosz pełen fig i innych owoców, symbol obfitości. U drzwi w pośród kwiatów pomieszczone były skromne żarna: jedna z dziewic niosła w rękę rzeszoto, pannie młodej podawano w rękę gliniiany garnek.

W obrębie tego domu młoda kobięta ma znaleźć swój świat, pole swego działania; próg który przekroczyła będzie granicą jęj wolności. W Beocyi palono przed domem ós wozu, który ją przywiozł, na znak, że małżonka powrócić ztąd nie może.

Następowala uczta. Lubo w Atenach kobiety nie ucztowały nigdy w gronie mężczyzn, gody weselne stanowiły przeciw wyją-

tek. Ale panna młoda zasfonięta cała welonom, a z nią inne kobiety, siadały przy osobnym stole.

Tańce i pieśni należały koniecznie do obrzędu. Pachole pokryte całe gałązkami polnej róży i dębiny, trzymając kosz pełen chleba, zaczynało pieśń godową, od słów: „Uciekam od złego, znajduję co najlepsze.” Z tą pieśnią prowadzono małżonków do komnaty, matrony nosły zapalone pochodnie—nowożeńcom podawano pigwę, symbol słodyczy, która ma przewodniczyć ich związkom.

W przyległej sali tymczasem dwanaście dziewic uwiecznionych w hiacenty, śpiewały pieśń pożegnalną, przytupując nogą do taktu. Żalosa to pieśń za towarzyszką lat młodych.

„O piękna i słodka dziewico, już cię widzimy w niewiast groń-  
niel kiedy pójdziemy rankiem zrywać kwiaty na łąkach, serca nasze  
wzdychać będą za tobą, jak jagnie wzdycha za mlekiem matki.

„O Hymenie raduj się z tego związku!”

Tak brzmiała pieśń dorycka, którą przekazał nam Teokryt. Pieśń ranną śpiewaną po ślubie podał do potomności poeta ateński Anakreon.

„Wenero! matko bogów, Amorze potężny zwycięzco, Hymenie zdroju życia, wam poświęcam pieśń moją, was opiewam Amorze, Hymenie i Wenero! Patrz młodzianie, małżonku Myrylli na piękną żonę twoją! Wdziękiem i hożą urodą ona błyszczycy wśród innych niewiast. Róża królową jest kwiatów, Myrylla różą wśród towarzyszek.“

W Atenach nazajutrz po ślubie następowała druga uczta. W tym dniu małżonka odbierała weselne dary i nawzajem rozdawała upominki krewnym i przyjaciółom. W owym to dniu młoda kobieta ukazywała się raz pierwszy bez zasłony.

Dary ojca przynoszono z wielką uroczystością. Poprzedzało orszak dziecię w bieli z pochodnią w ręku. Niewiasty nosiły za nim pudelka z pachnidłami i inne kosztowne przedmioty.

Pod małżeńskim dachem kobieta rozpoczynała nowe pasmo dni swoich. Zmiana to była wielka w życiu młodej Spartanki. Skończyły się dla niej gonitwy i wesołe igrzyska. Zamykała się w prostym domu, zbudowanym z pni zaledwie ociosanych siekierą. Ławy i stoły dębowe to jedyne jej sprzęty. Ale Spartanka prawdziwą jest panią w tym domu. Umie być wierną, lecz zarazem umie zachować niepodległość. Mąż jej prawie zawsze na wojnie, w jej ręku spoczywa cały zarząd domowy. Twardy wojak zgina kark przed wolą towarzyszki. Arystoteles czyni uwagę, że ludy wojownicze ulegały najśladniej wpływowi kobiet, ztąd to wymyślono związek Marsa z Wenerą. Spartanin uznaje bez sromu domową przewagę żony; zowie ją panią *despoina!*

Za czasów Arystotelesa, Sparta przestała już być przybytkiem surowej prostoty i pysznego ubostwa. Niepohamowana żądza zbytków opanowała lacedemońskie niewiasty. Głównym celem zabiegów stało się owo złoto, którym Likurg nauczył niegdyś gar-

dzie. Zbytki jak zwykle pociągnęły zepsucie obyczajów. W obec takiego rozprzężenia Arystoteles zarzuca Likurgowi, że zaprowadzonych w kraju reform nie rozciągnął do kobiet, Plutarch występuje w obronie prawodawcy. Według niego łatwiej było ujarzmić mężów złamanych już karnością wojskową, niżli niewiasty przywykłe do panowania w domu.

W ostatnich czasach bytu politycznego, Sparta miała piękną chwilę zbudzenia; winna ją była swym niewiastom, które umiały połączyć mężkie cnoty prababek z urokiem prawdziwie niewieści.

Wolność niewiasty cechowała doryckie plemiona; ze Sparty przeszła do Tessalii, Epiru i Macedonii. W niektórych koloniach wolno jej było władać berłem. Te przywileje wyrobiły w kobietach północnej Grecyi charakter energiczny, samodzielny, niekiedy łagodny wspaniałomyślnością, niekiedy znów krwi choiwy i okrutny.

Nie mogła autorka lepiej określić doryckich niewiast, jak dając w przekładzie sielankę Teokryta: *Dyalog Syrakuzanek*. Jest to prawdziwe arcydzieło, pefen życia obrazek rodzajowy. Niepodległość kobiety odbija w każdym słowie.

Poeta wyprowadza na scenę dwie syrakuzanki, Gorgo i Praxinoe, mieszkające z mężami w Aleksandryi, gdzie już panują Grecy. Miasto obchodzi święto pięknego Adonisa.

Gorgo przybywa po przyjaciółkę.

— Czemu tak późno?—pyta Praxinoe.

— Ledwie żem się przecisnęła przez tłumy, w pośród koni i wozów. Bo i czemu to mieszkasz tak daleko?

— Ba? czemu? nie moja w tym wina, ale tego dziwaka! Kupił mi gdzieś na końcu świata ową szopę, bo przecież nie mogę nazwać tego domem. Nie chciał żebyśmy sąsiadowały z sobą. Zawsze robi mi na złość, brzydki zazdrośnik!

Gorgo ostrzega przyjaciółkę, aby nie mówiła tak przy synku, który nadstawił ucha.

— Ojciec twój nie brzydki — rzecze do chłopca — to mowa o kim innym.

— Oj ten ojciec! ten ojciec! — przerwie Praxinoe. — Niedawno poszedł na targ kupić mi bielidła i przyniósł co? oto worek soli! Cudak!

— I mój kat Dino nieinaczej się sprawia. Wczoraj oto kupił mi pięć skórek jagnięcych, wytartych jak dziadowska torba. Ledwie ślad że było na nich runo.

Te skargi jakże nam przypominają sławną satyrę Drużbackiej, gdzie żony utyskują razem na mężów, wyszukując punktów do rozwodu.

Gorgo nalega . . . czas iść . . . Praxinoe stroi się, krzyczy na sługę: — Ruszajże się niezdar! . . . Wody! . . . mydła! . . . gdzie mój klucz? . . . dość już wody! ta niegodziwa . . . oblała mi tunikę?



I wdziawa kosztowne szaty nieświadczące bynajmniej o skąpstwie męża. Gorgo chwali, przygląda się zdumionem okiem.

Wychodzą z domu; mały Sopyrion chciałby także iść z matką, czepia się poły jej peplum.

— Nie pójdziesz smarkaczu! — woła Praxinoe. Płacz sobie kiedy chcesz. Konie okrutnie gryzą! . . . Phrym weź go na ręce . . . uspokój . . . zawołaj psa do izby . . . a ty zamknij drzwi od podwórza.

Wyszły nakoniec. Przedzierają się przez tłum. Konie królewskie pędzą cwałem. Praxinoe zbladła. Ujęły się mocno za ręce.

— Patrz—zawoła Gorgo—jakie piękne tuniki, całe zahaftowane, cudna robotą!

— Prawda—odrzuca Praxinoe,—co za przesliczne kwiaty, rzekłby kto, że zerwane w ogrodzie.

— Cicho sinogarlice—odezwie się ktoś z boku cudzoziemskim akcentem—dość już tych rozhovorów, ogłuchłem od waszej paplaniny.

— Co to znowu za śmiałość, krzyknie Gorgo. Co tobie człowieku do naszego gadania? Rozkazuj komu chcesz, ale nie nam Syrakuzankom. My rodem z Koryntu jak Belerofon. Kto zabroni Doryjkom mówić dorycką mową?

— O Prozerpinal—zawoła Praxinoe,—spraw niech się nie zrodzi człowiek, coby chciał przewodzić nad nami. Dość mi jednego pana! a co tobie do nas cudzoziemcze?

Ucichły nagle, patrzają . . . w pobliżu dziewczica z Argos śpiewa pieśń na cześć Adonisa.

Obie wyteńczyły uszy, słuchając z zachwyceniem.

— Niebał istny cud! wołają naprzemiany, gdy śpiewaczka dokończyła hymn.

— Szczęśliwa kobieta, że ją tak śpiewać nauczonol—rzecze Gorgo.

— Prawda! ale czas nam wrócić do domu, zawoła Praxinoe, kiedy Dyokled głodny, ani przystąpi do niego! Nieznośny człowiek, cały z octu. Bądź zdrów miły Adonisie, zostań z tymi co się weselą!

Wyborny obrazek: życie pryska z każdego słowa. Miło nam spotkać tych Greków, te Greczynki, w codziennem ich obejściu, z ich wadami i śmiesznościami!

Z ulicznego zgiełku, miłego doryckiej niewieście, panna Bader przenosi nas do cichego domu Atenki.

Dom to zbudowany z prostotą, pełną smaku. Ateńczycy poświęcali wyłącznie bogom cuda architektury swojej. Przeszedłszy próg, jesteście w długim korytarzu, po jednej stronie izba odzwiernego, po drugiej stajnia. Korytarz prowadzi na dziedziniec zdobny czterema portykami, w pośrodku ołtarz poświęcony domowym bogom. Tu zbierają się sami mężowie ateńscy; niekiedy tylko przemknie jak cień postać niewieścia, cała obwinęta zasłoną.

Ztąd wchodzi się na drugi dziedziniec; przez rzędy kolumn spostrzegamy Gynaeceum.

Wnijdźmy do tego przybytku, gdzie upływa życie niewiasty. . . Oto sala jadalna. Tu i owdzie rozrzucone małe okrągłe stoliki, wsparte na trzech lwich albo sarnich łapach. W pośrodku łoża przeznaczone dla pana domu: on tylko sam jada wyciągnięty z całą wygodą; kobiety siadają na krzesłach z poręczami.

W pobliskiej spiżarni, porozstawiane na półkach amfory pełne wina, oliwy i miodu; naczynia z wszelkiego rodzaju mięsiwem; kuchnia na szczególną zasługuje uwagę. Cokolwiek tu wpadnie pod oko: garnki, kotły, trojnoży, mają kształt wytworny, świadczący o estetycznym smaku Greków. Na każdym przedmiocie rzeźbione zwierzęta, ryby, liście akantu, nawet mytologiczne alegoryje.

Komnata sypialna, to prawdziwe ognisko domowe niewiasty ateńskiej, przybrana z największą okazałością: pełno tu wazonów, kosztownych sprzętów i drogocennych fraszek. Łóżko wykładane kością słoniową, pokryte draperyą z purpury, podłoga zaśłana kobiercami. W tém to ustroniu, Greczynka podnosiła sztuczną krasą urocze wdzięki swoje, tu posypywała złotym proszkiem sploty kruczyczych włosów, aby im nadać płową barwę, tak ulubioną greckim poetom.

Autorka prowadzi nas do sali godowej, ukazuje nam niewiastę ateńską w całym przepychu wdzięków i stroju. Długa tunika biała, spływa do stóp jej obutych w kosztowne sandały. Na to druga znów tunika barwy błękitnej o szerokich rękawach, ułożona w sztuczne draparye, dosięga ledwie kolan. Trzecia nakoniec purpurowa zahaftowana w srebrne gwiazdy, zakończona bogatym szlakiem, przechodzi tylko długość stanu. Włosy faliste, związane z wierzchu głowy spadają zręcznie na szyję, ujęte w srebrną siatkę; klejnoty wyrobione ręką mistrzów pokrywają ręce, głowę, nogi i ramiona. Jakaż to rozmaitość w tych klejnotach! jaki smak niezrównany! Tu bransolety w kształcie węzów ze szmaragdowemi oczyma, tam koleczyki w formie łabędzi, gołąbków, panter, sfinkсів, winogradów, tu znów wielkie śpilki do podtrzymywania włosów zakończone złotą lub srebrną szyszką, tam wytworne sprzączki, naszyjniki, pierścienie, zdobne emalią, sadzone drogiemi kamieniami.

Z tego przybytku próżności, od tych cennych drobnostek, opisanych z archeologiczną prawdą, panna Bader przeprowadza nas do skromniejszych sal, poświęconych codziennęj pracy. Widzimy tu na stole wysoki Calathus, koszyk w szczególnym kształcie: w nim spoczywa kądziel i wrzeciono.

Zręczność we władaniu tém wrzecionem lub igłą, oto jedyny talent, jaki młoda Atenka wnosi w domowe progi, przy nich zbiegnie jej żywot cały. Obca po za domowym sprawom, nie złączona z mężem uprawą inteligencyi, w pracy ręcznej znajdzie osłodę i rozrywkę.

Niektórzy jednak Ateńczycy umieli być małżonkami w wyższym znaczeniu słowa. Pojąwszy młodziehną żonę, starali się podnieść jej umysł, uczynić serce, wtajemniczyć ją w pojęcie dobra, piękna i prawdy.

Jeden z takich małżonków Ischomak, opowiadał Sokratesowi, w jaki sposób wykształcił żonę swoją. Xenefon zapisał te wyrazy, odbijające w sobie wzniosły i praktyczny charakter filozofii Sokratesa.

Ischomak wziął się do rzeczy religijnie. Oboje małżonkowie złożyli ofiarę na ołtarzu bogini, błagając o światło dla nauczyciela, o pojętność dla wychowanki, o szczęście dla obojga.

Młoda żona zobowiązała się w obec bogów dopełniać wiernie powinności, co obudziło otuchę w przewodniku. Starął się przede wszystkim pozyskać sobie jej ufność, ośmielić ją ku sobie. Gdy to nastąpiło, zapytał czy wie dlaczego poszła za męża? I opowiedział jej, że odtąd wszystko ma być wspólne między niemi i zarząd majątku i wychowanie dzieci jeśli je mieć będą z łaski nieba. Mniejsza o to kto z dwojga przyniósł więcej dostatków pod dach małżeński. Kto potrafi lepiej zarządzać wspólnem mieniem, ten więcej wzbogaci dom, temu większa należy chwała.

Te słowa zdziwiły kobietę. W czymże mogę ci pomódz? zapytała, w czym zdołam przyczynić się do wzrostu domu twego.

— Spełniająco najlepiej — odrzeczł mąż — obowiązki, jakie wkłada na ciebie przyroda, jakie uświęca prawo.

— I jakież to owe obowiązki?

Ischomak wylicza je, określa granice między obowiązkami męża a żony: widzi on najwyższą mądrość bożą w ustanowieniu związku dwóch istot, które mają wspierać się wzajem, a kiedyś znajdą w dzieciach własnych wsparcie na stare lata.

„Mąż — mówi on — obowiązany starać się o chleb, przewodniczyć rolniczym pracom, czuwać nad trzodą, bronić ogniska od gwałtu nieprzyjaciół: bogowie dali mu też siłę i mężstwo. Żona powinna przyrządzać jadło w domu, prząść wełnę, tkąć z niej odzież, karmić niemowlę piersią własną. Otrzymała zatem w podziale wstępsyły; wprawdzie dostateczne w obrębie progów domowych, lecz słabe do walk i zewnętrznych zabiegów. Niebo wlało w jej serce miłość, aby ułatwić jej trudy macierzyństwa; uczyniło ją przytém czujną, cierpliwą i trwożliwą.

Ale każde z małżonków, równe ma władze pojmwowania, jednaka pamięć, każde z nich posiada równą moc duszy do opanowania namiętności zakłócających spokój. A przecież dodaje Ischomak, skoro żadne doskonałem nie jest, powinni znosić się nawzajem i dopełniać jedno drugie własnemi zaletami.”

Tak określwszy jasno wspólny stosunek, Ischomak dodaje uwagę, że małżonkowie czyniąc zadosyć obowiązkom stanu swego, działają według harmonijnych praw piękna i dobra. Kiedy kobięta zbyt często opuszcza dom, kiedy mąż zbyt wiele w nim siedzi, tak jedno jak drugie łamie prawa przyrody.

Małżonek uczy następnie żonę, jak ma utrzymywać w domu ład, w wysokim znaczeniu słowa, ład oparty na doskonałej harmonii, jak ma zachować w obec domowników powagę królowej, piastować berło ze słodyczą, a w razie potrzeby okazać niezłomną moc woli.

Takie przecież idealne małżeństwa, wyjątkowe były w Atenach. Mężowie stronili ze wstrętem od progów domowych, głównym zaś powodem tego było zaniedbane wychowanie kobiet. Teorye Arystotelesa, Sokratesa, a następnie Platona i Plutarcha, świeciły pięknie w abstrakcyi, lecz nie wpłynęły w życie. Kobięta nie podniesiona wyższą myślą, trawiła dnie na fraszkach i błyskotkach w swém gineceum, tymczasem zaś obce Laisy, Fryny, Glicery i t. p. panowały jak królowe w Atenach. Do rzędu ich autorka idąc za powszechném uprzedzeniem liczy i małżonkę Peryklesa.

Czarodziejki te, smutno pamiętne w dziejach Aten, przybywały z innych miast Grecyi, mianowicie z zepsutego Koryntu. Gród Minerywy nie wydał żadnej. Niewiasty ateńskie acz niedbale wychowane, pilnowały przecież czystości domowego ogniska. Prawo surowo ścigało najłżejsze ich przekroczenie. Żona wiarołomna, traciła zaszczytny tytuł obywatelki Aten. Mąż który chciał żyć z przestępną małżonką, narażał się na utratę praw obywatelskich. Nieszczęśliwa ofiara chwilowego błędu, wygnana z domu męża, nie miała się gdzie schronić. Dom rodzicielski zamknięty był dla niej, zarówno jak progi świątyni!

Prawo surowe dla niewiast, pobiętało do zbytku tym, którzy je nakreślili w księdze ustaw. Mąż mógł oddalić od boku swego, niewinną nawet żonę: dość mu było wrócić posag i wręczyć na piśmie przyczynę rozwodu. W prawdzie odrzucona znajdowała opiekuna w Archonczie, który wytaczał proces w jej imieniu. Trudny przecież i upokarzający dla niej był powrót do ogniska, od którego ją odtrącono.

Jeżeli zaś kobięta zażądała rozwodu, zabiegi jej były zazwyczaj bezskuteczne. Dostę tu przytoczyć jeden przykład. Cnotliwa Hyppareta żona sławnego z urody i lekkomyślności Alcybiadesa, zniosłszy tysiączne zniewagi od męża gorąco ukochanego, odważyła się wreszcie po długich walkach, wystąpić ze skargą przed Archontem. Ledwie wyrzekła pierwsze słowo, przypada Alcybiades, porywa ją na ręce i przy poklasku tłumów, zauosi ją przez miasto do domu.

Ciekawy zarys domowego życia ludów greckich, zakończyła autorka obrazem matki tak w Sparcie, jak w Atenach.

Przypatrzmy się najprzód matce Spartance. Syn jej tylko co przyszedł na świat. Ojciec bierze go na ręce i zanosi na *Lesche*, miejsce publicznego zebrania. Tam starszyzna rozporządzić ma jego losem. Jeżeli wążle niemowlę, nie rokuje państwu godnego obrońcy, ojciec wraca do domu sam, ciało zaś dziecka leży w jaskini strącone ze skały ręką starców. Jeżeli zaś przeciwnie dziecko zapowiada czerstwe siły, ojciec wraca je matce.

Wówczas matka Lacedemonka kładzie je nie do miękkiej kołyski, ale na twardą tarczę i usypia je do snu równie twardą piosenką.

Dziecię wyrosło w młodzieńca, czas mu opuścić progi domu. Zatrzymaż go matka Spartanka? Bynajmniej, własną ręką zdejmuję ze ściany tarczę. „Powrócisz z nią lub na nią,“ rzecze podając ją synowi.

Młodzian spieszy na pole zapasów. Walka wre. Jeżeli syn upadnie, matka wyprawia drugiego, aby zastąpił brata w szereгах. Sama spieszy pod bramy grodu, skłania pilnie ucho na wieści.

Spostrzeże-li towarzysza swych synów, pyta jaki los bitwy?

— Poległo pięciu twoich, odrzeczę młodzian.

— Nikczemniku, nie o to cię pytałam—zawoła matka—pytam przy kim zwycięstwo?

— My wygraliśmy bitwę.

— Skoro tak, wieść o skonie dzieci nie napelni żałobą serca mego!

Nie dosyć jeszcze na tём, Lacedemonka śledzi pilnie rany poległych. Jeżeli syn ranion z tyłu w ucieczce, wówczas ukrywa się przed okiem ludzkim, płacze nie nad umarłym, raczej nad jego hańbą. Trupa grzebie tajemnie, lub zostawia na polu bitwy. Ale jeśli młody Spartanin otrzymał ranę w piersi, matka zanosi z dumą do grobu naddziadów godnego ich potomka.

Podczas pogrzebu, niewiasta jakaś przystępuje do niej, uzala się nad smutną jej dolą; matka odrzęca słowa próżnej litości. —Skonał w obronie kraju, po to dałam mu życie!

Ten heroizm posunięty do okrucieństwa, wyrobił się u Spartanek przez miękkie wychowanie. Inaczej było w Atenach. Widzimy oto w Anacharsysie, jak matka dziękuje synowi, że uciekł z pola bitwy i zachował się dla niej. Przypuszczamy, że inne matrony ateńskie wyżej pojmowały miłość macierzyńską, to jednak pewna, że nie posuwały jej do bohaterstwa Lacedemonek.

I w Atenach matka chlubiła się zwycięstwem syna, lecz w pojęciu jej nie sam oręż ubroczony we krwi dawał mu prawo do tryumfu. Demostenes pięknie oddał świadectwo własnej matce, kiedy pokonawszy wymową opiekunów, którzy go pokrzywdzili, zawołał z uniesieniem: „Matka czeka mnie! ona powita uściskiem pogromcę niesprawiedliwości!“

Lud ateński tak miał głębokie poczucie synowskiego uszanowania, że nie pozwalał synowi wyrodnemu odzywać się z trybuny. Wiadomo jak Solon zapytany przez Krezusa, kto był w oczach jego najszcześniejszym z ludzi, przypomniał owych dwóch młodzieńców z Argos, nieśmiertelnionych miłością synowską. Kapłanka Junony miała pośpieszyć do świątyni, lecz woły nie nadchodziły z pola. Czas nagli. . . hańba opieszalej kapłance! . . . Wówczas to dwaj synowie jej, Kleobis i Biton, zaprzęgają się sami do wozu, ciągną matkę do świątyni oddalonej o czterdzieści

i pięć stadyów. Ojcowie widząc to wysławiają poświęcenie synowskie, niewiasty zazdroszczą matce takich dzieci, a kapłanka dumna i szczęśliwa, błaga Junonę, aby synom jej zesłała to, co człowiek może otrzymać najlepszego. Bogini skłoniła ucho na prośbę. Młodzieńcy zasnęli w świątyni snem nieprzespanym, wiecznym!

Solon dodał, że Argowie pomieścili w świątyni Delfickiej posąg Kleobisa i Bitona.

Jeżeli syn przeżył matkę, grzebał z miłością jej ciało w grobie naddziadów, gdzie sam miał złożyć własne prochy.

Grobowce przechowane dotąd, świadczą wymownie o miłości rodzin ateńskich. Śmierć skończyć jej nie miała. Na marmurowych urnach odkrytych w Maratonie widzimy rzeźbę przedstawiającą ostatnie rozstanie małżonków. Podają sobie ręce jak przy weselnym godach. Odnież podróżna męża, koń idący z nim, to znak że on pierwszy poszedł w nieznaną tajemniczą drogę.

Godłem niewiasty ateńskiej na grobie, był wyrzeźbiony koszyk Calathus, w który składała za życia swą kądziel i wrzeczono.

### III

Panna Bader ukazała nam typ dziewicy, małżonki i matrony greckiej, oddany wiernie, z drobiazgową ścisłością, jakby wyrzeźbiony dłutem greckiego mistrza, ale niedosyć na tem: potrzeba ożywić ten posąg. Niechajże Galatea zestąpi z piedestału, niech krew zakipi w jej żyłach, niech serce uderzy silnym tętnem, niech płomień miłości lub gniewu zapali jej oblicze.

Takie typy błyszczą w historii, ale silniejszym jeszcze blaskiem przyświecają w dramatach wielkich mistrzów. Spartanki głośne w dziejach nie natchnęły jednak poetów lacedemońskich. Autorka na chwilę pozostawia je w cieniu, ukazując za to sławne bohaterki uniesmiertelnione w arcydziełach Eschila, Sofoklesa i Eurypidesa.

Rozbiory tragedii greckich, dokonane z wytwornym smakiem, stanowią najobszerniejszą a może najartystyczniejszą część dzieła panny Bader. Niepodobna nam przedstawić tych wszystkich postaci tak dziwnie uroczych, które jakby w zaklętym kalejdoskopie autorka przesuwają przed oczyma naszymi. Z każdego poety jeden tylko weźmiemy utwór. Zaczynamy od Eschila.

W żadnym z arcydzieł swoich, poeta mi uwydatnił tak silnie żywiołu niewieściego, jak w trylogii *Orestyadzie*. Pierwsza część p. t. Klitemnestra, wprowadza nas do Argos, przed pałac Atrydów. Na dachu czuwa stróż nocny, wlepił oczy w gwiazdziste niebo. Dumna małżonka Agamemnona, postawiła go tam na czatach. Z rozkazu jej śledzi wzrokiem, rychło zabłyśnie płomień, co oznajmi zdobycie Ilionu.

Od dziesięciu lat stróż nocny patrzy na niebo, i nie widzi nic, tylko księżyc i gwiazdy. Aż oto... spostrzeżę słabe światło; uradowany pośpiesza w głąb pałacu.

Przybliża się chór. To starcy argejszy, dostojnicy państwa, piastuny grodu. Zorza niebawem zaświeci, niosą zwykle pozdrowienie królowej.

Chór opiewa zapasy Greków i Trojan. Nagle płomień ofiarny wybucha ze wszystkich świątyń, u wszystkich ołtarzów miasta Argos. Zdumieni starcy pytają co to znaczy?

Przystępuje królowa. Na zapytanie mężów argijskich, odpowiada że Iliou zdobyty. Czy radości płyną po liou starców. Nie wierzą w własne szczęście: może to sen!... może to wieść kłamliwa!

Królowa niecierpliwi się. Miałażby wierzyć znikomym snom? skłaniać ucho na bajki? I ukazuje płomień, roztlony na szczycie Idy, przebiegający od gór do gór, jako hasło tryumfu.

Chór słucha z uniesieniem. Klitemnestra jakby wiecznym duchem oświecona, maluje żywy obraz zdobytego Iliou. Widzi tam Trojanki okute w pęta, pochylone nad trupami mężów i braci. Grecy uczują po tryumfach.

Królowa odchodzi: chór składa dziękczynne modły bogom. Obok radości trwoga ogarnia starców. Nie jeden z nich, gdy wyjdzie na brzeg, powitać ukochanego syna, ujrzy tylko garść popiołu zamkniętą w zimnej urnie. Samo zwycięztwo nie jest czerzą uludą?

Głos powątpiewania, razi ucho królowej: gniewna wybiega na scenę. Ukazuje płomień buchający ze szczytów Idy. Małoż tego dowodu? Ale oto i nowy dowód. Goniec co tehu pędzi od morza.

W wieńcu oliwnym Herold Talthybias, wesoło wstępuje na scenę. Pocałunkiem składa hołd ziemi ojczystej, którą niebawem deptać będą stopy Agamemnona pogromcy Iliou.

Królowa tryumfuje... wyprawia gońca... Niechaj król spieszy do ludu swego, do tęsknej żony, co wiernie strzegła progów domowych i czystą ręką podsycala święty płomień ogniska.

Otóż i król Agamemnon siedzi na wozie, przy nim uroczą branka. Małżonka bieży ku niemu uniesiona radością. W chwili takiej milczenie wymowniejsze nad wszelkie wyrazy. Ale radość Klitemnestry objawia się potokiem słów gorących. Królowa wyzywa mężów argijskich na świadectwo niezłomnej wiary i miłości. Wypowiada dziesięcioletnie cierpienia, przetrwane boleści i trwogi. Gdyby Agamemnon poległ, utopiłaby sztylet w piersi własnej. Jeśli mąż nie widzi przy niej jedynego syna Oresta, to dlatego że królowa w obawie klęski a zjadł i buntu w Argos, wyprawiła w dalekie strony, pod bezpieczną strażą, ostatni szczep królewskiego domu Atrydów.

— O małżonku mój!—woła z zapalem—czemżes ty dla mnie? tém, czem pies dla obory, czem zbawca lina dla okrętu, czem kolumna dla budowy, czem syn dla starego ojca, czem widok lądu dla zrozpaczonego żeglarza, czem promyczek słońca dla burzy, czem zdroj żywej wody dla spalonych ust wędrowca. Zestąpże z wozu o królu mój! ale niestawiaj na ziemi owej stopy, co zdeptała pyszny

Ilion. Niewolnicy rozściełajcie drogocenną purpurę, niech tryumfator wstąpi godnie w progi pałacu swego!

Król przyjmuje obojętnie te przesadzone oznaki radości. Szydlerczy uśmiech igra na jego ustach. Nie chce postawić nogi na purpurze, nieśmiertelnym tylko przystoi taki zaszczyt. Ulega wreszcie, lecz zdejmuje sandały, aby nie ściągnąć gniewu bogów.

Agamemnon poleca królowej piękną brankę i po wschodach wysłanych purpurą świetną jak potęga królewska, czerwoną jak krew, wchodzi w złociste progi. Kassandra została na wozie.

Smutne przecucia dręczą starców. Zamiast pieśni tryumfu, chór śpiewa hymn smutny, jakoby pogrzebowy.

Klitmestra przemawia do branki słodkiem słowem, przyrzeka jej opiekę. Tą branką Kassandra, córka Pryama. Chór nakłania ją do uległości, ale ona milcząca, dzika, siedzi na wozie niby kamienny posąg. Królowa zrywa się . . Wszystko już gotowe do ofiary . . Bieluchne owce czekają przed ołtarzem.

— Ta kobieta nie ścierpi wędzidła! — rzecze groźnie — musi krwawą pobryzgać je pianą. — I wchodzi do pałacu.

Chór nie dzieli oburzenia królowej. Z żywym współczuciem przemawia do córki Pryama, oderwanej gwałtem od progu ojców.

Branka porusza się nagle. . strasznym zawoła głosem: — Wielcy bogowie! . . Apolinie! . . jam zgubiona! . . biada mi!

I córka Pryama, gorzko wyrzuca zgubę swoją Apolinowi, któremu była niegdyś tak drogą. Pocóż zdarł przed nią tajemniczą zasłonę przyszłości?

Wieszczby jej urywane . . straszne . . złowrogie! Dziwy jawią się przed jej okiem. Widzi zbrodnie spełnione w tym pałacu, te które się jeszcze spełnią.

— O Furye! niesyte krwi tego rodu . . — zawoła w szale — tryumf wam! ohydna ofiara dokona się niebawem.

Trwoga ścina krew w żyłach starców. Kassandra kreśli dalej okropny obraz.

— On ugodzon! . . pada już . . branka umrze z nim razem!

Chór porównywa dziewczę do żałosnego słowika. O! czemuż jak on, niema drobnych skrzydełek, by ulecieć przed żelazem mordercy!

Wśród najstraszniejszych wieszczb, Kassandra sięga myślą w minione chwile, stódka zbiegłe w ojczyściej ziemi. Już jej nie patrzeć w przyszłość, przez welon szczęśliwej oblubienicy, przy jasnej pochodni Hymenu! Widma pomordowanych tu ofiar, podnoszą głowę, straszno patrzą jej w oczy. Widzi oto syny Thiesta, ręką Atrya, stryja własnego, poświęcone w sztuki, podane na misie ich ojcu a bratu mordercy. Wnuk Atrya Agamemnon przyplaci zbrodnię dziada. Kassandra wymienia go . . on musi umrzeć! Okropna myśl przenika ją dreszczem. Wić że niewierna małżonka oskarży męża o winę, jakiej sama dopuściła się względem niego: wić że pod tym pozorem zabije Agamemnona, a z nim brankę, którą przywozi z Troi. Kassandra rzuca na zie-



mię berło, symbol wieszczego daru, zdziera z głowy przepaski złote, godła tajemniczej potęgi. Te godła już jej dziś nie ocala. Apollo ją opuścił. Lecz ta co ją ugodzi, sama padnie ofiarą. Syn pomści głowę ojca. I branka pyta—azaliż jej przystało oplakiwać los pogromców Illionu? Sąd bogów niech się spełni! . . . Zstępuje z wozu, zbliża się do domu Atrydów, pochyla głowę, wita wrzeczadze śmierci. Niech skon zmiecie ją szybko, bez długich mąk przedśmiertnych! tego jedynie pragnie. . . . Cios niechybny . . . idzie śmiało naprzeciw niemu.

— Ozas pociąga mniel Dzień przyszedł, ucieczka daremna!

Wzdryga się nagle, wydaje okrzyk grozy.. Woń krwi wybucha z domu.

— Wońże to ofiary, którą pożera płomień?—zapytuje chór.

—To wzywie grobu—odpowiada Kassandra. I przekracza straszliwe progi.

Krzyk Agamemnona zwiastuje że wieszczba się spełniła.

Starce słuchają z przerażeniem. Drzwi pałacu rozmykają się nagle: z toporem w ręku stoi Klitemnestra, przy niej dwa powalone trupy.

Klitemnestra dotąd kryła uczucia własne płaszczem obludy, teraz zdziera maskę z oblicza. Słowa tryumfu płyną z ust jej potokiem. Ohlubi się ze zdradzieckiego podstępu, liczy razy wymierzone w piersi męża. Kiedy krew jego padła na nią, uczuła rozkosz, jaką czuje dojrzały kłos, gdy nań upadnie deszcz majowy.

—Podziwiamy bezczelność mowy twojej—zawołają przerażeni starce! Zonie znieważała-li tak męża?

— Jam słabą niewiastą w oczach waszych—odręcze Klitemnestra—ale kiedy was powołuję na świadectwo czynu mojego, serce nie drży mi w piersi!

— Oto Agamemnon mąż mój! — dodaje ukazując trupa— a oto ręka co mu zadała śmierć. Dzieło spełnione umiejętnie. Wyrzekłam!

Oburzeni takim cynizmem starce, pytają co za ziele odurzyło jej zmysły? grożą wygnaniem.

Królowa odpięra pogroźki aryjskich mężów. Niechże walka rozstrzygnie przy kim rządy.

Chór zapowiada że wnet pomszczoną będzie krew co trysła na oblicze królowej. Lecz ona nie zna trwogi. Jakaż moc tajemnicza podtrzymuje serce niewieście? Słuchajmy co mówi do starców.

Klitemnestra przysięga na ziemię i na niebo, że piers jej nie drgnie, dopóki ręka Egista podsycać będzie domowe jej ognisko: w nim jedyna jej siła.

I patrzy z urąganiem na trupa małżonka, który zdradził ją niegdyś dla Krzejdy, patrzy na trupa wieszczącej dziewicy, która przed chwilą wyśpiewała sobie hymn pogrzebu.

Starce rozpaczliwie zawodzą. Stracili króla. Agamemnon przez dziesięć lat walczył za niewiastę pod murami Ilionu i za powrotem poległ z ręki niewieściej! Tak więc Helena sprawczyni tylu

mordów spowodowała śmierć Agamemnona! Król przypłacił krwią ofiarę Ifigenii!

— Przekleństwo nam! — woła chór. Niewiasta okrucieństwem dorównała krwawym Atryom. Bezbożnicą! pastwi oczy widokiem trupa, jak drapieżny kruk! śmie śpiewać hymn tryumfalny!

— Przekleństwo! — powtarza Klitemnestra. Potężny geniusz włada naszym rodem, on to zapala wnętrze nasze niepohamowaną krwią żądzą. Nim jedna rana się zablizni, krew wytryska już z drugiej!

Królowa zrzuca z siebie odpowiedzialność. Nie ona to ugodziła w pierś Agamemnona, to odwieczny mściciel Thiestów powodował jej ręką!

Chór nie przebacza. Starce oświeceni wróżbą Kassandry, wiedzą, że miecz matkobójcy pomści królewską głowę. Zasniona przyszłości rozdarta. Patrzą na walące się zręby domu przesiąknięte krwią, znieważone tylu morderstw. Zbrodnia wyradza zbrodnię, z pomsty rodzi się pomsta.

Starce zabierają się do pogrzebu: królową stawia opór.

— Ta ręka — rzecze — która ugodziła Agamemnona, potrafi go pogrzebać.

Wchodzi Egistes, najmłodszy to z synów Thiasta, nowy mąż-żonek królowej, przywłaszczyciel tronu Atrydów. Chór powstaje groźnie przeciw niemu. Królowa urąga bezsilnym starcom.

— My tu panujem — wyrzecze do Egista — przywróćmy ład zburzony!

Na tym kończy się pierwsza część trylogii. Druga p. t. *Elektra* zaczyna się w lat kilka potem. Egist z Klitemnestrą rządzą wszechwładnie w Argos. Jak w poprzedniej tragedii teatr przedstawia złowrogi dom Atrydów. Scena odbywa się koło grobu Agamemnona.

Syn zamordowanego, mściciel zapowiedziany przez Kassandrę, oznajmiony przez starców, Orest już opuścił wygnanie. W towarzystwie przyjaciela wiernego Pylada przybywa do Argos, staje u ojcowskiego grobu, kładzie na nim odcięty pukiel włosów. Podczas gdy dopełnia synowskiej powinności, nadechodzi orszak niewiast w żałobnych szatach. Po holości jednej z nich Orest poznaje siostrę swoją Elektrę. Na widok jej łez, żądza zemsty zapala serce młodziana... Usuwa się na bok... patrzy z poza grobu... czego chcą te niewiasty?

To branki trojańskie. Otoczyły grób; biją się w piersi, rozdzierają szatę, ranią do krwi własne oblicze. Przyszły tu w orszaku Elektry zaspokoić cienie Agamemnona. Klitemnestra wyprawiała je tu przerażona snem strasznym. Ale w obec grobu niewolnice nie wąż się przemawiać w imieniu tej, co wykopała ten grób własną ręką. Widzą że miecz pomsty wisi nad głową przestępczej, wiedzą że wszystkie rzeki i krynice nie zmyją plamy krwi na jej dłoni.

Elektra stoi osłupiała, istny posąg kamienny. Sama nie wie co czynić. Maż ona wylać na grób królewski czarę ofiarną podjętą z rąk przestępnj matki? Jak przyjmie ojciec tę świętokradzką libacyę?

Chór Trojanek wzywa królowę do modlitwy, niech się modli w imię tych, którym drogą pamięć zmarłego, w imię swoje i brata Oresta. Nie dosyć na tém: niechaj się domaga słusznej pomsty. Krew za krew!

Elektra cofa się ze wstrętem. Ażaliż bogowie nie odtracą bezbożnej córki?

— Prawo odwetu świętém jest!—odpowiada chór dziewic: krew za krew!

Elektra ulega. Modlitwa jęj zrazu słodka i tkliwa jak skarga niewinnej ofiary, mieni się zwolna w okrzyk grozy i nienawiści.

Chór przywtarza ponuro. Nagle Elektra odbiega przerażona. Cóż jęj się stało? Oto spostrzega na grobie włosy podobne do jęj włosów i do włosów brata Oresta. Chwieje się, drży jak liść, siły ją opuszczają, strumień łez płynie po jęj licu.

Tu występuje Orest. Zdziwiona Elektra nie wierzy oczom własnym. Ale brat ukazuje na głowie puste miejsce, z kąd odciął pukiel włosów, odsłania szatę którą siostra wyszyła niegdyś swoją ręką. Królowna oddaje się najżywszej radości. Serce sieroty spragnione świętych uczuć rodzinnych. Tuli na sercu brata stroskaną głowę, długo nie miała jęj gdzie oprzeć, chyba o głaz grobowy!

Chwila radości przebrzmiała jak sen w oka mgnieniu, Apolo poprzysiągł zemstę ceniom znieważonej Kassandry: on rozpala straszny płomień w piersi młodego Oresta. Jeżeli syn Agamemnona puści bezkarnie morderstwo, drogo przyplaci obojętność, ty sięczne plagi ściągnie na siebie i na Argów. Trąd stoczy go za życia, widmo ojca ściagać go będzie co noc palącym wzrokiem. Wyklęty, odrącon od ludzi, skończy żywot w nędzy i tułactwie.

Tu rozwija się najboleśniejsza scena, Orest i Elektra ciężko zawodzą na grobie ojcowskim. —Ozemuzes—wołają—wielki bohaterze nie poległ pod murami Ilionu? Nałzy sierot odpowiada chór okrzykiem pomsty. Okrzyk ten zapala Elektrę. Oznajmia bratu w jaki sposób padł Agamemnon, jak matka zamordowała go własną ręką i jak zrąbanego położyła w tym grobie. Żali się na swe losy, na obelgi znoszone przy ognisku domowém, z kąd odrącono ją pogardliwie. Wszystko to ich dziełem!... dodaje z goryczą.—Co ty masz czynić?... zapytaj własnej nienawiści. I wyciąga ręce do grobu.

— Ojczel!—zawoła—bądź z dziećmi, którym drogą twa pamięć. Patrz na moje łzy! skłoń ucho na głos boleści mojęj! Nadszedł dzień! siła wystąpi przeciw sile, pomsta przeciwko pomściel! Bogowie wspierajcie sprawiedliwość!

Chór odśpiewuje straszny hymn: wzywa Furye piekielne, niech wystąpią w obronie sierot.

Orest błąga o berło, Elektra o śmierć dla Egista.

Sieroty królewskie oczekają rychło pęknie kamień grobowy, rychło na ich okrzyk Agamemnon wystąpi z pod ziemi. Lecz grób się nie otwiera.

Orest gotów do czynu.—Dlaczego—pyta—okrutna Klitemnestra chce przebłagać cień swój ofiary?

Chór opowiada sen królowej. Teżne noce widziała we śnie węża zrodzonego z niej samej. Ten wąż ukąsił ją do krwi podczas gdy karmiła go piersią własną.

Wię Orest że on jest tym potworem. Rozkazuje Elektrze powrócić do pałacu. Wdzięwa spiesznie szatę podróżną.

Z wiernym Pyladem przystępuje do progu ojców, po trzykroć kołacze w zwartą bramę. Za trzecim uderzeniem odmyka ją odźwierny, podróżny opowiada jak przynosi wieści ważne dla rodziny królewskiej.

Nadchodzi Klitemnestra. Zaprasza gościnnie Oresta i Pylada w swoje progi. Orest mieni się Focejczykiem; uwiadamia królowę o śmierci jedynego jej syna. Elektra udaje gwałtowną rozpacz, odtąd znika ze sceny.

Klitemnestra spokojna, serce matki nie drgnęło. Syn z oburzeniem patrzy na taką obojętność!

Rozkazuje królowa przygotować gościom komnatę. Sama powraca w głąb pałacu.

W tejsze chwili podeszła niewiasta wchodzi z płaczem na scenę. To Gylissa, mamka Oresta. Królowa z ukrytą radością wyprawiła sługę po Egista. Niechże król posłyszcy dobrą wieść z ust podróżnych.

Gylissa nie spieszy z dopełnieniem rozkazu. Rzewnymi łzami oplakuje zgon dziecka, które wykarmiła swem mlekiem. Przypomina jak tuliła do piersi niemowlę, jak je pielęgnowała dniem i nocą. Żal mamki sprzecznie odbija obok chłodu serca wyrodnój matki.

Chór nalega na starą sługę. Niech Egist przyjdzie sam bez straży, niech pospieszycy co żywo.

Odeszła. Chór błaga niebo o tryumf dla Oresta.

Król zbliża się... Widzą go Trojanki., wszedł do pałacu, drzwi zamknęły się za nim. Okropna to chwila... śmierć czy zwycięstwo Orestowi?

Rozległ się krzyk... to głos Egista. Odźwierny występuje, oznajmia śmierć królewską. Klitemnestra wpada na scenę.

Co to jest? Co się stało? mów?

*Odźwierny.*—Umarli zabijają tu żywych!

*Klitemnestra.*—O bogowie! rozumiem zagadkę. Mordowaliśmy podstępem, giniemy też przez podstęp.

I wyciąga rękę po topór. Zapóźno. Orest ukazuje się z mieczem w ręku.

*Orest.*—Ciebie szukam.. on otrzymał zapłatę.

*Klitemnestra.*—Drogi mój Egipcju, tyżeś umarł?

*Orest.*—Kochasz tego człowieka, a więc spocznieś z nim w jednym grobie.

*Klitemnestra.*—Stój o mój synu! Poznaj dziecię to łono, na którym tuliłeś senną głowę? tę pierś którą ssales niemowlęciami usty!

(Serce syna uderza nagle).

— Pyladzie! co czynisz?—pyta Orest—mamże się cofnąć? mamże ugodzić w pierś własnej matki.

Pylad przywodzi mu na pamięć wróżby Apolina, jego własną przysięgę, niezblągany gniew bogów.

Orest rozkazuje matce iść za sobą. Próżne jej błaganie i groźby. Nagle królowa przypomina straszny sen... Wąż zrodzony z niej... to Orest! Los jej rozsądzon jest w niebie!

Syn wciąga matkę w głąb pałacu. Tam ona umrze. Smak starożytnych nie pozwalał plamie sceny morderstwem.

Tryumf synowi Agamemnona. On królem Argos. Drzwi pałacu rozmykają się. Jak w poprzedniej tragedji widać w głębi zabójcę z mieczem i dwa trupy.

Duszą Oresta wstrząsa gwałowna rozpacz. Przypomina zbrodnię matki aby się rozgrzeszyć w własnych oczach. Daremno mieni się mścicielem, wykonawcą woli bogów! Izy mimowoli wybiegają mu z pod powiek, na myśl że ugodził serce matki, że wytoczył swoją własną krew! Wściekły z boleści i szafu ucieka do świątyni Apolina. Niewiasty w czernizgłową zwieńczoną w sploty syczących gadzin, z okiem zabiegłóm krwią, zastępują mu drogę. Co raz ich więcej, coraz więcej... otaczają go... przerażony ucieka... Gdzie się obróci, wciąż i wciąż gonią za nim.

To Furye! to piekielne Eumenidy, to wyrzuty sumienia co dręczą matkobójcę!... przekłętęgo.

Ostatnia część trylogii ma tytuł *Eumenidy*: tak Furye zwano u Ateńczyków.

Pythia, podeszła niewiasta stoi przed świątynią Apolina w Delfach. Błaga nieśmiertelnych o natchnienie. Woła na Greków niech przyjdą słuchać głosu wyroczni.

Wieszczka wchodzi w progi świątyni... przerażona cofa się z krzykiem, upada... tarza się i wije po ziemi. Jakiż to obraz stanął jej przed oczyma? Człowiek w błagalnej postawie, poplamion krwią... w prawicy trzyma miecz... w lewicy oliwną gałązkę... Wkoło niego ohydne niewiasty. Powalone na ziemi chrapią przeraźliwie... znać posnęły... To Furye! goniły trop w trop za matkobójcą, aż dobiegły świątyni. Tam padły pokonane snem. Wyrzut przestał męczyć człowieka odrodzonego ofiarą.

Pythia znika. Przez rozwarte na oścież drzwi świątyni widać Apolina przy Orestie. Bóg wieszczów skłania go do ucieczki. Zbudzone Furye gonić go będą przez lądy i przez morza, dopóki nie dosięgnie miasta Pallady, Aten. Tam on uściśnie posąg mądrości, tam stanie przed Areopagiem.

Apolo i Orest opuścili świątynię. Eumenidy śpią. Wtém widmo jawi się przed niemi. To Klitemnestra., zdziwiona ich spoczynkiem. W piekle nawet upokarza ją pogarda cieniów, w niebie nawet bogowie patrzą chłodném okiem na jej skon. Pragnie wypuścić znowu mściwą sferę w trop za uciekającym synem. Eumenidy śpią twardo, we śnie tylko dręczą ofiarę.

Klitemnestra woła a woła. Niech Furye pędzą za mordercą! niech go spalą płomienistém technieniem.

Widmo znika, Eumenidy budzą się, miotają skargi na tego boga wieszczów, który śmie zasłaniać istotę śmiertelną przed chłostą nieubłaganego przeznaczenia. Apolo wygania ohydne widziadła z progów swojej świątyni.

Scena się zmienia. Widać Ateny otoczone pomrokiem nocnym, Orest obejmuje posąg Pallady. Furye ścigają go jeszcze, ale błagalna ofiara wróciła mu wewnątrzny spokój. Bóg światłości rozpogodził jego duszę. Acz spokojniejszy, przeraża go jednak zbliżająca się chwila sądu.

Wezwana Pallada rozstrzygnie spór między Furyami a synem Agamemnona. Bogini powołuje najdosłojniejszych mężów ateńskich, technie w nich ducha mądrości, ustanawia areopag.

Sąd niewinnia Oresta. Mądrość zwalczyła przeznaczenie, Minerwa zaspokoila Eumenidy grożące Atenom straszną kłátwą. Gród zbuduje im podziemny przybytek. Tam odbierać będą hołdy w dniu hymenu, lub w dniu urodzin dziecka. Złagodzone Furye przyrzekają nie mącić spokoju niewinnym a wyłącznie dręczyć przestępców.

Kapłanki Pallady z pochodniami w ręku i niewiasty ateńskie obleczone purpurą, wiodą Eumenidy do podziemnej świątyni. Bogini mądrości sama prowadzi orszak.

Na tém kończy się *Orestjada* Eschyleasa.

Występują tu trzy postacie niewieście: Kassandra, Klytemnestra i Elektra, wszystkie trzy parte nieprzebłaganą ręką przeznaczenia, ślepe narzędzia wyższej woli.

Sofokles wprowadza nas w inną, pogodniejszą sferę: ukazuje nam człowieka opromienionego blaskiem ideału. Bohaterowie Sofoklesa, jak słusznie uważa autorka, nie buntują się gorączkowo przeciw ślepej potędze, nie upadają pod brzmieniem rozpaczcy, ale cnotą i uczuciem powinności, wznoszą się nad nieszczęście. Wyrazem ich Edyp i Antygona.

Trylogią Sofoklessa mamy w piękném tłumaczeniu Kazimierza Kaszewskiego. Znana ona dobrze czytelnikom Biblioteki. Niemożemy jednak pominąć jej w tém sprawozdaniu, bo czyżby obraz niewiasty greckiej mógł być dokładnym bez Jokasty a zwłaszcza bez Antygony?

Morowa zaraza pustoszy Teby. Edyp, który za pokonanie Sfinksa otrzymał od Tebanów tron po Lajusie ostatnim ich królu, i rękę wdowy królewskiej Jokasty, Edyp cierpi głęboko nad nową ludu swego niedolą; aby zapobiedz złemu, zapytuje wyrocznie del-

ficką przez usta Kreona, brata małżonki swojej. Kreon przynosi odpowiedź Apolina. Bóg światła oznajmia, że plaga nie ustanie, dopóki Teby cierpieć będą mordercę Lajusa w murach swoich, dopóki nie wypędzą go z kraju.

Król zabity był w podróży, o skonie jego krążą wieści niepełne. Plagi jakie Sfinx załawał podówczas Tebanom, nie dały im ścigać królobójcy.

Edyp przeklina nieznanego mordercę, który obecnością swoją sprowadza na Teby klęskę moru. Za radą Kreona, powołuje wieszczego Tereziasa . . . niechaj on wymieni przestępnego. Stary ślepy wieszcz prowadzon przez dziecię, stawia się w pałacu królewskim. Zapytany nie odpowiada, król zżyma się, nalega coraz to silniej, grozi. Zniecierpliwiony Terezias oznajmia w końcu, że tym przestępcą, który ściga plagę na Teby, to król! to on sam Edyp!

Król szlachetny zwykle i dobry, zapala się niepowściągniętym gniewem. Obwinia Kreona o podstęp. Przywołuje go . . . rzuca mu w oczy zdradę, zagraża śmiercią.

Jokasta słyszy hałas . . . przybiega . . . staje pomiędzy mężem a bratem, nagania im wzajemne kłótnie, w chwili kiedy plaga rozsiewa śmierć po nieszczęśliwym kraju.

Na zarzuty Edypa, Kreon uniewinnia się w obec siostry. Prawda odbija w jego słowach. Jokasta błaga męża niechaj zaufa bratu. Chór starców tebańskich nalega z nią razem. Nieprześlągnięty Edyp odrzuca prośby . . . wreszcie wyrok śmierci zamienia na wieczne wygnanie.

Kreon oddał się. Jokasta pyta czemu król zarzuca mu zdradę?

— Żono—odrzecze Edyp—więcej cię szanuję niż tamtych ludzi . . . wszystko ci wyznam.

Opowiada jako z namowy Kreona, Terezyas mieni go królobójcą. Ale Jokasta gardzi zwodnemi wieszczby, wie z doświadczenia jak te bywają mylne. Ażaliż nie przepowiedziano Lajusowi, że polegnie z ręki własnego syna? a przecież król padł na rozstajnej drodze, napadnięty przez rozbójników. Co zaś do syna, wkrótce po urodzeniu, ojciec przebił mu obie nogi i rozkazał ponieść go na wysoką górę. Matka nie śmie wyznać, że ona sama wydała niemowlę w ręce sługi.

Słowa Jokasty nie zaspokoily męża. Opis miejsca gdzie Lajus był zabity, napętnia go trwogą. Drżący wypytuje żonę:

— Jakiego Laj był wieku? jakich kształtów ciała? Joka-  
sta na to:

Był wzrostu wysokiego, włos jego białawy,  
A podobien do ciebie z twarzy i postawy.

Biada mi!—zawoła Edyp:

Jaż to nieświadomy,  
Sam na siebie rzuciłem strasznych przekleństw gromy?

Królowa drży . . odpowiada jednak na pytania. Sługa Lajusa, jedyny z jego straży, który uniknął mordu, wyjaśnił jej całą przygodę: tego człowieka niema w Tebach. Skoro za powrotem ujrzał Edypa na tronie, błagał królowę aby wydała go z miasta, a powierzyła mu straż nad trzodą.

Edyp żąda widzieć pasterza.

— Przybędzie tu — odrzeczcie Jokasta — ale wyznaj mi królu co dręczy serce twoje?

— Wyznam ci wszystko: wiedz królowo

Z jakim niepokojem

Oczekuję na wieści. Jest-że kto na świecie,

Z kimbym chętniej cierpieniem podzielił się mojem?

I król opowiada małżonce, jak w domu ojca Polyba króla Koryntu i królowej Meropy, dnia jednego z ust pijanego sługi posłyszał że jest dzieckiem przybraném; mimo zaprzeczenia rodziców, słowa te głęboko utkwily w jego duszy. Udał się tajemnie do Delf. Apolo przez usta wyroczeni, nie odrzekł prosto na pytanie, lecz odkrył mu przyszłe nieszczęścia, oznajmił że będzie mordercą ojca własnego i małżonkiem swój własnej matki. Strwożony Edyp ucieka zdala od Koryntu, aby uniknąć strasznego przeznaczenia. Mierząc odległość dróg gwiazdami, przebiega wciąż z kraju do kraju, aż wreszcie w miejscu wskazaném przez Jokastę, spotyka starca jadącego na wozie, otoczonego sług orszakiem. Było to na rozstaju. Słudzy spychają z drogi Edypa, starzec godzi go w ciemię. Rozgniewany młodzian, podnosi kij, powala starca, morduje sługi. Byłżeby Lajus owym starcem? Jakież los czeka nowego małżonka Jokasty? Jeżeli opuści królestwo, maż wracać do ojczyzny, gdzie podwójną ma spełnić zbrodnię? Niech go bogowie ustrzegą tego sromu . . . Umrzec mu raczej w Tebach!

Próżno królowa usiłuje zaspokoić małżonka. Edyp odchodzi. Jokasta składa wieńce i drogie wonie u stóp Apolina, którego posąg strzeże pałacu królewskiego.

Tu przybywa goniec z Koryntu. Oznajmia śmierć Polyba... W imię ludu wzywa Edypa na tron. Królowa widzi w tém świadectwo przeciwko wyroczeni. Edyp nie będzie mordercą ojca swego.

Nadchodzi król. Jedyna jeszcze pozostaje mu trwoga: przestępne małżeństwo zapowiedziane w Delfach. Słyszy to goniec . . zaspokaja Edypa . . wyznaje tajemnicę: Meropa nie była jego matką. On to sam przed laty, przyniósł go pozbawionemu potomstwa Polybowi, on sam podjął go dzieckiem na zielonej wyżynie Cytheronu; on sam zdjął pęta z jego małych nóżek. Pasterz z domu Lajusa oddał mu niemowlątko.

Edyp zapytuje starców tebańskich, znają-li owego pasterza?

Chór mniema że to właśnie ów starzec, z którym król pragnął mówić.

Jokasta zrozumiała wszystko. Błaga, niechaj król zaprzestanie daremnych badań:



Nieszczęsny bodajś nigdy nie znał swego rodu?

— Przyprawdźcież mi tego pasterza do grodu.

Woła niecierpliwý król. Mniema on że Jokastę przeraża wieść o nizkiém jego pochodzeniu. Z goryczą téż dodaje:

Niechaj ona się cieszy rodu swego chwałą!

— Nieszczęsny, tak mi ciebie tylko zwać przystało!

Odrzeczce królowa z najwyższą boleścią i usuwa się do swych komnat.

Edyp w bólu małżonki widzi tylko obrażoną dumę niewieścią. On zbada tajemnicę rodu swego i cóż mu ten ród znaczy? Zbawca Teb, nie jestże sam z siebie dosyć wielkim? Potrzebaż mu chwwały naddziadów?

Nadchodzi pasterz: wyznaje tajemnicę. W jego to ręce Jokasta oddała nowonarodzone dzieciątko; on poniósł je na górę, on zdjęty litością ocalił je od śmierci.

Edyp słucha . . . nieprześlągana prawda błyska mu przed oczyma . . . woła z najwyższą rozpaczą:

Nieba! wszystko już wyszło z tajemniczój matni!

O! światło, ja cię widzę dziś po raz ostatni!

I wbiega do pałacu; chce widziéć tę niewiastę, którój nieśmie nazwać już ani małżonką, ani matką. I kołaczę we drzwi komnaty. Naprózno . . . zawarła je szczelnie królowa. Rozbija podwoje . . . patrzy . . . na łożu powalón trup Jokasty.

Na widok samobójstwa, Edyp ryczy jak rozjuszony lew. Rozrywa pas ściskający szyję królowej, chwytą sprzączkę złotą, wydziéra nią własne oczy . . . Niechaj te oczy nie patrzą na nieszczęśliwą dziatwę, zrodzoną ze zbrodni i hańby.

Ślepy, zbroczoney krwią, chwiejącym krokiem wraca do poddanych. Niechajże czém prędzój wygnają go z téj ziemi, dla którój obecność jego przekleństwem. Błaga Kreona o pogrzeb dla Jokasty, o opiekę dla córek.

Ja tobie synów moich nie zlecam Kreonie,

Oni męże, chléb znajdą w każdój świata stronie;

Alem dwie piękne córki zostawił na ziemi:

One zawsze siadały u mojego stolu,

Z niemi ja każdy kęsok dzieliłem pospólu.

O! ty mnie teraz wyręcz, ty czuwaj nad niemi,

Pozwól dotknąć je ręką . . . oh! błagam cię o to,

Pozwól zapłakać z niemi nad spólną zgryzotą!

Ciche łkanie potrąca nagle ucho ślepego ojca. Edyp składa dzięki Kreonowi, drżące dłonie kładzie na głowie córek. I opuszcza Teby . . . odchodzi na wieczne wygnanie.

W tej pierwszej części trylogii, obok Edypa równym blaskiem świeci postać Jokasty. Jak pilnie poważna matrona, odgania od męża wszelkie troski, z jaką mądrą przychodzi mu radą w zatargach z bratem, jak łagodzi go w gniewie, koi w trwodze i udręczeniu!

W dwóch następnych częściach, Sofokles ukazuje najcudowniejszy ideał córki i siostry. Antygona, to prototyp, z którego wieki czerpać będą.

Sofokles siedmdziesięcioletni już starzec, napisał Edypa w Kolonie. Dreczony w domu przez złe dzieci, utworzył sobie świat idealny, tém cudniejszy, im smutniejszą była rzeczywistość. Jakiż to niewysłowiony urok w postaci tego ślepego starca, w obec czarodziejskiej przyrody, której on nie zobaczy.

### E d y p.

Powiedz, starego ślepca córko ukochana,  
W jakim grodzie jesteśmy? w jakich ziem ustroni?  
Kto tułacza Edypa dzisiejszego rana  
Podejmie skromnym datkiem z dobroczynnej dłoni?

### Antygona.

Widzę zblizka Edypie, ojcze nieszczęśliwy,  
Jakiś gród, w okół grodu obronne wieżyce,  
A to miejsce snąc święte, bo zewsząd oliwy,  
To wawrzyny, to bujne jaśnieją winnice,  
I słowików w powietrzu brzmią rozkoszne pienia;  
Więc siądź ojcze tu, na tym odłamie kamienia,  
Boś strudzon jako stary włóczęgą po świecie!

Z ust przechodnia idącego drogą, dowiaduje się Edyp, że miejsce gdzie spoczął poświęcone Eumenidom. Stopa ludzka nie dotknie go bezkarnie. Starzec zostaje pomimo ostrzeżenia, pragnąłby widzieć Tezeusza króla Aten.

Podróżny oddała się. . . idzie po Koloniatów. Ślepy wygnaniec tymczasem, słowami modlitwy objawia, jaki powód trzyma go w tym gaju. Wyrocznia zapowiedziała mu, że po długoletnich cierpieniach, znajdzie nakoniec pokój w ziemi poświęconej Eumenidom. Edyp wzywa boginie o najwyższą łaskę. . . o śmierć!

Nadbiegają strażnicy. Łagodnymi słowy upominają starca, niech co żywo odejdzie z tych miejsc. Antygona słodko nalega, wprowadza ojca po za obręb gaju świętego.

Koloniaci chcą znać imię tego, czyja stopa depta ich ziemię. Starzec radzi się córki.

— Mów ojczel!—odpowie Antygona.

Powolny jój zwraca się do ludu:

Czy znany wam

Nieszczęsny Edyp?

C h ó r.

To ty!

E d y p.

Ja sam!

Koloniaci drżą słysząc to imię. Trwoga czyni ich okrutnymi, wyganiają nieszczęsnego, którego obecność może ściągnąć na kraj straszne plagi.

Antygona, milcząca dotąd, przystępuje ku starcom, błaga ich o miłosierdzie nad ojcem. Zaklina ich na miłość własnych dzieci.

Chór wacha się zniewolony jój prośbą.

Tu Edyp podnosi głos w obronie własnej. Nie ów to już Edyp szarpany rozpaczliwym wyrzutem. Ślepy starzec spojrzął w głąb duszy swojej, widzi ją czystą i bez winy. On nie był przestępnym, był tylko nieszczęśliwym. Los popchnął go na drogę zbrodni, lecz wola jego nie brała w nią udziału. Z królewską powagą rzecze do Koloniatów :

Wy mi nie odmawiajcie swobody i straży,  
Nie patrzcie na ohydę méj sędziwej twarzy;  
Bo ja dzisiaj przed wami niby święty staję,  
Pomyślność wiodąc na was i na wasze kraje.

Słowa te przenikają na wskrós serca Koloniatów. Edyp, ślepy wygnaniec z koszturum w rękę, wspaniałej przedstawia się ich oczom, niż Edyp król ze złotem berłem, przyodzian królewską purpurą. Niechaj Tezeusz król Aten rozporządzi sam jego losem.

Chór oddała się. Nagle Antygona spostrzega dziewicę pędzącą na rączym biegunie. Z pod tessalskiej zasłony, poznaje lica podrózniej: to siostra iój Izmena.

Edyp poruszony głęboko, wystawia męstwo i ofiarę córek swoich, a gromi obojętną bezmyślność synów, którzy

Od niejakiéj chwili,

Coś na sposób egipski żywot urządzili,  
Tam bowiem męże siedzą po domach z wrzeciony,  
Kiedy o chleb za domem starają się żony.

Wy tymczasem o mężne córy, wiernie spełniacie powinność waszą!

Antygona od czasu jak minęły chwile  
Jój dzieciennéj niemocy, odkąd wzrosła w siłę,  
Ojcu nieszczęśliwemu towarzyszy wszędy,  
Brnąc ochoczo za starcem w tułacze obłądy;  
Ileż razy nieporna głodu i niewczasu,  
Krwawiła bosc nogi o cierniska lasu,  
Gdy deszcze na nią lały, gdy żar piekł jój głowę!

—A ty—zapyta—co jak stróż wierny czuwałaś nademną w ziemi ojczystej, kiedy mnie z niej wygnano, mów dziecię, jakie przynosisz mi tu wieści?

Smutne to wieści! Opowiada Izmena jak bracia jój porzucawszy niktzemnie tron na pastwę Kreona, toczą bezustanku bratnie boje. Jak Polemik wypędzony przez Eteokla, sprzymierzył się z Argos, i wiedzie obcy zastęp na zgubę swój ojczyzny. Izmena dodaje, że wyrocznia przyrzekła szczęście ziemi, w której spoczną kości Edypa. Ten który przeżył dni w walkach i niedoli tułaczj, stanie się po śmierci tarczą dla kraju, który przyjmie jego popioły. Kreon świadomy wyroku przybędzie niebawem po ślepego króla, zawiedzie go nie do Teb, lecz na kresy Tebańskich dziedzin.

Edyp przeklina wyrodných synów. On nie powróci do Teb. Jeśli Ateny nie odmówią mu wsparcia, pozostanie na wieki u ich bram, będzie im wiernym stróżem, a postrachem ich nieprzyjaciół.

Według rady starców, ślepy tułacz ma złożyć ofiarę Eumenidom, za postawienie nogi w gaju świętym. Ale słabość, a bardziej ślepotą nie pozwala mu na to: Izmena idzie do gaju po zioła święte, Antygona zostaje z ojcem.

Przybywa Tezeusz, ofiaruje wygnańcowi własny pałac w Atenach. Ale Edyp musi pozostać w świętym gaju. Tu ziemia pokryje ciało jego. Tezeusz przyrzeka mu obronę w razie napaści i powraca do Aten.

Ledwie odszedł zjawia się Kreon: z licznym orszakiem przybywa po Edypa. Starzec przyjmuje go z szlachetną dumą. Kreon oświadcza że Izmena jest już w jego mocy, zagraża porwaniem Antygony. Koloniaci rozkazują mu ustąpić, nie w mocy ich przecieź walczyć z wojskiem Kreona. Patrzają z uczuciem grozy, jak niktzemnik wydziera mu tę córkę, która była mu okiem i ramieniem, która tchnieniem własnym ogrzewała skrzepłą pierś jego.

Służalcy wprowadzają Antygone, sam Kreon porywa starca. Nagle przybiega Tezeusz . . . zmusza Kreona, niech go wiedzie za śladem dziewic.

Edyp czeka . . . Chór oznajmia mu powrót córek. Nadbiegają niebawem, tułają się do piersi ojcowskiej. Prowadzi je Tezeusz. Edyp składa dzięki szlachetnemu obrońcy.

Król Aten oznajmia starcowi że obcy człowiek pragnie z nim mówić. Edyp wie że tym obcym syn jego Polinik: odrąca go zrazu, lecz zniewolony prośbą córek, ulega im nakoniec.

Tezeusz oddala się . . . W téjże chwili nadchodzi Polinik. Na widok ślepego starca, na widok sióstr dzielących z nim wygnanie, syn Edypa czuje gorzki wyrzut, zalewa się łzami, błaga ojca o przebaczenie. Edyp milczy.

Polinik wzywa siostry o pośrednictwo. Antygona skłania go aby wyznał powód przybycia swego, a rozwiąże usta ojcowskie.

Stary król dowiaduje się wreszcie, że wyrocznia przyrzekła zwycięstwo téj stronie, którą on będzie wspierał. Uniesiony gniewem przeklina obu synów. Niech pomordują się nawzajem.

Antygona błaga tkliwemi słowy Polinika, niechaj się nie naraża na skutki klątwy ojcowskiej, zaniecha bratobójczej walki i zbrojnego napadu na kraj własny. Zapóźno już niestety. Polinik nie cofnie już kroku! Błaga siostry o jedyną łaskę, jeśliby poległ, niech pochowają w Tebach jego ciało!

Odchodzi unosząc klątwę ojca, łzy siostr i przyrzeczenie Antygony.

Błyskawica rozdziéra chmurę i piorun uderza. To wróżba skonu. Czas umrzeć Edypowi. Ślepy starzec przyzywa Tezeusza. On sam poprowadzi go do grobu, on jeden ma wiedzieć o tym grobie, córki nawet nie ujrzą go na oczy.

Edyp woła je obie, ukazuje im drogę. Wzrok jego zagasł na światło, lecz ucho słyszy głos bozkich przewodników.

Odchodzi. Chór pozostaje sam. Goniec nadbiega wkrótce. Opowiada Koloniatom jak Edyp przyszedłszy nad brzeg otchłani, uważanej za bramę piekieł, żądał aby córki przyoblekły go w nowe szaty. Grzmot dał się słyszeć, strwożone dziewice upadły do nóg ojca. Edyp uściskał je obie, dziękował im za tklive starania i płakał z nimi razem. Umilkli. Wśród głuchéj ciszy, straszny głos zawołał: Edypie! Starzec pochwycił rękę króla Aten, powierzył mu los sierot.

Tezeusz zaprzysiągł im opiekę. Edyp w osłabłe ramiona objął raz jeszcze córki, i rozkazał im odejść. Oddaliły się z grobem ateńskich mężów, pozostali tylko obaj królowie.

Kiedy goniec spojrzął po za siebie, Edypa już nie było. Sam Tezeusz stał jak słup, oczy zacisnął dłońmi, a potem upadł na kolana.

Dziewice powracają na scenę, wkrótce po nich przybywa Tezeusz.

Antygona błaga króla Aten, niech jéj ukaze miejsce, kędy złożone prochy ojca. Król objawia im ostatnią wolę konającego. O tym grobie prócz niego nikt żywy niema wiedzieć.

Córki z uszanowaniem poddają się pod wyrok. Jedyne pozostało im pragnienie. Chcą wrócić do ojczystego miasta. Może jeszcze zdołają powstrzymać rozlew krwi bratniej. Tezeusz czyni zadość ich woli.

Trzecia część trylogii p. t. *Antygona*, odbywa się w Tebach, po bratobójczej walce, której żadna moc powstrzymać nie zdołała. Tu gołąbka przemienia się w orlicę, tkliva córka Edypa w nieustraszoną bohaterkę.

Obaj bracia polegli w krwawym boju. Kreon król Teb wyprowadza wspaniałą pogrzeb Eteoklowi, jako poległemu w obronie grodu ojczystego. Przeciwnie zaś pod karą śmierci zabrania wszelkiej czci pogrzebowej Polinikowi, który naprowadził na kraj obce zastępy. Z rozkazu króla obnażono ciało zdrajcy, wyrzuc-

no w pole na pastwę krukowi i sępom. Postawiono przy niém straż, aby nikt nie poważył się rzucić na trupa garści ziemi.

Antygona nie lęka się groźby. Gdyby jéj przyszło ponieść śmierć, ona pogrzebie zwłoki brata. Wszak mu to przyrzekła w Kolonie, przy ostatniém rozstaniu. Ona to oznajmia Izmenie srogi wyrok Kreona. Żąda aby z nią razem uniosła potajemnie braterskie ciało, i pokryła je ziemią. Z gniewem patrzy na trwożliwą Izmenę, boleje czemu nie zdoła przelać w jéj duszę tkliwą, ale słabą, tego płomienia co przepala jéj własne serce. . . Odrąca niechętną jéj pomoc.

Czyż jak chcesz, brata ja sama pogrzebię,  
A potem umrę, śmiercią świętej zbrodni,  
O! piękną śmiercią, i tak nieodrodni  
Wzajemną miłość złożym obok siebie;  
Ja się chcę bogom zastąpić, bo z niemi  
Dłużéj mi bywać niż z ludźmi na ziemi.

Antygona znika ze sceny, pojawia się dopióro, kiedy strażnik czuwający nad grobem Polinika, stawia ją przed Kreonem. Wprzód już ten człowiek oznajmił królowi, że pod nocy osłoną jakąś ręką zuchwałą pokryła trupa lekką powłoką ziemi. Przywołał potem towarzyszków, wydobyl z nimi na wierzch odrażliwe cuchnące ciało, ale w chwili gdy słońce paliło ich żarem, zerwał się gwałtowny uragan. Tuman piasku zaślepił im źrenice. Kiedy rozwarli oczy, spostrzegli Antygonę nad trupem, miotającą przekleństwa i obelgi na tych, co zniewazyli zwłoki brata. Ujęli ją i przywodzą przestępną.

Antygona stoi spokojnie, z okiem w ziemię spuszczoném. Zapytana przez Kreona ażali wiedziała o wyroku, odpowiada że on wyrok nie był wcale dla niéj tajemnicą, ale prawa śmiertelników milkną w obec praw wiekuistych, które bóstwo nakreśliło w ludzkiém sumieniu. Woląta zatém przełamać ludzkie niż boskie prawa. Czeka ją śmierć, wie o tém, lecz kto ucierpiał wiele, czyliż go śmierć ustraszyc?

Izmena przybiega zalana łzami, przyjmuje udział w winie, chce umrzeć razem z siostrą; Antygona odrzuca ofiarę; kto nie dzielił nieposłuszeństwa, nie może dzielić kary.

Syn królewski Hemon, błaga o łaskę dla Antygony. Z woli ojca miał ją posłubić, maż utracić drogą oblubienicę? Ostrzega króla, że wszystek lud tebański czci córę Edypa jako bohaterkę, widzi w niéj niewinną ofiarę, godziż się lekceważyć głos ludu?

Nieprzebłagany Kreon odrąca syna, zowie go niewolnikiem niewiasty; Antygona umrze, nic jéj nie ocali przed śmiercią. Hemon odchodzi, poprzysięga ojcu, że nie powróci więcéj.

Kreon postanawia wtrącić Antygonę do pieczary, zamurować ją żywem w grobie. Wyrok zapadł. Starce Tebańscy opłakują nieszczęsną dolę córy królów. Pierwsza skarga wybiega

wtedy z ust dziewicy. Tkliwie zegna słońce, które nie błysnie już jej oku i pochodnię hymenu, która jej nigdy nie zaświeci. Jedyna została jej pociecha przypomina drogich umarłych: wnet połączy się z nimi.

Ojcie mój, matko, bracie, to przynajmniej tuszę,  
Iż wam przybyciem mojem rozraduję duszę;  
Bom ja mą własną ręką myła wasze ciała,  
Jam też czystą objatę na wasz grób wylała.

Niewiadomo czy Antygona kocha oblubieńca, poeta nie objawił jej uczuć żadnym słowem. Żal jej tylko słodkich uroków życia, których nie pozna nigdy.

Bo mnie z pomiędzy żywych gwałtem pochwycono,  
Że ja w dziewiczej szacie zejść ze świata muszę  
Nie znając jaka rozkosz być matką i żoną.

Ostatniem jej słowem, klątwa na sprawców mordu.

Ledwie uprowadzono Antygonę wchodzi wieszcz Terezias. Zapowiada królowi że jedyny syn przypłaci głową jego nieludzkie czyny. Wtrącona żywcem w grób Antygona i trup Polinika rzucony bez pogrzebu sprowadzą rychto pomstę bogów. Kreon drży, powołuje starców na radę.

—Królu! uwolnij Antygonę, uczcij pogrzebem Polinika!—wołają chorem Tebany.

Kreon ulega...niestety już zapóźno! Gdy odszedł, goniec oznajmia starcom samobójstwo Hemon.

Królowa Eurydyka wbiega na scenę, słucha w milczeniu okropnej opowieści.

—Gdy w obecności królewskiej—mówi goniec—pogrzebano ciało Polinika, król z orszakiem przystąpił do grobu Antygony. Nagle dał się słyszeć jęk Hemon. Odwalają kamień... cóż widzą? Oto martwą już Antygonę. Młodzian płacze nad trupem oblubienicy. Próżno rozrywa wstęgę obwinietą szczelnie w około jej szyi. Boleść szarpie serce Kreona. On już nie królem ale ojcem. Rzuca się na syna, chce go wyrwać gwałtem z pieczary.

A Hemon na to dzikie wlepił weń źrenice,  
I nic nie odpowiedział, i plunął mu w lice,  
Pochwycił miecz dwósieczny—ojciec byłby nie żył,  
Szczęściem w porę się cofnął, miecz w stronę uderzył:  
Wtedy on już na siebie całą wściekłość zionie,  
Utyka na ostrz miecza, topi go w swém łonie,  
Krew bryzga, czuje młodzian że w nim życie kona;  
Pochwyca narzeczoną w mdlejące ramiona:  
Na licach jej ostatnie wyzionął westchnienie.

Królowa Eurydyka wysłuchiwała w milczeniu, poszła i cicho wstępuje do pałacu. Milczenie to przeraża starców Tebańskich... A kiedy Kreon przynosi martwe zwłoki syna i mieni się jego mordercą, przynosząc mu wieść, że królowa utopiła miecz w własnej piersi, przeklinając wyrodnego małżonka.

Tak poeta kończy wspaniałą trylogię. Antygona uosabia w niej najwyższy ideał miłości dziecięcej i bratniej.

Z nie mniejszym urokiem Eurypides zidealizował w *Alceście* typ wiernej małżonki. Rzućmy okiem na tę przesłiczną tragedję, osnutą na starożytnym mycie greckim.

Młody król Tessalii Admet nieuleczoną dotknięty był chorobą. Apollo, który podczas wygnania swego z Olympu, przebywał w usługach tego króla, i poznał wielkie jego cnoty, Apollo wyjednał u Park, że Admet może być ocalony, jeżeli ktoś inny odda w okup życie za niego. Ojciec i matka aczkolwiek przyciśnięci wiekiem, nie chcą poświęcić dla syna ostatka dni pozostałych im jeszcze na ziemi. Alcesta młodziuchna małżonka okupuje go ofiarą życia w pełnym kwiecie.

Śmierć Alcesty oto przedmiot tragedji Eurypidesa.

Już mimo ofiar, jakimi Admet pragnie wybłagać u bogów życie żony, śmierć krąży nad pałacem królewskim. Starcy z Phares garną się do przedsionku i pytają trwożliwi, azali ukochana królowa nie jest już martwym trupem? Wierna sługa płacząc opowiada im co się stało przed chwilą w pałacu. Gdy słońce weszło, Alcesta przywdziała najpiękniejsze swoje szaty, a potem uklękła przy ognisku i błagała Westę przeczystą boginię, aby była matką dla jój maleńkich dzieci. Modliła się także u domowych ołtarzy, zwieńczyła je zielenią, potrząsnęła myrtem. Łza nie upadła z jój oka, westchnienie nawet nie wybiegło z piersi. Na pięknym jój obliczu śmierć nie wycisnęła jeszcze piętna. Ale kiedy weszła do małżeńskij komnaty, siły opuściły ją nagle. Zalała się łzami na myśl, że inna szczęśliwsza od niej kobieta, zastąpi ją przy drogim Admecie. Wyszła z komnaty i powróciła znowu. Ciężko jój było rozstać się z miejscem, gdzie zostawiała tyle wspomnień! Drobne dzieciny czepiały się jój szat i płakały. Biedna matka tuliła je do łona, darzyła po kolei ostatnią pieśczo-tą, ostatnim pocałunkiem, a potem wyciągnęła rękę do niewolnic, do każdej wyrzekła słodkie słowo.

A małżonek płakał rzewnie i przyciskał Alcestę do serca, jakby chciał gwałtem zatrzymać ją na ziemi.

Młoda kobieta pragnie zobaczyć światło dzienne, które nigdy już nie uśmiechnie się do niej. Wsparta na ramieniu męża, otoczona dźwiatwą, wychodzi z pałacu. Wita słońce, pogląda w stronę ziemi ojczystej, kędy zbiegła jój młodość, nim przybyła do domu Admeta.

Próżno mąż zatrzymać ją pragnie, Alcesta nie może pozostać. Nieprzeblagane bóstwo pociąga ją gwałtem... to śmierć. Zrazu kobieta odrzaca jój chłodny uścisk. Trwoży się tej drogi



dalekiój, nieznanój, którą widzi przed sobą. Drży, chwije się, zmrok pada jój na oczy. Sługi sadzą ją, w krześle pół omdlała.

„Dzieci moje, wyszepce po chwili, dzieci ukochane, stało się, wy już nie macie matki! Życie szczęśliwie, niech wam długo polyska dzienne światło!“

Słowa Alcesty ciężko ranią serce Admeta. Błaga żonę, niechaj go nie opuszcza, on bez niój żyć nie zdolny.

Konająca przemogła trwoję. Z duszą pełną spokoju, wyraża królowi ostatnią wolę swoją. Przedstawia mu czém była dla niego. Okupiła jego dni poświęceniem własnego życia, a jednak mogła w nowych związkach nowym zaświecić blaskiem. Ale czém dla niój życie bez Admeta? Nie chciała aby dzieci jój były po oju siérotami. Kiedy starzy rodzice wzbraniiali się okupić życie jedynaka, szczątkami dni zwiędłych, ona poświęciła za męża swoją kwitnącą młodość. Niechże on w zamian przyrzeknie uroczyście, że nie pokrzywdzi biednych siérot, że im nie da macochy.

Admet zapewnia Alcestę, że żadna kobiéta nie zastąpi jój miejsca przy domowém ognisku. Nie zrzuci on szaty żałobnej. O ścianach pałacu nie odbije się nigdy dźwięk pieśni, ani wrza wa godowa. Z jój skonek straci życie dla niego wszelki urok. Jedyną mu pociechą będzie posąg marmurowy, powtarzający wiernie jój postać, pomieszczony w komnacie. Błaga Alcestę, niechaj we śnie pojawi się niekiedy oczom jego. Gdyby Admet miał geniusz Orfeja, poszedłby jak małżonek Eurydyki i wyrwałby ją z paszczy piekieł. Niechajże czeka ukochana, a skoro on dobieży kresu dni, otworzy się dlań wieko cedowego sarkofagu i położy obok niój głowę.

„Śmierć—rzecze—nie oddzieli mnie od ciebie, bo ty jedna byłaś mi wierna!“

Alcesta bierze dzieci na świadectwo, jako mąż nie zawrze nowych związków. Oddaje każde z nich w ręce Admeta, niech on będzie matką siérotom.

Król w rozpacz błaga o jedno jeszcze słowo, o jedno spojrzenie . . . Daremno! . . . Alcesta już skonała.

Martwa nie słyszy nawet łkania dziatwy, nie czuje pocałunku starszego synka, który wspiął się do wezglowia matki i drobne usteczka tuli do synych ust umarłej.

Admet mimo najwyższej boleści, czyni rozporządzenia do pogrzebu. Wszyscy poddani obleką żałobę. Koniom nawet niechaj obetną grzywy.

Chór starców życzy królowej szczęścia w nowój tajemniczój siedzibie, przepowiada, jako poeci, ulubieńcy muz, znajdują w jój poświęceniu przedmiot do nieśmiertelnój pieśni. Eurypides wypełnił wróżbę wieszczą.

Podczas kiedy słudzy krzątają się pilnie, Herkules w podróży do ziemi Traków, zachodzi na nocleg w progi pałacu. Przyjmuje gościa Admet z krótko strzyżonym włosem, z rumianami od łez oczyma. Wyznaje że utracił drogą sercu osobę, lecz nie mówi że zmarła należy do rodziny. Gdyby oznajmił śmierć królowej,

zmusiłby Herkulesa do szukania przytułku pod innym dachem, król uchyliłby prawom gościnności.

Skoro Herkules wszedł do gościnnych komnat, Admet wyprowadza orszak pogrzebowy. Niewolnik, któremu rozkazano służyć podróżnemu, opuszcza komnatę, i wychodzi przed pałac. Bolesnie mu było patrzeć na gościa spełniającego wesoło czasę, w domu pokrytym żałobą. Opowiada jak wstrętnie on i jego towarzysze, czynią zadość woli królewskiej, ukrywając łyzy swoje przed gościem. Biedny sługa! musi zastawiać ucztę, podczas kiedy królowa oddała się na zawsze; nie może iść za nią, ani dotknąć jej ręki, ani zapłakać nad dobrą panią, która była matką sług, i umiała zawsze hamować króla, kiedy był gniewnym na nich!

Herkules nadchodzi. Nagania niewolnika, że twarz smutną ukazuje przed gościem. Sługa zdziwiony iż podróżny nie zna przyczyny jego smutku, opowiada co zaszło. Bohater wyrzuca sobie, że mimowoli zakłócił żałobę Admeta. Zapytuje kędy Alcesta pogrzebiona? wnet pospiesza do grobu; tam zaskoczy on drogę śmierci, stoczy z nią bój, z zimnych jej objęć wydrze młodą i piękną ofiarę. Jeśli nie spotka posępnę bogini, gotów zstąpić nawet do piekieł. Bądź co bądź powróci towarzyszkę temu, który przez cześć dla niego stłumił gwałtowną boleść.

Powraca Admet. Z rozpaczą, w sercu patrzy na piękny pałac. Wspomina chwilę, kiedy w te progi wprowadził po raz pierwszy uroczą małżonkę. Wówczas pieśni hymenu pobrzmiwały szczęśliwej parze, dziś pobrzmiwają samotnemu łyzy i żałosne jęki! Nie ma siły przekroczyć tych progów! Co odpowie sierotom, kiedy z płaczem zapytają o matkę.

Chór opiewa niezblaganą potęgę konieczności. łyzy żalu nie wskrzeszą umarłej. Wieczna chwała téj, której życie było pasmem cnót, a śmierć najszczytniejszém poświęceniem.

Tu nadchodzi Herkules. Towarzyszy mu kobiéta w zasłonie. Bohater wymawia królowi, czemu zataił przed nim śmierć Alcesty? Oznajmia że przedsięwzięje nową wyprawę na Traków. Na czas nieobecności, powierza królowi niewiastę, którą zdobył w zaciętej walce. Gdyby nie wrócił, ona zostanie u Admeta.

Król wzbrania się przyjąć pod dach swój branki Herkulesowej. Nie zniósłby widoku téj niewiasty. Jej stopa nie przekroczy progów gineceum: byłoby to zniewagą umarłej. Rzecz dziwna! postać kobiety przypomina Alcestę! Widok jej rani serce Admeta. Niechże z tych miejsc ustąpi co żywo.

Bohater usiłuje powściągnąć żal królewski, upewnia, że wpływ czasu zablźni jego rany, przedstawia urok nowych związków.

Admet oburzony podobném przypuszczeniem, zapowiada stanowczo, że woli śmierć niż złamanie wiary.

Pokonany wreszcie prośbą Herkulesa, rozkazuje sługom zaprowadzić brankę do gościnnych komnat pałacu. Herkules prze-

kłada, że prawa gościnności nakazują królowi być samemu jęj przewodnikiem. Król ze wstrętem bierze dłoń nieznajomęj.

— Trzymasz ją? zagadnie Herkules.

— Trzymam, odrzecz Admet.

— Niechajże pozostanie twoją, abyś mógł powiedziéć, że syn Jowisza umie być wdzięcznym gościem.

To rzekłszy Herkules odrzuca zasłonę z oblicza obcęj kobięty: Admet poznaje w nięj Alcesteę.

Młoda małżonka słodkiém tylko spojzeniem odpowiada męzowi. Stoi milcząca i nieruchoma jak posąg. Nie wolno jęj przemawiać do nieśmiertelnych, póki nie złoży ofiary bóstwom piekieł.

#### IV.

Ze sceny stworzonęj geniuszem wielkich poetów, autorka przenosi nas na szerszą jeszcze scenę, na rzeczywiste pole historyi. Mało niewiast ateńskich odgrywa rolę na tém polu; występują tu głównie córy Grecyi północnéj, niewiasty Doryckie i Eolskie. Historyczne to studyum zbyt ważne aby je streścić w kilku pobieżnych słowach, postanowiliśmy dać je w osobnym przekładzie, kronikę zaś naszą zakończymy dziś wyliczeniem kobiet, których imiona zaświeciły niezgasłym blaskiem w dziejach literatury i sztuk pięknych uprzywilejowanego ludu Helenów.

Tak samo jak w historyi, Doryckie i Eolskie niewiasty okazują w dziedzinie sztuki wysokie zdolności umysłowe, rozwinięte staranném wychowaniem. Do nich to liczymy owe dziewięć wieszczek, które poeta Antipater nazwał muzami ziemskimi.

Autorka prowadzi nas najprzód na wyspę Lesbos, kędy skały wychylają granitowe czoła z poza cieniowych lasów, kędy potoki huczą wśród niezgłębionych jaskiń. Od wschodu widnokrąg się rozjaśnia, stoki gór pokryte zbożem i oliwą chylą się łagodnie ku morzu, woń pomarańcz zaprawia powietrze słodką wonią, plusk fali pobrzmiwa dźwięcznie, czasami jednak zmienia się w głuchy łoskot.

Taka jest ojczyzna Safony, sławnęj niewiasty, któręj geniusz dziki i łagodny naprzemian, harmonijnie odpowiada ziemi, co ją wykołysała.

Urodzona w Mytelenach (612 przed Ch.), Safo wzrosła w atmosferze poezyi, miłości i sztuki na Lesbos, gdzie starożytne mythy pomieścily kolebkę Orfeusza. Wieszczka śpiewała, a natchniona pieśń była odbiciem uczuć miotających jęj duszę.

Medal Mytylenski przedstawia oblicze poetki. Rysy jęj kształtne, na ustach spoczywa słodki uśmiech. Ale piękność to ziemska, nie dopatrzyc w nięj wyższego ideału.

„Wizerunek ten świadczy, mówi autorka, że Safo myślała o ziemi, nie marzyła o niebie. Przedmiotem jęj pieśni, zawsze ziemia, czy to opiewa ranną zorzę, budzącą lud do całodziennęj pracy, czy zmierzch wieczorny, kiedy bydło powraca z łąki, a znużo-

ny pasterz zasiada u ogniska, czy też noc usrebrzoną księżycowym promieniem. Safo opiewa ziemię, kiedy wsłuchuje się w szum strumienia gwarzącego pod rozkwitłą jabłonią, kiedy podziwia cudowną piękność róży, gdy w hymnie pogańskim odkrywa rany własnego serca i wzywa na pomoc Wenere swoją wszechwładną panią.

Poetka owdowiata w wieku młodym, rozrzuca hojnie uczucia; myśl nawet o córce, miłej Kleis, nie krępuje wcale jej zapędów.

„Mam ja dziecko, śpiewa Safo, cudną jak złotolistny kwiatek, Kleis, moją Kleis ukochaną. Nie oddam jej za nic, gdyby mi nawet dano Lydyą całą, lub uroczą Jonią.

„Nieprzebłagana potomność—dodaje autorka—jeżeli uczciła w Safonie wielką poetkę, życie jej potępiła surowo. Dla szczytu płci naszej pragnęlibyśmy wierzyć, że najznakomitsza z wieśczech greckich, nie była zarazem najprzystępniejszą z niewiast. Nieszczęciem dziewięć ksiąg, jakie zostawiła, smutne dają świadectwo. Aby zrehabilitować pamięć Safony, należałoby wydrzeć z owych ksiąg sławną odę, arcydzieło talentu, ale hańbę jej życia.

„Pamięć o mnie, nie przeminie ze śmiercią!“ śpiewała Safo, jakoż pieśni jej zyskały nieśmiertelność. Grecy oczarowani geniuszem poetki, uczcili w niej dziesiątą muzę. Wizerunek jej odbijali na monetach, wznosili jej posągi, nawet w dalekiej Sycylii.

Obok wieszczki z Lesbos, słabszym ale czystszy blaskiem przyświeca skromna Eryнна. Przy domowym ognisku, przedąc wełnę lub tkając płótno w krosnach, obmyśliła dziewica pięknym poemat na cześć wrzeczona.

Poemat ten zaginął. Ale pisarze starożytni podziwiają niepospolitą jego piękność, stawiając poetkę obok Homera. Jeśli Eryнна nie dorównała Safonie w poezji lirycznej, przyznano jej pierwszeństwo w poważnych heksametrach.

Poeci porównywali do plastra miodu tę pracę cichój pszczołki, zebraną z najczystszych ziół na Helikonie. Wiersze jej tęgęły jak mówiono, świeżością i wonią wiosenną. Równano je także do pieśni łabędzia, który według tradycji ludowej, najcudniej śpiewa kiedy czuje zgon rychły. Słynny rzeźbiarz oddał dłutem jej niewinną postać, lecz posąg ten zaginął, równie jak utwory poetki.

Tę samą harmonią, między pieśnią a życiem, widzimy w Telezylly. Wątką z natury, błagała bogów o dar zdrowia. Z ich to natchnienia zapisała się w służbę muzom.

Telezylła przy pracy umysłowej odzyskała niebawem krzepkie siły. Gdy szlachetny zapal porwał jej duszę, słowo wystarczyć już nie mogło, trzeba jej było czynu. W dniu narodowego niebezpieczeństwa, Telezylła porywa oręż, zbiera towarzyszek, istny Tyrteusz pieśnią, zapala im serca, i na czele ich odpiera Lacedemonów od bram Argos.

Przed świątynią Wenery, Argowie pomieścili płaskorzeźbę z wizerunkiem swój bohaterki. Stoi z głową pokrytą hełmem, u nóg jój leżą księgi.

U samego podnóża Helikonu zrodziły się dwie poetki, jedna z nich była mistrzynią Pindara, druga jego współzawodniczką.

Nie wiemy o ile *słodkośpiewna* Mirtis, jak ją nazwali Grecy, wpłynęła na rozwinięcie gieniuszu Pindara; ale zapisano rady jakie wychowanka jój sławna Korynna dawała młodemu współuczniowi. Wymawia mu, że nadto przywiązuje się do formy wiersza, a zaniedbuje narodowe podania, które są duszą poezji. Przeniknion prawdą tych słów, Pindar utworzył ode, streszczającą w sobie wszystkie Tebańskie mythy. Gdy czytał ją Korynnie, poetka uśmiechnęła się, i z taktem estetycznym, godnym prawdziwej Greczynki, dała mu poznać, że rolnik sieje ziarno ręką, ale nie pełnym workiem.

Pomimo surowych uwag, Korynna tak wielbiła geniusz poety, że miała nawet za złe mistrzyni swojej Mirtis, gdy ta śmiała wystąpić do konkursu z Pindarem. Później przecież sama zdobyła się na podobną odwagę. Pięć razy Korynna pokonała Pindara. Pauzaniusz przypisuje to w części uroczym jój wdziękom, w części zaś eolskiemu jój narzeczu, z którym Tebanie oswojoni byli więcj niż z doryckim dyalektem sławnego liryka. Antipater wysławia szczególniej poemat jój o *helmie Pallady*.

Grób poetki zajmował główny plac w ojcystem jój mieście Tanagrze.

Nossis i Praxilla, policzone także do dziewięciu muz greckich, opiewały miłość na wzór Safony. Anythe z Epidaury podniosła się wyżej. Antipater zowie ją niewieścim Homerem.

Z wdziękiem prawdziwie poetycznym Anythe zaprasza wędrowca, aby spoczął pod cieniem drzew, zakosztował wody ze źródła, przyjął pieszczoty zefiru szumiącego wśród liści. Dowcipnie śpiewa hymn pogrzebowy nad kogutem, który wpadł w ręce złodzieja, a więc nie przerwie już o świcie słodkiego jój spoczynku. Z głębokiem zato uczuciem wspomina skon młoděj dziewczki, którą śmierć wyrwała z ojcowskich objęć, i głos matki nie zwoła jój z za świata. Struny jój liry drgną niekiedy potężną siłą. Z męzkim ogniem opiewa śmierć rycerza, na polu zapasów, i samobójstwo dziewczyny w obec grożącego jój sromu. Napis grobowy skreślony przez poetkę, uderza myślą wysoko filozoficzną:

„Za życia był niewolnikiem, śmierć uczyniła go równym Daryuszowi.“

Ostatnia z dziewięciu muz ziemskich Molro z Byzancjum napisała poemat bohaterski *Mnemosinę*, wiele elegii i epigramatów. Pozostało z nich parę zaledwie w antologii greckiej.

Autorka wylicza cały szereg drugorzędnych poetek, przechodzi następnie do kobiet sławnych na inném polu. Jednej z nich legenda przypisuje piérwszy wynalazek sztuki plastyczněj.

Młoda koryncka dziewczyna Kora, córka garncarza Dibutada, rozstaje się z drogim jej sercu młodzianem. On odchodzi na długo, kto wie, może na zawsze. Ale oto płomień pochodni pada na ścianę; odznacza wyraźnie drogi cień. Kora pragnie pochwycić owe znikome kształty; końcem noża zakreśla profil. Ojciec nalepia glinę według zarysu, kładzie ją w piec, otrzymuje trwałe wizerunek.

Kilka też niewiast greckich zasłynęło w malarstwie. Timareta córka Mikona, odtworzyła postać Dyanny, według wzoru ze sławnej świątyni w Efezie. Irena córka malarza Kratinusa wykonała obraz dziewicy przechowywany w Eleuzys. Najwyższą ze wszystkich sławę pozyskała Lalla, rodem z miasta Cyzyku ulubionego Apolinowi.

Lalla była pierwszym malarzem swego czasu. Równie biegle władała pędzlem, jak wyrzynała rylcem obrazki na kości słoniowej. Pliniusz opowiada, że za czasów jego podziwiano w Medyolanie wielki portret stariej matrony, przypisywany tej mistrzyni. Wykonała także własny wizerunek w zwierciadle.

Znaleziono w Pompei małowidło przedstawiające młodą artystkę. Antykwaryusze poznają w obrazie rysy Lalli.

Kobieta siedzi na ławie kamiennój pod portykiem, wlepiła oczy w posąg Bachusa i przenosi ten przedmiot na tablicę, którą podtrzymuje dziecko. W prawej ręce ma pędzel; zanurza go w skrzyneczce stojącej na gzymsie kolumny, w lewej trzyma paletę.

Młoda kobieta ubrana w bogate draperye; włosy jej otoczone przepaską złotą, spadają wijąc się na szyję i plecy. Spojrzenie głębokie, wyraziste, rozpłomienia kształtne jej rysy. Jeżeli to rzeczywiście jej portret, Lalla była cudownie piękną, a jednak prawdziwą kapłanką sztuki, nie zawarła małżeńskich związków.

Przejdźmy nakoniec w dziedzinę filozofii; i tu kobieta grecka przyłożyła cegłę własną do budowy ogólniej. Pythagoras założył w wielkiej Grecji w mieście Krotonie szkołę filozoficzną, opartą na spirytualizmie. Doktryna ta przemówiła do wyobraźni kobiet. Spragnione wiedzy krotkańskie niewiasty, porzucając nagle świetne stroje, składają klejnoty na ołtarzu Junony, i garną się z zapalem w progi sławnego filozofa.

Z pomiędzy tych uczennic pythagorejskich, wiele zasłynęło w literaturze, najświetniej ze wszystkich błyszczy Teano, urodzona w Krotonie; tradycya mieni ją małżonką Pytagoresa. Zarówno piękna jak rozumna, Teano przeżyła dni z surowym filozofem, w niezmaconej wierze i miłości. Wspólna praca, tym silniejszym węzłem łączyła serca i umysły małżonków.

Córka ich Damo, odziedziczyła spadek miłości nauki po rodzicach. Z prac jej cytują znakomite komentarze nad Homerem, podziwiano zarówno moc jej duszy, jak i wysoką inteligencyą. Ojciec umierając oddał jej drogocenną puściznę, własnoręczne swe pamiętniki, z wyraźnym poleceniem, aby strzegła pilnie tego daru, i nie oddawała go nigdy w obce ręce. Naprawdę

ofiarowano jej wielkie summy za rękopisma: Damo wołała żyć w ubóstwie, niż przełamać wolę zmarłego.

Po śmierci Pythagoresa, Teano kierowała jego szkołą, przy pomocy dwóch synów. Dyogenes z Laertu utrzymuje że napisała wiele dzieł; z tych pozostały tylko trzy listy i fragment filozoficzno-moralny, z dzieła o *pobożności*.

Panna Bader daje w przekładzie te urywki, zarówno jak pozostałe części rozpraw dwóch innych Pytagoryanek; Perictione i Phyntis.

Ramy kroniki naszej nie pozwalają nam przytoczyć w przekładzie polskim, tych ważnych zabytków, wydobytych na światło z pod dwudziestowiekowego pyłu przez pracowitą erudytkę. W innym czasie będziemy chcieli obznajmić z nimi czytelników.

Teano w pierwszym liście daje przyjaciółce mądre rady, co do wychowania dzieci. Zaleca szczególnie, aby wyrabiać ich wolę i charakter, a ciała nie rozmiękczać zbytkiem i pieszczotą. Nie są to bynajmniej nudne moralne sentencje; przeciwnie, rady Teano praktyczne, pełne życia, znać wybiegły z pod pióra doświadczonej matki i obywatelki troskliwej o wychowanie młodych Greków. „Czuwaj pilnie—kończy Teano—aby jako winna latorośl co nie wydaje owocu, gdy nie prowadzona biegłą ręką, dzieci twoje nie nabrały wad zarozumienia i próżności.“

W drugim liście Teano uczy przyjaciółkę jak powinna utrzymać pokój domowy, przekonana będąc o wiarołomstwie męża; jak niezmaconą słodyczą zawstydzić przestępnego; jak próżnemi skargami nie ubliżać własnej godności; jak unikać rozwodu i strzedz się nowych związków, a tém samém nie narażać na nowe próby i zawody; jak zachować w pokoju serce własne, wśród codziennych udręczeń. „Kiedy cię oko boli—dodaje w końcu—nie dotykaj go ręką, bo je zagnisz; kiedy masz w sercu troskę, oddalaj od niej myśl, by nie rozjątrzać rany.“

W trzecim liście upomina Teano młodą kobietę, jak ma obchodzić się z niewolnicami, jak łagodnym słowem zjednać sobie ich miłość: „Kupisz ciało, lecz serca nie kupisz za pieniądze.“

Ustęp z dzieła Perictiony: o *harmonii w kobiecie*, uderza wielką powagą. Fragment pióra Phintys o *Niewinności kobiecej*, pełen życia i prawdy.

Na pytanie, ażali przystoi kobiecie uczyć się nauk filozoficznych, Pythagorejka odpowiada z wielką trafnością sądu:

„Inne są prawa właściwe mężczyźnie, inne znów właściwe niewieście, ale są i wspólne prawa, właściwe im obojgu. Rzeczą jest męża ćwiczyć się w wojskowości, zawiadywać sprawami państwa, przemawiać w obec tłumów. Rzeczą niewiasty przebywać w domu, utrzymywać w nim porządek, ale właściwem jest obojgu tak mężowi jak i niewieście, wyrabiać w sobie rozum, moc duszy, pojęcie sprawiedliwości. W porządku zaś moralnym, główną cnotą mężczyzny—siła, niewiasty—nieskażona czystość.

Zobaczmy wreszcie konkluzję panny Bader.

„W rozmaitych epokach cywilizacji greckiej, Arystoteles, Xenofont, Plutarch, równie jak i filozofki szkoły Pythagorejskiej, określili postąnnictwo kobiety, które chrześcijaństwo rozszerzył i uświęcił. Wielcy ci myśliciele ukazywali nam niewiastę, kształcącą umysł przy tém ognisku domowém, co ożywiało jój serce i było tarczą jój niewinności. Widzimy ją tam, jak szuka w mężu téj harmonii, którą i on nawzajem w niej znajduje; jak tchnie w dziatki życie moralne, jak napełnia dom cały miłością i pokojem.

„Tak więc nawet u ludów żyjących w politeizmie, słowo objawiało się duszom wybranym, przed owym jeszcze dniem, kiedy objawione w Ewangielii, miało wskazać ludzkości nowe prawa.“

„W pojęciu starożytnych, jedyném przeznaczeniem kobiety było małżeństwo i macierzyństwo. Prawo chrześcijańskie uznając w niewieście osobistą jój wartość, przygotowało w niej nie tylko towarzyszkę dla męża, ale prawdziwą córę Bożą, i kiedy krzyż rozpostarł nad Grecyą ramiona, które zbawiły świat, bogini spadła z piedestału, ale niewiasta podniosła się do prawdziwej godności.“

## PIŚMIENICTWO

### KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Synodus archidioecésana Gnesnensis praesidente Stanislao Karnkowskim Archiepiscopo Gnesnensi et Primate Regni Poloniae, Lovicii an. Domini 1583 celebrata, nec non Articuli alterius synodi ejusdem dioecesis sub Jacobo Uchański Archiepiscopo habitae, nunc primum ex archívo venerab. Capituli Cathed. Vladislav. Zeno Chodyński, Direct. Semin. Vlad. edidit. Varsaviae, 1872, pag. 68.*

W archiwach kapitał, o tém nie wątpimy, mieści się nie mało materyału do dziejów kościoła polskiego. Na tych, co łatwiejszy niż inni przystęp do nich mają, ciąży poniekąd obowiązek odszukania i wydobycia na jaw tych cennych źródeł. Któż najwłaściwiej zająćby się powinien przygotowaniem pojedynczych monografij z dziedziny dziejów kościoła, jak nie ci, co lata całe obok nieprzebranych pod względem bogactwa archiwów spędzają? Mieliśmy już piękne na tém polu zawiązki, w ostatnich jednak czasach coraz rzadziej o podobnych usiłowaniach słyszeć można. Świeckie pióra żywsze zdają się w tym względzie objawiać zajęcie. Może praca ks. Chodyńskiego pochwały godna ze wszech miar, zwiastuje nam zwrot ku



głośniejszej nieco działalności. Taki objaw byłby wielce pożądanym.

Niewielka książeczka, którą mamy przed sobą, podaje ważne przyczynki do dziejów kościoła polskiego. Staraniem ks. Chodyńskiego wydane w niej zostały uchwały dwóch synodów, odbytych pod przewodnictwem arcybiskupów gnieźnieńskich. Jeden z tych synodów dyecezyalnych złożony został przez prymasa Stanisława Karnkowskiego w Łowiczu w r. 1583. Dotychczas dwa tylko tegoż arcybiskupa znane były z uchwał drukiem ogłoszonych, mianowicie z r. 1593 i 1603. Obecnie przybывают postanowienia trzeciego synodu, mieszczące się w wydaniu ks. Chodyńskiego. Prócz ogólnej wartości jako materiał historyczny, objaśniający działalność Karnkowskiego, mają także rzeczony uchwały w szczegółowych artykułach swoją wagę. Jeden z nich podaje wiadomość o założeniu seminarium dyecezyalnego, którego początek błędnie dotychczas do r. 1591 lub 1593 odnoszono. Następne artykuły rzucają światło na stosunek duchowieństwa do nowo powstałego trybunału koronnego, oraz wykazują, jak rozstrzygnięte zostały pojedyncze pytania, ściągające się do deputatów wysyłanych przez duchowieństwo na posiedzenia trybunału koronnego. W ciągu pierwszych lat (od 1578 r.) wszystkie koszta na opatrunek czyli diety sędziów, deputatów, ponosił wyłącznie arcybiskup i opaci wraz z klasztorami. Na synodzie zaś Łowickim w r. 1583 oświadczyli opaci, że nadal tych ciężarów ponosić nie będą; postanowiono więc wydatki na utrzymanie seminarium i sędziów trybunalskich w ilości 2400 złp. rozłożyć na całą dyecezyą t.j. na duchowieństwo zarówno świeckie jak zakonne. Zostali w tym celu ustanowieni rewizorzy, którzy mieli po zbadaniu dochodów każdego probostwa oznaczyć ilość opłacać się mającej składki. Wyznaczeni w tej mierze poborcy mieli obowiązek zbierania składki wedle stałej taksy. Uchwalono także na tym synodzie sposób dzielenia ogólnej summy na potrzeby seminarium i sędziów deputatów.

Dalsze uchwały wydane przez ks. Chodyńskiego odnoszą się do synodu, złożonego przez poprzednika Karnkowskiego na arcybiskupiej stolicy, Jakóba Uchańskiego, i składają się z artykułów proponowanych oraz uchwalonych (*Articuli propositi et decisi*). Rok i miejsce synodu niewiadome. Wydawca mniema, że to był synod archidyecezyi gnieźnieńskiej, odbyty w końcu 1580 lub na początku 1581 r. Domysły we względzie roku oparte są na wskazówkach bardzo trafnie przez wydawcę zestawionych. Zostaje tylko wątpliwem, czy synod odbył się w 1580 czy w 1581 r.? Przechodzimy w tym razie w pomoc wydawcy z naszym wnioskiem opartym na danych, poczerpniętych z innych źródeł. W uchwałach tego synodu § 12 głosi, że na deputatów trybunalskich wybrany został w tym roku Sebastyan Brzozowski dziekan Gnieźnieński. W aktach Trybunału koronnego Piotrkowskiego mieszczących się w tutejszém Archiwum Główném, znajdujemy właśnie Sebastyana Brzozowskiego w liczbie sędziów deputatów z r. 1580 (*Iud. Trib.*

*celebrata feria secunda post festum S-ii Martinii 1580*). Synod więc odbyć się musiał przed rozpoczęciem posiedzeń Trybunału w listopadzie, a więc w każdym razie nie później jak w jesieni 1580 r. Z różnych postanowień tego synodu jedno godniejszym uwagi być się zdaje. Punkt 9-y uchwała zgodnie z jednogłośnym życzeniem plebanów, aby znieść wizyty odbywane przez Archidyakonów corocznie w każdym probostwie, gdyż te częste odwiedziny kontrolującego zwierzchnika, pozbawiają plebanów wszelkich dochodów, a natomiast zaprowadzić dawnym zwyczajem co lat trzy powtarzające się wizyty Archidyakonów.

W końcu wydania pomieszczono cztery listy arcybiskupa Karnkowskiego do różnych zwierzchników w Rzymie, pisane celem uzyskania pozwolenia na założenie szkoły wyższej dla młodzieży w Kaliszu.

Staranna w ogóle praca w wydawnictwie, niewielki lecz na miejscu będący wstęp z objaśnieniem kilku wątpliwych pytań, tu i owdzie dodane w ciągu tekstu uwagi, świadczą o przygotowaniu wydawcy na tém polu działalności, o szczerém zamiłowaniu do przedmiotu, co nam pozwala spodziewać się po ks. Chodyńskim obszerniejszych przyczynków do dziejów kościoła naszego.

A. P.

---

*Bibliografia Polska, 120,000 druków. Część 1. Stulecie XIX. Katalog 50,000 druków polskich lub Polski dotyczących od r. 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem dzieł księgarskich, przez K. Estreichera. Wydanie Towarzystwa naukowego krakowskiego, staraniem Kommissyi bibliograficznej. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1870 (w wielkiej 8-ce).*

Dzieło to ogromnych rozmiarów, którego pierwszy zeszyt wyszedł w roku 1870, a ostatni zamykający część pierwszą w roku bieżącym, kosztowało autora przeszło dwadzieścia lat pracy. Druk idzie powoli, albowiem w tak mozolném wydawnictwie, pośpiechu być nie może, i tak jak sam autor utrzymuje—całość prędkiej jak w ciągu lat sześciu ukończoną nie zostanie.

O ważności bibliografii nie potrzebujemy się tu rozpisywać, dosyć tylko przypomnieć, że bez tego materiału historia literatury istnieć nie może. Michał Wiszniewski piorunująco zgromił bibliografów, ale jak dobrze K. Estreicher we wstępie swoim wyraża: „najgenialniejszy z erudyków polskich niesłusznie rzucał gromy, o czém sam się przekonał, gdyż w dalszych tomach *Historji literatury* niemając przygotowanych przez drugich materiałów bibliograficznych, sam jął się materiałem ten przysposabiać i mimo woli stał się bibliografem.“

Bibliografia będąc sumiennym *inwentarzem* całego skarbu umysłowego narodu, w suchych na pozór spisach tytułów dzieł i ich daty wyjścia, podaje myślicielowi możność do zbadania stopnia oświaty, rozwoju literatury i prac pojedynczych jednostek. W ocenie tych właśnie jednostek, jak ich talent coraz wyższego nabierał polotu, jak męźniał i dojrzewał, bibliografia przychodzi z pomocą, notując latami każdy drukiem ogłoszony utwór. I krytyka naukowa nigdy nie pobłądzi, wsparta na ramieniu bibliografii. W naszych czasach dopiero uznano całą ważność statystyki i owych *cyfr* martwych, które są wskazówkami najwymowniejszymi tak stron dodatnich jak ujemnych każdego narodu i państwa. Częścią żywotną téj statystyki jest bibliografia, z tą różnicą, że jak pierwsza obejmuje stronę materyjalną, tak druga duchową. Obiedwie zaś dają świadectwo niezaprzeczone postępu i wzrostu w obu kierunkach każdej społeczności.

Z tego widzimy, jak wielkie oddaje usługi bibliografia, tak na pozór odstręczająca suchością swego przedmiotu i jak nieocenione są trudy tych pracowników, którzy się jęj przez długie lata, a nieraz całe życie oddają.

Mamy niemały szereg bibliografów, poczynając od pierwszych lat XVII stulecia; wymienia ich K. Estreicher w swéj przedmowie. Ale najważniejsze prace w tym kierunku są zdobyczami już naszego wieku.

Zaczynając od Tadeusza Czackiego, Jerzy Bandtkie zajmuje wydatne stanowisko, po nim Feliks Bentkowski, Hieronim Juszyński, J. M. Ossoliński, a zamyka ten poczet Joachim Lelewel autor *Bibliograficznych ksiąg dwoje*: pomijając wielu innych którzy mniejszemi pracami ubogacali tę niwę (1). Lelewel skreślił teorią bibliografii, dzieje bibliotek i drukarstwa w Polsce, uzupełnił i prostował J. Bandtkiego i pierwszy nauczył rodaków z jaką sumiennością należy opisywać rzadkości bibliograficzne, czyli tak zwane *białe kruki*. Za nimi téż przez lat kilka starannie się ubiegał nie w deżobliżance, czyli pojedynczój karetce (jak sam wyraża „*do swoich ksiąg bibliograficznych*“), ale na furmańskiej bryce biore się do téj przemowy. W tę chwilę sam jeden prawie pod gołem niebem opuszczony od świata, tylko starozakonny filozofujący woźnica mnie towarzyszy, sam jeden puszcza myśl wśród słoty pogodną. Takie to podróże odbywał po bezdrożach ówczesnych wielki badacz i historyk, aby zobaczyć na własne oczy jakąś rzadkość bibliograficzną i opisać owego białego kruka.

Zamiłowanie do gockich druków i starych ksiąg, roznieca pierwszy Feliks Bentkowski swoją *Historją literatury polskiéj*,

(1) Zwracamy uwagę szanownego autora Bibliografii Polskiej, że w Bibliotece Warszawskiej przez ciąg kilku tomów w pierwszych latach jęj istnienia, znajdują się wiadomości do *Bibliografii starożytnej*, z tego względu mające swą wartość, że autor jęj każde dzieło jakie opisywał miał w swém ręku, przeczytał i treść jego podaje.

wywołuje on mnóstwo bibliomanów, którym zawdzięczamy ocalenie od zagłady wielu szacownych zabytków drogocennych, i zapal taki roznieca, że Tytus hr. Działyński z zawołanego koniarza przeobraża się w bibliomana i zakłada stynną bibliotekę w Korniku.

Ten pogąd szlachetny daje nam poznać skarby literatury XVI w., ale mniej dbano o XVIII w., a jeszcze mniej o nasz okres. Pozostaje bibliografom naszym ułożyć *Inwentarz* umysłowy z epoki Stanisława Augusta, wielce bogaty i z naszego stulecia. To ostatnie zadanie i potrzebę naglącą spełnia K. Estreicher.

Zanim poznamy równie dokładnie jak znamy już dobę od ostatnich Jagiellonów do Zygmunta III, w której tak świetnie jaśnieje oświata w narodzie i literatura, wiek XVII i XVIII, zbadanie naszego stulecia w którym stanowczy przełom w pojęciach naszych nastąpił, witając narodziny i wzrost oryginalnej literatury narodowej, jest najważniejszym zadaniem dla dzisiejszej społeczności. Teraz literatura nasza ma już wytkniętą drogę po której stąpać powinna, niezbaczając w żadne bezdroża, ażeby odpowiedziała godnie swemu powołaniu. Do wiernego jój obrazu i wykazania w całej obszerności jój zasobów, we wszystkich gałęziach wiedzy przychodzi w pomoc dzieło o którym mówimy. Teraz będzie możliwą zupełna i wyczerpująca historia literatury XIX wieku, pięćdziesiąt tysięcy druków składa się na ten skarbiec umysłowy: jest w czem się rozpatrywać i jest co badać, ażeby dać ocenę postępu i rozwoju narodowego ducha.

Z łona Towarzystwa naukowego krakowskiego wyszły dwie Komisyje: bibliograficzna i historyczna. *Dr. Franciszek Nowakowski* rzucił piérwszy myśl zawiazania bibliograficznej, zaproponował druk Bibliografii K. Estreichera, obmyślił fundusz wystarczający na wydrukowanie piérwszego zeszytu, jako téż zapomogę na druk w latach następných. Kiedy autor *Bibliografii* z gotowym rękopismem przybył do Warszawy i objął posadę pod-bibliotekarza w b. Szkole głównej Warszawskiej, część dziś się drukująca obejmowała do 35,000.

Zmarły S. Orgelbrand zajęty wydawnictwem *Encyklopedyi powszechnej*, oceniając ważność téj pracy, po ukończeniu rozpoczętej publikacji swój, zamierzał drukować tę Bibliografię i drugi księgarz warszawski Cels Lewicki okazał się gotowym do jój wydania. Ale okoliczności zmieniły ten zamiar, dzieło zyskało na przewlocze, bo obecnie wychodząca Bibliografia powiększyła się o 15,000 druków.

Tom ten oprócz wstępu po polsku i po francuzku, samego tekstu od litery A do Fuss: obejmuje stronnic 523. we dwie szpalty drukiem drobnym *petitem*, nie licząc obszerných dodatków. W końcu podaje listę prenumeratorów na 200 egzemplarzy, cały zaś nakład o ile wiemy pięćset wynosi.

Autor żąda sumiennój naukowej krytyki swego dzieła, któremu więszą połowę życia poświęcił bez żadnej nadziei jakiegokolwiek zarobku. Jestto praca podjęta w poczuciu czysto obywatelskiego

obowiązku i musiała pozyskać ludzi dobrej woli pomoc materyjalną, ażeby wyszła na widok publiczny.

Zaprawdę ze wszystkich względów tak wykonania jak swęj wartości zasługiwałoby dzieło to na poważną krytykę, gdyby takowa była możliwą; ale wedle naszego zdania takiej krytyce ulegać może tylko układ sam *Bibliografii*, wstęp na czele pomieszczony, w którym mamy poczet pisarzy zarówno jęj się poświęcających, jak i tych którzy opracowali *Historyę literatury polskięj*, sam zaś właściwy tekst wymagać może i powinien jedynie dopełnienia i sprostowania omyłek i opuszczeń.

Tak pojął dobrze Dr. Wł. Wisłocki, gdy zaraz po wydaniu pierwszego zeszytu tęj *Bibliografii*, ogłosił w roku 1870 we Lwowie: „*Uwagi nad pierwszym zeszycem Bibliografii Karola Estreichera*.“ (Wydanie w 100 tylko egzemplarzach w 8-ce).

Uwagi te obejmują 47 stronnic bitego druku, wykazując usterki i opuszczenia, jakich w tak wielkich rozmiarach dziele niepodobna uniknąć. Po nim Dr. Stanisław Janikowski napisał: „*Uwagi nad dziełem K. Estreichera*“ i umieścił w piśmie: „*Przegląd Lekarski*“ wydawany staraniem oddziału Nauk lekarskich, Towarzystwa Naukowego Krakowskiego 1870 r. (w 4-ce od Nr. 37 do 40). Teraz, gdy cały tom obejmujący cztery zeszyty wyszedł z pod prassy, oczywiście znakomicie powiększyły się musiały te poprawki i uzupełnienia. Praca tego rodzaju już do właściwęj krytyki nie należy, ale jest tylko życzliwą a braterską pomocą dla autora, ażeby w dalszym ciągu wydawnictwa mógł z nięj korzystać.

Co do układu samego dzieła, według naszego zdania autor winien był z rozpoczęciem druku zamknąć takowe, jak je wykończył w rękopiśmie, a dopełnienia i dodatki jakie uznała konieczne, zachować do ostatniego tomu: przyłączane bowiem do każdego zeszytu osobno, wytworzą z czasem nadzwyczajną trudność w odszukaniu jakiegokolwiek dzieła, które w głównym spisie wypuszczone zostało.

Prace Polaków pisane w obcych językach, jak tylko nie odnoszą się do stosunków Polski, i nie zajmują się jęj dziejami, literaturą, oświatą lub życiem społecznęm, lecz oddane sprawom obcym, powinny stanowić dział oddzielny, bo nie należą do bibliografii polskięj i zadaniu dzieła jakie mu autor nadał. Do tego działu należą wszystkie pisma *Ignacego Domejki*. Podobnie oddzielny dział stanowić powinny dzieła odnoszące się pośrednio do naszęj bibliografii i będące tylko pomocniczymi, gdy wprost nie mówią o Polsce, (*np.* dzieło Karola Bluma).

Spotykamy pomyłki wydatniejsze, że autor z dwóch pisarzy zrobił jednego, jak *np.* *Bartoszewicza Józefa*, lub dwóch z jednego: są to usterki drobniejsze a wynikające z tego, że źródłem wiadomości były katalogi niedokładne, lub tęcz z pośpiechu omyłki się zakradły. Zwracamy uwagę, że wypuszczone powinny być dzieła, które były tylko zapowiedziane a nie wyszły z pod prassy, ażeby

badacza w błąd nie wprowadziły. Z drugiej zaś strony widzimy godną szczerego uznania ogromną pracę i zabieглиwość w zgromadzeniu samego materiału bibliograficznego, szczególnież w skrzętnym zebraniu prac różnych pisarzy, rozrzuconych po mnóstwie pism peryodycznych. Nie jeden z autorów dotąd objętych, zapomniane już przez siebie własne utwory, znajduje tu najdokładniej wymienione.

Głównym materiałem do bibliografii są katalogi: najdokładniejszy bibliograf *Adam Jocher*, zebrał katalogi polskie i wymienia ich wszystkich 66: K. Estreicher spisał ich przeszło tysiąc; to daje nam wymowną miarę bogactwa jego dzieła.

We wstępie obszernym, który na czele znajdujemy, pouczającym o znaczeniu i wartości bibliografii, mamy zarazem spis wszystkich dzieł dotyczących historii literatury polskiej z ich krytyczną oceną. Jakkolwiek podzielamy zdanie w zupełności co do F. Bentkowskiego i M. Wiszniewskiego, nie możemy się zgodzić na to, co napisał K. Estreicher o „*Historji literatury polskiej potoczny sposobem opowiedzianej*.” (Warszawa 1861 r.) przez Juliana Bartoszewicza. Mówi bowiem „Acz jednostronnie patrzy na autorów, pisał zdrowo i nie przepisywał nikogo.” Słowa te stosować się mogą tylko do piérwszój połowy dzieła tego, czyli do początków XVIII stulecia; co mówi o pisarzach z okresu naszego, to nie wytrzyma najlżejszój krytyki. Najpoważniejsi w tój rzeczy znawcy, jak Michał Baliński, Józef Żukaszewicz i Aleksander Tyszyński, wystąpili zaraz po wyjściu pracy J. Bartoszewicza w Bibliotece Warszawskiej i należycie ocenili głównie drugą jój część, dorywczo, bez znajomości żadnój pospiesznie pisaną, a co główna rzecz przepisywane zdania obcych. Dostyć tu nam przytoczyć lekkomyślny sąd o komedyach Aleksandra Hr. Fredry (na str. 519) żywcem przepisany z rozprawy p. n. „*Nowa epoka poezji polskiej*” w Tomie II-m *Pamiętnika Nauk i Umiejętności* (str. 11) w Krakowie 1835 roku wydanym.

Wśród toku zwykłej bibliografii mamy w tym tomie wielkie dzieła, które mogą służyć za zasobny materiał do dzieł oddzielnych: tak w przypisku znajdujemy (str. 48) w abecadłowym porządku wyliczenie wszystkich kobiet u nas piszących po polsku i w obcych językach. Spis alfabetyczny *czasopismów* i dzieł zbiorowych od najdawniejszych czasów. Obszerny dział w samym tekście zamuje *Dramat i Dramatycy*, obejmujący tak oryginalne jak i tłumaczone utwory. Dla miłośników literatury krajowej, praca ta K. Estreichera, pomimo usterków swoich, które nikną w obec nieocenionój wartości, ma znaczenie pomnikowego dzieła. Wyczekujemy dalszego jego ciągu i otrzymujemy właśnie pożądaną wiadomość, że piérwszy zeszyt Tomu II Bibliografii polskiej opuścił już prasę drukarską.

*Obrazy Wszechświata. Astronomia i Geologia popularna z drzeworytami w tekście. Napisał Dr. medycyny i chirurgii Jan Stella-Sawicki.*

Napisać dzieło popularne w naukach ścisłych, nie łatwe to wcale zadanie; wymaga ono bowiem obok gruntownej znajomości przedmiotu, jeszcze tego szczęśliwego daru jasności opowiadania, który nie każdemu autorowi jest dany. Najczęściej się zdarza, iż jedni poświęcają treść dla formy, drudzy formę dla treści, inni wreszcie ciągłymi wybočeniami od przedmiotu, dają się odbiegać od głównego założenia. W pierwszym razie, raczej bogactwo kolo-rytu niż treść sama zajmuje uwagę czytelnika, w drugim, zbyt duża obfitość treści nieujętej w stosowną formę, nie pozwala wiedzy w umyśle czytelnika ułożyć się w pewne i ściśle określone kształty.

Z tém większą zatem przyjemnością powitaliśmy dzieło Dr. Sawickiego, chociaż w części zadość czyniące tym tak trudnym wymaganiom od każdego popularyzatora. Tak mało w piśmiennictwie naszym drukuje się dzieł podobnej treści, że każda praca oryginalna na tém polu, staje się cennym nabytkiem, jeśli tylko umiejętnie i zgodnie z zasadami nauki traktuje przedmiot obrany. Dla tych tedy powodów postanowiliśmy dać poznać czytelnikom naszym treść i zakres „Obrazów Wszechświata“, a przytém uwydatnić pewne niedokładności jakie napotkaliśmy w ciągu dzieła dotyczące jużto treści, jużto formy samej.

W przedmowie zwróconej do młodzieży, autor kreśli piękny obraz wszechżycia w naturze, zachęcając tém młode pokolenie do studyów nad przyrodą, jako jedynie będących w stanie wykorzenić błędy i przesady, a natomiast dać zdrowe i jasne pojęcie rzeczy, wytworzyć zdanie i charakter pozytywny. „Dotychczas, mówi autor, w społeczeństwie naszym nieprzekonano się o korzyści i konieczności bliższego poznajomienia się z naukami przyrodzonymi, dotąd zajmują one zawsze tylko bardzo poślednie miejsce w tak zwaném staranném wychowaniu. Tymczasem religia, moralność, zdrowe idee, zamikowanie do sztuk pięknych, leży w poznaniu przyrody. Grzech i wstyd człowiekowi, temu panu wszystkich stworzeń na ziemi, nie znać swojego państwa. Godność nasza i korzyść pobudzają do badania, do zgłębienia cudów przyrody. Bezgraniczność jej i zgodność w niej wszystkich zjawisk, podnoszą duszę naszą do wysokich i zbawiennych myśli. Znajomość z samym sobą i z przedmiotami nas otaczającymi, nie tylko zadawalnia chęć nauki, która się w nas pojawia wskutek rozwoju rozumu; lecz jest ona podstawą bardzo wielu badań, które wyrabiają pewność sądu naszego i niewątpliwą, bez których najświetniejsze przymioty tracą znaczenie, a w życiu prowadzą częściej do błędnego jak prawdziwego celu.“

Uznając potrzebę rozpowszechnienia wiadomości z nauk przyrodniczych, autor postanowił przedstawić przyrodę w oddzielnych obrazach, to jest dać poznać wielkie pytania, których rozwiązaniem zajmuje się dzisiejsza nauka, a mianowicie: budowę wszechświata i ziemi; ich wzajemny stosunek do siebie, jako też prawa ogólne rozwoju wszech życia w naturze. Takie to zadanie postawił sobie Dr. S. Z zadania tego dotąd autor tylko w części się wywiązał, ogłosiwszy drukiem astronomię i geologię; co będą zawierały dalsze obrazy wszechświata przesądzać z góry nie możemy, lecz o ile wnosić można z programu, będzie to wykład biologii (botaniki, zoologii, fizyologii i morfologii) w obszerném znaczeniu tego wyrazu. Pierwsza część obejmuje astronomię. Wykład swój autor poczynia od opisu gwiazdzistego nieba, podziału i ilości gwiazd, znaczenia drogi mlecznej, siły światła gwiazd, różnicy kolorów światła u różnych gwiazd. Dalej wyjaśnia, że ta przedziwna różnica kolorów zależy od różnorodnego wewnętrznego ich składu wykrytego za pomocą analizy spektralnej przez Bunsena i Kirchhofa. Analiza ta jest tak dokładną, że w stanie jest wykazać  $\frac{1}{3,000,000}$  cząstkę grana materii, której ujawnić nie może analiza chemiczna lub też mikroskop.

Następnie autor mówi o gwiazdach peryodycznych, o oddaleniu gwiazd od ziemi, ich wielkości i o powszechnej materii kosmicznej. W treściwym a zajmującym opisie autor wykazuje, że światło które przebiega na sekundę 42,000 mil geogr., potrzebuje 8 minut i 18 sekund czasu żeby osiągnąć mogło do nas od słońca. Na tej samej zasadzie obliczono, iż od najbliższej gwiazdy, światło dochodzi do nas w 4 lata, od Syryusza w 22, od najdalszej gwiazdy widzianej przez nas okiem nieuzbrojonym w 138 lat, od gwiazd zaś obserwowanych w teleskopach do 3,500 lat i więcej!

Niepotrzebnie wszakże autor w naukowym wykładzie pozwala sobie zboczeń całkiem nie naukowych. Tak np. opisując różnicę wypadków historycznych naszej ziemi, spostrzeganych na różnych planetach, powiada że na planetach od których światło od nas dąży 7,000 lat, mogą obecnie widzieć jak Ewa kusi jabłkiem Adama, i to kilkakrotnie powtarza jakby sam temu wierzył. Tymczasem w dalszym wykładzie okazuje się jawnym zwolennikiem teorii ewolucyjnej, teorii nieuznającej całkiem pierwszego człowieka ani też grzechu pierworodnego.

W następnym rozdziale opisuje zwiąże i dokładnie gwiazdy podwójne, potrójne i poczwórne. „Obserwacje—powiada autor—podwójnych gwiazd doprowadziły do bardzo ważnych rezultatów, pokazały one bowiem że prawa Newton'a powszechnego przyciągania rządzą bez wyjątku ruchem wszystkich ciał niebieskich... W tym dniu kiedy oddalenie podwójnej gwiazdy od ziemi i odległość jednej gwiazdy podwójnej od drugiej, będzie z dokładnością wymierzone, w tym dniu powiadamy, z porównania przyciągania gwiazd między sobą, z przyciąganiem ziemi do słońca, dowiemy się o wadze gwiazdy i ilekroć więcej materii ona zawiera w sobie od



naszej ziemi. Nadto gwiazdy złożone są dowodem oczywistym powszechnéj celowości w naturze.

Oddawna ludzie dopatrywali pewnego porządku we wszechświecie i nie mogli całkiem pogodzić się z myślą, jakoby świat był dziełem przypadku. Prawdy astronomii w zupełności potwierdziły to założenie na rozmieszczeniu gwiazd złożonych. Astronom Jan Mitchel jeszcze w roku 1767 uderzony nieregularnością z jaką rozmieszczone są gwiazdy, niejednakowością liczby ich w różnych częściach nieba, postanowił zbadać—czy rozmieszczenie to nie jest skutkiem prostego wypadku. Wziąwszy do swych obserwacyj grupę plejad złożoną z 6 głównych gwiazd, przez bardzo staranne i pracowite wyliczenia doszedł do wniosku, iż rzucając na osłep 1500 gwiazd w przestrzeń niebieską pięćkroć setotysięcy razy, raz jeden tylko taki wypadek zdarzyć się może. W tém oczywiście widoczne jest istnienie jakiegoś prawa w rozmieszczeniu światów na niebie. Jeszcze człowiek nie poznał prawa tego, lecz domyśla się i szuka a to już jest połowa drogi do odkrycia. Z kolei autor opisuje drogę mléczną, mgławice i ruch gwiazd.

Niezmordowane obserwacje wielu astronomów wykazały, że gwiazdy które poprzednio uważane były za ciała niebieskie nieruchome, podlegają ogólnemu ruchowi około środka światów gwiazdy Alcyony, dokąd również dąży i nasze słońce z licznym swym orszakiem, przebiegając rocznie około 7,486,000 mil, to jest prawie  $1\frac{2}{3}$  wiorsty na sekundę. Alcyona, główna w gronie Plejad, jest tak odległą od nas, że światło od niéj potrzebuje 537 lat, żeby mogło dojść do ziemi. Całkowity obieg naszego słońca wespół z jego planetami około wspólnego centrum, dokonywa się w 18,200,000 lat. Tu nie miejsce opisywać jakim sposobem nauka doszła do tych zdumiewających obliczeń, ciekawych odsyłamy do samego dzieła; dodać tylko winniśmy że zasługa tego wielkiego odkrycia należy się dorpackiemu astronomowi Maedlerowi.

W dalszych rozdziałach autor tłumaczy ciężkość słońca i planet i jak zwykle wywiązuje się ze swego zadania umiejętnie. Następne rozdziały mają na celu wyjaśnienie systematu Laplace'a początku wszechświata, znaczenia słońca i planet. Z kolei autor opisuje wszystkie planety tak pod względem warunków miejscowych jak i wzajemnego stosunku jaki zachodzi pomiędzy słońcem a planetami. W ustępie tym rażąco odbija fałszywie przez autora podana cyfra małych planet w ilości 52, wówczas gdy w roku bieżącym astronom Luther w Düsseldorf, odkrył planetę (Peitho) 118-ą z rzędu. Błąd podobny w tak sumiennéj zkądinąd pracy, jest nie do przebaczenia.

Ostatnie rozdziały mieszczą w sobie opis komet, gwiazd spadających i w końcu autor podaje krótki rys historyczny astronomii i astrologii.

W ustępie o gwiazdach spadających napotykamy pewne niedokładności, które tu zaznaczyć postanowiliśmy. Tak np. na str. 160, autor twierdzi że wszystkie aerolity mają skład jednaki,

a mianowicie znajduje się w nich: siarka, żelazo, nikiel, magnum i chrom. Tymczasem ściśle przeprowadzony rozbiór chemiczny zdołał wykryć oprócz wyżej wzmiankowanych pięciu pierwiastków, jeszcze 17 innych, jako to: tlen, wodór, azot, węgiel, krzem, wapń, mangan, tytan, ołów, stront, lityn, sod, miedź, glin, arsen, potas, fosfor, chlor, kobalt. Niemniej fałszywem jest twierdzenie autora, że aerolity posiadają jednaki chemiczny skład. Wzmiankowane pierwiastki nigdy jednocześnie nie znajdują się i w ogóle kamienie meteoryczne różnią się co do swoich zawartości.

Mówiąc o twórcy akustyki, Chladnim, wszędzie go autor nazywa Chaldinim. O ile nam wiadomo, ojca Chladniego nazywano Chaldeniusem, nigdzie przecież nie spotykaliśmy tej nazwy, której sz. autor używa. W wykładzie popularnym należy przyjmować nazwę pospolicie znaną i niewątpliwie wielu czytelników Chladniego i Chladniego będzie uważać jako dwóch oddzielnych uczonych.

Mamy również autorowi do zarzucenia, że w wykładzie swym teorii powstawania aerolitów, pominął milczeniem najnowszą teorię medyolańskiego astronoma Schiaparellego, a przecież teoria jego dzisiaj najwięcej posiada danych do wytłumaczenia. Według tej teorii obłoki mgliste złożone z materii kosmicznej, będące istotą komet, dostawszy się raz w obiegu swoim pod wpływ siły przyciągającej naszego słońca, stają się już jego satelitami—jeśli tylko droga ich wypadnie po elipsie. W tym razie komety podobne należą stale do naszego słonecznego systematu. Astronom medyolański zwraca uwagę na zmiany jakie wówczas nastąpić muszą w komecie, wskutek siły przyciągającej słońca. Siła ta oddziaływając niejednostajnie na jądro i ogon komety, sprawia to, iż jądro komety otrzymuje większą prędkość, aniżeli części oddalone warkoczą, które pozostać muszą w tyle przy obrocie komety około słońca. W ten sposób kometa coraz bardziej rozciągając się dochodzi do tego, że się zamienia na pierścień meteoryczny otaczający słońce na całej drodze komety.

Wówczas otrzymujemy zjawiska peryodycznego spadania meteorów, w czasie gdy ziemia w rocznym swoim obrocie około słońca, przecina drogę kometarną. Teoria ta dokładnie tłumaczy znikanie niektórych komet, jak również obserwowane przez astronomów zmniejszanie się ich; wyjaśnia ona umiejętniej od innych peryodyczne ukazywanie się meteorów w dniach sierpniowych i listopadowych,—dla tych powodów teoria Schiaparellego zyskała obecnie prawo obywatelstwa w nauce i nie można zatem o niej zamilczeć przy wykładzie astronomii.

Co się tyczy ogólnego wykładu astronomii, to nie mile uderza (czytelnika), brak związku pomiędzy oddzielnymi rozdziałami. Pojedyncze rozdziały wyglądają na podobieństwo ogniw jednego łańcucha z sobą niepołączonych; grupując się w ten sposób w umyśle czytelnika, nie dadzą mu jasnego wyobrażenia dzisiejszego stanowiska nauki. Błąd ten wszakże pochodzi z niewłaściwego trak-

towania przedmiotu. W popularnym wykładzie astronomii należało autorowi trzymać się porządku chronologicznego, czyli historycznego rozwoju tej nauki. Chcąc dać poznać całość budowy, należało zacząć od fundamentów i dopiero stopniowo po szczeblach prowadzić czytelnika, do zrozumienia całości labiryntu. Młodościany umysł czytelnika, daleko łatwiej pojmie okres młodzieńczy astronomii, i postępując w ten sposób za autorem, właściwiej ocenić zdoła doniosłość późniejszych odkryć w tej nauce. Autor trzymał się odwrotnej drogi i sprowadził tym sposobem niejasność wykładu, z przyczyny braku związku pomiędzy oddzielnymi rozdziałami. Czytelnik znajduje się jakby w labiryncie, gdzie chociaż mu przewodnik dokładnie tłumaczy znaczenie każdego oddzielnego pokoju lub oddziału, nie wyjaśniając wszakże należycie związku pomiędzy różnymi częściami budowy, nie będzie w stanie samodzielnie wchodzić do tego gmachu.

Daleko lepiej autor się wywiązuje w drugiej części swojego dzieła przy wykładzie geologii. Po związłym i treściwym opisie tworzenia się ziemi, autor tłumaczy o początku życia na ziemi. Spotykamy i tu wszelako pewne niedokładności, jak np. w wyrażeniu: „nie ma prawie żadnego pierwiastku, który znajdując się na ziemi nie wchodziłby w skład istot posiadających życie.“ Tymczasem wiadomo, że cała przyroda organiczna z niewielu stosunkowo pierwiastków się składa i wiele jest takich, których całkiem u roślin i zwierząt nie znajdujemy, jak platyna, złoto, srebro, etc.

Opisując dalszy rozwój życia na ziemi, autor twierdzi, że grubość pokładów kamiennego węgla wynosi w niektórych miejscowościach „całe setki stóp“ (320)? O ile nam wiadomo, najgrubszy pokład węgla jaki się znajduje w Dąbrowie, zajmuje zaledwie około 50 stóp, najbardziej znane pokłady belgijskie i amerykańskie nie dochodzą tej cyfry.

W dalszej kolei, autor opisuje drugorzędowe i trzeciorzędowe formacje, cechując je tak pod względem geognostycznym, jak pod względem paleontologicznym. Musimy tu wszakże zwrócić uwagę sz. autora, że ogólne jego zapatrywanie się na rozwój ziemi w tych epokach nie zgadza się z nowszymi geologicznymi badaniami Lyella, Murchison'a i w innych. Autor jest w części zwolennikiem raptownych przewrotów, wielkich kataklizmów, teorii wyznawanej niegdyś przez Cuvier'a i obalonej ostatecznie przez nowsze poszukiwania. Zanadto stanowczo autor wyraża się o istnieniu człowieka w trzeciorzędowych formacjach, dotychczas bowiem dowiedzionem jest tylko współistnienie człowieka z zwierzętami zaginionemi epoki diuwialnej.

Pomijając milczeniem epokę lodową, dłużej nieco autor zatrzymuje się nad rozbiorem przyczyn potopu. Wszelako jego przypuszczenia w tym względzie nie mogą się utrzymać w obec ścisłej i szerszej naukowej krytyki. Sam autor w ocenieniu tych przyczyn, staje nie jednokrotnie w sprzeczności z tém co wyżej przy wykładzie astronomii i geologii był powiedział. W rozdziale o kometach

opisując możliwość spotkania się ich z ziemią, z dokładną znajomością rzeczy autor udowodnił, że podobne spotkanie się jakkolwiek możliwe, żadnego stanowczego wpływu na ziemię wyrzucić nie zdoła. Moglibyśmy porównać — powiada Dr. S. owe spotkanie do uderzenia się pociągu kolei żelaznej z liściem unoszącym się w powietrzu. Po tém założeniu zupełnie zgodnem z dzisiejszą nauką, autor stawia możliwość potopu w skutek spotkania się ziemi z kometą lub planetą. To ostatnie przypuszczenie popiera jeszcze autor obecną egzystencyą aerolitów, jakoby nieistniejących w epokach poprzedzających potop? Tymczasem założenie to całkiem upada w obec najnowszej teoryi dynamicznej ciepła, podług której spotkanie się ziemi z planetą, spowodowałoby przemianę ruchu na odpowiednią ilość ciepła, i wówczas ziemia w jednej chwili przeszłaby w stan lotny a tym sposobem dzisiejsza dyskusya o potopie nie miałaby miejsca!

Ze wszystkich teoryj o potopie Dr. S. oddaje pierwszeństwo teoryi Adhémar'a. Teorya ta polega na przypuszczeniu możności zmiany środka ciężkości kuli ziemskiej i kolejnego przenoszenia się wód od jednego bieguna do drugiego. Na téj podstawie Adhémar obliczył że co 12925 lat będziemy mieli potop i okres lodowy kolejno na obu biegunach. Jeśliby komu podobało się terazniejszy stan południowej półkuli uważać jako dawną epokę diluwialną ziemi, miałyby wówczas prawo do wyznawania teoryi Adhémar'a, ponieważ *de gustibus non disputandum est*. Ale tego prawa, do przyjęcia teoryi Adhémar'a, niema szanowny autor, ponieważ poprzednio na str. 257 wyraźnie powiada: „Eratycznych skał nie znaleziono w warstwach ziemi poprzedzających epokę diluwialną, należy przeto wnioskować, że do tego czasu na ziemi jeszcze ani razu nie zachodziły podobne okropne przewroty. Gdyby zaś teorya Adhémar'a była prawdziwą, ileżbyśmy razy mieli już potop na ziemi? Wszak podług zdania autora, ziemia wiele set milionów lat istnieje, a zatem wielokrotnie ulegałaby potopom i musielibyśmy odnaleźć w pokładach dawnych owe eratyczne odłamy skał?

Na tém kończymy nasze sprawozdanie. W krótkim przeglądzie, nadto poświęconym do pisma niespecyalnego, niepodobna nam podawać szczegółowego rozbioru dzieła Dr. S. Zatrzymaliśmy się przedewszystkiem nad ujemną stroną, a to w celu uzupełnienia tego, czego zdaniem naszym brakuje „Obrazom Wszechświata.” Za stronę dodatnią dzieła Dr. S. poczytujemy treściwość i jasność stylu, obrazowość wykładu i szlachetną myśl przewodnią w zapatrywaniu się ogólnem na wszechświat, której wymownym tłumaczem staje się Dr. Stella-Sawicki.

Co się tyczy czystości języka, nie zawsze Dr. S. wywiązuje się w tym względzie należycie, wyrażenia takie jak: *plawią się metale*, *poprzecznik*, *trzeciiej formacyi*, *akademia nauk*, etc. rażą nie mile ucho czytelnika.

Dr. S.

*O małoletnich przestępcach oraz Towarzystwie Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych. Szkic ogólny przez Walentego Miklaszewskiego. Cena kop. sr. 60, z przesyłką pocztową kop. sr. 70. Na korzyść rzeczzonego Towarzystwa. Warszawa. 1872 r. str. 83, w 8-ce. Druk S. Orgelbranda syndw.*

Stan moralny społeczeństwa naszego, przedstawia nader groźne zjawiska. Wykazy sądowe, z których Komissya Rządowa Sprawiedliwości układa tablice statystyczne, zaznaczają stały i bardzo znaczny przyrost przestępstw. Liczba osób skazanych przez sądy, wzrastając nieustannie, w ciągu sześciu lat od 1865—1870 r. podniosła się z 5497 na 10,356. Stosunek ten jest jeszcze większy w przestępstwach przeciwko własności: tak np. podpalanie umyślne, z 15 wypadków (1865) poskoczyło na 34 w 1869, kradzież z okolicznościami obciążającymi z 549 (1865) na 1275 (w 1870), kradzież bez tych okoliczności z 382 (1865) na 1206 (w 1870). Żeby pojąć całą groźbę takiego położenia, dosyć jest napomknąć, że we Francyi np. od roku 1854 liczba skazanych (wprawdzie za same tylko zbrodnie, podlegające sądom przysięgłym), zmniejszając się stale do roku 1869, zeszała z 5,673 na 3,214.

W naszej posępnej cyfrze 1870 r., w tym tłumie dziesięciotyśięcznym wylęgłym przeważnie z nędzy, ciemnoty i moralnego zepsucia, znajdujemy przeszło 1,000 indywiduów nieletnich (89 dzieci nie mających jeszcze 14 lat wieku i 966 młodzieńców pomiędzy 14 a 21 rokiem życia). Z tego młodego pokolenia może tedy wyjść potężny hufiec zbrodniarzy, którzy zaprawiwszy się do złego od młodości, mogą przez całe życie staczać walkę ze społeczeństwem, zagrażając mieniu, dobrym obyczajom, a nawet życiu uczciwych obywateli.

Jakkolwiek rozmaite przyczyny składają się na tak smutny wypadek, a wszystkich samo społeczeństwo usunąć nie jest w stanie, to jednak znaczna część odpowiedzialności ciąży na niem samym. Kiedy na Zachodzie uczeni kryminaliści obmyślali sposoby leczenia téj plagi społecznej, kiedy zalecili jako jeden z głównych celów kary, jako jeden z najskuteczniejszych środków zaradczych poprawę winowajcy; kiedy wszędzie urządzano więzienia celkowe, próbowano różnych metod oddziaływania na umysł i serce więźnia, a społeczeństwo przychodziło w pomoc tym usiłowaniom, i tworzyło towarzystwa opieki nad uwolnionymi z więzień, lub małoletnimi przestępcami: u nas panowała w téj sferze najzupełniejsza obojętność i założony niegdyś (w 1830 r.) „Instytut moralnie zaniedbanych dzieci” w Mokotowie, zszedł na zwyczajną prawie ochronkę. Dopiero w ostatnich latach ozwało się kilka głosów w literaturze: pp. Moldenhawer, Andrzej hr. Zamoyski, Miklaszewski obudzili uwagę publiczności, na najważniejsze zadania nauki karnéj; w bie-

żącym zaś roku rozpoczęło swe czynności, (dotąd jeszcze przygotowawcze), Towarzystwo Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych.

Dla oświecenia publiczności w tej materii oraz dla usłużenia Towarzystwu radami, p. Miklaszewski ogłosił rozprawę, której tytuł zapisaliśmy na czele niniejszego artykułu.

Określiwszy we wstępie stanowisko kwestyi i dotknąwszy tych źródeł, z kąd płynie zepsucie i zbrodnia, autor podaje wyniki teoretyczne z postępów nauki karnéj, co do karygodności przestępców małoletnich. Epokę małoletności dzieli na cztery okresy: niemowlęstwa, do chwili kiedy dziecko chodzić zaczyna; dzieciństwo do chwili pozbywania się zębów mlecznych i rozpoczęcia rozwoju płciowego; pacholeństwo do chwili dojrzałości płciowej; nareszcie młodość do czasu zupełnego rozwinięcia organizmu, co następuje w naszym klimacie dla mężczyzny pomiędzy 21 a 24 a nawet 25 rokiem życia, dla kobiet zaś bezporównania wcześniéj. W każdym z tych okresów p. M. przeprowadza analizę psychologiczną i postawiwszy następnie pytanie: czy małoletni może być przestępcą? odpowiada: że niemowlęta i dzieci powinny być zupełnie zwolnione od odpowiedzialności karnéj, pacholetom należy poczytywać winę w takim tylko razie, jeżeli będą przedstawione dowody, że działały świadomie i swobodnie, młodzieńcowi zaś pozwolić dowodzenia, że działał bez świadomości lub niesamowolnie: w ogóle zaś obciąża go odpowiedzialnością za swe czyny, ale żąda znakomitego złagodzenia kary.

Poglądowi temu nie zupełnie odpowiada prawodawstwo obowiązujące. Kodeks kar głównych i poprawczych z 1847 roku (art. 101, 144, 145 i 148), oznacza epoki małoletności stałemi cyframi i dzieli pacholeństwo na dwa pod-okresy. Zwalniając dzieci nie mające 7 lat wieku od wszelkiéj poczytalności, kodeks nakazuje jeśli udowodnioném będzie przeświadczenie o bezprawności czynu oddawać pacholeta 7—10 lat „pod ścisły dozór rodzicom lub godnym zaufania krewnym dla skarcenia ich i udzielenia im przy pomocy ich spowiednika lub innego duchownego stosownéj nauki,“ na pacholeta zaś od 10—14 lat wieku pozwala wymierzać karę nawet osiedlenia w Syberyi z pozbawieniem wszelkich praw, zamknięciem w klasztorze, w domu poprawy a za lżejsze przewinienia poprzestaje na skarceniu domowém. Nareszcie ostatni okres, młodzieńczy, jest objęty cyframi 14—21 lat skończonych, a podlega zwykłém karom podług tabelli, zmniejszonym wszakże o jeden lub dwa stopnie.

Tak więc prawo obowiązujące, zwalniając bezwzględnie od poczytalności dzieci, nie mające 7 lat wieku, i podciągając pod ogólną tabelę karną młodzieńców, mających 14 lat skończonych, wytyka cel poprawczy, głównie dla pacholąt pomiędzy 10 a 14 rokiem życia, ale wskazane do tego środki nie mogły dobroczynnych zapewnić skutków. Kara zamknięcia w klasztorze nie weszła wcale w wykonanie w skutek oporu władz duchownych, Instrukcye zaś więzienne ostatecznie sprowadziły kwestyą do urządzenia czterech szkótek więziennych (w Warszawie, Kielcach, Lublinie i Płocku),

„a właściwie mówiąc, jak powiada p. M., do zamianowania czterech nauczycieli,“ gdyż nawet oddzielenie małoletnich od dorosłych, nie zawsze się dawało wykonać dla braku miejsca lub gorliwości nadzorców. Tylko w głównym domu kary w Warszawie, dzięki osobistej przedsiębiorczości i gorliwości nadzorcy, p. Maternickiego, istnieje wykład nauki religii i moralności, oraz czytania, pisanie, rachunku i śpiewu chóralnego.

Nowe zatem Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, zaczyna swą działalność w chwili bardzo naglącej, a może oddać społeczeństwu znakomite usługi.

Zadaniem Towarzystwa będzie: 1) praca nad moralną poprawą dzieci płci obojga przez sądy na karę skazanych, 2) nad polepszeniem losu nieletnich żebraków i włóczęgów bez przytułku, 3) opieka nad małoletnimi wychowancami swoich instytutów po uwolnieniu.

Ażeby Instytucja nie została zwichniętą w samej podstawie, jakto się właśnie stało z Instytutem Mokotowskim, p. M. radzi przede wszystkim uzyskać *na drodze prawodawczej* odpowiednie zmiany przepisów kodeksu karnego, inaczej bowiem sądy nie będą mogły przeciwstawiać Towarzystwu najważniejszych przestępców małoletnich, o których najbardziej właśnie idzie. Władze administracyjne mogłyby nadsyłać tylko dzieci z więzień, które przebywszy chociażby najkrótszy czas w tych „szkołach zbrodni,“ wniosłyby tylko zgorznienie do osady, a same jużby może nie dały się nawet poprawić. Tymczasem przepis prawny mógłby nakazać nawet odosobnienie małoletnich podczas śledztwa w domu badań i uchronić ich w ten sposób od wpływu dojrzałych zbrodniarzy.

Przepis prawa potrzebnym będzie jeszcze do zamiany kar kodeksowych na zamknięcie w osadach, do zamiany dozoru policyjnego na dozór Towarzystwa, do odebrania prawa rodzicom brać pod swą opiekę tych winowajców, dla których kodeks wyznacza skarcenie domowe.

Następnie p. M. radzi przyjmować wszystkich małoletnich skazanych chociażby na najcięższe kary, przynajmniej do 14 lat wieku, zatrzymywać ich w osadach przez lat przynajmniej dwa, a nie przyjmować skazanych na tak krótkie terminy, że nawet po przedłużeniu kary z mocy przepisów prawa nie mogliby być zatrzymani przez lat dwa w kolonijach. Ze względu na trudności praktyczne radzi też przynajmniej początkowo wyłączyć z pod opieki towarzystwa małoletnich recydywistów.

W końcu p. M. zastanawia się nad sposobami wykonania zadań Towarzystwa. Mniema, że osada powinna się składać z domków drewnianych piętrowych; na dole muszą się mieścić warsztaty, a na piętrze sypialnia i szkoła najwyżej na 15-ro dzieci. Obok pokoi dla dzieci muszą być urządzone pokoiki dla nadzorców czyli ojców oddziałów. Nadto potrzebne będą stodoły, stajnia, wozownia, obora, owczarnia, chlew; młyn, spichrz, łaźnia, lazaret, kaplica, mieszkania dla służby i dom dla dyrektora osady. Do pracy rolniczej potrzebne są inwentarze żywe i martwe, a do warsztatów stoso-

wne narzędzia rzemieślnicze. Na początek trzeba też będzie dostarczyć ziarna na zasiew i materiałów surowych do przerabiania na warsztatach.

Przy takim otoczeniu, małoletni będą korzystali z nauki czytania, pisania, arytmetyki, religii; ale p. M. żąda jeszcze oboznawania dzieci względem siebie i społeczeństwa, wyjaśnienia im głównych zadań życia społecznego i wykształcenia ich woli w ten sposób, aby w niej znalazły „puklerz przeciwko pokusom do złego.“ Otóż w tej ostatniej a najważniejszej sferze niepodobna zapewnić pożądaných skutków przepisami regulaminu. Do osiągnięcia celu potrzebni są przedewszystkiem należycie uzdatnieni a gorliwi ludzie. To też największą baczność zwrócić należy na wybór kapelana, „ojców familii“ i dyrektora zakładu.

Z ułożonego w cyfrach przypuszczalnych kosztorysu wynika, że na pierwiastkowe urządzenie osady na 150 małoletnich, prócz wartości ziemi, którą rząd ofiaruje, a którą Towarzystwo już przyjęło (osadę Studzieniec w powiecie Skierniewickim) potrzeba będzie przynajmniej 40,000 rs., roczne zaś koszta utrzymania wyniosą około 15,000 rs.

Fundusze Towarzystwa mogą się składać: 1) z 3,000 rs. ofiarowanych jednorazowo przez 20 członków założycieli, 2) około 11,250 rs. płaconych przez rząd za utrzymanie 150 przestępców skazanych przez sądy, których utrzymanie w więzieniach wynosi około 75 rs. rocznie; 3) z rocznych składek po 6 rs. od członków honorowych; 4) ze składek i ofiar osób prywatnych; 5) z dochodów ze sprzedaży płodów rolnych i wyrobów samej osady. Przypuszczając że lista członków honorowych dojdzie do 2,000, p. M. oblicza fundusze Towarzystwa tylko na 26,250 rs.

Tak więc pozostaje jeszcze obszerna luka, którą wypełnić mają *ofiary i składki osób prywatnych*. Tu właśnie społeczeństwo nasze ma najlepszą sposobność okazania dbałości swój o własne bezpieczeństwo i godność moralną. P. Miklaszewski nie wątpi, że liczba członków honorowych znacznie przewyższy cyfrę (1) 2,000 (do dnia 12 listopada zapisało się jeszcze 829), oraz że od osób prywatnych popłyną liczne a bogate dary. My też chętnie wtórzymyślanownemu autorowi w tej ufności do społeczeństwa naszego, a radzi byśmy byli ażeby wiadomość o zadaniu i działaniach nowo-założonego Towarzystwa upowszechniła się w jak najszerszych kołach, ażeby każdy przychodził mu z pomocą w miarę możności datkiem lub składką stałą. Będzie to ofiara zacna a nierównie od jałmużny ulicznej pożyteczniejsza, przyczyni się bowiem do przekształcenia nędzarzy na roztropnych rzemieślników i rolników, przestępców, wrogów społeczeństwa, na pożytecznych sług jego.

(1) Cyfra ofiar, złożonych przed dniem 12 listopada r. b. wynosiła 3105 rs. 50 kop. Tym sposobem łącznie ze składką 20 członków założycieli Towarzystwa, fundusze dochodzą zaledwo do wysokości 9,135 rs. 50 kop.



Wracając do rozprawy p. Miklaszewskiego winniśmy wyrazić uznanie dla objawionej tu gruntowności rad i uwag, dokładnej znajomości przedmiotu podług nowoczesnego stanu Prawa Karnego, oraz jasności wykładu, która czyni tę pracę przystępną dla ogółu, nie wtajemniczonego w *sacra et arcana* naukowe, jakie cała rozprawa, nacechowana wytrawnością sądu i zacnością uczucia, może i powinna sprawić na umyśle czytelnika.

T. K.

*Konfederacya Barska. Korrespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim Łowczym Koronnym w r. 1768, wydał Dr. L. Gumplowicz. Kraków. Nakładem wydawnictwa „Kraju“ 1872 r. (w 8-ce str. XV, 204 z mapką).*

Sto cztery lata w roku bieżącym już upłynęło, jak rozpoczął się dramat dziejowy pod imieniem *Konfederacyi Barskiej*. Sprawdza się na nim zdanie Szyllera „że co ma ożyć w pieśni, musi umrzeć w rzeczywistości,“ albowiem do ilużto utworów artystycznych tak w poezyi jak w prozie nie dał wątku i osnowy.

Najwięksi poeci naszego okresu jak Mickiewicz, Słowacki, Pol brali go za przedmiot do poetycznych utworów, jak Henryk Rzewuski, Zygmunt Kaczkowski i Kajetan Sufczyński do swych opowieści. Żywa tradycya tym ostatnim jak i Polowi dopomagała nie mało i nawiewała życie w czasy i postacie, które powoływali do smartwychwstania.

Pomimo to, dokładnego obrazu historycznego samęj konfederacyi, oparte go na dokumentach współczesnych nie posiadamy, zarysy tylko, z wielkimi przerwami, niemogące być zaokrąglone w całość jednolitą. Łatwo pojąć te braki, gdy zważymy, że najważniejsze autentyczne materiały dotąd ukrywają się w rękopismach po publicznych i prywatnych zbiorach, nieznane lub niedostępne. Tak długo uchodziło porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów jako zamiar pozbawienia go życia, dopóki z tajnego archiwum tego króla nie ukazały się inne dowody współczesne, wykazujące wypadek ten, jako *dworską farsę*, zdawna dobrze obmyśloną, dla pozyskania sobie moralnej opinii, a zgnębienia konfederacyi. I osiągnięto cel upragniony: w obóz ich rzucono zarzewie niezgody, a najznakomitszy wódz *Kazimierz Pułaski*, niesłusznie obwiniony o królobójstwo, po daremnęj obronie swęj, z murów warownych *Jasnej Góry* uchodzić musiał w obce kraje, i znalazł śmierć pod *Savannah* w Ameryce, walcząc za niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Przez ośmdziesiąt lat blisko ciążył ten zarzut na zacnym imieniu Kazimierza Pułaskiego i powtarzali go wszyscy jednostajnie: bo jakże niewierzyć, gdy proces był jawny i wydrukowany

z dokumentami. Ale najważniejszy z nich był w ukryciu w tajemnym archiwum króla Stanisława Augusta, i dopiero przypadek szczęśliwy go odkrył. Jestto własnoręczna obrona Kazimierza Pułaskiego, w której ze szczegółami się spowiada z rycerską otwartością. Nie miał myśli nawet godzenia na życie króla, chociaż walczył przeciw jego chorągwiom w otwartym polu: a o zamiarze porwania go, zupełnie nie wiedział. To postanowienie ażeby Stanisława Augusta porwać z Warszawy, oswobodzić z pod zgubnych wpływów, i sprowadziwszy w mury Jasnój-Góry postawić na czele *konfederacji*, powziął *Stanisław Strawiński*, rotmistrz starodubowski. Charakter to godny uwagi. W długich dumanjach nad położeniem ówczesnym kraju, powziął tę myśl: skryty Litwin, w głębi swój duszy ją chowa. Niezwierając jój nikomu, przy końcu 1770 roku przybywa do Warszawy, zwiedza kilkakrotnie zamek królewski, a żeby odwrócić wszelkie od siebie podejrzenia, udaje biédnego i prosi króla o wspomnienie: jakoż 29 listopada tegoż roku przez ręce kamerdynera *Ryxa* otrzymuje dziesięć dukatów w złocie. Ze stolicy wprost przebiéra się do Jasnój-Góry, gdzie pierwszy raz ujrzął i poznał Kazimierza Pułaskiego. Udał przed nim, że wprost z głębi Litwy przybywa: modli się gorąco z wielkim nabożeństwem przed cudownym obrazem Matki Boskiej i zrobił *dewocę* jak wyraża sam Pułaski, to jest spowiadał się i komunię przyjmuje, odbywszy poprzednio *rekolekcyę*. Ale ostrożny i podejrzliwy, stara się usilnie zbadać charakter i przekonania ostatniego wodza konfederacji: to badanie pokazało mu, że szlachetny i rycerski Pułaski, nie zgodziłby się na plan jego bynajmniej. Niezdradziwszy się przeto ani jednym słowem z utajonym zamiarem, żąda od niego tylko *ordynansu* do najbliższego dowódcy konfederatów, ażeby mu dopomagał w zebraniu stu ochotników jazdy, których zgromadzi łątowo w samej Warszawie, gdzie ma liczne znajomości i stosunki. Pułaski chętnie się skłania do jego prośby, i niepodejrzując o żadne skryte zamiary, podpisuje żądany *ordynans*. W ogólnych wyrazach tego rozkazu znalazł Strawiński silną pomoc dla swój pierwotnej myśli, którą z niesłychaną energią doprowadza do skutku. Ale zdradzony przez *Kuźmę*, któremu powierzył porwanie króla, schwytany i na karę śmierci skazanym został. Uszedł téj kaźni szczęśliwie, wykradziony z więzienia przez jednego z książąt Sapiehów, i dostawszy się do Rzymu, przywdział tam habit zakonnika. Za czasów Księztwa Warszawskiego wrócił do kraju, był proboszczem w jednej parafii dawnego województwa Augustowskiego i za czasów Królestwa Polskiego umarł. Zostawił pamiętnik swój, w którym opisał szczegółowo udział swój w konfederacji Barskiej. Rękopism ten pozostaje dotąd w ukryciu, w ręku nieznanego krewniaka jego w Wielkiem Księstwie Poznańskim. Przywzódźmy to na pamięć, żeby pobudzić do wyszukania tego *pamiętnika*, który pogląd na ten ustęp dziejowy całkowiec zmienia, i pokaże całą magnię intryg dworskich, charakter Pułaskiego, i energię Strawińskiego przy niesłychanej odwadze jego i przytomności umysłu. Do-

dać tu musimy jeszcze szczegół, w którym te przymioty rotmistrza starodubowskiego wydatnieją. Kiedy „*Generałicya Konfederacyi*“ ogłosiła akt bezkrólewia, i takowy potrzeba było doręczyć osobiście Stanisławowi Augustowi, Strawiński dobrawszy dwóch śmiałych towarzyszy, jako świadków, wchodzi na zamek Warszawski, doręcza akt pomieniony do rąk własnych króla, a świadom dobrze miejscowości, znika niepostrzeżenie.

Jak pamiętnik jego wydobyty z ukrycia, nie małoby rzucił światła, na cały ten dramat: tak rozjaśniają wielce jego początek ogłoszone przez Dr. Gumpłowicza *Korrespondencye*. Przypadek zdarzył, że wydawca w Dreźnie, otrzymał zbiór odpisów różnych aktów i dokumentów do dziejów z początku XVIII stulecia. W zbiorze tym znalazł *Korrespondencyę między Stanisławem Augustem a Branickim z roku 1768*, i dał jęj pierwszeństwo w ogłoszeniu drukiem, dla tego, że stanowi niejako całość i przedstawia jednolity obraz pierwszego okresu dziejów Konfederacyi Barskiej. Zaczyna się od dnia 30 maja 1768 roku, a kończy z dniem 13 października tegoż roku.

Branicki wyjeżdża w połowie maja z Warszawy przez Lublin, Zamość i Tomaszów, staje w Samborze: tu stara się zebrać nieco wojska, licząc na pomoc chorągwi obcych, oddawna przyrzeczonych. Joachim Potocki, wyparty przez te ostatnie, cofa się do Wołoszczyzny, ale ztąd wysłał małe poczty; wreszcie wiedząc o naleganiu na Turcyę ażeby został wydany, przeszedł Dniestr pod Zwańcem i ciągnął ku *Barowi*.

Branicki dnia 16 czerwca podstąpił pod *Bar* i wysłał rozkaz do zamkniętych w tęg forteczce konfederatów, ażeby się poddali. „Oni (pisze w swym liście łowczy koronny) na ordynans mój, wysłali czterech księży z krucyfikami i statua Najświętszj Panny, z którymi nie wiedzieć co było mówić, gdy żaden regimentarz nie wyjechał.“

Nieśmiejąc uderzyć sam, czekał na posiłki obiecane: jakoż dopiero 19 t. m. połączył się z niemi, i nazajutrz trzema dywizjami na Bar uderzył: jedną dowodził Branicki, drugą Apraxyn, trzecią Weisman. Forteczka wzięta została szturmem: „W tym ataku, (pisze) zginęło czterystu konfederatów.“

Tak pierwszy akt dramatu się skończył, gdy się drugi rozwinął straszniejszy, bo wybuchła *koliszczyzna* znana w dziejach pod imieniem buntu hajdamaków: w nim zastynęły imiona *Gonty* i *Zelezniaka*, których nam pamięć odświeżył Seweryn Goszczyński w poemacie swoim: „*Zamek Kaniowski*.“

Po zdobyciu Baru, konfederaci wraz ze swymi dowódcami, schronili się do Chocimia, wyczekując na wymarzoną pomoc to od Turków, to od Prus i od Rossyi. Branicki staje pod Kamieńcem Podolskim, i pragnie zawiązać stosunki z konfederacyą, ale ta odrzuca wszelkie propozycye. Bezczyinnie wyczekuje i ciągle błaga króla aby mu od księcia Repnina pieniądze potrzebne na utrzymanie wojska wykołatał. Król robi co może, trochę pieniędzy dostaje

ale skarży się na skąpstwo Repnina i radzi Branickiemu, aby sam do niego o pieniądze pisał. Ten fakt jeden, rzuca niemałe światło na stanowisko Stanisława Augusta i jego zaufanych zwolenników.

Na początku września konfederaci z za Dniestru dali znowu znaki życia. Przeprawiwszy się na polską stronę, uderzyli na miasto Studziennicę, i zrabowali je. Drobnie te zaczepki miały na celu pozorne utrzymywanie walki przez nich rozpoczętej, bo rzeczywistej wojny nie było, siły ich były za słabe. Marszałkowie konfederacji łudzą się pomocą od Francji, między sobą zaś, ciągle wiodą kłótnie, intrygi i swary.

Tymczasem słotna i zimna jesień, kazała już myśleć konfederatom o leżach zimowych, a Branicki sam, po trudach, pragnie odpuścić w Warszawie. Król nie sprzeciwia się jego przyjazdowi, ale zarazem poleca mu i nagli ażeby dobrze zaopatrzywszy Kamieniec, rozpuścił wojska jakie z niemałym trudem zgromadził.

W ostatnim liście ogłoszonego zbioru pisanym dnia 13 grudnia 1768 roku ze Szumska, skarży się Branicki na tę nagłą zmianę postanowień króla, a nawet wacha się zadość uczynić jego woli. Obawia się albowiem, aby nie było śmiesznością to rozpuszczenie chorągwi: „wojska komputowego (pisze w nim) rozpuszczać niemożę, chyba za wyraźnym rozkazem komissyi wojskowej, i nie zdaje mi się aby rozpuszczać, *bo z własnych naszych czynności sami będziemy żart robili.*“

„Słowa te Branickiego (mówi trafnie wydawca), zawierają gorzką prawdę, ale zarazem trafny sąd o tej kilkumiesięcznej jego kampanii przeciwko konfederatom. Wrzeczy samej cała ta kampania, wszystkie te *czynności* jego wyglądają na *żart*, ale na żart bardzo smutny, charakteryzujący doskonale politykę króla i ciasny widnokrąg polityczny jego stronników.“

W korespondencyi tej znajdują się wedle wskazówek wydawcy, dopiski własnoręczne Stanisława Augusta, już w polskim języku, już po francuzku: zdaje się przeto, że zbiór cały pochodzić musi z przybocznego archiwum tego króla.

Kitowicz współczesny świadek tej konfederacyi podaje mnóstwo zajmujących szczegółów, tak o jej przebiegu, jak i osób działających w niej wydatnie, ale wiele dopełnień i sprostowań potrzebuje, gdyż pisał pod wrażeniem chwili i zachwyconych pierwszych wieści i wrażeń. J. S. Bandtkie, Joachim Lelewel krótko tę konfederację zbywają: Stanisław Kaczkowski w wydanjej: „*Wiadomości o konfederacyi Barskiej.*“ (Poznań 1843 r.) nie odpowiedział nawet napisowi karty tytułowej. Julian Bartoszewicz w *Encyklopedyi powszechnej* (Tom 2-gi), obszerną o niej rozprawę pomieścił, wielu szczegółami ubogacił i swój pogląd uwydatnił. Józef Szujski w *Dziejach Polski*, pod panowaniem Stanisława Augusta, poświęca niemałe ustępy powstaniu, rozwojowi i upadku tej konfederacyi: jest to praca poważna i krytyczna, a ostatnia w tym przedmiocie. *Korespondencya*, o której mówimy, rozjaśnia nie jeden szczegół przez poprzednich badaczy niedotknięty.

Blaskiem wielkich imion historycznych panów polskich, konfederacya Barska pozyskała do razu szeroki rozgłos nie tylko w kraju, ale daleko i za jego granicami; ale ona też odkryła w rodach magnackich, już ich upadek moralny, i była wykopaniem mogiły na pochowanie ich znaczenia i powagi, której używali powszechnie ze szkodą narodu. Jedna z najgłośniejszych w niej postaci, książę Karól Radziwiłł znany pod imieniem *Pana Kochanku*, stracił w niej połowę kolosalnej fortuny, niezdziaławszy nic godnego co by zasługiwało na poważniejszą w tym okresie wzmiankę. Cały jednakże przebieg tej konfederacyi, gdyby oddany był piórem umiejętném, po zbadaniu wielu źródeł jeszcze nieznanych, a dostępnych, stanowiłby epizod historyczny równie zajmujący jak pouczający.

Wspomnieć tu w ostatku musimy, o ciekawym zabytku, przywiązanym do konfederacyi Barskiej. Jest to krzyż wojskowy, jaki *Generalicyja* jęj ustanowiła, dla odznaczających się walecznością i poświęceniem konfederatów. Jedyny egzemplarz znany, przechowuje się w gabinecie generała Kossakowskiego.

K. Wł. W.

---

*Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, według pism i podań miejscowych, przez ks. Józefa Gackiego. Radom, w drukarni J. K. Trzebińskiego 1872 roku (w 8-ce str. 299).*

Znany od wielu lat sumienny pracownik na niwie historycznej ks. Józef Gacki, autor dzieła: „O rodzinie Jana Kochanowskiego, o jęj majątnościach i fundacyach.“ (Warszawa 1869 r.) wydał obecnie obszerną monografię benedyktyńskiego klasztoru w Sieciechowie. Autor rozpoczyna ją od opisu Wisły, nad którą stał gród warowny *Sieciecha*, wspomniany od *Marcina Galla*, na miejscu którego następnie powstał klasztor Benedyktynów. Pierwotny gród istniał w XI wieku, o klasztorze zaś wspomina kronikarz *Boguszał* biskup poznański zmarły 1252 roku. Z tego wstępnego rozdziału widzimy jak Wisła szeroko się w owe czasy rozlewała i jak często zmieniała swoje koryto, czego wyraźne ślady mamy i w pobliżu Warszawy.

Pierwiastkowo mieścili się benedyktyni w zamku *Sieciecha*, który miał stać w tém samém miejscu gdzie dziś klasztor położony. Podanie to do Inwentarza 1797 r. wciągnięto. Za Długosza był klasztor Sieciechowski częścią z białego kamienia, a częścią z cegły palonej zmurowany. *Maciej* opat wystawił klasztor zastosowany do obserwaneyi włoskich klasztorów, a słynny w literaturze naszęj i na polu zasług obywatelskich opat *Józef Wereszczyński*, przetworzył go w kształt twierdzy.

Długosz w *Dziejach* obszernie opowiada o założeniu i uposażeniu tego klasztoru, który należał do wielce zamożnych i bogatych

fundacyj, mając dwa miasta: *Sieciechów* w czasach niepamiętnych powstałe i *Pubuczów* na początku XVI wieku utworzone, kilkadziesiąt wsi i folwarków, oprócz wójtostw, młynów i ogromnych lasów. Mamy je wszystkie wyszczególnione w tej szacownej pracy autora. Znakomity dochód dawały młyny, rybołówstwo kopalnie, rudy żelaznej, hamernia, browar i gorzelnia: bartnictwo dostarczało miód na potrzeby zakonu. Dziesięciny stanowiły oddzielny dochód. Liczba zakonników nie przenosiła cyfry 30: tém autor prosiuje przesadę w Encyklopedyi Powszechnej, która w *Sieciechowie* do 70 liczyła (T.XXIII). Klasztor ten żywił codziennie po stu ubogich przy furcie, a na przednówku lub w czasie wylewu Wisły i po 500. Subdyakon jeden miał dozór nad żywieniem biędnych. Poblizsze klasztory zebrzące dostawały co roku od Benedyktynów tutejszych jałmużnę po kilka wołów i po kilkanaście korcy zboża. Szlachcic podupadły miał gościnność przez trzy dni, poczem dostawał na drogę kilka złotych, chléba, séra i podwodę na trzy mile. Nabożeństwo żałobne za Bolesława Chrobrego odbywali tu Benedyktyni dnia 1 października, a za *Sieciecha* 9 lutego, corocznie.

Ciekawy i pracowity mamy tu spis opatów sieciechowskich i szkół. Zamożna biblioteka w części tylko dostała się do publicznej w Warszawie, albowiem przebrane przez S. B. Lindego księgi (w r. 1819) i w pakach pomieszczone na galarach, niedoszły wcałości: galar jeden zatonał w Wiśle. Leleweł w *księgach bibliograficznych*, wymienia *kodeksa*, które w niej znalazł od 1408 do 1502, z których się okazało, że śród sieciechowskiego zgromadzenia znajdowali się Benedyktyni zajmujący się przepisywaniem rękopismów. Klasztor ten zniesionym został na mocy bulli Papieżkiej w r. 1819. Odtąd coraz więcej tak kościoły jak klasztory upadały. Kościół ogołocony z wewnętrznych swych ozdób i ruchomości, jak stallów, ławek, krat, konfessyonałów, cyborium, od lat zgóry 30 stanął pustkami: w kilka lat zabrano do Sandomierza i marmurowe posadzki. Klasztorne budowle dotknięte zalewem Wisły uległy ruinie: mury jedynie opactwa zamieszkiwane przez dzierżawców, w należytém utrzymują się stanie. Obszerny autor poświęca ustęp słynnemu poecie *Sebastyanowi Klonowiczowi*, który był we wsi *Psary* należącej do dóbr *Sieciechowskich*, wójttem. W nim znajdujemy zajmujące szczegóły, które ubogacają życiorys twórcy *Fisa* i *Worka Judaszowego*.

R.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Listopad 1872 r.* Nakładem Ordynacyi Krasieńskich wyszła w Krakowie z drukarni „Czasu“ *Biblioteka Ordynacyi Krasieńskich*. Rok 1872. Obejmuje : „*Akta poselskie i korespondencyje Franciszka Krasieńskiego 1558—1576. Zebrał i opracował Dr. Ignacy Janicki, wydał Władysław Hr. Krasieński.* (w 4-ce str. 366. Spisu VIII, przedmowy kart trzy). Zdobi je popiersie Zygmunta Augusta z fac similem jego podpisu, podług rysunku *Jana Matejki* wedle starego olejnego obrazu (z galeryi p. *Antoniego Makowskiego*), który sam Zygmunt August ofiarował magistratowi miasta Gdańska i popiersie Maksymiliana II podług portretu Rubensa, a przerysowany przez *Floryana Cynka*. Oba te rysunki wykonane na drzewie sztychował *Józef Holewiński* ksylograf warszawski, mylnie w przedmowie przezwany *Janem*. Główny materiał do tej publikacyi dała zamożna biblioteka kornicka, której właściciel Jan hr. Działyński chętnie dozwolił korzystać z jej rękopismów. W przedmowie Dr. I. Janickiego znajdzie czytelnik szczegóły, objaśniające to wydawnictwo wspaniałe i staranne. Równocześnie w tejże drukarni i w tymże samym formacie wyszła ważna rozprawa p. n. „*Przyczynek do historii dyplomacyi w Polsce 1566—1572.*“ Autorem jest Władysław hr. Krasieński, który ją swemu teściowi niedawno zgasił Adamowi hr. Potockiemu przypisał. (w 4-ce str. 77).

— Pomiedzy piérwszymi kalendarzami na rok przyszyły ukazał się: „*J. Noskowskiego kalendarz domowy dla wsi i miasta na r. zwycajny 1873. Rok piérwszy, Warszawa. Nakład i druk wydawcy*“ (w 8-ce str. 192 z drzeworytami). W części literackiej znajdujemy nieznaną wiersz następną Adama Mickiewicza : „*Do Imionnika panny A. J.*“

Przed wichrami i szronem, gdy przelotne ptaki  
Uciekając, rozstania nuć pieśń żalną,  
Nie wiń ich o niestałość! one z każdą wiosną,  
W jedne strony jednemi powracają szlaki.  
Słyszac głos ich, wygnańca wspomniéj przyjaciela!  
Ilekróć mu po burzach nadzieja zaświeci,  
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela  
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci.

Wiersz ten napisał d. 10 septembra 1829 r. w Moskwie, do Imionnika zmarłej przed kilkoma laty panny *A. Jaenisch*, córki Dr.

medycyny, późniejszej małżonki znanego zaszczytnie w literaturze rosyjskiej powieściopisarza N. Pawłowa. Pani Pawłow kobieta znakomitego talentu pisarskiego, znaną jest także ze swoich poezyj w trzech literaturach: rosyjskiej, francuzkiej i niemieckiej, w wydaniem dziele r. 1857 w Paryżu p. n. *Voix du Nord* znajduje się także kilka większych i mniejszych przekładów z poezyj lirycznych Mickiewicza.

— Wyszedł z pod prassy: „*Józefa Ungra Kalendarz Ilustrowany na rok zwyczajny 1873.*“ Oprócz bogatej części literackiej powiększony został wielce użytecznym: „*Przewodnikiem Warszawskim.*“ Portrety jakie są w nim zamieszczone, zalecają się i podobieństwem osób i starannem odbiciem. W dziale literackim znajdujemy rozprawę Karola Estreichera bibliotekarza Uniwersytetu Jagiellońskiego p. n. *Runy Słowiańskie*, w której stanowczo zbija mniemanie o runach słowiańskich i dowodzi fałszywości dwóch *ka-mieni Mikorzyńskich* z tego rodzaju napisami i wyobrażeniem bożka Prowe, które się znajdują w Muzeum Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

— Eustachy hr. Tyszkiewicz b. prezes komisyi archeologicznej i muzeum wileńskiego, przygotował do druku rękopism wraz z rycinami: „*Groby rodziny Tyszkiewiczów.*“ Jest to zbiór mauzoleów i napisów grobowych tej rodziny, znajdujących się w Litwie, Królestwie Polskiem, na Ukrainie, w Galicyi, zarówno jak w Rzymie, Wiedniu, Paryżu, Brukselli. Jest tych pomników kilkanaście i cztery portrety znakomitszych członków tej familii. Ryciny wykonane zostaną w zakładzie litograficznym Walkiewicza, a druk rozpoczęty w typografii J. Jaworskiego.

— Książd *Michał Nowodworski* ogłosił prospekt na dzieło p. n. *Encyklopedia kościelna podług teologicznej Encyklopedyi Wetsera i Welkego, z licznemi jej dopełnieniami.*“ Encyklopedia ta obejmować będzie 14 tomów w 8-ce, razem 560 ar. druku i wychodzić tomami, z których pierwszy ukaże się w marcu 1873 roku. Cena każdego tomu na prenumeratę po rsr. 2. Na przypadek śmierci wydawcy wskazane są w prospekcie osoby, które dalej i bez przerwy prowadzić będą tę publikacyę, ażeby prenumeratorowie żadnego nie doznali zawodu.

— Magister nauk historyczno-filologicznych Bronisław Korpaczewski, ogłosił prospekt na nowe pismo tygodniowe: „*Ognisko Domowe*“ które ma wychodzić od 1 stycznia 1873 roku. Treść tego organu tak objaśnia pomieniony prospekt:

„Biorąc za godło naszego pisma „*Ognisko Domowe,*“ z którym się nierozłącznie wiąże *rodzina*, pragniemy tym sposobem wyrazić, że dziedzinę, którą na podstawie naukowej w praktycznym kierunku obrabiać zamierzamy, stanowią powyższe dwa nie wzruszone zasadnicze pierwiastki wszelkiego wyżej spotęgowanego społecznego bytu. Stojąc na straży nietykalności, niewzruszoności podstaw, lecz zarazem i rozumnego rozwoju bytowych form *domowego ogniska i rodziny*, zwrócimy uwagę na te wszystkie społeczne



objawy, które dążą, czy to do utrwalenia, czy też do osłabienia i zmiany panujących dotąd pojęć o celach i przeznaczeniu tych dwóch społecznych pierwiastków, a zatem i do zachowania lub też przekształcenia istniejących i uświęconych dotąd ich form. W zwią-  
złych i wyczerpujących artykułach będziemy się starali przedstawić  
każdo-chwilowy stan należących tu kwestyj, społeczne i rozumowe  
ich podstawy, nakoniec kierunek i warunki ich rozwiązania.“

Cena roczna wynosi rsr. 4 kop. 30, miesięczna kop. 40.

— *Bibliografi polskiej* Karola Estreichera zeszyt pierwszy  
tomu II-go ukazał się już w Warszawie (8-a wielka str. 160). Obej-  
muje litery *G* i *H* całe, gdyż na ostatniej stronicy litera *I* się  
zaczyna.

— Dzieło p. n. *Serbia w XIX wieku, czyli dzieje wyzwolenia się  
Serbii z pod jarzma tureckiego* przez Saint-René Taillandier'a,  
wyszło w Toruniu (w 8-ce str. 244) w przekładzie F. T. Rakowicza  
i jegoż nakładem.

— Wydawca i redaktor wychodzącego *Rocznika* w Petroko-  
wie p. *Antoni Porębski*, zamierza w temże mieście od 1 stycznia  
1873 r. wydawać pismo p. n. *Tydzień* i w tym celu rozesał naprzód  
do wielu pisarzy zaproszenie do współpracownictwa.

Będzie to już czwarty organ prowincjonalnej prassy. Obec-  
nie zaś ogłosił drukiem „*odezwę redakcyi czasopisma Tydzień*“  
w której wymienia wszystkie działy jakie obejmować będzie.

— *Goniec Urzędowy* donosi z Wilna o *Bibliotece i Muzeum  
starożytności* w tém mieście, że d. 13 (25) września r. b. nastąpiło  
urzędowe otwarcie głównej sali czytelnicy przy bibliotece publicznej,  
oraz przekształconego Muzeum starożytności. Biblioteka powstała  
głównie ze zbiorów prywatnych Eustachego hr. Tyszkiewicza, który  
przy założeniu Muzeum w roku 1856 ofiarował ją na użytek pu-  
bliczny. W roku 1864 znajdowało się w niej 14,006 dzieł druko-  
wanych w 19,455 tomach, tudzież kolekcya archeograficzna licząca  
1,287 egzemplarzy, a w téj liczbie 790 autografów osób histo-  
rycznych.

Katalog kartkowy biblioteki daleko posunięty pracą sekreta-  
rza b. komisyyi archeologicznej M. Krupowicza, układano od roku  
1864 do téj pory, lecz jeszcze w całości nie jest ułożony.

— „*St. Petersburskie Wiedomości*“ podają ciekawe cyfry  
statystyczne, dotyczące ruchu prassy peryodycznej w Rosyyi z koń-  
cem roku zeszłego. Z tego widzimy że najwięcej prenumeratorów  
z pism illustrowanych miała: „*Wsiemirnaja Ilustr.*“ bo liczyła  
ich 3,559.

— *P. Barsow* (jak podaje nam wiadomość czasopismo  
„*Besieda*“ w Nr. 5) wydał część I *podani obrzędowych* północnej  
Rosyyi, zebranych z ust ludu. W życiu tych okolic zachowały się  
typy *placzek*, mających wielkie poszanowanie u ludności miejsco-  
wej. Placzkę te, główne koryfeuszki obrzędów przez usta swe wy-

głaszają ludowi smutne opowieści o sierotach, których niedola nie znalazłaby gdzieindziej swoich tłumaczy. Opowiadania takie oprócz prawidłowego dyalogu pełne są dramatyczności. Za każdą sceną rozmowy, następuje obraz radości rodzinnej lub przeciwnie. Tak np. w powieści o „upijającej się głowie“ widać tajoną radość wdowy, że się nareszcie uwolniła od pijanego despoty, ale zarazem wyobraża się trwoga i złe przecucia o tém, co ją i jój dzieci czeka, jak będą nadal żyły w pogardzie u innych, kiedy matka zmuszoną będzie puścić je w świat szeroki.

Idą więc na grób ojca aby tam zaczerpnąć „rady i rozumu“ a wypłakawszy się do syta, idą na świat chętniej aby ulżyć tęskniącej matce. Niektóre obrazy w takich opowieściach pełne są namiętności i fantazyi. Ulubionym tematem jest tu walka człowieka ze śmiercią. Zaklęcia i błagania ludowe zwracają do śmierci, która najczęściej skrada się ku swój ofierze. Tu przeszła po podziemia w postaci młodej kobiety, tam jako uroczą dziewczoją, gdzieindziej jako daleka żebraczka podróżna, do drzwi nie stukając, u okna nie pokazując się i tylko cichutko, czasem wkszałcie czarnego kruka w szyby zagładając.

Aby ją ułagodzić znoszą jój ofiary, sadzają za stół, biją przed nią czołem, jako widocznie zesłanej przez *Rozpiętego na krzyżu*, obiecują jój różne podarunki; ale ona nieprzekupna, nie oszczędza ani biednych, ani podróżnych, ani bogatych.

Z podobną gościnnością przyjmują tu i cienie zmarłych, którzy się po śmierci ukazują. Zapraszają ich aby znowu przychodzili, choć na chwilę pożyć z żyjącymi podawnemu. Kiedy zaś gość tak zapraszany przychodzi, podejmują go i częstują jeszcze gościnniej niżeli śmierć nieprzekupną, otworzą przed nim drzwi dębowe i przycisną do serca.

Powróciwszy z pogrzebu dziewczica zdaje się słyszeć jak u wrót brzękła zapora i goście przybyli. Prosi więc ojca aby odszedł od pieca i poszedł z córką na spotkanie drugiego gościa matki. Następnie sama wychodzi na środek izby i zwraca się do gościa, którego inni nie widzą, zesłowami wdzięczności za to, że przychodzi pobłogosławić przyszłe jój zamełcie. Zaraz też wraz z ojcem przy bierają poruszenia jakby przybyłą matkę sadzali pod obrazem, pod oknem frontowym a pieśń w tém miejscu przechodzi w najdramatyczniejszy obraz.

„Brak tylko zakończenia temu dramatowi, który zapewnie p. Barsow wypełni w wydaniu następnej części swego dzieła. Tym sposobem rozszerzy się poznanie tych części składowych dramatu, który od wieków tkwi w poezyi ludowej. Tu to bez wątpienia wyraźniej niż gdziekolwiek maluje się wnętrze życia włościanina, jego pojęcia i ideały, stosunek do natury ludzi i jakby w rzeźbie ukazuje się całe stanowisko jego społeczne.”

„Jak jest surową i ubogą otaczająca go przyroda, tak i układ jego umysłu skłonny do bojaźni, zagadkowości i uszanowania fatalności. A w domu ciężko, ubogo, i *sędziowie niesprawiedliwi*, a jedynym jego schronieniem rozkoszne jezioro Onega, które mu daje możność wyżyć się z mozołem, choć często burzliwe i groźne odbiera człowiekowi życie, rozbija i zatapia statki. Nie puszczają się zaś na jezioro nie można, bo czemużby żyć? Musisz się na niem i pomodlić Panu (widoczny ślad bożyszcza żywiołów), inaczej „zerwą się obłoki, porwie się burza straszna, dziko zawyją wichry, wezdmie się fala i wszystko pójdzie w kawały na wielkiem modrém morzu.“ W ogólności w podaniach tego rodzaju stosunek do świata urzędniczego w niekorzystnym przedstawiony świetle. To samo uczucie wybija się i dla doktorów i dochowienstwa, a lubo często spotykają się tu dla niego pochwały, zawsze jednak w ujemnym znaczeniu. Cała zaś sympatya dostaje się starości, który się wstawia za ludem.“

Styl w podaniach rzeczonych pełen ozdób poetycznych, przenośnie i zwroty trafne czynią opowieść obrazową i malowniczą. Narzeczce północne zachowane w nich jest czystym bez naleciałości późniejszych form i zwrotów.

— *Kraków. Akademia Umiejętności* jeszcze nie rozwinięta, żadnej działalności nie pokazuje. Podług statutu wybrano pierwszych XII akademików z samych Krakowian, tymi są: *Dunajewski* (b. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego), *Karol Estreicher*, *Józef Kremer*, *Karol Mecherzynski*, *Wincenty Pol*, *Lucyan Siemieniński*, *Józef Szujski*, *Walewski*, *Kuczyński*, *Majer*, *Skobel* i *Teichman*. Wszyscy są to mężowie wysokiej nauki i nie małych zasług oddanych oświacie i literaturze krajowej. Ci następnie wybrali 24 kandydatów na członków czynnych, z których cesarz 12 ma wybrać, po czém *Akademia Umiejętności* dopiero właściwe zacznie życie.

Do teatru ściągają tłumy widzów, co jest u nas osobliwością, sztuka treści ludowej, uwieńczona drugą nagrodą na zeszłorocznym konkursie p. n. *Skarby i Upiory* czyli trzecia część *Krakowiaków i Górali*, napisana przez zasłużonego i sędziwego artystę krakowskiej sceny Ładnowskiego, z muzyką Kazimierza Hoffmana. Wiersz słaby podpięra dowcip, intryga i żywa akcja. Lat 78 upłynęło, gdy pierwszy twórca *Krakowiaków i Górali* wystawił na scenie warszawskiej, po nim J. N. Kamiński dyrektor teatru lwowskiego napisał w lat kilkadziesiąt część drugą, teraz mamy trzecią i ostatnią zapewne. Zaletą tej sztuki jest to, że jest rzeczywiście przedłużeniem dwóch pierwszych.

Matejko po powrocie z podróży na Wschód zajmuje się obrazem przedstawiającym epizod z życia Kopernika. Krytyka wiedeńska nie może się nachwalić ostatniego jego obrazu *Stefan Batory*, lecz boleje zarazem, że Niemcy, owe wielkie Niemcy przodując cywilizacji świata, niemają w tej chwili malarza, któryby równał się Matejce.

Z dzieł ważniejszych wyszły: *Listy Hugona Kollątaja* pisane w roku 1792, 1793, 1794, zebrał Lucyan Siemieński. *Pisma ks. Hieronima Kajsiewicza* ze zgromadzenia Zmartwychwstańców, tomów trzy. *Rzym jako stolica państwa włoskiego*, napisał Bronisław Zalewski. *Pamiętnik wydziału prawa i administracji w C. K. Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie*. Rok szkolny 1871/2. Tom obszerny (str. 425) mieści w części naukowej rozprawę profesorów Bojarskiego, Girtlera, Zolla i Kosparka.

Kraków ma przeszło dwa tysiące nagrobków w kościołach swoich. Oprócz zebranych z ich napisów (Starowski, Sołtyk, Teleżyński, Grabowski, Żebrawski, Łepkowski, Wurzbach), posiadają monumenta owe w przerysach Maksymilian Cercha, Szymon Dutkiewicz, Józef Łepkowski i Piekosiński. Pierwszego zbiór na ilość największy; nagrobki Cerchy są w rysunkach, Dutkiewicz ma akwarelle, Dr. Łepkowski zgromadził epigrafy wszystkich, a przerysy (wykonane przez brata jego Ludwika) posiada z tych tylko pomników; na których są napisy gockimi głoskami. Dr. Kolmar Grünhagen w relacji ze swj podróży do Krakowa, chwali ten zbiór i podaje że J. Łepkowski ma przerysy 200 przeszło nagrobków. Wszedł z pod prasy *Katalog tek Szymona Dutkiewicza*; ma 500 prawie akwael monumentów krakowskich. Zbiór ten jest do sprzedania. Karol Estreicher wydaje *Historję teatrów w Polsce*, a Żebrawski drukuje: *O nauce matematyki w Polsce*, w spisie dzieł bibliograficznym.

— Brak ludzi specjalnie w kierunku technicznym wykształconych, nie tylko u nas uczuwać się daje. Dowodzi tego reskrypt austriackiego ministerstwa wyznań i oświecenia rozpisujący konkurs do 31 grudnia 1872 r., celem obsadzenia w Akademii technicznej we Lwowie katedr a mianowicie: *a*) zwyczajnej katedry technologii mechanicznej w połączeniu z opisową o machinach, *b*) zwyczajnej katedry mineralogii w połączeniu z geognozą, *c*) nadzwyczajnej katedry rysunków ornamentalnych i modelowania. Do katedr *a*) i *b*) przywiązana jest płaca etatowa 1800 złr. w. a. rocznie; do katedry, *c*) płaca 1,200 złr. w. a. rocznie. Ubiegający się winni wystosować podanie do Wys. c. k. ministerstwa wyznań i oświecenia i złożyć takowe do rektoratu c. k. Akademii technicznej we Lwowie przed upływem terminu konkursowego. Na mocy tegoż reskryptu rozpisano konkurs do 30 listopada 1872 r. celem obsadzenia czterech posad asystentów w tejże Akademii technicznej mianowicie: *a*) dla katedry jeometrii wykreslnej, *b*) geodezyi, *c*) nauk inżynierskich, *d*) technologii chemicznej. Do każdej z tych posad przywiązane jest wyuagrodzenie 600 złr. w. a. rocznie. Posada asystenta udziela się na dwa lata od dnia nominacyi z prawem jednorazowego przedłużenia na dalsze dwa lata. Kandydaci winni podania wystosowane do grona profesorów c. k. Akademii technicznej podawać do rektoratu Akademii technicznej we Lwowie przed upływem terminu konkursowego.

— W Poznaniu, po zgonie ks. Prusinowskiego sprzedano bibliotekę, w której było kilka *białych kruczków* bibliograficznych. Po między tymi odznaczał się *Żywot Jezusa Chrystusa*, przez Baltazara Opecia, drukowany w Krakowie u Hieronima Wietora. Egzemplarz ten jakkolwiek zdefektowany kupiono do biblioteki hr. Działyńskiego w Korniku za 337 talarów.

— Książę Edmund Radziwiłł, spokrewniony przez babkę z domem cesarsko-pruskim, ale wychowany pod kierownictwem nauczycieli polaków w zasadach katolicyzmu, wszedł do stanu duchownego i pełniąc obowiązki wikarego w Ostrowie (w Poznańskim), wydał obecnie dzieło p. t. „*Powaga kościoła i sumienie nowoczesne*“ (Die kirchliche Autorität und das moderne Bewusstsein. Breslau. Aderholz), w którym dowodzi, że protestantyzm wyszedł po za granice chrystyanizmu, że dogmat nieomylności jest nie zbity, że kościół w obec państwa musi mieć osobne nietykalne stanowisko. Z tych względów potępia politykę obecnego cesarstwa niemieckiego.

— Zabytki dawnych zwyczajów i wierzeń, nieraz się w naszych czasach objawiają. U *Opryszków* w Tatrach największą jest przysięga *na pistolet*: obecnie w księstwie Poznańskim, tradycja ta przysięgi na fuzyą, przypomnioną została; albowiem jak donosi „*Ostdeutsche Ztg.*“ do sądu w Poznaniu przybył włościanin ze starą fuzyą nabitą loftkami i zażądał, ażeby zapożyczający go, przysiągł na nią.

— W *Górnym Szląsku* zaczęło wychodzić pismo w języku polskim i niemieckim p. n. *Szlązak*. Zadaniem jego jest o ile możności działać przeciw agitacyi słowiańskiej, którą wielkie rozmiały przybrała w tej prowincyi.

— Powieść Jana Zacharyasiewicza: „*Noe Królewska*,“ przetłumaczoną została na język czeski i drukuje się w zbiorze: „*Tanięj biblioteki ludu czesko-morawskiego*.“

— Z powodu tegorocznej wystawy sztuk pięknych w Brukseli, artyści polscy: *Rodakowski malarz ze Lwowa i Godebski* (wnuk Cypryana pułkownika i poety) rzeźbiarz w Petersburgu zamieszkały, mianowani zostali kawalerami orderu Leopolda, dekretem króla belgijskiego, z dnia 3 listopada r. b.

— Edmund Chojecki, który znany jest w literaturze francuzkiej pod imieniem *Charles Edmond* i scenę paryżką zasila często utworami swego pióra, napisał dla teatru l'Odeon komedye w jednym akcie: „*Widziadło różowe*.“

— W Czechach, w pobliżu miast *Jeromierz i Czeskie Skalice* odkryto starożytne groby pogańskie. Znajdują się one w gęstym lesie, niedaleko ruin zamku *Wezelio*: miejsce to dotąd tameczny lud nazywa: „*w Kopcich*.“ Groby te mają kształt pagórków stożkowatych, stojących rzędem, mających około jednego sążnia wysokości. Tylko jeden pagórek ma dwa sążnie wysokości. Grobów tych odkryto już 120: rozkopywaniem ich już się zajęto i spodziewać się można bogatych zdobyczy dla archeologii czeskiej.

— Dnia 17 listopada w Berlinie zamkniętą została w *Zeughausie* wystawa, w której było do widzenia berło królów polskich z kości słoniowej z portretem Michała Korybuta.

— W pamiętnój w dziejach naszych *Warnie*, zawiązał się komitet, w celu zbudowania kaplicy, w pamiątkę poległego pod tém miastem w roku 1444 Władysława króla Polskiego i Węgierskiego. Kaplica ta ma się stać z czasem parafialnym kościołem dla katolików warneńskich. Zbiieraniem składek na tę budowę zajmują się: *Angelo Duroni*, vice-konsul hiszpański i ks. Remigjusz misyjny apostołski.

— „*W piérwszém półroczu 1873 r. rozpoczniemy druk powieści historycznej J. I. Kraszewskiego z początków XVIII wieku.*“

— Czasopismo illustrowane *Kłosa* od Nr. 383 do 386 obejmują artykuły z dzeworytami: Roman Cichowski.—Huculi.—Faworyci pokojowi.—Zamek w Podhorcach.—Lipno.—Miłość zwyciężą i miłość zwyciężona.—Ludwik XIV pracujący z radą ministrów w salonie pani de Maintenon.—Jaki dobry interes zrobił Adnś na jarmarku.—Szkice humorystyczne F. Kostrzewskiego.—Powrót z pola.—Teorbanista ukraiński.—Kałoża.—Kościół parafialny w Ozorkowie.—Aleksander Dumas (syn).—Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Derślaw z Rytwian powieść T. T. Jeża.—Sir Walter Skott.—Wspomnienie z życia Kazimierza Brodzińskiego.—Marta Kuźmowna, powieść.—Kronika Paryżka.—Kronika Lwowska.—Z obcego świata.—W kwestyi połączonej pracy kobiet.—Listy J. I. Kraszewskiego.—Podróż po Afryce.—Charakter przez S. Smilesa.—Pokłosie.—Widomości z pola literatury i sztuki.—Stanowisko kobiety w rodzinie i społeczeństwie.—Drogi cesarstwo we Francyi.—Ugo Foscolo.—Kilka słów o Słowianach południowych.—Doktor Serwaus powieść A. Dumasa.—Przegląd polityczny.

— Tygodnik Illustrowany do Nr. 253 od 256 obejmuje artykuły z drzeworytami: Mieczysław Dzieduszycki.—Młodzi przekupnie.—Wielki ołtarz Św. Katarzyny na Kazimierzu.—Modlitwa.—O święcim.—Wnętrze Synagogi w Włocławsku.—Projekt rusztowania do malowania domów i mycia okien.—Ludwik Januszkiewicz.—Z teki Grotgera.—Przy kominku.—Konnica furająca.—Dr. Adrian Baraniecki i jego muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie.—Karnawał w Wenecyi.—Z podróży po muźmańskim Wschodzie. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Morituri powieść J. I. Kraszewskiego.—Kronika tygodniowa.—Zbiory wiedeńskie.—Przeglądy polityki zagranicznej, piśmiennictwa krajowego.—Szkice Kaukazu.—Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego.—Samuel ze Skrzyżny Twardowski: Studium.—Julia de Trecour powieść O. Feuillet'a.

OD REDAKCYI  
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ.

**Biblioteka Warszawska** wychodzić będzie w roku 1873, w którym pismo to zacznie trzydziesty trzeci rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie **Rs. 9**, na prowincyi **10**; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytym porządku odbierać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie przedmieście Nr. 415) przesłać prenumeratę **Rs. 10** i zarazem zawiadomić, z której stacyi pocztowej zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniej zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1872.

## *Starożytności krajowe.*

	stron.
Opowiadania o Warszawie, jej przeszłości i pamiątkach miasta. Przez F. M. Sobieszczańskiego . . . . .	1
Powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi. Przez K. Pułaskiego . . . . .	254
Liber beneficiorum Długosza. Przez Feliksa Zielińskiego. . . . .	333

## *Historya.*

Serbia, zarysy historyczno-etnograficzne. Przez A. P.:	
III. Pod tureckim panowaniem. . . . .	52
IV. Wyzwolona Serbia . . . . .	61
V. Kraj i ludność. . . . .	223
VI. Stan polityczny i społeczny . . . . .	377

## *Prawo.*

Pogląd na nowsze prace około wyjaśnienia historyi praw Słowian południowych. Przez Romualda Hubego. . . . .	169
---	-----

## *Życiorysy.*

Tomasz Padurra. Przez Walerego Przyborowskiego. . . . .	410
---	-----

## *Literatura powszechna.*

Historya literatury angielskiej (z H. Taina). Streścił Edward Lubowski. . . . .	66
---	----

## *Dzieje współczesne.*

Położenie obecne Francyi, według najnowszych źródeł urzędowych. Przez Witolda Załęskiego . . . . .	423
--	-----



Amalia, ustęp z wojny domowej w Rzeczypospolitej Argentyńskiej, przez  
D. José Marmol; przekład z oryginału hiszpańskiego . . . 24—193

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

- Pomnik wzniesiony w mieście Vendome, na cześć Ronsarda naczelnika  
plejady poetów XVI wieku.—Porównanie Ronsarda z Kochanow-  
skim. — Dwaj zapasnicy odrodzenia. — Mowa Augusta Barbier  
delegowanego od Akademii Francuskiej. — Poemata popularne  
Eugeniusza Manuela, uwiecznione przez akademią. — Nowy zwrot  
poezyi. — Obrazki rodzajowe z życia miejskiego ludu: Narzeczona  
robotnika, Matka i dziecię, Kwiat pomarańczy, Śpiewaczka ulicz-  
na, Przechadzka. — Mąż-niewiasta, broszura Aleksandra Duma-  
sa. — Aspazya z Miletu, studjum historyczne p. Beccq de Fou-  
quières: Mężczyzna i niewiasta, list Emila Girardin do Dumasa  
w odpowiedzi na jego broszurę. . . . . 91
- Czterystoletni jubileusz Kopernika, dzieło p. Flamaryon'a. Rodowitość  
polskiego astronoma. Młode lata. Nauki w Wszechnicy Jagiel-  
lońskiej. Wojciech Brudzewski. Podróż po Włoszech. Padwa.  
Korony akademickie. Bononia. Rzym. Powrót. Stan duchow-  
ny. Walka z krzyżackim zakonem. Wszechstronność geniusza:  
Kopernik ekonomista, lekarz, inżynier, filozof, poeta, malarz.  
Jego wizerunek. Wiersz Tiho-Brahego. Dzieło de Revolutionibus  
orbium coelestium. Śmierć. Napis grobowy. Stole-  
tnia cisza. Tryumfy. Napoleon w Frauenburgu. Ocenienie  
Herdera. — Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono. — Poezja i pro-  
za. — Bibliografia i archeologia. — Holandia i Holendrzy: roz-  
prawa p. Quesnel. — Andrzej Lemoyne uwieczniony poeta. —  
Strumień i dziewczyna. — Po balu. . . . . 269
- Kobieta grecka, dzieło w dwóch tomach panny Klarysy Bader, uwiecz-  
nione przez Akademią Francuską. Mythy pierwotnych Pelazgów.  
Helenowie. Życie rodzinne w czasach Homerycznych. Bohater-  
ki Illiady: Helena, Hekuba, Andromaka. — Przekład Francoiszka  
Dmochowskiego. — Ocenienie Mickiewicza. Bohatérka Odyssei:  
Kamilla, Eurikleja, Penelopa, Przekład Cypryana Norwida. —  
Niewiasta grecka w rodzinie za czasów historycznych. Sparta:  
Wychowanie Lacedemonki. Ateny: Wychowanie dziewczeczek Joń-  
skich. Małżeństwo. Posag. Opieka nad sierotami. Wesołe  
obrzędy. — Niepodległość spartańskich niewiast. Idylla Teo-  
kryta: Dyalog Syrakuzanek. — Życie niewiasty ateńskiej w gynec-  
ceum. Obyczaje. Matka spartanka. Matka atenka. Ostatnie  
rozłączenie małżonków. Piaskorzeźby na grobach. — Typ bo-  
haterek dramatycznych. Eschiles. Trilogia Orestiadasy: Kly-  
temnestra, Orest, Eumenidy. — Sofokles. Trilogia: Król Edyp,  
Edyp w Kolonie, Antygona. Przekład Kazimierza Kaszew-

skiego. Eurypides: Tragedya Alcesta. Kobieta grecka w dzie-  
 zinię literatury i sztuki. Dzieciwó muz ziemskich: Safo, Erinna.  
 Tezylla: Tyrteusz niewieści. — Mirtis mistrzyni Pindara. — Ko-  
 rynnua: wespółzawodnictwo z Pindarem. — Nossis. Praxilla. Any-  
 the. Moero. Kora: odkrycie sztuki plastycznej. Malarki. Ti-  
 moreta. Irena. Lalla z Cyzyku. — Kobiety szkoły filozoficznej  
 Pythagoresa. Teano. Damo. Listy Teano. Fragmenta filozo-  
 ficzno moralne Perictione i Phinthys. . . . . 226

*Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.*

Kurs historii wieków średnich napisany przez Tadeusza Korzона, z do- łączeniem 4ch mapp historycznych i 25 tablic genealogicznych. Nakładem J. Brzozowskiego, Warszawa, 1872. Przez A. P.	125
O Mazurach. Napisał Dr. Wojciech Kętrzyński. Poznań, nakładem Ty- godnika Wielkopolskiego, czcionkami L. Merzbacha. 1872. (w 16-cc, str. 94). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . .	138
Vincentius Kadlubek und seine Chronik Polens. Zur Litteraturge- schichte des dreizehnten Jahrhunderts, von Heinrich Zeissberg. Przez A. T. . . . .	145
Radziwiłł w gościnie. Anegdota dramatyczna w 3ch aktach przez J. I. Kraszewskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda. 1872. (w 8-cc, str. 55.). Przez K. Wł. W. . . . .	146
Obrazki z mojego sąsiedztwa. Z notat pana Antoniego, spisał Leon Kunicki. Warszawa, nakładem G. Sennewalda 1872 r. (Drukiem Józefa Ungra w 8cc str. 149). Przez K. Wł. W. . . . .	149
Dziwy świata pierwotnego, czyli kolebka wszechświata, przez W. F. A. Zimmermana, przekład T. Dziekońskiego, 1872. Wydanie drugie z 268 drzeworytami. Przez A. J. S. . . . .	150
Historja literatury rossyjskiej w zarysach i życiorysach. Przez P. Polewoja (syna). . . . .	151
Dzieje Polski w głównych zarysach krótko streszczone dla użytku mło- docianego wieku, przez E. Leja, 1872. Przez A. J. S. . . .	153
Pamiętnik Wydziału prawa i administracyi w c. k. Uniw. Jagiel. w Krakowie. Kraków, 1872 XVI i 425. Przez X. . . . .	153
Opis historyczny Rzymsko-Katolickiego kościoła świętej Katarzyny w Petersburgu. Przez E. hr. Tyszkiewicza. . . . .	154
Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi. Rok VII. Półroczje pierwsze. 1872 r. Przez Fel. Zielińskiego.	291
Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie zupełne, poprawne i dopeł- nione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. (Z wizerunkiem i życiorysem poety). Tom I poezye oryginalne i naśladowania. Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego. (Dr. W. Lebiński), 1872 r. (w 8cc, str. VII, 400). Przez K. Wł. Wójcickiego . . . . .	300
Pamiętniki Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych,	

	Stron.
z roku szkolnego 1871 2. Rok trzeci. (Warszawa 1872, 8ka większa, str. 199). Przez W. . . . .	307
Gustaw i Werter prel. publ. przez Adama Bełcikowskiego, doc. Uniw. Jagiell. Kraków, nakładem Tomaszewicza. 1872. Przez E. L. . . . .	310
Zawiazki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier. Opracował Dr. Fr. Czerny. Kraków, 1872. str. 178. Przez P. . . . .	315
Lehrbuch der Geographie für die mittleren u. oberen Classen i t. d. von H. Guthe. 2 Aufl. 1872. Hannover, 658 str. 8ka. Przez P. . . . .	318
Napis na starój Chrzcielnoiy w kościele Ś-go Jana w Toruniu, dokładnie przerysowany. Warszawa 1872. W drukarni J. Sikorskiego (w 8ce str. IV z dwiema tablicami litografowanemi, przedstawiającymi chrzcielnicę i napis). Przez R. . . . .	319
Synodus archidioeciesana Gnesnensis praesidente Stanislao Karnkowski Archiepiscopo Gnesnensi et Primate Regni Poloniae, Lovicii an. Domini 1583 celebrata, nec non Articuli alterius synodi ejusdem dioecesis sub Jacobo Uchański Archiepiscopo habite, nuno primum ex archivo venerab. Capituli Cathed. Vladislaw. Zeno Chodyński Direct. Semin. Vlad. edidit. Varsavie, 1872; str. 68. Przez A. P. . . . .	493
Bibliografia Polska. 120,000 druków. Część I. Stulecie XIX. Katalog 50,000 druków polskich lub Polski dotyczących od r. 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem dzieł księgarskich, przez K. Estreichera. Kraków. W drukarni Uniw. Jagiell. 1870, (w wielkiej 8-ce). Przez K. Wł. W. . . . .	495
Obrazy wszechświata. Astronomia i geologia popularna z drzeworytami w tekście. Napisał Dr. medycyny i chirurgii Jan Stella-Sawicki. Przez D-ra S. . . . .	500
O małoletnich przestępcach oraz Towarzystwie Osad Rolnych i Przemysłowców Rzemieślniczych. Szkic ogólny przez W. Miklaszewskiego. Warszawa. 1872. str. 83 w 8ce. Druk S. Orgelbranda synów. Przez T. K. . . . .	506
Konfederacya Barska. Korrespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim Łowczym Koronnym w r. 1768, wydał Dr. L. Gumplowicz. Nakładem czasopisma „Kraju“ 1872 rok, (w 8-ce, str. XV, 204 z mapką). Przez K. Wł. W. . . . .	510
Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, według pism i podań miejscowych, przez ks. Józefa Gackiego. Radom, w drukarni J. K. Trzebińskiego, 1872 roku, (w 8-ce str. 299). Przez K. Wł. W. . . . .	514
WIADOMOŚCI LITERACKIE . . . . .	158, 320, 516
Od Redakcyi. . . . .	332, 524
Bibliografia krajowa i zagraniczna na okładkach każdego zeszytu.	

Wydawnictwo **Maurycyego Orgelbranda** w Warszawie.

# PROSPEKT

na dzieło pod tytułem:

# DZIEJE UMYSŁOWEGO ROZWOJU EUROPY

PRZEZ

**I. W. DRAPERĄ,**

D-ra Medycyny i Prawa, Prof. Chemii i Fizjologii w Uniwersytecie w N.-Yorku.

TŁOMACZENIE Z ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO

PRZEZ

**Tadeusza Korzона.**

2 tomy in 8-vo.

Co się stanie z nami, a przynajmniej z wnukami, prawnukami i praprawnukami naszymi? Dla kogo pracujemy w znoju i gorzkim częstokroć zwątpieniu? W co się obróćą nasze pola uprawne, nasze miasta gwarne, nasze koleje, telegrafy, balony, nasze literatury i wszystkie owoce długich, wytrwałych, cudownych prawie wysień Ludzkości?

Takie pytania podniecały oddawna myśliciele, przedewszystkiemi zaś historyków i filozofów do badań długoletnich a wyteżonych. Powstała nawet osobna gałąź wiedzy, zwana Filozofją Historji, czyli Historyjozofją. Od czasu, jak Vico ogłosił swą „Nową Naukę,” na polu tém występowali pomiędzy innymi Herder, Szlegel, Cousin i sławny Hegel z obszerną teorią, która budziła w uczniach jego najśmielsze nadzieje i nieograniczone uwielbienie dla mistrza. Powiedział on, że „Historyja Powszechna jest przedstawieniem ducha w czasie, tak samo

wydadzą się bezpłatnie. Pragnący otrzymać pocztą dzieło Drepera, dla uproszczenia korespondencyi zechcą nadesłać albo całą należność, albo w 2 ratach: 3 rsr. przy zamówieniu, a 1 k. 75 po odebraniu 4-go poszytu.

Dla prenumeratorów czasopisma „Niwa”, którego główną ekspedycją podpisany się zajmuje, cena na dzieło Drepera oznacza się **taniej o całego rubla**. Zatem prenumeratorowie w Warszawie wniosą przy zamówieniu 1 rsr. a za pierwsze 4 poszyty płacić będą po 50 kopiejek; sześć ostatnich odbiorą bezpłatnie. Z prowincyi prenumeratorowie Niwy nadesłają rsr. 2 przy zamówieniu, a rs. 1 k. 75 po wyjściu 4-go zeszytu\*)

Przedpłatę na dzieło Drepera, oraz na Niwę przyjmują prócz podpisanego wszystkie księgarnie.

## **Maurycy Orgelbrand,**

KSIEGARZ W WARSZAWIE, NAPRZECIW POSĄGU KOPERNIKA.



\*) Prenumerata na samo pismo p. t. NIWA, wynosi w Warszawie rs. 1 kop. 50, a z przesyłką pocztą rs. 1 kop. 87<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kwartalnie.